



david baldacci

„Piszę fabuły, które materializują się w rzeczywistości”

DIABELSKI ZAUŁEK



*W tym zaułku czai się
niebezpieczeństwo...
ale jakże emocjonujące!*

DAVID BALDACCI

DIABELSKI ZAULEK

Hell's Corner

Klub Wielbłądów, 05

Tłumaczenie
Arkadiusz Nakoniecznik

1.

Oliver Stone liczył sekundy. Zawsze go to uspokajało, a właśnie teraz potrzebował spokoju. Dziś wieczorem miał się z kimś spotkać. Z kimś bardzo ważnym. Nie miał pojęcia, jak przebiegnie to spotkanie, ale jednego był pewien: nie zamierzał uciekać. Miał już dosyć uciekania.

Właśnie wrócił z Divine w Wirginii, gdzie mieszkała Abby Riker. Abby była pierwszą kobietą od śmierci jego żony przed trzydziestu laty, do której Stone'owi żywej zabiło serce.

Mimo łączącego ich uczucia Abby nie chciała opuścić Divine, a Stone nie mógł tam mieszkać. Na dobre czy złe, większa część jego duszy należała do tego miasta, nie do Divine, i to bez względu na ból, jaki się z tym wiązał.

Ten ból mógł już wkrótce przybrać na sile. Informacja, jaką otrzymał godzinę po powrocie do domu, nie pozostawiała wątpliwości – zjawią się po niego o północy. Żadnych dyskusji, żadnych negocjacji, żadnych kompromisów. Warunki zawsze dyktowała druga strona.

Niebawem przestał liczyć. Na zwirowej drodze wiodącej do cmentarza Mt. Zion zachrzęściły opony. Był to zabytkowy, choć skromny cmentarz czarnych Amerykanów, którzy przeszli do historii, walcząc o to, co ich biali przeciwnicy uważali za oczywiste: jedzenie, spanie, możliwość jazdy autobusem albo skorzystania z łazienki. Uwagi Stone'a nie uszła ironia losu, który sprawił, że z cmentarza roztaczał się widok na eleganckie Georgetown. Jeszcze nie tak dawno zamożni mieszkańcy tej dzielnicy tolerowali swych ciemnoskórych braci i ciemnoskóre siostry jedynie wtedy, gdy ci nosili uniformy służących lub ze wzrokiem skromnie wbitym w wypastowaną podłogę roznosili tace z napojami i przekąskami.

Drzwi samochodu otworzyły się, a potem zatrzasnęły. Stone usłyszał trzy kliknięcia i zbliżające się kroki. Trzy osoby. Na pewno mężczyźni, na takie spotkanie nie wysłaliby kobiety. A może to tylko

niemające od dawna żadnego związku z rzeczywistością uprzedzenia charakterystyczne dla jego pokolenia?

Glocki, sigi albo jakieś modele specjalne, zależnie od tego, komu wyznaczono zadanie. Bez względu na typ, każda broń była śmiertelna. Pistolety trzymają zapewne pod eleganckimi marynarkami. W spokojnym, ustosunkowanym Georgetown nie było miejsca dla ubranych na czarno oddziałów szturmowych ani mknących tuż nad dachami śmigłowców.

Operacja odbędzie się dyskretnie, bez zakłócania snu ważnych osób.

Zapukali.

Grzecznie.

Otworzył im.

Żeby okazać szacunek.

Ci ludzie nie żywili do niego żadnej osobistej urazy. Przypuszczalnie nie wiedzieli nawet, kim jest. Wykonywali swoją pracę. On też tak pracował, tyle że wcześniej nigdy nie pukał. Zaskoczenie, a potem trwające ułamek sekundy naciśnięcie spustu – tak właśnie działał.

Praca.

Tak przynajmniej myślałem, bo nie miałem odwagi spojrzeć prawdzie w oczy.

Jako żołnierz Stone nigdy nie miał najmniejszych oporów przed wyeliminowaniem kogoś, kto chciał wyeliminować jego. Wojna to był darwinizm w najczystszej postaci, a obowiązujące na niej zasady najbardziej zdroworozsądkowe, jakie tylko można sobie wyobrazić. Najważniejsza brzmiała: zabij albo giń. To jednak, co robił po odejściu z wojska, było zupełnie inne i sprawiło, że już na zawsze przestał ufać tym u władzy.

Stanął w drzwiach, czarna sylwetka na tle jasności za plecami. Gdyby był po drugiej stronie, wykorzystałby tę chwilę, żeby strzelić. Szybko, czysto, ze stuprocentową pewnością.

Dał im szansę... Ale nikt jej nie wykorzystał. Nie zamierzali go zabić.

Okazało się, że było ich czterech. Stone zaniepokoił się tym, że niewłaściwie ocenił sytuację.

Najważniejszy był schludnie ubrany, miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, krótko ostrzyżone włosy i bystre oczy, które wszystko rejestrowały, niczego nie zdradzając.

Wskazał na zaparkowany przy bramie samochód, czarnego cadillaca escalade. Dawniej Stone poradziłby sobie z całym oddziałem zabójców atakujących go z ziemi, wody i powietrza, ale wyglądało na to, że te czasy bezpowrotnie minęły. Teraz wystarczyło czterech facetów w garniturach.

Nikt nic nie mówił, bo nie było potrzeby. Został fachowo obszukany, a następnie wepchnięty do samochodu. Siedział w środkowym rozkładanym rzędzie między dwoma mężczyznami. Napierali na niego muskularnymi ramionami, spięci, gotowi w każdej chwili sięgnąć po broń. Stone nie zamierzał jednak czynić niczego, co mogłoby ich do tego sprowokować. Obecnie, w sytuacji jeden na czterech, przegrałby niechybnie każde starcie, z czarną dziurą w czole – jak tatuaż albo trzecie oko, do wyboru – w charakterze nagrody za całkowite przeliczenie się z siłami.

Kilkadziesiąt lat temu z dużym prawdopodobieństwem można by założyć, że czterej nawet znacznie lepiej wyszkoleni przeciwnicy leżeliby już martwi – ale tamte czasy już dawno odeszły w przeszłość.

– Dokąd? – zapytał.

Nie oczekiwał odpowiedzi i jej nie otrzymał.

Minutę później stał samotnie przed budynkiem doskonale znanym każdemu Amerykaninowi. Nie czekał długo. Szybko pojawili się ludzie zdecydowanie z wyższej półki niż ci, którzy go przywieźli. Znalazł się w wewnętrznym kręgu. Im bliżej środka, tym lepiej wyszkolony personel. Poprowadzono go korytarzem z licznymi drzwiami. Wszystkie były pozamykane, bynajmniej nie ze względu na porę. To miejsce nigdy nie zasypiało.

Jedne drzwi otworzyły się przed nim i zamknęły się za nim. Stone znowu został sam i znowu nie na długo. Drzwiami po drugiej stronie pomieszczenia wszedł mężczyzna. Nie patrząc na Stone'a, pokazał mu, żeby usiadł. Stone usiadł, a mężczyzna zajął miejsce za biurkiem.

Stone nie był oficjalnym gościem. Zazwyczaj sumiennie odnotowywano, kto wchodzi do tego budynku i kto z niego wychodzi, ale nie tej nocy. Mężczyzna miał na sobie nieformalny strój: spodnie z miękkiego materiału, mokasyny, koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Zsunąwszy okulary na nos, przeglądał papiery na biurku, na którym świeciła lampka. Stone przyglądał mu się uważnie. Mężczyzna sprawiał wrażenie skoncentrowanego i zdeterminowanego. Musiał taki być, żeby tu przeżyć.

Odłożył papiery i zdjął okulary.

– Mamy problem – powiedział James Brennan, prezydent Stanów Zjednoczonych. – I potrzebujemy pańskiej pomocy.

2.

Stone był lekko zaskoczony, ale nie dał tego po sobie poznać. W sytuacjach takich jak ta raczej nie należało okazywać zdziwienia.

– Problem z czym?

– Z Rosjanami.

– Aha.

Nic nowego, pomyślał Stone. Często miewamy z nimi problemy.

– Pan tam był – stwierdził prezydent.

– Wiele razy.

– Zna pan ich język. – To także nie było pytanie, więc Stone milczał. – Zna pan ich taktykę.

– Znałem. Dawno temu.

Brennan uśmiechnął się niewesoło.

– Moda zawsze wraca po jakimś czasie. Techniki szpiegowskie też, jak się okazuje.

Prezydent odchylił się do tyłu i położył stopy na biurku, które królowa Wiktorja podarowała Ameryce pod koniec dziewiętnastego stulecia. Pierwszym prezydentem, który z niego korzystał, był Rutheford B. Hayes.

– Rosjanie utrzymują w naszym kraju gęstą sieć szpiegowską. FBI aresztowało wielu ich ludzi, sporo też namierzyło, ale zostało mnóstwo takich, o których nie mamy żadnej informacji.

– Wszystkie kraje bez przerwy szpiegują się wzajemnie – odparł Stone. – Byłbym co najmniej zdziwiony, gdyby się okazało, że my nie prowadzimy przeciwko nim żadnych operacji wywiadowczych.

– Nie o to chodzi.

– Rozumiem – odparł Stone, który w głębi duszy był przekonany, że właśnie o to chodzi. – Rosyjskie kartele kontrolują wszystkie najważniejsze kanały dystrybucji narkotyków na wschodniej półkuli. Chodzi o ogromne pieniądze.

Stone skinął głową. Wiedział o tym.

– Obecnie kontrolują także te na półkuli zachodniej.

Tego nie wiedział.

– Z tego, co słyszałem ostatnio, Kolumbijczycy zostali wyparci przez Meksykanów.

Brennan w zamyśleniu skinął głową. Patrząc na jego poraną bruzdami twarz, Stone domyślał się, że prezydent większą część dnia spędził nad sążnistymi raportami i opracowaniami, dokładnie analizując ten problem i zapewne co najmniej kilka innych, poważnych. Piastowanie tego urzędu pochłaniało całą energię i dociekliwość, na jaką można było się zdobyć.

– W końcu zorientowali się, że najistotniejsza jest trasa dostawy. Towar można wyprodukować w dowolnym miejscu, kluczem do sukcesu jest dostarczenie go odbiorcy. Po tej stronie świata odbiorcami są Amerykanie. Rosjanie skopali tyłek naszemu południowemu sąsiadowi. Mordując, torturując, zastraszając, wysadzając w powietrze i przekupując, dotarli na sam szczyt, co w praktyce oznacza, że kontrolują co najmniej dziewięćdziesiąt procent interesu. I to jest właśnie ten problem.

– Wydawało mi się, że Carlos Montoya...

Prezydent przerwał mu zniecierpliwionym gestem.

– Tak piszą w gazetach, mówią w telewizji i mądrzą się na konferencjach prasowych, ale w rzeczywistości Carlos Montoya jest skończony. Był najgorszym śmieciem, jakiego można sobie wyobrazić. Zabił dwóch swoich braci, żeby przejąć kontrolę nad rodzinnym interesem, a jednak nie zdołał się przeciwstawić Rosjanom. Ostatnio dotarły do nas bardzo wiarygodne informacje wskazujące na to, że Carlos Montoya może już nie żyć. Na tym rynku Rosjanie są bezwzględni.

– Jasne – zgodził się Stone.

– Dopóki naszymi przeciwnikami były meksykańskie kartele, jakoś dawaliśmy sobie radę. Naturalnie sytuacja była daleka od ideału, ale w każdym razie nie zagrażała bezpieczeństwu narodowemu. Walka toczyła się głównie na granicach i w dużych miastach, gdzie kartele zyskały wpływy, infiltrując miejscowe gangi. Z Rosjanami sprawy mają się inaczej.

– Bo dochodzą powiązania między kartelami i siatką szpiegowską?

Brennan spojrział na Stone'a z uniesionymi brwiami, najwyraźniej zaskoczony, że ten tak szybko wyciągnął właściwe wnioski.

– Tak sądzimy. W gruncie rzeczy uważamy nawet, że rosyjski rząd i ich kartele narkotykowe to w gruncie rzeczy to samo.

– To bardzo niepokojące spostrzeżenie.

– Niestety słuszne. Narkotyki to jeden z głównych rosyjskich towarów eksportowych.

Są produkowane w starych postsowieckich laboratoriach, a następnie rozsyłane po całym świecie. Rosjanie przekupują kogo trzeba, a tych, których nie da się przekupić, zabijają. W grę wchodzi gigantyczne pieniądze, setki miliardów dolarów. Zbyt duże sumy, by rząd nie chciał z nich czegoś uszczknąć. A to tylko jeden z elementów równania.

– Ma pan na myśli to, że im więcej narkotyków sprzedadzą w Ameryce, tym bardziej osłabią nas jako naród? Narkotyki drenują kieszenie i umysły, zwiększają poziom przestępczości, zmniejszają poziom konsumpcji, przesuwają znaczne środki z obszarów produktywnych na nieproduktywne.

Brennan ponownie wydawał się zaskoczony szybką i trafną analizą przeprowadzoną przez Stone'a.

– Zgadza się. Tym bardziej że kto jak kto, ale Rosjanie dobrze znają siłę nałogu. Ich społeczeństwo nadużywa zarówno narkotyków, jak i alkoholu. Mamy niezbitą dowody na to, że podjęli zakrojoną na szeroką skalę próbę zalania Ameryki narkotykami. – Prezydent ponownie odchylił się do tyłu w fotelu. – A pod uwagę musimy brać jeszcze jeden czynnik, który znacznie komplikuje sytuację...

– To, że są potęgą atomową – powiedział cicho Stone. – I że praktycznie rzecz biorąc, mają tyle samo głowic jądrowych co my.

Prezydent skinął głową.

– Chcą wrócić na szczyt, być może nawet zostać jedynym supermocarstwem. A jakby tego było mało, mają bardzo silne wpływy na Bliskim i Dalekim Wschodzie. Obawiają się ich nawet Izraelczycy i Chińczycy, choćby z powodu nieprzewidywalności. Równowaga sił ulega zaburzeniu.

– No dobrze, ale dlaczego ja?

– Ponieważ Rosjanie wrócili do taktyki sprzed lat. Z pańskiej epoki.

– Nie jestem znowu taki stary. W Agencji nie ma już szpiegów z tamtych czasów?

– Szczerze mówiąc, nie. Przed jedenastym września mocno ograniczono nabór, a w tym samym czasie wielu ludzi odeszło na emerytury. Po ataku na WTC zaczęła się pospieszna rekrutacja, w związku z czym teraz trzy czwarte personelu CIA jest jeszcze przed trzydziestką. O Rosji wiedzą tylko tyle, że tam robią dobrą wódkę i jest zimno. Pan wie znacznie więcej. Zna pan realia dużo lepiej od większości ludzi siedzących w Langley za biurkami. – Brennan umilkł na chwilę, po czym dodał: – I wszyscy wiemy, że ma pan szczególne umiejętności. Poświęcono dużo pieniędzy, żeby mógł je pan osiąść.

Odwołuje się do poczucia winy. Interesujące, pomyślał Stone.

– Wszystkie moje kontakty znikły. Ci ludzie już nie żyją.

– Prawdę powiedziawszy, to dobrze. Może pan włączyć się do gry jako zupełnie nowy czynnik.

– Od czego zaczniemy?

– Od pańskiego powrotu, oczywiście nieoficjalnego. Czeka pana szkolenie i nadrabianie zaległości. Przypuszczam, że za miesiąc będzie pan gotów do opuszczenia kraju.

– Kierunek Rosja?

– Nie. Meksyk i Ameryka Środkowa. Potrzebujemy pana tam, skąd są dostarczane narkotyki. To będzie ciężka i niebezpieczna praca. Myślę zresztą, że nie muszę panu o tym mówić.

Prezydent spojrzał wymownie na siwe, krótko ostrzyżone włosy rozmówcy. Stone nie miał problemów z interpretacją tego spojrzenia.

– To oczywiste, że nie jestem już tak młody jak kiedyś.

– Nikt z nas nie jest.

Stone skinął głową, usiłując dojść do jakiejś logicznej konkluzji. Brakowało mu jeszcze jednej informacji.

– Dlaczego?

– Już panu powiedziałem. Pod wieloma względami jest pan najlepszy, a problem jest realny i wciąż rośnie.

– Chciałbym usłyszeć resztę.

– Resztę czego?

– Wyjaśnienia, dlaczego naprawdę się tu znalazłem.

– Nie rozumiem. – W głosie prezydenta zabrzmiała irytacja. – Wydawało mi się, że jasno się wyraziłem.

– Kiedy byłem tu poprzednio, powiedziałem panu wprost parę rzeczy, a kilka innych zasugerowałem.

Prezydent nie zareagował.

– Zaraz potem otrzymałem Medal Honoru.

– Ale odmówił pan jego przyjęcia – odezwał się Brennan ostrym tonem. – Jeśli się nie mylę, coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy.

– Nie można przyjmować czegoś, na co się nie zasługuje.

– Bzdury. Swoim zachowaniem na polu bitwy zasłużył pan na znacznie więcej.

– Na polu bitwy, owszem. Jeżeli jednak rozważyć całość sprawy, to na pewno nie. W takich sytuacjach trzeba brać wszystko pod uwagę. I chyba właśnie dlatego tak naprawdę tu jestem.

Dwaj mężczyźni przez jakiś czas bez słowa patrzyli na siebie nad zabytkowym biurkiem. Mina prezydenta wskazywała na to, iż dobrze wie, co mieści się pod pojęciem „wszystko”. Carter Gray. Roger Simpson. Dwaj wybitni Amerykanie, dwaj przyjaciele obecnego prezydenta. Dwa trupy. Bezpośrednio za sprawą Olivera Stone’a, który miał poważne powody, by zrobić to, co zrobił. Mimo że ani z prawnego, ani z moralnego punktu widzenia nic go nie usprawiedliwiała. Wiedział o tym także wtedy, kiedy naciskał spust.

Nie powstrzymało mnie to jednak, bo jeśli ktoś zasługiwał wtedy na śmierć, to właśnie ci dwaj.

– Ocalił mi pan życie... – wymamrotał Brennan niepewnie.

– Zabijając dwóch ludzi. Zdaje pan sobie z tego sprawę.

Prezydent wstał gwałtownie i podszedł do okna. Stone przyglądał mu się uważnie.

Powiedział to, a teraz zamierzał pozwolić mówić tamtemu, żeby poznać całą prawdę.

– Gray chciał mnie zabić.

– To prawda.

– A więc, mówiąc brutalnie, fakt, że pan go zabił, nie wstrząsnął mną aż tak bardzo, jak mógłby w innych okolicznościach.

– A Simpson?

Prezydent odwrócił się i spojrzał na niego.

– Zebrałem informacje na ten temat i potrafię zrozumieć, dlaczego chciał go pan zabić.

Ale żaden człowiek nie jest samotną wyspą, Stone. Zabójstwo z zimną krwią jest czymś nie do zaakceptowania w cywilizowanym świecie.

– Chyba że zostało zaakceptowane przez właściwe osoby. Na przykład przez kogoś, kto siedział w tym samym fotelu, w którym teraz pan siaduje.

Brennan zerknął na swój fotel i szybko odwrócił wzrok.

– To niebezpieczna misja, Stone. Otrzyma pan najlepsze możliwe wsparcie, ale nie ma mowy o gwarancji sukcesu.

– Coś takiego jak gwarancja sukcesu nie istnieje.

Prezydent wrócił za biurko i splótł przed sobą palce, jakby chciał odgrodzić się od rozmówcy. Milczał, więc po jakimś czasie odezwał się Stone: – To moja kara, zgadza się?

Prezydent opuścił dłonie.

– To moja kara – powtórzył Stone. – Zamiast sądu, którego nikt nie chce, bo przy okazji mogłoby wyjść na jaw zbyt wiele spraw, od których ucierpiałyby reputacja rządu oraz kilku nieżyjących już prominentnych polityków. I zamiast egzekucji, której pan nie zleci, ponieważ, jak sam pan przed chwilą powiedział, takie postępowanie jest nie do zaakceptowania w cywilizowanym świecie.

– Nie owija pan w bawełnę – zauważył Brennan.

– Mam rację czy nie?

– Chyba zrozumiał pan mój dylemat.

– Proszę nie mieć wyrzutów sumienia z powodu posiadania sumienia. Niektórzy pańscy poprzednicy nie mieli go ani trochę.

– Jeśli się panu nie powiedzie, to będzie koniec. Rosjanie nie patyczkują się w takich sytuacjach. Pan wie o tym najlepiej.

– A jeżeli mi się uda?

– Wtedy może pan być pewien, że władza już nigdy nie zapuka do pańskich drzwi. – Prezydent pochylił się do przodu. – Zgadza się pan?

Stone skinął głową i wstał.

– Zgadza się. – Zatrzymał się w drzwiach. – Jeśli nie wrócę, byłbym zobowiązany, gdyby moi przyjaciele dowiedzieli się, że zginąłem w służbie dla kraju.

Prezydent skinął głową.

– Dziękuję panu – powiedział Oliver Stone.

3.

Następnego wieczoru Oliver Stone stał w doskonale sobie znanym miejscu, siedmioakrowym parku Lafayette'a naprzeciwko Białego Domu. Dawniej nazywano go parkiem Prezydenckim, teraz jednak nazwa ta obejmowała teren wokół Białego Domu, park Lafayette'a oraz Elipsę, pięćdziesięciodwuakrowy obszar na południe od Białego Domu.

Kiedyś należący do bezpośredniego otoczenia Białego Domu park Lafayette'a został wyodrębniony za sprawą prezydenta Thomasa Jeffersona, kiedy ten polecił wytyczyć Pennsylvania Avenue.

Przez dwa stulecia wykorzystywano go do rozmaitych celów; pełnił funkcję między innymi cmentarza, targu niewolników oraz toru wyścigów konnych. Zasłynął także jako najbardziej zawiewiórczone miejsce na świecie. Do dzisiaj nikt nie wie, dlaczego tak jest. Od czasu kiedy Stone wetknął tu w ziemię drzewce transparentu z napisem CHCĘ POZNAĆ PRAWDE, park zmienił się nie do poznania. Zniknęli wieczni manifestanci tacy jak on razem ze swoimi obszarpanymi namiotami i zuchwałymi transparentami, a od zamachu bombowego w Oklahomie majestatyczna Pennsylvania Avenue przed Białym Domem została zamknięta dla ruchu samochodowego.

Trudno było się dziwić, że ludzie, instytucje, a nawet całe kraje zaczęły się bać.

Gdyby żył Franklin Roosevelt i gdyby znowu zamieszkał w Białym Domu, miałby pełne prawo powtórzyć swoją słynną kwestię: „Jedyną rzeczą, której powinniśmy się lękać, jest lęk”. Jednak nawet te słowa mogłyby okazać się niewystarczające. Straszdyła i upiory na dobre zagościły w ludzkich sercach.

Stone zerknął w kierunku centralnej części parku i konnego pomnika Andrew Jacksona, bohatera bitwy pod Nowym Orleanem i siódmego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Rzeźba stała na cokole

z marmuru z Tennessee. Był to pierwszy posąg jeźdźca odlany w Ameryce. Otaczało go niskie ogrodzenie z kutego żelaza oraz kilka zabytkowych armat, w czterech kątach niewielkiego placyku stały pomniki czterech cudzoziemskich bohaterów wojny o niepodległość.

Na północ od Jacksona rosły różnobarwne kwiaty oraz duże, niedawno posadzone drzewo. Otaczały je tyczki podtrzymujące szeroką taśmę ostrzegawczą, ponieważ nie zdążono jeszcze zasypać dziury głębokiej na ponad dwa metry i szerszej co najmniej o metr od średnicy bryły korzeniowej. Ziemia wydobyta z wykopu piętrzyła się na rozłożonych na trawnikach niebieskich płachtach.

Wzrok Stone'a powędrował ku okolicznym pagórkom, na których, o czym dobrze wiedział, rozlokowano snajperów. Nie mógł dostrzec żadnego, był jednak pewien, że co najmniej kilku z nich ma w tej chwili jego głowę na skrzyżowaniu czarnych nitek celowników teleskopowych. Oby nikomu nie drgnął palec, panowie. Wolałbym, żeby mój mózg został na swoim miejscu.

Oficjalna kolacja w Białym Domu dobiegała końca, objedzone po dziurki w nosach VIP-y opuszczały „Dom Ludu”. Jednym z gości był premier Wielkiej Brytanii. Kolumna czekających na niego samochodów miała go zawieźć do Blair House, rezydencji dla ważnych gości w zachodniej części parku. Można było się tam swobodnie dostać spacerem, ale Stone podejrzewał, że szefowie rządów nigdy i nigdzie już nie spacerowali. Świat zmienił się także dla nich.

Odwróciwszy głowę, zobaczył kobietę siedzącą na ławce w pobliżu owalnej fontanny we wschodniej części parku, w połowie drogi między pomnikami Jacksona i generała Tadeusza Kościuszki, który pomógł młodym angielskim koloniom wyzwolić się spod brytyjskiego panowania. Uwagi Stone'a nie uszła ironia losu, która sprawiła, że szef rządu tej samej monarchii mógł teraz patrzeć z okna rezydencji na ten właśnie pomnik. Kobieta miała na sobie czarne spodnie i cienki biały płaszcz. Obok niej na ławce stała duża torba. Kobieta wydawała się drzemać.

Dziwne, pomyślał Stone. Ludzie raczej nie ucinają sobie drzemek wieczorem w parku Lafayette'a.

Oprócz niej w parku byli także inni ludzie. Spoglądając w kierunku drzew w północno-zachodniej części parku, Stone dostrzegł mężczyznę w garniturze, z teczką w ręce.

Stał odwrócony tyłem do Stone'a i przyglądał się posągowi niemieckiego oficera Friedricha Wilhelma von Steubena, który również, ponad dwieście lat temu, pomógł kolonistom skopać tyłek szalonego króla Jerzego. Chwilę później do parku od północnej strony, czyli tam gdzie wznosił się kościół św. Jana, wszedł jeszcze jeden człowiek: niski mężczyzna z wydatnym brzuchem. Ubrany był w strój do joggingu, choć wyglądał na kogoś, kogo nawet nieco szybszy marsz może przyprawić o natychmiastowy zawał serca. Do paska na opasłym brzuchu miał przyczepione coś, co z daleka przypominało iPoda, a na uszach miał słuchawki.

W parku był jeszcze jeden człowiek. W zbyt obszernych dżinsach, obcisłym podkoszulku, wojskowej kurtce, gładkich i w czarnej bandanie na głowie wyglądał na członka ulicznego gangu. Wolnym krokiem szedł Pennsylvania Avenue przez środek parku. To także było zastanawiające, ponieważ ze względu na częste patrole policji tacy jak on prawie nigdy nie zapuszczali się w te rejony. Tego wieczoru z oczywistego powodu patroli było jeszcze więcej. Oficjalne kolacje z udziałem ważnych zagranicznych gości sprawiały, że wzrok strażników się wyostrzał, palce szybciej naciskały spust, popularność zyskiwało przekonanie, że najpierw należy strzelać, a dopiero potem zadawać pytania. Gdyby coś się stało komuś z gości, nie pomogłyby żadne usprawiedliwienia. Poleciałyby głowy, trzeba by było pożegnać się z wysokimi emeryturami. Ale Stone nie przyszedł tu po to, żeby myśleć o takich sprawach, tylko po to, by ostatni raz popatrzeć na park Lafayette'a. Za dwa dni miał wyjechać na miesięczne szkolenie, a następnie do Meksyku. Zdecydował już, że nie powie o niczym przyjacielom, członkom Klubu Wielbłądów. Gdyby powiedział, mogliby domyślić się prawdy, a z tego raczej nie wynikłoby nic dobrego. Oni, w przeciwieństwie do niego, nie zasługiwali na to, żeby ich poświęcić.

Wciągnął głęboko powietrze i rozejrzał się dokoła. Uśmiechnął się na widok miłorzębu w pobliżu pomnika Jacksona, po przeciwnej stronie pomnika niż dopiero co posadzony klon. Kiedy przyszedł do

parku po raz pierwszy, była jesień i liście miłorzębu miały jaskrawożółty kolor. Wyglądało to przepięknie. Miłorzęby rosły w całym mieście, ale w tym parku tylko ten jeden. Drzewa te dożywały tysiąca i więcej lat. Zastanawiał się, jak to miejsce będzie wyglądało za dziesięć wieków. Czy miłorzęb wciąż tu będzie? A wielki biały budynek po drugiej stronie alei?

Odwracał się właśnie, by po raz ostatni opuścić to miejsce, kiedy jego uwagę zwrócił przybliżający się odgłos.

4.

Był to warkot potężnych silników, któremu towarzyszyło migotanie kolorowych świateł i zawrodożenie syren. Kawalkada pojazdów brytyjskiego premiera ruszyła sprzed zachodniego skrzydła Białego Domu, kierując się w stronę Blair House. Rezydencja, w rzeczywistości składająca się z trzech połączonych kamienic, była ogromna; powierzchnią przewyższała Biały Dom i stała tuż na zachód od parku, frontem do Pennsylvania Avenue, naprzeciwko wielkiego budynku Starej Administracji, gdzie urzędowała część sztabowców prezydenta i wiceprezydenta. Stone zdziwił się, że przed przejazdem kolumny pojazdów Secret Service nie oczyściła terenu.

Rozejrzał się ponownie. Kobieta już nie drzemała, tylko rozmawiała przez komórkę.

Mężczyzna w garniturze wciąż stał przed pomnikiem von Steubena, zwrócony plecami do Stone'a. Biegacz zbliżał się do pomnika Jacksona, a młody człowiek w głanach jeszcze nie dotarł do końca parku, choć przecież nie był on szczególnie duży. Było to co najmniej zastanawiające. Coś wisiało w powietrzu.

Postanowił skierować się najpierw na zachód. Chociaż nie był już demonstrantem, przyszedł tu po to, aby znaleźć się ponownie w miejscu, w którym kiedyś stawiał czoło wszelkim zagrożeniom. Teraz co prawda nie czuł się bezpośrednio zagrożony, ale podejrzewał, że już niedługo sytuacja może ulec diametralnej zmianie.

Biegacza miał teraz na ukos przed sobą, niemal dokładnie po drugiej stronie parku.

Grubas zatrzymał się i majstrował przy iPodzie. Stone szybko przeniósł wzrok na kobietę na ławce. Właśnie odkładała komórkę.

Stone znalazł się w pobliżu pomnika francuskiego generała Comte de Rochambeau w południowo-zachodnim narożniku parku. Na skrzyżowaniu Jackson Place i Pennsylvania Avenue ochroniarze

w kamizelkach kuloodpornych i z pistoletami maszynowymi w dłoniach czekali na przyjazd premiera. Chwilę potem Stone znalazł się dokładnie naprzeciwko glaniarza. Mężczyzna poruszał się tak, jakby stąpał po lotnych piaskach: szedł, prawie nie posuwając się naprzód. Pod kurtką miał pistolet. Mimo zmroku Stone bez trudu dostrzegł charakterystyczne wybrzuszenie. Świadczyło to o nieliczej odwadze; pojawiając się z bronią w tym miejscu, należało liczyć się z nerwową reakcją jednego z rozlokowanych na dachach snajperów, co oznaczało, że po pogrzebie rodzina mogła otrzymać list z przeprosinami od Secret Service. Dlaczego więc ten człowiek ryzykował życie?

Stone błyskawicznie ocenił szanse na oddanie celnego strzału z miejsca, w których w tej chwili znajdował się glaniarz, w kierunku wejścia do Blair House. Były zerowe, chyba że strzelec dysponował pociskami niepoddającymi się prawu grawitacji, którymi na dodatek mógł razić zza węgła.

Stone przeniósł wzrok na mężczyznę w garniturze, w północno-zachodnim zakątku parku. Wciąż przyglądał się pomnikowi, choć w zupełności wystarczyłaby na to minuta, może półtorej. Poza tym kto przychodziłby tu po to akurat o tej porze? Stone uważnie przyjrzał się miękkiej teczce, którą tamten trzymał w ręce. Odległość była spora, ale wyglądało na to, że zmieściłaby się tam niewielka bomba. Tyle że odległość między premierem a potencjalnym zamachowcem z góry skazywała na niepowodzenie każdą próbę zamachu.

Kawalkada zbliżała się West Executive Avenue do Pennsylvania Avenue. Migająca kolorowymi światłami i zawodząca syrenami kolumna opancerzonych wozów miała kilkadziesiąt metrów długości. Niebawem miała skrócić w lewo, a następnie zatrzymać się przy krawężniku przed słynną zieloną markizą ocieniającą wejście do Blair House.

Kątem oka Stone dostrzegł jakieś poruszenie po prawej stronie. Biegacz znowu ruszył.

Stone nie był pewien, ale odniósł wrażenie, że grubas nie spuszcza wzroku z mężczyzny w garniturze. Stone przeniósł uwagę na kobietę. Wstała z ławki, zarzuciła torebkę na ramię i poszła w

stronę kościoła św. Jana w północnej części parku. Była wysoka i dobrze ubrana.

Ocenił jej wiek na trzydzieści kilka lat, choć z powodu słabego oświetlenia, odległości i dzielących ich licznych drzew nawet przez chwilę nie widział wyraźnie jej twarzy.

Obejrzał się na tego w garniturze. Mężczyzna również wreszcie ruszył z miejsca, kierując się ku Decatur House Museum. Szybkie spojrzenie rzucone na glaniarza pozwoliło Stone'owi stwierdzić, że ten z kolei zamarł w bezruchu z dłonią ukrytą za pazuchą kurtki.

Kawalkada skręciła w Pennsylvania Avenue i zatrzymała się przed Blair House.

Drzwi pierwszej limuzyny otworzyły się niemal natychmiast. Z oczywistych powodów starano się, żeby wsiadanie i wysiadanie zajmowało jak najmniej czasu. Im krócej obiekt przebywał bez ochrony pancerza i szyb kuloodpornych, tym mniejsza była groźba zamachu.

Tego wieczoru jednak wszystko odbywało się jak na zwolnionym filmie.

Krępy, elegancko ubrany premier niespiesznie wysiadł z samochodu, po czym z pomocą dwóch asystentów powoli pokuśtykał po schodkach pod zieloną markizą. Miał zabandażowaną lewą kostkę. Mnóstwo oczu wypatrywało najmniejszych oznak zagrożenia.

Wśród ochroniarzy znajdowali się także agenci brytyjskich tajnych służb, ale ciężar odpowiedzialności, jak zwykle przy takich wizytach, spoczywał głównie na barkach Secret Service.

Ze swojego punktu obserwacyjnego Stone nie mógł widzieć brytyjskiego premiera wysiadającego z limuzyny, w związku z czym skoncentrował uwagę na parku. Biegacz dotarł niemal dokładnie do środka, kobieta już prawie wyszła poza jego obręb, człowiek w garniturze szedł chodnikiem naprzeciwko wylotu H Street.

Pięć sekund później padł pierwszy strzał.

Ołowiany pocisk wzbił w powietrze mały gejzer ziemi i trawy niewiele ponad metr na lewo od Stone'a. Chwilę potem padły kolejne; pociski grzęzły w ziemi, przeorywały klomby, rykoszetowały od posągów. Stone miał wrażenie, że czas niemal

stanął w miejscu. Padł płasko na ziemię, jednocześnie tocząc dokoła wzrokiem. Człowiek w garniturze i kobieta znikli z jego pola widzenia. Glaniarz, tak samo jak on, przywarł do ziemi, a nieszczęsny grubas pędził ile sił w nogach, żeby ujść z życiem. Parę sekund później on także znikł Stone'owi z oczu.

Strzelanina ucichła. Zapadła całkowita cisza. Stone powoli wstał. Nie był spięty, wręcz przeciwnie – całkowicie rozluźniony. Być może właśnie dzięki temu przeżył.

Nastąpiła eksplozja. Centralną część parku Lafayette'a spowił gęsty dym, w powietrzu latały śmiercionośne szczątki. Ogromna figura Jacksona runęła na ziemię, marmurowy cokół pękł na pół. Trwająca ponad sto pięćdziesiąt lat dominacja posągu nad parkiem dobiegła końca. Potężny podmuch powietrza cisnął Stone'em o coś twardego. Silne uderzenie w głowę zamroczyło go, przez ułamek sekundy czuł, jak spadają na niego rozmaite odłamki.

Rozpaczliwie wciągnął powietrze i jego płuca wypełniły dym, kurz oraz mdlący smród materiału wybuchowego. Gdy tylko odgłos eksplozji ucichł, rozległy się krzyki, wycie syren i pisk opon. Oliver Stone nic jednak nie słyszał ani niczego nie widział. Leżał nieruchomo twarzą do ziemi, z zamkniętymi oczami.

5.

– Oliver...

Stone poczuł woń środków dezynfekcyjnych i opatrunkowych i domyślił się, że jest w szpitalu. Było to o niebo lepsze miejsce od kostnicy. Uniósł powieki i zobaczył twarz.

– Annabelle?

Annabelle Conroy, szczupła, wysoka, z długimi rudawymi włosami, nieoficjalna członkini Klubu Wielbłądów i jedyna w nim artystyczna dusza, ścisnęła jego dłoń.

– Czy musisz wciąż dawać wysadzać się w powietrze? Jej ton był żartobliwy, ale mina poważna. Wolną ręką odgarnęła włosy z twarzy, odsłaniając opuchnięte oczy. Nieczęsto płakała, lecz tym razem najwyraźniej uroniła kilka łez nad jego losem.

Dotknął bandaża na głowie.

– Jakież pęknięcie?

– Nie. Tylko lekkie wstrząśnienie mózgu.

Stone rozejrzał się i stwierdził, że wokół jego łóżka zebrał się spory tłum: potężny Reuben Rhodes, maleńki bibliotekarz Caleb Shaw, wysoki agent Secret Service Alex Ford mający zatroskaną minę, nieco dalej Harry Finn.

– Kiedy dowiedziałem się o wybuchu bomby w parku, od razu się domyśliłem, że tam jesteś – powiedział Finn.

Stone ostrożnie usiadł.

– Co się właściwie stało?

– Jeszcze dokładnie nie wiadomo – odparł Alex. – Najpierw strzały, zaraz potem eksplozja.

– Ktoś ranny? Co z premierem?

– Zdążył wejść do Blair House przed wybuchem.

– To spore szczęście, że przy takiej strzelaninie nikt nie oberwał...

– Ja nazwałbym to raczej cudem.

– Jakież teorie? – zapytał Stone, patrząc na Alexa.

– Jeszcze nie. Obstawili park tak szczelnie jak nigdy. Mysz się nie prześliznęła.

– Ale chodziło o premiera?

Agent Secret Service skinął głową.

– Bez wątpienia on był celem.

– Jeśli tak, to kiepsko to zaplanowali – zauważył Reuben. – I strzelanina, i eksplozja miały miejsce w parku, w którym go nie było.

Stone ponownie spojrział na Alexa.

– Co ty na to?

Z każdym wypowiedzianym słowem ból głowy przybierał na sile. Trzydzieści lat temu pewnie nie zwróciłby na to uwagi.

– Jak już powiedziałem, jest jeszcze za wcześnie na snucie teorii, ale to rzeczywiście zastanawiająca sprawa. No i ogólnie niezbyt udany dzień dla premiera.

– To znaczy?

– Wcześniej skręcił nogę w kostce. Dlatego ledwo kuśtykał.

– To pewna informacja?

– Jeszcze przed rozpoczęciem kolacji potknął się na jakichś schodkach w Białym Domu. Trochę wstyd, ale na szczęście nie było przy tym żadnych kamer.

– Co właściwie robiłeś wczoraj wieczorem w tym parku? – spytała Annabelle. – Myślałam, że jesteś jeszcze w Divine z Abby.

Stone spojrział w okno i zobaczył, że jest już ranek.

– Wróciłem – powiedział po prostu. – A Abby została.

– Aha...

W głosie Annabelle wyraźnie zabrzmiał zawód, ona sama jednak sprawiała wrażenie zadowolonej.

Stone ponownie odwrócił się do Alexa.

– W parku oprócz mnie było wczoraj czworo ludzi. Co się z nimi stało?

Alex rozejrzał się po pokoju, po czym odchrząknął i odparł: – Nie mamy pewności.

– Czyli nie wiecie czy nie możecie nam powiedzieć?

Annabelle spiorunowała wzrokiem agenta Secret Service.

– Alex! Przecież Oliver mało tam nie zginął!

Alex westchnął. Zawsze miał problemy z pogodzeniem konieczności zachowania tajemnicy z ciągłymi żądaniem członków Klubu dotyczącymi ujawnienia najbardziej tajnych informacji.

– Trwa przeglądanie zapisu z kamer i przesłuchiwanie świadków. Dopiero gdy to skończymy, będziemy mieli pełen obraz.

– Ale co z tamtą czwórką?

– Jaką czwórką?

– Trzema mężczyznami i kobietą.

– Nic o nich nie wiem – przyznał Alex.

– W którym dokładnie miejscu nastąpiła eksplozja? Nie mogłem się zorientować.

– Mniej więcej pośrodku parku. W pobliżu pomnika Jacksona. Jego fragmenty zostały rozrzucone po całym parku.

– A więc zniszczenia są spore?

– Mniejsze lub większe ślady są wszędzie, ale największe szkody powstały w promieniu sześciu-siedmiu metrów od miejsca wybuchu. To musiał być silny ładunek.

– Kiedy zaczęła się strzelanina, mniej więcej w tym rejonie widziałem otyłego mężczyznę w dresie. – Stone zmarszczył brwi i wyteżył pamięć. – Obserwowałem go. Uciekał ile sił w nogach przed ostrzałem, a potem zniknął. To by oznaczało, że znalazł się w epicentrum wybuchu.

Wszyscy spojrzeli na Alexa, który zrobił zakłopotaną minę.

– Alex? – ponagliła go Annabelle groźnym tonem.

– Wszystko wskazuje na to, że gość wpadł w dziurę, do której wsadzono nowe drzewo.

Eksplozja nastąpiła w tym miejscu albo gdzieś w pobliżu, ale nie mamy jeszcze pewności.

– Wiadomo już, kim był? – zapytał Caleb.

– Jeszcze nie.

– Pochodzenie bomby?

– Nieznane.

– Skąd padały strzały?

– Nie wiemy.

– Uderzyłem w coś, padając. Ktoś mnie obserwował.

– Możliwe.

– Pielęgniarka powiedziała mi, że wyciągnęli ci z głowy czyjś ząb – odezwała się Annabelle.

– Ząb? Więc po wybuchu wpadłem na tego człowieka?

Kobieta skinęła głową.

– Prawdopodobnie. Teraz jest szczerbaty.

– Oglądałeś już nagrania wideo? – zwrócił się Stone do Alexa.

– Nie. Oficjalnie nie biorę udziału w dochodzeniu i dlatego nie na wszystkie pytania potrafię wam odpowiedzieć. Zajmowałem się ochroną, co oznacza, że moje jaja razem z jajami paru innych gości właśnie dostały się w paskudne imadło.

– Secret Service dostaje bęcki, co? – zauważył Reuben.

– Mniej więcej. To poważna sprawa.

– Zdziwiłem się, że w ogóle pozwolono ludziom wchodzić do parku pomimo oficjalnej kolacji i obecności brytyjskiego premiera w Blair House – odezwał się Stone. – O kolacji czytałem w gazetach, ale wydawało mi się, że premier ma się zatrzymać w ambasadzie, jak zwykle.

– W ostatniej chwili nastąpiła zmiana planów. Ustalili z prezydentem, że spotkają się z samego rana, więc żeby było prościej, premier postanowił zatrzymać się w Blair House. Nie podano tego do publicznej wiadomości, więc skąd wiedziałeś, gdzie będzie nocował?

– W drodze do parku minąłem kolumnę samochodów. Na przedzie był tylko jeden motocyklista, co znaczyło, że nie jadą daleko. Szef policji stara się rozsądnie gospodarować zasobami ludzkimi i nigdy nie posyła więcej funkcjonariuszy niż trzeba. Przed i wokół Blair House roiło się od uzbrojonej ochrony, co znaczyło, że spodziewają się kogoś z najwyższej półki.

– A skąd właściwie ty się tam wzięłeś o tej porze? – zainteresowała się Annabelle.

– Chciałem trochę powspominać – odparł, po czym znowu zwrócił się do Alexa: – No więc, skąd to rozluźnienie procedur?

– Nie było żadnego rozluźnienia procedur. Park jest ogólnie dostępny, i tyle.

– Nie wtedy, kiedy w grę wchodzi bezpieczeństwo. Ja chyba wiem o tym najlepiej.

– Robię, co mi każą, Oliver.

– W porządku. – Stone popatrzył po twarzach otaczających go ludzi. – Mogę już stąd pójść?

– Tak, możesz – odpowiedział czyjś głos. – Ale z nami.

Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi i spojrzeli na dwóch mężczyzn w garniturach.

Jeden był po pięćdziesiątce, zwalisty, z bronią pod marynarką. Drugi mógł mieć trzydzieści kilka lat, był szczupły, niezbyt wysoki, ostrzyżony na jeża i ponad wszelką wątpliwość także uzbrojony.

– I to zaraz – dodał starszy mężczyzna.

6.

– Tylko nie to... – mruknął Stone pod nosem, kiedy wioząca go czarna limuzyna wjechała na przypominający uniwersytecki kampus teren Narodowego Centrum Wywiadu¹ w północnej Wirginii. Minęli zadbane – za pieniądze podatników – skwer, po czym skierowali się w stronę głównego, niskiego budynku, z którego dowodzone przez Stany Zjednoczone. Na ścianie w holu wejściowym wisiały fotografie wykonane po atakach terrorystycznych wymierzonych w Stany Zjednoczone. Na końcu znajdowała się tabliczka z napisem NIGDY WIĘCEJ. Ścianę vis-à-

vis zdobiły portrety ludzi stojących na czele agencji. Nie było ich wiele, ponieważ instytucję tę powołano do życia po 11 września 2001 roku. Spośród dotychczasowych dyrektorów najbardziej znany był Carter Gray, funkcjonariusz publiczny, który w trakcie swej kariery piastował wiele wysokich stanowisk w administracji państwowej. Wydawało się, jakby śledził wzrokiem Stone'a i towarzyszących mu mężczyzn. Wiele lat temu, kiedy Stone nazywał się John Carr, służył pod jego rozkazami. Carr, najsprawniejszy zabójca w kraju, wykorzystywał swoją odwagę i swój spryt, aby jak najlepiej służyć ojczyźnie. W nagrodę ci, którym tak wiernie służył, zniszczyli wszystkich, których kochał i na których kiedykolwiek mu zależało. Między innymi dlatego Stone wysłał Graya na tamten świat. Istniały jeszcze inne powody, ale nawet ten jeden by wystarczył.

Mam nadzieję, że smażysz się w piekle, pomyślał Stone, kiedy zamknęły się za nim drzwi. Kiedyś się tam spotkamy.

Pięć minut później siedział w pozbawionym okien pokoju przy niewielkim drewnianym stole. Rozglądając się dokoła, starał się oddychać spokojnie i miarowo i nie myśleć o bolącej głowie. Bez wątplenia znajdował się w pokoju przesłuchań.

¹ National Intelligence Center.

I właśnie na przesłuchanie go tu przyprowadzono.

Nagle światło zgasło i na jednej ze ścian pojawił się obraz z zainstalowanego pod sufitem rzutnika. Mężczyzna siedział w wyściełanym fotelu za biurkiem o błyszczącym blacie. Sądząc po tym, co było widać za nim i wokół niego, znajdował się na pokładzie prywatnego odrzutowca. Miał około pięćdziesięciu lat, krótko ostrzyżone włosy i bystre zielone oczy, był opalony.

– Nie zasługuję na spotkanie twarzą w twarz? – zapytał Stone, zanim tamten zdążył się odezwać.

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

– Obawiam się, że nie, ale za to możesz rozmawiać ze mną.

Był to nowy dyrektor NIC, Riley Weaver, następca zmarłego Cartera Graya. Stał przed nie lada wyzwaniem, ale w kręgach rządowych panowało przekonanie, że Weaver stopniowo coraz bardziej panuje nad sytuacją. Nikt jednak jeszcze nie wiedział, czy to dobrze dla kraju, czy raczej wręcz przeciwnie.

Na dźwięk głosu Weavera otworzyły się drzwi, do pokoju weszli dwaj mężczyźni i oparli się o ścianę za plecami Stone'a. Nie lubił mieć za plecami uzbrojonych ludzi, ale chwilowo nic nie mógł na to poradzić. Przyjechał na obcy teren i musiał podporządkować się obowiązującym tu regułom gry.

– Zdaj raport – polecił lakonicznie Weaver.

– Dlaczego?

Uśmiech znikł z twarzy dyrektora.

– Ponieważ o to poprosiłem. Uprzejmie.

– Czy ja dla pana pracuję? Jakoś nie mogę sobie przypomnieć.

– Po prostu spełnij swój obywatelski obowiązek.

Stone nie odpowiedział. Milczenie przeciągało się, aż wreszcie przerwał je Weaver: – Rozumiem, że masz wiatr od rufy i otwarte morze przed sobą?

Stone przypomniał sobie, że Weaver służył w marines, a korpus marines wchodził w skład marynarki wojennej. Ta morska alegoria świadczyła o tym, że dyrektor NIC jest bardziej wtajemniczony, niż Stone przypuszczał, ponieważ „wiatr od rufy i otwarte morze”, czyli doskonałe warunki do żeglugi, stanowiły aluzję do prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Czy jednak Weaver wiedział o niedawnym spotkaniu Stone'a z głową państwa? I o tym, że miał się udać do Meksyku, żeby zrobić porządek z Rosjanami? Jeśli nie, to Stone nie miał najmniejszego zamiaru go oświecać.

– W porządku – odparł Stone. – Obywatelski obowiązek. Ale to działa w obie strony.

Weaver odchylił się do tyłu w fotelu. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nawet jeśli początkowo nie docenił rozmówcy, to szybko naprawił swój błąd.

– Zgoda.

Stone zwięźle zrelacjonował wydarzenia w parku Lafayette'a.

– Dobrze – powiedział Weaver. – A teraz spójrz w lewo i patrz uważnie.

7.

Chwilę później Stone oglądał nagranie wideo zarejestrowane minionego wieczoru w parku Lafayette'a. Odtwarzano je w zwolnionym tempie, żeby miał czas przyjrzeć się wszystkim szczegółom. W chwili gdy zaczęła się strzelanina, ludzie rozbiegli się we wszystkie strony, ochroniarze zajęli pozycje i wypatrywali miejsca, z którego padły strzały.

Otyły mężczyzna w dresie biegł w sposób charakterystyczny dla człowieka zupełnie nieprzyzwyczajonego do wysiłku fizycznego. Zerwał żółtą taśmę ostrzegawczą i chwilę potem wpadł – albo wskoczył – do dołu, w którym zasadzono klon. Teraz stało się jasne, dlaczego tak nagle zniknął Stone'owi z oczu. Niezasypany dół doskonale nadawał się na kryjówkę przed pociskami.

Zaraz potem nastąpiła eksplozja. Stone patrzył, jak siła podmuchu porywa go i ciska nim na glaniarza. Obaj runęli na ziemię. Ząb w jego głowie. Odruchowo dotknął opatrunku.

Sekundę później obraz zamarł i zniknął. Wybuch najwyraźniej uszkodził także kamerę albo przerwał nadawanie sygnału. Stone znowu miał przed sobą pustą ścianę.

– Jakież uwagi? – zapytał Weaver.

– Puście to jeszcze raz – zażądał Stone.

Obejrzał nagranie jeszcze dwa razy, analizując zarejestrowane przez kamerę wydarzenia. Eksplozja nastąpiła zaraz po tym, jak biegacz wpadł do dołu.

– Miał bombę przy sobie?

– Jeszcze nie wiemy. Eksplozja mogła nastąpić w tym dole.

Nie bardzo chciało mu się w to wierzyć.

– Czy w tym miejscu pod ziemią biegną przewody gazowe?

– Nie.

– W takim razie sugeruje pan, że w parku Lafayette'a podłożono bombę?

Twarz Weavera spochmurniała jeszcze bardziej.

– Następstwa byłyby porażające, ale nie możemy wykluczyć takiej możliwości.

– Czyli ten facet miałby wskoczyć do dziury, żeby ukryć się przed pociskami, tylko po to, żeby dać się rozerwać na strzępy ukrytej tam bombie?

– Oznaczałoby to, że miał cholernego pecha.

– Kto teraz jest na miejscu?

– ATF i FBI.

Stone'a wcale to nie zdziwiło. ATF prowadziło wszystkie śledztwa w sprawach związanych z użyciem materiałów wybuchowych aż do chwili, kiedy udało się udowodnić, że któraś z nich jest zamachem terrorystycznym. Wówczas pałeczkę przejmowało FBI. Należało przypuszczać, że detonacja bomby w pobliżu Białego Domu prędzej czy później zostanie uznana za akt międzynarodowego terroryzmu, co oznaczało, że śledztwo trafi w ręce FBI. O ile już to nie nastąpiło.

– Zostawmy na razie wybuch w spokoju – powiedział. – Czy wiemy już, skąd padły strzały? Sądząc po nagraniu, strzelano z północnej części parku, z okolic H Street albo z miejsca położonego jeszcze dalej.

– Rzeczywiście, takie przyjęto wstępne założenie.

– Czyli linia strzałów biegła z północy na południe. Na nagraniu nie widać żadnego błysku, co oznacza, że strzelec albo strzelcy znajdowali się poza polem widzenia kamery.

– Za drzewami – stwierdził Weaver. – W północnej części parku jest ich mnóstwo.

Kamery monitoringu są instalowane w taki sposób, żeby śledzić to, co się dzieje na ziemi, więc gdyby strzelcy usadowili się gdzieś wyżej, i tak nie byłoby ich widać.

– To pewne, że zajęli stanowiska sporo nad poziomem gruntu.

– Skąd wiesz?

Ton, jakim Weaver zadał pytanie, świadczył o tym, że dyrektor zna odpowiedź, lecz mimo to Stone postanowił odpowiedzieć.

– Gdyby strzelano z za drzew równoległe do powierzchni ziemi, pociski niemal na pewno przeleciałyby nad Pennsylvania Avenue i dotarły do Białego Domu.

– Skąd wiesz, że tak się nie stało?

– Bo już by mi pan o tym powiedział albo usłyszałbym o większej liczbie ofiar. W okolicach Białego Domu zawsze kręci się mnóstwo ludzi. Z pewnością ktoś zostałby ranny. A więc na pewno strzelano z podwyższenia. To się zgadza z tym, co widziałem: wszystkie pociski trafiały ukosem w ziemię. Skoro musiały przedrzeć się przez liście, to zostały wystrzelone z poziomu koron drzew albo z jeszcze większej wysokości. Niektóre z tych drzew są naprawdę duże. Czy ktoś w północnej części parku widział coś, co mogłoby się przydać?

– Była tam ochrona, strażnicy parkowi, kilku agentów Secret Service z psami tropiącymi... Wszyscy zostali już przesłuchani, ale nie mieli wiele do powiedzenia.

Stone skinął głową.

– Dlaczego parku nie zamknięto wczoraj dla spacerowiczów?

Weaver skrzywił się, jakby to pytanie sprawiło mu osobistą przykrość.

– Interesują mnie twoje uwagi po obejrzeniu materiału filmowego.

– Zanim się nimi podzielę, chciałbym uzyskać szerszy obraz sytuacji.

Weaver opuścił wzrok na leżącą przed nim na biurku teczkę.

– John Carr?

Stone w milczeniu patrzył na obraz z rzutnika.

– John Carr – powtórzył Weaver. – Twojateczka jest tak utajniona, że nawet ja nie widziałem jej w całości.

– Cóż, czasem nawet rząd potrafi zachować godną pochwały dyskrecję – zauważył Stone. – Ale mam wrażenie, że teraz rozmawiamy o strzałach w parku i środkach bezpieczeństwa, jakie tam przedsięwzięto, a raczej o ich braku.

– Wciąż staramy się ustalić, skąd padły strzały, a park zabezpieczała Secret Service.

Nie dostałem jeszcze od nich żadnych informacji.

– Oczywiście, że pan dostał.

Weaver spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Bezpieczeństwo prezydenta ma absolutny priorytet, w związku z czym Secret Service pełni funkcję nadrzędną wobec innych agencji. Strzelanina i eksplozja w pobliżu Białego Domu nastąpiły jakieś piętnaście godzin temu. Codziennie o siódmej rano przedstawia pan prezydentowi raport na temat stanu bezpieczeństwa narodowego. Gdyby wcześniej nie otrzymał pan informacji z Secret Service, nie mógłby pan złożyć prezydentowi raportu, a gdyby nie złożył pan prezydentowi raportu o ataku, który nastąpił prawie pod jego oknami, nie byłby pan już dyrektorem NIC.

Lekkie drganie prawej powieki Weavera świadczyło o tym, że rozmowa wymyka mu się spod kontroli. Dwaj podpierający ścianę mężczyźni przestąpili niepewnie z nogi na nogę.

– Secret Service twierdzi, że zamierzali zamknąć park, ale zmienili plan, uznając, że skoro premier jedzie tylko do Blair House, to od strony parku nie grozi mu większe niebezpieczeństwo i wystarczy mieć teren pod obserwacją. Czy zaspokoilem twoją ciekawość?

– Tak, ale natychmiast nasunęło mi się kolejne pytanie.

Weaver czekał w milczeniu.

– Jaki konkretnie plan uległ zmianie?

W odpowiedzi otrzymał jedynie twarde, przeciągłe spojrzenie.

– A teraz oczekuję, że podzielisz się ze mną swoimi pozostałymi obserwacjami. O ile je masz, rzecz jasna.

Stone przez jakiś czas przyglądał się rozmówcy, starając się odczytać intencje ukryte za szorstkimi słowami. Mógł rozegrać sytuację na wiele sposobów. Czasem należało być twardym, czasem nie.

– W parku było zbyt wielu ludzi robiących rzeczy, których raczej nie robi się w takim miejscu i o takiej porze.

Dyrektor usiadł głębiej w fotelu.

– Mów dalej.

– Wielokrotnie bywałem w parku Lafayette’a. O jedenastej w nocy zwykle można tam spotkać wyłącznie strażników. Wczoraj było tam czworo ludzi, których nie powinno być.

Glaniarz, facet w garniturze, kobieta na ławce i grubas.

– Mogli się tam znaleźć z tysiąca najzupełniej nieszkodliwych powodów. Był ciepły wieczór, a to przecież jest park.

Stone pokręcił głową.

– Park Lafayette’a to nie miejsce, do którego przychodzi się wieczorem na spacer albo żeby posiedzieć na ławce. Secret Service nie lubi, kiedy ktoś tam się kręci. Sami to panu powiedzą.

– Już nawet powiedzieli – przyznał Weaver. – Co więc myślisz?

– Głaniarz miał broń. Zauważyłem to gołym okiem, więc nasi snajperzy tym bardziej powinni to dostrzec i przekazać informację ludziom na dole. Faceta należało unieszkodliwić sekundę po tym, jak postawił stopę w strefie czerwonej. Jednak tak się nie stało.

Weaver skinął głową.

– Mów dalej.

– Kobieta była starannie ubrana. Może urzędniczka? Miała torebkę. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego o tej porze siedziała na ławce w parku. Rozmawiała przez telefon, wstała na krótko przed tym, jak kolumna samochodów zajechała przed rezydencją. Dzięki temu uniknęła strzelaniny.

– Mów dalej – powtórzył Weaver.

– Ten w garniturze wyjątkowo długo podziwiał pomnik, po czym ruszył w kierunku Decatur House, dokładnie w tym samym czasie, kiedy kobieta wstała z ławki. W chwili wybuchu strzelaniny już ich nie widziałem. Zobaczyłem natomiast grubasa, który biegł w kierunku pomnika Jacksona. Nagle znikł mi z oczu, ale teraz już wiem, że po prostu wskoczył do dołu, żeby ukryć się przed kulami.

– Co nie na wiele się zdało, bo chwilę potem wyleciał w powietrze – uzupełnił Weaver.

– Co nie oznacza, że któraś z pozostałych osób, które były wczoraj wieczorem w parku, nie miała czegoś wspólnego z zamachem.

Dyrektor pokręcił głową.

– To naciągana hipoteza. Najpierw ostrzał z broni automatycznej, a zaraz potem eksplozja ładunku, który został tam umieszczony znacznie wcześniej, a który przypadkowo zdetonował pechowiec usiłujący schować się przed kulami. W gruncie rzeczy wyświadczył nam przysługę, bo bomba wybuchła, nie czyniąc poważniejszych szkód. Teraz musimy ustalić, kto stoi za strzelaniną i wybuchem. –

Weaver przez chwilę przyglądał się Stone'owi. – Chciałbyś może coś dodać? Szczerze mówiąc, jestem nieco rozczarowany, że tak niewiele miałeś mi do powiedzenia. Liczyłem na coś ekstra, a dostałem to, do czego wcześniej sam doszedłem.

– Nie wiedziałem, że mam odwalać za pana robotę – odparł Stone. – Ale skoro tak panu zależy, mogę jeszcze coś dorzucić. Glaniarz był gliną, zgadza się?

Lampa projektora zgasła.

8.

Bez instrukcji z jego strony odwieziono go na cmentarz Mt. Zion. Doskonale zdawał sobie sprawę, że było to głęboko przemyślane działanie. Chciano mu w ten sposób powiedzieć: „Wiemy, gdzie cię szukać. W każdej chwili możemy znowu się po ciebie zjawić”.

Stone minął bramę z kutego żelaza i wszedł do małego domku dozorczy, w którym mieszkał. Wyposażenie było spartańskie, z drugiej ręki, doskonale odzwierciedlające osobowość i ograniczone możliwości finansowe Stone'a. Z ciasnego saloniku udało się wykroić mikroskopijną kuchnię. Przy jednej ścianie stał regał uginający się pod ciężarem różnojęzycznych książek o ezoteryce, które zbierał od wielu lat. Tuż obok znalazło się miejsce na obdrapane biurko należące do oryginalnego wyposażenia domku. Przed okopconym ceglany kominkiem stało kilka sfatygowanych krzeseł, a za obszarpaną kotarą stało wojskowe rozkładane łóżko, w którym sypiał. Obrazu całości dopełniała maleńka łazienka.

Stone zażył trzy advile, popił szklanką wody, usiadł w fotelu za biurkiem i podrapał się po głowie. Nie miał pojęcia, czy jego wyjazd do Meksyku jest wciąż aktualny; postanowił zachowywać się tak, jakby nigdzie się nie wybierał, przynajmniej aż do chwili, kiedy ktoś się po niego zjawi.

Wyciągnął przed siebie dłoń z wyprostowanymi czterema palcami i wpatrzył się w nią.

– Czoro ludzi – powiedział sam do siebie.

A raczej troje, bo z filmu jasno wynikało, że grubasa nie było już wśród żywych.

Stone wciąż jednak nie wiedział, kim był ten człowiek ani dlaczego się tam znalazł, zostawił więc wyprostowane wszystkie cztery palce. – Miał pecha i zjawił się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie czy brał w tym udział? – spytał na głos. – I gdzie podzieli się gość w garniturze i kobieta? Czy mają ze sobą coś wspólnego?

Był jeszcze glaniarz, przypuszczalnie policjant. Tylko dlatego mógł się zjawić w parku z bronią. Miał odznakę i prawo, żeby być uzbrojonym. Brak odpowiedzi ze strony dyrektora NIC stanowił wystarczające potwierdzenie. Riley Weaver grał z ludźmi równie ostro jak Carter Gray.

Stone'owi nie dawało spokoju to, że człowiek w garniturze i kobieta równocześnie wyszli z parku tuż przed strzelaniną. Zbieg okoliczności? Oboje mieli szczęście w przeciwieństwie do grubasa w dresie, któremu szczęścia zabrakło? Zamknął oczy i cofnął się myślami do wydarzeń minionej nocy. Wciąż czuł pulsowanie w skroniach i bolało go miejsce, w które wbił się ząb, lecz obrazy i dźwięki stopniowo zaczęły wracać.

– MP-5 albo TEC-9 – powiedział głośno. – Ustawione na ogień ciągły.

Przypuszczalnie zastosowano standardowe magazynki mieszczące trzydzieści nabojów przerobione w taki sposób, żeby pomieścić pięćdziesiąt. Ile strzałów padło?

Naturalnie nie był w stanie dokładnie policzyć, ale mógł się pokusić o oszacowanie przybliżonej liczby na podstawie czasu trwania strzelaniny. Ogień ciągły, założmy, że jednak nieprzerobione magazynki, czyli dwie do trzech sekund na opróżnienie magazynka. Ostrzał trwał jakieś dwanaście do piętnastu sekund, co daje ponad sto pocisków – przy założeniu, że w użyciu była tylko jedna sztuka broni. Jeśli więcej niż jedna, to w grę wchodziło kilkaset sztuk amunicji. Duża siła ognia. Większość pocisków uderzyła w ziemię, więc FBI nie powinno mieć problemów z dokładnym policzeniem. To jednak ani trochę nie przybliżało go do odpowiedzi na znacznie ważniejsze pytanie: w jaki sposób komuś udało się przedostać tak blisko i przeprowadzić taki zmasowany atak?

Wstał, podszedł do okna i patrząc przez nie, odtworzył w myślach topografię najbliższych okolic parku Lafayette'a. Na północ i na zachód od niego, przy H Street, stały budynki Izby Handlowej Stanów Zjednoczonych oraz dostojny hotel Hay-Adams. Na północny wschód od parku wznosił się kościół św. Jana, dalej znajdowały się wyłącznie biurowce i budynki federalne. Przypomniawszy sobie, że na dachu Hay-Adamsa urządzono ogród i że

hotel górował nawet nad wieżą kościoła. A wysokość, z której strzelano, miała decydujące znaczenie dla trajektorii pocisków.

Dlaczego zawieźli mnie do NIC? Przecież tego, co usłyszeli ode mnie, mogli się dowiedzieć co najmniej od kilku innych osób. Musiał być inny powód. Może chodziło o wiatr od rufy i otwarte morze przed sobą?

Przed cmentarną bramą zatrzymała się czarna przedłużona limuzyna. Stone uważnie obserwował wysiadających mężczyzn. FBI, pomyślał. Agentów można było poznać po tym, że przywiązywali sporą wagę do ubioru. Wątpił, czy zjawili się po to, by eskortować go do samolotu odlatującego do Rosji. Prezydent nie mieszałby FBI do takiej operacji. Zbyt wiele nielegalnych skrótów, a Biuro zwykle starało się przestrzegać litery prawa. W dodatku dyrektor miał dość ikry, żeby sprzeciwić się prezydentowi. Możliwe więc, że rozkład się ponownie uległ zmianie.

Tym razem być może na moją korzyść, przemknęło mu przez głowę.

Kiedy czterej mężczyźni podeszli bliżej, Stone przekonał się, że miał rację. Na palcu jednego z nich dostrzegł sygnet Akademii FBI. Pomylił się tylko w jednym: to byli trzej mężczyźni i kobieta, raczej nie z Biura. Wszystko, poczynając od jej uzębienia, przez twarz, na chodzie kończąc, wskazywało na to, że jest Brytyjką. Najprawdopodobniej MI6.

Zważywszy na fakt, iż celem ataku był brytyjski premier, miało to nawet sens. Albo należała do jego świty, albo wsiadła do samolotu odlatującego około drugiej po południu i dotarła tu mniej więcej o tej samej porze. Sądząc po jej wyglądzie, w grę wchodziło raczej to drugie.

Powód ich przybycia był oczywisty. Strzały to jedno, ale bombę podłożono z zamiarem wysadzenia kogoś w powietrze; Stone był gotów iść o zakład, że nie chodziło o grubasa w dresie. FBI najwyraźniej uznało, że on, Oliver Stone, może okazać się przydatny w dochodzeniu do prawdy.

Zabawne, pomyślał. Chodzi o prawdę.

Patrzył, jak zbliżają się do jego domu.

9.

Kobieta rzeczywiście była z MI6. Nazywała się Mary Chapman. Z bliska okazało się, że ma trzydzieści kilka lat, jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu i spięte spinką, sięgające do ramion ciemnoblond włosy. Miała także delikatnie zarysowaną szczękę i wąskie usta, i była szczupła, choć umięśniona, o czym świadczyły jej gołe łydki wystające spod ciemnej spódnicy. Palce jej rąk były długie, a ich uścisk żelazny. Twarz miała o klasycznych rysach, atrakcyjną, ale nierzucającą na kolana, oczy zielone i bystro patrzące. Nikt nigdy nie powiedziałby o niej „ładna”, pomyślał Stone. Pewna siebie, może nawet zaborcza, ale na pewno nie „ładna”.

– Jak podróż? Zmęczona po locie? – zagadnął Stone, kiedy już wszyscy się przedstawili i usiedli w piątkę przed wygasłym kominkiem.

Chapman spojrzała mu w oczy, po czym niespiesznie wygładziła nieistniejącą fałdkę na spódnicy.

– Niestety nie mieli przedziałów sypialnych. Cholerne British Airways.

Silny akcent i znaczenie słów nie zdołały zamaskować ironicznego poczucia humoru.

– Myślę, że cieszy się pani dużym uznaniem przełożonych, skoro od razu wsadzili panią do samolotu i przewieźli pięć tysięcy kilometrów. Przypuszczam, że MI6 ma stałego rezydenta w Waszyngtonie?

Chapman rozejrzała się po więcej niż skromnym wnętrzu, a następnie przeniosła wzrok na wytarte ubranie Stone'a.

– A ja myślałam, że jankesi lepiej płacą swoim ludziom.

Jeden z agentów odchrząknął i wtrącił:

– Zadaniem agentki Chapman jest pomóc naszemu Biuru w śledztwie...

Stone przyjrzał mu się uważnie. Mężczyzna był mocno zbudowany, ale nieco otyły.

Widząc jego okazały brzuch i spocone czoło, Stone domyślił się, że agent najwięcej czasu spędza za biurkiem. Jego rola bez wątpienia ograniczała się do przekazania wiadomości i odebrania odpowiedzi. Żadnej konkretnej roboty.

– Byłem już w NIC. Uprzedzili was. Przyjechali po mnie do szpitala. Zjawiliście się później, choć przyznam, że z większą klasą.

Tłusty wyglądał na rozczarowanego, jednak zrobił dobrą minę do złej gry.

– I co, spotkanie się udało? – zapytał z przekąsem.

– Wydawało mi się, że ostatnio jesteście za duchem współpracy i porozumienia?

Na twarzy agenta FBI nie drgnął żaden mięsień.

– Jakoś nie za bardzo się przede mną otworzyli – przyznał Stone.

– Mam nadzieję, że z wami pójdzie mi lepiej.

Chapman założyła nogę na nogę i powiedziała: – Przepraszam, jeżeli jestem zanadto drobiazgową, ale nie wydaje mi się, żebym miała okazję zobaczyć jakiegokolwiek dokumenty potwierdzające pańską tożsamość i uprawnienia...

– Pewnie dlatego, że ich nie mam – odparł Stone uprzejmym tonem.

Kobieta spojrzała pytająco na Tłustego.

– To tylko formalność, która nie powinna nam przeszkodzić w prowadzeniu dochodzenia – rzekł sztywno.

Chapman uniosła brwi, ale powstrzymała się od komentarza.

– No dobrze. – Stone z poważną twarzą odchylił się do tyłu. – Park. – Zdał szczegółową relację z wydarzeń minionego wieczoru, po czym dodał: – Nie możemy się doliczyć trojga ludzi. Znamy już nazwisko tego pechowca w dresie? – zapytał, patrząc wprost na Tłustego.

– Znaleźliśmy ludzkie szczątki. – Agent skrzywił się z obrzydzeniem. – Wszędzie.

– Co z identyfikacją?

– Trudna, ale nie niemożliwa. Naturalnie wyłącznie na podstawie DNA. Jeśli mamy gościa w bazie danych, to sprawa załatwiona. Umieściliśmy jego zdjęcie z monitoringu na naszych stronach i

rozesłaliśmy do mediów. Może ktoś go rozpozna, albo przynajmniej zgłosi zaginięcie.

– Co z pozostałymi?

– Jeśli chodzi o mężczyznę w garniturze i kobietę, to przepuszczamy ich zdjęcia przez nasze bazy danych, choć mężczyzna ani razu nie spojrział prosto w kamerę. Cztery minuty temu nie mieliśmy jeszcze żadnych rezultatów. Ich zdjęcia też daliśmy mediom i poprosiliśmy o pomoc w identyfikacji.

– Uważacie, że mają z tym jakiś związek?

– Za wcześnie na takie wnioski. Może po prostu mieli szczęście, że w samą porę wyszli z parku.

– A glaniarz? Był gliną?

– W NIC powiedzieli panu, że był?

– Może nie wprost, ale w każdym razie nie zaprzeczyli.

– W takim razie ja też nie zaprzeczę.

– Lekarze wyjęli mi z głowy jego ząb. Może na tej podstawie uda wam się go zidentyfikować. – Podwinął rękaw. – A tu mam jego krew. Jeżeli macie w samochodzie sprzęt, możecie pobrać próbkę.

– To nie będzie konieczne – odezwała się Chapman.

– A to dlaczego, jeśli można wiedzieć? – zapytał Stone, odwracając się w jej kierunku.

– Ponieważ ząb należy do jednego z naszych ludzi. Czy lekarze oddali go panu? Z pewnością chciałby go odzyskać.

– A co wasz człowiek robił wczoraj w nocy w parku?

– Zanim premier skrzył nogę w kostce w Białym Domu, zamierzał wracać pieszo do Blair House przez park Lafayette'a. Miał szczęście, bo gdyby tak się stało, pewnie urwałoby mu głowę.

10.

Po odjeździe agentów FBI i kobiety z MI6 Stone przez pół godziny pracował na cmentarzu, poprawiając nagrobki podmyte przez niedawną ulewę i sprzątając bałagan, jaki poczyniła. Praca fizyczna pomagała mu w trzeźwym myśleniu. A miał o czym myśleć; dręczyło go wiele pytań, na które nie znał odpowiedzi. Właśnie zbierał połamane gałęzie, kiedy nagle znieruchomiał, a następnie odwrócił się powoli.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Mary Chapman, wychodząc zza krzaka. – Nawet się nie poruszyłam. Ma pan oczy z tyłu głowy?

– Czasami. – Zawiązał worek foliowy i postawił go obok drewnianej szopy. – Kiedy tego potrzebuję.

Kobieta podeszła do niego.

– Zaskakujący kamuflaż dla agenta: pracownik cmentarza.

– Dozorca, ściśle rzecz biorąc. Ten cmentarz to zabytek, nikogo już tu nie chowają.

Zatrzymała się, uniosła nogę i strząsnęła grudkę ziemi z czarnego pantofla na płaskim obcasie.

– Rozumiem. I co, podoba się panu pilnowanie umarłych?

– Prawdę powiedziawszy, tak.

– Dlaczego?

– Nigdy się ze mną nie kłóć.

Ruszył w kierunku chaty, a ona za nim. Usiedli na ganku i przez dobrą minutę słuchali śpiewu ptaków wymieszanego z odgłosami przejeżdżających samochodów. Stone patrzył przed siebie, spojrzenie Chapman ciągle wracało do niego jak poruszający się chaotycznie promień światła.

– A więc, Oliverze Stone? – odezwała się wreszcie z rozbawieniem w oczach. – Podobało mi się kilka pańskich filmów. Zbiera pan tutaj materiały do następnego?

– Dlaczego wróciłaś? – zapytał, odwracając się do niej.

Zaskoczyła go, ponieważ wstała i powiedziała: – Znajdziesz czas na filiżankę kawy? Ja stawiam.

Miała samochód, pojechali więc do Georgetown i, rzecz niesłychana, od razu znaleźli miejsce do parkowania przy ulicy. Stone podzielił się z nią swoim zdziwieniem.

– Chyba żartujesz – odparła lekceważącym tonem. – Spróbuj zaparkować w Londynie.

Usiedli przy małym stoliku na zewnątrz. Chapman zdjęła pantofle, podciągnęła spódnicę do połowy uda, położyła stopy na pustym krześle, odchyliła się do tyłu z zamkniętymi oczami i rozkoszowała się ciepłem słońca spływającym na jej twarz i odsłonięte nogi.

– W Anglii rzadko miewamy taką słoneczną pogodę – wyjaśniła. – A jeśli się zdarza, to na krótko, i zaraz potem się chmurzy i pada deszcz. W związku z tym często nawiedzają nas myśli samobójcze, szczególnie jeśli akurat jest środek sierpnia, a nie zaplanowało się urlopu za granicą.

– Wiem.

Otworzyła oczy.

– Wiesz?

– Byłem w Londynie przez dwa lata. Dawno temu.

– Służbowo?

– Można tak powiedzieć.

– John Carr?

Stone w milczeniu napił się kawy. Chapman również sięgnęła po filiżankę.

– John Carr? – spytała ponownie po dłuższym czasie.

– Usłyszałem za pierwszym razem – odparł uprzejmie, spoglądając na nią z ukosa.

Uśmiechnęła się.

– Nie jesteś ciekaw, gdzie po raz pierwszy usłyszałam to nazwisko?

Stone milczał, a ona najwyraźniej uznała to za zachętę, by mówić dalej.

– Od Jamesa McElroya. Jest sporo starszy od ciebie. – Przesunęła wzrokiem po jego wysportowanej sylwetce. – I na pewno nie w tak

dobrej formie.

Stone wciąż milczał.

– Jest też legendą brytyjskiego wywiadu. Przez kilka dziesięcioleci kierował MI6, ale na pewno o tym wiesz. Teraz dostał jakieś specjalne stanowisko, nawet nie wiem jakie. W każdym razie może robić, co chce. I bardzo dobrze, bo wciąż działa z pożytkiem dla kraju.

– Dobrze się miewa?

– Owszem. Także dzięki tobie. Iran, rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy?

Sześciu fanatyków, którzy chcieli zatknąć jego głowę na tyczce? Sześciu martwych fanatyków po tym, jak z nimi skończyłeś. James opowiadał, że nawet nie zdążył wyciągnąć broni, żeby ci pomóc. A chwilę później już cię nie było. Nie zdołał ci porządnie podziękować.

– Nie oczekiwałem podziękowań. Był naszym sojusznikiem. Wykonywałem swoją robotę.

– Mimo to przez kilkadziesiąt lat myślał o tym, jak miło byłoby postawić ci piwo za to, że ocaliłeś mu tyłek, ale okazja się nie nadarzyła. Nawiasem mówiąc, on wciąż o tym myśli.

– To naprawdę nie jest konieczne.

Chapman przeciągnęła się, zdjęła stopy z krzesła, obciągnęła spódnicę i włożyła pantofle.

– Tak się przypadkiem złożyło, że właśnie jest w Waszyngtonie.

– Dlatego wróciłaś?

– Tak i nie.

Patrzył na nią wyczekująco.

– Tak, bo wiem, że bardzo chciałby się z tobą spotkać. Nie, bo mam też własne powody.

– Na przykład jakie?

Pochyliła się do przodu i Stone zobaczył walthera PPK w skórzanej kaburze pod żakietem. Wskazał na broń dyskretnym ruchem głowy.

– Ma twarde spust.

– Można się przyzwyczaić. – Przez chwilę mieszała kawę drewnianym mieszadłem.

– Bądźmy szczerzy, od samego początku to była wielka obsuwa. Amerykanie mają masę rozmaitych agencji, a ja nie jestem w stanie uzyskać sensownej odpowiedzi od żadnej z nich.

Mój szef odnosi takie samo wrażenie. Oczywiście Ameryka jest naszym najważniejszym sojusznikiem i nie zamierzamy zrobić niczego, co mogłoby pogorszyć nasze doskonałe stosunki, ale to był jednak nasz premier i mamy obowiązek jak najprędzej wyjaśnić sytuację.

– I przyszedliście do mnie? Dlaczego?

– James McElroy ci ufa, więc i ja ci ufam. Poza tym byłeś tam wczoraj w nocy, więc jesteś podwójnie cenny.

– Możliwe. Iran był dawno temu, agentko Chapman.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają. McElroy jest zdania, że ty też.

– Zakładając, że rzeczywiście jestem Johnem Carrem.

– Jesteś. Nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Dlaczego?

– Kiedy poszłam siusiu, zdjęłam ze szklanki w łazience twoje odciski palców. Dzięki wstawiennictwu mojego szefa uzyskałam natychmiastowy dostęp do bazy danych NIC. Po ośmiokrotnej autoryzacji, spaleniu dwóch stacji roboczych i dwóch telefonach do wysoko postawionych osób nadeszła odpowiedź. – Uniosła wysoko brwi. – John Carr z nieistniejącego, nieodżałowanego Oddziału 666 Centralnej Agencji Wywiadowczej.

– Oddziału, który oficjalnie nigdy nie istniał – odparł cicho.

– To dla mnie bez znaczenia. Ssałam jeszcze smoczek, kiedy po raz ostatni brał udział w akcji, wszystko jedno, oficjalnie czy nie. – Wstała z krzesła. – Jesteś gotów na spotkanie z człowiekiem, któremu ocaliłeś życie? On naprawdę chciałby postawić panu piwo, panie Carr.

11.

James McElroy czekał na Stone'a i Chapman w apartamencie hotelu Willard.

Brytyjski arcyszpieg miał siedemdziesiąt cztery lata, był siwy i zgarbiony, a spod marynarki wystawał pokaźnych rozmiarów brzuch. Kiedy podnosił się z fotela, zaatakowane przez artretyzm kolana ugięły się pod nim przez chwilę, lecz bystry wzrok świadczył o tym, że choć czas osłabił go pod względem fizycznym, to sprawność umysłu pozostała nienaruszona.

Kiedyś miał blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, lecz teraz, z powodu upływu lat i bezlitosnej siły ciężenia, ubyło mu co najmniej dziesięć centymetrów. Rzednące siwe włosy były zaczesane do tyłu, odsłaniając różową, pooraną bruzdami skórę na czaszce. Na kłapach i ramionach granatowej marynarki białiał łupież. Na widok Stone'a oczy mężczyzny rozbłyły.

– Prawie się nie zmieniłeś – powiedział James McElroy. – Tylko posiwiałeś. – Żartobliwie stuknął Stone'a w płaski brzuch, uściśnął mu rękę, a następnie zamknął go w niedźwiedzim uścisku. – Ja jestem gruby, a ty wciąż szczupły jak dawniej.

Uwolnwszy go z objęć, wskazał gościom miejsca.

– Jak się miewasz, John?

– Różnie – odparł lakonicznie Stone.

Anglik ze zrozumieniem skinął głową i spoważniał.

– Tak się składa, że wiem, co chcesz przez to powiedzieć. Sporo przeżyłeś.

– Można tak powiedzieć.

McElroy zmrużył oczy.

– Słyszałem też... Wiesz o czym. Bardzo mi przykro.

– To więcej, niż usłyszałem od swoich. Dziękuję.

– Zechce pan powiedzieć coś więcej? – zapytała Chapman, patrząc na McElroya.

– Nie – powiedział Stone, zanim tamten otworzył usta. – Nie zechce.

– John i ja należymy do pokolenia, które pewne tajemnice zabierze ze sobą do grobu – odparł McElroy, nie odwracając wzroku od Stone'a. – Czy to jasne?

– Tak jest!

– Napijesz się ze mną, John?

– Jak dla mnie, to trochę wcześniej...

– Ale w Londynie jest już całkiem późno, więc może jednak? Szczególna okazja, spotkanie dwóch starych przyjaciół...

Kelner przyniósł napoje dla wszystkich. Stone zamówił piwo, Chapman – martini z ginem, a McElroy małą whisky. Popatrzył na Stone'a znad szklanki.

– Kamienie żółciowe. Doprowadzają mnie do szału, ale podobno whisky dawkowana w niewielkich ilościach pomaga się ich pozbyć. Tak gdzieś słyszałem. W tym szczególnym przypadku pogłoski stanowią wystarczające usprawiedliwienie. – Podniósł szklankę. – Zdrowie.

Spełnili toast, po czym McElroy otarł usta chusteczką.

– Co z premierem? – spytał Stone.

Chapman wyprostowała się w fotelu i ugryzła kawałek soczystej oliwki, McElroy zaś skrzywił się, sięgnął ręką do pleców i lekko skinął głową.

– Z premierem? Porządny gość. Głosowałem na niego. Między nami mówiąc, trochę za bardzo lubi kręcić, ale to nic nadzwyczajnego wśród polityków.

– Tak bardzo, żeby ktoś chciał wysadzić go w powietrze?

– Raczej nie. W każdym razie nikt od nas.

– Ale tu mamy więcej wrogów. – Stone spojrzał na Chapman. – Jesteście naszym najbliższym sojusznikiem. Was też wzięli na celownik.

– Zgadza się. Lecz mimo to dalej walczymy ramię w ramię.

– Kto wiedział o tym, że premier zamierza przespacerować się przez park?

– Bardzo wąskie grono – odezwała się Chapman, podczas gdy McElroy dokończył whisky, przez cały czas pocierając sobie plecy w

okolicach krzyża. – Właśnie w tej chwili są dokładnie sprawdzani.

Stone szybko wysnuł właściwy wniosek z faktu, że McElroy nie przejawiał najmniejszego zainteresowania tym wątkiem.

– Jest jakaś inna teoria?

– Owszem, ale nie wiem, czy na tym etapie zasługuje już na tę nazwę, John – odparł Anglik.

– Od jakiegoś czasu używam imienia Oliver.

– Oczywiście! – McElroy pokręcił z niesmakiem głową. – Czytałem o tym w raporcie, ale cóż, pamięć już nie ta co dawniej... W każdym razie, Oliverze, to raczej myśl niż teoria.

– Jaka?

McElroy podniósł rękę z wyprostowanymi czterema palcami, tak samo jak wcześniej zrobił to Stone.

– Czworo ludzi w parku. – Zgiął jeden palec. – To nasz człowiek, którego ząb przez jakiś czas znajdował się w twoim posiadaniu.

– Agentka Chapman powiedziała mi już, że był od was, ale nie wspomniała, co tam robił.

– Nic nadzwyczajnego. Wyznaczono go do patrolowania parku, kiedy jeszcze obowiązywała wersja ze spacerem. Po tym, jak premier skręcił nogę, zostawiliśmy go tam na wszelki wypadek. – McElroy uniósł wyżej rękę z wyprostowanymi trzema palcami. – Najgorsze jest to, John... to znaczy, Oliver... że wasi ludzie nie są w stanie powiedzieć mi nic a nic o pozostałej trójce!

– Widziałem nagranie z monitoringu. Jedna z tych osób nie żyje.

– Niewiele nam to wyjaśnia. Pozostają jeszcze kobieta i mężczyzna. Może znaleźli się tam przypadkowo, a może nie. Tak czy inaczej, chciałbym wiedzieć coś na pewno.

– Przede wszystkim trzeba wyjaśnić, dlaczego o tej porze w parku w ogóle kręcili się jacyś ludzie. Wiem z doświadczenia, że zazwyczaj, kiedy w Blair House zatrzymywał się ktoś ważny, park zamykano dla odwiedzających.

– Dobre pytanie. Sam je sobie zadawałem. Znalazłeś odpowiedź? Bo ja nie.

– Ja też, w każdym razie nie taką, która by mnie zadowoliła. Czy były jakieś groźby pod adresem premiera?

– Żadnych, którymi należałoby się szczególnie przejmować.

– Jak więc zamierzacie działać?

– Przede wszystkim postanowiliśmy usunąć go z zagrożonego miejsca. – McElroy zerknął na zegarek. – Za dwadzieścia minut powinien lądować na Heathrow.

– A co dalej?

McElroy kątem oka dostrzegł na ramieniu pyłek łupieżu i strząsnął go z irytacją.

– Nie możemy tego tak zostawić, Oliverze. Co prawda to się wydarzyło na terenie Stanów, więc mamy ograniczone możliwości, ale musimy coś zrobić. Gdybyśmy położyli uszy po sobie, powstałby groźny precedens. Nie możemy pozwolić na to, by ktoś strzelał do naszego premiera i nie poniósł konsekwencji.

– Zakładając, że to on był celem.

– Musimy przyjąć, że tak, aż do chwili gdy zdobędziemy dowody, że było inaczej.

Stone spojrział na Chapman, a potem znowu na starszego mężczyznę.

– Agentka Chapman doskonale sobie radzi.

– Gdyby było inaczej, nie przysyłałibyśmy jej tutaj. Myślę jednak, że radziłaby sobie jeszcze lepiej, gdybyś ją wspierał.

Stone pokręcił głową.

– Jestem zajęty.

– Tak, oczywiście: przejażdżka do NIC... Weaver w pośpiechu znaczy teren. Miejmy nadzieję, że niezbyt wielu ludzi przypłaci to życiem. Domyślam się, że FBI też ma na ciebie apetyt?

– Nic nie poradzę na to, że jestem taki popularny.

Przybysze z Anglii wymienili spojrzenia, a następnie McElroy powiedział: – Nie jestem pewien, czy słowo „popularny” jest najwłaściwsze... Wydaje mi się, że raczej trzymają cię na krótkiej smyczy.

– Możliwe – odparł Stone, patrząc starszemu mężczyźnie prosto w oczy.

Ciekawe czy wie o moim spotkaniu z prezydentem i o tym, że wracam do gry? – zastanawiał się. Nie miał żadnych podstaw, by podejrzewać Anglika o złą wolę, ale z drugiej strony w tym biznesie fakt ocalenia komuś życia wcale nie oznaczał zawarcia wiecznego

sojuszu. Zdawał też sobie doskonale sprawę z tego, że brytyjski premier, a więc także James McElroy, poświęciłby go bez wahania, gdyby zażądali tego od nich Amerykanie. Nagle zaświtała mu pewna myśl: To dlatego tu jestem! McElroy dostał zadanie przekazania mi informacji od prezydenta!

Postanowił natychmiast sprawdzić to przypuszczenie.

– Po prostu dostałem już zlecenie. Jutro wyruszam w drogę.

– Plany ulegają czasem zmianie. Trzeba być elastycznym i reagować na bieżące wydarzenia.

– Tak?

– Wydarzenia w parku całkowicie zmieniły sytuację – powiedział wprost McElroy.

– Dlaczego? Dlatego, że tam byłem?

– Między innymi. A także dlatego, że mam pewne wpływy w kręgach, o których mówimy, i uznałem, że bardziej przydasz się tutaj niż w południowych rejonach naszej półkuli.

A więc wie o Rosjanach i meksykańskiej trasie przerzutów!

– Zostałeś moim adwokatem? To niebezpieczne.

– W Iranie w siedemdziesiątym siódmym też nie było bezpiecznie, ale jakoś ci to nie przeszkadzało, prawda?

– Wykonywałem swoją robotę. Nie jesteś mi nic winien.

– Nie mówisz prawdy.

Stone z zainteresowaniem przechylił głowę.

– Przeprowadziłem później prywatne śledztwo – ciągnął Anglik.

– Dostałeś już zgodę na powrót do domu. Praktycznie rzecz biorąc, nie byłeś na służbie. Zespół, który wysłano mi na ratunek, wpadł w zasadzkę. Wszyscy zginęli. Odnoszę jednak wrażenie, że o tym wszystkim dobrze wiesz, prawda?

Chapman przyglądała się Stone'owi z rosnącym zainteresowaniem.

– Miałeś kłopoty, a ja akurat byłem w pobliżu. Na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

– Ale obawiam się, że ze znacznie gorszym skutkiem. Oczywiście starałbym się ze wszystkich sił – dodał szybko – tyle że nie potrafię tak celnie strzelać.

– Czy możesz mi przedstawić nową sytuację?

– Prowadzisz dochodzenie. Kończysz je pełnym sukcesem, a potem... – McElroy wzruszył ramionami. – Reszta zostaje bez zmian.

– A jeśli nie zakończę go sukcesem?

McElroy milczał.

– W porządku – powiedział Stone.

– Zrobisz to?

– Tak.

– Doskonale.

– Jak mam to rozgrywać? Długo byłem poza obiegiem. Muszę się znowu wciągnąć.

– Z błogosławieństwem premiera pociągnąłem za parę sznurków. Blisko przyjaźni się z waszym prezydentem. Razem grają w golfa, razem idą na wojnę... Sam wiesz, jak to jest.

– A więc?

– A więc obaj doszli do wniosku, że byłoby świetnie, gdybyś razem z Mary mógł w tym trochę pogrzebać.

– Żeby było jasne: nie jestem już tak dobry jak kiedyś.

McElroy przez chwilę przyglądał mu się uważnie.

– Niektórzy pamiętają cię wyłącznie jako wyjątkowo sprawnego fizycznie agenta, doskonałego strzelca i odważnego człowieka. Ja najlepiej zapamiętałem twoją nieprzeciętną inteligencję. Wielu ludzi próbowało cię załatwić, niektórym niewiele zabrakło, ale nikomu się nie udało. Byłeś najlepszy. Powrót do akcji dobrze ci robi, nie tylko z oczywistych powodów.

– Lepiej mieć nieprzyjaciół w zasięgu wzroku?

– Przyjaciół też.

Stone spojrzał na Chapman.

– A co ty o tym myślisz?

– To samo co mój szef, oczywiście – odparła z żartobliwym błyskiem w oku. – Nie może być inaczej.

– Nie o to pytam – rzucił ostro.

Natychmiast spowaźniała.

– Chcę się dowiedzieć, kto zamierzał zabić premiera rządu mojego kraju. Jeżeli możesz mi w tym pomóc, to nie odstąpię cię ani na krok.

– Dobrze powiedziane. – McElroy z wysiłkiem dźwignął się z fotela. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że znowu cię zobaczyłem. Od razu poczułem się lepiej.

– Jeszcze jedno. Weaver pokazał mi obraz zarejestrowany przez kamerę monitoringu.

Niestety nagranie urywa się w chwili eksplozji.

– Doprawdy? – McElroy spojrzał na Chapman. – Mary, pokaż proszę Oliverowi pełny zapis.

– Byłem pewien, że jest coś więcej.

– Zawsze jest coś więcej – odparł Anglik z uśmiechem.

– Byłeś potem w Iranie? – zapytał Stone.

McElroy uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Odważyłbym się tylko wtedy, gdybyś ty był gdzieś w pobliżu. Mary przekaże ci wszystkie materiały. Powodzenia.

Wyszedł z pokoju, zostawiając ich samych.

– Pojedziemy do mnie – powiedział Stone.

– A potem?

– Przejrzemy twoje materiały.

– W porządku, ale obawiam się, że nie mamy dużo czasu.

– Jestem tego pewien.

12.

Zaraz po powrocie do domku dozorca Stone nastawił wodę na herbatę, Chapman natomiast wyjęła z teczki dokumenty i rozłożyła je na biurku. Włączyła też laptop i wsunęła do niego płytę DVD.

– Szczerze mówiąc, wolałabym spotkać się w jakimś bezpieczniejszym miejscu – powiedziała, marszcząc brwi. – Te dokumenty są ściśle tajne.

Stone odwrócił się do niej od kuchenki.

– Nie obawiaj się, nie mam żadnych koniecznych uprawnień, więc gdy tylko na nie spojrzę, przestaną być tajne.

– A niech to... – mruknęła Angielka.

Z kubkami w dłoniach usiedli przy biurku i zaczęli przeglądać raporty i opracowania.

Stone błyskawicznie przebiegał wzrokiem po dokumentach, dzięki wieloletniemu doświadczeniu szybko odsiewając informacje ważne od nieistotnych. Kiedy skończyli, Chapman zapytała:

– Chcesz zobaczyć pełne nagranie?

Skinął głową.

– Zastanawiam się, dlaczego w NIC pokazali mi skróconą wersję...

– Nie pytaj mnie. To wasi ludzie, nie nasi.

– Może dlatego, że innej po prostu nie mają?

Na twarzy agentki MI6 nie drgnął żaden mięsień.

Nagranie było bez dźwięku. Zaraz po eksplozji ekran na sekundę lub półtorej wypełniły zakłócenia, jakby wybuch na krótko wpłynął na działanie urządzeń elektronicznych. Chwilę potem obraz pojawił się ponownie. Pomnik Jacksona, a raczej miejsce, w którym jeszcze niedawno stał, spowijały płomienie i kłęby dymu. Ogrodzenie i zabytkowe armaty zostały zdmuchnięte przez podmuch. To, że nikt nie zginął, można było zawdzięczać wyłącznie zbiegowi okoliczności. Na szczęście o tej porze park przeważnie był całkiem

pusty, a strażnicy parkowi patrolowali zwykle jego obrzeża, nie zaś część centralną.

Kiedy dym się przerzedził, Stone zobaczył siebie, leżącego nieruchomo na ziemi. Brytyjski agent z trudem wstał i odszedł chwiejnym krokiem.

– Wygląda na to, że z waszym człowiekiem wszystko w porządku. Nie licząc zęba, oczywiście. – To twardy gość, ale powiedział, że kiedy na niego wpadłeś, poczuł się tak, jakby zderzył się z wozem pancernym.

Nigdzie nie było widać ani mężczyzny w garniturze, ani kobiety. Pojawili się biegnący ludzie. Pachołki na Pennsylvania Avenue skryły się w ziemi, radiowozy i samochody Secret Service odjechały pełnym gazem. Ochrona błyskawicznie otoczyła Blair House.

– Możesz powtórzyć ostatnie trzydzieści sekund?

Po obejrzeniu powtórki odchylił się do tyłu ze zdziwioną miną. Chapman wstrzymała odtwarzanie.

– O co chodzi?

– Jeszcze raz, tylko wolniej.

– Spróbuję. – Przez chwilę stuknęła na klawiaturze. – To wszystko, co mogę zrobić.

Uważnie śledzili wydarzenia rozgrywające się na ekranie w ślimaczym tempie. Stone wskazał jej otyłego biegacza, który na granicy parku minął dwóch umundurowanych funkcjonariuszy Secret Service z psem.

– Grubas w dresie? – zdziwiła się. – Nie wygląda na kogoś, kto regularnie biega, prawda?

– Nie każdy wkłada dres po to, żeby biegać. Niektórzy po prostu spacerują.

– Skoro tak twierdzisz.

– Bomba mogła być ukryta w iPodzie.

Kobieta skinęła głową.

– Też o tym pomyślałam. C-4 albo semtex, albo coś jeszcze mocniejszego. Nie powinno być problemu ze znalezieniem mikrośladów na szczątkach.

– Tak i nie. Tak, bo iPod na pewno rozleciał się na kawałki, i nie, bo musiał się rozpaść niezależnie od tego, czy bomba była w nim,

czy nie.

– Ale to też będzie można stwierdzić po mikroskopowej analizie fragmentów.

Stone spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Znasz się na materiałach wybuchowych?

– Między innymi dlatego mnie tu przysłali. Przez trzy lata uganiałam się za paroma niegrzecznymi Irlandczykami, do których nie dotarło, że IRA podpisała układ pokojowy.

Lubili wysadzać w powietrze, co się da. Sporo się od nich nauczyłam.

– Nie wątpię. – Stone przeniósł wzrok z powrotem na ekran. – Wskoczył do dziury przy drzewie.

– A kilka sekund później nastąpił wybuch. Zamachowiec samobójca?

Stone skrzywił się sceptycznie.

– Który zabija tylko siebie, bo zdetonował ładunek w dziurze?

– W takim razie jak, twoim zdaniem, przedstawiają się sprawy?

– Jakie sprawy masz na myśli?

– Te, którymi zajmują się wasze niezliczone agencje. Jestem tu dopiero niecały dzień, a już kręci mi się w głowie.

– Słyszałaś kiedyś o Diabelskim Zaułku?

Angielka pokręciła głową.

Pochylił się do przodu i postukał palcem w nieruchomy obraz na ekranie.

– To właśnie jest Diabelski Zaułek. Pennsylvania Avenue znajduje się na terenie podlegającym policji stanowej Dystryktu Kolumbii. Chodniki dokoła parku to teren Secret Service, ale sam park podlega Straży Parkowej. Agentów Secret Service uczy się na szkoleniach, że kiedy zauważą kogoś podejrzanego na ulicy albo w parku, mają zawlec go na chodnik i dopiero tam aresztować, w celu uniknięcia formalnych nieporozumień.

Chapman powoli skinęła głową.

– Wszyscy mają tego serdecznie dosyć, ale wszyscy tak właśnie postępują. Na przykładzie tego wybuchu najlepiej można zrozumieć dlaczego. Miejsce eksplozji zabezpieczy Straż Parkowa, ale śledztwem, ponieważ użyto materiałów wybuchowych, zajmą się

FBI i ATF, a nad nimi, niczym stado sępów, będą krążyć Secret Service, NIC i CIA.

Chapman upiła łyk herbaty.

– Co teraz?

– Pojedziemy do parku, pogadamy ze śledczymi, ustalimy tożsamość grubasa, faceta w garniturze i kobiety. A gdzie jest wasz człowiek?

– W każdej chwili możesz z nim porozmawiać, ale już złożył zeznania. Widział mniej niż ty.

– W porządku.

Sięgnęła po zakiet.

– A więc do parku?

– Tak jest.

– Pojedziemy moim wozem?

– Raczej tak, bo ja nie mam samochodu.

13.

Annabelle Conroy wysiadła z windy na pierwszym piętrze i weszła do czytelni cennych książek w Budynku Jeffersona wchodzącym w skład Biblioteki Kongresu.

Rozejrzawszy się po sali, dostrzegła Caleba Shawa przy biurku w głębi pomieszczenia. Na jej widok Caleb zerwał się z krzesła i szybko podszedł.

– Annabelle, co tutaj robisz?

– Masz chwilę? Przyjechałam z Reubenem i Harrym Finnem. Czekają na zewnątrz.

Musimy porozmawiać.

– O czym?

– A jak myślisz? O Oliverze, ma się rozumieć. Od chwili gdy tamci zabrali go ze szpitala, przepadł bez wieści.

– Kto jak kto, ale Oliver potrafi się o siebie zatroszczyć.

– Ale może potrzebować naszej pomocy.

– W porządku. Zaczekaj chwilę.

Kiedy już jechali windą w dół, Caleb powiedział: – Dzisiaj mam niezwykle dzień.

– Dlaczego?

– Właśnie dostaliśmy egzemplarz F. Scotta. T e g o F. Scotta.

– To znaczy którego?

Caleb wybałuszył na nią oczy.

– F. Scotta Fitzgeralda, ma się rozumieć! Jednego z najwybitniejszych amerykańskich pisarzy wszech czasów! Na Boga, Annabelle, gdzie ty się podziewałaś przez te lata?

– Raczej nie w bibliotece, niestety.

– To egzemplarz *Wielkiego Gatsby'ego*, największego dzieła i z pewnością najbardziej znanej powieści tego pisarza. I to nie jakiś zwyczajny egzemplarz, bo takich mamy mnóstwo, tylko pierwsze wydanie, w dodatku w idealnym stanie, z oryginalną, niezwykle rzadko spotykaną obwolutą. – Widząc nicnierozumiejące spojrzenie

Annabelle, wyjaśnił ze zniecierpliwieniem: – No, z tą parą kobiecych oczu! To jedna z najszlachetniejszych okładek literatury współczesnej. Zaprojektowano ją, zanim Fitzgerald ukończył książkę, i tak mu się spodobała, że dopisał scenę, która do niej nawiązywała!

– To bardzo ciekawe – powiedziała uprzejmie Annabelle, lecz jej ton świadczył o tym, że w rzeczywistości nieszczerze się tym zainteresowała. Kiedyś przez prawie dwa dni jechali razem samochodem i jeszcze długo po tym nie mogła dojść do siebie po gigantycznej dawce wiedzy literackiej, jaką jej zaaplikował Caleb.

Wysiedli z windy i skierowali się do wyjścia.

– Ale najciekawsze jest to, że to przypuszczalnie egzemplarz Zeldy. Właściwie nie mamy żadnych wątpliwości.

– Kim jest Zelda?

– Kim jest Zelda? – wykrztusił Caleb. – Jego żoną, oczywiście! Scott i Zelda!

Najtragicznější para w historii literatury. Ona umarła w zakładzie psychiatrycznym, on zapił się na śmierć. Zadeedykował jej tę książkę. To prawdziwy skarb! Jedyny taki egzemplarz! Wspaniały nabytek dla biblioteki!

– Całkowicie niepowtarzalny?

– Absolutnie.

– Ile za niego zapłaciliście?

Caleb wyraźnie się zawahał.

– No wiesz... Takie informacje nie są przeznaczone do...

– Dobra, dobra. Mniej więcej.

– Powiedzmy, że ponad sto tysięcy. Więcej nie mogę powiedzieć.

Annabelle wyraźnie się ożywiła.

– Pytam, bo babcia podarowała mi swój egzemplarz *Wichrowych wzgórz*. Ciekawa jestem, ile może być wart? Jest w doskonałym stanie.

Informacja zaintrygowała Caleba.

– *Wichrowe wzgórze*? Egzemplarze z pierwszego wydania są bardzo rzadko spotykane. Gdzie to kupiła?

– W księgarni, jakieś osiem lat temu. Ale uprzedzam, że to wydanie w miękkiej oprawie.

Caleb zeszywniał i spiorunował ją wzrokiem.

– Bardzo zabawne.

Na zewnątrz spotkali Reubena i Harry'ego Finna. Finn, szczupły i śmiertelnie niebezpieczny, był młodszą o kilka dziesięcioleci wersją Stone'a. Dopóki nie zaistniała potrzeba błyskawicznego działania, był nieruchomy jak głaz, jakby zbierał i oszczędzał energię na chwilę, kiedy okaże się niezbędna. Reuben zmienił roboczy kombinezon na codzienny strój składający się z dżinsów, podkoszulka i mokasynów. Usiedli we czwórkę na szerokich schodach biblioteki.

– Co robimy? – zapytała Annabelle.

– A co możemy zrobić? – odparł Reuben.

– Oliver może mieć kłopoty.

– Często miewa kłopoty – zauważył Caleb.

– Ale ci ludzie, którzy zabrali go ze szpitala...

Annabelle nie zdołała dokończyć, ponieważ przerwał jej Finn: – To NIC. Chłopcy Rileya Weavera. Wiem o tym od kumpla. Zgarnęli go tylko na chwilę. Wątpię, żeby dostali od niego to, na czym im zależało.

– W takim razie rzeczywiście ma kłopoty – stwierdziła Annabelle. – Musimy mu pomóc.

– Może zaczekamy, aż sam o to poprosi? – zasugerował Caleb.

– Dlaczego mielibyśmy czekać?

– Bo za każdym razem, gdy mu pomagam, grzęźnie w jeszcze głębszym bagnie – odparł, spoglądając na ogromny budynek Biblioteki Kongresu. – Dodatkowo tak się składa, że jestem na okresie próbnym, a to wyjątkowo nieprzyjemna sytuacja dla kogoś w moim wieku i z moim doświadczeniem.

– Nikt nie wymaga, żebyś ryzykował posadę, Caleb. Dowiedziałam się jednak czegoś, o czym chciałam wam powiedzieć.

– Czego konkretnie? – zapytał Reuben.

– Że Oliver wybierał się dokądś.

– Skąd wiesz?

– Znalazłam w jego domku spakowaną torbę podróżną i kilka książek w obcym języku, chyba po rosyjsku.

– Włamałaś się do jego domu i przeszukałaś go? – zapytał Caleb z niedowierzaniem. – Nie masz najmniejszego poszanowania dla prawa własności! To oburzające!

Bez słowa wyjęła z kieszeni książkę i pokazała ją bibliotekarzowi.

– Rzeczywiście, jest po rosyjsku – przyznał, rzuciwszy okiem na okładkę, po czym przyjrzał się uważniej tytułowi. – Dotyczy rosyjskiej polityki, ale jest sprzed kilku dekad. Po co miałby zabierać ze sobą coś takiego?

– Może udawał się do Rosji i chciał odświeżyć znajomość języka? – podsunął Finn. – Czytanie to niezły sposób.

– Ale po co Oliver miałby lecieć do Rosji? – zastanawiał się Reuben. – A przede wszystkim, jak by się tam dostał? Przecież nie ma paszportu ani żadnego innego dowodu tożsamości, ani nawet pieniędzy na podróż...

– Istnieje tylko jeden sposób – powiedziała Annabelle.

– Jako wysłannik rządu? – domyślił się Finn.

– Właśnie.

– Jako wysłannik rządu? – powtórzył Caleb z niedowierzaniem. – Przecież on nie pracuje dla rządu! Już nie!

– Może mamy nieaktualne informacje – zauważyła Annabelle. – Przecież chcieli go odznaczyć Medalem Honoru.

– Oliver miałby tam wrócić? Po tylu latach? – zastanawiał się Reuben. – Nie wierzę.

– W dodatku po tym wszystkim, co mu zrobili... – dodał cicho Finn.

– Dlaczego miałby z nimi współpracować? – zapytał Caleb. – Jeżeli czegoś możemy być pewni, to właśnie tego, że Oliver ani trochę nie ufa rządowi!

– Chyba że nie miał wyboru... – rzekł Finn.

– Przecież nie ma już dwudziestu lat! – sprzeciwiła się Annabelle. – Wczoraj w nocy mało nie zginął. Jeśli pojedzie do Rosji, może już nie wrócić.

– Jest starszy, ale i mądrzejszy – odparł Reuben. – Nie lekceważyłbym tego.

– Mało nie zginął w więzieniu w Divine – przypomniała mu. – A Milton zginął – dodała z brutalną szczerością.

Reuben, który blisko przyjaźnił się z Miltonem Farbem, opuścił wzrok na dłonie.

– Kto wie, może wszyscy jesteśmy już za starzy, żeby się w tym babrać...

– W takim razie na co się decydujemy? – zapytał Finn. – Wiemy, że na pewno nie poprosi nas o pomoc. Nie po tym, co wydarzyło się w Divine.

Caleb skinął głową.

– To prawda. Nie zrobi niczego, co mogłoby nas narazić na najmniejsze niebezpieczeństwo.

– Nie ma sensu czekać, aż poprosi – oznajmiła Annabelle. – Powinniśmy bezzwłocznie podjąć działania zaradcze.

– Jakie konkretnie? – spytał Reuben. – Mamy go śledzić?

– Nie, ale możemy wystąpić wspólnie i powiedzieć mu, co myślimy.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

Annabelle podniosła się ze schodów.

– Doskonale. Jeżeli chcecie beczynnienie czekać na jego śmierć, to bardzo proszę, ale beze mnie.

Odwróciła się na pięcie i odeszła szybkim krokiem.

– Annabelle! – zawołał za nią Reuben.

Nie zatrzymała się.

– Jest cholernie uparta – wymamrotał Caleb. – Jak większość kobiet. Chyba właśnie dlatego się nie ożeniłem.

Reuben zerknął na niego z ukosa.

– Mam wrażenie, że było jeszcze kilka innych powodów, Caleb.

14.

Korki w całym Dystrykcie Kolumbii były znacznie większe niż zwykle, zapewne dlatego, że komuś przyszło do głowy zdetonować bombę vis-à-vis Białego Domu. Z pewnością tak właśnie myśleli sfrustrowani kierowcy i pasażerowie. Ulice w okolicach urzędów państwowych przegrodzono niezliczonymi barierkami, które oplótły miasto niczym sieć kolorowych paciorków. Przed i za nimi stały radiowozy i czarne SUV-y Secret Service, żeby dodatkowo zniechęcić ewentualnych zamachowców.

Stone i Chapman musieli zostawić samochód i pójść pieszo. Obsada każdego posterunku sprawdzała telefonicznie ich uprawnienia, a dokumenty, zwłaszcza legitymację agentki MI6, poddawano skrupulatnym oględzinom. Stone doskonale to rozumiał; żaden policjant ani agent nie chciał się narazić na gniew przełożonych, przepuszczając ich bez należytego sprawdzenia, i dlatego zwracał się z prośbą o autoryzację. To właśnie z tego powodu przełożeni ci więcej zarabiali i urzędowali w większych biurach. Gdyby ktoś usytuowany jeszcze wyżej w łańcuchu pokarmowym doszedł do wniosku, że coś spieprzyli, groziła im kara znacznie dotkliwsza niż ich podwładnym.

Wreszcie pokonali ostatnią przeszkodę i znaleźli się w punkcie zero, czyli parku Lafayette'a. Chociaż Stone znał to miejsce jak własną kieszeń, prawie nie mógł go poznać.

Centralna część parku zamieniła się w zwęglony, posypany popiołem i sadzą bałagan: zniszczone drzewa i krzewy, wypalona trawa, zwały ziemi, zrujnowany pomnik Jacksona.

Koło jednej z lawet dotoczyło się niemal do Pennsylvania Avenue, fragment ogrodzenia utkwiał w drzewie rosnącym w odległości ponad dwudziestu metrów.

ATF ustawiło swoje ruchome centrum dowodzenia na środku Pennsylvania Avenue, FBI natomiast rozłożyło się obozem na placu Jacksona w zachodniej części parku. Wszędzie roiło się od

uzbrojonych funkcjonariuszy i psów policyjnych, zamknięto wszystkie biura i urzędy przy Jackson Place i Madison Place.

Chociaż park wyglądał tak, jakby odbywał się tam zlot gliniarzy, to i tak jeszcze więcej było tam ludzi w garniturach. Stone'a i Chapman minęła ciężarówka Biura ds.

Alkoholu, Papierosów i Broni Palnej wioząca ludzi z NRT2. Stone wiedział, że istnieją tylko trzy takie pojazdy. W ATF zatrudniano najlepszych specjalistów od ładunków wybuchowych w kraju, którzy najdalej w ciągu kilku dni potrafili dojść do tego, co wybuchło i dlaczego.

Po miejscu eksplozji kręcili się technicy w fartuchach oraz jacyś ludzie w 2 National Response Team – krajowa jednostka szybkiego reagowania.

kombinezonach, przypominający chirurgów szykujących się do operacji przeszczepu serca. W poszukiwaniu dowodów badali teren centymetr po centymetrze. Wszędzie porozstawiano małe kolorowe namiociki – przypuszczalnie każdy oznaczał jakieś ważne znalezisko.

Przynajmniej część ludzi w garniturach była z FBI. Identyfikację ułatwiał fakt, że mieli na sobie także służbowe kurtki z wielkim napisem na plecach. Pozostali należeli bez wątplenia do Secret Service, o czym świadczyły słuchawki w uszach i kwaśne miny, z jakimi obserwowali „obcych” kręcących się po ich terenie.

Stone i Chapman skierowali się ku małej grupce agentów FBI, ale zanim zdążyli tam dotrzeć, podszedł do nich wysoki mężczyzna.

– Pan Stone?

Stone zmierzył go wzrokiem.

– Tak. Słucham?

– Proszę pójść ze mną.

– Dokąd?

Mężczyzna wskazał na drugą stronę ulicy.

– Do Białego Domu? Po co?

– Przypuszczam, że zna pan agenta specjalnego Alexa Forda?

Czeka tam na pana.

Stone wskazał ruchem głowy na Chapman.

– Ona jest ze mną.

Mężczyzna przyjrzał się kobiecie.

– Agentka Chapman?

Skinęła głową.

– Proszę o dokumenty.

Pokazała mu legitymację.

– Chodźmy.

Wpuszczono ich przez główną bramę, gdzie Chapman musiała zostawić broń.

– Chcę go dostać z powrotem w nienaruszonym stanie – powiedziała do funkcjonariusza, który odbierał jej pistolet. – Jestem do niego bardzo przywiązana.

– Oczywiście, proszę pani – odparł uprzejmie.

Minęli koparkę i kilku mężczyzn w zielono-brązowych kombinezonach roboczych, karczujących pień dużego drzewa. Jeden z nich mrugnął do towarzyszki Stone'a, a ona skrzywiła się nieznacznie. Gdy tylko weszli do budynku, skrzywiła się jeszcze bardziej.

– Więc to ma być Biały Dom? – szepnęła do Stone'a.

– Nigdy tu nie byłaś?

– Nigdy. A ty?

Nie odpowiedział.

W tej samej chwili z bocznych drzwi wyszedł Alex Ford i skinął głową eskortującemu ich człowiekowi.

– Ja się tym zajmę, Chuck. Dzięki.

– W porządku.

Chuck zawrócił i skierował się w stronę, z której właśnie przyszli. Stone przedstawił Chapman i Forda, po czym zapytał:

– Dlaczego tu jesteśmy?

– Zdaje się, że niedawno widzieliście się z sir Jamesem McElroyem? – odpowiedział pytaniem Alex.

– Sir? Nie miałem pojęcia, że dostał tytuł szlachecki.

– Niespecjalnie mu na tym zależało – przyznała Chapman. – No cóż, ale nie odmawia się królowej, prawda?

– Owszem, rozmawialiśmy z nim – powiedział Stone.

– Tak dla twojej wiadomości: decyzja o tym, żeby przywrócić cię do służby, nie spotkała się z entuzjastyczną reakcją w niektórych

agencjach.

- Także w twojej?
- I w paru innych.
- Z kim mamy się spotkać?
- Z szefem personelu i wiceprezydentem.
- Jestem pod wrażeniem.
- Wiceprezydent jest głównie po to, żeby przydać spotkaniu

znaczenia.

- Co wiedzą?
 - Nie mam pojęcia. To dla mnie za wysoko.
- Zatrzymali się przed drzwiami i Alex zapukał.
- Wejść! – usłyszeli głos.
 - Gotowi? – zapytał Alex.

Stone skinął głową. Chapman poprawiła mankiety bluzki i odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

– W co ja się wpakowałam, do cholery? – wymamrotała pod nosem.

- Zadawałem sobie takie samo pytanie – rzekł Stone.

15.

Przeszli przez przedpokój i wkroczyli do gabinetu wiceprezydenta. Drugi człowiek w państwie był wysokim, siwowłosym, zażywnym mężczyzną o otwartym uśmiechu i mocnym uścisku dłoni, bez wątplenia wyćwiczonymi w trakcie niezliczonych spotkań z wyborcami.

Szef personelu z kolei był niski i żylasty, z oczami bezustannie omiatającymi okolice niczym miniaturowe czasze radarów.

Stone uświadomił sobie nagle, iż obecność wiceprezydenta mogła służyć czemuś więcej niż tylko wywarciu odpowiedniego wrażenia. Należał przecież do Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Mimo to Stone był zdziwiony, że wiceprezydent zgodził się spotkać z nim osobiście. Cóż, najwyraźniej jego też dotyczyła zasada, że nie odmawia się prezydentowi...

Wstępne uprzejmości nie trwały długo. Alex Ford zajął stanowisko przy drzwiach. Nie był już przyjacielem, tylko ochroniarzem wykonującym swoje obowiązki.

– Prezydent poprosił nas, żebyśmy się z wami spotkali – zaczął wiceprezydent.

Ruchem głowy wskazał na Chapman. – Z wami obojgiem. Zależy nam na tym, żeby jak najprędzej dojść do sedna tej, hm, delikatnej sprawy.

W myślach Stone dokonał przekładu na normalny język. Słowa wiceprezydenta znaczyły mniej więcej tyle: „To nie mój pomysł i choć staram się być lojalny wobec prezydenta, na pewno nie wezmę winy na siebie, jeśli coś pieprznie. Dlatego jest ze mną szef personelu. Jeśli mój szef chce iść na dno, to niech idzie, ale beze mnie”.

Stone zastanawiał się, czy któryś z nich wiedział o wcześniejszych planach wysłania go do Meksyku, gdzie miał pomóc przy rozwiązaniu problemów z rosyjskimi kartelami narkotykowymi. Amerykańskim prezydentom często zdarzało się

nie informować o wszystkim swoich zastępców, z kolei szefowie personelu zwykle wiedzieli tyle samo co prezydent.

Wiceprezydent skinieniem głowy dał znak szefowi personelu, który wręczył Stone'owi czarną teczkę.

– Pańskie dokumenty.

Stone powoli otworzył teczkę. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była jego fotografia.

Ciekawe, gdzie i kiedy mu ją zrobiono? Być może podczas wizyty w NIC, co oznaczało, że Riley Weaver wie o wszystkim. Na widok podpisu pod fotografią nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

Oliver Stone.

Obok leżała legitymacja służbowa, według której był pracownikiem biura krajowego koordynatora do spraw bezpieczeństwa, ochrony infrastruktury i antyterroryzmu. Stone uznał, że ma to nawet sens: koordynator zasiadał w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego i, poprzez doradcę do spraw bezpieczeństwa, podlegał bezpośrednio prezydentowi. Istniało więc co prawda nie bezpośrednio, ale jednak bliskie powiązanie z Białym Domem. Prezydent zabezpieczał się na wszystkich frontach, tak samo jak bystry wiceprezydent. W kolejnej przegródce spoczywała błyszcząca odznaka. – Interesujący wybór – zauważył.

Wiceprezydent obdarzył go nieprzeniknionym uśmiechem.

– Prawda?

Stone odczytywał już setki takich uśmiechów, więc i ten nie był dla niego szczególnie trudny. Uważa, że to wszystko jakieś szaleństwo, i przypuszczalnie ma rację.

– Ta legitymacja znaczy tyle samo co legitymacje DHS3 i FBI, jeśli nie więcej – wtrącił szef personelu. – Niewiele jest drzwi, których nie może otworzyć, a większość z nich znajduje się w tym budynku.

W takim razie miejmy nadzieję, że nie będę musiał otwierać tu żadnych drzwi, pomyślał Stone, po czym odparł:

– Dobrze się pan spisał.

Zanim zaskoczony urzędnik zdołał zareagować, Stone zwrócił się do wiceprezydenta: – A pan najwyraźniej w pełni ufa ocenie sytuacji swego przełożonego albo przynajmniej ma nadzieję, że nie popełnił zbyt poważnego błędu, obdarzając mnie takim zaufaniem.

Obaj spojrzeli na Stone'a tak, jakby nagle okazał się kimś zupełnie innym, niż przypuszczali, a wiceprezydent skinął głową.

– To dobry człowiek, więc liczę na to, że kiedy już będzie po wszystkim, okaże się, że nie zawiódł pan jego zaufania. Mam nadzieję, że pan myśli w podobny sposób.

Stone bez słowa schował do kieszeni swoje nowe dokumenty.

– Zaraz po tym spotkaniu zostanie pan zaprzysiężony przez kogoś z biura krajowego koordynatora do spraw bezpieczeństwa – poinformował go szef personelu. – Oznacza to, że będzie pan miał prawo dokonywania aresztowań i noszenia broni. Oczywiście jeśli uzna pan to za stosowne – dodał z powątpiewaniem.

Było oczywiste, że również jego zdaniem przydzielenie takich uprawnień komuś z Department of Homeland Security – Departament Bezpieczeństwa Krajowego.

takiemu jak Stone graniczyło z szaleństwem. Ciekawe, jak długo starał się przekonać prezydenta, zanim wreszcie dał za wygraną, przemknęło Stone'owi przez głowę.

– Moja przyjaciółka z MI6 ma bardzo zanego walthera PPK. Myślę, że na razie nam to wystarczy.

– Doskonale.

Wiceprezydent podniósł się z fotela na znak, że spotkanie dobiegło końca. Stone wiedział, że drugi człowiek w państwie ma bardzo napięty plan dnia i korzysta z każdej okazji, by zyskać kilka dodatkowych wolnych chwil, ale tym razem wyjątkowo zależało mu na maksymalnym skróceniu spotkania. I słusznie, pomyślał. Jeszcze parę minut i całkiem przesiąknie tą sprawą.

Wymienili uściski dłoni.

– Powodzenia, agencie Stone – powiedział wiceprezydent.

– Gdybym wiedziała, że tak łatwo zostaje się agentem amerykańskich służb specjalnych, zgłosiłabym się już dawno temu – zauważyła Chapman z przekąsem, kiedy szli korytarzem z Alexem.

– Rzeczywiście, poszło trochę za łatwo – odparł Stone, patrząc pytająco na Alexa.

– Przez piętnaście lat sporo się zmieniło – odparł agent. – Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu ludzi ma rozmaite specjalne odznaki i ani na chwilę nie rozstaje się z bronią. Nie tylko za granicą, ale nawet

tutaj. Takie czasy. – Przepuścił Angielkę przodem, a kiedy był pewien, że go nie słyszy, dodał przyciszonym głosem: – Pamiętaj, że ludzie wiedzą o powrocie Johna Carra.

- Zdaję sobie z tego sprawę.
- Znasz dużo tajemnic. Zdaniem niektórych za dużo.
- Też przyszło mi to do głowy.
- Nie musisz tego robić.
- Szczerze mówiąc, muszę.
- Dlaczego?
- Z kilku powodów.

Alex umilkł, lekko urażony.

– Wracamy do parku – powiedział Stone. – Pójdiesz z nami?

Alex pokręcił głową.

– Mam tutaj służbę. A poza tym, jak już ci powiedziałem, nie dopuszczają mnie do śledztwa. Z oczywistych powodów schowali je za Wielkim Murem.

Stone spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Podejrzewają, że był przeciek z Secret Service?

Agent niechętnie skinął głową.

– Ja w to nie wierzę, ale ostrożność nie zawadzi.

Po zaprzysiężeniu, gdy tylko Chapman odebrała swój ukochany pistolet, opuścili Biały Dom i udali się z powrotem do parku Lafayette'a.

– To miło mieć po swojej stronie prezydenta jedyne światowe supermocarstwa – zauważyła od niechcienia.

- Może.
- Usłyszę kiedyś całą historię?
- Raczej nie.

16.

Stone i Chapman machnęli odznakami i zostali wpuszczeni na teren parku.

– Od czego zaczniemy? – zapytała Chapman.

Stone wskazał na człowieka otoczonego wianuszkami funkcjonariuszy w garniturach.

– Od samej góry.

Wylegitymowali się. Kiedy mężczyzna zobaczył ich dokumenty, odszedł z nimi na bok.

– Tom Gross, FBI – przedstawił się. – Z Wydziału Antyterrorystycznego. Prowadzę tę sprawę.

Zbliżał się do pięćdziesiątki, był niższy od Stone'a, bardziej przysadzisty, z rzednącymi ciemnymi włosami i zatroskanym wyrazem twarzy, który zapewne pojawił się pierwszego dnia po wstąpieniu do Wydziału Antyterrorystycznego i już nie zniknął.

– Jesteśmy tu, bo... – zaczął Stone, ale Gross nie pozwolił mu dokończyć.

– Dzwonili już do mnie. Może pan liczyć na pełną współpracę z naszej strony. Cieszę się, że waszemu premierowi nic się nie stało – dodał Gross, patrząc na Chapman.

– Dzięki.

– Czy jakaś organizacja wzięła na siebie odpowiedzialność za zamach? – zapytał Stone.

– Jeszcze nie.

W drodze do epicentrum wybuchu Stone powiedział Grossowi, że był w parku minionego wieczoru. W trakcie ich pobytu w Białym Domu liczba namiocików oznaczających znalezione dowody rzeczowe znacznie wzrosła.

– W mediach aż huczy na ten temat, choć udało nam się nie dopuścić w pobliże żadnych dziennikarzy. Zrobiło się niezłe zamieszanie. Musieliśmy zamknąć obszar w promieniu kilku przecznic. Mnóstwo ludzi musiało się niezłe wkurzyć.

– Na pewno.

– Dyrektor zwołał konferencję prasową, na której prawie nic nie powiedział, bo nic nie wiemy. Od tej pory kontaktem z mediami zajmie się jego zastępca poprzez nasze biuro prasowe. Trochę wyprzedziliśmy ATF, ale oni mają gorzej, bo muszą zająć się samym ładunkiem.

Stone spojrział na niego z zainteresowaniem.

– A więc jesteście przekonani, że to akt międzynarodowego terroryzmu, a nie sprawa wewnętrzna?

– Tego jeszcze nie wiemy – przyznał Gross. – Mamy tylko poszlaki, takie jak ta, że celem zamachu przypuszczalnie był premier obcego rządu.

– Słusznie. Widział pan nagranie z monitoringu?

– Tak, w naszym ruchomym centrum dowodzenia. Niestety wszystkie kamery zostały uszkodzone przez wybuch. To dziwne, bo było ich mnóstwo, co najmniej z pięciu agencji, ale bomba mogła zostać celowo skonstruowana w ten sposób, żeby zakłócić sygnał.

Na twarzy Stone'a nie drgnął żaden mięsień. Wyglądało na to, że FBI nie miało dostępu do jedyne go ocalałego nagrania. Postanowił zająć się tym później.

– Skąd strzelano?

Gross wskazał na północ.

– Z ogrodu na dachu hotelu Hay-Adams. Znaleźliśmy tam mnóstwo łusek. TEC-9.

– To ciekawe... – mruknął Stone.

– Dlaczego?

– Ograniczony zasięg. W praktyce niewiele ponad dwadzieścia pięć metrów, czyli mniej niż wysokość hotelu. Poza tym z TEC-9 trudno trafić w cokolwiek, co nie stoi nieruchomo tuż przed strzelcem.

– No i nie trafili.

– Ale broni nie znaleźliście?

Agent FBI pokręcił głową.

– Jak to możliwe? – zapytała Chapman. – Czy tutaj w Stanach naprawdę można spacerować z pistoletem maszynowym pod pachą? Zawsze mi się wydawało, że to tylko wymysły naszej prasy...

– Bo to są tylko wymysły – odparł Gross z oburzeniem. – Obsługa hotelu w pełni z nami współpracuje. Ten ogród jest bardzo popularny, ale niestety nie najlepiej zabezpieczony.

Naturalnie zamknęliśmy hotel i przesłuchujemy wszystkich gości.

– Strzelali ludzie czy broń była zdalnie sterowana?

– Jeśli zdalnie, to nie znaleźliśmy żadnych śladów, które mogłyby o tym świadczyć.

Wydaje mi się, że powinniśmy brać pod uwagę wyłącznie czynnik ludzki.

– Wspomniał pan, że zamknęliście hotel...

– Tak, ale nie od razu – przyznał Gross. – Minęło trochę czasu.

– Ile dokładnie?

– Przez jakieś dwie godziny panował kompletny chaos. Gdy tylko ustaliliśmy, skąd prowadzono ostrzał, natychmiast zabezpieczyliśmy teren.

– A więc strzelcy mieli mnóstwo czasu, żeby ulotnić się razem ze sprzętem?

– Pistolety maszynowe raczej trudno przenieść niepostrzeżenie z miejsca na miejsce...

Stone pokręcił głową.

– Całkiem łatwo, jeśli ktoś wie, jak się do tego zabrać. TEC-9 można szybko rozłożyć na części i schować w teczce.

– Działaliśmy najszybciej, jak mogliśmy. Nic więcej nie dało się zrobić.

– Może ktoś w hotelu zwrócił uwagę na ludzi, którzy starali się wyjść jak najszybciej, być może z jakimś bagażem – wtrąciła agentka Chapman.

Gross jednak nie miał większych nadziei.

– Akurat wtedy kończyła się jakaś duża impreza. Był ruch jak w ulu.

– To nie przypadek – stwierdził Stone z przekonaniem. – Na pewno uwzględnili to w swoich planach.

Podszedł do nich człowiek w sterylnym kombinezonie i zdjął hełm. Został im przedstawiony jako Stephen Garchick, agent ATF.

– Możemy wejść? – zapytał Gross.

Garchick z uśmiechem skinął głową.

– Nic nie powinno was zabić.

Stone spojrział na kolorowe namiociki. Część była biała, część pomarańczowa.

Pomarańczowe zdecydowanie górowały liczebnie nad białymi i były porozstawiane w miarę równomiernie po całym parku, niemal wszystkie białe natomiast znajdowały się w jego zachodniej części.

– Pomarańczowe to szczątki bomby, a białe to pociski? – zapytał.

Garchick z uznaniem skinął głową.

– Zgadza się. Jak widać, odłamków jest znacznie więcej.

– Jakiego użyto materiału wybuchowego, agencie Garchick?

– Wystarczy „Steve”. Jeszcze nie wiemy, ale z pewnością czegoś mocnego.

– Pewnie C-4 albo semteksu... – mruknął Stone. – Oba mają bardzo dużą siłę rażenia.

– Zniszczenia są tak duże, że nie wykluczamy, że ładunek przygotowano z kilku składników. Może to było CL-20, jeden z najsilniejszych niejądrowych materiałów wybuchowych? Nawet jeśli tak, to nie pochodził z zapasów wojskowych.

– Skąd wiecie? – zdziwił się Stone.

– Biały dym na nagraniu wideo – wtrąciła Chapman. – Wersja wojskowa dymi na czarno.

Agent ATF uśmiechnął się z uznaniem.

– Widzę, że znacie się na rzeczy. Zbieramy wszystko i pobieramy próbki gruntu z miejsca eksplozji. – Wskazał na dwa czarne labradory przeszukujące teren z przewodnikami. – Roy i Wilbur. To imiona psów, nie ich przewodników. Najlepsze i najtańsze wykrywacze materiałów wybuchowych na świecie. Każdy z nich w ciągu dwóch godzin potrafi przeszukać całe lotnisko, więc ten park to dla nich fraszka. Znajdą resztki materiałów wybuchowych, których moi ludzie nigdy nie odszukaliby nawet z pomocą najnowocześniejszego sprzętu.

– Imponujące – przyznała Chapman.

– Jeszcze nie skonstruowano urządzenia, które dorównałoby czułością psiemu nosowi – ciągnął Garchick z entuzjazmem. – Wszystkie dowody przewieziemy do naszego centrum badawczego

w Marylandzie. Możemy tam spalić dwupiętrowy budynek pod specjalnym namiotem, dzięki któremu przechwycimy do analizy każdą cząsteczkę powietrza. Niedługo się dowiemy, czego tutaj użyto.

– A co z facetem, który wskoczył do dziury? – zapytał Stone. – Zostało coś z niego?

Garchick skinął głową.

– Po wybuchu bomby szczątki są rozrzucone we wszystkie kierunki. Znaleźliśmy je w koronach drzew i na dachach pobliskich domów nawet dwie przecznice stąd. Część stopy wylądowała na trawniku przed Białym Domem, a fragment palca wskazującego na dachu kościoła Świętego Jana. Oprócz tego mnóstwo niezidentyfikowanych tkanek, resztki mózgu i takie tam. Raj dla chłopaków od DNA. Jeśli gość figurował w jakiejś kartotece, szybko go namierzemy. Teraz pracujemy szybciej, bo najpierw weszliśmy z psami, żeby przeszukały teren.

– Powtórny atak – domyślił się Stone.

– Właśnie. Nauczyły nas doświadczenia z Iraku i Afganistanu. Wybuch bomb, wszyscy rzucają się na pomoc, a wtedy wybuch druga, silniejsza. Ale tym razem niczego nie znaleźliśmy. Nasze labradory są wyjątkowe – ciągnął Garchick z dumą. – Wybrane spośród innych w szkołach dla psów policyjnych. Potrafią wywęszyć dziewiętnaście tysięcy materiałów wybuchowych należących do wszystkich pięciu grup. Szybko się uczą, bo są cholernie łakome. Za żarcie zrobią wszystko.

– Nie da się ich oszukać?

– Podam taki przykład: Roy, którego tam widzicie, znalazł kostkę C-4 owiniętą w brudne pieluchy, posypaną kawą, zamkniętą w torbie foliowej, zatopioną w betonie i zamkniętą w kontenerze. Potrzebował na to trzydziestu sekund.

– Jak to możliwe? – zapytała Chapman.

– Jeśli dysponujemy wystarczająco czułymi detektorami, to nasi przeciwnicy są praktycznie bez szans, bo wykryjemy minimalną ilość cząsteczek zapachowych. Dobrze wyszkolony pies praktycznie nie da się nabrać, choć możecie mi wierzyć, że wielu już próbowało przechytrzyć zwierzę.

– W jaki sposób zdetonowano ładunek? – zapytał Gross.

Agent ATF wzruszył ramionami.

– Podstawowa zasada: do zrobienia bomby potrzeba zapalnika, źródła energii i materiału wybuchowego. Bomba to po prostu coś, co bardzo gwałtownie zwiększa swoją objętość. Bomby można detonować na wiele sposobów, ale dwa najczęściej stosowane to zapalnik czasowy oraz coś, co nazywamy impulsem bezpośrednim.

– Czyli eksplozję inicjuje osoba obecna na miejscu wybuchu? – upewniła się Chapman.

– Tak. Sam zamachowiec albo ktoś inny. Ten „ktoś inny” to czynnik zabezpieczający, na wypadek gdyby zamachowca w ostatniej chwili naszły wątpliwości.

Przypuszczalnie co najmniej połowa rzekomych samobójczych ataków w Iraku to wybuchy wywołane przez kogoś innego niż zamachowiec.

– Rozumiem, że był pan tam? – zapytał Gross.

Garchick skinął głową.

– Cztery razy. I szczerze mówiąc, mam nadzieję, że już tam nie wrócę.

– Gdzie więc właściwie była ta bomba? – odezwał się Stone. – Przy grubasie?

– To raczej niemożliwe.

– Dlaczego?

– Pies namierzyłby go dużo wcześniej.

– W jaki sposób?

– Chodźcie, pokażę wam.

17.

Garchick zaprowadził ich do punktu dowodzenia ATF, pstryknął paroma przełącznikami i na jednym z monitorów pojawił się zapis zarejestrowany minionego wieczoru przez jedną z kamer. W pewnej chwili zatrzymał odtwarzanie i wskazał na znieruchomiałą obraz.

– Widzicie?

Grubas w dresie mijał właśnie dwóch umundurowanych funkcjonariuszy z psem. Od psiego nosa dzieliło go nie więcej niż trzydzieści centymetrów.

– Czy to pies szkolony do wykrywania materiałów wybuchowych? – zapytała Chapman.

– Tak jest. Należy do Secret Service. Nie sądzę, żeby ich psy były lepsze od naszych, ale nawet gdyby były dużo gorsze, to i tak z tej odległości bez trudu wyczułyby nawet śladowe ilości materiału wybuchowego, a co dopiero mówić o całej bombie. Pies albo dostałby szau, albo zasygnalizował znalezienie czegoś podejrzanego w sposób, jakiego go nauczono, czyli usiadłby i znieruchomiał. Ten pies tego nie zrobił.

– A przede wszystkim, gdyby ten człowiek miał przy sobie bombę, na pewno omijałby psy szerokim łukiem – odezwał się Stone. – Mógł podejrzewać, że są specjalnie szkolone.

– Co oznacza, że nie mieliśmy do czynienia z zamachem samobójczym – stwierdził Gross. – Facet wskoczył do dołu, żeby ukryć się przed kulami, a tam znajdowała się bomba.

– Czyli jednak odnotowaliśmy pewien postęp – zauważył Stone. – Wykluczyliśmy grubasa z grona podejrzanych.

– Może to był zapalnik dotykowy? – zastanawiała się Chapman. – Gość skoczył prosto na niego i bum!

– Możliwe – zgodził się Garchick bez entuzjazmu. – Czyli detonacja nastąpiłaby przypadkowo?

– Mniej więcej. Znaleźliście coś, co pozwoliłoby precyzyjnie określić, jakiego użyto zapalnika?

– Wciąż szukamy wśród tego miliona szczątków. Sprawę komplikuje fakt, że tu wszędzie jest mnóstwo elektryczności statycznej.

– Która także może zdetonować ładunek wybuchowy – uzupełniła Chapman.

– Otóż to.

– Ktoś, kto zadał sobie tyle trudu, żeby umieścić bombę w parku Lafayette'a, powinien chyba skonstruować ją w taki sposób, żeby nie wybuchła przypadkiem? – zauważył Gross.

– Być może ci, którzy ją tu ukryli, znali się na swojej robocie lepiej niż ten, kto ją skonstruował – odparł Garchick. – To nie jest aż tak mało prawdopodobne, jak pan myśli.

Albo ktoś przypadkowo wysłał impuls na częstotliwości, na którą był dostrojony zapalnik.

– Grubas miał przy sobie iPod'a – przypomniał Gross. – Może to on był źródłem zakłóceń?

– Niewykluczone.

– Czy jednak mamy stuprocentową pewność, że wybuch nastąpił właśnie w tej dziurze? – zapytała Chapman. – Mam wrażenie, że za wcześnie to założyliśmy.

– Rzeczywiście, nie zakończyliśmy jeszcze wszystkich badań i pomiarów, ale raczej możemy przyjąć, że tak właśnie było – odparł Garchick.

– Czy nikt nie ma wątpliwości co do tego, że wybuch nastąpił przez przypadek? – odezwał się Stone.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

– Najmniejszych – odpowiedział Gross. – Po co mieliby detonować ładunek w chwili, kiedy szanse na zabicie premiera były praktycznie równe zeru?

– Chyba że zastosowali zapalnik czasowy – powiedziała Chapman. – Premier miał przecież iść przez park. Nie mieli możliwości zatrzymania mechanizmu zegarowego ani nie mogli go przestawić.

– A to, że eksplozja nastąpiła w chwili, kiedy do dziury wskoczył grubas, było całkowitym przypadkiem – uzupełnił Garchick. – Wszystko się zgadza.

– Wcale nie – sprzeciwił się Stone. – Nic się nie zgadza. Zapominacie o strzałach. Po co i strzelanina, i bomba? Ci, co strzelali, wiedzieli przecież, że premiera nie ma w parku.

– Niekoniecznie – odparła Chapman. – Pokażę ci coś.

Wyszli na zewnątrz. Wskazała na drzewa rosnące przed hotelem.

– Te drzewa zasłaniają widok z dachu na to, co dzieje się w parku. Usłyszeli syreny, być może mignęła im jadąca ulicą kolumna samochodów. Kiedy uznali, że premier miał dość czasu, żeby wysiąść z limuzyny i wejść do parku, zaczęli strzelać.

Stone nie był przekonany.

– Naprawdę myślisz, że przygotowali taki precyzyjny plan tylko po to, żeby w decydującej chwili strzelać na oślep? – Pokręcił głową.

– Gdybym ja to organizował, zadbałbym o to, żeby mieć przynajmniej jednego obserwatora mającego cały czas oko na premiera i ten ktoś przez radio informowałby o wszystkim strzelców na dachu. Na pewno nie otwierałbym ognia, nie widząc celu. Gdyby premier jednak nie zjawił się w parku, po prostu odwołałbym imprezę, ale jeśliby się tam pojawił, nie mógłbym pozwolić sobie na to, żeby chybić.

– A oni w ogóle nikogo nie trafili – zwrócił uwagę Gross.

Garchick skinął głową.

– To rzeczywiście zagadkowa sprawa.

– A jak ty byś to zorganizował, Steve? – zapytał Stone.

– Jeżeli chodzi o bombę, to raczej nie posłużyłbym się zapalnikiem dotykowym, bo one potrafią płątać figle, szczególnie w takich warunkach. Sami pomyślcie: wielka dziura w ziemi, w niej duże drzewo, a do tego bomba. W którym miejscu? Między korzeniami? Z boku? Pod drzewem? Przecież to wielki ciężar. W dodatku dokoła cały czas kręcą się ludzie, kopią, poprawiają, przesuwają... Łatwo o przypadkowe spowodowanie eksplozji. Oczywiście bombę można zakopać, ale jak ją potem zdetonować? Nie bez powodu ten rodzaj zapalnika nazywa się dotykowym. Ja raczej skorzystałbym z zapalnika uruchamianego drogą radiową.

Uaktywnić go można nawet przez telefon komórkowy, co znacznie ułatwia działanie.

Telefony komórkowe dość łatwo zidentyfikować nawet na podstawie bardzo drobnych fragmentów, podobnie jak karty SIM, może więc uda nam się dojść do tego kto, gdzie i kiedy go kupił. Oczywiście jeden telefon służący jako zapalnik to za mało; musiał być i drugi, z którego zadzwoniono. Na miejscu wybuchu znaleźliśmy przewody, fragmenty układów scalonych i plastikowej obudowy, kawałki skóry...

– Skóry? – przerwał mu Stone.

– Tak. Takiej, z jakiej robi się buty albo na przykład futerały do komórek. Są na niej ślady materiału wybuchowego, ale trochę jeszcze potrwa badanie, które wykaże, czy to wszystko ma bezpośredni związek z eksplozją.

– Skóra mogła pochodzić z butów grubasa – podsunęła Chapman. – Były skórzane, prawda?

– Tak, ale kolor się nie zgadza. Na nagraniu widać wyraźnie, że buty grubasa były granatowe.

– Przebarwienia mogły powstać w wyniku eksplozji...

– Ale i tak widać, że skóra była brązowa. Może nie mieć nic wspólnego z tą sprawą.

– Czyli chwilowo nie potraficie określić sposobu wywołania eksplozji? – zapytał Gross.

– Niestety nie.

– A dlaczego jesteście przekonani, że bomba na pewno znajdowała się w dole wykopanym pod drzewo?

– Chodźcie – powiedział Garchick i zaprowadził ich na krawędź dziury. – Popatrzcie sami. Siła wybuchu wypchnęła drzewo, a wierźcie mi, nie było lekkie.

Sam otwór w ziemi poszerzył się i pogłębił, upodabniając się do leja.

– Czego konkretnie szukamy? – zapytał Gross.

– Dziura w ziemi już była, bo wykopano dół pod drzewo.

– Zgadza się. A więc?

Garchick zacisnął pięść, podniósł ją i opuścił gwałtownie.

– Jeśli uderzyć pięścią w wodę, spora część wody rozpryskuje się na boki i w górę.

Tak samo dzieje się z bombą. Jeżeli bomba jest umieszczona nad ziemią, działa jak pięść: siła uderzenia działa w dół i na boki, ale też w górę. Jeżeli jednak ładunek umieszczono pod ziemią, prawie cała siła eksplozji będzie skierowana w górę. Gwałtownie uwolniona energia poszuka ujścia tam, gdzie napotka najmniejszy opór.

– Tworząc krater znacznie większy niż wtedy, gdyby wybuch nastąpił nad ziemią – uzupełnił Stone.

– W tym wypadku mamy do czynienia z bombą zakopaną w ziemi, zgadza się? – zapytał Gross, patrząc na nich wyczekująco.

– Chciałbym móc to przyznać z całą pewnością. – Agent westchnął. – Zwykle to najprostsza rzecz do ustalenia, ale tym razem sprawę komplikuje fakt, że jeszcze przed wybuchem w tym miejscu była duża dziura w ziemi.

Gross sprawiał wrażenie lekko zdezorientowanego.

– Czyli?

Stone pospieszył z odsieczą Garchickowi:

– Czyli na razie nie sposób stwierdzić, czy bomba została zakopana w ziemi, czy umieszczona w korzeniach drzewa. Zgadza się?

– Tak – potwierdził Garchick.

– A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – odezwała się Chapman.

– Tak czy inaczej, bomba była w tej dziurze.

– Owszem, ale trzeba ustalić, w jaki sposób ją tam umieszczono – odparł Gross. – To park Lafayette’a, a nie jakiś zaułek w Bagdadzie.

Stone rozejrzał się dokoła. Strzelanina i atak bombowy praktycznie naprzeciwko siedziby prezydenta. Wyjaśnienie mogło być tylko jedno.

– Ktoś zdradził.

– A gdyby premier nie skręcił nogi, już by nie żył – dodała Chapman.

Stone spojrział na nią.

– W dodatku udało im się podłożyć bombę w parku Lafayette’a, naprzeciwko Białego Domu, jednego z najlepiej strzeżonych miejsc na świecie. W jaki sposób?

18.

Po jakiejś minucie milczenia Gross odpowiedział: – Nie mam pojęcia, jak to było możliwe. Przecież to miejsce jest pod stałą obserwacją!

– To prawda – potwierdził Garchick.

Całkowita prawda, pomyślał Stone.

– Mimo to wszystko świadczy o tym, że tak właśnie się stało. W tym dole ukryto bombę.

Gross spojrział najpierw na Chapman, a potem na Stone'a.

– Zdajecie sobie sprawę, jak szerokie jest grono ludzi, którzy mogli maczać w tym palce?

– Na początek potrzebujemy listę osób, które miały cokolwiek wspólnego z wykopaniem tej dziury i przesadzeniem drzewa. Zwykle zajmuje się tym Krajowa Straż Parkowa, ale z pewnością uczestniczyli w tym też ludzie z zewnątrz.

Gross wyjął komórkę, odszedł dwa kroki na bok i wybrał numer, Stone zaś zwrócił się do agenta ATF:

– Co po tym, jak już ustalicie, co to za bomba?

– Uruchomimy Wydział Monitoringu Materiałów Wybuchowych. Wchodzi w skład ATF i obejmuje zasięgiem działania cały świat. Każdy zamachowiec przygotowujący bomby ma coś w rodzaju podpisu: to formuła, której się trzyma i której stara się nie zmieniać. Z bardzo prostego powodu...

– Oczywiście – wtrąciła Chapman. – Żeby nie wylecieć w powietrze, poszukując nowej.

– Otóż to. Poza tym fachowcy od bomb zwykle lubią wypróbować swoje wynalazki, dzięki czemu mamy szansę złapać ich jeszcze przed zamachem. Jakoś nie przyjdzie im do głowy, żeby po prostu sprawdzić wszystkie przewody i połączenia, bo materiał wybuchowy i tak eksploduje. Jeśli coś zawodzi, to oprzyrządowanie.

– A może po prostu lubią wybuchy, i tyle? – zasugerowała Chapman.

– To też na pewno odgrywa jakąś rolę – zgodził się Garchick. – Tak czy inaczej, sprawdzimy, czy ktoś już konstruował podobne bomby. Niektóre z tych „podpisów” potrafię rozpoznać na pierwszy rzut oka, ale tutaj nie widzę nic znajomego.

– Coś jeszcze? – zapytał Stone.

– Na razie nie.

– W porządku, dzięki. Proszę zawiadomić agenta Grossa, jak tylko coś znajdziecie.

Garchick odszedł, a Gross schował telefon do kieszeni i dołączył do nich.

– No dobra, narobiłem zamieszania, a teraz możemy wracać do roboty.

Stone przesunął wzrokiem po miejscu wybuchu.

– Zacznijmy od samego początku: kto był celem zamachu?

– To oczywiste – odparł Gross, patrząc na Chapman. – Brytyjski premier.

– Przecież nie było go w parku...

– Ale miał być mniej więcej właśnie wtedy, kiedy wybuchła bomba. Bez względu na to, co mówił Garchick, z pewnością miała zapalnik czasowy. Przypadek sprawił, że na ułamek sekundy przed eksplozją do dołu wskoczył grubas w dresie.

Stone pokręcił głową.

– Taka operacja wymaga najwyższej precyzji. Przypadkowy wybuch oznacza fiasko całego planu. Nie będą już mieli szansy na powtórkę, bo postawili wszystkich na nogi. Twoja teoria nie wyjaśnia też ostrzału z dachu.

– To prawda – przyznał Gross. – Jeśli spojrzeć z tej strony, to nie ma większego sensu.

Stone przeniósł wzrok na Chapman.

– Jesteś pewna, że premier zamierzał przespacerować się parkiem? Od kogo to wiesz?

– To informacja z jego bezpośredniego otoczenia.

Stone spojrział w kierunku północnego wejścia do parku, usiłując odtworzyć w pamięci to, co widział minionego wieczoru. Z jakiegoś powodu miał problemy z przypomnieniem sobie wielu szczegółów.

Może to z powodu uderzenia w głowę? A może, przemknęła mu niewesoła myśl, to po prostu starość?

Razem z Grossesem wjechali na dach hotelu i obejrzelili znajdujący się tam ogródek.

Istotnie, rosnące w parku drzewa prawie całkowicie zasłaniały widok.

– Strzelali na ślepo – stwierdził Gross. – Gdyby mieli czujkę w parku, wiedzieliby, że premiera tam nie ma.

Na posadzce widniały liczne znaki wykonane kredą. Każdy oznaczał jedną znaną łuskę.

– TEC-9 – ciągnął Gross. – Tak jak mówiłem. Ponad dwieście wystrzelonych pocisków, więc prawie na pewno strzelano co najmniej z dwóch sztuk broni.

– Zgadza się. – Stone także przyglądał się posadzce. – Na niższych piętrach nikt niczego nie słyszał ani nie widział?

– Jestem przekonany, że mnóstwo ludzi dużo słyszało i widziało. Problem w tym, czy potrafią to sobie przypomnieć i opowiedzieć nam w sensowny sposób.

– Oczywiście sprawdzicie, czy łuski pasują do pocisków znalezionych w parku?

– Już to zrobiliśmy. Nie ma najmniejszej wątpliwości.

– To dobrze – powiedział Stone. – Bo w każdej innej kwestii jest mnóstwo wątpliwości.

19.

Później tego samego wieczoru Stone i Chapman wrócili do domku Stone'a. Annabelle zobaczyli zaraz po otwarciu drzwi, siedziała w fotelu przy kominku. Stone przedstawił jej Chapman i już miał coś dodać, kiedy Annabelle wręczyła mu rosyjską książkę.

– Pewnie chciałbyś to odzyskać. Czy nadal wybierasz się w podróż?

Stone zmarszczył brwi.

– Annabelle, powinnaś pamiętać, że istnieją granice prywatności, których nie powinno się przekraczać. Ja nigdy nie naruszałem twoich.

– Nie uda ci się wywołać u mnie poczucia winy, więc nawet nie próbuj. Nie znam cię zbyt długo, ale mimo to pamiętam co najmniej pięć okazji, kiedy o mało co nie straciliśmy cię na zawsze.

Chapman spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Wydawało mi się, że od jakiegoś czasu już nie pracujesz?

– Zgadza się – odparła kwaśno Annabelle. – Wyobraź więc sobie, co będzie teraz, kiedy wróci do pracy.

Stone odłożył książkę na biurko.

– Jestem chyba wystarczająco duży, żeby samodzielnie podejmować takie decyzje. A jeśli chodzi o twoje pytanie, to nie, podróż została przełożona.

– Jaka podróż? – zainteresowała się Chapman.

Stone nie uznał za stosowne odpowiedzieć na to pytanie.

– Ale znowu pracujesz dla rządu, prawda? – atakowała wciąż Annabelle.

– Jak już powiedziałem: jestem dorosły i sam podejmuję takie decyzje.

– Dlaczego się zgodziłeś? Po tym wszystkim, co ci zrobili...

– Właśnie, dlaczego? Myślę, Oliverze, że wszyscy zasługujemy na odpowiedź.

Odwrócili się. W drzwiach stali Reuben Rhodes, Harry Finn i Caleb Shaw.

– Zaczynam się czuć jak na dworcu Waterloo – mruknęła Chapman, kiedy tamci weszli do środka.

Stone opuścił wzrok.

– Tego nie da się tak łatwo wyjaśnić...

– Wyjaśnij więc przynajmniej, dlaczego nie pracujesz nad sprawą tego wybuchu w parku – zażądała Annabelle.

– Ależ on właśnie to robi! – oświadczył Alex Ford, wchodząc do domku.

– Do licha! – wymamrotała Chapman. – Powinieneś chyba wymienić zamki w drzwiach!

Alex stanął przy kominku i zwrócił się do Stone'a: – Sam im powiesz, czy ja mam to zrobić?

– O czym? – zapytała Annabelle.

– O tym, że dzisiaj dostał zadanie i odznakę. Jest zaprzysiężonym agentem agencji rządowej, współpracującym z obecną tu agentką Chapman z MI6. Mają ustalić, kto próbował wczoraj wysadzić w powietrze brytyjskiego premiera.

– Wielkie dzięki za dyskrecję, Alex – wycedził Stone, przeszywając przyjaciela lodowatym wzrokiem.

– Od kiedy to potrzebujemy dyskrecji we wzajemnych stosunkach? – odezwał się Reuben. – Ile razy ratowałem twój tyłek, Oliverze? Ile razy ryzykowałem dla ciebie życie? Ile razy ty robiłeś to samo dla mnie?

– I dla nas wszystkich – dodała Annabelle.

– Teraz jest inaczej – powiedział Stone.

– Dlaczego? Bo masz odznakę? – warknął Reuben.

– Dołączyłeś do ludzi, którzy bardzo cię skrzywdzili – rzekła Annabelle. – Stąd nasze zdumienie. Szczególnie po tym, co zdarzyło się w Divine. Jak nic pozwoliliby ci zgnić w tym więzieniu.

– I gdyby nie wy, pewnie tak by się stało – odparł Stone cicho. – Wiem o tym.

– Więc dlaczego? – zapytała ponownie.

– Tak jak powiedziałem: teraz jest inaczej. Bardzo trudno to wyjaśnić. Właściwie to chyba niemożliwe.

– Jednak bylibyśmy wdzięczni, gdybyś spróbował.

Twarz Stone'a znieruchomiła jak maska.

– Uważacie chyba, że mam obowiązek tłumaczyć się przed wami, chociaż wcale tak nie jest.

Annabelle wyglądała tak, jakby uderzył ją w twarz. Reuben spojrzał na niego z niedowierzaniem, a Caleb aż otworzył usta ze zdumienia.

– Cóż, chyba nie potrzebuję dokładniejszych wyjaśnień – wykrztusiła wreszcie Annabelle, odwróciła się i wyszła.

Reuben pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie zasłużyła sobie na to, Oliver. Nikt z nas sobie na to nie zasłużył.

– Tak właśnie musi być. Przykro mi, Reuben.

– W porządku. Możesz być pewien, że przyjdę na twój pogrzeb.

Reuben także wyszedł. Caleb już ruszył za nim, ale zatrzymał się i obejrzał na Olivera.

– Pierwszy raz cieszę się, że Milton nie żyje. Przynajmniej tego nie słyszy.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział Harry Finn, po czym razem z Calebem wyszedł z domku.

Ze Stone'em zostali tylko Alex i Chapman. Stone zerknął na agenta Secret Service.

– Ty też zamierzasz mnie przekonywać, że źle postąpiłem?

– Nie. Podejrzewam, że wiesz, co robisz, nawet jeśli nie bardzo mi się to podoba.

Dostrzegam natomiast spory problem, jeśli chodzi o waszą teorię dotyczącą eksplozji.

– Skąd wiesz, jaką mamy teorię? – zapytał Stone. – Nie wydaje mi się, żebyś uczestniczył w tym śledztwie.

– Z czysto technicznego punktu widzenia nie uczestniczę, ale słyszy się to i owo...

– W takim razie co jest nie tak z naszą teorią? – odezwała się Chapman.

– Nasze psy sprawdziły wcześniej cały park.

– Kiedy dokładnie?

– Nie znam godziny, ale chyba zauważyłeś funkcjonariuszy z psem przy północnym wejściu do parku?

– Widziałem ich na nagraniu.

– Domyślasz się więc chyba, że nie wyprowadzili go na spacer.

– Czy sprawdzanie całego parku do rutynowe działanie?

– Raczej tak. To nie zajmuje wiele czasu.

– Chcesz powiedzieć, że gdyby bomba była tam wcześniej, pies by ją wyczuł? – zapytała Chapman.

– To oczywiste.

– Oczywiście jest na razie tylko to, że wybuchła! – odparła.

– Powiedziałem wam tylko to, co wiem. Chyba już pora na mnie.

– Alex, naprawdę nie chcę, żeby to się tak skończyło... – powiedział Stone.

– Ale wygląda na to, że jednak tak się stało, co? Mam nadzieję, że sobie poradzisz, Oliverze. Naprawdę.

Wyszedł. Chwilę potem usłyszeli odgłos uruchamianego silnika.

– Masz dobrych przyjaciół. Chyba im na tobie zależy.

– A mnie na nich.

– Kim oni są?

– To nieistotne.

– Kim był ten Milton, o którym wspomnieli?

– Jednym z nich.

– Jak zginął? W wypadku?

– Nie. Od pocisku z wielkokalibrowej broni.

Chapman nie zdążyła powiedzieć nic więcej, ponieważ zadzwoniła komórka Stone'a.

Telefnował Gross. Stone słuchał przez chwilę w milczeniu, po czym zakończył połączenie i schował telefon.

– Mamy kobietę z nagrania.

– Złapali ją?

– Nie. Sama zgłosiła się do FBI.

20.

– Nazywam się Marisa Friedman – przedstawiła się kobieta, kiedy Stone i Chapman usiedli naprzeciwko niej i Toma Grossa w waszyngtońskiej placówce FBI znanej wszystkim agentom pod kryptonimem WFO. Stone przyjrzał się jej uważnie. Z bliska i w dobrym oświetleniu wyglądała na osobę bliższą trzydziestki niż czterdziestki. Mogła być odrobinę wyższa od Chapman i miała jasne, lekko kręcone, opadające na kark włosy. Z pewnością nie był to ich naturalny kolor. Oczy miały piękny niebieski kolor, twarz była interesująca, o ostro zarysowanej brodzie i wyrazistych ustach. Eleganckie ubranie nosiła z wdziękiem i jakby od niechcenia. Atrakcyjnej całości dopełniały delikatna biżuteria i dyskretny makijaż.

– Pani Friedman sama zgłosiła się do nas, gdy tylko dowiedziała się o tym, że szukamy osób, które wczorajszej nocy przebywały w parku – wyjaśnił Gross.

Kobieta pokręciła głową.

– Muszę przyznać, że doznałam szoku, kiedy to się stało. Strzelanina zaczęła się w chwili, kiedy dotarłam do H Street. A potem ten wybuch...

Wzdrygnęła się.

– Skąd się pani dowiedziała, że FBI pani szuka? – zapytał Stone.

– Przyjaciółka oglądała wiadomości i zadzwoniła do mnie.

Stone spojrzał pytająco na Grossa, który wyjaśnił: – W takich sytuacjach prosimy media o pomoc. Zwykle z dobrym skutkiem.

– W moim przypadku z pewnością to zadziałało – powiedziała Friedman. – Tak czy inaczej, przypuszczalnie by się pani domyśliła, że policja chętnie zamieniłaby z panią kilka słów – zauważył Stone.

– Pewnie tak, choć nie mam doświadczenia w takich sprawach. Z policją miałam do czynienia tylko raz w życiu, kiedy kilka lat temu włamano się do mojego domu.

– Czy może nam pani opowiedzieć, co widziała? – zapytał Gross.

– Dym, biegnących ludzi, krzyki... – Głos jej zadrżał. – Bałam się jak nigdy w życiu.

– Wcześniej siedziała pani na ławce w parku, zgadza się? – zapytał Stone.

– Owszem.

– Czy nie było na to trochę za późno?

– Pracuję tuż przy parku, po jego zachodniej stronie.

– Jackson Place? – upewnił się Stone.

– Tak. Większość firm i urzędów ma coś wspólnego z Białym Domem, ale szczęśliwym trafem udało mi się wynająć tam biuro. Wyszłam późno z pracy. Wieczór był tak ładny, że usiadłam na ławce i chyba nawet się na chwilę zdrzemnęłam. Zwykle mi się to nie zdarza, ale wczoraj tak właśnie było. Miałam bardzo męczący dzień. Wiem, że park to chyba najlepiej strzeżone miejsce w Waszyngtonie, więc czułam się zupełnie bezpiecznie. – Roześmiała się z goryczą. – Jak się okazało, nie miałam racji, a w dodatku wybrałam niewłaściwą porę. – Ponownie się wzdrygnęła. – Chwila relaksu w parku zamieniła się w wyprawę wojenną. Przez chwilę wydawało mi się, że kręcą jakiś film.

– Ale pociski i bomba były prawdziwe.

– Właśnie.

– Czym się właściwie pani zajmuje? – zapytał Gross.

Uśmiechnęła się.

– W tym mieście w pobliżu Białego Domu pracują ludzie tylko dwóch specjalności.

– Prawnicy i lobbyści – domyślił się Stone.

– Brawo. – Założyła nogę na nogę i poprawiła spódniczkę, odsłaniając na chwilę spory fragment uda. Stone był przekonany, że zrobiła to celowo i że była to taktyka, którą od dawna stosowała podczas spotkań z mężczyznami. Rzut oka na Grossa pozwolił mu stwierdzić, że ten również zwrócił na to uwagę, a kiedy spojrzał na Chapman, ta wydeła wargi i przewróciła oczami. Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus, przemknęło mu przez głowę.

– A do której grupy pani należy? – zapytał.

– Właściwie do obu.

Gross odchrząknął, po czym zapytał:

– A czyje interesy pani reprezentuje?

Kobieta spojrzała na niego.

– Praca lobbysty jest ujęta w niezwykle precyzyjnie określone ramy prawne, więc lista moich klientów jest ogólnie dostępna, ale to nie ma żadnego związku z wydarzeniami minionej nocy.

– Mimo to musimy sprawdzić.

– Sprawdzajcie więc, to nic trudnego. Wśród moich klientów nie ma nikogo nadzwyczajnego. Przemysłowcy, handlowcy, jest też paru klientów zagranicznych.

– Do kogo pani dzwoniła?

Było widać, że jest zaskoczona tym pytaniem.

– Ja też tam wczoraj byłem – wyjaśnił. – Poza tym park przez dwadzieścia cztery godziny na dobę znajduje się pod nadzorem kamer. Rozmawiała pani przez telefon.

– No cóż, widzę, że Wielki Brat żyje i ma się dobrze – odparła pozornie lekkim tonem, lecz na jej wysokim czole pojawiły się głębokie bruzdy. – Dlaczego to takie ważne?

– Możemy z łatwością uzyskać tę informację z innych źródeł – wtrącił się Gross. – Oszczędzi nam pani czasu, jeśli zechce pani z nami współpracować, choć naturalnie...

Spojrzała na niego ze znużeniem.

– Tak, tak, wiem... Jeśli nie będę współpracować, to może znaczyć, że próbuję coś ukryć... To naprawdę śmieszne. Rozmawiałam ze znajomym, i tyle.

– Pani Friedman, w pobliżu Białego Domu zdetonowano ładunek wybuchowy. W takim śledztwie liczy się każdy szczegół i nic nie jest śmieszne. Czy może pani podać nazwisko znajomego i powiedzieć, o czym rozmawialiście?

– To po prostu znajomy, nie rozumiem dlaczego...

– Nazwisko? – przerwał jej Gross tonem świadczącym o tym, że jeszcze chwila i przestanie być uprzejmy.

Kobieta pochyliła głowę.

– Ten znajomy... – powiedziała znacznie ciszej. – On jest żonaty.

– I co z tego? – zapytała Chapman ze złośliwym błyskiem w oku.

– To, że nie ze mną... I że łączy nas coś więcej niż zwykła znajomość.

Ponownie założyła nogę na nogę i pokazała kawałek uda, lecz tym razem ręce jej drżały, a niedawna pewność siebie gdzieś się ulotniła. Chapman przyglądała się kobiecie z wyraźną niechęcią, a Gross nawet nie zerknął na jej nogi.

– Mogę panią zapewnić, że nie interesuje nas życie osobiste pani... znajomego – powiedział agent FBI.

– To dobrze – odparła Friedman z ulgą.

– Mimo to nadal muszę poznać jego nazwisko i temat waszej rozmowy.

Westchnęła z rezygnacją.

– W porządku. Willis Kraft. Mieszka w Potomac, a rozmawialiśmy o... o sprawach osobistych.

– Domyślam się, że żona go nie rozumie? – wtrąciła się Chapman, przeszywając Friedman spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

Przez chwilę kobiety bez słowa mierzyły się wzrokiem. Z tego pojedynku zwycięsko wyszła brytyjska agentka.

– Nie zgłosiłam się do was po to, żeby ktoś oceniał moje życie – zwróciła się Friedman do Grossa.

– Nikt nie zamierza tego robić – zapewnił ją pospiesznie.

– Dlaczego więc musimy o tym mówić?

– Jak już wspomniałem, sprawy osobiste pani znajomego nic nas nie obchodzą, a do tego potrafimy być bardzo dyskretni. Proszę podać nam jego dane kontaktowe, a my zajmiemy się resztą.

Zrobiła to, a wtedy Stone zapytał:

– Widziała pani otyłego mężczyznę w dresie?

– Owszem.

– Miała pani okazję mu się przyjrzeć?

– Nie bardzo. – Zmarszczyła nos. – Był wyjątkowo gruby i pomyślałam, że jest ostatnim człowiekiem na świecie, którego spodziewałabym się zobaczyć w dresie.

– Czy widziała pani mężczyznę w garniturze, z teczką w ręce? – pytał dalej Stone. – Był przy pomniku von Steubena w północno-zachodniej części parku.

– Nie. Tam rośnie dużo drzew i jest dość ciemno, nawet przy włączonych latarniach.

– To prawda – przyznał Stone. – Jednak wyszliście niemal równocześnie, w dodatku w tym samym kierunku.

– Nic o tym nie wiedziałam. Byłam zajęta szukaniem biletu w torebce.

– Szła pani na McPherson Square? – zapytał Stone. – Czy na Farragut West?

– McPherson. Ta stacja jest bliżej parku. Mieszkam w Falls Church. Nie mam samochodu, więc zawsze jeżdżę metrem.

– A więc nie widziała pani eksplozji? – włączył się do rozmowy Gross.

– Nie, bo byłam odwrócona plecami do parku. Gdy tylko zaczęła się strzelanina, schyliłam się i zaczęłam uciekać. Tak jak wszyscy.

– Zdawała sobie pani sprawę, skąd padają strzały?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Wszystko działo się tak szybko... Myślałam tylko o tym, żeby uciec i żeby nic mnie nie trafiło, ale wydaje mi się, że strzelano gdzieś z góry.

– Czy po wybuchu popatrzyła pani w stronę parku? – zapytał Stone.

Friedman skinęła głową.

– Co dokładnie pani zobaczyła?

Kobieta odchyliła się do tyłu, zmarszczyła czoło i ściągnęła usta.

– Mnóstwo dymu... Trochę płomieni, strzelały całkiem wysoko... Chyba w pobliżu pomnika Jacksona w środkowej części parku. W nocy trudno było mi się zorientować, ale takie odniosłam wrażenie.

– Czy widziała pani kogoś uciekającego z miejsca wybuchu? – włączyła się do rozmowy Chapman.

– Jak już powiedziałam, wszyscy dokądś biegli, kiedy zaczęto strzelać, a po wybuchu jeszcze przyspieszyli. Pamiętam, że mignęli mi dwaj policjanci z psem. Pies ujadał, a policjanci wyciągnęli broń i ruszyli w stronę parku, ale nie przysięgnę, że tak było na pewno, bo uciekałam ile sił w nogach w przeciwnym kierunku.

– A co z mężczyzną w garniturze? – zapytał Gross. – Powinien być gdzieś w pobliżu.

– Może i był, ale go nie widziałam.

– Czy coś jeszcze? – zapytał Stone.

– Ładunek był chyba bardzo silny, bo ziemia zakołysała mi się pod stopami. To niewiarygodne, że mimo takiej obstawy nikt nie zauważył, kiedy podkładano tę bombę. Jak do tego mogło dojść?

Gross zignorował jej pytanie.

– Co pani zrobiła potem?

– Wsiadłam do metra i pojechałam do domu. Miałam szczęście, bo podobno parę minut później stacja została zamknięta.

Gross wstał i wręczył jej wizytówkę.

– Proszę się z nami skontaktować, gdyby coś się pani przypomniało. – Kiedy wyszła, spojrzął na pozostałych. – I co o tym myślicie?

– Nie powiedziała wiele ponad to, co już i tak wiedzieliśmy – zauważył Stone.

– Paskudna zdzira! – wycodziła Chapman. – To dziwne, że nie zadarła kiecki aż na ten tleniony łeb!

Stone uznał, że lepiej będzie zostawić to bez komentarza.

– No dobrze: mamy strzelaninę, do której nie powinno dojść, i bombę, która nie powinna wybuchnąć. A do tego cel, którego nie było.

Zadzwoił telefon Grossa. Agent odebrał, przez jakieś dziesięć minut słuchał w milczeniu, po czym odsunął komórkę od ucha i powiedział: – Sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej. Jakaś organizacja z Jemenu właśnie wzięła na siebie odpowiedzialność za atak.

21.

Nazajutrz Stone i Gross oglądali w biurze tego drugiego wiadomości, w których podawano, że grupa terrorystów z Jemenu ostrzelała park Lafayette'a i zdetonowała tam ładunek wybuchowy. Terrorysty zrobili to po to, by zademonstrować, że są w stanie przeprowadzić atak w samym sercu Ameryki – tak w każdym razie wynikało z pobieżnego przekładu oświadczenia przekazanego zachodnim mediom. Zaraz potem odbyła się krótka konferencja prasowa, podczas której wystąpił dyrektor FBI, a następnie jeden z jego zastępców odpowiedział na kilka pytań, niczego właściwie nie mówiąc.

– Czy mamy pewność, że to oświadczenie jest autentyczne? – zapytał Stone.

Gross skinął głową.

– Ten, kto je przekazał, znał kody autoryzacji.

– To świadczy tylko o tym, że taka grupa naprawdę istnieje, ale nie o tym, że rzeczywiście dokonała ataku.

– To prawda. Zdarza im się kłamać.

– Zapewne nie ujawnili, w jaki sposób udało im się zrobić to wszystko pod naszym nosem?

– Nie. Najgorsze jest to, że jeśli mogą bezkarnie uderzyć na park Lafayette'a, to co dalej? Jakie miejsce można uznać za całkowicie bezpieczne? Tak jak powiedzieli, ten atak ma znaczenie symboliczne. W tej chwili każdy Amerykanin zdaje sobie z tego sprawę.

– Czy mogliby przeskoczyć na drugą stronę ulicy i zaatakować Biały Dom? – zapytał Stone.

– To pytanie zadają sobie teraz wszyscy w tym budynku – odparł Gross.

– Założę się, że w kilku innych też. – A gdzie twoja brytyjska asystentka? – zapytał agent FBI, zmieniając temat.

– Nie jestem pewien.

– Co o niej myślisz?

- Musi być jedną z najlepszych, inaczej nie przysłałiby jej tutaj.
- A więc przyda nam się?
- Raczej tak. Wiadomo już coś o grubasie albo o gościu w garniturze?
- Nic. W przeciwieństwie do Marisy Friedman, tego w garniturze nie widać zbyt dobrze na nagraniu, więc wcale się nie dziwię, że nikt go nie rozpoznał. Cały czas miał opuszczoną głowę.
- Wiedział, gdzie są kamery?
- Nawet ja nie wiem, gdzie są wszystkie kamery – odparł Gross. – Poprosiliśmy media, żeby nadawały prośbę o zgłoszenie się osób, które wczoraj wieczorem przebywały w pobliżu parku. Dzięki temu odnalazła się Friedman. Dziwne, że on się jeszcze nie zgłosił.
- Nie ma w tym nic dziwnego, jeżeli założymy, że maczał w tym palce – zauważył Stone.
- Gross usiadł za biurkiem i zaczął się bawić zszywaczem.
- Dobrze mu się przyjrzałeś?
- Stone wyteńczył pamięć.
- Jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, łysiejący, lekko zgarbiony. Twarzy nie widziałem. Możliwe, że ciemna karnacja, ale nie widziałem niczego, co sugerowałoby jakąś konkretną rasę albo wyznanie. Oczywiście żadnego turbanu ani chusty, zresztą to akurat byłoby widać na nagraniu.
- Twój opis zgadza się z tym, co zdołaliśmy wypatrzeć na ekranie.
- Są jakieś wiadomości od agenta Garchicka? – zapytał Stone.
- Dzwonię do niego co pół godziny. Dzisiaj miał znowu przyjechać do parku, żeby się jeszcze raz rozejrzeć.
- Powiedział, kiedy dokładnie?
- Po południu.
- Stone wstał. Gross podniósł na niego wzrok.
- Wybierasz się dokądś?
- Mam parę spraw do załatwienia.
- Pochwalisz się, jeśli coś znajdziesz?
- Zawsze gram fair.
- Szukałem informacji na twój temat w rządowej bazie danych, ale niczego nie znalazłem.

- Zdziwiłbym się, gdybyś znalazł.
- Dlaczego?
- Bo oficjalnie nie istnieję.

22.

Pół godziny później Stone był już z powrotem w parku Lafayette'a. Wciąż obowiązywały niezwykle rygorystyczne środki ostrożności, ostrzejsze nawet niż bezpośrednio po atakach z 11 września. Ktoś uderzył w samo serce stolicy, a reakcją na to mogły być tylko gniew, wstyd i strach.

W chwili gdy dotarł do punktu zero, obok niego pojawiła się Chapman. Przebrała się w ciemne luźne spodnie i żakiet o sportowym kroju, odrobinę zbyt obszerny, tak by można było z łatwością ukryć pod nim kaburę z pistoletem.

– Wszystkie agentki, które spotykałem do tej pory, nosiły broń przy pasku – zauważył Stone.

– Serio? Mnie się wydaje, że szybciej wyciągnę pistolet z kabury pod pachą. Ma to tę zaletę, że w toalecie nie muszę wpychać gnata pod rajstopy. A żakiet kazałam w tym miejscu podszyć podwójną podszewką.

– Dlaczego?

Spiorunowała go wzrokiem.

– Bo mam piersi, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś.

– Szczerze mówiąc, starałem się nie zwracać uwagi na pani płeć, agentko Chapman.

– Brawo za polityczną poprawność, agencie Stone. A więc co z tym Jemenem?

– Wierzysz w to?

– Bardzo wygodna wersja. Przynajmniej dla niektórych.

– A twój szef?

– On już prawie w nic nie wierzy.

– To przychodzi z wiekiem – stwierdził Stone. – Za jakiś czas ma się tu zjawić agent Garchick, żeby jeszcze raz się rozejrzeć.

– Jeszcze raz? Mało mu śmieci do badania w tym jego bajeranckim analizatorze?

– Przypuszczam, że ma jakieś wątpliwości.

– Oliver?

Stone odwrócił się natychmiast. Tego głosu nie mógł pomylić z żadnym innym, choć nie słyszał go od bardzo dawna.

– Adelphia?

Kobieta stała za barierkami przy H Street. Przed sobą miała czterech policjantów i dwóch agentów Secret Service. Stone natychmiast pospieszył do niej, a Chapman podążyła za nim.

– Ta pani twierdzi, że umówił się pan z nią tutaj – powiedział jeden z policjantów. – Gdyby nie to, na pewno nie dotarłaby tak daleko.

– Adelphia? – powtórzył, nie spuszczać z niej wzroku.

– Czy pan ją zna? – zapytał mundurowy.

– Tak.

– Mimo to nie mogę jej wpuścić. Teren nie został jeszcze całkiem oczyszczony.

– W porządku. Ja się nią zajmę.

Wyszedł przez przerwę między barierkami, ujął Adelphię za ramię i ruszył z nią w kierunku kościoła św. Jana. Przed wejściem stała ławka. Stone wiedział, że przed laty ustawiono ją na życzenie CIA, która szkoliła tu niedoświadczonych agentów w technikach pozostawiania i podejmowania przesyłek w miejscach publicznych. Teraz ławka była już tylko zwyczajną ławką.

Usiedli. Chapman kręciła się w pobliżu, uszanowawszy prośbę Adelphii, która chciała porozmawiać ze Stone'em w cztery oczy.

Wiele ich łączyło. Protestowała w parku Lafayette'a jeszcze przed nim. Zaprzyjaźnili się, pomagała mu w krytycznych chwilach w jego życiu, a pewnego dnia po prostu nie wróciła do swojego namiociku na skraju parku. Po kilku dniach zastukał do drzwi jej skromnego mieszkania nad pralnią w Chinatown, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje, ale mieszkanie było puste. Nikt nie wiedział, dokąd się wyprowadziła. Teraz zobaczył ją po raz pierwszy od tamtej chwili.

Postarzała się i posiwiiała. Jej twarz, już wtedy pomarszczona, teraz skurczyła się i pomarszczyła jeszcze bardziej. Tylko oczy były opuchnięte. Zapamiętał ją jako osobę trudną, zadziorną i skrytą, ale dowiedział się wystarczająco dużo o jej przeszłości, aby

podejrzewać, że przed pojawieniem się w parku wiodła niezwykle życie.

– Gdzie się podziewałaś przez te wszystkie lata? Przepadłaś bez śladu...

– Musiałam. Nadszedł czas.

Silny niegdyś akcent wyraźnie osłabł. Jej znajomość angielskiego znacznie się poprawiła.

– Co to znaczy?

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co?

– Ale najpierw muszę zapytać. Czy znowu pracujesz dla rządu?

– Znowu? Skąd wiesz, że kiedyś już pracowałem?

– Wielu rzeczy o tobie nie wiem, ale jest dużo takich, które wiem.

– Umilkła na chwilę, po czym dodała: – Na przykład tę, że naprawdę nazywałeś się John Carr.

Spojrzał na nią tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

– Od jak dawna o tym wiesz?

– Pamiętasz tego człowieka, który zaatakował cię, kiedy chciałam dać trochę pieniędzy bezdomnemu?

– Pamiętam.

– Obroniłeś się, stosując technikę, którą wcześniej widziałam tylko raz w życiu: kiedy radzieccy komandosi wylądowali w Polsce, żeby aresztować dysydentów.

– Wzięłaś mnie za szpiega?

– Przyszło mi to na myśl, ale późniejsze wydarzenia pokazały, że tak nie jest.

– Ktoś ci o nich opowiedział?

– Wiem, że twój kraj zostawił cię na łasce losu. Mimo to znowu pracujesz dla niego?

– Tak.

– W takim razie mogę ci pomóc.

– W jaki sposób?

– Szukasz człowieka w garniturze, który był tu przedwczoraj?

Pochylił się do niej.

– Wiesz, gdzie jest?

– Tak.

- I wiesz, dlaczego przyszedł wtedy do parku?
- Tak.
- Czy miał się tu z kimś spotkać?
- Tak. Ze mną.

23.

– To doktor Faut Turkekul – powiedziała Adelfia, zanim Stone zdążył zapytać.

– Doktor czego?

– Nie medycyny, tylko nauk politycznych i ekonomii. Doskonale znany w kręgach akademickich. Włada wieloma językami. Przez kilka lat wykładał w Cambridge, potem w London School of Economics i na Sorbonie. Przyjechał na zaproszenie Uniwersytetu Georgetown.

– Turkekul? Skąd pochodzi?

Adelfia odgarnęła kosmyk włosów.

– Czy to ważne?

– Przecież wiesz, co się tu stało.

– Ponieważ Faut jest cudzoziemcem, od razu trafia na pierwsze miejsce listy podejrzanych?

– Dlaczego miał się z tobą spotkać tamtej nocy?

Zaczekał na odpowiedź, a kiedy ta nie padła, powiedział: – Wspomniałaś, że nie wiem o tobie wielu rzeczy. Czy jedną z nich jest powód, dla którego spędziłaś w tym parku tak dużo czasu?

– Wiedziałam, kim jesteś, jeszcze kiedy tu byłam – odparła. – Czy to ci coś mówi?

– Tyle że nie pracowałaś ani z Amerykanami, ani dla nich.

– Miałam zobowiązania wobec innego kraju. Sojusznika Ameryki.

– Jakiego?

– Czy to ma znaczenie?

– Dla mnie chyba nie, ale dla innych – owszem.

– Na przykład dla niej? – zapytała, wskazując Chapman.

– Niekoniecznie.

– Pracowałam dla waszego największego sprzymierzeńca na Bliskim Wschodzie – wyznała wreszcie.

Stone powoli skinął głową.

- Jestem w stanie to zrozumieć. Ale wracając do Fauta...
 - Nie jest tylko uczonym. Ma szerokie zainteresowania, pokrywające się z zainteresowaniami i celami Amerykanów.
 - Tak twierdzisz, ale to, co tu się wydarzyło, nie pozwala mi w to uwierzyć.
 - Nie miał nic wspólnego z tym atakiem! – stwierdziła stanowczo. – Już ci powiedziałam, że przyszedł tu, żeby się ze mną spotkać. Gdyby w porę nie poszedł, mógłby zginąć.
 - Istotnie, ulotnił się w ostatniej chwili – potwierdził Stone znaczącym tonem.
 - Powtarzam, że nie miał z tym nic wspólnego.
 - W takim razie dlaczego nie stawiałaś się na spotkanie? Nie było cię tutaj, jestem tego pewien.
 - Niełatwo to wytłumaczyć... – W jej głos wkradło się zdenerwowanie. – Po prostu nie mogłam przyjść, a on zaczął jeszcze trochę i w końcu poszedł. Takie są zasady.
 - Widziałaś się z nim potem?
 - Tego nie powiedziałam – odparła ostrożnie.
 - Adelphio, musimy z nim porozmawiać. Natychmiast.
 - Jestem przekonana, że o niczym nie wie.
 - Skoro tak, to nie ma się czego obawiać.
 - Tak, oczywiście...
 - Nie ufasz mi?
 - Sam powiedziałaś, że wróciłeś. Tobie mogę ufać, ale nie im.
- Ponownie spojrzała na Chapman, żeby nie miał wątpliwości, kogo uważa za „ich”.
- Jeżeli Turkekul nie ma żadnego związku z atakiem, to naprawdę nie musi się niczego obawiać.
 - Widziałam cię wczoraj z agentami FBI. Nie zaprowadzę ich do niego. Nigdy.
 - Twoje słowa jakoś nieszczególnie przekonują mnie o jego niewinności...
 - W grę wchodzi wiele kwestii, Oliverze. Większość nie ma najmniejszego związku z winą ani niewinnością. Dobrze o tym wiesz.
 - W porządku. W takim razie zaprowadź mnie. Tylko mnie.

Ruchem głowy wskazała na Chapman.

– A co z nią?

– Tak jak powiedziałem: tylko ja. Ale natychmiast.

Westchnęła głęboko.

– To nie takie proste, Oliverze.

– Znamy się od dawna. Możesz mi zaufać, tak jak ja tobie
zaufałem. Poza tym przecież to ty przyszedłeś do mnie...

– Muszę zadzwonić – odparła z ociąganiem.

24.

Po drodze wyjaśniła mu, że Faut Turkekul mieszka w kampusie Uniwersytetu Georgetown i jest pełnoetatowym wykładowcą urlopowanym z uczelni zagranicznej.

– Ale my przecież nie idziemy do Georgetown – zauważył Stone.

– To na wypadek gdyby ktoś nas śledził – odparła Adelpia. – Umówiłam się z nim w pobliżu kampusu Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona.

– W porządku.

– Twoja przyjaciółka nie była zachwycona, kiedy kazałeś jej zostać w parku – zauważyła.

– Na jej miejscu też bym nie był. Powiedz mi więcej o Turkekulu.

– A co chcesz wiedzieć?

W miarę jak oddalali się na zachód od Białego Domu, zbliżając się do Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona, słyszeli coraz częstsze trąbienie uwieczonych w korkach samochodów.

– Wszystko.

– To niemożliwe.

– Powiedziałaś, że jest uczonym i przyjacielem naszego kraju. Powiedziałaś też, że jest kimś więcej niż zwyczajnym uczonym i że z powodów, których nie chcesz ujawnić, przedwczoraj wieczorem umówił się z tobą na spotkanie w parku Lafayette'a.

– To wszystko prawda.

– A więc w gruncie rzeczy prawie nic mi nie powiedziałaś.

– Równie dobrze w ogóle mogłabym do ciebie nie przyjść...

– Ale przyszłaś. Niech więc to ma jakiś sens.

– Faut sam zdecyduje, co ci powiedzieć. Tak będzie najlepiej.

Nie zdołał z niej wydobyć nic więcej.

Kiedy dotarli do jednego z budynków kampusu, Adelpia najpierw zamieniła kilka słów przez domofon z jakimś mężczyzną, zapewne samym Turkekulem. Wpuszczono ich do środka, po czym

weszli schodami na piętro. Turkekul czekał na nich w drzwiach mieszkania.

Miał na sobie białą koszulę, rozpinany sweter i szare spodnie. Był wyższy, niż wynikało z szacunków Stone'a – jakieś metr osiemdziesiąt – i łysy, co zgadzało się z jego obserwacjami.

Z bliska okazało się, że jest w wieku Stone'a, a może nawet trochę starszy.

Adelphia dokonała prezentacji i Stone pokazał odznakę. Turkekul obejrzał ją uważnie, po czym zamknął za nimi drzwi i wskazał im miejsce na białej sofie w największym pokoju.

Wszędzie wały się stosy książek i zadrukowanego papieru. Na podstawie tytułów, które zdążył odcyfrować, Stone nabrał przekonania, że Turkekul jest człowiekiem o rozległych zainteresowaniach, znającym co najmniej cztery języki.

– Adelphia wspomniała, że zatrzymał się pan w Georgetown.

– Ale wynajmuję również to mieszkanie. Na wszelki wypadek. Ostrożności nigdy za wiele.

– Trudno mi się z tym nie zgodzić.

Gospodarz zaproponował herbatę. Adelphia poprosiła, Stone podziękował. Turkekul zaparzył herbatę, a następnie usiadł w fotelu naprzeciwko sofy.

– Adelphia przedstawiła sytuację i pozostawiła mi decyzję, czy się z panem spotkać.

Jestem jej za to wdzięczny. – Turkekul mówił donośnym, pewnym siebie głosem.

Bez wątpienia był przyzwyczajony do wygłaszania wykładów. Stone słuchał uważnie, starając się określić ledwo uchwytny, ale jednak obecny akcent. Choć miał w tym dużą wprawę, chwilowo nie potrafił go przypisać do konkretnego kraju.

– Dlaczego? – zapytał. – Z tego, co mówiła, zrozumiałem, że nie ma pan najmniejszej ochoty na spotkanie.

– W takim razie niewłaściwie ją pan zrozumiał. Uznałem, że należy jak najprędzej oczyścić atmosferę i nie pozostawiać niczego domysłom.

– Wiedział pan, że park jest pod stałą obserwacją, i znał pan rozmieszczenie kamer – stwierdził niespodziewanie Stone.

Adelphia zacisnęła mocniej palce na uszku filiżanki, Turkekul z kolei pociągnął łyk herbaty, odstawił filiżankę i otarł usta chusteczką, którą wyjął z kieszeni swetra.

– Skąd pan wie?

– Przez cały czas był pan odwrócony plecami do nich i miał pan pochyloną głowę.

Dobrze to pamiętam. Dlatego niewłaściwie oceniłem pański wzrost. Żeby wyglądało to naturalnie, udawał pan, że czyta tabliczkę na cokole pomnika. – Spojrzał na Adelphię. – Czy to ty poinformowałaś go o rozmieszczeniu kamer?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, głos zabrał Turkekul: – Właściwie ma pan rację, choć wcale nie udawałem, że czytam napis na tabliczce.

Naprawdę go czytałem. Od dawna interesowałem się postacią von Steubena.

– Dlaczego?

– Mój dziadek ze strony matki był Niemcem. Służył też w wojsku.

– Niemiec, który służył w wojsku? To znaczy, że...

– Tak, w armii Trzeciej Rzeszy. Ale to nie takie proste, jak się panu wydaje.

– Z powodu?

– Z powodu tego, że był Żydem.

Stone nie odpowiedział.

– Oraz szpiegiem. Został zdemaskowany w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym. Nie zadali sobie trudu, żeby wysłać go do obozu koncentracyjnego. Po prostu rozstrzelali go na ulicy zbombardowanego Berlina. Podobno podburzony tłum rozerwał jego ciało na strzępy. Tragiczna historia. Zaledwie kilka miesięcy później wojna w Europie dobiegła końca.

– Zginął bohaterską śmiercią – powiedziała Adelphia, patrząc na Stone'a.

– Adelphia wspomniała, że tamtego wieczoru umówił się pan z nią w parku, ale nie przyszła na spotkanie. Powiedziała mi też, że pańskie zainteresowania wykraczają daleko poza sprawy czysto naukowe.

– To prawda.

– Można wiedzieć, czego dotyczą?
– To raczej nie ma żadnego związku ze sprawą, w jakiej pan przyszedł...

– Jeśli pan pozwoli, sam wolałbym to ocenić.

– Oczywiście.

– Zaczniemy jednak od tego, co widział pan w parku tamtego wieczoru.

Turkekul przez dziesięć minut zdawał szczegółową relację.

– Strzelanina wybuchła w chwili, kiedy mijałem Decatur House – zakończył.

– Co pan wtedy zrobił?

– To, co zrobiłby każdy rozsądny człowiek: uciekłem w przeciwnym kierunku.

– A więc był pan w stanie określić, skąd padają strzały?

– Tak i nie. Tak w tym sensie, że widziałem, jak pociski uderzają w gałęzie i pnie drzew w parku, przypuszczałem więc, że ostrzał jest prowadzony z rejonu H Street. Wolałem się zbyt dokładnie nie przyglądać. Mam mocne nerwy, ale nie aż tak mocne, żeby stać jak posąg pod ostrzałem.

– A kobieta, która opuściła park mniej więcej w tym samym czasie co pan?

– Widziałem, jak przebiegła na drugą stronę ulicy.

Stone spojrzał na Adelphię.

– W jakiej sprawie zamierzaliście się spotkać?

– Jeśli nie powiemy, aresztuje nas pan? – zapytał Turkekul.

– Nie.

– Dlaczego? – zdziwił się mężczyzna.

– Ponieważ Adelphia jest moją starą przyjaciółką. W przeszłości pomagała mi i nikomu nie zdradziła tego, co o mnie wiedziała. Ja też nie zdradzam przyjaciół.

– Mimo że, jak rozumiem, pracuje pan dla rządu?

– Mimo to.

– To godna podziwu cecha – stwierdził Turkekul. Przez jakiś czas w zamyśleniu stukał palcem wskazującym w poręcz fotela, po czym pochylił się do przodu i powiedział: – Zlecono mi zadanie, agencie

Stone. Bardzo trudne zadanie. Takie, którego nigdy nikomu nie udało się wykonać.

– Jakie to zadanie?

– Pomoc w wytropieniu Osamy bin Ladena.

Głos, który to powiedział, nie należał do Fauta Turkekula. Stone odwrócił się i ujrzał sir Jamesa McElroya, który właśnie wszedł do pokoju.

25.

McElroy usiadł naprzeciwko Stone'a.

– Miło wiedzieć, że wciąż jesteś doskonałym kłamcą – zauważył Stone z przekąsem.

– Jak dobrze wiesz, w naszym fachu to niezbędne.

– Jak bardzo mnie okłamałeś?

– Od jakiegoś czasu wiedziałem o Faucie. Szczerze mówiąc, współpracowaliśmy z Amerykanami podczas przygotowań do tej operacji.

– Powinieneś wiedzieć, że przez te twoje tajemnice zmarnowałem mnóstwo cennego czasu... Ale to chyba dla ciebie nie nowina.

– Nie chciałbym, żebyś pomyślał, że szukam łatwych wymówek, ale ja też mam przełożonych.

– I to oni chcieli ukryć prawdę przede mną?

– Tak. Postanowiłem zakończyć tę zabawę z dwóch powodów: Po pierwsze, bo to nie w porządku wobec ciebie. Po drugie, bo to nieskuteczne.

Stone spojrział na Adelphię.

– Domyślam się, że to on kazał ci mnie odszukać?

Kobieta skinęła głową.

– Od dawna sama chciałam to zrobić. Brakowało mi naszych rozmów, naszej przyjaźni.

Stone odwrócił się z powrotem do McElroya.

– Przyszedłeś tu po to, żeby powiedzieć, że ci przykro, i żeby pogłaskać mnie po głowie, czy może chcesz mnie jednak oświecić? I czy Chapman wie o wszystkim?

McElroy wydmuchał nos i pokręcił głową. Miał na sobie ten sam granatowy sweter, ale zmienił koszulę i spodnie. Twarz miał poważną i ściągniętą, w oczach widać było ból.

– Nie.

– W porządku – mruknął Stone.

– Wracając do twojego pierwszego pytania: postanowiliśmy powiedzieć ci o wszystkim, bo i tak prędzej czy później sam byś to odkrył. Wiem, jaki bywasz dociekliwy. To był wyjątkowo niefortunny zbieg okoliczności, że Faut akurat wtedy pojawił się w parku.

– Nie widzicie żadnego związku?

– Bardzo chciałbym go dostrzec, bo dzięki temu może zobaczylibyśmy jakiś sens w czymś, co na razie nie ma żadnego sensu.

– Jesteś pewien?

– Tego, że Faut nie był celem zamachu? Raczej tak. Jego misja dopiero się rozpoczęła, a on przecież nie działa na pierwszej linii frontu. Komu przyszłoby do głowy, że ktoś może szukać Osamy bin Ladena, nie ruszając się ze Stanów? Na razie wszystko znajduje się w fazie planowania. To delikatna operacja polegająca na współpracy kilku krajów, ale oczywiście wymagająca także fizycznego działania, stąd potrzeba zachowania tajemnicy. Adelphia także w tym uczestniczy, a co do mnie, to sprawa jest chyba oczywista.

– A co pan powie, panie Turkekul? – zapytał Stone, spoglądając na milczącego mężczyznę.

– Po zakończeniu drugiej wojny światowej moja matka wyjechała do Turcji, gdzie spotkała mojego ojca. Wątpię, żeby znał prawdę o jej pochodzeniu. Podczas wojny uległy zniszczeniu dokumenty milionów ludzi. Ja dowiedziałem się prawdy, kiedy byłem dorosły.

Urodziłem się w Turcji, w pobliżu Konstantynopola, ale dorastałem w Pakistanie, choć moja rodzina przez pewien czas mieszkała także w Afganistanie. Jestem muzułmaninem, lecz potępiam ludzi stojących za zamachami z jedenastego września. Z nienawiści do innych ludzi zamienili dżihad w coś odrażającego i nie do zaakceptowania.

– Faut jest naszym asem w rękawie – wtrącił się McElroy. – Ma doskonałe kontakty nie tylko ze społecznością muzułmańską w Stanach, ale również w tej części świata, w której przypuszczalnie ukrywa się nasza zwierzyna.

– Góry na pograniczu Pakistanu i Afganistanu?

Turkekul uśmiechnął się.

– Nie dosięgniecie go pociskiem samonaprowadzającym. Jest na to za sprytny. Poza tym może jest w górach, a może go tam nie ma.

– Dlaczego postanowiono skorzystać z pańskich usług dopiero teraz? – zapytał Stone.

Turkekul otworzył usta, ale nie zdążył odpowiedzieć.

– W tej chwili to nie jest istotne – odezwał się szybko McElroy. – Jest tak, jak mówię, Oliverze. Możesz mi wierzyć.

– W porządku. Panie Turkekul, jeśli jednak rzeczywiście jest pan tak doskonale ustosunkowany, to ktoś może zacząć podejrzewać, że pomaga pan Zachodowi, i postanowi dokonać uderzenia wyprzedzającego...

– Broń maszynowa, bomba, a biedny Faut wychodzi z tego bez uszczerbku? Mało prawdopodobne – ocenił McElroy.

– Nie przeczę. Pamiętajmy jednak, że odpowiedzialność za atak wzięli na siebie Jemeńczycy.

– Równie mało prawdopodobne, choć muszę przyznać, że nasi jankescy przyjaciele są odmiennego zdania.

– Dlaczego wyznaczyliście sobie spotkanie właśnie w parku Lafayette'a?

McElroy spojrział na Adelphię, która odpowiedziała: – Ponieważ mało kto będzie podejrzewał, że tajne spotkanie może się odbyć w tak publicznym miejscu.

– Już prędzej w jakiejś ciemnej alejce albo podejrzanej knajpie? – McElroy wzruszył ramionami. – Jak w filmach? Bzdura. Tam właśnie przede wszystkim gliniarze szukają szpiegów, od czasu do czasu popijając piwo.

– Dlaczego nie przyszedłeś na spotkanie? – zapytał ponownie Stone.

– Na polecenie przełożonych. Nie podali mi powodu. Wiedziałam, że jeśli nie pojawię się w określonym czasie, Faut sobie pójdzie. Czy ustalili już pochodzenie bomby?

– Jeszcze nie.

– Czy to był atak samobójczy? – zapytał Turkekul. – To ich ulubiona metoda. Znam tę jemeńską organizację. To fanatycy.

Stone zerknął na McElroya, który ledwo dostrzegalnie pokręcił głową. Stone poprawił się na sofie.

- Wciąż jest to badane.
- Czy będzie pan musiał zameldować przełożonym o spotkaniu ze mną?

McElroy odchrząknął.

- Oliverze, nie mogę ci oficjalnie niczego nakazać, ale chciałbym cię prosić, żebyś starannie rozważył to pytanie. Na tym etapie każdy twój raport, nawet najbardziej lakoniczny, spowoduje odwołanie misji, zanim jeszcze na dobre się zaczęła.

McElroy pochylił głowę i czekał na odpowiedź. Stone nie zastanawiał się długo.

Odwrócił się do Turkekula.

- Na razie zatrzymam to dla siebie. Chyba jednak chciałby pan wiedzieć, czy to pan był celem ataku? Jeśli tak się okaże, poinformuję pana o tym.

– Dziękuję.

– Wprowadzę w sprawę Chapman.

– Ona nie musi o niczym wiedzieć – odezwał się pośpiesznie McElroy.

Stone pokręcił głową.

– Nie mam zwyczaju ukrywać czegokolwiek przed partnerami.

– W takim razie sam decydujesz – odparł McElroy bez przekonania.

Stone podniósł się z sofy.

– Jeszcze jedno pytanie, Adelphio. W jaki sposób się porozumiewaliście?

– Zostawiałam zaszyfrowane wiadomości na tablicy ogłoszeń w kampusie Uniwersytetu Georgetown.

– Czy używałaś szyfru takiego jak ten, którym posługiwaliśmy się dawno temu w parku?

– Podobnego.

– Nie ufacie kodowanym przekazom elektronicznym?

– Coś takiego nie istnieje, przyjacielu – odparł Turkekul. – Wielu moich kolegów bardzo boleśnie się o tym przekonało.

– Brak odporności systemów elektronicznych na wszelkiego rodzaju włamanie zmusił nas do powrotu do dawnych metod – przyznał McElroy. – Są nieco mniej wydajne, bo zamiast zdawać się

na technikę, musimy korzystać z naszych umysłów. Mnie bardzo się to podoba, no ale jestem przeżytkiem z czasów zimnej wojny...

Odprowadził Stone'a do drzwi.

– Przykro mi, że to musiało się odbyć w ten sposób. Wolałbym, żeby było inaczej. To nie fair wobec ciebie.

– Życie rzadko bywa fair.

– Domyślam się, że śledztwo posuwa się naprzód dość powoli?

– Jeśli w ogóle się posuwa.

– To wszystko musi mieć jakiś sens. Jeśli go nie ma, znaczną część tego, w co wierzyłem w życiu, szlag trafi.

– Myślisz, że czekają mnie jeszcze jakieś niespodzianki?

– Mam nadzieję, że nie. Postanowiłeś już, co z Chapman?

– Powiem jej. Nie uda ci się mnie przekonać, żebym tego nie robił.

– W porządku. Możliwe, że masz rację.

– Uważaj na siebie, sir Jamesie.

– A ty na siebie, Oliverze. Miej oczy dokoła głowy.

– Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem?

– Nie, ale moje stare wyczulone anteny odbierają niepokojące sygnały.

– Zapytam jeszcze raz: czy ukrywasz coś przede mną?

– Powodzenia, Oliverze. I proszę, pamiętaj o mojej radzie.

26.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytała Chapman, gdy tylko Stone wrócił do parku Lafayette’a.

Odprowadził ją na bok, z dala od funkcjonariuszy kręcących się w okolicy miejsca wybuchu, i zdał dokładną relację, nie pomijając pojawienia się jej szefa i misji Turkekula.

– Dobry Boże! – wykrzyknęła. – Trudno w to uwierzyć!

– We wszystko razem czy szczególnie w to, że nie włączyli cię do grona wtajemniczonych?

– I w to, i w to – odparła, wyraźnie przygnębiona.

Stone dobrze wiedział, co ona teraz czuje.

– McElroy nigdy nie lubił odkrywać kart. Pracując nad problemem, buduje sobie drzewko logiczne i precyzyjnie, określa, co komu może ujawnić. Myślę, że dobrze wiesz o tym.

– Tak, ale...

Złapał ją za ramię.

– Nie trać wiary w siebie. Nikomu w ten sposób nie pomożesz, a już na pewno nie sobie. Nie dopuścił cię do tajemnicy nie dlatego, że ci nie ufa, ale dlatego, że taki po prostu jest. Wszyscy mamy za sobą podobne przejścia.

Podniosła wzrok i westchnęła głęboko.

– Masz rację. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Tym bardziej doceniam to, że ty mi o wszystkim powiedziałaś. Poprosił cię o to?

– Chcesz znać prawdę?

– Tak – odparła zdecydowanym tonem. – Bardzo mi na tym zależy.

– Początkowo nie chciałem, żebyś się dowiedziała, ale ustąpiłem, kiedy mi powiedziałem, że nigdy niczego nie ukrywam przed partnerami.

Chapman przez jakiś czas patrzyła na niego bez słowa.

– W porządku – rzekła wreszcie. – Zamknijmy ten temat.

– W takim razie gdzie byłaś dzisiaj rano?

Zrobiła niewinną minę.

– Szczerze mówiąc, zdrzemnęłam się trochę. W ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin spałam może ze dwie, a do tego doszedł jet lag. Oczy mi się kleiły. Nie na wiele bym się przydała, gdybym przez cały ten czas była na nogach.

Stone zerknął przez ramię i ujrzał zmierzającego ku nim agenta Garchicka.

– Może coś się wyjaśni.

Spotkali się przy barierkach i poszli za nim do punktu zero. Agent ATF miał poważną, a zarazem zaintrygowaną minę.

– Coś się ruszyło? – zapytał Stone.

Garchick skinął głową, patrząc na krater.

– Zdecydowanie. Te kawałki skóry, które znaleźliśmy, pochodziły z piłki do koszykówki.

– Z piłki do koszykówki? – zdziwiła się Chapman.

– Jesteście pewni, że miała coś wspólnego z wybuchem?

– A z jakiego innego powodu piłka do koszykówki mogła się znaleźć w parku Lafayette’a? Sądząc po śladach, znajdowała się bardzo blisko epicentrum eksplozji, jeżeli nie wręcz w samym centrum.

Cała trójka jak na komendę spojrzała w dół.

– Wnioski? – zapytał Stone.

– Uważam za całkiem prawdopodobne, że bomba znajdowała się w piłce, którą ukryto między korzeniami drzewa. Zgadzałoby się to z rozrzutem szczątków i innymi znalezionymi przez nas śladami.

– Bomba w piłce do koszykówki? – powtórzyła z niedowierzaniem agentka MI6.

– To możliwe, tym bardziej że takie rzeczy już się zdarzały. Wystarczy rozciąć piłkę, umieścić wewnątrz niej ładunek wybuchowy, a następnie zaszyć ją i napompować, żeby była wystarczająco twarda. Nie radziłbym jednak nikomu nią kozłować.

– A jak ją zdetonowano?

– Moim zdaniem za pomocą sygnału radiowego. Zapalnik czasowy wydaje mi się mało prawdopodobny.

Stone wciąż miał wątpliwości.

– Wiemy przecież, że teren na krótko przed wybuchem został sprawdzony przez psy.

– Dlaczego niczego nie wyczuły? Przecież mówił pan, że nie da się ich oszukać.

– Bo nie można, ale nawet one nie są nieomyłne.

– To znaczy?

– Przeciętny zasięg węchu psa to mniej więcej metr w każdym kierunku, zarówno nad ziemią, jak i pod ziemią. – Garchick wskazał na krater. – Ten dół przed eksplozją miał około półtora metra głębokości i jakieś dwa i pół metra średnicy.

– Ale nie był zasypany – zauważył Stone.

– Owszem, jednak bryła korzeniowa miała pokaźne rozmiary.

Stone nagle coś sobie uświadomił.

– A dół był ogrodzony taśmą ostrzegawczą, więc mogło być tak, że psy nie weszły do niego.

– Zgadza się – potwierdził Garchick. – Tak więc, nawet jeśli bomba już tu wtedy była, mogły jej nie wyczuć, chyba że przewodnicy wprowadzili je do dołu albo pozwolili im wejść na bryłę korzeniową drzewa. Jestem przekonany, że tego nie zrobili.

Stone zerknął w kierunku Białego Domu.

– No to powinniśmy jak najszybciej dotrzeć do tych, którzy ją podłożyli. Ale najpierw musimy obejrzeć zapis wideo.

– Po co? – zapytała Chapman.

– Zobaczymy, kiedy posadzono to drzewo, kto się tym zajmował i czy ktoś się potem tu kręcił. A jeżeli tak, to czy miał przy sobie coś, co przypominało piłkę do koszykówki, albo coś, w czym można by ją ukryć.

– Trudno mi sobie wyobrazić, żeby dało się niepostrzeżenie umieścić w bryle korzeniowej coś tak dużego – powiedział Garchick.

– Co prawda bryła jest owinięta brezentową płachtą, ale to raczej jeszcze bardziej utrudniłoby zadanie. Sprawca musiałby dostarczyć piłkę, wskoczyć do dołu, rozciąć płachtę, wepchnąć piłkę, a potem jakoś zamaskować rozcięcie...

– A wszystko to musiałby robić niemal na oczach strażników z Białego Domu – uzupełniła Chapman. – Założę się, że wszyscy robotnicy są sprawdzani?

– Oczywiście – odparł Stone. – Wykrywacz metalu albo skaner z pewnością namierzyłyby bombę ukrytą w piłce.

– Jasne – potwierdził Garchick.

– Z czego wynika, że jeśli był w to zamieszany któryś z robotników zatrudnionych przy przesadzaniu drzewa, to nie paradował z piłką przed strażnikami. – Stone rozejrzał się. – Musiałby przyjść do parku prosto z miasta. Ochrona Białego Domu nie miałaby o niczym pojęcia.

– Ale tak czy inaczej, wszystko powinno być zarejestrowane na nagraniach – zwrócił im uwagę Garchick. – Sprawdzimy to, choć odnoszę wrażenie, że takie wyjaśnienie jest odrobinę zbyt proste.

– Co by oznaczało, że coś nam wciąż umyka – stwierdził Stone, patrząc na krater. – Zajmijmy się tymi nagraniami. Natychmiast.

27.

Kilka minut później byli już w ruchomym centrum dowodzenia FBI na Jackson Place.

Wraz z dwoma agentami Secret Service tłoczyli się przed ekranem dużego monitora. Zapis, który mieli oglądać, pochodził właśnie z archiwów Secret Service.

– Wszystkie nagrania trzymamy co najmniej piętnaście lat – powiedział jeden z agentów.

– Ale nie tylko wy obserwujecie ten park – odparł Stone.

Agent uśmiechnął się.

– Wiem. Wszyscy chcą sobie popatrzeć na Diabelski Zaułek. W doskonałym świecie wymienialibyśmy się spostrzeżeniami, ale temu światu daleko do ideału.

– Czego konkretnie szukacie? – zapytał drugi agent.

Stone powiedział, że chodzi im o niedawno przesadzone drzewo, oraz wyjaśnił, dlaczego akurat ono ich interesuje. Agent Garchick został w parku, by nadzorować zabezpieczanie śladów, dołączył do nich natomiast Tom Gross.

– Musimy przejrzeć cały materiał od chwili, kiedy przywieziono drzewo, aż do momentu eksplozji – powiedział agent FBI.

Miejsce, które ich interesowało, znajdowało się w polu widzenia trzech kamer.

Przeglądanie materiału trwało bardzo długo, mimo że agent odtwarzał nagrania w przyspieszonym tempie. Kiedy projekcja dobiegła końca, nie byli ani odrobinę mądrzejsi.

– Psy przeszły w pobliżu drzewa, ale nie przekroczyły granicy wyznaczonej przez taśmę ostrzegawczą – stwierdził Gross. – To duże niedopatrzenie. Secret Service dostanie za to po uszach.

Dwaj agenci spojrzeli na siebie z kwaśnymi minami, ale nic nie odpowiedzieli.

– Równocześnie wszyscy widzieliśmy, że nikt niczego nie chował w tej dziurze – zauważyła Chapman.

– Jesteście pewni, że to całe nagranie? – zapytał Stone.

– Najzupełniej – odparł jeden z agentów.

Gross, Stone i Chapman opuścili centrum dowodzenia. W drodze powrotnej do parku Gross powiedział:

– Nie pamiętam już, kiedy ostatnio, prowadząc sprawę, nie tylko nie posuwałem się naprzód, ale miałem wrażenie, że się cofam!

Stone z przymkniętymi powiekami analizował to, co widział na nagraniu. Dźwig zdjął dorodny klon z ciężarówki, a pracownicy Straży Parkowej pomogli ostrożnie opuścić drzewo do przygotowanego wcześniej otworu. Otworzył oczy.

– Skąd przywieziono drzewo? Tego nie dowiedzieliśmy się z nagrania.

– To prawda – przyznał mu rację Gross.

– Poza tym drzewo umieszczono w dziurze dzień przed wybuchem. Dlaczego dziura nie została od razu zasypana? – zapytała Chapman.

– Musimy znaleźć odpowiedzi na te pytania – rzekł Gross.

Zadzwoił jego telefon. Zamienił kilka zdań, po czym schował aparat do kieszeni.

– Namierzyliśmy biegacza. Kilka godzin temu ktoś zgłosił jego zaginięcie. Rysopis się zgadza, lokalizacja też.

– Dlaczego ten ktoś nie skontaktował się z nami wcześniej?

– To też będziemy musieli ustalić.

– Myślę, że powinniśmy się podzielić – powiedział Stone. – Ty i twoi ludzie zajmą się drzewem, a ja i Chapman pogadamy z rodziną tego człowieka. Masz adres?

Gross podał im adres, a żegnając się z nimi, dodał: – A więc została nam jeszcze do ustalenia tylko tożsamość tego w garniturze.

– Mhm – rzucił obojętnie Stone przez ramię, po czym razem z Chapman ruszył do samochodu.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że możesz zostać oskarżony o ukrywanie informacji istotnych dla przebiegu śledztwa? – zapytała, kiedy siedzieli już w jej wozie. – Albo nawet o jego utrudnianie?

– Jeśli sądzisz, że tak jest, napisz to w raporcie.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie agentka MI6 westchnęła.

– Wątpię, czy pomogłabym swojej karierze, podkładając świnie przełożonemu.

Jedziemy. – Uruchomiła silnik. – Dokąd?

Stone zerknął na kartkę, którą otrzymał od Grossa.

– Anacostia. Miej broń w pogotowiu.

– To jakieś niebezpieczne miejsce?

Stone zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział: – Chyba mniej niż park Lafayette’a.

28.

Carmen Escalante mieszkała w połówce bliźniaka kilka przecznic od rzeki, dość blisko stadionu Washington Nationals. Niestety, proces renowacji budynków i podnoszenia statusu społecznego mieszkańców najwyraźniej nie dotarł jeszcze do tej okolicy. Zastukali do drzwi, na których wprawne oko Stone'a dostrzegło ślady co najmniej po trzech pociskach. Po jakimś czasie usłyszeli zbliżające się kroki... i coś jeszcze. Jakiś dziwny metaliczny odgłos.

Kiedy drzwi się otworzyły, ujrzeli przed sobą drobną, dwudziestokilkuletnią kobietę. Miała zdeformowane, poskręcane nogi i wspierała się na kulach. W ten sposób wyjaśniła się sprawa zagadkowego odgłosu.

– Carmen Escalante? – zapytał Stone.

Skinęła głową.

– Tak, jestem Carmen.

Pokazali jej odznaki.

– Przyjechaliśmy w związku ze zgłoszeniem zaginięcia.

– Pani nie mówi jak Amerykanka – zauważyła zaskoczona Carmen.

– Bo nią nie jestem.

Dziewczyna spojrzała na nich ze zdziwieniem.

– Możemy wejść? – zapytał Stone.

Poszli za nią krótkim korytarzykiem i znaleźli się w małym pokoiku. Meble były z trzeciej ręki, wszędzie walały się śmiecie, czuć było smród gnijącej żywności.

– Ostatnio nie miałam czasu posprzątać – powiedziała Carmen, ale bynajmniej nie zabrzmiało to jak usprawiedliwienie. Ciężko usiadła na kanapie i oparła o nią kule. Śmieci piętrzyły się także na kanapie. Stone i Chapman stali, ponieważ nie mieli gdzie usiąść.

– Rozumiem, że niepokoi się pani o...

– O wujka Alfredo. Wszyscy mówimy na niego Freddy.

– Wszyscy?

– Rodzina.

Stone rozejrzył się.

– Pani rodzina jest tutaj?

– Nie. W Meksyku.

– A pani mieszka z nim?

Skinęła głową.

– Jak ma na nazwisko?

– Padilla.

– Kiedy widziała go pani ostatnio? – zapytała Chapman.

– Wieczorem dwa dni temu. Kiedy wychodził na kolację.

– Wie pani dokąd?

– Do restauracji na Szesnastej Ulicy. Wujek pochodzi z Hiszpanii.

Cała rodzina mojego taty pochodzi z Hiszpanii. W Hiszpanii robią dobrą paellę, a wujek ją uwielbia. W tej restauracji, do której chodzi, dają dobrą paellę.

Stone i Chapman wymienili spojrzenia. Szesnasta Ulica, a więc w okolicach parku Lafayette’a.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego nie zgłosiła pani wcześniej jego zaginięcia? – spytał Stone.

– Nie mam telefonu, a bez pomocy wujka nie mogę nigdzie chodzić. Myślałam, że zaraz wróci, ale on nie wracał. Wreszcie poprosiłam sąsiadkę, żeby zadzwoniła.

– Czy pamięta pani, jak był ubrany?

– W granatowy dres. Lubił go nosić, ale nie lubił ćwiczyć. Zawsze mnie to śmieszyło.

– Może nie potrzebował ćwiczeń? – podsunęła jej Chapman.

Carmen wykonała obiema rękami gest mający wyobrazić duży brzuch.

– Wujek lubi *comida* i piwo.

– Czym zwykle wracał do domu? Samochodem?

– Wujek nie ma samochodu. Jeździ autobusami i metrem.

– Czy wspomniał o tym, że po kolacji zamierza wybrać się na spacer?

Usta dziewczyny wykrzywiły się i zaczęły drżeć. Wskazała na telewizorek stojący na zagraconym regale.

– Już wiem, co się stało. Ten wybuch w parku. Wujek Freddy, prawda? Czy on nie żyje?

Po jej policzku spłynęła łza. Stone i Chapman ponownie wymienili spojrzenia.

– Ma pani jakieś jego zdjęcie?

Carmen wskazała na koślawą półkę z książkami na ścianie. Stało na niej kilka fotografii w ramkach. Stone podszedł i przyjrzał im się. Alfredo „Freddy” Padilla znajdował się na trzecim zdjęciu od prawej strony. Miał na sobie džinsy i tę samą granatową bluzę od dresu, w której został rozerwany na strzępy. Stone pokazał fotografię Chapman, która skinęła głową. Ona także natychmiast rozpoznała mężczyznę z nagrania wideo. Stone odstawił zdjęcie na miejsce, po czym zwrócił się do Carmen: – Ma pani kogoś, kto mógłby do pani przyjechać?

– Więc on nie żyje, prawda?

Zawahał się.

– Obawiam się, że tak.

Zasłoniła usta dłonią i zaczęła cicho szlochać. Stone ukląkł przed nią.

– Wiem, że to zupełnie nieodpowiednia pora na takie pytania, ale czy przychodzi pani do głowy powód, dla którego pani wujek mógłby wybrać się nocą na spacer po parku Lafayette’a?

Dziewczyna miała chyba silniejszą psychikę, niż Stone przypuszczał, bo szybko się opanowała.

– Wujek kochał ten kraj. Jesteśmy tu od niedawna. Ja przyjechałam do lekarzy, żeby naprawili mi nogi. Wujek mi towarzyszył. Moi rodzice nie żyją. Miał pracę. Zarabiał niedużo, ale bardzo się starał.

– Jak na kogoś, kto tu jest od niedawna, mówi pani bardzo dobrze po angielsku – powiedziała Chapman.

Carmen uśmiechnęła się.

– Uczyłam się w szkole, jak byłam mała. I jeździłam do Teksasu. Mówię po angielsku najlepiej z całej *familia* - dodała z dumą.

– Wracając do parku Lafayette’a... – przypomniał łagodnie Stone.

– Lubił tam chodzić i patrzeć na Biały Dom. Mówił mi: „Carmen, to jest najwspanialszy kraj na świecie. Tu każdy może robić, co chce”.

Kiedyś mnie tam zabrał.

Niósł mnie na rękach. Patrzyliśmy na *grande casa blanca*. Powiedział mi, że tam mieszka wasz prezydent. I że to jest wielki człowiek.

Stone podniósł się z kolan.

– Naprawdę bardzo mi przykro.

– Czy ktoś może tu przyjechać i zamieszkać z panią? – zapytała powtórnie Chapman.

– Nie trzeba. Dam sobie radę.

– Ale ma pani jeszcze jakichś krewnych? – nie dawała za wygraną Chapman.

Carmen pociągnęła nosem i skinęła głową.

– Mam. Zawiozę mnie z powrotem do Meksyku.

– A co z pani leczeniem?

– Bez wujka to niemożliwe. Moi rodzice zginęli w wypadku autobusowym. Jechałam z nimi. To dlatego mam takie nogi. Wujek też tam był. Wycięli mu śledzionę i różne inne rzeczy, ale wyzdrowiał. Był dla mnie jak ojciec. – Umilkła na chwilę. – Ja... Nie chcę żyć tu bez niego. Nawet jeśli to jest najwspanialszy kraj na świecie.

– Proszę się z nami skontaktować, gdyby potrzebowała pani pomocy. – Stone zapisał swój numer na kartce i podał jej. – Czy mogłaby pani dać nam coś, co należało do wujka?

Najlepiej grzebień albo szczoteczkę do zębów, żebyśmy mogli...

Nie dokończył. Wkrótce wyszli z kilkoma przedmiotami zawierającymi próbki DNA Alfredo Padilli, umożliwiającymi identyfikację jego szczątków. Chapman wsadziła je do sterylnych torebek. Stone był całkowicie pewien, że grubasem w dresie był wujek Carmen, ale tylko badanie DNA mogło stanowić niepodważalny dowód.

– Może i jestem cyniczna, ale akurat w tej chwili cholernie chce mi się płakać – powiedziała Chapman, kiedy wracali do samochodu.

– Wszystko wskazuje na to, że Alfredo Padilla znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze – rzekł Stone. – A ona musi teraz za to zapłacić.

– On też słono za to zapłacił – zwróciła mu uwagę Chapman.

Wsiedli do wozu.

– Co teraz? – zapytała.

– Miejmy nadzieję, że agentowi Grossowi bardziej poszczęściło się niż nam. Niestety coś mi mówi, że nie powinniśmy na to liczyć...

29.

W drodze powrotnej do domku Stone'a zostawili wiadomość dla Grossa i kupili jedzenie na wynos u Chińczyka. Ponieważ była ładna pogoda, Stone wyniósł na ganek okrągły kuchenny stolik i dwa krzesła, nakrył dla dwóch osób i wyjął dwa piwa z lodówki.

Usiedli i stuknęli się szklankami.

– Na zdrowie. Widzę, że wiesz, jak ugościć damę.

– To ty przyniosłaś jedzenie, a ja nie mam pojęcia, czy piwo nie jest przeterminowane.

Po pierwszej łyżce pikantnej zupy wonton łyzy napłynęły jej do oczu i czym prędzej sięgnęła ponownie po piwo.

– Za ostre? – zapytał Stone, przyglądając się jej z rozbawieniem.

– Właściwie to nawet lubię ból. Chyba między innymi dlatego wykonuję tę robotę.

– Kiedyś współpracowałem z MI6, ale nie spotkałem żadnej agentki.

– Teraz też niewiele tam kobiet. To męski świat, bez dwóch zdań.

– Świadomy wybór czy wdepnęłaś w to przypadkiem?

– I jedno, i drugie, tak mi się wydaje. – Zajęła się kurczakiem z ryżem. – Mój ojciec był gliniarzem, a mama pielęgniarką.

– To nie wyjaśnia, dlaczego wylądowałaś w MI6.

– Sir James McElroy jest moim ojcem chrzestnym.

– Aha... – powiedział powoli Stone, odkładając widelec.

– Zanim przeszedł do pracy w wywiadzie, służył z moim dziadkiem w wojsku. Chyba mnie polubił, a po śmierci mojego ojca starał się mi go zastąpić.

– Jak zginął twój ojciec? Na służbie?

Wzruszyła ramionami.

– Tak mi powiedzieli. Nigdy nie poznałam szczegółów.

– I dlatego postanowiłaś dołączyć do stróżów prawa?

– Mam wrażenie, że sir James szykował mnie do tego od samego początku. Właściwe szkoły, właściwy trening, właściwe kontakty...

W gruncie rzeczy nie miałam wyboru.

– Czyli jednak pragnęłaś czegoś innego?

Pociągnęła łyk piwa, przez chwilę trzymała w ustach, połknęła.

– Sama zadaję sobie od czasu do czasu to pytanie.

– A jak brzmi odpowiedź?

– Różnie. Możliwe, że znalazłam się we właściwym miejscu i kto wie, może nawet uda mi się dowiedzieć, co naprawdę stało się z moim ojcem. – Odsunęła talerz, odchyliła się do tyłu i oparła stopy o balustradę. – A co z tobą? Najwyraźniej znacie się z sir Jamesem od dawna, a on wie o tobie rzeczy, których ja nigdy się nie dowiem.

– Nie miałyby dla ciebie żadnego znaczenia.

– Jak czułeś się wtedy, kiedy to zrobiłeś?

Stone podniósł się z krzesła, stanął przy balustradzie i zapatrzył się na nagrobki w gasnącym blasku dnia. Waszyngtońska pogoda – męczące upały latem i przeraźliwe mrozy zimą – bywała czasem niezwykle łaskawa, obdarzając mieszkańców takimi dniami jak ten.

Chciałoby się, żeby trwał wiecznie. Chapman stanęła przy nim.

– Nie chcę być wścibska – powiedziała cicho. – Wiem, że to nie moja sprawa.

– Dotarłem do punktu, w którym właściwie nic już nie czułem – odparł Stone.

– W jaki sposób się stamtąd wydostałeś?

– Nie jestem pewien, czy to mi się w ogóle udało.

– Czy to była twoja żona?

Spojrzał na nią.

– Wydawało mi się, że twój szef jest bardziej dyskretny.

– To nie on! – zapewniła go pospiesznie. – Sama się domyśliłam.

– W jaki sposób?

– Obserwując ciebie. To, co jest dla ciebie ważne. Twoich przyjaciół.

Stone odwrócił się.

– Trafiłaś – przyznał.

– Czemu więc wróciłeś? Po tym wszystkim?

– Chyba nie miałem wyboru.

– Ktoś taki jak ty zawsze ma wybór.

Zapadło długie milczenie. Stone patrzył na groby. Powiał wiatr, Chapman objęła się ramionami.

– Wielu rzeczy żałuję – odezwał się wreszcie.

– Chodzi więc o wyrównanie rachunków?

– Wątpię, żeby mi to się kiedykolwiek udało.

– Zabiłaś już kogoś? Z zimną krwią?

– Raz.

Skinął głową.

– I co czułaś?

– W pierwszej chwili byłam szczęśliwa, że to nie ja zginęłam, jednak zaraz potem zrobiło mi się niedobrze. Oczywiście szkolono mnie, ale...

– Żadne szkolenie nie przygotowuje cię na coś takiego.

– Chyba nie. – Zaciśnęła dłonie na poręczy. – A ilu ludzi ty zabiłaś?

– Czy to ważne?

– Chyba nie. I nie pytam z próżnej ciekawości, tylko... Sama nie wiem dlaczego.

Zanim Stone zdążył coś powiedzieć, zadzwonił telefon. To był Tom Gross.

– Wracamy na służbę, agentko Chapman – rzucił Stone.

30.

Spotkali się z Grossem nie w jego biurze w FBI, lecz w kawiarni niedaleko Verizon Center. Agent federalny miał na sobie spodnie w kolorze khaki, koszulkę polo i zapinaną na suwak kurtkę z logo Washington Capitals. Zanieśli kawę do stolika w kącie. Gross był blady i zdenerwowany, co jakiś czas rozglądał się dokoła, jakby chciał sprawdzić, czy nikt go nie śledzi.

– Nie podoba mi się ta sprawa – powiedział, odruchowo sięgając do kieszeni kurtki.

– Palileś kiedyś? – zapytał Stone.

Gross skinął głową.

– Żałuję, że przestałem.

– Powiedz, co się dzieje.

Agent pochylił się ku nim i zniżył głos.

– Najpierw wy powiedzcie, jak wam poszło z Carmen Escalante.

Zdali mu relację ze spotkania z kaleką, zrozpaczoną kobietą.

– Smutna sprawa, ale wygląda na to, że to ślepy zaułek?

– Od początku nie wydawało nam się, żeby to był rozwojowy wątek śledztwa – odparł Stone. – Jest przypadkową ofiarą, tak jak jej wujek.

– W niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie... Biedaczysko. Tak kochał Amerykę i spójrzcie, co się z nim stało.

– A jak ty sobie poradziłeś?

Gross poprawił się na krześle i pociągnął łyk kawy.

– Postanowiłem pójść trochę na skróty, więc wezwałem do naszej placówki całą ekipę, która pracowała przy przesadzaniu drzewa. Ich szef nazywa się George Sykes. Przez całe życie pracował na państwowych posadach, ma sześcioro wnucząt. Nie odstępował na krok swojej ekipy i przysięga na Biblię, że nikt z nich nie maczał w tym palców. Chyba mu wierzę.

Od chwili kiedy przywieziono drzewo, do jego posadzenia, zajmowało się nim siedmiu ludzi.

Niemożliwe, żeby wszyscy brali w tym udział.

– A dlaczego dół nie został od razu zasypany? – zapytał Stone.

– Przeszedłem całe szkolenie na ten temat. – Gross uśmiechnął się. – Straż Parkowa ma szczególne podejście do nasadzeń w parku Lafayette'a. Sadzą wyłącznie rośliny, które występowały w tych rejonach w czasach Jerzego Waszyngtona. To właściwie historycy, którym tylko od czasu do czasu zdarza się wykopać dół w ziemi. Dowiedziałem się o tym znacznie więcej, niż kiedykolwiek będę potrzebował. Dziury nie zasypali dlatego, że specjalista musi przygotować specjalną mieszankę gleby z nawozami i sprawdzić, czy korzenie nie uległy uszkodzeniu podczas transportu. Mieli to zrobić następnego dnia.

– Z tego wynika, że bombę umieszczono w bryle korzeniowej, zanim drzewo dotarło do parku – stwierdziła Chapman. – To jedyne logiczne wyjaśnienie. Ludzie ze Straży Parkowej nie mają z tym nic wspólnego.

Stone spojrzał na nią, po czym przeniósł wzrok na Grossa.

– Znamy historię tego drzewa? Skąd przyjechało, kto przy tym pracował?

– Właśnie to sprawdzamy, ale i tak nie rozumiem, jakim cudem nikt się nie pofatygował, żeby je dokładnie sprawdzić. Mogliby przynajmniej przyprowadzić psa, żeby je obwąchał. Było potężne, zresztą widzieliście na nagraniu. Sadzenie odbywało się przy wykorzystaniu dźwigu.

– Właśnie, a co z tym psem? Sprawdzał je czy nie?

– Nic nie świadczy o tym, żeby je sprawdzał. Ludzie pracujący przy sadzeniu też nie mogą sobie niczego takiego przypomnieć.

– Jeśli to prawda, to odkryliśmy kolejną poważną lukę w systemie bezpieczeństwa – zauważyła Chapman.

– Zgadza się, ale bomba w bryle korzeniowej? – Grass pokręcił głową. – Kto mógłby się tego spodziewać?

– Tak samo nikt nie mógł się spodziewać, że samoloty pasażerskie będą się rozbijać o wieżowce – zwrócił mu uwagę Stone. – Albo że ludzie będą ukrywać materiały wybuchowe w obcasach. Musimy zmienić sposób myślenia, zanim będzie więcej niewinnych ofiar.

Gross ze zmarszczonymi brwiami upił kolejny łyk kawy.

– Coś jeszcze? – zapytał Stone, nie spuszczając z niego wzroku.

Agent FBI zniżył głos jeszcze bardziej, tak że Chapman i Stone musieli pochylić się ku niemu, żeby usłyszeć:

– Sam nie wierzę w to, co mówię, ale wydaje mi się, że jesteśmy obserwowani przez naszych. I wprowadzani przez nich w błąd. Dlatego umówiłem się z wami tutaj, a nie w biurze.

– Przez naszych? Kogo ma pan na myśli? – zapytała Chapman.

Gross zerknął z ukosa na Stone'a.

– Wiem, że jesteś z NIC. Za długo pracuję, żeby narażać swoją karierę, ale nie zamierzam siedzieć beczynn timer i udawać, że wszystko jest w porządku.

Stone pochylił się ku niemu jeszcze bardziej.

– Jestem lojalny wobec osób, które siedzą przy tym stoliku. A teraz wytłumacz, dlaczego uważasz, że nasi ludzie są przeciwko tobie.

– Choćby dlatego, że mam telefon na podsłuchu! – odparł agent z irytacją. – Podsłuchy są też w moim biurze i domu, a gdy tylko zadam jakieś pytanie, interesuje się nim znacznie więcej osób niż powinno. – Spojrzał najpierw na Stone'a, a potem na Chapman. – Muszę was o coś zapytać, ale chcę usłyszeć prawdę.

– W porządku – odparła Chapman.

Stone czekał w milczeniu.

– Co z nagraniem wideo po eksplozji? Nie wierzę ani trochę w tłumaczenie, że wybuch uszkodził wszystkie kamery. Ci z Secret Service sami przyznali dzisiaj, że nie tylko oni obserwują, co się dzieje w parku. Problem w tym, że każdy zatrzymuje informacje dla siebie. No więc? Jest coś więcej?

Chapman zerknęła szybko na Stone'a, a Gross jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

– Tak myślałem – mruknął. – Więc wy też robicie mnie w konia. Jak, do cholery, mam prowadzić śledztwo ze związanymi rękami? Wiecie, co wam powiem? W tej chwili jedyną osobą, której ufam, jest moja żona! To święta prawda!

– Rozumiem cię – przyznał Stone.

– Jestem cholernie ciekaw, dlaczego wy okazaliście się godni obejrzenia tego nagrania, a ja nie? – Posłał Chapman miażdżące spojrzenie. – Do licha, pani nawet nie jest Amerykanką!

– Szczerze mówiąc, nie znam sensownego wytłumaczenia – przyznał Stone. – Masz laptop w samochodzie? – zwrócił się do Chapman.

Skinęła głową.

– Więc go przynieś.

Minutę później była z powrotem. Włączyła komputer i wkrótce we trójkę oglądali nagranie. Całe. Następnie wyraźnie udobruchany Gross powiedział: – No dobrze. Wciąż jestem wkurzony, że tak ze mną postąpiono, ale szczerze mówiąc, nie widziałem tam niczego, co uzasadniałoby ukrywanie nagrania przed FBI.

To prawda, pomyślał Stone. Chyba że jest tam coś, czego żadne z nas nie dostrzega.

– Puść jeszcze raz od chwili, kiedy wszyscy wychodzą z parku.

Mniej więcej po minucie poprosił, żeby wstrzymała odtwarzanie. Wpatrywał się w znieruchomiałą obraz, wściekły na siebie za to, że nie zauważył tego wcześniej – szczególnie w kontekście uzyskanych dzisiaj informacji.

– Możesz powiększyć?

Zrobiła to.

– A przesunąć w lewo?

Obraz przesunął się w lewo. Stone dotknął palcem ekranu.

– Widzicie?

Gross i Chapman wyteżyli wzrok.

– Co? – zapytali równocześnie.

– Tutaj, w szybie. Odbicie twarzy.

Oboje pochylili się nad ekranem.

– Rzeczywiście – przyznała Chapman. – Teraz widzę.

– Ale kto to jest? – zapytał Gross.

– Człowiek w garniturze. To dlatego nie pokazali ci tej części nagrania.

– Zaraz, chwileczkę! Skąd wiesz, że to on?

– Bo poznałem go dzisiaj.

Gross poczerwieniał na twarzy i gwałtownie poderwał się z miejsca.

– Wiesz, gdzie on jest? Ty sukinsynu! A więc wciąż ukrywacie przede mną różne rzeczy! Może to wy kazaliście mnie podsłuchiwać?

Stone spiorunował go wzrokiem.

– Agencie Gross, panuj nad sobą i nad swoim głosem. A teraz siadaj i słuchaj.

W tonie Stone'a było coś, co kazało Grossowi zastosować się do polecenia.

– Człowiek w garniturze przyszedł do parku po to, żeby spotkać się z kimś w sprawie misji mającej kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa kraju.

– Skąd o tym wiesz?

– Od kogoś, komu ufam. Jak już powiedziałem, widziałem się dzisiaj z tym człowiekiem. Jego misja polega na wytropieniu jednego z największych nieprzyjaciół tego kraju. Kto wie, czy nie największego.

Na twarzy Grossa stopniowo zaczęło się pojawiać zrozumienie.

– Cholera! Czy masz na myśli...

Stone gestem nakazał mu milczenie.

– Misja jest ściśle tajna. Tak tajna, że postanowiono nie udostępniać FBI nagrania, na którym widać twarz tego człowieka. Myślę, że na tym poprzestaniemy.

– Ale to znaczy, że celem ataku mógł być właśnie on!

– Nie. Gdyby tak było, na pewno nie uszedłby z życiem.

– Gdzie on jest teraz?

– Niedaleko.

– W porządku. A co to oznacza dla nas?

– Niewiele – przyznała Chapman niewesołym tonem. – Cholernie niewiele.

31.

Chapman odwiozła Stone'a do domu, a sama wróciła do hotelu. Stone porządkował alejki, analizując w myślach wydarzenia dnia. W którąkolwiek stronę ruszyli, niemal od razu trafiali w ślepią uliczkę. Ludzie, którzy tamtego wieczoru przebywali w parku, zostali dokładnie sprawdzeni; nikt z nich nie miał najmniejszego związku ani z wybuchem, ani ze strzelaniną. Alfredo Padilla wyleciał w powietrze przez przypadek, Marisa Friedman pracowała w pobliżu, a przez telefon rozmawiała z kochankiem, Faut Turkekul przyszedł na spotkanie z Adelphią, żeby omówić szczegóły swojej arcyważnej misji, brytyjski gliniarz wykonywał polecenia MI6. Cztery obiecujące tropy okazały się diabła warte.

Wszedł do domu i usiadł za biurkiem. Było już późno, powinien pójść spać, ale nie czuł zmęczenia. Myśli tłukące mu się po głowie z pewnością nie pozwoliłyby mu zasnąć.

Usiłował coś poczytać, jednak wciąż wracał pamięcią do wydarzeń, które rozegrały się w parku Lafayette'a.

Ktoś, nie wiadomo w jakim celu, przeprowadził atak terrorystyczny w samym sercu jednego z najlepiej strzeżonych obszarów na kuli ziemskiej. Stone nie wierzył w prawdziwość oświadczenia Jemeńczyków. Ta operacja musiała być przygotowywana bardzo długo i pochłonąć niewiarygodne środki. Islamscy terroryści dysponowali zarówno czasem, jak i pieniędzmi, ale ich zasoby nie były nieograniczone. Nie mogli sobie pozwolić na ich marnowanie. W związku z tym nie przedsięwzięliby niczego tylko po to, żeby symbolicznie dać coś komuś do zrozumienia, tak samo jak nie porwaliby kilku pasażerskich odrzutowców po to, by przelecieć bardzo blisko Bliźniaczych Wież.

Nie przemawiała do niego także teoria, którą usłyszał od jakichś gadających głów w telewizorze: że ludzie będą teraz bali się przyjeżdżać do Waszyngtonu. I co z tego? Rząd nie zacznie gorzej funkcjonować tylko dlatego, że tabuny turystów z Iowa albo Maine

pojadą gdzie indziej na wakacje. To nie był „czyn powtarzalny”, jak mawiali specjaliści od antyterroryzmu. Gdyby bomba wybuchła w centrum handlowym albo na lotnisku, ludzie w całym kraju baliby się odwiedzać te miejsca, co mogłoby mieć poważne skutki ekonomiczne.

Biały Dom był tylko jeden, podobnie jak park Lafayette’a.

Jeśli moja analiza nie ma sensu, to znaczy, że błąd tkwi w analizie, pomyślał. Ale na czym polega i w którym miejscu go popełniam?

Zamierzał zacząć rozumowanie od nowa, lecz nagle szybkim ruchem ręki wyłączył lampkę na biurku i skulił się w fotelu. Ktoś był na zewnątrz.

Zsunął się na podłogę, otworzył schowek w bocznej ścianie biurka. Znajdował się tam pistolet, którym posługiwał się przez wiele lat w swojej pracy. Wtedy był niemal częścią jego ciała. Stone wydobył go i zamknął schowek.

Podpełzł do tylnego okna i ostrożnie wyjrzał. Na niebie świecił księżyc. Tamci poruszali się szybko i sprawnie, ale i tak ich dostrzegł, bo wiedział, gdzie i jak patrzeć. Wyjął z kieszeni komórkę i zaczął pisać SMS, kiedy usłyszał głos: – Stone, chciałbym z tobą porozmawiać!

Palec Stone’a zawisł nad klawiszem wysyłania. Znał ten głos. Zastanawiał się intensywnie nad powodami, które mogły skłonić tego człowieka, żeby tu przyjechał.

– O czym? – zapytał głośno.

– Myślę, że wiesz. Na pewno masz broń, a ja wiem, jak dobrze się nią posługujesz.

Domyślam się też, że zauważyłeś moich ludzi. Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda, więc proponuję, że przyjdę do ciebie i pogadamy w cztery oczy. Zgadzasz się?

– A jeśli nie?

– To sobie pójdziemy.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć?

– Bo jesteśmy po tej samej stronie.

– W tej chwili nie bardzo mi na to wygląda...

– Daję ci słowo. Chcę tylko porozmawiać.

– W takim razie czemu zjawiasz się nocą w towarzystwie oddziału uderzeniowego?

– Zawsze z nimi podróżuję. Nie bierz tego do siebie. Więc jak, pogadamy?

Stone myślał intensywnie. Przewaga była po stronie tamtych. Poza tym może uda mu się czegoś dowiedzieć?

– Dobrze, ale tylko ty! – zawołał. – Rzeczywiście mam broń. Jak tylko zobaczę choć jedną czerwoną kropkę wędrującą po ścianie, zrobi się nieprzyjemnie. Czy to jasne?

– Jasne. Idę.

– Tylko powoli!

– W porządku, powoli.

Kilka sekund później Riley Weaver, szef NIC, stanął w drzwiach skromnego domku Stone'a otoczonego setkami umarłych oraz pół tuzinem żywych, uzbrojonych po zęby ludzi.

32.

– Zamknij drzwi i stań po lewej stronie – polecił Stone. Podniósł się ostrożnie z podłogi, uważając, by nie stanąć na tle okna.

– Rozchyl marynarkę.

– Nie mam broni.

– Rozchyl marynarkę.

Weaver zastosował się do polecenia. Aż drgnął, kiedy poczuł, że obszukuje go czyjaś ręka.

– Potrafisz cicho chodzić – stwierdził z uznaniem. Stone cofnął się, ani na chwilę nie opuszczając pistoletu.

– Czy możemy włączyć światło? – zapytał dyrektor. – Nic nie widzę.

– Gdybyś nie zjawił się tu na czele oddziału szturmowego, potraktowałbym cię z większą kurtuazją.

Stone przez cały czas był w ruchu, na wypadek gdyby – wbrew temu co mówił – ekskomandos jednak doskonale widział w ciemności. Jak się okazało, jego podejrzenia były słuszne.

– No dobrze, widzę cię i ty mnie widzisz – powiedział Weaver. – Jak chcesz to rozegrać?

– Widzisz krzesła przy kominku?

– Tak.

– Usiądź na tym po lewej stronie.

– A gdzie ty będziesz?

– Gdzieś indziej.

Weaver podszedł do koślawego krzesła, usiadł ostrożnie i odwrócił głowę lekko w prawo.

– Nie widzę cię teraz.

– Wiem. Czego chcesz?

– Nasze poprzednie spotkanie skończyło się zbyt raptownie.

– To wyłącznie twoja zasługa.

– Wiem o tym. Pracujesz teraz z NIC i FBI.

– I co z tego?

– Nie sądzisz, że warto by więcej wysiłku włożyć we współpracę z NIC?

– Chwilowo mam przesyt liter alfabetu.

– Jesteście równie daleko od wyjaśnienia tej sprawy jak chwilę po wybuchu bomby.

– Zgadza się. Twoje wtyczki dobrze się spisały. Twój poprzednik też umieszczał je, gdzie tylko się dało. Nie zawsze z dobrym rezultatem.

– Nie jestem Carterem Grayem. Wiem, że nie najlepiej się między wami układało.

– Był doskonały w tym, co robił. Problem polegał na tym, że nie ze wszystkim się zgadzałem.

– Zdaje się, że czytałem trochę więcej na temat Johna Carra.

– To dobrze. Po co tu przyszedłeś? Chyba nie tylko po to, żeby zaproponować mi pracę, której nie mógłbym przyjąć?

– Masz poparcie prezydenta. Wiem dlaczego.

Stone przyglądał się nieproszonemu gościowi. Stał jakieś trzy metry od Weavera, za nim i lekko po prawej. Doskonała pozycja do zabijania, ponieważ większość ludzi jest praworęczna, więc w odruchu obronnym odwraca się w lewo, a nie w prawo.

– Podzielisz się tą wiedzą?

– Nie zamierzam grzebać w historii. Interesują mnie wyłącznie bomba i strzelanina w parku Lafayette'a.

– Niektórzy twierdzą, że to symboliczne.

– Wierzysz w to?

– Nie – odparł Stone. – Terroryci wierzą w symbole tylko wtedy, gdy towarzyszy im mnóstwo ofiar.

– Zgadza się. Ta akcja kosztowała zbyt dużo czasu i środków. Musiał istnieć ważniejszy powód.

– Właśnie się nad tym zastanawiałem, kiedy się pojawiłeś.

– Gdybyśmy połączyli siły, może prędzej udałoby nam się osiągnąć sukces.

– Już ci powiedziałem, że mam swój zespół.

– Wszyscy jesteśmy w tym samym zespole.

– Zgarnąłeś mnie ze szpitala sprzed nosa FBI, udawałeś twardziela, wyszydziłeś mnie, kiedy chciałem ci powiedzieć o tym,

co wiem i co podejrzewam, a potem, kiedy zadałem pytanie, po prostu wyłączyłeś światło. Jeśli według ciebie tak powinna wyglądać gra wstępna, to życzę powodzenia.

– Dobra, zasłużyłem na to. Walnąłem z grubej rury i oberwałem rykoszetem.

Przyznaję.

– A teraz chcesz odgrywać miłego faceta?

– Tak trudno uwierzyć, że nim jestem?

– Bardzo trudno. Jesteśmy w Waszyngtonie, gdzie młodzi zjadają starych, a starzy młodych. Pytam jeszcze raz: po co tu przyszedłeś?

Stone powoli policzył do dziesięciu. Cisza. Starannie wycelował pistolet w głowę mężczyzny, równocześnie pilnie nasłuchując szelestu zbliżających się na zewnątrz kroków.

Niemożliwe, żeby był aż tak głupi, pomyślał. Ryzykuje życie, by odwrócić moją uwagę?

Stone'a ani trochę nie obchodziło, że ludzie na zewnątrz pracowali dla tego samego rządu co on. Z doświadczenia wiedział, że takie szczegóły nie miały najmniejszego znaczenia, jeżeli weszło się komuś w paradę. Albo jeśli zdemaskowało się czyjś spisek. Zwykle chodziło o to samo.

– Boję się, Stone.

Niespodziewane wyznanie sprawiło, że podniósł wzrok.

– Dlaczego?

– Bo coś wisi w powietrzu. Coś wielkiego, a ja nie mam pojęcia co. A jeśli szef wywiadu najpotężniejszego kraju na świecie nie wie, co się wydarzy, to nie jest dobrze. Nie chcę przejść do historii jako ten, który nie przewidział czegoś naprawdę ważnego.

Stone odprężył się nieco.

– Coś wielkiego? Dlaczego tak sądzisz? Po pogłoskach?

– Nie tylko. Mam przecucie. W jaki sposób bomba znalazła się w tamtej dziurze?

Dlaczego nikt nie został ranny, skoro strzelano z broni maszynowej? Dręczy mnie jeszcze jedno pytanie, które tobie chyba nawet nie przyszło do głowy.

– To znaczy?

– Co się stało z klonem, który przedtem rósł w tym miejscu? Podobno usechł, niemal z dnia na dzień. Dlatego trzeba było posadzić nowy. Rósł spokojnie przez kilkadziesiąt lat, silny i zdrowy, a potem nagle usechł i nikt nie wie dlaczego.

Stone stał jak sparaliżowany. Poprzednio był w parku Lafayette'a wiele lat temu, ale doskonale pamiętał ten klon: wysoki, rozłożysty, piękny. Sprawiał wrażenie zupełnie zdrowego.

A potem nagle usechł. I nikt nie wie dlaczego.

Usiadł na sąsiednim krześle i schował broń za pasek.

– Mam pozwolenie – powiedział, przechwyciwszy spojrzenie dyrektora.

– Nie zamierzam go kwestionować. Tym bardziej że z pewnością ci się przyda, zanim ta sprawa się skończy.

– Uważasz, że ktoś celowo wykończył tamto drzewo?

– Albo to, albo mamy do czynienia z wyjątkowym zbiegiem okoliczności. Nie trzeba nowego drzewa, nie ma bomby w parku Lafayette'a. Bo chyba już wszyscy zdajemy sobie sprawę, że bomba przyjechała tam razem z drzewem.

– Agent Gross z FBI powiedział, że już pracują nad tym wątkiem, ale nie udało im się jeszcze niczego ustalić.

– To ciekawe.

– Nie wiedziałeś o tym?

– FBI zawsze chadzało własnymi ścieżkami, ale staram się trzymać rękę na pulsie.

Szczerze mówiąc, wątpię, żeby ten wątek doprowadził ich do czegoś ciekawego.

– Dlaczego? Bo zatarto ślady?

Weaver spojrzał na niego w ciemności.

– Nie prześwietili bryły korzeniowej drzewa. Gdyby to była choinka dla Białego Domu, na pewno by to zrobili.

– Może dali psom do obwąchania?

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

– Po prostu tak mi się wydaje.

– ATF uważa, że ładunek został zdalnie zdetonowany.

– Hmm...

- Wątpisz w to?
- Ujmijmy to w ten sposób: żadna bomba nie jest stuprocentowo niezawodna. Dawno temu przekonałem się o tym na własnej skórze, bo rzekomo niezawodna bomba mało nie urwała mi ręki.
- Jaką więc masz teorię?
- Możemy włączyć światło? Czuję się tak, jakbym był znowu uczniem i podkrażał staremu whisky z barku.
- Wolę, jak jest ciemno.
- W porządku, skoro chcesz. W bryle korzeniowej ukrywają bombę z detonatorem na fale radiowe. Mógł to być telefon komórkowy. Drzewo trafia na miejsce, dół jest zasypany, ziemia uklepana, bombę detonują wtedy, kiedy to im jest potrzebne. Niestety, zanim robotnicy zdążyli zasypać dół, wskoczył do niego grubas, który chciał schować się przed kulami, i bum!
- Ale dlaczego właściwie nastąpił wybuch?
- Tak jak powiedziałem: bomby lubią płać figle. Grubas wylądował prosto na niej, a może trafił w nią zabłąkany pocisk... Tak czy inaczej, eksplodowała.
- Zastanawialiśmy się już nad taką możliwością.
- A więc tylko marnuję twój czas?
- Wcale nie. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógł celowo zniszczyć drzewo. Punkt dla ciebie.
- Wpadłem na to dopiero dzisiaj.
- Ci z ATF sądzą, że bombę umieszczono w pińce do koszykówki.
- To bez znaczenia. I tak mogła eksplodować przypadkowo.
- Ale to nie ma sensu! Grubas wskoczył do dołu i jeśli wierzyć twojej teorii, przypadkowo zdetonował ładunek, wyłącznie dlatego, że uciekał przed kulami. Po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu, żeby podłożyć bombę w tym miejscu, a potem spieprzyć wszystko przez bezsensowną strzelaninę?
- Sens jest oczywisty, ale musisz spojrzeć na to z innej strony. Stone odezwał się dopiero po kilku sekundach.
- Chcesz powiedzieć, że ci, którzy podłożyli bombę, i ci, którzy strzelali, nie mają ze sobą nic wspólnego...
- Otóż to. A jeśli tak jest rzeczywiście, to ci od bomby są w tej chwili cholernie wkurzeni na tych, którzy strzelali.

– Jemeńczycy?

– Chętnie przyznają się do mnóstwa rzeczy, z którymi nie mieli nic wspólnego, choć nie wykluczam, że to naprawdę oni strzelali. Przypadkowo odpalili czyjaś bombę i pomyśleli, że za to też warto zebrać oklaski. Coś takiego dodaje splendoru, a to z kolei przekłada się na większe fundusze. Tak to działa. Bardzo podobnie do przepychanek z budżetem w Kongresie.

– To by oznaczało, że bomba miała zabić kogoś innego i kiedy indziej.

– Zgadza się. Tylko kogo?

33.

Dwie godziny po tym, jak Weaver i jego ludzie odjechali, Stone wciąż nie mógł zasnąć. Weaver kazał przygotować listę imprez, jakie w ciągu kilku najbliższych miesięcy miały się odbyć w parku, i obiecał, że podzieli się tą informacją. Ze swojej strony Stone powtórzył mu wszystko, czego dowiedzieli się o biegaczu, oraz przekazał informacje uzyskane od ATF i FBI. Nie zająknął się natomiast ani słowem o Faucie Turkekulu. Jeżeli szef NIC dowie się o operacji zmierzającej do pojmania Osamy bin Ladena, to z pewnością nie od Olivera Stone'a.

Leżał na swojej pryczy i rozważał to wszystko tak długo, aż noc zaczęła stopniowo ustępować miejsca świtowi. Jego myśli skierowały się w końcu ku Klubowi Wielbłądów.

Caleb i Reuben od lat byli jego przyjaciółmi. Bez przesady można powiedzieć, że razem przeszli przez piekło. Alex Ford dołączył do Klubu nieco później, ale już dwukrotnie ocalił mu życie i co najmniej pięć razy ryzykował karierę, żeby pomóc przyjaciołom. Annabelle pojawiła się całkiem niedawno, lecz i ona zdążyła już dowieść swojej lojalności. Jeśli chodzi o Harry'ego Finna, to walczył z nim ramię w ramię z oddziałem doskonale wyszkolonych zabójców, mimo że trzydzieści kilka lat wcześniej Stone zabił jego ojca.

A ja powiedziałem im wszystkim, że im nie ufam i nie potrzebuję ich pomocy. Ale to jeszcze nie wszystko.

Tylko garstka ludzi wiedziała, że Stone wziął starą strzelbę i zabił dwóch prominentnych Amerykanów, którzy zniszczyli jego życie, odbierając mu żonę i dziecko. W imię ojczyzny wysłał na tamten świat wielu ludzi, bez szemrania wykonywał rozkazy, ale tamtych dwóch zabił zupełnie sam. Był sędzią i katem. Uważał, że miał prawo tak postąpić.

Nie czuł ani odrobiny żalu.

Wciąż jednak miał sumienie. Długie lata spędzone na zabijaniu tego nie zmieniły.

Głęboko zakorzenione w jego duszy poczucie sprawiedliwości podpowiadało mu, że kiedyś za to zapłaci. Pogodził się z tym, ale nie zamierzał dopuścić, by przy okazji jakaś krzywda spotkała jego przyjaciół. Nie zasługiwali na to. On żył na kredyt, oni nie. Dni Klubu Wielbłądów były policzone, przynajmniej z nim w roli szefa.

Wziął prysznic, ubrał się i wyszedł z domu, kiedy słońce dopiero zaczynało wędrowkę po nieboskłonie. Zaraz za drzwiami stanął jak wryty na widok Chapman; siedziała na masce wypożyczonego samochodu i popijała kawę ze Starbucksa.

Zasunął suwak kurtki, bo ranek był chłodny, i podszedł do niej. W dżinsach, grubym czarnym swetrze i wysokich butach wcale nie przypominała agentki MI6. Zebrane z tyłu włosy odsłoniły niewielki pieprzyk na skroni. Zsunęła się z maski, sięgnęła do środka przez okno w drzwiach kierowcy, wyjęła drugi kubek z kawą i podała mu.

– Domyśliłam się, że wcześniej wstajesz – powiedziała tytułem wyjaśnienia, kiedy przełykał.

– Dzięki – rzucił.

– Miałeś interesującą noc?

– Dlaczego pytasz?

– Tak tylko, z ciekawości...

– Czy też z ciekawości obserwowałaś mój dom?

– Mniej więcej. Miałeś późnego gościa?

– Pytasz czy stwierdzasz fakt?

– Pytam.

– Riley Weaver, szef NIC. Chciał pogawędzić. Ma parę ciekawych teorii.

– Podzielisz się nimi?

– W drodze do parku.

Chapman uruchomiła silnik i ruszyli. Zgodnie z obietnicą Stone opowiedział jej o podejrzeniach Weavera.

– Całkiem nieźle – stwierdziła z uznaniem. – Mam wrażenie, że ten Weaver ogarnia najszerszy obraz.

– Byłoby lepiej, gdyby zawęził go do osoby, która miała być celem.

– To nie powinno być trudne. Ile imprez odbywa się w parku Lafayette'a?

– Więcej niż ci się wydaje. Nie tylko rządowe, każdy może wystąpić o pozwolenie, żeby świętować albo protestować. Obawiam się, że lista będzie długa.

– Stopniowo na pewno uda nam się ją skrócić. Plus jest taki, że przynajmniej nie ma już zagrożenia.

– Nieprawda.

– Jak to?

– W gruncie rzeczy wciąż nie wiemy, na czym polega zagrożenie, i musimy zakładać, że tamci spróbują jeszcze raz. Podłożenie bomby w parku wymagało mnóstwa pracy. Cel musi usprawiedliwiać tak wielki wysiłek. Nie zrezygnują.

Wysiedli z samochodu i, po przejściu przez kilka punktów kontrolnych, znaleźli się w parku. Stone się rozejrzał. Było jeszcze wcześniej, dokoła kręciło się niewielu ludzi.

Naturalnie wszyscy byli z policji albo z rozmaitych agencji; zwykli ludzie nie mieli tu jeszcze wstępu.

Stone usiadł na ławce, żeby dokończyć kawę, a Chapman stanęła przed nim.

– Czy to prawda, że przez pewien czas właściwie tu mieszkałeś?

– Owszem.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie?

– Daj spokój, w ten sposób do niczego nie dojdziemy...

– Protestowałem. W tym kraju to dozwolone.

– Przeciwno czemu protestowałeś?

– Można powiedzieć, że przeciwko wszystkiemu.

– Podatkom i takim innym?

– Nie. Nigdy nie zarabiałem tyle, żeby płacić podatki.

– Więc przeciwko czemu?

Stone spojrział na Biały Dom po drugiej stronie ulicy.

– Przeciwno rzeczom, które uważałem za niesłuszne.

– Czy teraz już są słuszne?

– Wątpię.

– Ale już nie protestujesz.

– Fakt, że nie siedzę tu od rana do wieczora, wcale nie oznacza, że nie protestuję.

– Űfasz Weaverowi? Z tego, co mówięs, wynika, że otworzył przed tobą serce, zupełnie jakby naprawdę się przejął...

– Bo się przejął. Głównie tym, że ktoś chce na jego wachcie urządzić powtórkę z jedenastego września. Z pewnością zrobi wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Jestem też przekonany, że jeśli mu się uda, to zgarnie całą chwałę dla siebie, a nas zostawi w głębokim cieniu.

– Nie istnieje coś takiego jak złodziejskie albo szpiegowskie poczucie godności?

– Moim zdaniem to bezprzedmiotowa dyskusja.

Wyrzuciła pusty kubek do kosza i usiadła na ławce obok Stone'a.

– A więc czekamy na wyniki śledztwa FBI w sprawie drzewa i tego, kto mógł wsadzić pod nie bombę. Równolegle Weaver stara się ustalić, kto mógł być celem zamachu. Wynika z tego, że dla nas zostało niewiele pracy.

– Dlaczego akurat w piłce do koszykówki? – zapytał niespodziewanie Stone.

– Słucham?

– Jeżeli bomba i tak była ukryta w bryle korzeniowej, to po co zadawać sobie tyle trudu, żeby umieścić ją w piłce? Nie wystarczyłoby po prostu wepchnąć ładunek między korzenie?

– Chyba znam odpowiedź: wilgoć.

Spojrzał na nią.

– Mów dalej.

– Drzewo, co oczywiste, sadi się w ziemi. A potem podlewa. Zapewne obficie, żeby się przyjęło. Ładunki wybuchowe zwykle nie przepadają za wilgocią. Nawet niewielka ilość wody może przedwcześnie uruchomić zapalnik albo go uszkodzić, uniemożliwiając eksplozję.

Bomba ukryta w piłce do koszykówki staje się wodoodporna – przynajmniej na tyle, na ile to niezbędne.

– W porządku, ale gdybyś chciała ochronić bombę przed wilgocią, czy pierwszą rzeczą, jaka przyszłaby ci do głowy, byłaby piłka do koszykówki?

– Nie gram w koszykówkę, więc na pewno nie. – Wyprostowała się raptownie. – Nie sądzisz, że ten wybór może być wskazówką co

do tożsamości zamachowca?

– To niewykluczone. A ponieważ w tej sprawie mamy rozpaczliwie mało wskazówek, z pewnością nie możemy jej zlekceważyć.

– Czyli zgadzasz się z teorią Weavera, według której strzelcy i bombiarze nie mają ze sobą nic wspólnego? Strzelali zapewne Jemeńczycy, bombę podłożył ktoś inny?

– Może nie posunę się tak daleko, żeby powiedzieć, że się zgadzam, ale ta teoria jest na tyle interesująca, że na pewno warto jej się przyjrzeć.

– Jak sądzisz, dlaczego przy takiej kanonadzie nikt nie został trafiony?

– Nie mam pojęcia, a to chyba najistotniejsza kwestia.

– W mojej części świata koszykówka nie cieszy się taką popularnością jak tutaj...

– To prawda, choć jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że grupa bogatych graczy z NBA zrobiła zrzutkę po to, żeby wysadzić kogoś w powietrze w parku Lafayette'a.

– Zamachowcy mogą być powiązani z grą w inny sposób.

Stone wyjął z kieszeni komórkę.

– Agent Gross? Tu Stone. Jestem w parku. Mam informację i pytanie.

Zrelacjonował Grossowi rozmowę z Weaverem i przedstawił teorię dyrektora NIC, a następnie podzielił się z nim swoimi przemyśleniami dotyczącymi ewentualnych powiązań zamachowców z koszykówką.

– W porządku – odparł Gross. – Zgarnę was za jakieś dwadzieścia minut i pojedziemy pogadać z ludźmi, którzy dostarczyli drzewo.

Stone schował telefon i spojrzał na Chapman.

– Przyjedzie po nas. Zabierze nas tam, skąd przywieziono drzewo.

– Doskonale, bo już zaczyna mi się nudzić.

Stone wstał, rozejrzał się dokoła, po czym zaczął przechadzać się tu i tam. Chapman obserwowała go z zainteresowaniem. Większość szczątków rozrzuconych siłą eksplozji już posprzątano, zostały

natomiast kolorowe namiociki, w związku z czym można było odnieść wrażenie, że w parku spadł pomarańczowy i biały śnieg. Zapewne jeszcze przez wiele tygodni, a może nawet lat, ludzie będą znajdować różne rzeczy. Na przykład kawałek ucha; wspomniała pamiątka z wycieczki do stolicy.

Wreszcie zatrzymał się na krawędzi krateru. Chapman stanęła obok niego.

– Co ci chodzi po głowie? – zapytała.

– Coś mi się tu nie zgadza. Coś oczywistego, ale na razie nie mogę tego uchwycić.

34.

– Nie wiedziałem, że ty i Weaver jesteście sobie tacy bliscy – zauważył Gross, sprawnie kręcąc kierownicą. Właśnie wyjeżdżali z Waszyngtonu. Stone siedział obok niego, Chapman z tyłu.

– Widziałem go dwa razy w życiu, ale ani razu z własnej woli, więc to dość problematyczna bliskość.

Gross zerknął na niego z ukosa.

– Dlaczego więc przyszedł do ciebie, a nie do mnie?

– Jesteś rywalem. Ja tkwię gdzieś pośrodku.

Gross się skrzywił.

– Jeśli mamy naprawdę chronić ten kraj, przydałoby się jak najprędzej skończyć z tą idiotyczną rywalizacją.

– Zgadzam się – odezwała się Chapman. – Wszyscy jesteście przecież po tej samej stronie.

– To trochę bardziej skomplikowane, niż się wydaje, agentko Chapman – odparł Gross, spoglądając na nią w lusterku.

– „Skomplikowane” nie znaczy „niemożliwe”, agencie Gross – odparła.

– Tak czy inaczej, gdyby NIC chciało z nami współpracować, wszystkim nam byłoby łatwiej.

– Nie wiem, czy uwierzysz, ale w innych agencjach to samo mówią o FBI – odezwał się Stone.

Gross roześmiał się z goryczą.

– Chyba masz rację.

– Weaver wciąż uczy się tu poruszać – ciągnął Stone. – Boi się popełnić jakiś błąd.

Pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę i korzysta ze wszystkich dostępnych metod. Ja jestem jedną z nich.

– Dokąd właściwie jedziemy? – zapytała Chapman, patrząc przez okno.

– Do Pensylwanii – odparł Gross. – Stamtąd przywieziono klon. Ze szkółki w okolicach Gettysburga.

– Spodziewają się nas?

– Nie.

– To dobrze.

– Nie powinniście wysłać tam większych sił? – zapytała Chapman.

– Ktokolwiek to zrobił, na pewno nie siedzi tam i nie czeka na nas. Jeżeli narobimy za dużo zamieszania, ludzie mogą się przestraszyć. Potrzebuję odpowiedzi, a do tego trzeba odrobiny finezji.

Kilkadziesiąt kilometrów dalej wjechali na teren szkółki drzew Keystone. Brukowany podjazd zaprowadził ich przed długi parterowy budynek pomalowany na biało, z zielonym metalowym dachem. Nieco dalej stały rozmaite zabudowania gospodarcze, w tym także takie, w jakich bez trudu zmieściłoby się piętnastometrowe drzewo. Na parkingu stało kilka brudnych furgonetek, nieduży samochód osobowy oraz czarny cadillac escalade. Wysiedli z wozu i zastukali do drzwi z napisem BIURO.

Pulchna kobieta w za ciasnych dżinsach zaprowadziła ich do niedużego pokoju, w którym za metalowym biurkiem siedział potężnie zbudowany mężczyzna z telefonem przy uchu. Wskazał im gestem dwa fotele, a kiedy Gross machnął mu przed nosem odznaką, powiedział do aparatu:

– Zadzwoń później.

Odłożył słuchawkę, wstał i wepchnął koszulę w spodnie.

– Czy mogę jeszcze raz zobaczyć tę odznakę? – spytał.

Gross podszedł i przez kilka sekund trzymał odznakę i legitymację przed nosem mężczyzny.

– Co mogę dla państwa zrobić? – zapytał niepewnie gospodarz.

– Na początek mógłby się pan przedstawić – podsunął Gross.

Mężczyzna odchrząknął.

– Lloyd. Lloyd Wilder.

– Pan jest tu szefem?

– Tak, kierownikiem. Od dziesięciu lat. O co chodzi?

Gross przysiadł na krawędzi biurka, Stone oparł się o ścianę, Chapman zajęła miejsce w fotelu. Patrzyli na Wildera, który nerwowo przełknął ślinę i ciężko opadł z powrotem na fotel.

– Słuchajcie, ci goście przysięgali, że są tu legalnie! No dobrze, może nie mieli wszystkich papierów, ale wiecie, ile tego jest? Musiałbym przez cały dzień nic nie robić, tylko siedzieć i czytać dokumenty, a poza tym i tak nie ma wielu chętnych do tej roboty, więc...

– Nie jesteśmy z Urzędu Imigracyjnego – przerwał mu Stone lodowatym tonem. – Na odznace było wyraźnie napisane: FBI.

Wilder szeroko otworzył oczy.

– FBI?

Gross pochylił się, zbliżając twarz do jego twarzy.

– Tak, FBI. Ten przy ścianie jest z Wydziału Antyterrorystycznego, a ta pani z MI6, z Wielkiej Brytanii.

Wilder z niedowierzaniem spojrzął na Chapman.

– Z MI6? Jak James Bond?

– Na sterydach – odparła Chapman z kamienną twarzą.

– Gównu nas obchodzą wasi nielegalni pracownicy, ale jeśli nie będziecie współpracować, na pewno damy znać Urzędowi Imigracyjnemu.

– Skoro nie chodzi wam o nich, to o co?

– Ogląda pan wiadomości?

– Tak. Codziennie wieczorem na kanale sportowym.

– Chodzi mi o prawdziwe wiadomości.

– Od czasu do czasu. Bo co?

– Słyszał pan o wybuchu w parku Lafayette'a?

– No jasne! Wszędzie o tym trąbią. Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Przypuszczamy, że bomba została podłożona w drzewie, które przyjechało do parku z tej szkółki.

Wilder uśmiechnął się słabo.

– To jakiś żart, prawda? Nie jesteście z FBI, tylko próbujecie mnie nabrać, zgadza się?

Gross przysunął się jeszcze bliżej.

– Panie Wilder, nie widzę nic zabawnego w tym, że ktoś podłożył bombę tak blisko siedziby prezydenta Stanów Zjednoczonych. A pan?

Uśmiech znikł.

– A więc nie żartujecie?

– Nie. I chcemy się dowiedzieć, w jaki sposób bomba została umieszczona w jednym z waszych drzew.

Wilder dopiero teraz zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Poblądł, zaczął szybko oddychać i kołysać się w przód i w tył w fotelu.

– O Boże! O słodki Boże!

Stone podszedł i w uspokajającym geście położył mu dłoń na ramieniu.

– O nic pana nie oskarżamy. Sądząc po pańskiej reakcji, nie miał pan o niczym pojęcia, ale może zdoła pan nam pomóc. Proszę się uspokoić.

Mężczyzna jakoś się opanował i skinął głową.

– Zrobię wszystko, żeby wam pomóc. Serio. Jestem patriotą do szpiku kości. Należę do Gwardii Narodowej, a mój ojciec działał w związkach zawodowych.

Stone cofnął się pod ścianę, Gross natomiast zajął miejsce w fotelu obok Chapman.

– Proszę nam opowiedzieć o ludziach, którzy tu pracują.

Wilder wstał, przyniósł listę pracowników i przez kolejnych dwadzieścia minut omawiał ją szczegółowo.

– I to by było tyle – zakończył. – Nie widzę tu nikogo na tyle bystrego, żeby poradził sobie z bombą. Niektórzy mają problemy z zapamiętaniem, który koniec szpadla wbija się w ziemię, ale to może trochę moja wina, bo słabo mówię po hiszpańsku.

Stone wskazał jedno z nazwisk na liście.

– John Kravitz. Nie wygląda na Latynosa.

– Bo nim nie jest, oczywiście, ale obszczekuje pan niewłaściwe drzewo. – Szybko się zorientował, że palnął głupstwo. – Przepraszam, to nie miała być aluzja...

– Dlaczego? – zapytał Stone.

– Jest po college'u.

– Niedawno powiedział pan, że wszyscy są idiotami. Nie chciałbym, żeby mnie pan źle zrozumiał, ale dlaczego ktoś, kto skończył college, zajmuje się kopaniem dołów pod drzewa?

– Robimy znacznie więcej. John skończył architekturę krajobrazu. Jest doskonałym ogrodnikiem, widzi rzeczy, które innym umykają. Dlatego go zatrudniliśmy.

– Od jak dawna pracuje u was? – odezwała się Chapman.

– Od jakichś siedmiu miesięcy. Nie myślałem, że wytrzyma tak długo, ale wydaje się całkiem zadowolony.

– Przychodził do pracy w tym tygodniu?

– Dzień w dzień, jak w zegarku.

– Gdzie jest teraz?

Wilder spojrzał na ścienny zegar.

– Powinien zjawić się za jakieś pół godziny. Mieszka osiem kilometrów stąd na osiedlu przyczep kempingowych tuż przy autostradzie.

– Co jeszcze może pan o nim powiedzieć? – zapytał Gross.

– Ma jakieś trzydzieści lat, jest szczupły i wysoki, mniej więcej jak pan. – Wskazał na Stone'a. – Ma kasztanowe włosy i bródkę.

– Jest lubiany?

– Proszę pana, tak jak powiedziałem, tamci z trudem potrafią sklecić dwa słowa po angielsku i wątpię, czy potrafią czytać nawet po hiszpańsku. John jest wykształcony. Podczas przerwy na lunch zwykle coś czyta.

– Wie pan cokolwiek o jego życiu osobistym? Albo o przekonaniach politycznych?

– Nie, ale mogę wam zaręczyć, że nie jest terrorystą.

– Grywa w koszykówkę? – zapytał Gross od niechcienia.

– A jakie to ma znaczenie?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Wspomniał kiedyś, że grywał w szkole średniej. Mamy nawet kosz na podwórku.

Chłopaki czasem lubią sobie pograć, jeśli akurat nie mają niczego do roboty.

– Jakich piłek używają? – zapytał Stone.

– Piłek? A skąd mam wiedzieć? Jest ich parę, John chyba też ma swoją. – Wilder podrapał się po głowie. – Co wspólnego z bombą mają piłki do koszykówki?

Gross zignorował pytanie.

– Zaczekamy na niego. Gdy tylko się pojawi, proszę przysłać go tutaj, dobrze?

– Czy naprawdę musimy...

– Dobrze? – powtórzył z naciskiem agent FBI.

– Dobrze... – wyszeptał Wilder.

35.

Czekając na Kravitz, Stone i Chapman rozglądali się po okolicy. Kilku latynoskich robotników obserwowało ich nieufnie z oddalenia, zapewne podejrzewając, że są z Urzędu Imigracyjnego. Stone zignorował ich, ale coś innego przykuło jego uwagę. Na ścianie szopy sąsiadującej z budynkiem biurowym dostrzegł otwory po czymś, co kiedyś było tam przymocowane. Wskazał je Chapman, a ta pytająco uniosła brwi.

– Tablica do koszykówki – wyjaśnił Stone. – A raczej miejsce po niej.

– Ktoś ją zdjął?

– Tak, ale nie zaszpachlował dziur ani nie pomalował desek.

Wrócili do środka i zapytali o to Wildera, lecz ten przysięgał, że nic nie wie o zniknięciu tablicy.

– Była tam jeszcze wczoraj. Widziałem, jak chłopaki grali w kosza.

Minęło pół godziny. Do pracy przyjechało kilku ludzi, ale Johna Kravitz nie było wśród nich.

– Potrzebujemy jego adresu – powiedział Gross.

– Na pewno tylko się spóźni – przekonywał go Wilder.

Stone odciągnął Grossa na bok.

– Ja i Chapman złożymy mu wizytę, a ty zostaniesz tutaj.

– Myślicie, że ma coś na sumieniu?

– Na razie nie wiem, co myśleć, więc lepiej założyć, że tak.

– Może zadzwonię do niego i zapytam, co się stało? – zaproponował Wilder.

– Nie – odparł stanowczo Stone. – Żadnych telefonów. Proszę nie oddalać się ani na krok od agenta Grossa. Stone lekko skinął głową. Gross natychmiast wsunął dłoń pod marynarkę i położył ją na rękojeści pistoletu. Widząc to, Wilder znowu zaczął gwałtownie oddychać.

– Potrzebujecie wsparcia? – zapytał Gross.

– Paru miejscowych gliniarzy by nie zaszkodziło – odparł Stone. – Tylko powiedz im, żeby przyjechali bez syren i niech czekają, aż ich wezwiemy.

Agent skinął głową.

– Powodzenia.

Minutę później Stone i Chapman jechali w kierunku osiedla przyczep kempingowych.

Stone siedział za kierownicą, mocno wciskając pedał gazu. Wyprzedzili radiowóz jadący w tę samą stronę. Policjant już miał włączyć sygnał i ruszyć za nimi w pogoń, ale Stone zwolnił, zrównał się z radiowozem i wystawił odznakę przez okno. Policjant także opuścił szybę.

– Czy to wy jesteście naszym wsparciem? – zapytał Stone.

– Podejrzany w sprawie wybuchu w parku Lafayette’a?

Stone skinął głową.

– Jedźcie za nami, dobrze?

– Tak jest! – odparł wyraźnie podekscytowany młody funkcjonariusz.

Stone podniósł szybę i ponownie wcisnął pedał gazu. Chapman zerknęła na wystającą spod marynarki kaburę z pistoletem.

– Co to?

– Nie rozpoznałabyś.

– Dlaczego?

– Choćby dlatego, że jest starszy od ciebie.

– Znam wszystkie modele największych producentów. Amerykańskie, europejskie, chińskie, rosyjskie...

– To nie jest model od dużego producenta.

– Znam też sporo mniej popularnych.

– Ten nie jest z produkcji seryjnej.

– Edycja limitowana?

– Coś w tym rodzaju.

– Ile ich zrobiono?

– Jeden.

Zostawili samochód na poboczu i resztę drogi odbyli pieszo. Osiedle składało się z około dwudziestu pięciu przyczep postawionych na podmurówkach. Kilka kroków dalej zaczynał się

gęsty las. Dwaj umundurowani policjanci szli kilkanaście kroków za nimi, po obu stronach wąskiej żwirowej drogi stanowiącej jedyny wjazd na teren osiedla.

– Jeżeli zajmuje się konstruowaniem bomb, to mógł umieścić jedną albo dwie w swoim domu – zauważyła Chapman.

– Przyszło mi to do głowy.

– I mimo to tak po prostu zapukamy do drzwi?

– Będziemy postępować elastycznie.

– Super – powiedziała z urażoną miną. – Dzięki za tak drobiazgowy wprowadzenie w plan działania.

– W takiej sytuacji plany zwykle nie są warte funta kłaków. Trzeba profesjonalnie reagować na wydarzenia, i tyle. To najlepszy plan.

Przyczepa Kravitz stała nieco na uboczu, do drzwi prowadziła wysypana żwirem ścieżka. Obok stał stary, zdezelowany pikap z przerdzewiałym nadwoziem i odłóżającym płatami lakierem. Sprawdzili, czy samochód jest pusty, po czym ukryli się za nim. Stone pokazał gestem gliniarzom, gdzie powinni zająć stanowiska. Jak tylko tam dotarli, zawołał: – John Kravitz?!

Cisza.

– John Kravitz? Jesteśmy agentami federalnymi. Proszę wyjść, trzymając ręce tak, żebyśmy je widzieli. Natychmiast!

Żadnej reakcji.

Chapman spojrzała na Stone'a. To samo uczynili obaj policjanci.

– Co teraz? – zapytała.

– Kończymy z uprzejmościami.

– To znaczy?

Stone wskazał na duży biały zbiornik przy ścianie przyczepy i wyjął pistolet.

– Jeśli nie wyjdiesz w ciągu pięciu sekund, strzelę w zbiornik gazu i wyprawię cię prosto do piekła!

– Oszalałeś? – syknęła Chapman.

Dwaj mundurowi patrzyli na Stone'a z takimi minami, jakby się zastanawiali, czy nie powinni go natychmiast aresztować.

– Jeszcze dwie sekundy!

Stanął w pozycji strzeleckiej i wycelował broń.

– Stone! – wykrzyknęła Chapman. – Wyszadysz nas wszystkich w powietrze!

– Sekunda!

Drzwi otworzyły się i z przyczepy z podniesionymi rękami wyszedł John Kravitz.

Wyglądał tak, jakby przed chwilą wstał z łóżka.

– Nie strzelajcie! – zawołał błagalnym tonem. – Nie strzelajcie, jestem nieuzbrojony!

Czego ode mnie chcecie? Po prostu zasnęłam, i tyle. Czy to wystarczy, żeby człowiekowi zwalili się na kark agenci federalni?

Nagle Stone dostrzegł odbicie światła w szybie przyczepy. Błyskawicznie domyślił się, co to może być.

– Wszyscy padnij! – ryknął. – Szybko!

Złapał Chapman za ramię i pociągnął za sobą na ziemię. Kątem oka dostrzegł, jak dwaj gliniarze robią to samo. Kravitz stał jak sparaliżowany, patrząc na nich ze zdumieniem.

Stone natychmiast puścił ramię Chapman, przeturlał się w bok, wyciągnął pistolet, wycelował w kierunku ściany lasu i strzelił. Niemal w tym samym ułamku sekundy strzał padł także stamtąd. Odgłosy wystrzałów nałożyły się, tworząc minieksplzję. Idąc za jego przykładem, Chapman wydobyla swojego walthera i naciskając szybko spust, błyskawicznie opróżniła magazynek.

Pocisk wystrzelony z lasu trafił Kravitza w pierś, przeszedł na wylot i uderzył w ścianę przyczepy. Mężczyzna jeszcze przez sekundę lub dwie stał bez ruchu, jakby nie zdawał sobie sprawy z tego, że został trafiony. I że już nie żyje. Potem runął na ziemię jak worek ziemniaków. Stone wiedział, że takie trafienie z karabinu wyborowego musi mieć fatalny skutek.

Nie czekając na rozwój wypadków, zerwał się na nogi i popędził w stronę lasu.

Dopadłszy pierwszego drzewa, ukrył się za pniem i krzyknął przez ramię do policjantów: – Sprawdźcie, czy oddycha! Jeśli tak, zróbcie, co trzeba, i wezwijcie karetkę. Potem ściągnijcie posiłki! Chapman, do mnie! Tylko ostrożnie.

Nisko schylona podbiegła do niego i razem weszli między drzewa.

– Strzał padł z odległości około pięciuset metrów – poinformował ją.

– Skąd wiedziałeś, że coś się stanie?

– Zobaczyłem w szybie odbicie światła z lunety snajperskiej. Niestety nie miałem żadnej szansy trafić z pistoletu z takiej odległości. Miałem tylko nadzieję, że się przestraszy i chybi.

Po kilkuminutowych bezowocnych poszukiwaniach ruszyli biegiem z powrotem.

– Chyba uratowałeś mi życie – powiedziała Chapman po drodze.

– Nie ty byłeś celem.

– Ale jednak...

– Nie ma sprawy.

Dotarli do przyczepy.

– I co? – zapytał Stone.

Jeden z policjantów pokręcił głową.

– Nie żyje. Wezwaliśmy posiłki.

– W porządku. Rozstawcie blokady na drogach i przeczeszcie teren w promieniu półtora kilometra. Pewnie już za późno, ale trzeba spróbować.

Policjant bezzwłocznie sięgnął po krótkofalówkę.

– Chodź ze mną – rzucił Stone do Chapman. – Tylko ostrożnie.

Podkradli się do ciała. Kravitz leżał na wznak z rozrzuconymi ramionami i nogami.

Jego szeroko otwarte oczy patrzyły nieruchomo w błękitne niebo. Na koszuli, w miejscu, gdzie uderzył pocisk, widniała szkarłatna plama.

– Lewa komora – stwierdził Stone. – Gdy strzelałem w korpus, wolałem celować w tętnicę.

– Żartujesz, prawda?

– Praktyczna wiedza z anatomii jest nieodzowna dla każdego dobrego snajpera – odparł, nie odwracając wzroku od zwłok.

– Tak czy inaczej, wiemy już na pewno, że Kravitz miał coś wspólnego z zamachem.

– I że ktoś go zastrzelił, żeby nam nic nie powiedział. To jasne. Nie wiadomo tylko, skąd wiedzieli, że przyjedziemy do niego właśnie dziś rano.

Dziewczyna rozejrzała się dokoła.

– Masz rację, przecież nikomu o tym nie mówiliśmy... Gross zgarnął nas z parku właściwie przypadkowo, a Wilder nie mógł nikogo zawiadomić, bo Gross go pilnuje.

Stone nagle zeszywniał.

– Cholera!

– O co chodzi?

Nie odpowiedział, tylko sięgnął po telefon i wybrał numer agenta FBI. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa. Stone polecił policjantom, żeby nie ruszali się z miejsca do przybycia posiłków, po czym razem z Chapman wskoczył do samochodu i z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę popędził z powrotem do szkółki. Po drodze wezwał przez radio kolejne posiłki. Gdy tylko zajechali na parking, domyślił się, że coś jest nie w porządku.

– Komuś się chyba bardzo spieszyło – powiedział, wskazując na wyraźne ślady po buksowaniu opon na żwirze.

Wyskoczyli z wozu i podbiegli do drzwi biura. Stone, z pistoletem gotowym do strzału, otworzył je kopnięciem. Kobieta, która ich przywitała, leżała na podłodze z dziurą pośrodku czoła. Stone dał znak Chapman, żeby go osłaniała, a sam zaczął się ostrożnie zbliżać do drzwi gabinetu. Ukryty za ścianą, delikatnie nacisnął klamkę, pchnął drzwi i cofnął się do miejsca, z którego widział wewnątrz pokoju. Chapman dołączyła do niego i gwałtownie wciągnęła powietrze.

Wilder leżał na podłodze tuż za drzwiami. Choć dzieliło ich od niego dobrych kilka metrów, widzieli wyraźnie, że brakuje mu znacznej części twarzy.

– Strzelba – szepnął Stone.

Trzymając oburącz pistolet, powoli ruszył naprzód, gotów do natychmiastowej reakcji w razie zagrożenia. Kilka sekund później dał znak, że teren czysty. Oboje przez chwilę bez słowa patrzyli na ciało agenta Toma Grossa. Leżał za biurkiem z pistoletem w kurczowo zaciśniętej dłoni. W jego szerokiej piersi ziały dwie duże rany. Stone przyklęknął i poszukał pulsu.

– Nie żyje. Niech to cholera!

– Co tu się wydarzyło, do diabła? – wyszeptała Chapman, wciąż wpatrując się w martwego agenta.

Stone potoczył wzrokiem dookoła.

– Rozdzielili nas i załatwili jak dzieci. Można by pomyśleć, że wiedzą, co zrobimy, zanim jeszcze sami na to wpadniemy. – Schylił się i dotknął lufy pistoletu Grossa. – Ciepła.

Strzelał, i to całkiem niedawno.

– Może kogoś trafił?

– Może. – Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu śladów krwi, lecz żadnych nie zauważył. Znalazł za to w ścianie otwór po kuli. Wskazał go Chapman. – To pewnie po jego strzale. Przynajmniej walczył do końca.

– Co teraz zrobimy?

Usłyszeli zbliżające się zawodzenie policyjnych syren.

– Nie wiem – odparł Stone. – Po prostu nie wiem.

36.

– Kto wpadł na pomysł, żeby zostawić agenta Grossa samego?

Stone i Chapman siedzieli w siedzibie waszyngtońskiej delegatury FBI: ich dwoje po jednej stronie długiego stołu, czterech ponurych mężczyzn i jedna posępna kobieta po drugiej.

– Ja – odparł Stone. – Agentka Chapman i ja pojechaliśmy do Johna Kravitz, agent Gross został z Lloydem Wilderem.

– Udało wam się wcześniej ustalić, czy któryś z robotników przebywających na terenie szkółki miał coś wspólnego z atakiem bombowym w parku Lafayette'a? – pytała dalej kobieta, która przedstawiła się jako agentka specjalna Laura Ashburn. Miała na sobie czarny żakiet ze spodniami, kasztanowe włosy związała w koński ogon. Mniej więcej czterdziestoletnia, średniego wzrostu, o miłej twarzy i zgrabnej figurze, z ciemnymi oczami przesywającymi na wylot wszystko, co znalazło się w ich zasięgu. Teraz były zwrócone na Stone'a.

– Nie, i nadal tego nie wiemy.

– A mimo to zostawiliście go bez żadnego wsparcia? – odezwał się jeden z mężczyzn.

Zanim Stone zdążył odpowiedzieć, głos zabrał inny: – Pojechał pan w towarzystwie agentki Chapman, wezwał pan również wsparcie.

Agent Gross został zupełnie sam.

– Istotnie, powinienem zostawić z nim agentkę Chapman, pojechać na osiedle przyczep i wezwać dla nich posiłki.

– Agent Gross też mógł wezwać posiłki – wtrąciła się Chapman.

Cała piątka siedząca po drugiej stronie stołu spojrzała na nią, a jeden z mężczyzn odparł:

– W sytuacji zagrożenia i w obecności potencjalnego zamachowca raczej trudno prowadzić rozmowy telefoniczne. – Ponownie zwrócił się do Stone'a: – Jeśli się nie mylę, został pan niedawno zaangażowany przez NIC?

– Zgadza się.

– Czy nie jest pan zbyt zaawansowany wiekiem?

Stone milczał, bo co mógł odpowiedzieć.

Ashburn otworzyła leżącą przed nią teczkę.

– Niewiele o panu wiadomo, panie Stone. Chyba że przyjmiemy, że jest pan tym słynnym reżyserem – rzuciła z przekąsem.

– Wyjątkowo głupi błąd jak na kogoś w pańskim wieku – włączył się do rozmowy mężczyzna siedzący przy końcu stołu. – Zostawił pan agenta w sytuacji bezpośredniego zagrożenia. – Pochylił się do przodu. – Jak pan myśli, co powinniśmy powiedzieć jego żonie i czworgu dzieciom? Ma pan jakieś propozycje? Jeśli tak, to chętnie je usłyszę, agencie Stone.

– Powiedziałbym im, że ich mąż i ojciec zginął jak bohater, walcząc do końca.

– Tak, to z pewnością wszystko zmienia! – prychnęła Ashburn.

– Czy pan kiedykolwiek został sam w takiej sytuacji? – zapytał inny agent. – Wątpię, bo tacy jak pan zwykle zabezpieczają się ze wszystkich stron.

– Nie macie pojęcia, o czym mówicie! – wybuchnęła Chapman. – Ten człowiek ocalił dzisiaj życie mnie i dwóm funkcjonariuszom policji! Domyślił się, że w lesie ukrywa się strzelec wyborowy, podczas gdy my staliśmy i dłubaliśmy w nosie. A gdybyście znali choć połowę jego dokonań, to nie siedzielibyście tutaj i nie dręczyli go idiotycznymi pytaniami, tylko...

– Nie obchodzą mnie jego dokonania, tylko to, co jest teraz! – odparła Ashburn.

– W takim razie powinna pani czym prędzej skontaktować się ze swoimi przełożonymi, bo...

Stone położył jej dłoń na ramieniu.

– Wystarczy – powiedział cicho.

Ashburn zamknęła teczkę.

– Sporządzimy szczegółowy raport, w którym zawrzemy sugestię, żeby jak najprędzej odsunięto pana od tej sprawy i wszczęto postępowanie dyscyplinarne w celu ustalenia, czy powinno się postawić panu zarzuty natury kryminalnej.

– To żałosne! – parsknęła Chapman.

Ashburn skierowała na nią spojrzenie oczu, które wyglądały jak wyloty luf dubeltówki.

– Nie wiem, jak jest pod drugiej stronie Atlantyku, ale tu, w Ameryce, każdy z nas odpowiada za swoje czyny. – Przeniosła wzrok na Stone'a. – Albo za ich brak, jak w tym wypadku. – Ponownie spojrzała na Chapman. – A dla pani mam radę: proszę sobie poszukać nowego partnera.

Cała piątka wstała i bez słowa wyszła z pokoju. Chapman zerknęła na Stone'a.

– U was to normalne, że tak kopiecie się po nerkach?

– Tylko wtedy, kiedy ktoś na to zasługuje.

– Uważasz, że tak jest teraz?

– Nie żyje porządny człowiek. To się nie powinno zdarzyć. Ktoś musi za to odpowiedzieć, czemu więc nie ja? – Podniósł się z krzesła. – A może oni mają rację? Może rzeczywiście jestem już za stary?

– Chyba w to nie wierzysz?

Stone nie odpowiedział. Wyszedł z pokoju, opuścił budynek i ruszył przed siebie ulicami Waszyngtonu. Nocne powietrze było rześkie, niebo bezchmurne, w okolicach Verizon Centre panował spory ruch i słychać było trąbienie klaksonów. Widocznie odbywała się tam jakaś impreza.

Stone rozmyślał o ostatnich chwilach, które spędził z Tomem Grossem. Nie interesowało go bezpieczeństwo tego człowieka, chodziło mu wyłącznie o to, by dopaść Johna Kravitz. Ba, wydawało mu się, że zadanie, które mu zlecił, jest mniej ryzykowne od próby wyciągnięcia z domu potencjalnego terrorysty. Nie przyszło mu do głowy, że tamci mogą równocześnie zaatakować szkółkę i zabić Kravitz. Najwyraźniej mieli pod dostatkiem ludzi, sprytu i odwagi. Wyjątkowo niebezpieczna kombinacja.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Zadzwoił pod numer, który zostawił mu Riley Weaver. Chciał wiedzieć, czy udało się już sporządzić listę imprez planowanych na najbliższe tygodnie w parku Lafayette'a. Może tam znajdzie się jakiś trop. Telefon odebrał jakiś mężczyzna. Stone przedstawił się i poprosił o połączenie z Weaverem. Mężczyzna poprosił, żeby poczekał;

odezwał się ponownie po jakichś dziesięciu sekundach: – Proszę więcej nie dzwonić pod ten numer.

Połączenie zostało zakończone. Stone powoli schował telefon do kieszeni.

Wyjaśnienie było proste: Weaver wiedział już, że Stone nawalił i że przez niego zginął agent FBI. Jego współpraca z NIC właśnie dobiegła końca. Na zawsze.

Głęboko pogrążony w myślach szedł dalej, mijając nocnych biegaczy, turystów z planami miasta w dłoniach, rozbawione grupki wędrujące od lokalu do lokalu, mężczyzn i kobiety w oficjalnych strojach taszczących do domu teczek pełne dokumentów.

Jeżeli Kravitz miał coś wspólnego z zamachem bombowym, to jego usunięcie było logicznym posunięciem: jeden potencjalny zdrajca mniej. Zapewne czekali na dogodną chwilę, kiedy niespodziewanie pojawił się on, Stone, i wywabił Kravitza z domu. To była jedna możliwość, ale istniała druga, znacznie bardziej niepokojąca.

Wiedzieli o tym, że tam jedziemy.

Jeśli tak, to albo ich śledzili, albo wyprzedzali ich ruchy. Obie ewentualności oznaczały poważne powody do troski oraz sugerowały obecność zdrajcy w ich szeregach. Ale dlaczego zaatakowali szkółkę? Czyżby Lloyd Wilder też maczał w tym palce? Jeżeli tak, to był znakomitym aktorem. Kobieta z biura? Jeszcze mniej prawdopodobne.

Dlaczego zabili Toma Grossa? Wiedzieli przecież, że jego miejsce zajmie ktoś inny i że zabójstwo agenta FBI wywoła tylko taki skutek, że potężne Federalne Biuro Śledcze potroi wysiłki zmierzające do ustalenia i schwytania ludzi stojących za zamachem w parku Lafayette'a. Nie, to nie miało żadnego sensu.

Dotarwszy na miejsce, pokazał odznakę i ponownie wszedł na teren parku.

Przynajmniej nie cofnięto mu uprawnień. Na razie. Usiadł na ławce i przyglądał się wciąż trwającej krzątaninie. Myśli kołatały mu się po głowie, ale z tego chaosu nie chciało się wyłonić nic konkretnego. Ilekroć próbował skupić się na jakimś wyraźniejszym elemencie, ten zaraz rozpływał się we mgle. Jego wzrok powędrował

ku widocznemu po drugiej stronie ulicy Białemu Domowi. Zamach udowodnił, że w pozornie nieprzenikalnej skorupie ochronnej otaczającej siedzibę prezydenta znajdują się całkiem pokaźne szczeliny. Zawodowa duma służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo najważniejszej osoby w państwie została poważnie nadwerężona. Diabelski Zaulek zaczął wreszcie zasługiwać na swoją nazwę.

Kiedy ponownie spojrzął przed siebie, ujrzał zbliżającego się mężczyznę. Zdziwił się, ale równocześnie gdzieś w głębi duszy spodziewał się go zobaczyć. Głęboko wciągnął powietrze i czekał.

37.

Klub Wielbłądów w niepełnym składzie, bo bez szefa, siedział w domu Caleba Shawa w Aleksandrii nad Potomakiem. Caleb właśnie skończył rozdawać kawę i herbatę. Tylko Reuben odmówił poczęstunku. Przyniósł piersiówkę napełnioną czymś mocniejszym niż earl grey i maxwell house.

Annabelle miała na sobie czarną spódniczkę, miękkie pantofle i dżinsową kurtkę.

– Jest bardzo źle, Alex? – zapytała szorstkim tonem.

Alex Ford, wciąż w marynarce i pod krawatem, pochylił się do przodu, upił łyk kawy i powiedział:

– Bardzo. Nie żyje czworo ludzi, w tym agent FBI i co najmniej jeden podejrzany o udział w przygotowywaniu zamachu.

– A oni uważają, że to вина Olivera? – zapytał z oburzeniem Caleb.

– Owszem. Wszystko jedno, słusznie czy niesłusznie. Uprzedzałem go, że wiele osób nie jest zachwyconych tym, że zajmuje się tą sprawą, no i teraz doskonale to widać.

Harry Finn stał oparty o ścianę. Szybko wypił kawę i odstawił filiżankę.

– Robią z niego kozła ofiarnego po to, żeby jak najszybciej odebrać mu sprawę?

– Właśnie. Chociaż, znając Olivera, można przypuszczać, że on sam też uważa się za winnego tego, co się stało.

– Jak się poluje na terrorystów, to trzeba się liczyć z ofiarami! – warknął Reuben. – Poza tym sami go tam ścignęli. On się nie prosił.

– I to właśnie jest najbardziej wkurzające! – powiedziała Annabelle. – Wcale nie musiał tego robić. Ryzykuje własne życie, a oni winią go za czyjąś śmierć!

Alex rozłożył ręce.

– Nie bądź naiwna, Annabelle. To jest Waszyngton. Tu nikt nie gra fair.

Gwałtownym ruchem odgarnęła z twarzy długie włosy.

– Dzięki. Od razu poczułam się lepiej.

– I co teraz? – odezwał się Caleb.

– Śledztwo trwa nadal, a raczej dwa śledztwa. Jedno dotyczy zamachu i poszukiwania terrorystów, drugie ma na celu zbadanie okoliczności śmierci agenta Grossa i pozostałych osób. Chodzi o stwierdzenie, czy doszło do zaniedbania obowiązków albo przekroczenia uprawnień.

– Naturalnie wszystko to pod kątem winy Olivera? – zapytała kwaśno Annabelle.

– Zgadza się.

– Co mu grozi w najgorszym razie? – pytał dalej Caleb.

– W najgorszym? Może nawet trafić do więzienia, ale to mało prawdopodobne.

Pewnie zostanie odsunięty od śledztwa. Co prawda ma przyjaciół na wysokich stanowiskach, ale nawet oni nie będą nadstawiać za niego karku, szczególnie jeśli sprawa zostanie rozdmuchana przez media.

– To jakiś koszmar! – stwierdził Caleb. – Jeżeli media tym się zajmą, z pewnością zaczną grzebać w przeszłości Olivera!

– On nie ma przeszłości – zadudnił Reuben. – Przynajmniej oficjalnie.

– O to właśnie mi chodzi – odparł Caleb. – Zrobią wszystko, żeby ustalić, kim jest naprawdę.

– Rządowi na pewno się to nie spodoba... – zauważył Alex.

Reuben pokiwał głową.

– Za dużo wie. Byłoby niedobrze, gdyby choć część tych rzeczy ujrzała światło dzienne.

– Na przykład sprawa trzech szóstek? – zapytała Annabelle.

– Właśnie.

– Ale chyba... chyba nie sądzicie, że rząd będzie chciał go uciszyć? – zapytała z wahaniem.

– Nie żyjemy w Związku Radzieckim! – wykrzyknął Caleb z oburzeniem. – Nie zabijamy własnych ludzi!

Annabelle zerknęła na Alexa, który pospiesznie odwrócił wzrok, po czym powiedziała:

– No dobrze. Każdy z nas coś zawdzięcza Oliverowi, nie rozumiem więc, dlaczego w ogóle się zastanawiamy nad tym, czy mu pomóc, czy nie?

– Nie o to chodzi – odparł Alex. – Problem w tym, czy próbując mu pomóc, nie pogorszymy jego sytuacji?

– Czy to w ogóle możliwe? – zaprotestowała. – W tej chwili jest sam przeciwko wszystkim. Potrzebuje nas. Tylko my mu zostaliśmy.

– Ale przecież powiedział jasno, że nie potrzebuje naszej pomocy!

– Tylko dlatego, że nie chciał nas narażać na niebezpieczeństwo. Jeśli chodzi o mnie, to nieprzekonujący powód. – Podniosła się z miejsca. – I dlatego zamierzam mu pomóc, czy tego chce, czy nie.

38.

James McElroy usiadł na ławce obok Stone'a i oparł się o metalowy podłokietnik.

Ludzie z obstawy kręcili się w pobliżu.

– Chapman powiedziała mi, co się stało.

– Nie wątpię.

– Wspomniała też, że ocaliłeś jej życie.

Stone milczał.

– To nie był szczególnie udany dzień.

– Zgadza się.

– Uważasz, że to twoja wina?

Stone spojrzał na niego.

– A nie powinienem?

McElroy zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba byłbym rozczarowany, gdybyś zareagował inaczej. Przez te wszystkie lata przywykłem do tego, że każdy wykręca się od odpowiedzialności. Uznałem, że tak widocznie być musi, ale wiem, że ty taki nie jesteś i nigdy nie byłeś. Ja zresztą też nie.

– Czy zostanę odsunięty od sprawy?

– A chcesz tego?

– Lubię doprowadzać wszystko do końca.

– Chciałbym udzielić ci jednoznacznej odpowiedzi, ale nie mogę.

– Prezydent się waha? Nie pierwszy raz.

– Jest politykiem, a to nie ułatwia mu zadania. Ja nigdy nie rzucam ręcznika na ring, ale szpiegom jest łatwiej.

– Czyli dopóki nie zapadnie ostateczna decyzja, mogę dalej działać?

– Na to wygląda.

– To mi wystarczy.

– Słyszałem, że odwiedził cię Riley Weaver?

– Owszem.

– Zdaje się, że ma niezłego stracha. Wyczuwa, że coś dużego i groźnego czai się za zakrętem. Pewnie myśli, że to, co wydarzyło się teraz, to zapowiedź poważniejszych wydarzeń?

– Chyba tak.

– Ty też tak sądzisz?

– Ponieważ zamach w parku nie ma żadnego sensu, należy przypuszczać, że stanowi część większej całości.

– Większej niż zdetonowanie bomby i urządzenie zawodów strzeleckich niemal za ścianą gabinetu prezydenta? Jeśli tak, to czekają nas duże kłopoty!

Co prawda McElroy powiedział to żartobliwym tonem, ale jego wzrok świadczył o tym, że zdaje sobie sprawę z realności zagrożenia.

– Domyślasz się, o co może chodzić?

– Faut Turkekul – powiedział cicho Stone.

– Co z nim?

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Masz na myśli to, że znalazł się w parku akurat w porze zamachu?

– Podejrzewam, że ktoś w waszym łańcuchu pokarmowym wie znacznie więcej na ten temat.

– Dlaczego więc go nie zabili?

– Tak istotnie byłoby najprościej. Ale nie jest. – Rzucił okiem na obstawę. – Przejdziemy się?

– Jeśli pomożesz mi wstać. Kolana już nie te co dawniej, a i wtedy nie spisywały się najlepiej...

Dwaj starzy przyjaciele ruszyli powoli ścieżką. Stone podtrzymał Anglika pod ramię, a ten dodatkowo podpierał się laską.

– Jakież teorie? – zapytał McElroy.

– Tamci dowiadują się o wszystkim przed nami, a co gorsza, wiedzą też o wszystkim, co zamierzamy zrobić.

– A więc mamy kreta?

Stone skinął głową.

– Są jacyś podejrzani?

– Przyglądałem się ze wszystkich stron i nie mogę niczego znaleźć. Cholernie wkurzające.

– Spodziewałeś się czegoś takiego?

– Zawsze spodziewam się czegoś takiego i zwykle, niestety, mam rację. Zgadzam się z tobą, że tamci są zawsze krok przed nami, ale nie mam pojęcia, jak to robią.

– Moglibyśmy zastawić pułapkę. Puścić w obieg informację jednym kanałem i sprawdzić, czy dotrze do niewłaściwych uszu.

– Wątpię, czy dadzą się nabrać.

– Może jednak warto spróbować?

– W ten sposób uprzedzimy ich o naszych podejrzeniach.

– Jeżeli są tak dobrzy, jak przypuszczam, to i tak już o nich wiedzą.

– Wybacz, ale chyba muszę na chwilę usiąść...

Stone pomógł Anglikowi dotrzeć do najbliższej ławki i usiadł obok niego.

– Powiedz mi coś – poprosił. – Czy wydarzenia w parku wpłynęły w jakiś sposób na zmianę planów Turkekula? Wprowadził jakiegokolwiek korekty do harmonogramu misji?

McElroy zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

– Plany zmieniłyby się całkowicie, gdyby zginął – powiedział wreszcie. – Być może nawet trzeba by było je zupełnie porzucić. Moglibyśmy wówczas przypuszczać, że właśnie taki był cel ataku.

– Ponieważ jednak Turkekul nie zginął, musimy szukać innego wytłumaczenia.

– Chwilowo żadne nie przychodzi mi do głowy.

– Trzeba więc starać się dalej.

– Nie będzie ci łatwo. FBI wzięło cię na celownik. Dyrektor już rozmawiał z prezydentem. Ja z kolei miałem przyjemność spotkać się z twoim szefem i zrobiłem wszystko co w mojej mocy, żeby odwieść go od zamiaru odsunięcia cię od sprawy.

– Będę działał, dopóki nie każą mi przestać.

– To chyba najlepsze podsumowanie naszej pracy, Oliverze.

– Rzeczywiście.

– Życzę ci szczęścia.

– Przyda mi się.

– To też ci się przyda.

McElroy wyjął z kieszeni pendrive i wręczył go Stone'owi.

– Co to?

– Wstępny raport FBI w sprawie ataku na szkołkę. – Widząc niezbyt pewną minę przyjaciela, McElroy dodał pośpiesznie: – Kazałem już przywieźć ci do domu komputer.

Chyba wiesz, jak go obsługiwać?

– Poradzę sobie. Dzięki.

– Powodzenia.

McElroy podniósł się z trudem i powoli ruszył z powrotem.

39.

Stone odsunął się z krzesłem do tyłu, potarł oczy i ziewnął. Nalawszy sobie jeszcze jedną filiżankę kawy, rozejrzał się po ciasnym wnętrzu swojego domu, po czym skierował wzrok na lśniący nowością laptop. W tym skromnym otoczeniu wydawał się równie nie na miejscu jak obraz Picassa, który zniemacka pojawiłby się na ścianie.

Zawartość pendrive'a, który Stone otrzymał od McElroya, była znacznie bardziej interesująca niż sam komputer. FBI, bez wątpienia zmotywowane śmiercią jednego ze swoich ludzi, przeprowadziło wyjątkowo drobiazgowo dochodzenie. Ustalenia okazały się niezwykle ciekawe, choć nie całkiem zaskakujące. Stone zaczął powtarzać w pamięci najważniejsze punkty.

Bystry agent zwrócił uwagę na to, że kilka betonowych bloczków tworzących fundament, na którym stała przyczepa Kravitz, różni się kolorem od pozostałych. Po ich usunięciu w pustej przestrzeni pod podłogą znaleziono materiały służące do produkcji bomb oraz dwie, przecięte na pół, piłki do koszykówki.

Zgodnie ze słowami Lloyda Wildera, Kravitz istotnie był absolwentem college'u. Jego szef nie wiedział jednak nic o tym, że Kravitza dwukrotnie aresztowano w trakcie antyrządowych demonstracji, a w pamięci jego telefonu znaleziono adresy i numery telefonów kilku osób figurujących na rządowej liście podejrzanych.

Sąsiedzi zeznali, że od kilku tygodni Kravitz zachowywał się w podejrzany sposób, choć Stone nie brał tego zbyt poważnie, jako że nie potrafili podać żadnych konkretnych przykładów oraz nie mieli pojęcia, dlaczego ściągnął na siebie uwagę policji i FBI.

Z dokumentów zabezpieczonych w szkółce oraz zeznań współpracowników wynikało, że Kravitz miał pełny dostęp do klonu – także po godzinach pracy, ponieważ miał klucz do specjalnej szopy, w której przygotowywano drzewo do transportu – który został załadowany na ciężarówkę i wysłany do Waszyngtonu.

Ukrycie w bryle korzeniowej dużego drzewa bomby, nawet schowanej w piłę do koszykówki, komuś takiemu jak on nie powinno było sprawić żadnych trudności. Nie miałyby najmniejszych problemów z zatarciem ewentualnych śladów, a nawet gdyby jakieś pozostały, znikłyby pod brezentem.

Kravitz zginął natychmiast, trafiony prosto w serce. Stone z uznaniem myślał o umiejętnościach snajpera, który oddał tak precyzyjny strzał w sytuacji, kiedy sam mógł się znaleźć pod ostrzałem. Sekretarka w szkółce została zabita pociskiem kalibru .45, Lloyd Wilder dostał postrzał ze strzelby, Tom Gross zaliczył dwa trafienia w pierś pociskami kalibru .45. Sam wystrzelił raz, trafiając w ścianę.

Dwa rodzaje broni oznaczały co najmniej dwóch napastników. Największy problem był ze strzelbą – śmiertelnie niebezpieczną na krótki dystans, ale i bardzo głośną.

W przeciwieństwie do broni krótkiej, nie dało się założyć na nią tłumika, a jednak nikt niczego nie słyszał. W gruncie rzeczy nie było to takie dziwne. Szkołka leżała na uboczu, w pobliżu praktycznie nie jeździły samochody, tym samym brakowało kierowców, którzy mogliby coś usłyszeć, wszyscy pracownicy byli akurat w terenie, długi i niski budynek biurowy zasłaniał podjazd, nie mogli więc zauważyć podjeżdżającego ani odjeżdżającego samochodu. Poza tym w takich miejscach jak szkołka leśna często pracują hałaśliwe maszyny, które zagłuszają wszystkie inne odgłosy. Mimo to wszystkich poddano szczegółowemu przesłuchaniu – bez rezultatu. W biurze były tylko trzy osoby i wszystkie zginęły.

Stone dopił kawę. Na zewnątrz powoli wstawał świt.

A więc Kravitz brał udział w zamachu bombowym i został zlikwidowany w chwili, kiedy zjawiała się u niego policja. Krótko, zwięźle, sensownie. Dowody zebrane i opisane, sprawa odfajkowana. Ale dlaczego zaatakowano także szkołkę? Czy Lloyd Wilder należał do spisku? Nic na to nie wskazywało, a Stone widział jego minę, kiedy ten dowiedział się, kim są jego goście i w jakiej sprawie przychodzą. Ten człowiek nie kłamał. Sekretarka? Żadnego związku ze sprawą.

Usłyszał kroki przed domem i szybko zamknął laptop. Pokój pogrążył się w ciemności. Stone wyjął pistolet z szuflady biurka i ukrył się za meblem, tak jak podczas wizyty Weavera. Powoli zaczynał mieć dość tych niezapowiedzianych nocnych odwiedzin.

Sylwetka, która pojawiła się w drzwiach, bez wątpienia należała do kobiety.

Chapman? Za wysoka, za długie włosy.

– Oliver?

Zdjął palec ze spustu i wstał.

Kilka minut później patrzył na Annabelle Conroy, siedzącą z surową miną na jednym z krzeseł przy kominku.

– Annabelle, co ty tutaj robisz?

– Musimy porozmawiać.

– O czym?

– O wszystkim. Zacznijmy od tego, że masz kłopoty i potrzebujesz naszej pomocy.

– Dam sobie radę – odparł. – A poza tym nie chcę, żebyście...

– Słucham? – parsknęła. – Czego nie chcesz? Żebyśmy się tobą przejmowali? Mamy przyjść na twój pogrzeb i zastanawiać się, co by było gdyby? Naprawdę wydawało ci się, że tak będzie?

Usiadł na sąsiednim krześle i schował pistolet za pasek.

– Nie. Chyba nie.

– To dobrze, bo przysłałam, żeby powiedzieć, że ci pomożemy, bez względu na to, czy sobie tego życzysz czy nie!

– Jak? Przecież nie uda wam się zmanipulować dochodzenia prowadzonego przez FBI.

– Kto mówi od razu o zmanipulowaniu? I od kiedy masz coś przeciwko wtrącaniu się w oficjalne dochodzenia? O ile wiem, robiłeś to przez całe życie.

– Tym razem jest inaczej.

– Dlaczego? Bo znowu pracujesz dla rządu? Nie rozumiem, dlaczego miałyby to robić jakąś różnicę. Poza tym wydaje się, że akurat w tej chwili rząd nie jest tobą szczególnie zachwycony, więc przyda ci się nieoficjalna pomoc.

– Naprawdę nie wiem, co moglibyście zrobić...

– Takie drobiazgi nigdy nas nie powstrzymywały – odparła łagodniejszym tonem. – Przyszłam tylko powiedzieć, że chcemy ci pomóc. Tak samo jak ty pomogłeś mnie i innym w starym, dobrym Klubie Wielbłądów.

– Nie jesteście mi nic winni. Gdyby nie wy, zgniłbym w Divine.

– To nie licytacja, Oliverze. Jestem twoją przyjaciółką. Nigdy cię nie opuszczę.

Stone westchnął ciężko.

– Gdzie reszta?

– Na zewnątrz, w samochodzie.

– Tak myślałem. Może ich przyprowadzisz? Ja w tym czasie zaparzę więcej kawy.

– Nie musisz. Przywieźliśmy śniadanie.

Wytrzeszczył oczy, a ona wstała i powiedziała z uśmiechem: – Klub Wielbłądów wkracza do akcji.

40.

Stone potrzebował prawie trzech godzin, żeby wprowadzić ich w sprawę. Finn, Reuben i Caleb siedzieli na krzesłach dokoła jego biurka, Annabelle przysiadła na blacie.

Brakowało tylko Alexa Forda, który akurat miał służbę.

– Czyli jednego z zamachowców mamy z głowy – podsumował Caleb.

– Na to wygląda – odparł Stone.

– Nie sprawiasz wrażenia przekonanego – zauważył Finn. Miał na sobie granatową wiatrówkę, džinsy i szare wysokie buty, a za paskiem glocka.

– Są na to dowody. Dużo dowodów. Aż za dużo, jeśli mam być szczery.

– A co myśli FBI? – zapytał Reuben.

– Nie mam pojęcia, bo chwilowo ze sobą nie rozmawiamy.

– Ale jeżeli to nie ten facet, to kto? – odezwała się Annabelle. – Trudno mi sobie wyobrazić, żeby był tylko wystawiony na wabia.

– Racja.

Stone miał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył, ponieważ otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Chapman.

– W końcu zmadrzałem i poprosiłem przyjaciół o pomoc – poinformował ją bez ogródek.

Agentka MI6 przesunęła wzrokiem po zebranych.

– A jak niby mieliby nam pomóc? – zapytała bez entuzjazmu.

– W dochodzeniu.

– Z jakiej są agencji?

– Ja jestem z Biblioteki Kongresu – oznajmił Caleb.

Chapman opadła szczęką.

– Wcale mnie to nie dziwi – wykrztusiła, kiedy wreszcie odzyskała głos.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał Caleb z urazą w głosie.

Chapman odwróciła się do Stone'a.

– Co tu się dzieje, do diabła?

– Wczoraj wieczorem spotkałem się z McElroyem. Dał mi raport FBI z tego, co wydarzyło się w Pensylwanii. Właśnie go z nimi przejrzałem.

– Z przyjaciółmi? Którzy mają nam pomóc? – Mówiła powoli, z niedowierzaniem. – Z cholernym bibliotekarzem?

– Jestem raczej specjalistą od rzadkich okazów – poprawił ją Caleb z godnością. – W tym zawodzie to trochę tak, jakbym był Jamesem Bondem.

Chapman błyskawicznie wydobyła pistolet i przyłożyła mu lufę do czoła.

– A w moim zawodzie to jest gówniecznie, kolego.

Schowwała broń. Caleb wyglądał tak, jakby lada chwila miał dostać zawału.

– Czy mam wybór? – warknęła.

– Zależy, o co pytasz.

– O to, czy muszę z nimi pracować.

– Jeżeli chcesz pracować ze mną, to będziesz musiała i z nimi.

– Wiesz co? Masz dość niezwykle metody pracy.

– To prawda – przyznał Stone. – Więc jak, chcesz, żebym wprowadził cię w szczegóły raportu FBI? Chyba że McElroy już to zrobił.

Dwadzieścia minut później Chapman znała już ustalenia zawarte w raporcie oraz wiedziała o zastrzeżeniach Stone'a.

– Jeżeli nie Kravitz, to kto? – rzuciła.

– To właśnie musimy ustalić, choć oczywiście mogę się mylić, a FBI może mieć rację.

– A jak się do tego zabierzemy? Za wiedzą FBI i we współpracy z nimi?

– Obawiam się, że bez wiedzy i bez współpracy – odparł Stone.

Chapman wyrzuciła Caleba z krzesła i usiadła ciężko.

– No dobrze. Macie tu trochę whisky?

– Dlaczego?

– Bo jeżeli mam złamać przysięgę i prawo, to wolałabym zrobić to na trochę większym luzie, oczywiście jeśli nie macie nic przeciwko temu.

– Nie musisz tego robić – powiedział Stone. – To mój plan i moja decyzja, za którą tylko ja odpowiadam. Twój szef na pewno to zrozumie, kiedy z nim porozmawiam. Możesz wycofać się z godnością.

– I co dalej? Wrócić do domu?

– Chyba tak.

– To nie dla mnie. Niedokończone sprawy doprowadzają mnie do szału.

– Potrafię to zrozumieć – powiedział z uśmiechem.

Wyprostowała się i pochyliła do przodu.

– Od czego zaczynamy?

– Od planu. Nie jest jeszcze dopięty na ostatni guzik, ale zakłada jedno: nikomu nie może się stać krzywda.

– Wątpię, żeby ktokolwiek zdołał to zagwarantować – zauważyła Annabelle.

– W takim razie przynajmniej tyle, że zrobimy wszystko, żeby was chronić.

– Eee, no to nie będzie zabawy... – mruknął Reuben.

Chapman spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Masz zamiar zginąć za sprawę?

Spojrzał jej prosto w oczy.

– Jestem gotów zginąć za przyjaciół.

Mrugnęła do niego.

– Podoba mi się twoje rozumowanie.

– Mam nadzieję, że nie tylko to, MI6.

Caleb przysłuchiwał się tej rozmowie z narastającą irytacją.

– Jest coś, co możemy od razu zrobić? – zapytał Stone'a, korzystając z przerwy.

– Owszem. Każdy z was otrzyma zadanie, w którym będzie mógł się najlepiej wykazać.

– Ja zwykle dostaję te najbardziej niebezpieczne! – szepnął Caleb do Chapman.

– Serio? – mruknęła z powątpiewaniem.

– Taki los. Powinnaś się kiedyś ze mną przejechać, wtedy wszystko zrozumiesz.

Jestem prawdziwym postrachem szos. Zapytaj Annabelle.

– To prawda – przyznała Annabelle. – Można się przestraszyć, szczególnie na drugi dzień, kiedy wciąż nie udało się odnaleźć drogi, a on bez przerwy nawija o jakimś od dawna nieżyjącym pisarzu, o którym już nikt nie pamięta.

– Brzmi interesująco – odparła Chapman. – Coś jak odgryzanie sobie ręki dla przyjemności.

– Caleb: przygotujesz zestawienie wszystkich imprez, które w ciągu najbliższego miesiąca mają się odbyć w parku Lafayette’a.

Bibliotekarz zaczerwienił się po czubki uszu, Chapman zaś rzuciła z przekąsem: – Ekscytujące! Na twoim miejscu nie brałabym się do tego co najmniej bez dwóch pistoletów maszynowych.

Kiedy już każdy otrzymał przydział, Annabelle wstała i objęła Stone’a.

– Dobrze, że do nas wróciłeś.

Chapman wychodziła ostatnia.

– Za trzy godziny spotkamy się w parku – powiedział Stone.

– Naprawdę ufasz tym ludziom?

– Bezgranicznie.

– Kim oni są? Ale tak naprawdę.

– To Klub Wielbłądów.

– Klub Wielbłądów? A cóż to takiego?

– Najważniejsza rzecz w moim życiu – odparł. – Tyle że na chwilę o tym zapomniałem.

41.

– Wygląda pan na zdziwionego, agencie Garchick.

Stone i Chapman podeszli do agenta ATF rozglądającego się po parku. Drgnął i odwrócił się gwałtownie.

– Przykro mi z powodu agenta Grossa – powiedział, przywitawszy się z nimi. – Wyglądał na porządnego człowieka.

Stone skinął głową, Chapman natomiast zmarszczyła brwi. Była nieuczesana, a jej ubranie wyglądało tak, jakby w nim spała. Tak zresztą było, choć tylko przez dwie godziny.

Stone dla odmiany ogolił się, wziął prysznic i nawet wyprasował spodnie i koszulę.

– Agent Gross podejrzewał, że śledzi go ktoś z wewnątrz. Panu też tak się wydaje?

Garchick rozejrzał się nerwowo dokoła.

– Skąd pan wie?

– Po prostu wymyślam różne niestworzone rzeczy, mnożę je przez to, co niemożliwe, i zwykle w ten sposób dochodzę do prawdy, szczególnie w tym mieście. – Stone przyjrzał się mężczyźnie. Garchick miał zaczerwienione oczy i ubranie w takim samym stanie jak strój Chapman. – Ale chyba nie tylko to nie daje panu spokoju, prawda? Jeszcze niedawno chwalił się pan, że lada chwila będziecie wiedzieli wszystko o tej bombie, ale od tamtego czasu nie dał pan znaku życia. Supernowoczesny sprzęt okazał się nie wart funta kłaków?

– Możemy porozmawiać gdzieś indziej? Mam już dosyć tego miejsca...

Przeszli do odległego o kilka przecznic barku. Stone wziął sobie śniadanie, Chapman zamówiła dużą kawę, Garchick natomiast nerwowo bawił się plastikowymi mieszadełkami, w ogóle nie zwracając uwagi na swój sok pomarańczowy.

– Czy tutaj czuje się pan lepiej? – zapytał Stone, przełknąwszy porcję jajecznicy.

– Słucham? Tak, oczywiście...

– Może pan nam zaufać, agencie Garchick – powiedziała Chapman.

Roześmiał się z goryczą.

– Dobrze wiedzieć, bo ostatnio zaczęło mi brakować takich ludzi.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Z wielu powodów. Ginące bez śladu raporty, niknące dowody rzeczowe, tajemnicze kliknięcia w telefonie, dziwne rzeczy w służbowym komputerze...

– To wszystko? – zapytał Stone.

– A co, jeszcze za mało?

– Mnie by wystarczyło. Po prostu chciałbym wiedzieć, czy zauważył pan coś więcej.

Garchick przypomniał sobie o soku. Wypił spory łyk, a następnie westchnął.

– No i ta cholerna bomba.

– Co z nią?

– Zawierała rzeczy, których nie powinna zawierać.

– To znaczy?

– To znaczy składniki, których prawie nigdy się nie spotyka.

– Trudne do wykrycia?

– Wręcz przeciwnie. Każda bomba musi mieć pewne elementy, bez których by nie wybuchła, i ta bomba miała je wszystkie, a przynajmniej znaleźliśmy ślady, które o tym świadczą.

– O co więc chodzi?

– O inne rzeczy, o których nikt nic nie wie i dlatego tak właśnie o nich mówię: rzeczy.

– Chce pan powiedzieć, że w miejscu wybuchu trafiliście na ślady obecności materiałów, których nie potraficie zidentyfikować? – zapytał powoli Stone.

– Tak, mniej więcej właśnie to chcę powiedzieć.

– A jakie jest oficjalne stanowisko ATF w tej sprawie?

Garchick parsknął śmiechem.

– Oficjalne stanowisko ATF? Oficjalne stanowisko jest takie, że nic nie wiemy i trzęsiemy portkami ze strachu. Zwróciliśmy się nawet z prośbą o pomoc do NASA.

- Do NASA?! Co to może znaczyć? – wykrzyknęła Chapman.
- Nie mam pojęcia. Nikt go nie ma. Właśnie dlatego siedzimy tak cicho. Chyba nawet wam nie powinienem o tym mówić. Poprawka: na pewno nie powinienem.
- Żując tost, Stone zastanawiał się nad tym, co usłyszał.
- Czy agent Gross wiedział o tym?
- Tak, sam mu o tym powiedziałem. Przecież kierował dochodzeniem, więc miał prawo wiedzieć.
- Jak zareagował?
- Poprosił, żebym go o wszystkim informował. Przypuszczam, że miał mnóstwo innych spraw na głowie.
- Kto wiedział o tym, że poinformował go pan o swoich podejrzeniach?
- Garchick natychmiast się zorientował, do czego zmierza Stone.
- Myśli pan, że dlatego zginął?
- To możliwe.
- Ale kto mógł o tym wiedzieć?
- Tego nie wiemy, bo nie mamy pojęcia, czy z kimś o tym rozmawiał. A więc wspomniał pan komuś o tym czy nie?
- Na pewno kilku osobom w ATF. Mam przecież przełożonych – dodał, jakby się usprawiedliwiając.
- Oczywiście. Był pan wezwany do zbadania przyczepy, w której mieszkał John Kravitz?
- Tak. Sprawdzaliśmy i zabezpieczaliśmy materiały wybuchowe.
- Czy odpowiadały temu, co znaleźliście w parku?
- Tak, choć muszę przyznać, że to nie było dla nich dobre miejsce.
- Ma pan na myśli schowek pod przyczepą? – upewnił się Stone.
- Właśnie.
- Wilgoć – domyśliła się Chapman. – Materiały wybuchowe nie lubią wilgoci.
- Zgadza się – potwierdził Garchick. – Nie wspominając o tym, że trudno było się tam dostać. – Poprawił się na krześle. – Nie myślcie sobie, że mam pietra. Infiltrowałem gangi uliczne i wracałem żywy, ale nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby pilnować, co się dzieje za moimi plecami. Trochę mnie to wkurza.
- Mnie też – pocieszył go Stone.

- O co tu właściwie chodzi?
 - Gdzieś wśród nas jest zdrajca – powiedział Stone. – Nasi o tym wiedzą i próbują go wypłoszyć.
 - Czyli obserwują wszystkich.
 - Zgadza się. Problem polega na tym, że zdrajcą jest jeden z obserwatorów.
 - Jeżeli to prawda, to niech Bóg ma nas w opiece. Co mam robić?
 - Nie wychylać się, ograniczyć rozmowy przez telefon i z kolegami i odgrywać głupka przed ludźmi z innych agencji.
 - Nie tylko ja wiem o tych dziwnych rzeczach, które znaleźliśmy...
 - Zważywszy na okoliczności, rzeczywiście nie ma się z czego cieszyć.
- Wyszli, zostawiając przy stoliku zafrasowanego Garchicka.
- A co z twoim słynnym Klubem Wielbłądów? – zagadnęła Chapman. – Wzięli się już do pracy?
- Stone zerknął na zegarek.
- Właśnie przed chwilą.

*

Harry Finn zachowywał się tak, jakby nie miał żadnych zmartwień. W ciemnych okularach, dżinsach, bluzie i sportowych butach wyglądał jak zwyczajny student college'u. I właśnie o to mu chodziło, tym bardziej, że znajdował się na terenie kampusu Uniwersytetu Georgetown. Były tu kamienne budynki wyglądające tak, jakby przeniesiono je w całości z Oksfordu lub z Cambridge – pięknie utrzymane trawniki, spieszący się lub wałęsający bez celu studenci. Finn nie czuł się ani trochę niepewnie. Pociągnął łyk kawy z plastikowego kubka i poprawił wypchany plecak przerzucony przez lewe ramię.

Fauta Turkekula udało mu się odnaleźć w ciągu pięciu minut. Pomogły mu w tym wcześniejsze włamanie do bazy danych college'u, kilka dyskretnie zadanych pytań oraz doskonała znajomość kampusu.

Urodzony w Turcji uczony szedł powoli z książkami pod pachą, pogrążony w dyskusji z innym wykładowcą, za nim podążała gromadka studentów. Zaraz po tym, jak Finn dołączył do nich,

weszli do jednego z budynków w zachodniej części kampusu. Instrukcje Stone'a były jasne: pilnuj tego człowieka. Chodziło nie tylko o bezpieczeństwo Turkekula; Stone dał do zrozumienia, że nie jest przekonany o jego lojalności.

– Możesz się spodziewać wszystkiego, Harry – powiedział. – Jeśli ktoś będzie próbował go załatwić, interweniuj. Jeśli jednak to on zrobi coś, co może wskazywać na to, że pracuje dla drugiej strony, postaraj się to udokumentować i natychmiast daj mi znać.

Turkekul miał zajęcia na piętrze. Uczestniczyło w nich trzydziestu dwóch studentów.

Finn wśliznął się do sali jako trzydziesty trzeci, tak jak wielu innych włączył dyktafon, wyjął zeszyt i komputer, i rozsiadł się wygodnie. Nawet jeżeli Turkekul zauważył dodatkowego słuchacza, to nie dał tego po sobie poznać. W przeciwieństwie do niektórych studentów Finn pilnie słuchał każdego słowa, zwracając także uwagę na to, w jaki sposób wykładowca je wypowiada. Czasem znaczyło to więcej od samych słów. A w przeciwieństwie do wszystkich obecnych w sali Finn obejrzał uważnie pomieszczenie pod kątem bezpieczeństwa. Oględziny nie wypadły najlepiej: tylko jedne drzwi, praktycznie żadnej osłony. Turkekul był jak cel na strzelnicy.

Finn dyskretnie dotknął kolby ukrytego pod bluzą glocka. Gdyby był zabójcą, Turkekul już by nie żył. Zastanawiał się, jak to możliwe, żeby człowiek, któremu powierzono zadanie odnalezienia Osamy bin Ladena, nie miał żadnej ochrony. To nie miało sensu.

Harry'ego Finna niepokoiło wszystko, co nie miało sensu. Bardzo go niepokoiło.

*

Caleb siedział za biurkiem w Czytelni Rzadkich Książek i obserwował krzątających się kolegów. Wielu pozdrawiał skinieniem głowy i uśmiechem.

– Dzień dobry, Avery – powitał jednego z nich.

– Cześć, Caleb. Gratuluję tego Fitzgeralda.

– Dzięki – odparł rozpromieniony.

Naprawdę był dumny z tego osiągnięcia. Gdy tylko w sali zapanował względny spokój, założył okulary i zaczął stukać w klawisze, przeszukując rozmaite rządowe bazy danych, modląc się w

duchu, żeby nie trafić na jakąś przeszkodę nie do pokonania. Jego przyjaciel Milton Farb poradziłby sobie z zadaniem w ciągu paru sekund, ale Milton był jedyny w swoim rodzaju. Caleb jednak z biegiem lat nabierał coraz większej sprawności w posługiwaniu się komputerem, w związku z czym zadanie, które zlecił mu Stone, wcale go nie przeraziło. Poza tym jako pracownik administracji federalnej znał niezbędne hasła i miał wszystkie potrzebne uprawnienia. Plan publicznych imprez w parku Lafayette'a nie był przecież niczym tajnym.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Po półgodzinie odetchnął z ulgą. Wysłał dokument do drukarki i chwilę potem trzymał w rękach dwie kartki gęstego jednostronnego wydruku. Przyjrzał im się uważnie.

Plan imprez był bogaty, w wielu mieli uczestniczyć ważni waszyngtońscy dostojnicy. Jeśli jego przyjaciel liczył na to, że wystarczy rzut oka, by wyłowić najważniejsze i tym samym potencjalnie najbardziej interesujące wydarzenia, to niestety był w błędzie.

Schował kartki do teczki i zabrał się do pracy.

42.

Annabelle i Reuben dotarli do Pensylwanii około trzeciej po południu. Najpierw pojechali do szkółki leśnej Keystone. Nadal urzędowało tam FBI, o czym świadczyły blokujące dojazd barierki i czarne SUV-y. Działania agentów federalnych wspierała policja stanowa.

– Należało się tego spodziewać – powiedziała siedząca za kierownicą Annabelle. – Jeszcze długo się stąd nie ruszą. Jedziemy dalej.

– Na osiedle przyczep? – zapytał Reuben.

– Możemy spróbować, ale założę się, że tam sytuacja wygląda tak samo.

Miała rację. Wszędzie roiło się od agentów i policjantów. Droga wjazdowa na osiedle była całkowicie zamknięta.

– Może jednak spróbujemy się dostać? – zaproponował Reuben. – Moglibyśmy powiedzieć, że tam mieszkamy...

– To zbyt ryzykowne. Mam lepszy pomysł.

– Świetnie, bo Oliver kazał nam zdobyć informacje, a ja na razie nie mam pojęcia, jak mielibyśmy tego dokonać.

– Zawsze jest jakiś sposób, Reuben. Trzeba tylko go znaleźć.

Annabelle znalazła go o wpół do piątej. Z zaparkowanego w pobliżu szkółki samochodu obserwowali, jak z terenu firmy wyjeżdża pikap z czterema latynoskimi robotnikami.

– Fajrant – mruknął Reuben.

– Wątpię, czy w ogóle pracowali. Pewnie przez cały czas byli przesłuchiwani i dopiero teraz pozwolono im wrócić do domu. Lepiej żeby nie próbowali się ulotnić, bo narobią sobie kłopotów. Ciekawe, czy są obserwowani?

Pikap dotarł do głównej drogi i przyspieszył. Czekali pół minuty, ale nie pojawił się żaden inny samochód. Annabelle wrzuciła bieg.

– Jak widać, federalni są bardzo ufni. W przeciwieństwie do nas.

– Jak myślisz, dokąd jadą? – zapytał Reuben.

– Pewnie do baru. Założę się, że chcą się odprężyć po tych wszystkich przesłuchaniach.

Rzeczywiście, pikap zatrzymał się przed barem. Annabelle i Reuben zaczekali, aż jego pasażerowie znikną w środku, po czym wysiedli z samochodu i poszli za nimi.

– Mówisz po hiszpańsku? – zapytał Reuben.

– Całkiem nieźle. Jakiś czas mieszkałam w Los Angeles. A ty?

– Chyba lepiej radzę sobie z wietnamskim.

– W takim razie zamów piwo po angielsku, a mnie zostaw resztę.

– A ja co mam robić?

– Jeśli zaczniesz się do mnie podwalać ktoś spoza tej czwórki, daj mu w zęby.

– Świetnie. Cieszę się, że znalazłaś zastosowanie dla moich wyrafinowanych umiejętności.

Czterej Latynosi siedzieli już przy stoliku z kuflami w rękach. Rozmawiali przyciszonymi głosami, rzucając ukradkowe spojrzenia na nielicznych klientów. Annabelle i Reuben zajęli miejsca przy stoliku obok. Po jakimś czasie Annabelle wstała, podeszła do szafy grającej, wrzuciła monetę, a w drodze powrotnej upuściła kluczyki obok stolika Latynosów. Jeden z mężczyzn schylił się i jej je podał. Podziękowała po hiszpańsku, wydobyla mapę i zapytała o drogę do szkoły leśnej, która podobno znajduje się gdzieś w pobliżu. Mężczyzna odparł, że on i jego przyjaciele tam właśnie pracują. Annabelle uśmiechnęła się i przysunęła sobie krzesło, dawszy uprzednio dyskretny znak Reubenowi, żeby został na miejscu.

– Chcemy kupić tuzin cyprysów. Powiedziano nam, że w waszej szkółce dostaniemy ciekawe odmiany. Pracuję dla firmy ogrodniczej w Delaware.

Wszystko to powiedziała płynnie po hiszpańsku. Mężczyźni wyraźnie się odprężyli.

Jeden z nich odparł, że owszem, mają takie drzewka, ale niestety chwilowo nie będzie mogła ich kupić.

– Dlaczego?

Wyjaśnił, co się stało.

– O mój Boże! – wykrzyknęła. – To okropne! Oczywiście czytałam o tym w gazecie, ale nie miałam pojęcia, że chodzi akurat o tę

szkółkę. Mam nadzieję, że już złapali sprawców?

Robotnicy pokręcili głowami.

– A czy ten John Kravitz był waszym przyjacielem? Powiedziano mi, że właśnie do niego powinnam się zwrócić. Okazało się, że nie, nie przyjaźnili się z nim, ale i tak byli zdumieni i zszokowani wiadomością, że miał coś wspólnego z zamachem bombowym w Waszyngtonie.

– Tak, to rzeczywiście okropne – zgodziła się Annabelle.

Jeden z mężczyzn był przekonany o niewinności Kravitz.

– Ale słyszałam w wiadomościach, że w jego domu znaleziono materiały wybuchowe!

To obciążająca okoliczność.

Mimo to jej rozmówca obstawał przy swoim zdaniu.

– Czy wszyscy byliście w pracy, kiedy zabito tych ludzi?

Skinęli głowami.

– To musiało być okropne. Macie szczęście, że nie spotkało was nic złego.

Wyjaśnili, że byli wtedy zajęci w polu, niczego nie słyszeli i nic nie widzieli.

– Pewnie przesłuchiwała was policja?

Ich kwaśne miny wystarczyły za odpowiedź.

– W takim razie wygląda na to, że ktokolwiek to zrobił, ma szansę wyjść z tego cało – zauważyła. – To niedobrze.

Z zainteresowaniem czekała na reakcję. Robotnicy szeptali przez chwilę między sobą, a następnie jeden z nich powiedział:

– Policja nie pytała o tablicę do koszykówki.

– O tablicę do koszykówki?

Udała zdziwienie, choć Stone wspomniał również o brakującej tablicy.

– Wisiała na jednej z szop. Czasem graliśmy podczas przerwy. John często grał z nami. Był całkiem niezły.

– I co się z nią stało?

Mężczyzna zerknął niepewnie na towarzyszy.

– O co chodzi? – zapytała Annabelle z niewinną miną.

– Miguel coś wtedy zobaczył.

– To znaczy kiedy?

– Wtedy kiedy zginęli ci ludzie. Wrócił z pola po sweter.

– I co?

– Widział, jak ktoś zdejmuje tablicę.

– Kto to był?

– Tego nie wie, ale na pewno nie John. Ktoś niższy. I starszy. A potem pojawił się jeszcze jeden człowiek, też nieznajomy. Rozmawiali.

– Miguel, słyszałeś o czym rozmawiali?

Miguel pokręcił głową.

– Mówili w jakimś dziwnym języku. Nie znam go.

– Odezwałeś się do nich?

– Nie. Bałem się.

– Powiedziałaś o tym policji?

– Nie pytali.

– Rozumiem. No cóż, wygląda na to, że musimy kupić drzewka gdzieś indziej. Dzięki.

Wróciła do swojego stolika i powtórzyła Reubenowi to, czego nie usłyszał.

– Zdjęli tablicę do koszykówki? I mówili w dziwnym języku? Hmm...

– Na pewno nie po hiszpańsku.

Wyszli z baru. Mężczyzna siedzący przy stoliku obok szafy grającej wstał i poszedł za nimi. Jak tylko odjechali, wsiadł do samochodu i ruszył ich śladem. Po pewnym czasie zadzwonił z komórki. Inny samochód, stojący na poboczu niespełna kilometr dalej, ruszył gwałtownie z miejsca i pojechał w kierunku, w którym zmierzali Annabelle i Reuben.

43.

Stone siedział przy biurku w pokoju Chapman w ambasadzie brytyjskiej i słuchał odgłosów prysznica. Minutę później szum wody ucichł i z łazienki wyszła Chapman w białym szlafroku kąpielowym. Była bosą i wycierała włosy ręcznikiem.

– Mam wrażenie, że wy w ogóle nie uznajecie czegoś takiego jak sen i w miarę regularne kąpiele – zauważyła z przekąsem.

– To pewnie wszystko przez tę różnicę czasu. – Przeglądał stertę dokumentów, co chwila zerkając na ekran laptopa. Przerwał na chwilę, by rozejrzeć się po pokoju. – Za to MI6 dba o swoich agentów.

– Ambasada w Waszyngtonie słynie z wysokiego poziomu obsługi i komfortu – zażartowała, siadając na kanapie. – Hotel raczej nie wchodzi w grę, jeśli ma się tajne dokumenty i komputer ze ściśle poufnymi danymi. – Wstała. – Zaraz się ubiorę i napijemy się herbaty.

Wyszła do sąsiedniego pokoju. Stone słyszał stukot otwieranych i zamykanych szuflad. Niebawem wróciła w bluzce i spódniczce, ale nadal bez rajstop i pantofli. Kończyła zapinać bluzkę. W pewnej chwili spojrzała na niego, a on pospiesznie odwrócił wzrok.

– Lepiej się czujesz? – zapytał od niechcena.

– O wiele. Za to jestem potwornie głodna.

Podniosła słuchawkę, poprosiła o dwie herbaty i coś do jedzenia, po czym dołączyła do niego przy biurku.

– Masz jakieś wieści od swoich przyjaciół?

– Caleb zadzwonił podczas przerwy na lunch. Przesłał faksem listę imprez planowanych w parku. – Stone podał jej dwie kartki. – Niestety, aż roi się na niej od potencjalnych celów.

Chapman szybko przebiegła po niej wzrokiem.

– Rzeczywiście. Ale może któraś się wyróżnia?

– Kilka. W dwóch miał uczestniczyć sam prezydent, w paru innych przywódcy obcych państw, kongresmani, gwiazdy... Trudno

będzie dokonać selekcji.

– Nigdzie nie widzę naszego premiera. – Z zamyśloną miną odłożyła kartki. – Wiesz, istnieje spore prawdopodobieństwo, że mnie odwołają.

– Bo nie ma bezpośredniego zagrożenia premiera?

– Właśnie. MI6 musi się liczyć z wydatkami.

– Ale przecież skutki tego, co tu się dzieje, mogą boleśnie dotknąć również Wielką Brytanię...

– To właśnie napiszę w najbliższym raporcie. Bardzo bym chciała być tu do końca, ale nie zdziw się, jeśli się okaże, że musisz sobie radzić sam.

Stone milczał przez jakiś czas.

– Mam nadzieję, że tak nie będzie – powiedział wreszcie.

Spojrzała na niego uważnie.

– Mam to odebrać jako komplement?

– Tak.

Przyniesiono herbatę i posiłek. Jedząc, po raz kolejny analizowali dostępne informacje.

– Rozumiem, że nie ma żadnych wiadomości od Garchicka?

– Zgadza się. Weaver odciął mnie od informacji z NIC, FBI samo odcięło się ode mnie, może więc następane będzie ATF. Obawiam się, że z mojego powodu ty też nie cieszysz się szczególną sympatią.

– Bywało gorzej. Kiedyś podpadłam nawet samej królowej.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– W jaki sposób?

– Przez głupie nieporozumienie, które wynikło bardziej z jej winy niż z mojej, ale cóż, to ona jest królową... W każdym razie skończyło się dobrze. – Ugryzła kęs rogalika. – Jeśli wierzyć temu, co słyszałam o tobie, masz na koncie znacznie bardziej spektakularne występy.

– Nigdy nie robiłem tego celowo.

Odchyliła się do tyłu na krześle.

– Mam ci uwierzyć?

– Robiłem, co do mnie należy, nawet wtedy, kiedy się z tym nie zgadzałem. Pod tym względem wykazałem się słabością charakteru.

– Szkolono cię, żebyś wykonywał rozkazy. Tak jak nas wszystkich.

- To nie takie proste.
- W takim razie nasz świat lada chwila rozsypie się na kawałki.
- Może powinien?
- Twój, zdaje się, już się rozsypał?
- Miałaś kiedyś rodzinę?
- Nie.
- A chciałabyś mieć?

Opuściła wzrok.

- Większość kobiet chce, prawda?
- Większość mężczyzn również. Ja miałem. Byłem żonaty. Miałem kobietę, którą kochałem, i małą dziewczynkę, która była dla mnie wszystkim.

Umilkł.

- Straciłeś je? – przerwała milczenie Chapman.
- Wyłącznie z własnej winy.
- Przecież nie ty nacisnąłeś spust...
- Na jedno wychodzi. Nie da się po prostu zrezygnować z takiej pracy jak moja. Ale nigdy nie powinienem był się żenić ani mieć dziecka.

- Nie wszystko da się kontrolować. Na przykład miłość.

Przez kilka długich sekund patrzyli sobie w oczy.

- Naprawdę – powiedziała cicho. – Nawet tacy jak my tego nie potrafia.

- Biorąc pod uwagę, jak to się skończyło, powinienem był przynajmniej spróbować.

- Zamierzasz więc obwiniać się do końca życia?

Zdziwił się.

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie.

Odłożyła niedojedzony rogalik i ponownie skupiła uwagę na papierach. Stone włączył pilotem telewizor. Akurat nadawano relację z okolic parku Lafayette'a.

- Według najnowszych doniesień jedyną ofiarą eksplozji był Alfredo Padilla, obywatel Meksyku – mówiła reporterka. – Bomba została najprawdopodobniej ukryta w korzeniach świeżo przesadzonego drzewa. Pan Padilla, usiłując skryć się przed

ostrzałem, wskoczył do niezasypanego dołu i przypadkowo doprowadził do zdetonowania ładunku. Pan Padilla zostanie pochowany z honorami należnymi bohaterowi, choć stał się nim raczej przypadkowo. Podczas strzelaniny w szkółce, z której pochodziło przesadzone drzewo, zginął agent FBI Thomas Gross. Pożegnanie obu ofiar odbędzie się w trakcie wspólnej ceremonii, co niektórzy odczytują jako czysto polityczny gest mający na celu poprawę stosunków między obydwoma krajami. W tym samym czasie co Gross zginął także John Kravitz, pracownik szkółki, który przypuszczalnie uczestniczył w przygotowywaniu zamachu bombowego w parku. Nieznany sprawca zastrzelił go przed jego domem w Pensylwanii w chwili, kiedy zjawiała się tam policja w celu dokonania aresztowania. W miarę napływania nowych informacji będziemy oczywiście przekazywać je państwu na bieżąco.

Stone wyłączył telewizor.

– Ktoś jest okropnie gadatliwy – zauważył. – Dawniej nikomu by się nawet nie śniło, żeby ujawnić tyle szczegółów w trakcie dochodzenia.

– Wtedy nie było jeszcze internetu, a media nie czuły się w obowiązku dostarczać co minutę nowych informacji – zauważyła Chapman.

– Ciekawe, czy pozwolą mi pójść na pogrzeb Grossa...

– Na twoim miejscu nie liczyłabym na to.

Pięć minut później podniosła nagle rękę i syknęła: – Zaczekaj!

– O co chodzi?

Pokazała mu kartkę.

– Lista dowodów zabezpieczonych w parku.

Zerknął na nią.

– I co tam widzisz?

– Spójrz na tę kolumnę.

– Patrę. I co?

Podsunała mu drugą kartkę.

– A teraz przeczytaj to.

Szybko przebiegł wzrokiem wydruk, skrzywił się i spojrzał ponownie na pierwszą kartkę.

– Dlaczego do tej pory nikt tego nie zauważył?

- Pewnie dlatego, że to dwa niezależne zestawienia.
 - Dwieście czterdzieści sześć pocisków z TEC-9 znalezionych w parku i najbliższej okolicy...
 - Zgadza się.
- Spojrzał na drugi dokument.
- Ale na dachu hotelu Hay-Adams znaleziono tylko dwieście czterdzieści łusek.
 - Też się zgadza.
 - Powinno być więcej łusek niż pocisków, bo niektórych pocisków z pewnością nigdy nie uda się odszukać.
 - A my tymczasem mamy więcej pocisków, co wydaje się praktycznie niemożliwe.
- Chyba że ci, co strzelali, zabrali trochę łusek ze sobą, co nie ma żadnego sensu. Gdyby mieli zabierać, zabraliby wszystkie.
- Stone podniósł wzrok na dziewczynę.
- Wiesz, co to znaczy?
 - Że łuski zostały podrzucone, ale ktoś nie policzył ich dokładnie.
- Strzelano z innego miejsca.

44.

- Mamy towarzystwo, Annabelle – powiedział Reuben.
Zerknęła w lusterko wsteczne.
- Czarny SUV z przyciemnionymi szybami?
- Aha.
- Stał przy barze, kiedy tam przyjechaliśmy – zauważyła.
- Wiem. Chyba kogoś interesuje nasza rozmowa z Latynosami.
- Co robimy? – zapytała. – Jesteśmy na kompletnym odludziu, a nie chcę dzwonić pod 911, bo wtedy musielibyśmy powiedzieć o sprawach, o których wolałabym milczeć.
- Jedź przed siebie. Zbliża się zakręt. Podejrzewam, że tam będą chcieli coś zrobić.
- A co my wtedy zrobimy?
- Staram się coś wymyślić. Przyspiesz. Chcę, żeby tamten kierowca skupił się na prowadzeniu, nie na mnie.
Annabelle posłusznie wcisnęła mocniej pedał gazu.
- Jeszcze szybciej! – polecił Reuben.
Dodała gazu. Z trudem utrzymywała samochód na drodze.
Reuben odwrócił się na fotelu, wyjął z kieszeni wielki pistolet i wysunął go przez okno.
- Nie wiedziałam, że masz broń!
- No to teraz już wiesz.
- Masz pozwolenie?
- Tak, tyle że od piętnastu lat nieważne.
- Zaczekaj! A jeżeli to gliniarze?
- Zaraz się o tym przekonamy.
SUV wyłonił się zza zakrętu. Przez okno po stronie pasażera wychylał się człowiek z pistoletem maszynowym.
- To raczej nie gliny – stwierdził Reuben. – Nie zwalniam.
- Strzały z obu samochodów padły niemal równocześnie. Reuben celował w opony, tamten – w nadwozie. Tylna szyba rozprysnęła się

na tysiące kawałków. Annabelle skuliła się za kierownicą, kurczowo zaciskając na niej palce. Reuben nacisnął spust raz, drugi, trzeci.

Lewa opona SUV-a eksplodowała, ciężki samochód raptownie zjechał na pobocze, przeokoziłkował kilka razy i wreszcie znieruchomiał na boku.

– Boże! – krzyknęła Annabelle.

Reuben spojrział w przód.

– Uważaj! – wrzasnął.

Z naprzeciwka prosto na nich pędził kolejny SUV. Annabelle szarpnęła kierownicę i równocześnie z całej siły wdepnęła hamulec. Samochód wpadł w poślizg, przejechał bokiem kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się na poboczu. Silnik wciąż pracował, więc gwałtownie dodała gazu, dojechała do granicy lasu, zahamowała ponownie. Wskoczyli z wozu i ile sił w nogach pobiegli ku drzewom. SUV pędził prosto na nich. Reuben, nie zatrzymując się, strzelił kilka razy w jego kierunku, zmuszając kierowcę do skrętu. W chwili kiedy wpadli między drzewa, za ich plecami zaterkotał pistolet maszynowy. Reuben z całej siły pchnął Annabelle na ziemię, pod osłonę krzewów. Zanim zdążył pójść w jej ślady, został trafiony w ramię.

– Cholera!

– Reuben!

Odwrócił się i wpackował kilka pocisków w nieruchomy samochód, roztrzaskując przednią szybę. Zaraz potem, trzymając się za zwisające bezwładnie ramię, razem z Annabelle ruszył w głąb lasu.

– Chyba jednak powinniśmy wezwać policję – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Wolę tłumaczyć się przed nimi, niż wylądować w drewnianej skrzyni pod ziemią.

Wyjęła telefon z torebki.

– Nic z tego. Brak zasięgu.

– Świetnie.

– Ale jeszcze przed chwilą był!

– Może zakłócają sygnał.

– Kto to może być, do diabła?

– Ktoś, z kim raczej nie powinniśmy zawierać bliższej znajomości.

Do ich uszu dotarły odgłosy pościgu. Ukryli się za drzewem. Reuben opróżnił na oślep magazynek; w odpowiedzi posypał się na nich grad pocisków z broni maszynowej.

– Zmień magazynek! – syknął z wysiłkiem. – Mam zapasowy w prawej kieszeni.

Zrobiła to jak najszybciej i oddała mu pistolet.

– Jeśli jedna strona strzela z pistoletu maszynowego, a druga z broni krótkiej, to taka zabawa może mieć tylko jedno zakończenie – stwierdził spokojnie.

– Więc już po nas?

– Tego nie powiedziałem.

– Co w takiej sytuacji zrobiłby Oliver?

– Na pewno coś nieoczekiwanego.

– Czyli co?

Reuben parę razy strzelił, po czym schowali się za pniem grubego dębu, żeby przeczekać kanonadę.

– Jak tylko przestaną strzelać, pobiegiesz w tę stronę – powiedział, wskazując ręką. – Skręć w lewo i wróć na szosę. Może uda ci się dodzwonić na policję albo zatrzymać jakiś samochód.

– A co z tobą?

Strzały ucichły. Napastnicy zmieniali magazynki. Reuben chwycił Annabelle za ramię i pchnął mocno.

– Już!

– Musi istnieć inny sposób!

– Niestety nie. To jedyne rozwiązanie.

– Reuben, nie mogę...

Złapał ją ponownie za ramię i ścisnął tak mocno, że aż krzyknęła.

– Rób, co ci mówię! Jedno z nas musi ujść z tego z życiem!

– Ale...

Zostawił ją i ruszył biegiem prosto na tamtych. Annabelle odruchowo odwróciła się i pobiegła w przeciwnym kierunku. Chwilę potem znowu rozległy się strzały. Biegła, a po jej twarzy płynęły łzy.

45.

Miasto było pogrążone w ciemności. Stone, stojąc w starannie wybranym miejscu w parku Lafayette'a, zerknął na zegarek. Jeszcze dziesięć sekund. Odliczał je w myślach. W oddali dostrzegł migające światełko. Było to niewielkie doświadczenie, które obmyślił wspólnie z Chapman. Dziewczyna stała teraz na dachu hotelu Hay-Adams i „strzelała” w jego kierunku z silnego czerwonego lasera, który miał symulować pistolet maszynowy. Migające światło było ledwo widoczne, a gdyby Stone stał kilka kroków w lewo lub w prawo, gałęzie drzew całkowicie by mu je zasłoniły. Zadzwoił do Chapman i poinformował ją o swoich obserwacjach. Mogła już przenieść się w następne miejsce, czyli do budynku stojącego nieco na lewo i trochę za hotelem. Stone wybrał go, ponieważ pociski nadlatywały mniej więcej z tamtego rejonu, a w dodatku w tym domu otwierały się okna. Zdecydowaną większość pocisków znaleziono w zachodniej części parku; początkowo wydawało się to dziwne, ale teraz, kiedy już ustalili ponad wszelką wątpliwość, że wcale nie strzelano z dachu hotelu, stało się to wręcz oczywiste.

Czekając, aż Chapman dotrze na nowe miejsce, nagle wyczuł za sobą czyjąś obecność.

Odwrócił się i zobaczył Laurę Ashburn, agentkę FBI, która przesłuchiwała go w sprawie śmierci Toma Grossa. Była ubrana na czarno, nie licząc granatowej kurtki ze złocistymi literami FBI na plecach. Na głowie miała baseballówkę z identycznym napisem. Jej czarne oczy przeszywały go na wylot.

- Czym mogę pani służyć, agentko Ashburn?
- Chciałam z panem porozmawiać.
- Bardzo proszę.
- Zakończyliśmy pracę nad raportem.
- Doprawdy?
- Nie jest dla pana zbyt korzystny.

– Po naszym spotkaniu niczego innego się nie spodziewałem. Czy tylko to chciała mi pani powiedzieć?

– Nie jestem pewna... – odparła z wahaniem.

Uśmiechnął się.

– Coś pana rozbawiło?

– Zaraz pani wyjaśnię co. Chociaż do wyjaśnienia tej sprawy skierowano ogromne siły, nikt wciąż nie wie, co się właściwie stało ani dlaczego. Wszyscy oskarżają wszystkich, ukrywają informacje i szpiegują się wzajemnie.

– Co, do diabła, pan sobie...

Stone nie pozwolił sobie przerwać.

– Szpiegują się i konkurują ze sobą. Wszyscy doskonale się bawią kosztem tego, że dochodzenie tkwi w miejscu, a od czasu do czasu ktoś zginie.

– Tomowi Grossowi to niewiele pomoże.

– Ma pani całkowitą rację. Pomogłaby mu za to odrobina zaufania i współpraca jego agencji.

Na twarzy Ashburn gniew ustąpił miejsca zmieszaniu.

– Co on właściwie panu powiedział? – zapytała.

– Mniej więcej to, że skoro nie może ufać swoim ludziom, to w jaki sposób ma prowadzić śledztwo?

Agentka przez jakiś czas w milczeniu patrzyła przed siebie.

– Wreszcie zebrałam trochę informacji o panu – powiedziała wreszcie.

– Nie wątpię, że wykorzysta je pani w uzupełnionej wersji raportu.

– Czy naprawdę odmówił pan przyjęcia Medalu Honoru?

Stone zerknął na nią spod oka.

– Dlaczego pani pyta?

– Mój syn służy w Afganistanie. W piechocie morskiej.

– Jestem pewien, że robi to dobrze, tak jak jego matka.

– Rozumiem, że może pan być na mnie wkurzony, ale proszę zostawić mojego syna w spokoju!

– Powiedziałem to, co myślę. Wykonuje pani swoje obowiązki. Nie mam do pani żadnych pretensji. Na pani miejscu też pewnie

chciałbym skopać mi tyłek. Nie mam nic przeciwko temu. Zdaję sobie sprawę, że nawaliłem.

Twarz kobiety złagodniała.

– Przeanalizowałam dokładnie jeszcze raz to, co wydarzyło się w Pensylwanii.

Właściwie z tego powodu tu przyszłam.

– Po co ta ponowna analiza? Przecież już sporządziła pani raport.

– Proszę mi nie przerywać. Naprawdę jestem wkurzona, bo Tom był moim przyjacielem, i naprawdę mam ochotę skopać panu tyłek, więc nie radzę wkurzać mnie jeszcze bardziej!

– W porządku.

– Chodzi o to, że w gruncie rzeczy wcale nie jestem przekonana, czy popełnił pan jakiś błąd. Rozmawiałam z tymi policjantami; obaj twierdzą, że ocalił im pan życie. Zareagował pan, zanim zdążyli się zorientować, że coś jest nie w porządku. Oni wciąż jeszcze się zastanawiali, co się stało, a pan już wyruszył w pogoń za strzelcem.

– Po prostu mam więcej doświadczenia w takich sytuacjach.

– Z pewnością. Z kolei Tom mógł sam wezwać pomoc, ale tego nie zrobił.

– Naprawdę byłem przekonany, że bardziej niebezpiecznie będzie w domu Kravitz.

Ashburn westchnęła głośno.

– Wierzę panu.

– Mam nadzieję, że wierzy mi też pani, że nie spocznę, dopóki nie dopadnę tego, kto to zrobił.

Długo przyglądała mu się bez słowa.

– Tak – powiedziała wreszcie.

Wymienili mocny uścisk dłoni, po czym Ashburn rozplynęła się w ciemności. Chwilę potem Stone dostrzegł w oddali migające czerwone światełko oraz pojawiające się i znikające w tym samym rytmie punkciki na ziemi, tam gdzie padałyby pociski wystrzeliwane z miejsca, w którym właśnie znajdowała się Chapman. Sięgnął po komórkę i zadzwonił do niej.

– Wejdz piętro wyżej – polecił.

Parę minut później światełko pojawiło się ponownie.

– To chyba to – poinformował ją przez telefon. – Widzisz coś, co mogłoby świadczyć o tym, że ktoś stamtąd strzelał?

– Żadnych łusek, ale znalazłam plamę po smarze albo oleju. Wezmę próbkę do analizy. A kiedy otwierałam okno, nawet nie zaskrzypiało.

– Tak jakby niedawno ktoś je otwierał?

– Właśnie. Zapomniałeś mi tylko powiedzieć, że to budynek rządowy, który akurat jest w remoncie.

– Bo miałem nadzieję, że się mylę.

46.

Stone i Chapman wrócili do domu przy cmentarzu. Usiedli, żeby omówić najnowsze odkrycie, kiedy nagle agentka MI6 zerwała się i wyłączyła lampkę na biurku. Pokój pogrążył się w ciemności.

– Co jest? – szepnął Stone.

Nie zdążyła odpowiedzieć. Drzwi otworzyły się z hukiem i do wnętrza wtargnęło co najmniej trzech ludzi w czarnych strojach, o zamaskowanych twarzach, z pistoletami maszynowymi MP-5 w dłoniach. Byli zawodowcami, ale nie oczekiwali tego, co ich spotkało.

Chapman kopnęła jednego w kolano, wyginając je w kierunku, w którym żadne ludzkie kolano nie powinno się wyginać. Mężczyzna krzyknął przeraźliwie i runął na podłogę, trzymając się oburącz za uszkodzoną nogę.

Stone wydobył pistolet ze skrytki w biurku, lecz zanim zdążył wycelować, a tym bardziej wystrzelić, agentka MI6 dała ogromnego susa przez całą szerokość pokoju, szczęśliwie unikając pocisków z pistoletów maszynowych, z których strzelali pozostali dwaj napastnicy.

Już niedługo miał zostać tylko jeden.

Chapman zadała kolejnemu napastnikowi miażdżące uderzenie w krtań, niemal równocześnie podcięła go, a gdy padał, silnym szarpnięciem odwróciła tyłem do siebie i z całej siły rąbnęła w kark. Zacharczał, runął jak kłoda i już się nie poruszył. Nie tracąc nawet ułamka sekundy, dziewczyna rzuciła się za trzecim napastnikiem; ten, widząc, co się dzieje, rzucił się do ucieczki, ale zanim zniknął w otwartych drzwiach, upuścił coś na podłogę.

Stone natychmiast domyślił się, co to jest.

– Uważaj! – krzyknął i nacisnął spust, ale pociski z jego pistoletu ugrzęzły w ścianach i drewnie, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Granat ogłuszający eksplodował ze stłumionym hukiem, wykonując pierwszą część swojej misji. Stone zdołał w porę zamknąć i zasłonić oczy, ale Chapman nie zdążyła się przygotować. Krzyknęła

boleśnie. Stone z całych sił wepchnął sobie palce do uszu, wiedząc, że za chwilę nastąpi drugi wybuch, znacznie głośniejszy. Tak też się stało. Teraz przegrupują się i wrócą dokończyć robotę, przemknęło mu przez głowę.

Nie przewidzieli jednak tego, że Stone nie został ani oślepiony, ani ogłuszony.

Przetoczył się w prawo, lewą ręką wyrwał walthera z dłoni Chapman, prawą złapał ją za ramię, wepchnął za biurko, przełożył broń z lewej do prawej ręki i czekał.

Pierwszy napastnik wpadł do pokoju, strzelając seriami z biodra. Stone padł na podłogę, przetoczył się w bok i strzelił pod biurkiem, celując w nieosłonięte kevlarom kolana.

Trafił. Mężczyzna runął jak długi, wyjąc z bólu. Drugi zamierzał pospieszyć mu z pomocą, ale kilka strzałów oddanych przez Stone'a zmusiło go do odwrotu.

Zapadła cisza. Jakiś czas potem usłyszeli narastające wycie syren.

– Możemy zawrzeć układ, zanim przyjadą gliny! – zawołał Stone.
– Masz pięć sekund na to, żeby zabrać kumpla i zniknąć. Jeśli nie skorzystasz, bawimy się dalej. Z tego, co widzę, jesteś dobry, ale ja jestem lepszy.

Syreny wyły coraz głośniej.

– W porządku! – padła wreszcie odpowiedź.

Ranny został zabrany, zaraz potem rozległ się odgłos uruchamianego silnika i znowu cisza. Syreny zawodziły coraz ciszej. Najwyraźniej radiowozy pędziły w inne miejsce. Stone odwrócił Chapman na plecy i sprawdził puls. Żył. Objął ją i czekał.

Minutę później otworzyła oczy.

– A niech to! – jęknęła, rozglądając się dokoła. – Wiem, że trafiłam dwóch, w tym jednego na dobre. Gdzie oni się podziali, do cholery?

– Zawarliśmy układ.

Oboje drgnęli, słysząc jakieś poruszenie przy resztkach drzwi frontowych. Chapman chwyciła swojego walthera i oboje skierowali broń w tamtą stronę.

– Oliver?

– Annabelle! – wykrzyknął, kiedy stanęła w drzwiach.

Chwilę potem do pokoju z impetem wpadł Reuben i runął na podłogę.

– Reuben!

Razem z Annabelle podniósł przyjaciela i posadził w fotelu. Z rany na ramieniu sączyła się krew, twarz Reubena była bardzo blada.

– Co się stało, do diabła? – zapytał Stone.

– Śledzili nas w Pensylwanii. Wywiązała się strzelanina. Reuben jest ranny. Potrzebuje lekarza.

Reuben wyciągnął zdrową rękę, zacisnął dłoń na ramieniu Stone'a i przyciągnął go do siebie.

– Nic mi nie będzie... – powiedział słabym głosem. – Pocisk przeszedł na wylot, boli jak cholera, ale to nic... Drugi zahaczył o nogę...

Stone opuścił wzrok. Rzeczywiście, w nogawce spodni Reubena zobaczył dziurę.

– Musisz jak najszybciej znaleźć się w szpitalu! – Spojrzał z gniewem na Annabelle. – Dlaczego od razu go nie zawiozłaś?

– Bo uparł się, żeby tu przyjechać. Kazał mi uciekać i wezwać pomoc, ale kiedy usłyszałam strzały i krzyki, wróciłam, żeby mu pomóc.

Stone spojrzał na Chapman, a potem znowu na przyjaciela.

– Potrafilibyście ich zidentyfikować?

– Byli naprawdę niezli – powiedział Reuben. – Dobrze wyszkoleni. To właśnie chciałem ci powiedzieć. Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mi się uciec. Miałem cholernie dużo szczęścia. Udało mi się nawet zdobyć broń jednego z nich.

– Dobrze wyszkoleni? To znaczy?

Reuben spojrzał na Annabelle.

– Przynieś to z samochodu.

– Ależ Reuben, musimy zaraz zawieźć cię...

– Najpierw to przynieś.

Wróciła po kilku sekundach i wręczyła Stone'owi jakiś przedmiot. Zerknął na niego, po czym zapytał Reubena:

– Wiesz, co to jest?

Ranny skinął głową.

– Domyśliłem się, że ty też będziesz wiedział.

Chapman zerknęła nad jego ramieniem.

– To pistolet maszynowy Kasztan kalibru dziewięć milimetrów.

– Zgadza się – potwierdził Stone. – Produkcji rosyjskiej.

Reuben skrzywił się z bólu.

– Zgadza się. – Spojrzał na Annabelle. – Pamiętasz, w jakim dziwnym języku rozmawiali ze sobą?

– Myślisz, że to był rosyjski?

– Jestem gotów postawić na to swoje roczne zarobki. To niewiele, ale zawsze coś.

Skrzywił się znowu.

– Słyszeliście ich?

Annabelle miała już wyjaśnić, co dokładnie się stało, ale Stone ją powstrzymał.

– Opowiesz mi później. Teraz musimy odstawić go do szpitala. – Objął przyjaciela ramieniem i pomógł mu wstać z fotela, po czym zwrócił się do Annabelle: – Zostań tu, zadzwoń do Harry'ego i Caleba, i sprawdź, czy u nich wszystko w porządku. Zaczekamy na ciebie w Szpitalu Georgetown.

– W porządku.

Chapman i Stone pomogli Reubenowi dostać się do samochodu. Podróż do szpitala nie trwała długo. Kiedy Reuben był badany, do Stone'a i Chapman dołączyła Annabelle. We trójkę usiedli w poczekalni.

– I co, dodzwoniłaś się do nich?

Annabelle skinęła głową.

– U obu wszystko w porządku. Finn jeszcze nie wrócił, Caleb jest już w domu.

Powiedziałam Harry'emu, żeby bardzo uważał, a Calebowi, żeby się nigdzie nie ruszał.

– To dobrze. A teraz opowiedz, co was spotkało w Pensylwanii.

Opowiedziała mu o wydarzeniach w barze i o tym, co działo się później. Gdy tylko Stone dowiedział się, gdzie dokładnie nastąpił atak, wyszedł zadzwonić. Po jego powrocie Annabelle podjęła przerwana relację.

– Jak tylko znalazłam Reubena, wróciliśmy okreśną drogą do szosy. Zatrzymała się jakaś półciężarówka. Kierowca o nic nie pytał,

tylko pozwolił nam wejść na parkę. Udało mi się powstrzymać krwotok, ale i tak bałam się, że Reuben lada chwila straci przytomność.

Wysiedliśmy przy wypożyczalni samochodów. Wzięłam wóz i jak najszybciej wróciliśmy do Waszyngtonu. Chciałam najpierw podjechać do szpitala, ale on nawet nie chciał o tym słyszeć. Powiedział, że najpierw musi z tobą porozmawiać i pokazać ci ten pistolet.

– Miałaś okazję przyjrzeć się tamtym ludziom?

Annabelle westchnęła ciężko.

– Nie za bardzo, ale jeden z ich samochodów przeokołkował, więc ktoś musiał zostać ranny albo nawet zginąć. Dobrze pamiętam, gdzie to było, więc można pojechać i sprawdzić.

– Już tam jadą – odparł Stone.

Dwadzieścia minut później zadzwonił jego telefon. Stone słuchał w milczeniu, potem zadał kilka krótkich pytań i wreszcie zakończył rozmowę.

– Samochód zniknął.

– Niemożliwe! Przecież widziałam, jak koziółkował! Ktoś musiał zostać ranny, może nawet zginął.

– Jak widać, wszystko można posprzątać w pół godziny. Zostało trochę łusek, parę kawałków plastiku i ślady na poboczu. To wszystko.

– Oni naprawdę są nieźli – stwierdziła Annabelle.

Stone zerknął na Chapman.

– Rzeczywiście. Doskonale po sobie sprzątają.

– Mieli pistolety maszynowe, było ich kilku, a on? – zapytała agentka MI6. – Tylko pistolet?

– Tak, ale postanowił zastosować się do twojej rady, Oliverze: być nieprzewidywalnym. Zaatakował, kiedy zmieniali magazynki. Chyba się tego nie spodziewali. – Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. – Szczerze mówiąc, byłam przekonana, że nie żyje.

Stone ścisnął jej dłoń.

– Ale żyje. Lekarze powiedzieli, że nic mu nie będzie. Musi trochę odpocząć, i tyle.

– To były rany postrzałowe, więc będą musieli zgłosić to władzom?

– Pokazałem im odznakę i powiedziałem, że Reuben pracuje dla mnie.

– Aha.

– Jeśli jednak to rzeczywiście byli Rosjanie, jaki ma to związek z naszymi dzisiejszymi ustaleniami? – zapytała Chapman.

Annabelle spojrzała na nią pytająco.

– Z jakimi ustaleniami?

Stone wyjaśnił jej, że jest bardzo prawdopodobne, iż strzały padły z budynku rządowego.

– Jest w remoncie, więc chwilowo stoi pusty, ale i tak powinien być zabezpieczony.

Rozmawialiśmy ze strażnikami. Żaden nie widział, żeby tamtego wieczoru ktoś wchodził, a już na pewno nikt z czymkolwiek, co przypominałoby długą broń.

– Czy ten budynek ma tylko jedno wejście? – zapytała Annabelle.

– Też ich o to zapytałem. Odpowiedź brzmi: nie, jeśli ktoś ma kartę wejściową z odpowiednią autoryzacją. W takim wypadku można skorzystać również z innych wejść.

– Wiemy już, czy ktoś tak zrobił?

– Właśnie to sprawdzamy, ale nie mam wielkich nadziei.

– Dlaczego?

– Karta musiałaby być ukradziona, skopiowana albo coś w tym rodzaju. Podstawowe pytanie brzmi jednak: dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby nas przekonać, że strzelano z dachu hotelu i dlaczego wybrał budynek biurowy.

– Może dlatego, że był zupełnie pusty? – odparła Annabelle.

– I tak musieli dostać się do ogrodu na dachu, żeby rozsypać łuski, a nocą przecież nikogo tam nie było. Najwyraźniej bardzo zależało im na tym, żebyśmy skoncentrowali się właśnie na hotelu. Czemu?

– Dopisz to do listy pytań, na które nie mamy odpowiedzi – mruknęła Chapman.

– To jest wyjątkowo ważne.

– Dlaczego?

– Ponieważ na krótko przed tym, jak dotarłaś z Reubenem do mojego domu, ktoś przysłał oddział doskonale wyszkolonych zabójców. Niewiele brakowało, żeby ich misja zakończyła się sukcesem. To, że żyję, zawdzięczam jej. – Wskazał na Chapman. – Gdzie nauczyłaś się tak szybko poruszać?

– W młodości chodziłam na zajęcia z baletu. Wtedy serdecznie ich nie znosiłam, ale teraz muszę przyznać, że to czasem pomaga w sytuacjach, kiedy ktoś chce mnie zabić.

– Myślicie, że ten atak ma jakiś związek z tym, co udało wam się ustalić? – zapytała Annabelle.

– Przypuszczalnie ma bardzo silny związek z ustaleniem, że strzelano z teoretycznie całkowicie bezpiecznego budynku rządowego – odparł Stone.

47.

Nazajutrz Chapman zjawiła się w domu Stone'a o siódmej rano, i to nie sama. Do pokoju powoli wszedł James McElroy, po czym zajął miejsce przed kominkiem. Zmienił marynarkę i zdjął krawat. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę w kratę i starannie wyprasowane spodnie. Chociaż na dodatek był nienagannie uczesany, zaczerwienione oczy i ziemista cera dobitnie świadczyły o stresie, w jakim żyje.

– Chapman opowiedziała mi o waszej wczorajszej przygodzie – powiedział, spoglądając na rozbite drzwi i podziurawione ściany. – Zamiast takich atrakcji pewnie wolałbyś napić się przed snem odrobinę czegoś mocniejszego, co?

– Zgadza się.

– A więc jednak budynek rządowy?

– Na to wygląda.

– Co dodatkowo komplikuje i tak już bardzo skomplikowaną sytuację.

– Ale wygląda na to, że tym odkryciem zdrowo im dopiekliliśmy.

– Rzeczywiście. – McElroy wyraźnie zmarkotniał. – Rozmawiałem dzisiaj z premierem.

– I co?

– I nie jest zadowolony.

– Ja też nie, jeśli oczywiście to ma jakiegokolwiek znaczenie. Zwracam jednak uwagę, że pracuję nad tą sprawą dopiero od kilku dni. W tym czasie zginęło już czterech ludzi. Niewiele brakowało, żeby było ich sześcioro.

– Wiem o tym. Agentka Chapman poinformowała mnie o twojej decyzji, żeby skorzystać z pomocy... Jak oni się nazywają? – Klub Wielbłądów.

– Właśnie, Klubu Wielbłądów. Muszę przyznać, że ta nazwa przemawia do wyobraźni.

– Masz zastrzeżenia?

– Osobiście uważam, że wykorzystanie cywilnych odwołów to doskonałe posunięcie, szczególnie w sytuacji, kiedy brakuje oddziałów regularnych, ale trudno mi ocenić, czy w tym wypadku mamy do czynienia właśnie z taką sytuacją. Zresztą to bez znaczenia.

– To w czym problem?

– Jeśli dobrze zrozumiałem, kazałeś komuś śledzić Fauta Turkekula?

– Poprosiłem o to Harry'ego Finna. Służył w SEALs, obecnie pracuje w firmie badającej jakość zabezpieczeń różnych ważnych miejsc w kraju i za granicą. Wziął urlop i postanowił w całości zużyć go na pracę dla mnie.

– Naturalnie wiem o jego matce i o losie jego ojca, Rayfielda Solomona.

Stone spojrział na niego ze zdumieniem.

– Nie miałem pojęcia, że wszyscy o tym wiedzą...

– Oczywiście, że nie wszyscy. Ja dowiedziałem się tylko dlatego, że Solomon był moim starym przyjacielem. Pracowaliśmy razem w Azji i Ameryce Południowej. Jego żonę Lesyę znałem jeszcze w czasach Związku Radzieckiego. Byłem jednym z pierwszych funkcjonariuszy zachodnich służb wywiadowczych, którzy wiedzieli o tym, że była podwójną agentką.

– Znasz więc całą historię? O mnie też? I o tym, co zrobiłem Rayfieldowi Solomonowi?

– Rozkaz to rozkaz, Oliverze. Ty go tylko wykonałeś. Gdybyś tego nie zrobił, zapuszkowaliby cię za nieposłuszeństwo, a potem rozstrzelaliby za zdradę. Wiem, jak jankesi postępują w takich sytuacjach. Identycznie jak my.

– Mimo to mogłem odmówić.

– Teraz na pewno już tego nie zmienisz, choćbyś bardzo chciał.

– Czyli wiesz wszystko o Harrym?

– Nie wszystko.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Ufasz mu? – zapytał wreszcie McElroy.

– Wiele razy dowiódł swojej lojalności.

– Mogę zapytać, jak wam to się udało? Po tym, co się stało z jego ojcem...

– Jakoś się dogadaliśmy. Tyle mogę powiedzieć.

– Rozumiem – odparł McElroy z powątpiewaniem. – Mimo to sporo ryzykowałeś, wtajemniczając go w szczegóły misji Fauta. Przyznaję, że nie spodziewałem się tego.

– Nie mogę żądać, by ktoś ryzykował życie, nie mówiąc mu dlaczego. Harry wie, jak wiele dla tego kraju znaczy Faut Turkekul. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby go chronić.

– Co prowadzi nas prosto do pytania, dlaczego uważasz, że Faut potrzebuje dodatkowej ochrony.

– Agent Gross był przekonany, że szpiegują go ludzie z Biura. Agent Garchick uważa tak samo. Wczoraj wieczorem stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że strzelcy prowadzili ogień nie z hotelu, lecz z rządowego budynku, do którego mogą wejść tylko posiadacze specjalnych kart wstępu.

McElroy skinął głową.

– Rozumiem.

– Czy wiesz, że ATF znalazło w resztkach bomby coś, czego nie potrafią zidentyfikować? I że musieli zwrócić się o pomoc do NASA?

– Tak, Chapman powiedziała mi o tym. Ktoś szykował się do zamachów w kosmosie?

Dlaczego zwrócili się akurat do tej agencji?

– Może substancja, którą znaleźli, jest podobna do czegoś, czego używa się w programie kosmicznym? Nie mam pojęcia.

– Poza kilkoma bogatymi prywatnymi firmami tylko wy i Rosjanie macie coś, co można nazwać programem kosmicznym.

Chapman i Stone wymienili ukradkowe spojrzenia. Nawet jeśli McElroy zwrócił na to uwagę, to nie dał niczego po sobie poznać.

– O ile wiem, NASA też nie poradzi sobie z identyfikacją – powiedział Stone.

– Albo poradzi sobie, ale nic nie powie – wtrąciła Chapman. – Na przykład dlatego, że ktoś na to nie pozwoli.

– Wygląda na to, że wdepnęliśmy w niezłe bagno – podsumował McElroy, przenosząc wzrok ze Stone'a na swoją podwładną i z powrotem. – Do tej pory musiałem uważać tylko na wrogów, a teraz

wszystko wskazuje na to, że zagrożenie może nadejść z każdej strony.

– Czego właściwie oczekuje wasz premier?

– Gwarancji, że nie pogorszymy i tak już fatalnej sytuacji.

– Czy w ogóle można ją pogorszyć? – zapytała Chapman.

– Wszystko można pogorszyć – odparł McElroy. – Najpierw był zamach w Oklahoma City, potem jedenasty września. Najpierw były zamachy w Londynie, potem atak terrorystów w Bombaju. To istotnie może być zaledwie wierzchołek góry lodowej, zgodnie z tym, co sugerował ci dyrektor Weaver.

– Od tamtej pory nie dał znaku życia. Domyślam się, że to przez to, co spotkało agenta Grossa.

– Gdybym miał zgadywać, to zaryzykowałbym twierdzenie, że Weaver potwornie się boi. Nikomu nie ufa, więc nie bierz tego do siebie.

– Całkiem nieźle, jak na naszego szefa wywiadu...

– Nic na to nie poradzimy. Jest, jak jest. Tak samo było podczas światowego kryzysu finansowego. Rynek kredytowy zmarł, nikt nikomu nie ufał. W świecie wywiadu mamy właśnie taki kryzys.

– A czarne charaktery używają ile wlezie – zauważyła Chapman ponuro.

– Zgadza się.

– A my nie jesteśmy w stanie ich kontrolować – dorzucił Stone.

– Akurat to zależy od tego, kim są – powiedział McElroy.

Stone zastanawiał się przez chwilę.

– Czy sugerujesz to, co mi się wydaje?

– A co ci się wydaje, Oliverze?

– Że powinniśmy się wycofać, ponieważ niektórym ludziom może nie spodobać się to, co odkryjemy?

– Myślę, że prawidłowo odgadłeś moje intencje.

– I naprawdę chcesz, żebyśmy tak postąpili?

McElroy podniósł się z trudem i stanął na drżących nogach. Chapman zerwała się, żeby mu pomóc, ale ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

– Nic mi nie jest.

Poprawił marynarkę i zwrócił się do Stone'a: – Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Jeśli chodzi o mnie, to idziemy całą naprzód i niech szlag trafi torpedy. Zdaje się, że wasz admirał Farragut ujął to mniej więcej w taki sposób.

– A co z premierem?

– To miły gość, ale nie ma zielonego pojęcia o wywiadzie. Poza tym dopóki będzie uważał za właściwe, żebym to ja odpowiadał za bezpieczeństwo Brytyjczyków, będę działał tak, jak uznam za stosowne. Nie dam się unieruchomić. Ufam ci, a ty chyba ufasz mnie, i to jest najważniejsze.

– Za niewykonanie rozkazów zawsze trzeba płacić.

– Jestem za stary, żeby się tym przejmować. Ale nie zapomnij, że cię ostrzegałem.

Mogę się założyć, że prawie nic nie jest takie, jak nam się wydaje.

– Co znaczy, że nasze wnioski także mogą być błędne...

– Raczej nie wszystkie, ale te najważniejsze, owszem. – Spojrzał na Chapman. – Tworzycie dobry zespół, chyba że zmysły całkowicie mnie zawiodą. Uważajcie na siebie. – Odwrócił się do wyjścia. – Jeszcze jedno, Oliverze.

– Tak?

– Naprawdę się cieszę, że masz ten Klub Wielbłądów po swojej stronie.

– Ja też.

– Pamiętaj: wszystkie konie i wszyscy ludzie króla.

– Pamiętam.

– I jeszcze jedna sprawa. Przed domem czeka samochód, który zawiezie was do WFO.

FBI chce z wami porozmawiać. – McElroy zakręcił młynka laską.
– Powodzenia.

48.

Droga do WFO upłynęła w milczeniu. Dwaj siedzący z przodu agenci nie patrzyli na nich i nie odezwali się ani słowem. Gdy tylko dojechali na miejsce, zaprowadzono ich do windy i zawieziono na jedno z wyższych pięter, gdzie dwaj inni agenci wskazali im drogę do dużej sali konferencyjnej ze stołem, za którym bez trudu zmieściłoby się dwanaście osób.

Teraz jednak siedziało tam tylko troje ludzi: dyrektor FBI, jego zastępca oraz agentka Laura Ashburn, która minionego wieczoru w parku rozmawiała ze Stone'em krótko po tym, jak przemaglowała go z powodu śmierci Toma Grossa.

Dyrektor był niskim mężczyzną o wojowniczej minie i szybkich ruchach. Spośród wszystkich waszyngtońskich urzędników tylko on cieszył się autentyczną niezależnością.

Jego kadencja nie kończyła się po wyborach prezydenckich. Trwała pełne dziesięć lat niezależnie od tego, kto aktualnie zasiadał w Białym Domu.

Dyrektor poprosił, żeby zajęli miejsca, uporządkował leżące przed nim papiery, poprawił okulary i spojrzął na nich.

– Agencie Stone, agentko Chapman... Staram się być na bieżąco z tą sprawą, ale im więcej się dowiaduję, tym mniej rozumiem. Chciałbym, żebyście zaczęli od samego początku i opowiedzieli mi o wszystkich swoich ustaleniach, domysłach i teoriach.

– Czy to znaczy, że jednak nie będę odsunięty od śledztwa, panie dyrektorze? – zapytał Stone.

Dyrektor zerknął na Ashburn, a następnie ponownie spojrzął na Stone'a.

– Zapoznałem się z raportem. U z u p e ł n i o n y m raportem przygotowanym przez agentkę Ashburn. Ograniczę się do stwierdzenia, że istotnie, nie będzie pan odsunięty od śledztwa. A teraz chcę usłyszeć wszystko, co macie na ten temat do powiedzenia.

– To może trochę potrwać – uprzedził go Stone.

– W tej chwili nie ma dla mnie ważniejszej sprawy – odparł dyrektor FBI, sadowiac się wygodniej w fotelu.

Skończyli mówić trzy godziny później. Ashburn i wicedyrektor notowali pilnie na laptopach, nawet sam dyrektor sporządził kilka odręcznych zapisków.

– Dobry Boże! – zdumiała się Ashburn. – Został pan zaatakowany we własnym domu?

Dlaczego pan tego nie zgłosił?

– Nie mam pojęcia, na czyj rozkaz dokonano ataku, nie wiedziałem więc, komu mogę bezpiecznie o tym powiedzieć.

– Nam może pan ufać, Stone – powiedział dyrektor z grymasem na twarzy.

Stone zerknął pytająco na Chapman, która lekko skinęła głową. Stone spojrzał ponownie na dyrektora.

– Jest jeszcze coś...

Wszyscy skupili na nim uwagę.

– O co chodzi?

– Mój przyjaciel, który dla odmiany został zaatakowany w Pensylwanii, zabrał z miejsca zdarzenia dowód rzeczowy.

– Znalazł coś, czego nie zauważyli moi ludzie?

– Owszem. Wyprodukowany w Rosji pistolet maszynowy.

Cała trójka ludzi z FBI wyprostowała się jak na komendę.

– Latynosczy robotnicy, z którymi moi przyjaciele rozmawiali w barze przed atakiem, twierdzili, że ludzie zdejmujący tablicę do koszykówki w szkółce rozmawiali między sobą w jakimś dziwnym języku. To mógł być rosyjski.

Dyrektor popatrzył na swoich dwoje podwładnych, odłożył pióro i podrapał się po brodzie. Nic jednak nie powiedział, więc po chwili Stone dodał: – Wcześniej rozmawiałem z kimś, kogo pan bardzo dobrze zna.

– Kto to taki?

– Ktoś, kto mieszka w *casa blanca*...

– W porządku. Proszę mówić dalej.

– Dowiedziałem się od niego, że Rosjanie przejęli kierowanie biznesem narkotykowym na zachodniej półkuli, wyrywając stery z rąk Meksykanów.

– To prawda. Carlos Montoya i cała reszta jest teraz bez pracy we własnym kraju.

– Ale po co rosyjskie kartele miałyby podkładać bombę w parku Lafayette'a? – zapytała Ashburn.

– Prezydent stwierdził, że z punktu widzenia naszego kraju rosyjski rząd i rosyjskie kartele to to samo. – Stone spojrział z zaciekawieniem na dyrektora FBI. – Czy zgadza się pan z tą oceną sytuacji?

– Na pewno nie widzę powodu, żeby się z nią nie zgodzić – odparł dyrektor po krótkim wahaniu i zastukał piórem w blat stołu. – Jaki więc mieliby motyw, żeby podłożyć bombę i zrobić potem to wszystko?

– Żeby pokazać, co mogą? – podsunął Stone.

– Nie wydaje mi się. A co z jemeńskimi terrorystami, którzy przyznali się do zamachu?

– Łatwo nimi manipulować. A ja z kolei nie wierzę, że Rosjanie mieliby poważić się na coś takiego tylko po to, żeby się popisać.

– W takim razie po co?

– Wiele lat temu spędziłem sporo czasu w Rosji i przekonałem się, że Rosjanie są wyjątkowo przebiegli. Nigdy nie robią niczego bez powodu. Fakt, że już nie są supermocarstwem, wcale nie oznacza, że nie chcą nim być. Prezydent podziela tę opinię.

– Czyli to miałyby być rosyjski spisek zmierzający do odzyskania czołowej pozycji w świecie?

– Z pewnością nie wolno nam wykluczyć takiej możliwości. – Stone splótł ręce na piersi. – Jestem bardzo ciekaw, dlaczego nie wydaje się pan ani odrobinę zaskoczony.

Dyrektor nie zareagował na tę obcesową uwagę, tylko wziął do ręki jedną z leżących przed nim kartek.

– Dostaliśmy wyniki badań laboratoryjnych. Substancja, którą agentka Chapman znalazła na podłodze tego budynku rządowego, pochodzi z dość szczególnej broni...

– To smar z pistoletu maszynowego Kasztan – powiedziała Chapman. Nie było to pytanie.

– Zgadza się.

– A więc jednak strzelali stamtąd!

– Na to wygląda.

Przez kilka sekund w sali panowała cisza.

– Czy jest coś jeszcze? – przerwał ciszę Stone.

Dyrektor drgnął, jakby na jakiś czas zapomniał, że oprócz niego w pomieszczeniu są jeszcze jacyś ludzie.

– John Kravitz.

– Co z nim?

– On też był w Rosji.

– Kiedy?

– Podczas studiów. Od jakiegoś czasu mieliśmy go na liście podejrzanych.

Przypuszczaliśmy, że pojechał tam po to, żeby nawiązać kontakt z grupą specjalizującą się w masowych kampaniach dezinformujących w Internecie.

– Ale bez przemocy? – zapytała Chapman.

– Bez, choć w takich sytuacjach przemoc może się pojawić w każdej chwili.

Wielokrotnie to widywaliśmy.

– Wątpię, żeby John Kravitz miał dostęp do jakiegokolwiek budynku rządowego – zauważył Stone.

Dyrektor z namysłem skinął głową.

– Agent Gross obawiał się, że jest szpiegowany przez swoich. Czy powiedział wam o tym wprost?

– Tak.

Chapman potwierdziła ruchem głowy.

– Jeden z agentów ATF powiedział nam to samo – dodał Stone.

– Garchick?

– Zgadza się. Czy udało im się już zidentyfikować ten tajemniczy składnik bomby?

– O ile wiem, nie.

Stone z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy.

– O ile pan wie?

Po raz pierwszy od chwili, kiedy weszli do sali, na twarzy dyrektora FBI pojawiło się zdenerwowanie. Spojrzał na swojego zastępcę i ruchem głowy wskazał drzwi. Mężczyzna nie sprawiał wrażenia zachwyconego, a kiedy dyrektor dał znak Ashburn, żeby

została, aż zagryzł wargi ze złości. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, dyrektor pochylił się do przodu.

– Dzieje się coś, z czym nigdy przedtem nie miałem do czynienia.

– Macie zdrajcę w szeregach – powiedział Stone.

– Obawiam się, że gorzej. Znacznie gorzej.

Stone już otwierał usta, by zapytać, co może być gorszego niż zdrajca w samym sercu agencji wywiadowczej, ale przypomniał sobie słowa McElroya: zawsze może być gorzej.

Dyrektor odchrząknął i powiedział:

– W naszym rządzie dzieje się coś, co... hmm... niezbyt dobrze wpływa na nasz tryb działania.

– Co konkretnie pan przez to rozumie?

– Niektórzy z nas działają w zupełnie nieskoordynowany sposób.

– Niektórzy? – powtórzyła Chapman.

– Agent Garchick zaginął.

– Słucham?! – wykrzyknął Stone.

– Podobnie jak próbka tajemniczego składnika pobrana na miejscu eksplozji.

– Jak to możliwe? – zdumiała się Chapman.

– Tego nie wiem. To działo się poza naszymi strukturami.

– Ale przecież FBI nadzoruje wszystkie pokrewne agencje – zwrócił uwagę Stone.

– W sprawach dotyczących materiałów wybuchowych ATF ma pełną autonomię.

– Przyzna pan jednak, że jednoczesne zaginięcie agenta i dowodu rzeczowego jest dość niezwykle – powiedział Stone.

– Oczywiście.

– Są jakieś tropy? – zapytała Chapman.

– Jeszcze nie. Dopiero co się o tym dowiedzieliśmy. Właśnie wysłaliśmy ludzi.

– Został porwany?

– Tego nie wiemy. Jest po rozwodzie, mieszka sam. Zniknął też jego wóz.

– Ślady walki?

– Trudno powiedzieć.

– Próbował nawiązać łączność?

- Nie. Ani on, ani ci, którzy być może go porwali.
- Być może?
- Nie możemy wykluczyć ewentualności, że znikł z własnej woli.
- Kto zgłosił zaginięcie?
- Jego przełożony, kiedy Garchick nie pojawił się w pracy.
- A kto odkrył, że brakuje dowodów rzeczowych?
- Ten sam człowiek. Kiedy Garchick się nie pojawił, zaniepokoił się i sprawdził szafkę z dowodami.
- Garchick powiedział nam, że poprosili NASA o pomoc przy zidentyfikowaniu tej substancji.
- Nie wiedziałem o tym.
- Stone opadł na fotel, a Chapman powiedziała: – To doprawdy niesłychane.
- Media nie mogą się o niczym dowiedzieć – rzekł stanowczo dyrektor FBI. – Wszystkie wypowiedzi w tej sprawie muszą być autoryzowane przeze mnie. Czy to jasne?
- Nie rozmawiam z reporterami – odparł Stone, a Chapman kiwnęła potakująco głową.
- Dyrektor skinął głową w kierunku Ashburn.
- Od tej pory śledztwem kieruje agentka Ashburn. Będziecie z nią bezpośrednio współpracowali.
- Ashburn i Stone spojrzeli sobie w oczy. Stone mógłby przysiąc, że przez twarz kobiety przemknęło coś na kształt uśmiechu.
- Z przyjemnością – powiedział.
- Agentka Ashburn poinformowała mnie, że za zasługi w Wietnamie przyznano panu Medal Honoru.
- Owszem, zaproponowano mi go.
- Ale pan odmówił przyjęcia. Dlaczego?
- Nie wydawało mi się, żebym na niego zasługiwał.
- Pańska ojczyzna była o tym przekonana. Czy to nie wystarczy?
- Nie, panie dyrektorze. Nie wystarczy.

49.

– Reuben?

Potęźnie zbudowany mężczyzna otworzył oczy i zobaczył nad sobą twarz Stone'a.

– Lekarze mówią, że niedługo cię wypiszą.

– To dobrze. Nie mam ubezpieczenia, więc jeśli pozwolisz, chciałbym niniejszym ogłosić bankructwo. Ach, zapomniałbym: zbankrutować może tylko ktoś, kto cokolwiek ma...

– Widzę, że już się lepiej czujesz – odezwała się Annabelle, która od chwili gdy Reubena przyjęto do szpitala, nie ruszyła się z fotela w jego pokoju. Teraz podniosła się i stanęła przy łóżku obok Stone'a.

– Twój rachunek już został uregulowany – oświadczył Stone.

– Przez kogo?

– Przez Wujka Sama.

– Dlaczego? Spłacił też długi firmy, w której pracuję?

– Odpocznij.

– Złapaliście tych ludzi?

Stone pokręcił głową.

– Oczyszczili teren, zanim tam dotarliśmy.

– Więc nie odsunęli cię od śledztwa? – zapytała Annabelle.

– Na razie nie.

– Co jeszcze możemy zrobić?

– Oboje zrobiliście już wystarczająco dużo.

– Ale niewiele się dowiedzieliśmy.

– Wręcz przeciwnie. Dzięki wam wiele spraw ukazało się w zupełnie innym świetle.

– A co z Rosjanami? – zapytał Reuben. – Czy ci dranie naprawdę maczają w tym palce?

– Na to wygląda.

– Dlaczego to robią? – zdziwiła się Annabelle. – Myślałam, że teraz są naszymi sojusznikami...

– Sojusze się zmieniają. Poza tym tu raczej nie chodzi o ich rząd.

– Dzwoniłam do Harry’ego i Caleba. Wpadną później odwiedzić Reubena. To znaczy, Harry powiedział, że wpadnie, jeśli uznasz, że może zrobić sobie małą przerwę.

– Myślę, że może. Przekaż mu to, proszę.

Stone odwrócił się, ale zanim zdążył wyjść z pokoju, Annabelle otoczyła go ramieniem i powiedziała cicho:

– Uważaj na siebie, proszę. Tak niewiele brakowało, żebyśmy stracili Reubena...

W jej oczach zalśniły łzy. Stone musnął dłonią jej policzek.

– Będę uważał, Annabelle.

W głównym holu szpitala czekała na niego Chapman. Razem wsiedli do samochodu i odjechali.

– Przyznam ci się, że spotkanie z FBI nieźle mną wstrząsnęło – powiedziała Chapman po jakimś czasie.

– Dlatego, że nie odsunęli nas od śledztwa, czy z jakiegoś innego powodu?

– Dlatego, że wasz dyrektor najwyraźniej nie bardzo wie, co się dzieje.

– Zastanawiam się dlaczego – mruknął.

– Jak sądzisz, co stało się z Garchickiem i dowodami?

– Nie mam pojęcia, ale wiem, że są cały czas razem.

– Myślisz, że to zły gliniarz?

Nie odpowiedział od razu.

– Nie – powiedział wreszcie. – Wydaje mi się natomiast, że znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

– Nie on pierwszy. Alfredo Padilla, agent Gross...

– Zgadza się.

– Kto jest wystarczająco potężny, żeby ukrywać różne rzeczy przed dyrektorem FBI?

Stone spojrział na nią.

– Muszę się dzisiaj z kimś spotkać.

– Z kim?

– Z kimś.

– Czy to ważne?

– Tak.

– Gdzie on jest?

– W budynku naprzeciwko parku Lafayette'a.

50.

Niełatwo jest ot, tak sobie, zobaczyć się z prezydentem Stanów Zjednoczonych. W gruncie rzeczy jest to całkowicie niemożliwe. Rozkład zajęć tego człowieka może zawstydzić największych pracoholików. Zdarza się, że tego samego dnia odwiedza kilka krajów, przyjmuje gości na oficjalnej kolacji w Białym Domu, a następnie do późna w nocy konferuje ze współpracownikami. Dlatego Stone był mocno zdziwiony, kiedy znalazł się w śmigłowcu, który po niezbyt długim locie nad równinami Marylandu wylądował u podnóża gór Catoctin, skąd niewielka, bo składająca się zaledwie z trzech samochodów, kolumna zawiozła go do Camp David, przypuszczalnie najlepiej strzeżonego spłachetka ziemi na planecie.

To ma sens, pomyślał. Spotkanie w Camp David miało prywatny charakter, w przeciwieństwie do audiencji w Białym Domu. Kiedy samochody zatrzymały się przed głównym budynkiem, a wyprostowany jak tyka marine w mundurze galowym otworzył mu drzwi, Stone zastanawiał się intensywnie nad tym, w jaki sposób przekazać rozmówcy niewesołą wiadomość. I jak ten na nią zareaguje.

No cóż, niedługo się przekonam.

Został sam w niedużym, wyłożonym boazerią pokoju. Jego samotność nie trwała długo. Otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł ubrany swobodnie prezydent. W jednej ręce niósł okulary, drugą przyciskał do ucha blackberry. Gestem poprosił Stone'a o zajęcie miejsca, dokończył półgłosem rozmowę, schował telefon do kieszonki kraciastej koszuli, nalał kawy do dwóch filiżanek, jedną z nich podał gościowi, po czym również usiadł i włożył okulary na nos.

– Zgubiłem szkła kontaktowe. Muszę wspomagać się okularami, dopóki nie przywiozą mi nowych, ale nie mogę pokazywać się publicznie. Ludzie tego nie lubią.

Stone zastanowił się i z lekkim zaskoczeniem stwierdził, że istotnie, nie może sobie przypomnieć, żeby przy jakiegokolwiek oficjalnej okazji widział prezydenta w okularach.

– Bardzo dziękuję, że zechciał pan tak szybko mnie przyjąć, panie prezydencie.

Brennan odchylił się do tyłu i zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Z pewnością wie pan dlaczego. Sprawa jest niezwykle poważna, a wszystko wskazuje na to, że błyskawicznie tracimy nad nią kontrolę. Codziennie nowy kryzys. Zaczął pan cokolwiek z tego rozumieć?

– Trochę. Niestety, pojawiło się wiele nowych pytań...

– Proszę o zwięzły raport.

Stone niczego nie pominął, włącznie z atakiem na swój dom i rolę Fauta Turkekula.

– Naturalnie zdaję sobie sprawę, że doskonale wie pan o wszystkim – zakończył.

Prezydent skinął głową.

– Jestem w stałym kontakcie z brytyjskim premierem.

– James McElroy świetnie sobie radzi.

– Podziwiam tego człowieka. Mam wrażenie, że zawsze wie więcej od wszystkich, nie wyłączając mnie i swojego premiera.

– To cecha dobrego oficera wywiadu – zauważył Stone. – Szkoda jednak, że mnie nie wtajemniczył od razu we wszystko, nie stracilibyśmy tyle czasu.

– Ma pan rację, ale nic nie dało się na to poradzić – odparł prezydent szorstkim tonem.

– Rozumiem.

– Zresztą wyszło to nam trochę na dobre.

– Co pan przez to rozumie? – zapytał Stone ze zdziwieniem.

Prezydent sięgnął po pilota i nacisnął guzik. Część ściany odsunęła się, odsłaniając telewizor. Prezydent nacisnął kolejny przycisk i ekran ożył. Carmen Escalante sprawiała wrażenie mniejszej i drobniejszej niż w rzeczywistości. Odpowiadała na pytania związane ze śmiercią wujka oraz z jej problemami zdrowotnymi.

– Wiadomość szybko się rozeszła, co zaowocowało dwoma wydarzeniami: organizujemy wspólną ceremonię pogrzebową Toma Grossa i pana Padilli, na którą ma przylecieć prezydent Meksyku, oraz zgłosiło się wielu chętnych gotowych pokryć koszty dalszego leczenia panny Escalante.

– To bardzo miłe.

– Jak z pewnością pan wie, ostatnio nasze stosunki z Meksykiem były dość napięte, głównie za sprawą problemów z nielegalnymi imigrantami. Po tym, co się wydarzyło, uległy wyraźnemu ociepleniu. Wiem, że Padilla zginął przypadkowo, ale to nie zmienia faktu, że został bohaterem, a my potrzebujemy bohaterów. Ta historia została bardzo dobrze przyjęta i u nas, i w Meksyku. Nasze narody znowu trochę się zbliżyły. To dobrze, bo na tym możemy budować nasze nadzieje na przyszłość. – Wyłączył telewizor, fragment ściany wrócił na swoje miejsce. – Ale chwilowo najbardziej interesuje nas teraźniejszość.

– Tak, panie prezydencie.

– No dobrze. A teraz powinienem chyba zapytać, dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć.

– Wiem, że jest pan bardzo zajęty, więc przejdę od razu do rzeczy – powiedział Stone.

– Czy może mi pan zdradzić, gdzie jest agent Garchick? I co się stało z dowodami rzeczowymi, które zaginęły razem z nim? Dobrze wiem, że zna pan odpowiedź na te pytania.

51.

Prezydent Brennan i Oliver Stone długo mierzyli się w milczeniu wzrokiem. Stone miał już spore doświadczenie w takich starciach ze swoimi pracodawcami. Kluczem do sukcesu było nieodwracanie spojrzenia. Ten, kto robił to pierwszy, przegrywał.

– Czy ja dobrze słyszę? – zapytał wreszcie prezydent, ale ledwo uchwytny ton w jego głosie świadczył o tym, że oburzenie nie było do końca autentyczne.

Stone nie odpowiedział. Wciąż przyglądał się uważnie rozmówcy, jakby w ten sposób chciał odgadnąć jego myśli. Chciał wyrzucić wrażenie, że wie o wszystkim, choć naprawdę wielu rzeczy tylko się domyślał.

Czekał.

Brennan jeszcze przez jakiś czas kontynuował wzrokowy pojedynek, ale w końcu groźny płomień w jego oczach przygasł i prezydent podniósł się z fotela.

– Przejdźmy się trochę, Stone. Myślę, że należałoby się dogadać, a przy okazji chętnie rozprostuję nogi.

Prezydent włożył marynarkę i wyszli na zewnątrz. W pewnej odległości dyskretnie towarzyszyli im agenci Secret Service, ubrani podobnie jak szef, w sposób pasujący do miejsca, w którym się znajdowali. Ruszyli ścieżką wśród drzew, którą wcześniej przechadzało się wielu poprzedników obecnego prezydenta.

– Uwielbiam to miejsce. Mogę tu podładować akumulatory i przynajmniej na chwilę zapomnieć o problemach.

Stone rozglądał się ukradkiem. Agenci byli na wyznaczonych pozycjach. Ze względu na swoje położenie na zalesionym, nierównym terenie Camp David było strzeżone nawet pilniej od Białego Domu. Prezydent szedł tak blisko, że niemal dotykali się łokciami. Agenci nie interweniowali, widząc, że szef nie okazuje niepokoju.

– Mamy problem, Stone.

– Szczątki bomby. Wiemy już, co tam było?
– Słyszałeś kiedyś o nanobotach?
– Nanotechnologia? Cała moja wiedza sprowadza się do tego, co wyczytałem w gazetach.

– To niewiarygodne cholerstwo. Jest już w naszych ubraniach, żywności, kosmetykach i mnóstwie innych rzeczy, i prawie nikt o tym nie wie. Połowa naukowców uważa, że to całkowicie bezpieczne, druga połowa twierdzi, że jeszcze za mało wiemy i masowe wprowadzenie tej technologii może mieć fatalne dalekosiężne skutki.

– A więc w próbkach pobranych z miejsca wybuchu znaleziono te nanoboty?

– Zobaczyliśmy je dopiero pod mikroskopem.

– Po co ktoś miałby umieszczać je w bombie?

Prezydent uśmiechnął się niewesoło.

– W tym właśnie tkwi problem, Stone. Nie wiemy. Domyślamy się tylko, że ktoś odkrył sposób wykorzystania nanotechnologii w sposób, w jaki nie powinna być wykorzystywana.

– Czyli w celach kryminalnych i terrorystycznych?

– Tak jest.

– Czy są już jakieś teorie na ten temat?

– Owszem. Ta, która się cieszy największą popularnością, jest równocześnie najbardziej niepokojąca. Według niej ładunek wybuchowy został w jakiś sposób skażony i skażenie to objęło wszystkich, którzy w chwili wybuchu i po nim znaleźli się w parku. W ten sposób stali się nosicielami, którzy rozsiali je dalej.

Stone drgnął i odruchowo odsunął się od prezydenta.

– Ja też tam byłem. Siła wybuchu przewróciła mnie na ziemię. Nie powinien pan zbliżać się do mnie.

– Już za późno, Stone. Widziałem się przecież z agentami Grossem, Garchickiem i innymi. Do licha, dyrektor FBI też przecież tam był! Zrobiono mi chyba wszystkie badania, jakie są na świecie, i wyszło na to, że jestem zdrow jak ryba.

– Natrafiono na dowody potwierdzające tę teorię?

– Nic o tym nie wiem. Wyobraża pan sobie, co mi powiedziano? Że te cholerne nanoboty mają zdolność zmieniać strukturę

molekularną innych substancji, przez co nawet potencjalnie śmiertelnie groźne paskudztwa mogą się wydawać całkiem nieszkodliwe.

Chwilowo nie sądzimy, żeby teoria o skażeniu była prawdziwa, ale nie mamy też żadnych dowodów, które pozwoliłyby stwierdzić, że nie ma w niej sensu. Nie wiemy nawet, w jaki sposób to sprawdzić... Trzeba też wziąć pod uwagę, że skażonych substancji może być więcej. To jak z przeciekającą łódką: zatkaś jedną dziurę, a woda wlewa się sąsiednimi.

– A co z agentem Garchickiem? – zapytał Stone.

– Uznaliśmy, że rozsądnie będzie zdjąć go na jakiś czas z planszy. Obecnie przebywa w specjalnie strzeżonym domu w...

Stone powstrzymał prezydenta ruchem ręki.

– Wolałbym nie wiedzieć.

– Dlaczego?

– Na wypadek gdyby ktoś chciał wydobyć ode mnie tę informację.

– Ma pan rację, Stone. Żyjemy w niebezpiecznych czasach. – A nieprzyjaciele mogą nas łatwiej dosięgnąć.

– Zgadza się. Gdybyśmy choć wiedzieli, kim są... Coraz trudniej ich rozpoznać.

– Zapewne każdy weteran z Iraku albo Afganistanu przyznałby panu rację.

– Czy to nie ironia losu? – zapytał nagle Brennan.

– W jakim sensie?

– Odszukałem pana, żeby walczył pan z Rosjanami w Meksyku, ale teraz okazało się, że są znacznie bliżej. Być może naprzeciwko Białego Domu.

– Z pewnością wie pan o rosyjskim pistolecie maszynowym i o powiązaniach Kravitz z Moskwą?

– Oczywiście, ale jest coś więcej.

Stone czekał niecierpliwie.

– Kiedy jeszcze istniał Związek Radziecki, prowadził zakrojone na szeroką skalę badania naukowe. Szły na to miliardy dolarów.

– Nanoboty?

– Nanoboty. Niewiele krajów lub organizacji stać na sfinansowanie prac w tej dziedzinie. Rosjanie są w ścisłej czołówce na tej liście.

– Czego oczekuje pan ode mnie, panie prezydencie?

– Żebyś wykonywał swoją robotę, Stone, a ja damę słowo, że będę pilnował twojego tyłka. – Brennan dostrzegł powątpiewanie w spojrzeniu Stone'a. – Mówię serio. Jeśli przeżyjesz, twoje akta staną się czyste jak lza. Nic ci nie będzie groziło.

Wyciągnął rękę, a Stone ją uściśnął.

– Dlaczego tacy jak ty robią to, co robią? – zapytał Brennan. – Na pewno nie dla odznaczeń, a tym bardziej nie dla pieniędzy.

Stone milczał.

– A więc? Dla Boga i ojczyzny?

– Odpowiedź jest znacznie prostsza i zarazem znacznie bardziej złożona, proszę pana.

– Czyli?

– Po to, żebym mógł spojrzeć sobie w twarz w lustrze.

52.

Stone został odstawiony śmigłowcem z powrotem do Waszyngtonu, gdzie w parku Lafayette'a już czekała na niego Chapman.

– I jak poszło? – zapytała z niepokojem.

– Sporo się dowiedziałem.

– Pomoże nam to w czymś?

– To się okaże.

– Daj spokój! Żadnych rewelacji? Na litość boską, przecież rozmawiałeś z prezydentem Stanów Zjednoczonych!

Powiedział jej o podejrzeniach, że zagadkowe znaleziska z miejsca eksplozji mogą mieć związek z nanotechnologią, oraz o tym, co się stało z agentem Garchickiem.

– Wiedziałeś o tym wszystkim, kiedy prosiłeś o spotkanie?

– Powiedzmy, że podejrzewałem.

– I poinformowałeś go o swoich podejrzeniach?

– Uznałem, że najprostsza droga będzie równocześnie najkrótszą.

– Masz jaja... A więc nanoboty? Nieźle. Do czego zmierza ten świat, skoro teraz mogą już nafaszerować dowolną rzecz jakimiś paskudztwami, których nie widać, a które mogą nas zabić?

– Wydaje mi się, że niektórzy nazywają to postępowaniem – odparł Stone z przekąsem.

– Czyli Rosjanie wrócili do laboratoriów i szykują tam różne niemiłe rzeczy...

– Przemysł narkotyków to biznes wart miliardy dolarów. To podstawowa motywacja.

Niejako przy okazji mogą uzyskać coś, co na przykład całkowicie zniszczy zbiory u ich nieprzyjaciół, a to już jest po prostu bezcenne.

– U nieprzyjaciół, czyli u nas i u was.

– Pomimo odprężenia, Gorbaczowa i Jelcyna stosunki między naszymi trzema krajami trudno nazwać aksamitnymi.

– Ale to nadal nie wyjaśnia wydarzeń w parku. Skąd ta bomba?

– Widocznie istnieje jakiś inny powód.

Stone w zamyśleniu przyglądał się kraterowi.

– Pytania, które zadał Riley Weaver, wciąż pozostają bez odpowiedzi.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego poprzednie drzewo tak szybko uschło? Dlaczego zaraz po posadzeniu nowego nie zasypano dziury w ziemi?

– Tym zajmował się agent Gross.

– Teraz my się tym zajmujemy.

– A co z Ashburn? Czy to nie ona kieruje teraz śledztwem?

– Wolałbym, żebym to był ja.

– Na wypadek gdybyśmy mieli stracić kolejnego agenta? – zapytała cicho.

Pozostawił jej pytanie bez odpowiedzi.

*

Godzinę później stali przed George'em Sykesem, który miał na sobie mundur Krajowej Straży Parkowej. To on był człowiekiem, który – według ustaleń Toma Grossa – nadzorował przesadzanie drzewa. Był krępy męczyzną o stalowym uścisku dłoni. Po przywitaniu Chapman dyskretnie rozmasowała sobie palce.

– Poprzedni klon nie wykazywał najmniejszych oznak choroby ani objawów zaatakowania przez szkodniki – poinformował ich Sykes. – Wyobraźcie więc sobie moje zdziwienie, kiedy któregoś dnia okazało się, że praktycznie rzecz biorąc, jest martwy. Nie mogliśmy już nic zrobić. Mało mi serce nie pękło. To drzewo rosło tam od lat.

– W związku z tym usunęliście je, zamówiliście nowe i wsadziliście w to samo miejsce? – zapytała Chapman.

– Zgadza się. Bardzo starannie dobieramy materiał do nasadzeń. Staramy się trzymać prawdy historycznej.

– Wiemy o tym. Szkołka leśna w Pensylwanii należała do waszych najlepszych dostawców?

– Tak jest. Opowiadałem o tym agentowi Grossowi.

– O tym też wiemy, ale zważywszy na to, co się z nim stało, musimy przejść tę drogę od początku.

– Oczywiście! – zgodził się szybko Sykes. – Co za koszmar... Podobno był w to zamieszany jeden z pracowników szkoły?

– Podobno – odparła wymijająco Chapman. – Proszę opowiedzieć nam o tym, co się działo po dostarczeniu drzewa.

– Przez jakiś czas trzymaliśmy je w bezpiecznym miejscu niedaleko Białego Domu.

– A potem przewieźliście do parku?

– Zgadza się.

– Posadziliście je, ale nie zasypaliście dziury?

– Zgadza się – powtórzył Sykes.

– Dlaczego? – zapytał Stone. – Nie prościej byłoby od razu ją zasypać? Musieliście przecież otoczyć drzewo taśmą ostrzegawczą, żeby nikt się tam nie kręcił...

Łącznie z psami szkolonymi do wykrywania ładunków wybuchowych, dodał w myślach.

– Przesadzanie tak dużego drzewa to poważna operacja, którą przeprowadza się etapami – wyjaśnił Sykes. – Transport na miejsce i umieszczenie w dole to tylko kolejne na długiej drodze, która zaczęła się, kiedy wykopano je w szkółce w Pensylwanii. Podstawą sukcesu jest to, żeby się nie spieszyć. Nie zasypaliśmy od razu dołu, żeby sprawdzić, jak nowe drzewo sobie radzi. Miał to ocenić nasz najlepszy specjalista. Na podstawie jego zaleceń sporządzilibyśmy odpowiednią mieszankę gleby i nawozów.

– To dość skomplikowane – zauważyła Chapman.

– Nic dziwnego. Mówimy przecież o żywym organizmie ważącym kilka ton.

Naturalnie oprócz składu gleby bardzo istotne jest także właściwe podlewanie w okresie ukorzenia.

– No dobrze – odezwał się Stone. – Jeśli dobrze rozumiem, wciąż nie wiecie, dlaczego uszło poprzednie drzewo?

Sykes wzruszył ramionami.

– To się mogło stać z wielu powodów. Takie nagłe przypadki nie są czymś kompletnie nieznanym, choć przyznam, że zdarzają się wyjątkowo rzadko.

– Czy ktoś mógł doprowadzić do tego celowo? – zapytała Chapman.

Sykes spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Dlaczego ktoś miałby celowo zabić drzewo?

– Gdyby tamto drzewo nie uschło, nie sadzono by nowego. Gdyby nie sadzono nowego, nie byłoby także bomby.

– Aha. – Sykes był wyraźnie poruszony. – Czy to znaczy, że zabili pierwsze drzewo, a potem wysadzili w powietrze drugie? Dranie!

Nie ulegało wątpliwości, że los drzewa poruszył go dużo bardziej niż los niewinnego człowieka, który przy okazji również stracił życie.

– No cóż, dziękujemy panu za pomoc – rzekł Stone.

Kiedy znaleźli się z powrotem w samochodzie, Chapman powiedziała: – Nie ulega wątpliwości, że bomba znalazła się w bryle korzeniowej, zanim drzewo dotarło na miejsce. Fakt niezasypania dołu jest mniej istotny, niż przypuszczaliśmy. Tak czy inaczej, ładunek i tak by eksplodował. Sygnał radiowy z pewnością przeniknie przez kilkadziesiąt centymetrów gleby.

– A więc kluczową rolę odegrała szkółka, ale wraz ze śmiercią Kravitz ten trop się urwał.

– To prawda – przyznała Chapman. – Starannie po sobie posprzątali. Zaczekaj chwilę...

Czy w przyczepie Kravitz znaleziono nanoboty?

– Nic o tym nie wiem.

– A czy nie powinno ich tam być?

– Nie wiem. Musimy to sprawdzić.

Chapman zerknęła na zegarek.

– Muszę zdać raport sir Jamesowi.

– A ja pójdę do Biblioteki Kongresu pogadać z Calebem.

– Twoim nieustraszonym researcherem?

Stone uśmiechnął się.

– Jest całkiem niezły, jeżeli się wie, jak wykorzystać jego zalety.

– Może zjedlibyśmy dziś razem kolację? – zapytała niespodziewanie Chapman.

Stone spojrział na nią.

– W porządku – odpowiedział powoli. – Gdzie?

– Ceiba na Czternastej Ulicy. Od dawna chciałam tam pójść. Porównamy notatki.

Może być siódma?

Stone skinął głową i ruszył w kierunku biblioteki, natomiast Chapman wróciła do samochodu. Nie pojechała jednak do ambasady Wielkiej Brytanii, tylko do hotelu w Tysons Comer w Wirginii. Wjechała windą na piąte piętro, otworzyła drzwi jednego z pokoi i weszła. Był to właściwie obszerny apartament składający się z przestronnego salonu, sypialni i jadalni. Przez chwilę podziwiała widok z okna, po czym zdjęła marynarkę i pantofle, usiadła na kanapie i zaczęła rozcierać sobie palce. Po jakimś czasie wyjęła z kabury pistolet i przyjrzała mu się uważnie. Odłożyła go, gdy tylko rozległo się pukanie do drzwi. Wstała, przeszła bosą przez pokój i otworzyła. Do apartamentu wszedł mężczyzna. Chapman zamknęła drzwi, wróciła na kanapę, usiadła ponownie i spojrzała w górę na niego.

– Za cholerę mi się to nie podoba! – warknęła. – Ani trochę!

– Nikogo nie obchodzi, co ci się podoba, a co nie – odparł Riley Weaver. – Rozkazy zostały potwierdzone przez obie strony.

– Skąd mam wiedzieć, czy to prawda? – parsknęła.

– Bo ja ci to mówię, Mary – powiedział James McElroy, wyłaniając się z sypialni.

53.

Stone najpierw pojechał do szpitala, żeby odwiedzić Reubena. Usłyszał głos przyjaciela na długo przedtem, nim dotarł do jego pokoju. Wszystko wskazywało na to, że Reuben koniecznie chciał wyjść do domu, co spotkało się ze sprzeciwem lekarzy, którzy uznali, że powinien spędzić w szpitalu jeszcze kilka dni. Przed drzwiami pokoju przyjaciela Stone spotkał Annabelle.

– Może tobie uda się przemówić mu do rozsądku! – Westchnęła.

– Wątpię, ale spróbuję.

– Nic mi nie jest! – ryknął Reuben, gdy tylko Stone pojawił się w jego polu widzenia. – To nie jest mój pierwszy postrzał! Już wolę, jak do mnie strzelają, niż kiedy siostra Ratchet kłuje mnie w miejsca, w które nie życzę sobie być kłutym!

Pielęgniarka tylko przewróciła oczami, a wychodząc, szepnęła do Stone'a: – Powodzenia!

– Rozumiem, że chcesz stąd wyjść? – zapytał leżącego w łóżku przyjaciela.

– Znacznie bardziej chcę dopaść tych drani, którzy mi to zrobili!

Stone przysunął sobie krzesło i usiadł, w tej samej chwili do pokoju wszedł Caleb z bukietem w dłoni.

– Co to ma być, do diabła? – warknął Reuben.

Caleb zmarszczył brwi, niemile zaskoczony reakcją chorego.

– To peonie. Bardzo trudno je dostać o tej porze roku.

– Chcesz powiedzieć, że przyniosłeś mi kwiaty? – zapytał z niedowierzaniem Reuben.

– Owszem. Żeby ożywić to przygnębiające wnętrze. Szaro tu i smutno. Nigdy nie wydobrzejesz w takim otoczeniu.

– Są piękne – powiedziała Annabelle. Wzięła bukiet z rąk Caleba i powąchała kwiaty.

– Dla ciebie może i są piękne, bo jesteś dziewczyną – stwierdził Reuben. – Faceci nie powinni przynosić kwiatów facetom. – Przeszył

Caleba morderczym spojrzeniem. – Czy ktoś cię widział, kiedy tu z nimi szedłeś?

– Że co? No, pewnie tak. Parę osób. W dyżurce pielęgniarek wszystkim bardzo się podobały.

Reuben, który tymczasem usiadł w łóżku, opadł ponownie na pościel.

– Cudownie! Teraz pewnie myślą, że jesteśmy parą!

– Ale ja nie jestem gejem! – wykrzyknął Caleb.

– Może i nie, ale wyglądasz na geja! – warknął Reuben.

Caleb wykrzywił twarz w szyderczym grymasie.

– Naprawdę? A jak, twoim zdaniem, wyglądają geje, panie stereotypowy neandertalczyku?

Reuben jęknął rozpaczliwie i zakrył sobie twarz poduszką.

– Na litość boską! – wydobyły się spod niej przytłumione słowa. – Następnym razem przynieś mi piwo! Albo jeszcze lepiej „Playboya”!

– Dostałem twoją listę imprez w parku Lafayette’a – zwrócił się Stone do Caleba, kiedy Annabelle poszła szukać wazonu. – Właśnie o tym chciałem z tobą pogadać. Sporo ich.

– Rzeczywiście – potwierdził Caleb. – Ale poszperałem trochę głębiej i udało mi się ją mocno zawęzić.

Wyjął z kieszeni kilka świstków, rozprostował je i położył na pościeli w nogach łóżka.

Stone pochylił się, żeby przeczytać.

– Przyjąłem założenie, że musi chodzić o coś naprawdę dużego – ciągnął Caleb. – Tylko w takiej sytuacji zadawaliby sobie aż tyle trudu.

– To jasne – potwierdził Stone.

Annabelle wróciła z wazonem, postawiła go na stoliku w kącie i dołączyła do nich.

– Wygląda na to, że do tej kategorii można zaliczyć pięć wydarzeń – mówił dalej Caleb. – Wszystkie zaplanowano na najbliższy miesiąc. Najpierw jest demonstracja przeciwko zmianom klimatycznym, a zaraz potem protest przeciwko podnoszeniu podatków. W obu przypadkach ewentualny wybuch spowodowałby mnóstwo ofiar. Później prezydent ma wygłosić mowę ku czci

żołnierzy poległych w wojnach na Bliskim Wschodzie. Na uroczystości będzie też obecny prezydent Francji.

– Ja głosuję za tym – przerwał mu Reuben. – Za jednym zamachem mogliby załatwić dwóch prezydentów.

– Mów dalej, Caleb – poprosił Stone.

– Czwarty na liście jest światowy dzień walki z głodem, a piąta, i ostatnia, jest demonstracja przeciwko broni jądrowej.

– Mówię wam, terrorystom zależy na jakości, nie na ilości – przekonywał ich Reuben. – Dwie głowy państwa znaczą dla nich dużo więcej niż kilkudziesięciu anonimowych ludzi.

– Wątpię, żeby Rosjanie interesowali się naszą polityką podatkową – zauważył Stone od niechcienia.

– Rosjanie! – wykrzyknął Reuben. – Więc to oni za tym wszystkim stoją?

Stone zignorował jego pytanie.

– Zastanawiam się, z jakiej odległości można zdetonować ładunek zakopany w ziemi?

– ciągnął. – I skąd zamachowcy wiedzą, gdzie ma stanąć podium dla najważniejszych uczestników uroczystości? Nie ma przecież jednego, z góry ustalonego miejsca. Czasem takie podium stawia się nawet na chodniku przy samej ulicy. Gdyby tak było, bomba nie zrobiłaby nikomu krzywdy.

– Zapytałbym o to Alexa – powiedział Reuben. – Jeśli okaże się, że podium miało stanąć w pobliżu pomnika Jacksona, zdobędziemy pewność, że ktoś zdradził.

– Chyba masz rację – mruknął Stone.

– Zadzwoń do niego – odezwała się Annabelle. – I tak mamy się później spotkać.

– A ja muszę już wracać do pracy – oświadczył Caleb.

– Ja też – zawtórował mu Stone.

– A co ze mną? – poskarżył się Reuben. – Wy będziecie się świetnie bawić, a ja zgniję tu na amen!

W tej chwili salowa wniosła lunch. Postawiła tacę przed nim i zdjęła przykrywkę, odsłaniając ciemną gąbczastą masę będącą przypuszczalnie mięsem, odrobinę łykowatych warzyw, miękką bułkę i kubek wypełniony ciecżą o barwie moczu.

– Błagam, zabierzcie mnie stąd! – załkał Reuben.

– Najszybciej, jak tylko będzie można – zapewnił go Stone, wychodząc z pokoju.

– Miłego podziwiania kwiatów! – wycedził Caleb. – Następnym razem przyniosę płytę z największymi przebojami Village People, włożę obcisłe dżinsy, a szyję owinę sobie kolorowym szalem!

Annabelle pochyliła się, pocałowała Reubena w policzek i pogładziła po zmierzwionych włosach.

– Trzymaj się, wielkoludzie. I pamiętaj, jak niewiele brakowało, żebyśmy cię stracili.

Co ja bym bez ciebie poczęła?

Uśmiechnął się i odprowadził ją wzrokiem. Zaczekał jeszcze trochę, aby mieć pewność, że wyszli już ze szpitala, usiadł, sięgnął po wazon, zanurzył twarz w kwiatach i z wielką przyjemnością głęboko wciągnął powietrze.

54.

Woda spływała po ciele Mary Chapman, a para unosiła się jak mgła nad jeziorem. Ze złością uderzyła dłonią w ścianę, po raz ostatni wsunęła głowę pod silny strumień, po czym zakręciła wodę, wyszła z kabiny, wytarła się i usiadła na łóżku.

Podczas spotkania z dyrektorem Weaverem i sir Jamesem udało się omówić wszystkie istotne sprawy. To była część jej pracy. Nie powinna mieć z tym żadnego problemu. Po to ją tu przysłano. A jednak miała z tym problem. I nie wiedziała, co z nim począć.

Wysuszyła włosy, długo zastanawiała się, w co się ubrać, włożyła pantofle, złapała torebkę i pistolet, zadzwoniła, żeby podstawili jej samochód, i wyszła przed hotel. Drogi, którymi jechała do Waszyngtonu, były mocno zatłoczone. Czekał już na nią.

Uśmiechnęła się do niego. Stone miał na sobie spodnie z miękkiego materiału i białą koszulę, pasującą do koloru jego włosów i przyjemnie kontrastującą z opalenizną na twarzy.

Podwinął rękawy, odsłaniając silne przedramiona. Był tak szczupły, że wydawał się jeszcze wyższy, ale kiedy przed przyczepą Kravitz chwycił ją za ramię, poczuła jego ogromną siłę.

Mimo swego wieku nadal był człowiekiem ze stali. Przypuszczała, że pozostanie nim aż do śmierci.

Która mogła nadejść szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Kiedy ta myśl przemknęła jej przez głowę, natychmiast przestała się uśmiechać.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za ocalenie życia wtedy, w twoim domu – powiedziała. – Byłam oślepiona i ogłuszona, ty nie.

– Oboje mogliśmy zginąć. Pierwszy raz w życiu widziałem kogoś, kto tak szybko się porusza.

– W twoich ustach to wyjątkowy komplement.

Kiedy kelner prowadził ich do stolika przy oknie, na chwilę położył dłoń na jej talii.

Był starszy o ponad dwadzieścia lat, a jednak otaczał go jakiś dziwny blask, którego nie dostrzegła w żadnym innym mężczyźnie. Takich oczu też nigdy u nikogo nie widziała. Ten lekki dotyk sprawił, że poczuła się bezpieczna i odprężona, ale gdy tylko cofnął rękę, ponownie ogarnęło ją przygnębienie. Zamówiła mojito, on poprosił o piwo, po czym zagłębili się w lekturze menu.

– Miałaś udane popołudnie? – zagadnął, zerkając znad karty.

Poczuła, że rumieni się pod jego spojrzeniem.

– Powiedziałabym, że raczej nudne. Składanie raportów to nie jest to, co lubię najbardziej. A ty?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił jego telefon. Zerknął na wyświetlacz i odebrał połączenie.

– Ashburn! – wyszeptał bezgłośnie, poruszając przesadnie ustami.

Przez jakiś czas słuchał w milczeniu. W pewnej chwili zmrużył oczy i spojrzał przelotnie na siedzącą naprzeciwko niego kobietę.

– W porządku. Dzięki za informację – powiedział i rozłączył się.

– O co chodzi? – zapytała Chapman, kiedy schował telefon.

– Znaleźli tych Latynosów ze szkółki w Pensylwanii.

– Jak to „znaleźli”?

– Martwych. To była egzekucja. Ciała wrzucono do wąwozu.

Chapman pobladła i wyprostowała się gwałtownie.

– Dlaczego ich zabito?

– Jeden z nich widział ludzi zdejmujących tablicę do koszykówki. Nie powiedział o tym glinom, ale powiedział Annabelle. A teraz wszyscy trzej nie żyją.

Agentka MI6 skinęła głową.

– Tamci czyszczą teren.

– Na to wygląda. Już wcześniej zabiliby wszystkich w szkółce, razem z Grossem, kierownikiem i sekretarką, ale wiedzieli, że zaraz tam przyjedziemy.

– Skąd wiedzieli?

– Od snajpera, który zastrzelił Kravitz. Zadzwonił do nich i powiedział, że odjechaliśmy w pośpiechu. Tylko tam mogliśmy jechać.

– Racja – przyznała Chapman zawstydzona, że sama się tego nie domyśliła. – Ale wciąż nie rozumiem: widział, jak ktoś zdejmuje tablicę do koszykówki. I co z tego? Chyba nie mógłby zidentyfikować tego, kto to robił?

– A jeśli mógł?

– Co masz na myśli? Przecież nie powiedział o tym Annabelle.

– Bo nie wiedział, z kim rozmawia. A my wiemy, że w barze ktoś ich śledził.

– To prawda. Przecież pojechali za nimi.

– Może więc chciał kogoś szantażować?

– Zamiast kasy dostał parę kul. Jak sądzisz, kogo mógł widzieć?

– Na pewno nie agenta Grossa. Ani nie sekretarkę, bo to przecież kobieta.

Chapman aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Lloyd Wilder? – wykrztusiła.

– Możliwe. Zabili go i tamtych, korzystając z okazji.

– Więc jednak miał coś wspólnego z zamachem?

– Pewnie tak, choć nie wiem, jaką konkretnie rolę odegrał. Sądząc po tym, że sprzątnęli go przy pierwszej nadarzającej się okazji, nie był nikim szczególnie ważnym.

– Musimy więc pogrzebać w przeszłości Wildera. – Pokręciła głową. – To się wciąż rozrasta!

– Przeszłością Wildera zajmą się Ashburn i FBI. Podejrzewam, że znajdą sporą sumkę na jakimś zagranicznym koncju.

– A ja myślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w hollywoodzkich filmach...

– Wszystkie powinny być kręcone tu, w Waszyngtonie.

– Trochę niepokojące jest to, co mówisz.

– Rozmawiałem też z Harrym o Turkekulu.

Pojawił się kelner, żeby przyjąć zamówienie. Kiedy odszedł, Stone dodał: – Nic nadzwyczajnego.

– To chyba dobrze?

– Może tak, może nie.

– Nie rozumiem...

– Facet, który ma wytropić najbardziej poszukiwanego terrorystę na świecie, wykłada na Uniwersytecie Georgetown?

– To przecież tylko przykrywka.

Stone wciąż miał wątpliwości.

– Sir James zdaje sobie z tego sprawę. Ufasz mu, prawda? – zapytała, czując, jak kurczy się jej żołądek, a ramiona i plecy pokrywają gęsią skórką.

– Ufam tobie.

– Dlaczego?

– Po prostu ufam, i tyle.

55.

Podczas posiłku Chapman od czasu do czasu rzucała ukradkowe spojrzenia na Stone'a. Nawet jeśli to zauważył, nie dał niczego po sobie poznać. Wypiła jeszcze dwa mojito i kieliszek porto.

– Jesteś samochodem? – zapytał po zapłaceniu rachunku.

– Tak, ale może byśmy się przeszli?

– Dobry pomysł.

– Serio? – zapytała z uśmiechem.

– Serio. Sporo wypiałś. Spacer trochę cię otrzeźwi – dodał dziwnym tonem.

Szli powoli, przystając przed restauracjami pełnymi głodnych, hałaśliwych gości.

Trąbiły klaksony, wokół nich przelewało się morze ludzi.

– Jakież problemy? – zapytał.

Podniosła raptownie głowę i spojrzała na niego badawczo.

– Po prostu myślę. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie. Rzeczywiście, jest o czym myśleć.

– Weaver wciąż jeszcze nie skontaktował się z tobą?

– Wątpię, czy kiedykolwiek to zrobi. Dlatego poprosiłem Caleba, żeby zebrał trochę informacji.

– I do jakich wniosków doszedłeś na podstawie tego, co znalazł?

– Do żadnych – przyznał. – Mam tylko jeszcze więcej wątpliwości. – Umilkł na chwilę, po czym dodał: – Weaver powiedział ciekawą rzecz, zanim się ode mnie odciął.

– Jaką? – zapytała, być może odrobinę za szybko.

– Że wszystko może być zupełnie inne, niż się wydaje. Miał chyba na myśli to, że patrzymy na sprawę z niewłaściwej strony. Że gdybyśmy spojrzeli od tej, co trzeba, nagle wszystko stałoby się jasne.

– Wierzysz w to?

– Nie. Jeszcze nie.

Zatrzymała się przy straganie i kupiła czapeczkę baseballową z napisem FBI.

– To dla mojego siostrzeńca – wyjaśniła, widząc zdziwione spojrzenie Stone’a.

– Czy on wie, że pracujesz dla MI6?

– Nie. Myśli, że zajmuję się komputerami. Na pewno inaczej by na mnie spojrzał, gdyby wiedział, co naprawdę robię.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

– No dobrze, przyjrzyjmy się temu, co wiemy – odezwała się wreszcie Chapman. – Strzelanina i eksplozja ładunku wybuchowego, być może niezwiązane ze sobą. Hotel Hay-Adams służył tylko zmyleniu tropów, bo naprawdę strzelano z właśnie remontowanego budynku rządowego. Padilla przypadkowo zdetonował ładunek umieszczony w piłce do koszykówki ukrytej między korzeniami drzewa. W ten sposób dochodzimy do drzewa, a więc i do szkółki, z której je przywieziono.

– A szkółka to John Kravitz, pod którego przyczepą znaleziono elementy służące do produkcji bomb – przejął od niej pałeczkę Stone. – Zabito go, żeby nie mógł nam niczego powiedzieć. Agent Gross i pozostała dwójka zginęła z niejasnych powodów, choć istnieje podejrzenie, że Wilder mógł mieć coś wspólnego z zamachem bombowym. Na miejscu eksplozji znaleziono podejrzone elementy zidentyfikowane później jako nanoboty. Nie wiadomo, dlaczego umieszczono je w bombie. Agent Garchick został chwilowo odsunięty od dalszych działań. Dysponujemy dowodami wskazującymi na bezpośrednie zaangażowanie Rosjan: rządu albo karteli narkotykowych, albo wszystkich razem.

– Zabito też Latynosów ze szkółki. Przymuszczalnie dlatego, że za dużo widzieli, ale nie możemy wykluczyć ewentualności, że i oni mieli coś wspólnego z tą sprawą.

– Zgadza się. Wciąż nie znamy rzeczywistego celu ataku bombowego. Mamy kilka hipotez, brakuje nam jednoznacznej odpowiedzi.

Chapman zatrzymała się i spojrzała na niego.

– No to lista gotowa.

– Brakuje jednego elementu: Fauta Turkekula.

– Przecież jego rola została już wyjaśniona.

– Naprawdę?

– Przez sir Jamesa. Wiem, że mu ufasz, bez względu na to, co mówiłeś wcześniej.

– Powiedziałem, że ufam t o b i e.

Policzki Chapman lekko się zaróżowiły. Stone przyglądał się jej przez chwilę, po czym spojrzał na zegarek.

– Masz jeszcze jedną randkę? – zapytała z wymuszonym uśmiechem.

– Nie. Po prostu zastanawiam się, kiedy wreszcie mi powiesz.

– Co ci powiem?

– To, co przede mną ukrywasz.

56.

Chapman odwróciła się, odeszła kilka kroków, zatrzymała się i spojrzała na niego. Nie poruszył się. Patrzył wprost na nią.

Wróciła.

– Czego ode mnie chcesz?

– Prawdy.

– Przecież powiedziałeś, że mi ufasz?

– Ale nie bezgranicznie. Poza tym trzeba nieustannie potwierdzać, że zasługuje się na czyjeś zaufanie.

– O tym nie wspomniałeś.

– Wydawało mi się, że nie muszę.

– Stawiasz mnie w bardzo niezręcznej sytuacji.

– Wiem.

– Muszę się napić.

Stone uniósł brwi.

– Dobrze. Ale byłoby miło, gdybyś była trzeźwa.

– Powinieneś być widzieć mnie na studiach, kiedy wyruszaliśmy na obchód pubów.

Doskonale dawałam sobie radę.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

– Agentko Chapman!

Obejrzała się przez ramię.

– Czego? – prychnęła.

– Bar jest tam – powiedział, wskazując w przeciwnym kierunku.

Podążyła wzrokiem w tę stronę.

– Rzeczywiście. Dobra robota.

Minęła go i skierowała się prosto do baru. Pięć minut później miała już w sobie dwie wódki z tonikiem. Stone sącył ginger ale i obserwował ją uważnie.

– Jesteś pewna, że dasz radę dojechać do hotelu?

– W porównaniu z Londynem tutaj jeździ się jak po pustym polu.

– Nie wtedy, kiedy jesteś pijana. Brytyjska agentka aresztowana za jazdę pod wpływem alkoholu?

– Nie jestem pijana!

– W porządku. W takim razie zaczynaj.

– Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. Mam nadzieję, że to rozumiesz?

– Nie bardzo.

– To niedobrze, ale tak właśnie musi być.

Stone zsunął się ze stołka barowego.

– W takim razie powodzenia.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– Stone!

Odwrócił się i odszedł.

Idąc wielkimi krokami, mijał kolejne przecznice, czując, jak adrenalina kipi mu w żyłach. Sądził, że Chapman jest inna. Mylił się. Wciąż to samo gówno, kołatało mu się po głowie. Minął budynek Kapitolu i dopiero wtedy zorientował się, gdzie jest. Nie miał pojęcia, czy akurat tu chciał przyjść, ale przez całe życie ufał instynktowi. Mijały go grupki podejrzanie wyglądających młodych mężczyzn. Niektórzy próbowali go zaczepiać, ale wystarczyło, żeby machnął im odznaką i dyskretnie pokazał broń, żeby się wycofali.

– Niezły gnat – rzucił jeden z nich.

– Dziadku, zabiłeś już kogoś z niego? – zapytał inny z szyderczym uśmiechem.

– Nie. Ale zabiłem kogoś tym – odparł, pokazując wyprostowany palec.

Młodzi ludzie przyrzekli mu się z niedowierzaniem.

– Zabiłeś kogoś małym palcem? – powtórzył inny z szyderczym uśmiechem.

– Nie małym, tylko środkowym. Znacznie łatwiej rozerwać nim tętnicę.

Odeszli bez słowa, a Stone ruszył dalej. Po jakimś czasie zatrzymał się przed drzwiami i zastukał. Usłyszał zbliżające się

metaliczne odgłosy, drzwi otworzyły się i stanęła w nich Carmen Escalante.

– Słucham?

– Byłem tu niedawno – powiedział, pokazując odznakę.

– Tak, pamiętam. Czego pan chce?

– Sprawdzić, jak sobie pani radzi.

– To prawda – usłyszał głos za plecami.

Odwrócił się i ujrzał nieco zdyszana Chapman. Podeszła bliżej.

– Chcieliśmy sprawdzić, czy wszystko u pani w porządku.

– Możemy wejść? – zapytał, wciąż patrząc na agentkę MI6.

– Tak, proszę.

57.

Gdy tylko weszli do saloniku, zauważyli, że panuje w nim porządek. Zniknął odór rozkładającej się żywności, w kącie pojawił się duży telewizor.

– Skąd te zmiany? – zapytała Chapman, rozglądając się po pokoju.

Carmen uśmiechnęła się smutno.

– Kiedy ludzie zobaczyli w telewizji, co się stało z wujkiem Freddy, przyszli mi pomóc. Posprząтали, kupili telewizor. Są bardzo mili.

– Jacy ludzie?

– Z telewizji.

– To znaczy ze stacji telewizyjnej?

– Powiedzieli, że zbierali pieniądze dla mnie, kupili różne rzeczy i przynieśli. – Wskazała na telewizor. – Na przykład to. Wujek Freddy bardzo by się ucieszył. Lubił oglądać futbol, ale nie taki, jaki wy tu macie.

– Raczej, jaki oni tu mają – poprawiła ją Chapman. – Pewnie chodzi pani o piłkę nożną?

– Tak. Teraz przychodzą codziennie i pytają, czy coś potrzebuję. Powiedzieli, że pomogą mi też zapłacić za leczenie.

– To wspaniale – powiedziała Chapman.

– Napijcie się czegoś? Teraz mam dużo rzeczy do picia – dodała z dumą.

Odmówili grzecznie, a Stone zapytał:

– Czyli jednak zostaje pani tutaj?

Wszyscy usiedli.

– Nie wiem. Muszę się zastanowić. Jest pogrzeb wujka, muszę tam być. Przyjedzie nawet wasz prezydent i mój, z Meksyku. Nie lubię go, ale i tak pójdę. Potem zdecyduję. – Ogarnęła wzrokiem nowy dobytek. – Lubię to miejsce i swoje nowe rzeczy. Bardzo lubię. – Może więc pani zostanie?

– To możliwe, tak. – Zastanawiała się przez chwilę. – Może wrócę do szkoły. W Meksyku pracowałam w gabinecie lekarskim. Znam się na komputerach. Dobrze mówię po angielsku. Potrafię pisać na komputerze. Na pewno znajdę pracę.

– Z pewnością się pani uda – powiedział Stone.

– Tylko moja rodzina mówi, że powinnam wrócić do domu. Mówią, że mieszkam w złej okolicy.

– Sama musi pani zdecydować, co robić – stwierdziła Chapman.

– To pani życie. Poza tym może się przecież pani przeprowadzić do lepszej dzielnicy.

– I zabrać swoje nowe rzeczy? – zapytała z powątpiewaniem.

– Pomogę pani – zaofiarował się Stone.

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

– Dziwni z was agenci.

Stone zerknął na Chapman.

– Chyba tak.

Jeszcze raz obiecał jej, że wróci, po czym oboje wyszli.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytał Stone, kiedy szli ulicą.

– Szłam za tobą. To nie było łatwe w pantoflach na obcasie, możesz mi wierzyć.

Bardzo szybko chodzisz.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo miałeś rację. Chciałam ci to powiedzieć.

– A więc jednak usłyszę prawdę?

Wbiła dłonie w kieszenie.

– Riley Weaver i sir James pracują razem. – Wzięła głęboki wdech. – Boże, sama nie mogę uwierzyć, że ci o tym opowiadam! Złamałam wszystkie zasady!

– Nie przejmuj się. Większość agencji ma ich za dużo.

– Łatwo ci mówić! – prychnęła.

– Na czym polega ich współpraca? Jaki mają cel?

– O ile wiem, to nie był pomysł sir Jamesa.

– Ale ktoś go przekonał?

– Sam wspomniał, że wasz prezydent i nasz premier dobrze się dogadują, a Ameryka to obecnie jedyne supermocarstwo. Wszyscy tańczą, jak im zagra.

– Dlaczego trzymają to w tajemnicy przede mną?

– Weaver boi się ciebie. To oczywiste.

Nie dziwię mu się, jeżeli wie, co zrobiłem jego poprzednikowi, pomyślał Stone.

– A jaką rolę ty odgrywasz w tym wszystkim?

– Moim zadaniem jest zbadanie i wyjaśnienie sprawy zamachu.

– Mimo że teraz jest już jasne, że to nie wasz premier był jego celem? Czyżby MI6 miało tak mało zajęć, że przysyła jedną ze swoich najlepszych agentek tylko po to, żeby asystowała przy zwykłym kryminalnym śledztwie?

Dziewczyna milczała, ze wzrokiem wbitym w chodnik. Stone odwrócił się.

– Tym razem nie idź za mną, proszę.

Złapała go za ramię.

– Już dobrze, dobrze...

Spojrzał na nią z wyczekiwaniem.

– Kazano mi również cię obserwować.

– Amerykański rząd poprosił MI6, żeby obserwowało amerykańskiego agenta? – zapytał z niedowierzaniem.

– Świat jest bardzo skomplikowany, Oliverze. Co innego uważa się teraz za atuty.

Liczy się globalna współpraca. My wyświadczamy wam przysługi, a wy nam się rewanżujecie. Nikt się tym oczywiście nie chwali, ale wszyscy to robią.

Przechylił głowę.

– A dlaczego masz mnie obserwować? Podejrzewają, że mam coś wspólnego z tym, co się stało?

– Nie. Weaverowi chodzi o coś innego.

– Powiedział McElroyowi o co?

– Wątpię, ale sir James ma związane ręce. – Przyglądała mu się z namysłem. – Co takiego jest w twojej przeszłości, że ściągasz na siebie tyle uwagi?

- Trzydzieści lat służby, o których mógłbym opowiadać przez kolejne trzydzieści lat, tyle że nie mam na to najmniejszej ochoty.
- Gdybyś jednak powiedział mi, o co chodzi, może mogłabym ci pomóc.
- Ty? Osoba, która miała mnie szpiegować?
- Myślałam, że jesteśmy partnerami w tej sprawie...
- Owszem, ale tylko w tej sprawie, tak jak powiedziałaś. W niczym więcej.
- I kto teraz ukrywa informacje? – zapytała z przekąsem.
- Ty ukrywałaś informacje związane z tym, co jest tu i teraz. Nie pytałem cię o dawne czasy. Tego samego oczekuję od ciebie.
- Czyli na czym stoimy? – zapytała cicho.
- Na tym samym co na początku – odparł oschle Stone. – I niech tak zostanie.

58.

Pojechali taksówką do podziemnego garażu, gdzie Chapman zostawiła samochód.

– Mogę cię odwieźć do domu – zaproponowała.

– Chętnie jeszcze trochę się przejdę – odparł.

– Naprawdę przykro mi, że nie powiedziałam ci wcześniej o Weaverze, ale ja też mam swoje rozkazy...

Przysunął się do niej.

– Rób, co uważasz za stosowne.

– Ciekawa jestem, jak ty byś zachował się na moim miejscu?

– Zacznijmy od tego, że nie mam tajemnic przed ludźmi, z którymi jestem w okopach.

Muszę być lojalny przede wszystkim wobec nich. Właśnie dlatego powiedziałem ci o Faucie Turkekulu, mimo że twój szef był innego zdania.

Zarumieniła się po koniuszki uszu.

– W porządku, rozumiem. I przepraszam.

– Zobaczymy się jutro. – Spojrzał na nią uważnie. – Jesteś pewna, że możesz prowadzić?

– Bez problemu. Jak ktoś mnie opieprzy, natychmiast trzeźwieję.

Po długim spacerze Stone dotarł do pogrążonego o tej porze w ciszy kampusu Uniwersytetu Georgetown. Odszukał tablicę ogłoszeń, napisał na kartce kilka słów i przypiął ją do tablicy. W drodze powrotnej do domu zadzwonił z komórki do Harry'ego Finna.

– Cieszę się, że z Reubenem wszystko w porządku – powiedział Finn.

– Ja też. Chce jak najprędzej wyjść ze szpitala, ale myślę, że tam będzie bezpieczniejszy.

– Sądziś, że tamci spróbują jeszcze raz?

– Trzeba zachować ostrożność. – Zatrzymał się i oparł o drzewo. – A teraz opowiedz mi o Faucie.

– Jeśli rzeczywiście poluje na Bin Ladena, to niespecjalnie mu się spieszy. Wstaje, je śniadanie, prowadzi wykłady, idzie na lunch, znowu wykłady, trochę siedzi w biurze, idzie na spacer, je kolację, wraca do domu, czyta, kładzie się spać.

– Żadnych potajemnych spotkań, kontaktów?

– Nic takiego nie zauważyłem. A wzrok mam dobry.

– Wiem o tym, Harry.

– Może kazali mu siedzieć cicho, bo wiedzą, że go obserwujemy?

– Też mi to przyszło do głowy. Sam nie wiem... Wiesz co? Wracaj do domu i odpocznij.

– A Turkekul?

– Spróbuję zająć go od innej strony. Będę cię informował na bieżąco.

Stone ruszył w dalszą drogę. Przy następnej przecznicy odezwał się jego wewnętrzny alarm. Na godzinie szóstej i dziewiątej. Wyczuł ich, zanim zobaczył. Jeden z tyłu, jeden po lewej stronie. Sprawiali wrażenie kompletnie niezainteresowanych jego osobą – przynajmniej dla niedoświadczonego obserwatora. Stone już od ponad czterdziestu lat nie był niedoświadczonym obserwatorem. Zacisnął palce na rękojeści pistoletu i nieco przyspieszył kroku. Doskonale znał teren, więc w jego głowie szybko zrodził się plan.

Gdy tylko dotarł do skrzyżowania, raptownie skręcił w prawo. Na chodniku stał duży kontener na gruz, ponieważ pobliski budynek był właśnie remontowany. Stone przykucnął za nim, wydobyl broń, wychylił się ostrożnie i wycelował w idącego za nim człowieka. Była to kobieta.

– Agent Stone?! – zawołała.

Milczał, nie spuszczać jej z muszki.

– Dyrektor Weaver chciałby z panem porozmawiać.

– Nie wątpię.

– Poleciał nam pana przyprowadzić.

– Wolałbym, żeby sam tu przyszedł.

Do kobiety dołączył mężczyzna.

– Dyrektor jest bardzo zajęty.

– Ja też.

Starsza kobieta przyjrzała im się podejrzliwie zza kierownicy przejeżdżającego samochodu. Chwilowo w pobliżu nie było nikogo, ale po obu stronach ulicy zbliżali się przechodnie.

– On chce tylko porozmawiać! – powiedziała kobieta z desperacją w głosie.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– W porządku – skapitulował mężczyzna. – Gdzie?

– Zewnętrzny parking nad rzeką. O pierwszej.

– Ależ proszę pana, dyrektor...

Kobieta nerwowo zerknęła przez ramię na idących chodnikiem ludzi.

– Na pewno z przyjemnością spotka się tam ze mną o wyznaczonej porze – dokończył za nią Stone. – A teraz proszę odejść, żebym mógł schować broń.

– To niesłychane! – parsknęła kobieta.

– Całkowicie się z panią zgadzam.

– My też jesteśmy agentami federalnymi – powiedział mężczyzna. – Walczymy po tej samej stronie co pan.

– Wierzę w pierwsze stwierdzenie, co do drugiego, to nie byłbym tego pewien. Idźcie już!

Odeszli. Stone schował pistolet do kabury i ruszył w kierunku rzeki. Chciał pierwszy dotrzeć na miejsce spotkania. Musiał się odpowiednio przygotować. Nie zwalniał kroku, mimo że w żołądku czuł nieprzyjemny ciężar. Czym innym było nadstawianie karku w celu rozwiązania skomplikowanej sprawy, czym innym robienie tego w sytuacji, kiedy należało strzec się ataku od tyłu. Najwyraźniej jednak tak właśnie miały się teraz sprawy. I jakoś wcale go to nie dziwiło.

59.

Trzy samochody zatrzymały się na pustym parkingu. Była pierwsza w nocy, środek tygodnia, więc pracujący mieszkańcy Waszyngtonu już dawno zakończyli życie towarzyskie i położyli się spać. Z pierwszego i trzeciego wozu wysypali się antyterrorysty, sprawdzili najbardziej oczywiste miejsca, w których mogło czaić się niebezpieczeństwo, po czym obstawili teren. Dopiero wtedy Riley Weaver wysiadł z samochodu. W garniturze i krawacie w paski wyglądał bardziej jak ktoś, kto właśnie szykuje się do występu w telewizji, niż jak człowiek szykujący się do spotkania z byłym zabójcą na opustoszałym parkingu nad brzegiem Potomacu. Ciasno opięta marynarka świadczyła o tym, że dyrektor ma pod nią kamizelkę kuloodporną. Rozejrzał się dokoła, po czym z wahaniem zrobił kilka kroków w kierunku rzeki.

– Stone! – zawołał.

Zadzwoił telefon. Wszyscy sięgnęli po komórki, ale sygnał dobiegał z aparatu, który Stone zostawił wcześniej na okalającym parking murku. Jeden z funkcjonariuszy podał go Weaverowi.

– Halo?

– Witam, panie dyrektorze – powiedział Stone. – Czym mogę panu służyć?

W aparacie był włączony głośnik. Weaver usiłował go wyłączyć, ale nie mógł.

– Co ty wyrabiasz, do diabła? – warknął. – Nie mogę przełączyć na słuchawkę!

– Bo chcę, żeby wszyscy nas słyszeli. A więc czym mogę panu służyć?

Weaver rozglądał się nerwowo dookoła.

– Na początek możesz się pokazać.

– Po co? Zrozumiałem, że chce pan porozmawiać. Do tego wystarczy głos.

– Chciałem też, żebyś przyjechał do mnie!

- Ale ja wolałem to miejsce.
 - Dlaczego?
 - Szczerze mówiąc, nie najlepiej się u pana czuję. Nigdy nie wiem, czy wyjdę, czy mnie wyniosą.
 - O co ci chodzi? Przecież jesteś funkcjonariuszem rządowym.
 - Ale nie z pańskiej agencji.
 - Czego się właściwie boisz?
 - Ja? To pan przywiózł ze sobą antyterrorystów. To pan ma na sobie kamizelkę kuloodporną. Pytanie brzmi: czego p a n się boi?
- Weaver obrócił się błyskawicznie dookoła, mając nadzieję, że dostrzeże ukrytego w ciemności rozmówcę.
- Doskonale widzę z daleka, więc proszę nie tracić czasu, panie dyrektorze.
 - Nie podoba mi się, że ty mnie widzisz, a ja ciebie nie.
 - A mnie i owszem. Poza tym, jak powiedzieli pańscy posłańcy, przecież walczymy po tej samej stronie.
 - I dlatego za cholerę nie rozumiem, dlaczego musimy rozmawiać w taki idiotyczny sposób!
 - Zależy, czego pan chce się dowiedzieć.
 - Czy rozmawiałeś dziś wieczorem z agentką Chapman?
 - Dobrze pan wie, że tak. Gdyby było inaczej, nie przyjechałby pan.
 - Co ci powiedziała?
 - Mnóstwo rzeczy. Musi pan precyzyjniej formułować pytania.
 - Mam na myśli nasz układ.
 - Czyli między panem i nią?
 - Nie zgrywaj idioty, Stone.
 - Służył pan w piechocie morskiej, Weaver.
 - I dalej z nimi jestem. Z nimi jest się zawsze, bez względu na to, jaki mundur się nosi.
 - Na taką odpowiedź liczyłem. A na kogo liczy pan w walce?
 - Na kolegę obok.
 - Zgadza się. Czy kiedykolwiek ukrywał pan coś przed kolegami na linii frontu?
- Weaver nie odpowiedział od razu, tylko spojrzął po swoich ludziach. Wielu z nich obserwowało go uważnie.

– Teraz nie jesteśmy na polu bitwy, Stone. Dobrze o tym wiesz. Walczyłeś przecież na prawdziwych polach bitew.

– Nie widzę wielkiej różnicy.

– Wracając do sprawy: co ci powiedziała Chapman?

– Wracając do sprawy: partnerzy nie mają przed sobą tajemnic. Jeśli uważa pan inaczej, to powinien pan to wyjaśnić nie z nią, tylko ze mną.

– Może mieć z tego powodu spore problemy.

– Ale nie będzie miała.

– Skąd o tym wiesz?

– Proszę dwa razy nacisnąć przycisk trybu głośnomówiącego.

– Po co?

– Po prostu proszę to zrobić.

Weaver zastosował się do polecenia i głośnik przestał działać. Dyrektor przyłożył telefon do ucha.

– Do czego właściwie zmierzasz, Stone?

– Do nanobotów.

Weaver zeszywniał.

– A ponieważ nie dostarczył mi pan listy imprez planowanych w parku Lafayette'a, musiałem rozejrzeć się na własną rękę. Jest tam parę wydarzeń, które mogłyby zainteresować terrorystów, ale coś mi mówi, że odpowiedź znajduje się zupełnie gdzie indziej.

– Gdzie?

– Słyszał pan o przygodzie, jaka spotkała moich przyjaciół w Pensylwanii? I o egzekucji trzech Latynosów?

– Oczywiście. Przecież jestem dyrektorem NIC.

– Zadali sobie wiele trudu, żeby zmylić tropy, a sprawa i tak jest oczywista.

Szczególnie że strzały w parku oddano z budynku rządowego, do którego wstęp mają wyłącznie posiadacze specjalnie autoryzowanych kart. To pachnie zdradą przez duże Z.

– To żadna nowina. Rozpracowujemy ten wątek.

– Doskonale. W takim razie oczekuję informacji, że karta, dzięki której sprawcy dostali się do budynku, została skradziona lub sklonowana podczas pobytu właściciela w jakimś odległym zakątku świata.

- Sklonowana – wycedził Weaver przez zęby. – W Tokio.
- A właściciel zapewne pracował w Departamencie Stanu?
- Jesteś jakimś cholernym telepatą czy co?
- Wcale nie. Ci z Departamentu Stanu słyną ze swojej nieostrożności. Trzydzieści lat temu co najmniej na połowę misji wyruszałem po to, żeby naprawić coś, co spieprzyli. Jak widzę, niewiele się zmieniło.
- Domyślasz się, kto zdradził?
- Jeszcze nie. Muszę poszukać głębiej, ale byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym nie musiał co chwila sprawdzać, czy od tyłu nie skradają się pańscy ludzie.
- Teraz rozumiem, dlaczego twoi zwierzchnicy w wojsku mieli cię serdecznie dosyć.
- Nie potrafisz grać zespołowo.
- Potrafię, i to doskonale. Problemy ze mną zaczęły się wtedy, kiedy zauważyłem, że moi zwierzchnicy mówią jedno, a robią drugie. Jak widzę, to też się nie zmieniło.
- A co robisz, kiedy coś takiego się wydarzy? Eliminujesz winnego?
- Stone, który siedział w oknie budynku naprzeciwko parkingu, gdzie wszedł przez nigdy niezamykane drzwi awaryjne, patrzył z góry na dyrektora NIC. A więc to jasne, pomyślał. On wie, że zabiłem Gary’ego i Simpsona.
- Przeszłość to przeszłość.
- Nie wydaje mi się.
- W takim razie jesteś głupcem, a do tego szkodzisz krajowi, którego przysiągłeś bronić.
- Co ty wygadujesz, do cholery?! – wrzasnął rozwścieczony Weaver. – Walczyłem, przelewałem krew i zabijałem dla tego kraju!
- Ja też – odparł Stone.
- Czego właściwie chcesz?
- Żebyś przestał mi przeszkadzać. Jeśli chcesz pomóc, bardzo proszę. Jeśli nie, zejź mi z drogi.
- Kieruję całą organizacją wywiadowczą tego kraju!
- Właśnie. Więc zacznij się stosownie zachowywać, panie marine! Weaver aż drgnął, ale Stone nie dał mu dojść do słowa.

– Bardzo bym chciał, żebyśmy następnym razem spotkali się przy piwie na pogawędkę o starych czasach, bo zdrajca, którego teraz szukamy, będzie już martwy albo w pudle. Myślę, że nie miałbyś nic przeciwko temu.

Weaver uspokoił się i powoli skinął głową.

– W porządku, Stone. Będziemy to rozgrywać według twoich reguł. Przynajmniej na razie. Chyba zaczynam rozumieć, w jaki sposób udało ci się przetrwać tak długo...

– To dobrze.

– Stone...

– Tak?

– Jak ci się wydaje? Co tu się dzieje?

Stone zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Myliłeś się. Strzelanina i bomba to sprawa tych samych ludzi.

– Skąd ta pewność?

– Nie ma mowy, żebym uwierzył w tak niesamowity zbieg okoliczności.

– Po co to zrobili?

– Szykują coś wielkiego, Weaver. Na twojej wachcie. Słusznie się obawiasz.

– Jak wielkiego? – zapytał nerwowo dyrektor NIC.

– Tak wielkiego, że zapomnimy i o bombie, i o strzelaninie.

– W takim razie musimy ich powstrzymać, Stone.

– Musimy.

Minutę po odjeździe Weavera i jego świty Stone wyszedł z ukrycia. Nagle usłyszał jakiś szelest; odwrócił się gwałtownie i ujrzał Chapman, która właśnie wyłoniła się z cienia sąsiedniego budynku. Schowała broń i podeszła do niego.

– Co tu robisz, do diabła? – zapytał.

– Widziałam twoje spotkanie z tamtą dwójką, więc pomyślałam, że powinnam pójść za tobą.

– Dlaczego?

– Bo jesteś moim partnerem. Chciałam mieć pewność, że nic ci się nie stanie.

Długo patrzyli sobie w oczy.

– Jestem ci bardzo zobowiązany – odezwał się wreszcie Stone.

– Słyszałam część waszej rozmowy. Ja z kolei jestem ci zobowiązana, że kryłeś mnie przed Weaverem.

– Jesteśmy przecież partnerami, prawda?

– Odwiozę cię do domu.

Tym razem przyjął jej propozycję.

– Połóż się na łóżku, ja prześpię się w fotelu – powiedział, kiedy dojechali na miejsce.

– Słucham?

– Łóżko twoje, fotel mój.

– Przecież mogę jechać.

– Nie możesz. Po drodze mało nie przejechałaś dwóch pieszych i dosłownie otarłaś się o trzy zaparkowane samochody.

– Nic mi nie będzie.

– Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest utrata partnera z powodu aresztowania za prowadzenie po pijanemu.

– No dobrze, ale ja biorę fotel.

Wskazał na wąskie łóżko w niewielkiej wnęce, oddzielonej od reszty pokoju zawieszonym na sznurze kocem.

– Idź.

Pchnął ją lekko w tę stronę. Potulnie zdjęła pantofle i bosopoczłapała tam, gdzie jej kazał.

60.

Nazajutrz rano Chapman obudziła się, przewróciła na bok i z łoskotem spadła na podłogę.

– Niech to jasna cholera! – zakląła, masując stłuczone czoło.

Podniósłszy wzrok, zobaczyła Stone'a stojącego przed nią z dwoma kubkami kawy.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie.

Usiadła na łóżku i wzięła od niego kawę. Piła małymi łykami, krzywiąc się od czasu do czasu i przykładając rękę do czoła.

– Mój Boże, głowa mi zaraz pęknie!

– Cztery mojito, dwie wódki z tonikiem i kieliszek porto. W każdym razie tyle widziałem. To dziwne, że w ogóle masz jeszcze głowę.

– Mówiłam ci przecież, że potrafię wypić.

– Może weź prysznic, a potem zjemy śniadanie.

– Świetny pomysł. Jestem głodna jak wilk. Znam dobrą restaurację.

– Ja znam jeszcze lepszą.

– Za dziesięć minut będę gotowa.

Czterdzieści minut później byli już w centrum, stojąc w kolejce wraz z robotnikami budowlanymi do samochodu z kanapkami i kawą zaledwie kilka przecznic od Kapitolu.

Śniadanie pochłonęli, siedząc na masce samochodu Chapman.

– Ależ to dobre! – Chapman westchnęła z pełnymi ustami.

– Najlepszy jest podsmażany bekon – stwierdził Stone, kończąc drugą kanapkę. – Pewnie dlatego, że nigdy nie myją patelni.

Po skończonym posiłku wsiedli do samochodu i odjechali.

– Dokąd?

– Do parku.

– Diabelski Zaułek, co? Wreszcie zasługuje na tę nazwę.

– Ciekawe, jak się miewa dziś rano nasz znajomy dyrektor?

– Pewnie nie najlepiej, zważywszy na to, co się wydarzyło w nocy. – Zerknęła na Stone'a, nie odrywając rąk od kierownicy. – Bardzo sprytnie to rozegrałeś. Teraz Weaver nie będzie mi mógł nic zrobić za to, że powiedziałam ci o mojej drugiej misji.

– Siedzę w tym biznesie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak działa. Musiałem zepchnąć go do defensywy, ale niezbyt głębokiej, bo nie dam sobie rady bez jego pomocy.

– Ile zamierzasz mu powiedzieć?

– Dużo. Głównie dlatego, że dysponuje środkami, do których my nie mamy dostępu.

Poza tym mamy wspólny główny cel: nie dopuścić do tego, co nam grozi.

– Myślisz, że ta operacja jest jeszcze w fazie planowania?

– Zdecydowanie nie. Weszła już w fazę realizacji.

– A co z Rosjanami? To groźni przeciwnicy...

– Zgadza się.

– Miałam z nimi parę razy do czynienia. Potrafią być bardzo niemili.

Nie odpowiedział.

– Mieszkałeś w Rosji jakiś czas. Tak przynajmniej jest napisane w twoich aktach.

– To prawda.

– W okresie zimnej wojny?

– Tak.

– Jak było?

– Różnie.

– Misja zakończyła się sukcesem?

– Wróciłem żywy, więc chyba można powiedzieć, że tak.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

Po dwudziestu minutach weszli do budynku, z którego padły strzały. Stone otworzył okno.

– Czego szukamy? – zapytała Chapman. – Wiemy już, że budynek jest wystarczająco wysoki, żeby prowadzić z niego ostrzał parku.

– To nie wszystko.

– O co jeszcze chodzi?

– Gdybym wiedział, nie gapiłbym się przez okno.

Patrzył z góry na park, a potem przeniósł wzrok dalej na południe, na Biały Dom. Po zakamarkach mózgu kołatało mu się coś ważnego, ale nieuchwytnego.

Widział to, był tego pewien. W parku. Co to mogło być? Od rana wyteżał pamięć, lecz ani na krok nie zbliżył się do rozwiązania. Chapman obserwowała go oparta o framugę.

– Boli mnie głowa, kiedy widzę, jak się męczysz.

– Chodźmy. Muszę sprawdzić tablicę ogłoszeń na Uniwersytecie Georgetown.

– Interesujesz się studentkami?

– Kimś odrobinę starszym.

61.

– I co, znalazłeś coś ciekawego? – zapytała Chapman.

Stone dostrzegł świstek papieru przyczepiony kilka centymetrów od kartki, którą powiesił tam wczoraj. Szybko odczytał treść, rozszyfrowując zakodowaną wiadomość.

– Tak. Chodźmy.

Podróż nie trwała długo. Wkrótce stanęli przed drzwiami mieszkania nad pralnią.

Adelphia otworzyła i zaprosiła ich do środka. Weszli i usiedli, a Stone rozejrzał się dookoła.

– Nie miałem pojęcia, że z powrotem tu się przeprowadziłaś.

– Nie przeprowadziłam się. – Adelphia miała na sobie długą spódnicę, białą tunikę i sznur zielonych paciorków. Czarne, przyprószone siwizną włosy zebrała w węzeł na karku. – Jestem tu tylko tymczasem. Zdziwiłam się, zobaczywszy wiadomość od ciebie.

– Cieszę się, że nasz prościutki szyfr wciąż się sprawdza.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytała.

– Co słyhać u Fauta Turkekula?

– Po to przyjechałeś? Żeby zapytać o niego?

– Czy to źle?

– Wiem, że kazałeś go śledzić, a to może być dla niego bardzo niebezpieczne.

– Strzały w parku padły z budynku rządowego. Sądzisz, że to jest mniej niebezpieczne?

Adelphia odchyliła się do tyłu i spojrzała na niego z miną świadczącą o zaciekawieniu i zarazem niepokoju. Dla Stone'a było to oczywiste, ale dla kogoś obcego, jak Chapman, twarz kobiety stanowiła nieprzeniknioną maskę.

– Czy to pewne?

– Dla mnie tak.

– Dlaczego mi o tym mówisz? Nie biorę udziału w śledztwie. Ja mam się troszczyć wyłącznie o Fauta, o nic więcej.

– A jeśli te dwie sprawy są ze sobą powiązane?

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne.

– Ale czy możesz z góry odrzucić taką możliwość? – odezwała się siedząca do tej pory w milczeniu Chapman. – Powinnaś wziąć ją pod uwagę. Jeżeli tego nie zrobisz, to będzie oznaczać, że niewłaściwie wykonujesz swoją pracę!

Adelphia nawet nie zaszczyciła jej spojrzeniem.

– Nie spodziewałam się, że będziesz miał tak nerwowego partnera, Oliverze.

– Naprawdę odrzucasz tę ewentualność? – zapytał. – Nie przygotujesz się na nią?

Pochyliła się do przodu.

– Faut jest przygotowany na wszystko.

– Je, wykłada, czyta, śpi. W przerwach może i pracuje nad schwytaniem Bin Ladena, który jest dziesięć tysięcy kilometrów stąd.

– Już wam mówiłam, że operacja znajduje się we wstępnej fazie.

– Bardzo wstępnej. Mój przyjaciel obserwował go przez jakiś czas i stwierdził, że Faut w ogóle nie zajmuje się tą sprawą.

– Bo to nie zawsze jest oczywiste.

– Jest, Adelphio. Przynajmniej dla kogoś, kto zna się na rzeczy.

– Co właściwie chcesz powiedzieć?

– Że to, co usłyszałem na temat Fauta, może nie być prawdą.

– W jakim sensie?

– W takim, że być może wcale nie poluje na Osamę bin Ladena.

Adelphia wyprostowała się gwałtownie. Uwagi Stone'a nie uszedł fakt, że palce jej lewej dłoni zadrżały lekko.

– To logiczne, prawda? – ciągnął. – Żeby się mnie pozbyć, mówicie mi, że jego zadanie polega na wytropieniu najbardziej poszukiwanego terrorysty na świecie. Waga tej misji ma wyjaśniać, dlaczego nie możecie mi udzielić bliższych wyjaśnień.

– Chcesz powiedzieć, że to wszystko bajka? – zapytała Chapman z niedowierzaniem.

Stone nie spuszczał wzroku z Adelphii.

– Co ty na to?

Wstała, podeszła do okna i wyrzała.

– Nikogo tam nie ma – powiedział. – To znaczy nikogo, kto miałby jakiś związek ze mną, choć chyba nie tym akurat się martwisz, prawda?

Odwróciła się do niego.

– Nie powinieneś się do tego mieszać, Oliverze. Naprawdę. Mówię ci to jako twoja przyjaciółka.

– Już jestem w to zamieszany. – Stone także wstał. – Mam jeszcze jedno pytanie.

– Nie obiecuję, że na nie odpowiem.

– Tamtego wieczoru Turkekul wcale nie miał spotkać się z tobą. Powiesz mi, na kogo czekał w parku?

62.

Wyszli, nie otrzymawszy odpowiedzi.

– W jaki sposób się domyśliłeś, że wcale nie chodzi im o Bin Ladena? – zapytała Chapman. – I że Faut Turkekul był umówiony z kimś innym w parku?

– To były tylko podejrzenia, ale reakcja Adelphii je potwierdziła.

– Przecież nic nie powiedziała?

– No właśnie.

– Ale skąd w ogóle przyszło ci to do głowy?

– Nie zleca się takiego zadania komuś, kogo umieszcza się na uniwersytecie w Stanach, chyba że istnieją poważne poszlaki przemawiające za tym, że Bin Laden ukrywa się gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu. To po prostu nie ma sensu. Właśnie dlatego poprosiłem Harry'ego, żeby go śledził. Nie po to, żeby go chronił, tylko żeby zorientował się, co tamten robi. A raczej, czego nie robi.

– A spotkanie w parku?

– Na takie spotkanie nie można ot tak sobie nie przyjść. Porozumiewali się za pomocą komunikatów umieszczanych na tablicy w kampusie. Taksówką z uniwersytetu do parku jedzie się najwyżej pięć minut. Jeżeli Adelphii coś wypadło, mogła umieścić informację na tablicy, a Turkekul mógł ją odczytać tuż przed wyjściem. Na moją notatkę zareagowała natychmiast, co znaczy, że często tam zagląda. Nie musiał sterczeć w parku i czekać na nią.

To idiotyczne, a potencjalnie również śmiertelnie niebezpieczne.

– Skoro więc nie ona, to kto? I czy jednak doszło do spotkania?

– Nie widziałem niczego, co by o tym świadczyło.

– Jakie wysnuwasz z tego wnioski?

– Że spotkanie zostało umówione bez wiedzy jego przełożonych.

– Jeśli tak, to czemu ona go kryje?

– Bo jego przełożeni muszą liczyć się z faktem, że mimo wszystko dotyczyło interesującej ich sprawy i że mogą odnieść z tego jakieś korzyści.

– Sądzisz więc, że ktoś go wystawił?

– Nie zabili go, a mogli łatwo to zrobić, gdyby zaczęli strzelać odrobinę wcześniej.

Czyli to nie on był celem.

Chapman ścisnęła sobie skronie.

– Moja biedna głowa pęka od domysłów, ale niestety żaden z nich nie jest ani trochę prawdopodobny...

Wrócili do parku. Stone przemierzył go z północy na południe i ze wschodu na zachód, a Chapman podążała za nim to ze znudzoną, to znów zaintrygowaną miną.

– Liczysz na to, że prędzej czy później spłynie na ciebie olśnienie?

– nie wytrzymała wreszcie.

– Nie szukam olśnienia, tylko odpowiedzi. – Spojrzył na budynek, z którego najprawdopodobniej padły strzały. – Wybucho strzelanina. Wszyscy uciekają. Padilla wskakuje do dołu. Bomba wybucha.

– Bomba wybuchła przedwcześnie, a my musimy ustalić, kto miał paść jej ofiarą.

Wszystko się do tego sprowadza. Ładunek miał eksplodować wtedy, kiedy w parku będzie mnóstwo VIP-ów. Jeżeli ustalimy cel, posuwając się wstecz, trafimy do sprawców. Mam przynajmniej taką nadzieję.

Stone pokręcił głową.

– Wciąż coś nam umyka. Obraz jest nieostry. Bardzo nieostry. – Umilkł na chwilę, a następnie powiedział: – No dobrze, na chwilę odwróćmy kierunek i spróbujmy prostej eliminacji.

– Co masz na myśli?

– Skoro Turkekul nie czekał na Adelphię, to na kogo? – Stone rozejrzył się dookoła. – Nie na waszego człowieka. Nie na Padillę. Nie na mnie.

– Poczekaj chwilę! – Chapman wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. – Na tę kobietę?

Skinął głową.

– Tak. Na Marisę Friedman.

63.

- Dlaczego Friedman? – spytała Chapman, kiedy szli H Street.
- Bo była wtedy w parku. Reszta, tak jak powiedziałem, to prosta eliminacja.
- Ale przecież wytłumaczyła, dlaczego tam wtedy była. Sama zgłosiła się z wyjaśnieniami!
- Ja też bym to zrobił, gdybym miał coś do ukrycia. Jej twarz została zarejestrowana przez kamery. Byłoby podejrzane, gdyby się nie zgłosiła. W ten sposób oddaliła od siebie podejrzania, równocześnie odgrywając rolę praworządnego obywatela.
- Co prawda cudzołożącego, ale co tam... Pamiętaj, że ma biuro dwa kroki stąd. – Wskazała na budynki przy Jackson Place. – Pewnie bywa w parku codziennie.
- Schowaj rękę, na wypadek gdyby patrzyła.
- Chapman pospiesznie opuściła rękę, zawstydzona swoją nieostrożnością.
- Przepraszam.
- Przedstawiła się jako lobbystka i może nią jest, ale chyba nie tylko.
- Sądzisz więc, że to z nią umówił się Turkekul?
- Tylko ona była wtedy w parku, więc z kim innym mógł się umówić?
- Jeżeli tak, to być może powiedziała o tym sir Jamesowi i tamtym.
- W takim razie ją także kryją.
- Dlatego że uczestniczy w tajemniczej misji Turkekula?
- Skinął głową.
- A więc znalazła się w parku dlatego, że był tu także Turkekul...
- Tak. Oczywiście jeśli moja teoria jest słuszna.
- Ale czy doszło do spotkania?
- Wyszli z parku o tej samej porze. Dopóki tu byli, w żaden sposób się nie kontaktowali. Ona rozmawiała przez telefon, ale on

nie.

- Może właśnie mieli się spotkać, kiedy...
- Kiedy rozpętała się strzelanina i wybuchła bomba.
- Jak myślisz, czego mogło dotyczyć to spotkanie?
- Nie mam pojęcia, ale wątpię, czy schwytania Bin Ladena.
- Co poczniemy z twoją nową teorią?

– Jeśli spróbujemy dobrać się do Friedman i jeśli ona rzeczywiście jest pod opieką ważnych ludzi, to wpadniemy w bagno, z którego możemy się już nie wydostać.

- A więc nie zbliżamy się do niej?
- Oficjalnie na pewno nie. Są jednak inne sposoby...
- Jakie?

Stone wyjął telefon i wybrał numer.

– Annabelle? Mam dla ciebie nowe zadanie. Jeżeli masz ochotę, rzecz jasna.

*

Nazajutrz w biurze Marisy Friedman zjawili się Annabelle i Caleb. Ponieważ byli umówieni, Friedman już na nich czekała. Annabelle zadała sobie dużo trudu, by zmienić wygląd. Miała krótkie jasne włosy, mocny makijaż, europejskie ciuchy i silny, niemiecko-holenderski akcent. Caleb ubrał się na czarno i zaczesał rzednące włosy do tyłu. Na nosie miał okulary w kanciastej oprawce, a na twarzy jednodniowy zarost. Co chwila wkładał do ust i wyjmował niezapalonego papierosa; jak wyjaśnił Friedman, tylko w ten sposób był w stanie wytrwać przy postanowieniu niepalenia. Podwinęła rękaw i pokazała mu plaster nicorette na przedramieniu.

– Dobrze wiem, o czym pan mówi.

Zaprowadziła ich do obszernego gabinetu na najwyższym piętrze, z widokiem na park Lafayette'a. Zdobiące go przedmioty świadczyły o częstych zagranicznych podróżach gospodyni, jej dobrym guście oraz środkach finansowych wystarczających z nawiązką do jego zaspokajania.

- Dopiero co pozwolono nam tu wrócić – powiedziała.
- Dlaczego? – zapytała Annabelle.
- W parku wybuchła bomba. Była też strzelanina.
- Mój Boże! – wykrzyknął Caleb.

- Nie słyszeliście o tym? – zdziwiła się Friedman.
- Nie pochodzę z tego kraju, jak zapewne odgadła pani z mojego akcentu – odparła Annabelle.
- A ja chwilowo mieszkam za granicą – dorzucił Caleb.
- Słyszałam jednak, że Amerykanie uwielbiają bomby i wszelkiego rodzaju broń – dodała Annabelle, wzruszając ramionami.
- Czyli w sumie to chyba całkiem normalne?
- Na szczęście nie, dzięki Bogu. – Friedman pochyliła się w stronę gości. – Muszę przyznać, że to, co usłyszałam od państwa przez telefon, bardzo mnie zaintrygowało. Chcecie przenieść tu swój przyjazny środowisku biznes? Z Europy? Czy mogę zapytać dlaczego?
- Przecież ekologia jest teraz w Europie u szczytu popularności...
- Annabelle skrzywiła się z niesmakiem.
- Chodzi o biurokrację. Ona nas zabija. Działamy w wielu krajach, a Unia Europejska narzuca nam setki bezsensownych, często niemożliwych do spełnienia wymogów. Nasz model biznesowy jest zdrowy, technologia nowoczesna, ale co z tego, kiedy wciąż rzucają nam kłody pod nogi?
- Mam pewne doświadczenie w działalności w Stanach, choć wyjechałem stąd dawno temu – odezwał się Caleb. – Przyjaciele powtarzają mi, że jak robić interesy, to tylko tutaj. Że jesteście proekologiczni. Że biurokracja nie jest dokuczliwa. Że wiele spraw można załatwić od ręki i że rząd wspiera takie działania.
- To prawda. W jakim kraju obecnie mieszkacie?
- We Francji.
- Friedman zadała długie pytanie po francusku. Caleb odpowiedział bez wahania, dorzucając na koniec żarcik, który wywołał wybuch śmiechu. Annabelle zapytała o coś po niemiecku; Caleb odpowiedział w tym samym języku.
- Obawiam się, że niezbyt dobrze znam ten język – przyznała Friedman.
- Och, bardzo przepraszam! – Annabelle aż się zarumieniła. – To było bardzo niegrzeczne z naszej strony.
- Wy, Europejczycy, władacie tyloma językami... Przy was wydajemy się okropnie niedouczeni.

– Wasz kraj jest ogromny, nasze kraje są maleńkie – odparła Annabelle. – Znajomość języków jest dla nas nieodzowna. Ale po francusku radzi sobie pani całkiem nieźle.

– Czym właściwie mogę państwu służyć?

– Zależy nam na, jak to się mówi, na zdobyciu przyczółka w Waszyngtonie. Chcemy zbudować w Stanach fabrykę, jesteśmy też właścicielami kilku patentów i licencji, których wykorzystanie wymaga pewnej woli politycznej. Czy to właściwe określenie? – zapytała z niepokojem. – Wola polityczna?

– To się chyba nazywa lobbing – wtrącił Caleb. – I znajomości tam, gdzie trzeba.

– Naturalnie mogę się tym wszystkim zająć – zapewniła ich Friedman. – Mam liczne kontakty w kręgach rządowych i niespożyte pokłady energii. Czy mogę spytać, w jaki sposób trafiliście akurat do mnie?

Caleb zrobił zażenowaną minę.

– Obawiam się, że nie miało to nic wspólnego z pani reputacją, choć z pewnością jest ona doskonała.

– Zdecydowało położenie pani biura – powiedziała Annabelle, wskazując za okno.

Friedman podążyła wzrokiem za jej ręką.

– Biały Dom? – Uśmiechnęła się. – Interesujące rekomendacje. Choć z drugiej strony między innymi właśnie dlatego wybrałam to miejsce.

– Naturalnie zapoznaliśmy się także z listą pani klientów – dodała Annabelle. – Jest imponująca i świadczy o tym, że zajmuje się pani właśnie tym, na czym nam zależy.

Caleb pochylił się do przodu i zastukał papierosem w blat rzeźbionego biurka.

– Chętnie jednak usłyszelibyśmy co nieco o pani doświadczeniu. Nie chcemy popełnić błędu. W naszym biznesie bardzo szybko osiągniemy pułap wielomiliardowych obrotów, zależy nam więc na tym, żeby zacząć budowę od zdrowych fundamentów.

– To oczywiste.

Friedman opowiedziała im o swoim wykształceniu, karierze zawodowej i kontaktach, na koniec spotkania oświadczyła:

– Usługi, jakich potrzebujecie, oznaczają wydatek rzędu dziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie. Naturalnie mówimy o standardowym zakresie. Wszystko, co ponad to, wymaga dodatkowej opłaty. Wszystko jest precyzyjnie wytłumaczone w projekcie umowy.

– Doskonale.

– Z jakiej części Niemiec pani pochodzi?

– Urodziłam się w Berlinie, ale wychowywałam się gdzie indziej.

– Doprawdy? A gdzie, jeśli wolno spytać?

– W wielu miejscach – odparła oschle Annabelle.

– Jest kosmopolitką – zażartował Caleb. – W dodatku bardzo tajemniczą.

– To nie wada w dzisiejszych czasach, kiedy wszyscy chcą wiedzieć wszystko o wszystkich – odparła Friedman lekkim tonem.

– Skontaktujemy się z panią – powiedziała Annabelle. – *Auf Wiedersehen.*

– *Ciao* - dorzucił Caleb.

64.

Na wypadek gdyby ktoś ich śledził, Annabelle i Caleb pojechali do hotelu w północnej Wirginii. Wyszli z windy i weszli do pokoju, w którym czekali na nich Stone i Chapman. Zdali im szczegółową relację z rozmowy z Friedman.

– Myślicie, że coś podejrzewa? – zapytała Chapman.

– Jeśli jest rzeczywiście tak dobra, jak myślimy, to na pewno – odparła Annabelle, a Stone skinął głową. – Nie ulega wątpliwości, że rzeczywiście zajmuje się lobbingiem – dodała.

– O tym wiedzieliśmy już wcześniej – powiedział Stone. – Ale to nie wyklucza możliwości, że robi coś jeszcze.

– Albo że ten cały lobbing to tylko przykrywka dla działalności szpiegowskiej.

Annabelle przesunęła dłonią po swoich ufarbowanych włosach.

– Macie jakieś konkretne domysły?

– Tak jak ci już powiedzieliśmy, podejrzewamy, że uczestniczy w jakiejś operacji amerykańskiego wywiadu.

– I właśnie dlatego miałyby być w parku tamtego wieczoru? – odezwał się Caleb.

Stone skinął głową.

– Tak jest. Przyszła na spotkanie z człowiekiem, którego później śledził Harry. Tak mi się w każdym razie wydaje. To niepotwierdzona teoria.

– A tamten człowiek? Kim jest i co robi?

– Musimy to ustalić.

– Poprzez Friedman?

– Ale bez jej wiedzy. Ani trochę jej nie ufam.

– Jaki to wszystko ma związek z bombą? – zapytał Caleb.

– Nie wiem – przyznał Stone. – Równie dobrze to mógł być przypadek, że oboje znaleźli się wtedy w parku. Na czym skończyliście spotkanie?

– Że się do niej odezwiemy.

– Czego się właściwie dowiedzieliście? – zapytała Chapman. – Spisaliście się bardzo dobrze, ale czy ta rozmowa cokolwiek nam dała?

– Owszem – odparła Annabelle. Otworzyła torebkę, wyjęła rozkładane pudełeczko z twardego plastiku i pokazała im odcisk klucza w plastelinie, którą było wypełnione. – Zrobiłam to, kiedy Caleb poprosił, żeby pokazała mu obrazy w holu, a ja udałam, że idę do toalety.

– W biurze jest instalacja alarmowa – zauważył Caleb.

– Centralka znajduje się przy drzwiach. Obserwowaliśmy biuro wczoraj wieczorem.

Friedman wyszła ostatnia, około siódmej, i wprowadziła kod. Udało mi się sfilmować, jak to robi.

Chapman spojrzała na Stone'a.

– A więc włamujemy się do niej?

– My nie. Ja.

– Dlaczego?

– Ty masz bardziej oficjalną misję.

– Ty też nosisz odznakę!

– Tylko od czasu do czasu. Dla ciebie to zawód.

– Kiedy zamierzasz to zrobić? – zapytała.

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Żebym mogła zawiadomić policję.

– Po czyjej właściwie stronie jesteś, panienko? – syknęła Annabelle, przesywając ją wrogim spojrzeniem.

– Albo zabierzesz mnie ze sobą, albo zawiadomię policję – powtórzyła Chapman z uporem.

– Nie podoba mi się to – powiedział Stone ze zmarszczonymi brwiami.

– To ciekawe. Tak lubisz wygłaszać wykłady o partnerach i zawodowej lojalności...

– No dobrze – poddał się. – Idziemy razem.

– Ale... – usiłowała protestować Annabelle, lecz Stone położył jej rękę na ramieniu.

– Daj spokój, proszę.

– My się ciężko napracowaliśmy, a teraz wy będziecie się dobrze bawić! – zauważył Caleb z kwaśną miną.

Annabelle uśmiechnęła się.

– Bardzo się pan zmienił, panie bibliotekarzu! A tak przy okazji: bardzo mi się spodobał twój metroseksualny image z wizyty u Friedman.

Caleb aż pokraśniał.

– Dziękuję. Zawsze mi się wydawało, że... – Umilkł nagle i zmarszczył brwi. – Metro co?

– Powodzenia – powiedziała Annabelle do Stone'a. – Pilnuj go – rzuciła w stronę Chapman.

– Jasne.

*

Stone i Chapman szli szybko ulicą. Stone miał na sobie garnitur i niósł teczkę, Chapman była w spódniczce, pantoflach na wysokim obcasie, z szalem narzuconym na ramiona. Przez ramię przewiesiła dużą torebkę. Przeszli przez park, dotarli do Jackson Place, Stone otworzył drzwi podrobionym kluczem. Zaraz po wejściu do budynku Chapman wystukała na klawiaturze kod i popiskiwanie uzbrojonego alarmu ucichło. Stone starannie zamknął drzwi. Z zewnątrz wpadało wystarczająco dużo światła, żeby w miarę sprawnie poruszać się po pomieszczeniu, ale Chapman i tak boleśnie uderzyła się o biurko.

– Annabelle powiedziała, że biuro Friedman jest na samej górze.

Godzinę później spojrzeli na siebie i jak na komendę rozłożyli ręce. Stone przysiadł na krawędzi biurka Friedman i rozejrzał się dokoła. Przetrzęsnęli wszystkie papiery, ale należało podejrzewać, że większość dokumentów jest w formie elektronicznej. Niestety, komputer był chroniony hasłem, a żadne z tych, które wypróbowali, nie działało.

– Jakies doskonałe pomysły? – zapytała Chapman.

– Żadnych. Powinniśmy byli zabrać Harry'ego. Na pewno udałoby mu się włamać do komputera.

– Chyba powinniśmy się stąd zwijać.

Zeszli schodami. Stone dostrzegł poruszenie za oknem, jednym susem dopadł centralki alarmu, uzbroił go, po czym razem z

Chapman ukrył się w pokoju na parterze.

Kilka sekund później otworzyły się drzwi i do budynku weszła Friedman. Wyłączyła alarm, zamknęła za sobą drzwi, po czym ruszyła w górę po schodach. Stone i Chapman ostrożnie wyjrżeli z kryjówki.

– Skorzystamy z tego, że jest zajęta, i damy nogę? – szepnęła Chapman.

– Nie. Zaczekamy.

Po dwudziestu minutach usłyszeli kroki na schodach. Ukryli się ponownie, zaczęli, aż zamkną się drzwi wejściowe, Stone policzył do pięciu i wystawił głowę z pokoju.

– Droga wolna. Idziemy.

Zdołali dotrzeć do drzwi, zanim alarm w pełni się uzbroił.

– Tam! – szepnęła Chapman, kiedy byli już na zewnątrz, i wskazała w kierunku Decatur House. Friedman właśnie skręcała w przecznicę.

– Oliver? Agentka Chapman?

Odwrócili się raptownie i ujrzeli stojącego przed nimi Alexa Forda.

– Co tu robicie?

– A co pan tu robi? – odparła Chapman.

– Sprawdzam teren, jeśli to panią interesuje – odparł Ford, po czym spojrzał na Stone'a. – Oliver?

– Przykro mi, Alex, ale nie mamy czasu. Wyjaśnię ci innym razem.

Chwycił Chapman za ramię i popędził z nią za oddalającą się Friedman. Alex Ford został z otwartymi ustami.

– Wsiada do taksówki! – syknęła Chapman niespełna minutę później.

– Nie szkodzi.

Stone zatrzymał mijającą ich właśnie taksówkę. Wsiedli, Stone pokazał kierowcy odznakę i kazał jechać za tamtym samochodem. Taksówka wioząca Friedman kierowała się cały czas na zachód.

– Znajoma okolica – zauważył Stone.

– To znaczy?

– Uniwersytet Jerzego Waszyngtona. Mogłaby przyjść pieszo, jest ładny wieczór.

– Wiesz, dokąd jedzie?

– Wydaje mi się, że tak.

– To może łaskawie podzieliłbyś się tą wiedzą?

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku, Friedman wysiadła.

– Idzie spotkać się z Fautem Turkekulem – powiedział Stone.

– Skąd wiesz?

– Bo to ten sam budynek, w którym ja się z nim spotkałem.

– W takim razie chodźmy sprawdzić, co knują.

W tej samej chwili przed ich taksówką z piskiem opon zatrzymał się czarny SUV, taki sam pojawił się z tyłu. Zanim zdążyli zareagować, byli otoczeni przez uzbrojonych mężczyzn.

Wyciągnięto ich z taksówki i wsadzono do jednego z SUV-ów, który ruszył gwałtownie, zanim zatrzasnęły się drzwi. Stone obejrzał się i zobaczył Marisę Friedman. Stała na chodniku i patrzyła za nimi. Doskonale odegrała swoją rolę, ale na jej twarzy nie było triumfalnego uśmiechu, tylko coś w rodzaju smutku.

Dwadzieścia minut później wprowadzono ich do jakiegoś budynku. Sprawiał wrażenie opustoszałego. Weszli po schodach, minęli jedne drzwi, drugie... Posadzono ich w fotelach i uzbrojeni ludzie wyszli, zamykając za sobą drzwi. Włączyło się światło. Nie byli sami. Przed nimi siedziały trzy osoby: Adelfia ze złączonymi na kolanach dłońmi, mocno podirytowany Riley Weaver i zaintrygowany sir James McElroy.

65.

– No i co mamy z wami zrobić, do jasnej cholery? – powitał ich Weaver. – Ciągłe wracacie jak bumerang!

McElroy oparł łokcie na blacie stolika i złożył dłonie w piramidkę.

– Dlaczego zainteresowaliście się Marisą Friedman?

– Praktycznie rzecz biorąc, tylko ona została.

– I domyśliliście się, dokąd jechała?

– Zobaczyć się z Fautem Turkekulem.

McElroy zerknął najpierw na Weavera, a potem na Adelphię.

– To dlatego nie chciałeś odpowiadać na moje pytania, kiedy odkryłem wasze powiązania? – zwrócił się Stone do McElroya.

– Chcesz wiedzieć, czy coś przed tobą ukryłem? Owszem. Dość późno przystąpiłem do tej rozgrywki i w miarę upływu czasu sprawy coraz bardziej się komplikowały. Nie ulega wątpliwości, że to najtrudniejsza partia w mojej karierze. Naprawdę. Mogę tylko mieć nadzieję, że sprostam wyzwaniu.

Stone spojrzał na Weavera.

– A ty sprostasz?

Weaver się zaczerwienił.

– Robimy, co w naszej mocy, w wyjątkowo niesprzyjających okolicznościach. Jeden fałszywy krok i nie będzie nawet czego zbierać. Dzisiaj prawie udało wam się do tego doprowadzić.

– Jak nas namierzyliście? – odezwała się Chapman.

– Bardzo prosto. Śledziliśmy Friedman i zobaczyliśmy, że wy też ją śledzicie.

– Śledzicie własnych agentów? – zdziwił się Stone.

– Ją tak, bo jest niezwykle cenna, a my troszczymy się o naszych ludzi.

– Patrzyła na nas, kiedy nas zgarnialiście. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

– Gdy tylko was zauważyliśmy, zadzwoniliśmy do niej i wszystko jej wyjaśniliśmy.

– A więc wcześniej o niczym nie wiedziała?

– Co cię to obchodzi? – warknął Weaver.

– Na czym więc naprawdę polega układ z Fautem Turkekulem? – zapytała Chapman. – Wcale nie poluje na Bin Ladena, prawda?

– Od jak dawna podejrzewacie go o zdradę? – dorzucił Stone.

Weaver aż drgnął ze zdziwienia, ale McElroy tylko powoli skinął głową.

– Przypuszczałem, że prędzej czy później się tego dowiesz.

– Niestety udało mi się później. Za późno.

– Przyszedł do nas, obiecując złote góry – powiedział McElroy. – Tak wielkie, że od razu przydzieliliśmy do niego jednego z naszych najlepszych ludzi, czyli Adelphię. Dopiero później trafił pod skrzydła Friedman.

Adelphia skinęła głową.

– Między innymi dlatego musiałam zniknąć, Oliverze. Żeby pracować z Fautem.

– Nad czym konkretnie? – zapytała Chapman.

Weaver roześmiał się niewesoło.

– Zarzucił nas łakociami. Po pierwsze, może nas doprowadzić do Bin Ladena. Po drugie, może nam pomóc wytropić szpiega w naszych szeregach.

– Okazało się jednak, że to on jest tym szpiegiem?

McElroy skinął głową.

– Albo kimś w rodzaju konia trojańskiego. Zjawił się w przebraniu i zaraził nas wirusem.

– Jakim wirusem? – zdumiał się Stone.

– Otworzyliśmy przed nim drzwi i razem z nim wpuściliśmy inne, nieznanne elementy – przyznał Weaver ponurym tonem.

– Istnieje tylko jedna szansa na ratunek – dodał McElroy. – Musi myśleć, że wciąż mu ufamy, a może wtedy doprowadzi nas do swoich mocodawców. To niezbyt bezpieczny dla nas sposób, ale nie mamy wielkiego wyboru.

– Czy dlatego właściwie nic nie robił?

Tym razem to Weaver skinął głową.

– Zgadza się. Nie spieszył się. Chciał znaleźć się w Waszyngtonie, zacząć przygotowania, zbudować sieć kontaktów. Potem, nim zorientowalibyśmy się, co się dzieje, rozpętałoby się piekło.

– Wydarzenia w parku to jego sprawka? – zapytała Chapman.

– Bez wątplenia – odparł Weaver. – Przypuszczamy, że to zaledwie przygrywka do czegoś znacznie poważniejszego.

– A Friedman? – wtrącił się Stone. – Na czym polega jej rola?

– Należy do grona naszych najgłębiej zakonspirowanych agentów. Oficjalnie uchodzi za lobbystkę z mnóstwem zagranicznych klientów. Część z nich została podstawiona przez nasz rząd i rządy naszych sojuszników. Dzięki temu może swobodnie podróżować po całym świecie. Doskonale włada kilkoma bliskowschodnimi językami. Spędziła w tamtym rejonie świata wiele lat, najpierw jako agentka CIA, później pracując dla NIC. Ma doskonałe kontakty w regionie. Jej wybór był całkowicie logiczny, ponieważ stanowiła doskonałe uzupełnienie dla Adelphii.

– A jak uprawdopodobniliście jej kontakty z Turkekulem, bądź co bądź nauczycielem akademickim?

– W bardzo prosty sposób. Friedman jest bliskowschodnim przedstawicielem wielu organizacji, które mają dość ściśle związki z Turkekulem. Oficjalnie pracują nad inicjatywami mającymi na celu wzmocnienie więzi handlowych między Pakistanem i Stanami Zjednoczonymi.

– Do kogo dzwoniła wtedy w parku?

– Do innego agenta, który zapewniał jej alibi, kiedy węszyło wokół niej FBI.

– Kiedy zaczęliście podejrzewać Turkekula? – zapytała Chapman.

McElroy odruchowo poprawił krawat.

– Dużo za późno, ma się rozumieć. Był niezły. Pierwsza zwęszyła coś Friedman.

Poszliśmy tropem, który nam wskazała, i znaleźliśmy potwierdzenie jej podejrzeń. Muszę dodać, że wyjątkowo dużo przy tym ryzykowała.

– Ale nadal twierdzicie, że on nie ma o niczym pojęcia? – zapytał Stone.

– Tacy jak on zawsze coś podejrzewają, ale nie daliśmy mu żadnych konkretnych powodów. Wręcz przeciwnie. Kryliśmy go już przy kilku okazjach, o czym zresztą doskonale wiecie.

– Jak sądzicie, na czym polega jego plan?

– Cholernie niepokoją mnie te nanoboty w bombie – powiedział ponuro Weaver. – Ciebie też powinno to martwić. Wiem, że rozmawiałeś z prezydentem w Camp David. Czy właśnie o tym?

– Między innymi. Prezydent wyjaśnił mi, na czym polega zagrożenie, ale nie wdawał się w szczegóły. Czy nanotechnologia może zwiększyć siłę rażenia bomby?

– Nie, to wciąż tradycyjny ładunek wybuchowy – odparł McElroy. – Podejrzewamy, że to raczej niezwykle skuteczny sposób przenoszenia i rozprzestrzeniania broni biologicznej i chemicznej.

– Jak właściwie te nanoboty to robią? – zapytała Chapman. – Tylko pamiętajcie, że nigdy nie byłam mocna z nauk ścisłych...

McElroy skinął głową w stronę Weavera.

– Mój kolega wyjaśni to znacznie lepiej ode mnie.

Weaver odchrząknął.

– Nanoboty to kolejny etap rozwoju nanorobotyki. Działają na poziomie molekularnym i mają wiele potencjalnych pożytecznych zastosowań, takich jak na przykład dostarczanie leków w te rejony ciała, gdzie są one naprawdę potrzebne. Uważa się, że kiedyś nanoboty będą mogły leczyć pacjentów chorych na raka, atakując i niszcząc wyłącznie komórki rakowe. Możliwości są doprawdy nieograniczone.

– A co z tym rozprzestrzenianiem broni biologicznej? – wtrącił się Stone. – Przecież terroryści już teraz mogą napełnić bombę zarazkami wąglika. Po co im ta cała nanotechnologia?

– Na poziomie molekularnym wszystko jest możliwe, Stone – odparł Weaver z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Można budować coś atom po atomie, tworząc całkowicie nowe konfiguracje.

– Całkowicie nowe, czyli odmienne od tych, które już potrafimy wykrywać?

– Doskonale, Oliverze – pochwalił go McElroy. – Dotknąłeś sedna sprawy: wykrywanie. Jeśli stworzą coś, czego my nie zdołamy wykryć, zyskają nad nami ogromną przewagę. Nie do pokonania.

– Oni? Masz na myśli Rosjan?

– A czemu nie Chińczyków? – odezwała się Chapman. – Mają najwięcej pieniędzy, a i z poziomem nauki nie jest u nich najgorzej.

– Pistolet maszynowy Kasztan – przypomniał jej Stone. – I dziwny język. Poszlaki wskazują na Rosję.

– Mamy podstawy przypuszczać, że Chińczycy nie są w to w żaden sposób zamieszani – oświadczył McElroy. – Przede wszystkim dlatego, że nie muszą uciekać się do takich środków po to, by zyskać status supermocarstwa. Pod względem ekonomicznym już nim są.

W dzisiejszych czasach o twojej sile stanowi nie tyle liczebność armii, ile raczej stan konta w banku. Chińskie portfele pękają w szwach. Rosjanom daleko do nich.

– Wydarzenia w parku miały być czymś w rodzaju testu? – zapytała Chapman.

– Tak przypuszczamy. Nanoboty znajdowaliśmy dosłownie wszędzie. Niczego nie przenosiły, jesteśmy tego pewni. Przynajmniej te, które trafiły w nasze ręce. Gdyby było inaczej, skutki byłyby opłakane.

– Czyli, jeśli dobrze rozumiem, nanoboty są narzędziami, dzięki którym można zbudować zupełnie nową broń biologiczną albo chemiczną, poczynając od poziomu cząsteczek? – powiedziała powoli Chapman. – A potem załadować je do bomby i zdetonować?

– Zgadza się – potwierdził McElroy. – Jeśli ktoś zrobiłby to jak należy, konwencjonalne metody obrony i detekcji na nic by się nie przydały. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak wierzyć, że Faut wreszcie popełni błąd i doprowadzi nas do tych, dla których pracuje. I to wkrótce. Jego aresztowanie nic by nam nie dało. Potrzebujemy tamtych, a tylko on może nam ich wskazać.

– Powiedzieliśmy Friedman, żeby go trochę przycisnęła. Właśnie dlatego miała się z nim dziś spotkać. Niewiele brakowało, żebyście to uniemożliwili.

Stone zignorował przytyk.

– W jaki sposób Turkekul sprzymierzył się z Rosjanami?

– Czy podczas waszej rozmowy wspomniał o tym, że przez jakiś czas mieszkał w Afganistanie? – zapytał McElroy.

– Owszem.

- Najciekawsze jest to, kiedy to było.
- Niech zgadnę: przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych? Kiedy Rosjanie walczyli z mudżahedinami?
- Tak jest. Oczywiście nie wątpię, że pozornie Faut był po stronie mudżahedinów.
- Choć tak naprawdę chodził na smyczy Rosjan... – mruknął Stone.
- Mądrzy jesteście teraz, po szkodzie – powiedział Weaver z goryczą. – Kiedy się do nas zgłosił, uwierzyliśmy we wszystko. Gdybyśmy wtedy wiedzieli o jego konszachtach z Moskwą, gnąłby już w więzieniu. Niestety, nie wiedzieliśmy.
- Z tego wynika, że niespecjalnie was zdziwiło znalezienie w Pensylwanii rosyjskiego pistoletu maszynowego – rzekł Stone.
- Ani trochę. Po prostu uzyskaliśmy kolejne potwierdzenie słuszności naszych podejrzeń.
- Nie rozumiem, dlaczego urządzili sobie test akurat w parku Lafayette’a – powiedziała Chapman. – Przecież musieli wiedzieć, że dokładnie zanalizujemy szczątki i trafimy na nanoboty!
- To chyba świadczy o wielkim zaufaniu, jakie mają do swoich możliwości technicznych – odparł Weaver. – Aroganccy dranie! Zimna wojna nigdy tak naprawdę się nie skończyła.
- Być może w ten sposób popełnili błąd – odezwał się McElroy. – Teraz wiemy już, co się święci.
- Uważacie, że Turkekul był w parku po to, by zdalnie zdetonować ładunek?
- Umówił się na spotkanie z Friedman. Dlatego wyszli prawie równocześnie – wyjaśnił McElroy.
- Wielka szkoda, że nie wiedziałem o tym wcześniej – mruknął Stone.
- To delikatna operacja, Stone – warknął Weaver.
- Wiesz co? Mam już dosyć tego tłumaczenia, dlaczego kazaliście nam błądzić po omacku! – zripostował Stone.
- Wracając do twojego pytania – wtrącił się McElroy. – Tak, przypuszczamy, że to Turkekul zdetonował ładunek. Spotkanie z Friedman doskonale tłumaczyło jego obecność w parku. Była zaskoczona, że nie podszedł, kiedy czekała na niego na ławce.

– Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebujemy, jest to, żebyście wszystko spieprzyli! – wycedził Weaver, przeszywając Stone’a i Chapman wściekłym spojrzeniem.

– Gdybyście nas uprzedzili, na pewno trzymalibyśmy się z daleka – odparł Stone.

– Nie było potrzeby wprowadzać was w szczegóły, aż do teraz. I możecie być pewni, że nie jestem tym zachwycony. Od tej pory trzymajcie się z daleka. Dotarło to do was?

McElroy oparł się ciężko na stoliku i wstał z fotela.

– Jestem pewien, że dotarło, dyrektorze.

– Jeszcze jedno pytanie – odezwał się Stone. Tamci spojrzeli na niego nieufnie. – Prezydent wie o nanobotach, ale czy wie też o tym, że uważacie Turkekula za zdrajcę?

McElroy i Weaver wymienili szybkie spojrzenia.

– A może trzymacie to przed nim w tajemnicy, bo głupio wam, że tak późno się zorientowaliście? – ciągnął Stone, patrząc wprost na Weavera. – Bo się boicie, że możecie dostać za to po tyłku?

Dyrektor NIC oblał się rumieńcem.

– Na twoim miejscu zachowałbym tę absurdalną opinię dla siebie. Od początku nie mogłem zrozumieć, dlaczego w ogóle powierzono ci tę sprawę. Od trzydziestu lat nie uczestniczysz w działaniach operacyjnych, i to niestety rzuca się w oczy. Powtarzam jeszcze raz: rozkazuję ci trzymać się z daleka od Fauta Turkekula. Czy to jasne?

– Jak już wspomniałem, dyrektorze, agent Stone z pewnością zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji – powiedział McElroy, po czym dyskretnie mrugnął do Stone’a.

Odwieziono ich do samochodu Chapman. Wioząc Stone’a do domu, powiedziała: – Teraz przynajmniej wszystko wiemy. Rosjanie znowu wyruszyli na łowy. A niech to!

– Ale po co ta strzelanina? – mruknął Stone.

– Słucham?

Olśnienie spłynęło na niego tak nagle, że aż zamknął oczy. Przecież to takie oczywiste! Jak mógł tak długo nie zwracać na to uwagi?

– Namioty.

– Namioty? O czym ty mówisz, do diabła? Wybierasz się na wycieczkę?

– Białe namioty. Wszystkie po jednej stronie.
Ale dlaczego?

66.

Nazajutrz rano, po rozmowie telefonicznej, Stone i Chapman spotkali się z agentką Ashburn w ruchomym centrum dowodzenia FBI. Kobieta była wyraźnie podekscytowana.

– Chyba już wiemy, w jaki sposób uśmiercono drzewo – oświadczyła, nalewając im kawy z termosu.

Usiedli z kubkami w rękach i wpatrzyli się w ekran.

– Co to jest? – zapytał Stone.

Wstrzymała odtwarzanie.

– Nagranie z monitoringu. Zostało zarejestrowane trzy tygodnie przed zamachem.

– Dopiero teraz je znaleźliście? – zdziwiła się Chapman.

– Mieliśmy mnóstwo materiału do przejrzenia – odparła lekko zmieszana Ashburn.

Ponownie włączyła odtwarzanie. Obraz był ostry i wyraźny. W pewnej chwili w kadrze pojawiła się kobieta. Była ubrana w łańchmany, twarz i ręce miała pokryte grubą warstwą brudu, skołtunione, pozlepiane włosy sięgały poniżej nasady karku.

– Bezdomna – stwierdziła Chapman.

– Przynajmniej pozornie – odparła Ashburn. – Patrzcie uważnie.

Kobieta szła przez park, powłócząc nogami. Dwaj umundurowani funkcjonariusze Secret Service skierowali się w jej stronę. Park Lafayette'a jest ogólnie dostępny i teoretycznie ma tam prawo przebywać każdy, kto zechce, ale bliskość Białego Domu oraz fakt, że jest odwiedzany przez tłumy turystów, sprawiły, iż podjęto kroki, żeby był wyjątkowo bezpieczny i dobrze się prezentował. Dlatego Secret Service często usuwała stamtąd włóczęgów i bezdomnych, czyniąc to jednak dyskretnie i humanitarnie; Stone widział parę razy, jak funkcjonariusze kupują biedakom kawę i jedzenie.

Jednak kobieta widoczna na ekranie najwyraźniej nie życzyła sobie żadnych oznak współczucia. Przyspieszyła kroku, lekko

powłócząc lewą nogą. Dopiero teraz Stone dostrzegł dużą plastikową butelkę w jej dłoni. Kobieta dotarła do klonu i osunęła się na ziemię.

Ashburn ponownie wcisnęła pauzę.

– Widzicie?

Laserowym wskaźnikiem pokazała butelkę. Była odkręcona, a jej zawartość wylewała się na ziemię przy pniu drzewa. Zanim umundurowani funkcjonariusze dotarli do kobiety, pomogli jej wstać i wyprowadzili z parku, butelka była już pusta.

– Czy ci funkcjonariusze poczuli może jakiś dziwny zapach? – zapytał Stone.

Ashburn pokręciła głową.

– Przepytaliśmy ich wczoraj. Pamiętają tę kobietę, ale... hm... zapach, jaki roztaczała, był wystarczająco silny, żeby nie poczuli nic więcej. Byli przekonani, że w butelce znajdowała się zwykła woda. Kiedy kilka dni później drzewo uschło, nikt nie połączył tych wydarzeń. Dotarliśmy jednak do próbek gruntu spod drzewa i fragmentów jego kory, pobranych przez Straż Parkową. Wykryliśmy ślady trucizny uniemożliwiającej pobieranie z gleby wody i środków odżywczych. To drzewo nie miało żadnych szans.

Stone spojrział na nią z uznaniem.

– Dobra robota, agentko Ashburn. Mamy wyjaśnioną kolejną tajemnicę.

– Ale zostało ich jeszcze mnóstwo – odparła zrezygnowanym tonem.

Zostawili Ashburn w przyczepie i wrócili do parku.

– Spójrz, szykują się do posadzenia kolejnego drzewa – powiedziała Chapman.

Istotnie. Wokół krateru po wybuchu kręciło się kilku ludzi w kombinezonach Straży Parkowej.

– Miejmy nadzieję, że przywiozą je z innej szkółki – mruknął Stone. – I najpierw uważnie je obejrzą.

Zespołem zajmującym się przygotowywaniem dołu pod przyjęcie nowego drzewa kierował George Sykes.

– Rozumiem, że ATF skończyło już tu grzebać? – mruknęła Chapman.

– Na to wygląda.

– Powiesz mi, co cię tak olśniło wczoraj wieczorem? Wiesz, z tymi namiotami?

– I tak bym tu przyjechał, nawet gdyby Ashburn nas nie wezwwała. – Wskazał na północ, w kierunku budynku, z którego padły strzały. – Oceń linię strzału.

– Już to zrobiłam.

– Pamiętasz, co oznaczały namiociki w parku?

– Pomarańczowe – szczątki, a białe – pociski.

– Pamiętasz też, jak były rozstawione?

Chapman potoczyła wzrokiem dokoła.

– Pomarańczowe były wszędzie, czemu trudno się dziwić po wybuchu bomby.

– A białe?

Zawahala się.

– Jeśli dobrze pamiętam, chyba tylko w zachodniej części parku...

– Zgadza się.

Spojrzała na budynek biurowy, a potem znowu się rozejrzała.

– Ale przecież sam powiedziałeś, że właśnie dlatego zainteresowałeś się tym budynkiem...

– Co było pierwsze: jajko czy kura? Zabrałem się do sprawy od niewłaściwej strony.

– To znaczy?

– Uznałem, że wybrali ten budynek, ponieważ jest wyższy od hotelu i roztacza się z niego lepszy widok, dzięki czemu nie musieliby strzelać na oślep. Myślałem jak snajper, i to był błąd.

Chapman szybko zorientowała się, do czego zmierza.

– Chodzi o to, że skoro nie strzelali do konkretnego celu, na przykład do premiera, to wcale im nie przeszkadzało, że strzelają na oślep?

– Zgadza się. Mogli walić przez korony drzew. Wyższy budynek mógł im się jednak przydać jako punkt obserwacyjny. Była noc, a w ciemności widzi się trochę inaczej. Gdyby korzystali z noktowizorów, mogliby łatwo zostać wypatrzeni przez innych ludzi z noktowizorami, a tych tu nie brakuje, biorąc pod uwagę, jak pilnie strzeżony jest ten teren.

– Co to oznacza?

– Że strzelcy z premedytacją ograniczyli się do zachodniej części parku.

– Ty tam byłeś. I nasz człowiek.

– Owszem. Pociski świstały mi koło uszu, ale wątpię, czy zależało im na tym, żeby mnie trafić.

– Dlaczego więc ostrzelali tylko tę część parku? – zastanawiała się głośno Chapman.

Stone już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale go powstrzymała.

– Nie patrz tam, ale jeden z ludzi pracujących przy dole pod drzewo gapi się na nas z bardzo dziwną miną.

– Który?

– To młoda kobieta. Zaczekaj, spróbuję czegoś...

– Czego?

– Po prostu zaczekaj, dobrze?

Stone udawał, że pilnie przygląda się kępce trawy. Po dwóch minutach Chapman znowu znalazła się przy nim.

– W porządku. Za pięć minut wejdziemy do tamtego kościoła.

– Po co?

– Żeby porozmawiać z tą młodą damą.

– Jak to zrobiłaś?

– Dzięki umiejętnościom i cechom niedostępnym większości mężczyzn.

67.

Pięć minut później byli już w kościele św. Jana i podziwiali wyściełane klęczniki w ławce prezydenckiej.

– James Madison... John Quincy Adams... – odczytywała Chapman napisy na mosiężnych tabliczkach. – Imponujący zestaw.

– Myślę, że twoi rodacy w tamtych czasach nie podzielali tej opinii – odparł Stone. – Nazywali ich rewolucjonistami i terrorystami.

– Cóż, jak widać, po dwustu latach nawet największe nieporozumienia idą w niepamięć.

Do świątyni weszła młoda kobieta w zielonym roboczym kombinezonie. Zdjęła czapkę, dostrzegła ich z daleka i podeszła.

– Zauważyłam, że próbowała pani nawiązać z nami kontakt wzrokowy – powiedziała Chapman. – Dziękuję, że zechciała pani się z nami spotkać.

– Naprawdę nie wiem, czy to ważne. Mamy teraz przerwę, ale i tak muszę się spieszyć.

– Jak się pani nazywa?

– Judy Donohue.

– W takim razie o co chodzi, panno Donohue? – zapytał Stone.

– O coś, co zostało powiedziane, kiedy rozmawialiście z panem Sykesem.

– Skąd pani wie, że z nim rozmawialiśmy? Był wtedy sam.

Donohue nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Widząc to, Stone postanowił zmienić temat.

– Od jak dawna pracuje pani w Straży Parkowej?

– Od dziesięciu lat. I bardzo to lubię.

– Skąd pani pochodzi?

Uśmiechnęła się.

– Z bardzo daleka. Urodziłam się w samym sercu Montany. Zawsze byłam trochę dzikim człowiekiem. – Pokazała im dłoń z wytatuowanym ptakiem. – To *Stumella neglecta*, czyli wojak

żółtogardły. Symbol Montany. Zrobiłam sobie ten tatuaż w wieku szesnastu lat.

Moje przyjaciółki tatuowały sobie serca i imiona facetów, ale ja wolałam dzikiego ptaka.

– Wracając do tego, co powiedział pan Sykes: domyślam się, że była pani gdzieś blisko?

Donohue opuściła wzrok.

– Nie miałam zamiaru podsłuchiwać! – zapewniła pospiesznie. – Po prostu pracowałam w pobliżu i...

– I przypadkowo usłyszała pani rozmowę – dokończyła za nią Chapman. – Nie ma w tym nic złego.

– A co takiego niepokojącego pani usłyszała? – zapytał Stone.

– Pan Sykes powiedział, że drzewo było badane i że szykowaliśmy specjalną mieszankę ziemi i nawozów do wypełnienia dołu...

– Czy to nieprawda?

– Ależ skąd! Zawsze tak postępujemy.

– Na czym więc polega problem?

– Wiem, że nie potrafię tego jasno wyrazić, ale na co dzień pracuję rękami, nie głową...

– Spokojnie, Judy – powiedziała Chapman uspokajającym tonem.

– Nie musisz się spieszyć.

– No więc specjalista zbadał drzewo dwa razy: gdy tylko przyjechało na miejsce i zaraz po tym, jak dźwig umieścił je w dole. Mieszanka ziemi i nawozów też była już przygotowana.

– Czyli nie było żadnego powodu, żeby nie zasypać dołu? – domyślił się Stone.

– Właśnie. Pamiętam, jak ogradzałam dziurę tyczkami z taśmą i myślałam, że to bez sensu. A gdyby ktoś tam wpadł?

– Tak się właśnie stało – powiedziała Chapman.

– No więc moim zdaniem to było głupie, i tyle.

– Czy Sykes wyjaśnił wam, dlaczego od razu nie zasypujecie dołu?

– Nie. Nie musiał się tłumaczyć, jest tutaj szefem.

– Czy byliście tu wszyscy, kiedy agent Gross rozmawiał z Sykesem?

- Początkowo tak, potem zabrał go na bok.
 - Domyślam się, że sprawa niezasypanej dziury nie została poruszona przy wszystkich?
 - Ten agent zapytał o to, ale wtedy pan Sykes powiedział, że musi wracać do pracy i na resztę pytań odpowie później.
 - Czy pani koledzy też się dziwili, dlaczego nie kazano wam od razu zasypać dołu?
 - To świetni ludzie, ale przede wszystkim wykonują polecenia i specjalnie się nad nimi nie zastanawiają. Ja chyba jestem trochę inna pod tym względem. Dlatego wydawało mi się, że powinnam wam o tym powiedzieć.
 - Bardzo dobrze postąpiłaś, Judy – pochwaliła ją Chapman.
 - Muszę już wracać.
 - Jasne. Bardzo nam pomogłaś, ale raczej nie mów o tym nikomu, dobrze?
- Donohue skinęła głową.
- Czy pan Sykes zrobił coś niedobrego? – zapytała nerwowo.
 - Na pewno się o tym przekonamy.

68.

Wyszli z kościoła i skierowali się z powrotem do parku.

– A więc George Sykes dołączył do grona podejrzanych – stwierdziła Chapman. – Boże, czy jest ktoś, kto nie ma nic wspólnego z tą sprawą?

– Spisek zwykle polega właśnie na tym, że uczestniczy w nim więcej osób – zwrócił jej uwagę Stone.

– Oliver!

Odwrócili się i ujrzeli Alexa Forda zmierzającego ku nim wielkimi krokami.

– Ja będę mówił! – szepnął Stone do Chapman, a głośniej powiedział: – Witaj, Alex.

– Może łaskawie uchylicie przede mną choć rąbka tajemnicy? – zapytał agent z przekąsem.

– Wybacz, Alex. Wiem, że jestem cholernie tajemniczy, ale to dlatego, że nie wydaje mi się, by było rozsądnie wtajemniczać cię we wszystkie szczegóły.

– A więc tak? Nie zasługuję na pełne członkostwo w Klubie Wielbłądów?

– Nie o to chodzi. Po prostu zostałem zaprzysiężony, otrzymałem oficjalne zadanie i odznakę, i...

– Jakoś nie przeszkodziło ci to wszystko w zaangażowaniu do pomocy Annabelle, Harry'ego i Reubena. Żadne z nich nie nosi odznaki, ja za to owszem.

– Posłuchaj, wiem, że to nie jest proste, ale...

– Och, to jest bardzo proste! Odstawiłeś mnie na boczny tor, i tyle. A ja myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, i że przede wszystkim to właśnie się liczy!

Stone otworzył już usta, by odpowiedzieć, ale zamknął je, spojrzał na Chapman, a potem na Alexa.

– Masz rację, Alex.

To proste stwierdzenie sprawiło, że z agenta Secret Service opadła cała złość.

– W porządku.

– Poczyniliśmy pewne postępy, ale dalece niewystarczające – powiedział Stone. – Niestety, odnoszę wrażenie, że zaczyna brakować nam czasu. Jeżeli nie byłem wobec ciebie całkiem szczery, to dlatego, że wiem, w jak delikatnej znajdujesz się sytuacji.

– To nie wszystko.

– Wiem, wiem. Reszta wynika z tego, że marny ze mnie przyjaciel. Przepraszam.

– Możesz mi powiedzieć przynajmniej tyle, czy powinienem martwić się o prezydenta?

– Nic mi nie wiadomo o żadnym konkretnym zagrożeniu, jeżeli to masz na myśli.

Gdybym wiedział, na pewno poinformowałbym o tym i ciebie, i jego. Daję słowo.

– Podobno spotkałeś się z nim w Camp David?

– Owszem. Musiałem z nim szczerze pogadać.

– I jak poszło?

– Zaskakująco dobrze.

– Reuben wciąż jest w szpitalu?

– Tak. Niewiele brakowało, żeby skończyło się znacznie gorzej. Bardzo niewiele.

– To my wymogliśmy na tobie zgodę na naszą pomoc. Jesteśmy dorośli.

– Ale odpowiedzialność spoczywa głównie na mnie. Więcej na pewno nie popełnię takiego błędu.

– Nie uda ci się ochronić przyjaciół przed wszystkim.

– Ale przynajmniej mogę nie sprowadzać na nich niebezpieczeństwa.

– Wspomniałeś, że jednak posuwacie się naprzód. Wiecie już, co właściwie się dzieje?

– Owszem.

– I co? Jest niedobrze?

Stone zerknął na Chapman.

– Obawiam się, że nawet bardzo niedobrze.

– W takim razie uważaj na siebie. A jeśli jest coś, w czym mógłbym pomóc, to pamiętaj o mnie.

Alex odwrócił się i odszedł.

– Porządny gość z niego – zauważyła Chapman.

– To prawda. Za każdym razem, kiedy z nim rozmawiam, uświadamiam sobie, jakie to szczęście, że mam takich przyjaciół i zarazem jak bardzo na to nie zasługuję.

– Oni pewnie myślą tak samo...

– Tak sądzisz? Wątpię.

– A co robimy z panem Sykesem? Podchodzimy od frontu czy próbujemy czegoś bardziej subtelnego?

– To drugie. W połączeniu z pierwszym.

– Jak powinniśmy to rozegrać?

– Właśnie się zastanawiam. Wiesz, coś mi nagle przyszło do głowy... Pamiętasz tych Latynosów ze szkółki?

– Jasne. A bo co?

– Lloyd Wilder nie miał nic wspólnego z naszą sprawą. Za to oni – owszem.

– Jak to?

– Człowiek, który powiedział Annabelle, że widział ludzi demontujących tablicę do koszykówki, kłamał.

– Ale przecież byłeś przekonany, że Lloyd Wilder też maczał w tym palce! Dlaczego zmieniłeś zdanie?

– Ja to tylko podejrzewałem. Nie miałem pewności. Teraz, po przemyśleniu sprawy, jestem pewien, że moje podejrzania były nieuzasadnione.

– Dlaczego?

– Annabelle i Reuben zjawili się w barze pod pretekstem szukania drogi do szkółki.

Dlaczego jeden z tych ludzi od razu uraczył ich informacją, że widział, jak ktoś zdejmuje tablicę, i że na pewno nie był to John Kravitz?

– No właśnie, dlaczego?

– Odegrał wyuczoną rolę. Widzieliśmy przecież, że szopa, na której wisiała tablica, stała co najmniej piętnaście metrów od najbliższych zabudowań. Jakim cudem ktoś mógł po ciemku

stwierdzić, że na drabinie stoi ktoś niższy i starszy od Johna Kravitz?

– Słusznie. Gość powiedział nawet, że nie czekał, aż tamten zejdzie z drabiny, czyli nie mógł mu się dokładniej przyjrzeć.

– Annabelle i Reuben zostali zaatakowani zaraz po tym, jak uzyskali tę niezwykle istotną informację.

– Myślisz, że wszystko było z góry przygotowane?

– Myślę, że tamci wiedzieli, kim są Annabelle i Reuben, zanim ci weszli do baru.

– I dlatego chcieli ich zabić?

– „Chcieli” to chyba niewłaściwe słowo. Wiem, że Reuben dostał dwa postrzały, ale niezagrażające życiu. Uważam, że zrobili to celowo. Nie kwestionuję jego odwagi, ale jeszcze nie słyszałem o tym, by człowiek uzbrojony tylko w pistolet uszedł z życiem spod ostrzału z broni maszynowej. Wypuścili go celowo. Gdyby wszystko odbywało się na serio, Reuben już by nie żył.

– Chcieli, żeby przeżył?

– I powtórzył nam to, co usłyszał. Kolejny mylny trop, kolejna strata czasu. Krótco potem Latynosi zostają zlikwidowani. Następna zasłona dymna. Im więcej takich wątków musimy badać, tym trudniej nam dojść prawdy.

– A przy okazji pozbyli się niewygodnych świadków – zauważyła Chapman.

– Zgadza się.

– Jeśli masz rację, to trzymacie Turkekula na wyjątkowo długiej smyczy. Może wszystkich pozabijać, zanim wreszcie sam się powiesi.

– To możliwe.

– A teraz Sykes? – zapytała.

– Tak. Teraz Sykes.

69.

Kłopot polegał na tym, że nigdzie nie mogli go znaleźć. Po przerwie nie wrócił do pracy, nikt z jego ekipy nie wiedział, gdzie się podział. Przeszukanie parku i najbliższej okolicy nie dało rezultatu. Stone poinformował o tym przez telefon Ashburn. Powtórzył jej także to, czego dowiedzieli się od Judy Donohue.

– Zaraz wyślę za nim list gończy. Nie mógł daleko uciec.

Stone zakończył rozmowę i spojrzał na Chapman.

– Coraz mniej mi się to wszystko podoba.

– Chodzi ci o to, że oni są zawsze krok przed nami?

– Chodzi mi o to, że znów czuję się manipulowany.

– Może Sykes zorientował się, że Donohue rozmawiała z nami, i wpadł w panikę?

Chyba powinniśmy wsiąść do samochodu i zacząć go szukać na własną rękę. A nuż pomyka gdzieś na piechotę?

Skręcili w Pennsylvania Avenue po wschodniej stronie Białego Domu. Minęli dwie przecznice, kiedy usłyszeli wystrzał. Nie był stłumiony, odgłos bez trudu przebił się przez uliczny hałas. Przechodnie zaczęli krzyczeć i szukać schronienia. Ruch zamarł, rozległo się trąbienie klaksonów. Stone i Chapman wyskoczyli z samochodu i popędzili przed siebie, zaglądając przez szyby do środka mijanych pojazdów. Zawyła syrena, chwilę potem dołączyła do niej druga. Zawodzenie zbliżało się w szybkim tempie. Chapman obejrzała się przez ramię. Ulicą pędziły dwa radiowozy z włączonymi kogutami na dachach.

Przyspieszyli kroku. Stone sięgnął pod marynarkę po broń, Chapman również. Jeszcze kilka chwil i dotarli do źródła zamieszania: z pozoru wyglądało to jak zwykłe uderzenie w bagażnik, ale Stone od razu zorientował się, że to coś więcej. Przy samochodzie stojącym z przodu opierał się o maskę starszy mężczyzna. Był śmiertelnie blady i przed chwilą z wymiotował na jezdnię. Stone podszedł do niego z odznaką w ręce.

– Co się stało?

Mężczyzna bez słowa wskazał na samochód, który uderzył w tylny zderzak jego wozu. Stone od razu rozpoznał samochód rządowy. Zajrzał do środka.

– Niech to szlag...

Chapman spojrzała przez szybę po stronie pasażera.

– Dobry Boże!

Radiowozy zahamowały przy nich z piskiem opon, wyskoczyli z nich umundurowani funkcjonariusze. Kiedy zobaczyli Stone'a i Chapman z bronią w dłoniach, błyskawicznie sięgnęli do kabur.

– Policja!

Stone i Chapman podnieśli wysoko swoje odznaki.

– Jesteśmy agentami federalnymi – powiedział Stone głośno i wyraźnie. – Mamy tu zabójstwo. FBI przed chwilą wysłało za tym człowiekiem list gończy, ale ktoś dopadł go wcześniej.

Policjanci zbliżyli się ostrożnie, sprawdzili odznaki, po czym zajrzeli do samochodu.

Sykes siedział w fotelu kierowcy z głową odchyloną do tyłu. Przednia szyba była roztrzaskana, w czole mężczyzny widać było niewielki otwór wlotowy pozostawiony przez pocisk. Cała tylna część kabiny była pokryta fragmentami skóry i czaszki oraz strzępami tkanki mózgowej. Nic dziwnego, że tamten nieszczęśnik zwymiotował, pomyślał Stone.

Na fotelu pasażera leżała komórka. Chapman otworzyła drzwi, przez chusteczkę wzięła aparat do ręki i sprawdziła listę połączeń.

– Ktoś dzwonił do niego dziesięć minut temu. Numer zastrzeżony, ale może waszym technikom uda się go ustalić.

Stone skinął głową.

– Może. A więc odebrał telefon i zaczął uciekać.

– A oni czekali na niego. Wiedzieli, że będzie tędy jechał. Byli przygotowani.

Stone patrzył w kierunku, z którego przypuszczalnie padł strzał.

– Co mamy robić? – zapytał jeden z policjantów.

– Wezwijcie posiłki i zabezpieczcie miejsce zdarzenia – polecił Stone, nie odwracając wzroku, po czym wyciągnął telefon i zadzwonił do Ashburn. Poinformowawszy ją o najświeższych

wydarzeniach, najpierw usłyszał wyjątkowo złożoną wiązanekę, a potem już nieco spokojniejszy głos agentki:

– Natychmiast wysyłam naszych ludzi. Będziemy koordynować akcję z policją miejską.

– Kawaleria już w drodze – powiedział Stone, chowając aparat.

– W jaki sposób zorganizujemy poszukiwania? – zapytała Chapman.

Podbiegła do nich najwyżej dwudziestoletnia dziewczyna w dzinsach z dziurami wyciętymi na kolanach, torbą na zakupy w lewej ręce i iPhone'em w prawej.

– Proszę pani! Proszę pana!

Odwrócili się do niej, a ona wskazała na niezbyt odległy budynek.

– Akurat patrzyłam na ten budynek i zobaczyłam nagły błysk, a potem usłyszałam huk i te samochody się zderzyły... Myślę, że to stamtąd strzelali!

– Zapamiętała pani piętro? – zapytał szybko Stone.

Dziewczyna przez chwilę przyglądała się budynkowi, licząc w myślach.

– Piąte. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Posiłki zbliżały się z wyciem syren. Stone krzyknął na dwóch policjantów, żeby szli z nim i z Chapman. Kiedy zbliżali się do budynku, zatelefonował do Ashburn, powiedział, co się dzieje, i podał adres. Przez cały czas obserwował piąte piętro w oczekiwaniu, że lada chwila zobaczy tam kolejny błysk.

70.

– Chyba nie myślisz, że strzelec jeszcze tu jest? – wysapała Chapman, kiedy dopadli wejścia i z rozmachem otworzyli drzwi. Stone kazał jednemu policjantowi pilnować przodu, a drugiemu tyłu budynku.

Nie odpowiedział, tylko pokazał odznakę ochroniarzowi, który wyrósł jak spod ziemi obok nich.

– Przypuszczalnie macie tu snajpera. Widział pan dzisiaj kogoś podejrzanego albo kogoś z podejrzenie dużym pakunkiem, w którym można było ukryć broń?

Ochroniarz pokręcił głową.

– Nie. Ale dopiero co wróciłem z obchodu, więc ktoś mógł się wśliznąć.

– FBI zaraz tu będzie – poinformował go Stone. – Są tu jeszcze jakieś wejścia i wyjścia?

– Tutaj. – Ochroniarz wskazał im drzwi na uboczu. – Prosto korytarzem, potem w prawo. Znajdziecie się na rampie wyładowniczej na zapleczu.

Od razu ruszyli w tamtą stronę.

– Mam iść z wami?! – zawołał za nimi.

– Nie trzeba. Przed wejściem stoi policjant. Gdyby coś się działo, proszę go zawiadomić.

– W porządku. Powodzenia.

Pobiegli korytarzem, ale najdalej po dwudziestu krokach Chapman zatrzymała się gwałtownie i chwyciła Stone'a za ramię.

– Co się stało?

– Ochroniarz!

– Co z nim?

– Czy oni noszą rękawiczki?

Stone zaklął pod nosem, obrócił się na pięcie i pognął z powrotem.

Drzwi do głównego holu były zamknięte na klucz. Chapman odstrzeliła klamkę i otworzyła drzwi kopnięciem. Wbiegli do holu.

Ani śladu ochroniarza. Stojący na zewnątrz gliniarz powiedział im, że ochroniarz wyszedł i skierował się w boczną alejkę.

– Powiedział, że kazaliście mu pomóc zabezpieczyć budynek i...

Pobiegli, nie czekając, aż skończy. Obok pojemnika na śmieci znaleźli porzucony uniform. Rozejrzeli się dookoła.

– Ma nad nami przewagę najwyżej kilkunastu sekund! – wyszeptała Chapman.

– Tylko dzięki tobie – mruknął Stone. – Gdybyś się nie domyśliła...

Kopnęła go z całej siły pod kolano. Runął na ziemię, a w ścianę pojemnika, dokładnie na wysokości, na jakiej ułamek sekundy wcześniej znajdowała się jego głowa, uderzył pocisk.

Przeturlała się w bok, wycelowała i wystrzeliła – raz, drugi, trzeci. Huk wystrzałów wypełnił wąską alejkę, ale napastnik zdążył już zniknąć. Stone leżał na brzuchu, celując w to samo miejsce.

– Widzisz coś? – syknął.

Pokręciła głową.

– Uciekł.

Nadbiegł zaalarmowany strzałami policjant sprzed głównego wejścia.

– Kryj się! – zawołała Chapman.

Gliniarz posłusznie padł na ziemię i doczołgał się za pojemnik.

– Nic wam nie jest? – wydyszał.

Stone usiadł i spojrzał na Chapman.

– Tylko dzięki niej.

Wzruszyła ramionami.

– Więcej szczęścia niż rozumu.

– Liczy się efekt. Ta kulka trafiłaby mnie prosto w głowę.

We trójkę ostrożnie ruszyli w głąb alejki. Przyspieszyli kroku, kiedy usłyszeli odgłos uruchamianego silnika, ale kiedy dotarli do skrzyżowania, nigdzie nie było już śladu strzelca ani jego pojazdu. Mimo to Stone i Chapman pobiegli jeszcze trochę dalej, lecz niebawem wrócili wolnym krokiem. Ujrzeni widok, który sprawił, że stanęli jak wryci. Policjant klęczał przy swoim koledze; drugi funkcjonariusz leżał na wznak z poderżniętym gardłem, wpatrzony

w niebo niewidzącym spojrzeniem. Podeszli bliżej i również przyklękli.

– Musiało ich być co najmniej dwóch – powiedziała cicho Chapman. – Tamten nie zdążyłby tego zrobić.

– Zgadza się – potwierdził Stone.

Policjant bez słowa otarł łzy spływające mu po policzkach.

– Ci ludzie są nieprawdopodobnie dobrze zorganizowani – zauważyła Chapman. – Kim oni są, do diabła?

Stone położył rękę na ramieniu policjanta.

– Bardzo mi przykro.

Gliniarz spojrział na niego, skinął głową, po czym znowu opuścił wzrok na martwego kolegę.

Z oddali zbliżało się zawrodożenie syren. Stone wstał, odwrócił się i odszedł wolnym krokiem.

*

George Sykes, funkcjonariusz policji i ochroniarz nie żył. Prawdziwego ochroniarza znaleziono w składziku na zapleczu, z dziurą od kuli pośrodku czoła. Snajper rozplątał się bez śladu.

Stone podał jego rysopis Ashburn, która wydała rozkaz natychmiastowego zatrzymania, ale nikt nie wiązał z tym większych nadziei. Należało przypuszczać, że zabójca albo zaszył się w jakimś niedostępnym miejscu, albo prywatnym samolotem leciał już za granicę.

Stone i Chapman siedzieli w samochodzie zaparkowanym przed skromnym domostwem George'a Sykesa w Silver Springs w Marylandzie. Dom stał pośrodku całkiem zwyczajnego osiedla; dzieciaki urządzały wyścigi na rowerach, mamy plotkowały przy ogrodzeniach, a tatusiowie strzygli trawniki. To znaczy, tak by było, gdyby FBI nie ewakuowało całej ulicy i nie wstrzymało ruchu na sąsiednich. Na fotelu pasażera siedziała agentka Ashburn, inny agent FBI zajął miejsce za kierownicą.

– Co o nim wiemy? – zapytał Stone.

– Trzy lata temu umarła mu żona. Dzieci dorosłe i samodzielne. Przez całe życie pracował w Straży Parkowej. Żadnych problemów z prawem.

– Sześcioro wnucząt – zauważył Stone, zerkając do akt. – Był niewiele starszy ode mnie, więc musiał wcześniej zacząć.

– Jakież kłopoty finansowe? – zapytała Chapman.

Ashburn skinęła głową.

– Od tego zaczęliśmy. Początkowo nic nie rzuciło nam się w oczy, ale potem poszperaliśmy głębiej i doszukaliśmy się rachunku bankowego, na którym całkiem niedawno znalazło się sto tysięcy dolarów.

– Ktoś zapłacił mu za współpracę.

– Czyli za co konkretnie?

– Bombę ukryto w bryle korzeniowej – wyjaśniła Ashburn. – Co by było, gdyby ktoś zaczął tam grzebać? Jego zadanie polegało na tym, żeby do tego nie dopuścić.

– Zdradził swój kraj za sto tysięcy dolarów? – zapytał z niedowierzaniem Stone. – Dziadek sześciorga wnucząt?

Ashburn wzruszyła ramionami.

– Znam takich, co robili to samo za znacznie niższą cenę. Poza tym sześcioro wnucząt dużo je.

– A to mogła być tylko pierwsza rata – dodała Chapman.

– Słusznie. Zatrzaszczyli się o to, by była zarazem ostatnia. Działają wciąż w ten sam sposób: eliminują własnych ludzi, zawężając krąg wtajemniczonych. Dlatego nie mamy żadnych tropów.

– Snajper dużo ryzykował, podszywając się pod ochroniarza – zauważył Stone. – Widzieliśmy jego twarz.

– Ale już go tu nie ma, a za pół roku będzie miał zupełnie nową twarz.

– Jedno nie ulega wątpliwości – rzekła Chapman. – Mają do dyspozycji olbrzymie fundusze.

Ashburn uniosła brwi.

– Na przykład tyle, ile jest w państwowym skarbcu?

– Znowu Rosja – powiedziała Chapman.

– Ta teoria wciąż jest aktualna – przyznała Ashburn. – Państwo i kartele narkotykowe działające ramię w ramię. Cholernie trudny przeciwnik.

Stone wskazał ruchem głowy na dom Sykesa.

– Na co właściwie czekamy? Nie potrzebujemy nakazu. Gość nie żyje, możemy wejść do jego domu w ramach śledztwa. Był przecież urzędnikiem federalnym.

– To prawda, ale biorąc pod uwagę, że ci ludzie posługują się także bombami, kazałam sprowadzić przeszkolonego psa, który zbada teren, zanim tam wejdziemy. Właśnie dlatego ewakuowaliśmy najbliższą okolicę.

Pies wreszcie dotarł na miejsce. Stone obserwował przez szybę, jak metodycznie obwąchuje podwórze, a następnie wchodzi do domu przez tylne drzwi, wyważone przez agenta. Dziesięć minut później poszukiwania były skończone. Żadnej bomby.

Przeszukanie domu nie trwało długo, ale też nie dało większych rezultatów.

– Przyślemy techników, żeby zbadali mikroślady, ale wątpię, czy cokolwiek znajdą – powiedziała Ashburn, kiedy wracali do wozu.

– Mimo wszystko trzeba to zrobić – stwierdził Stone.

– Jasne.

– Zawiadomiono już rodzinę? – zapytała Chapman.

– Właśnie to robimy. Może to nas do czegoś doprowadzi?

– Myśli pani, że coś komuś szepnął? – mruknęła Chapman.

– Liczę na to.

– A ja nie bardzo – odezwał się Stone.

Ashburn odwiozła ich do samochodu. Prowadziła Chapman, milczący Stone siedział obok.

– O czym myślisz?

– O tym, ile jeszcze trzeba trupów, zanim wreszcie zgarną Fauta Turkekula i zmuszą go do gadania.

– Uważasz, że jest winien?

– Mam za mało danych, ale wiem na pewno, że status quo nie działa na naszą korzyść.

– Jaką mamy alternatywę?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

– A kto może się stać następnym celem?

Stone zerknął na nią.

– Zakładając, że Turkekul jednak zdradził?

– Aha. – Umilkła na chwilę. – Wiem, że ona jest twoją przyjaciółką, ale...

– Adelpia na pewno nie bierze w tym udziału.

– Jesteś absolutnie pewien? Sam przecież wspomniałeś, że na dłuższy czas zupełnie znikła z twojego życia.

Stone chwilę przyglądał się Chapman bez słowa, po czym położył jej rękę na ramieniu.

– Lubisz łamać zasady?

– Zanim cię poznałam, wydawało mi się, że nie. Teraz odnoszę wrażenie, że przychodzi mi to z coraz większą łatwością. A więc jednak ruszamy za Turkekulem?

– Nie.

– A za kim?

– Tamci sterują naszymi ruchami. Teraz oczekują, że skęcimy w lewo, ale my zrobimy im niespodziankę i skęcimy w prawo.

71.

Zatrzymali się na chwilę. Chapman została w samochodzie, Stone zaś poszedł po wskazówki. Po powrocie powiedział jej, którądy powinna jechać.

– Przesłuchali już ekipę Sykesa – oznajmił. – Podobno, kiedy odebrał telefon, zbladł i od razu pobiegł do samochodu.

– Jak sądzisz, co się stało?

– Nie wiem dokładnie, ale chyba sobie wyobrażam.

Wreszcie dotarli na miejsce, czyli do miasteczka Chantilly w Wirginii. Chapman zaparkowała tam, gdzie kazał jej Stone, ale nie wysiedli z samochodu.

– Zaczekamy – powiedział.

Pół godziny później przed domem, który obserwowali, zatrzymała się furgonetka i wysiadła z niej kobieta. Chapman od razu ją rozpoznała.

– Przecież to...

– Tak – potwierdził Stone. – To ona.

Wyskoczyli z wozu i dopadli drzwi na ułamek sekundy przed tym, zanim zdążyła je zamknąć. Stone wsadził stopę między skrzydło a futrynę. Kobieta odwróciła się i spojrzała na niego ze strachem, a on pokazał jej odznakę.

– Pamiętasz nas?

Judy Donohue, wciąż w zielonym kombinezonie roboczym, przeniosła wzrok z jego twarzy na twarz Chapman i z powrotem.

– Ja... to znaczy... tak, oczywiście. Czy jesteście tu z powodu tego, co stało się z biednym panem Sykesem? To okropne!

– Możemy wejść?

– Eee... A po co?

– Żeby zadać ci jeszcze kilka pytań.

– Ale ja już powiedziałam wszystko, co wiem!

– W następstwie niedawnych wydarzeń pojawiły się nowe pytania – wyjaśnił Stone, po czym pchnął drzwi. Donohue cofnęła

się odruchowo, a wtedy on przekroczył próg.

– Nie może pan tego robić! – zaprotestowała.

– Ale zrobiłem.

Chapman również weszła i zamknęła drzwi. Stone ruszył w głąb domu.

– To chyba niezgodne z prawem, prawda?! – zawołała za nim zdenerwowana dziewczyna.

– Nie sądzę – odparł flegmatycznie. – Choć oczywiście mogę się mylić, bo nie jestem prawnikiem.

– Proszę, żebyście oboje wyszli. Natychmiast!

– Dlaczego? Masz coś do ukrycia?

– Oczywiście, że nie! – odparła Donohue z irytacją.

– Dowiedzieliśmy się, że właśnie złożyłaś wypowiedzenie. Dlaczego? Wydawało mi się, że dla takiej dziewczyny jak ty trudno o lepszą karierę niż w Straży Parkowej.

– To nie wasz interes, ale mogę wam powiedzieć. Zastanawiałam się nad tym od paru miesięcy. Decyzję podjęłam po tym wszystkim, co się stało. I po śmierci pana Sykesa.

Uznałam, że to najwyższa pora.

Stone zbliżył się o krok.

– A dokąd kupiłaś bilet lotniczy? Może do kraju, który nie podpisał umowy o ekstradycję ze Stanami Zjednoczonymi?

– Słucham?

– Darujmy sobie podchody, dobrze? Dokąd uciekasz? Ile ci zapłacili? Sykes dostał sto tysięcy. Ciebie wycenili na tyle samo czy na mniej?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi! – wykrzyknęła Donohue.

– W takim razie chyba nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli się trochę rozejrzemy?

– Nie zgadzam się! Wynoście się stąd!

Stone zbliżał się coraz bardziej, ignorując jej słowa.

– Co takiego usłyszał Sykes przez telefon, że nagle rzucił wszystko i popędził do samochodu? Może porwali jedno z jego sześcioro wnucząt? Ma trzymać język za zębami, bo w przeciwnym razie dziecko zginie? Ma natychmiast wsiąść i pojechać we wskazane miejsce, trzymając się ściśle określonej trasy? Trasy, która miała

zaprowadzić go wprost pod lufę snajpera? A potem bum! I proszę, nie ma już George'a Sykesa?

– Wynoście się albo wezwę policję!

– Sykes nie miał z tym nic wspólnego – ciągnął Stone. – Pieniądze na tajnym koncie?

Kolejny fałszywy trop. Rozmowa, którą rzekomo podsłuchałaś? Nigdy nie miała miejsca.

Teraz, kiedy Sykes i Gross nie żyją, nikt tego nie potwierdzi. Popełniłaś jednak błąd. Jeden, ale za to oczywisty. – Zmierzył ją wzrokiem. – Chcesz się dowiedzieć jaki?

Usta dziewczyny zaczęły drżeć. Nic nie odpowiedziała.

– Powiem ci. Otóż musisz wiedzieć, że dysponujemy metodami sprawdzania różnych rzeczy. Kiedy zweryfikujemy twoją historyjkę o przesadzaniu drzewa, okaże się z pewnością, że George Sykes mówił prawdę i dołu rzeczywiście nie można było od razu zasypać z tych powodów, o których wspomniał FBI. Jestem też przekonany, że przy okazji odkryjemy jeszcze więcej dziur w twojej historyjce.

Donohue zachwiała się, jakby lada chwila miała upaść. Stone zrobił kolejny krok w jej stronę.

– Przestrzelono mu głowę pociskiem z karabinu snajperskiego. O tak. – Stuknął się palcem w środek czoła.

– Proszę przestać.

– Po jego śmierci śledztwo musiało skrócić w twoim kierunku. Kłamstwa szybko wyszłyby na jaw, ale ty myślałaś, że wtedy już od dawna cię tu nie będzie, prawda? Czy dlatego wróciłaś wcześniej do domu? Żeby spakować rzeczy i wyruszyć w drogę z fałszywymi dokumentami, które ci dostarczyli?

– Dość tego. Daję wam ostatnią szansę. – Donohue podniosła komórkę, jakby to była broń. – Albo dzwonię na policję.

– Pamiętaj o jednym, Judy – odezwała się Chapman. – Ludzie, dla których pracujesz, zabili wszystkich, którzy do tej pory im pomagali. Na jakiej podstawie sądzisz, że z tobą postąpią inaczej? – Spojrzała na drzwi. – Szczerze mówiąc, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby już czekali na zewnątrz, aż sobie pójdziemy, żeby zrobić z tobą porządek.

Dziewczyna była na krawędzi płaczu, ale jakoś zdołała się opanować i syknęła: – Powtarzam ostatni raz: wynocha!

Wyszli.

– Co teraz? – zapytała Chapman.

– Coś mi mówi, że właśnie wypłoszyliśmy zwierzynę. Zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi.

– Słyszysz jeszcze jakieś głosy?

– Owszem. Podszeptują mi, że ona zginie, zanim zdąży nam cokolwiek powiedzieć.

Ruszaj, niech myśli, że naprawdę odjechaliśmy. Obserwuje nas przez okno w kuchni.

Chapman uruchomiła silnik i odjechała.

Zatrzymali się dość daleko, ale w miejscu, z którego widzieli dom dziewczyny. Stone zatelefonował do Ashburn. Po kilkuminutowych wyjaśnieniach skinął głową.

– Tylko szybko – rzucił, po czym się rozłączył.

– I co? – zapytała Chapman.

– Przygotowuje papiery, żeby wydano nakaz aresztowania dziewczyny. Choćby po to, żeby ją uratować.

– A jeśli Donohue wyjdzie z domu?

– Będziemy musieli zatrzymać ją do chwili, kiedy przyjadą chłopcy z Biura.

Chapman rozsiadła się wygodniej w fotelu, ale niemal natychmiast wyprostowała się jak dźgnięta nożem. Stone też to zobaczył. Dziewczyna wyszła z domu. Niosła torbę podróżną i bardzo się spieszyła.

– Szybko! – syknął Stone. – Zgarnijmy ją, zanim zrobi to ktoś inny!

Zanim Chapman uruchomiła silnik i wdepnęła pedał gazu, Donohue zdążyła już otworzyć drzwi swojej furgonetki.

– Zajedź jej drogę!

– W porządku.

Kiedy byli dziesięć metrów od furgonetki, dziewczyna przekręciła kluczyk w stacyjce.

Siła eksplozji uniosła furgonetkę w powietrze, a fala uderzeniowa rąbnęła w samochód Stone'a i Chapman z taką siłą, że przewrócił się

na bok. Posypało się szkło, oboje uderzyli głowami w metalowe elementy karoserii i stracili przytomność. Wisieli bezwładnie w fotelach, przypięci pasami.

72.

Stone się ocknął. Kręciło mu się w głowie, powoli odzyskiwał zdolność myślenia.

Spróbował usiąść, ale powstrzymała go czyjaś dłoń. Podniósł wzrok i zobaczył pochyloną nad nim agentkę Ashburn.

– Co się stało?

– Wszystko w porządku – powiedziała uspokajającym tonem. – Nie denerwuj się.

Rozejrzał się dokoła. Bez wątpienia znajdował się w szpitalu. Przymknął oczy i niemal natychmiast otworzył je szeroko.

– Co z Chapman?

– Nic jej nie będzie. Parę siniaków i otarć. Tak samo jak ty.

– Donohue nie żyje, prawda?

– Tak. Widziałeś eksplozję?

Stone skinął głową.

– Siedziała w samochodzie.

– Domyślcie się, skąd wzięła się tam bomba?

– Albo była tam już wtedy, kiedy dziewczyna przyjechała do domu, albo podłożono ją podczas naszej rozmowy.

– Nikogo nie widzieliście?

Stone ostrożnie pokręcił głową. Ashburn usiadła na krześle przy łóżku.

– Zaskoczyłeś mnie telefonem w jej sprawie. Jak się domyśliłeś, że ona ma z tym coś wspólnego?

– Przeczucie?

– Konkretne?

– Nie bardzo. Po prostu uświadomiłem sobie, że cały czas ktoś wodzi nas za nos.

– Domyślasz się kto?

– Być może ktoś bliżej nas, niżbyśmy sobie życzyli. Pamiętasz, co mówił Gross? Ktoś go śledził.

– Pamiętam. Jaką właściwie rolę odegrała Donohue? Czy to ona, a nie George Sykes, odpowiadała za umieszczenie bomby pod drzewem?

– Tak sędzę. Dlatego próbowała oddalić od siebie podejrzenia. Znaleźliście coś w jej domu?

– Nie. Sfałszowane dokumenty miała pewnie ze sobą. Szukamy ich, ale są niewielkie szanse na to, by papier przetrwał wybuch i pożar.

– Wyszła z torbą podróżną. Nie mam wątpliwości, że chciała uciec. Przestraszyliśmy ją.

– Całkiem możliwe. – Ashburn podniosła się z krzesła. – Miałeś pracowity dzień.

Najpierw snajper mało nie rozwalił ci głowy, a potem niewiele brakowało, żebyś wyleciał w powietrze.

– Czy ktoś wie o tym, że tu jestem?

– Chodzi ci o twoich przyjaciół? Nie. Uznaliśmy, że lepiej trzymać to w tajemnicy.

– Z Chapman na pewno wszystko w porządku?

– Na pewno.

– Mogę ją zobaczyć?

– Sprawdzę. Wracam za minutę.

Drzwi otworzyły się wcześniej niż po minucie, ale do pokoju zamiast Ashburn weszła, a właściwie wjechała na wózku Chapman z opatrunkami na czole i prawym policzku. Stone z niepokojem spojrzał na wózek, a potem na nią.

– Bez obaw – powiedziała z uśmiechem. – Mogę chodzić, to przez szpitalne przepisy, które nakazują korzystać z wózków ofiarom wybuchów. Wy, Amerykanie, macie całą masę dziwnych przepisów.

Na twarzy Stone'a pojawił się wyraz ulgi. Wózek zatrzymał się przy jego łóżku.

– A co z tobą? Wszystko działa?

Rozprostował ramiona i przechylił głowę raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Chyba tak. Boli, ale działa.

– Prawie ich złapaliśmy.

– „Prawie” robi wielką różnicę.

- Co ci powiedziała Ashburn?
- Żadnych śladów. - Uśmiechnął się. - Najważniejszą informacją, jaką uzyskałem, było to, że nic ci się nie stało.
- Cieszę się, że wiesz, co jest naprawdę istotne - odparła żartobliwie.
- Uratowałaś mi życie.
- Czyli teraz jesteśmy kwita.
- Chyba tak.
- Ale Donohue była naszą ostatnią szansą. Teraz nawet nie mamy kogo przesłuchać.
- Mylisz się. Jest jeszcze Faut Turkekul.
- Poza naszym zasięgiem.
- Po tym, jak dwukrotnie o mało nie wyleciałem w powietrze, nic nie jest poza moim zasięgiem.

*

Kiedy weszła, Stone nie zdołał ukryć zaskoczenia.

Marisa Friedman miała na sobie białą spódniczkę podkreślającą opaleniznę nóg, błękitną jedwabną bluzkę i pantofle na płaskim obcasie. Lśniące włosy opadały swobodnie na ramiona. W jednej ręce trzymała torebkę, w drugiej okulary przeciwsłoneczne. Zmierzyła Stone'a badawczym spojrzeniem, następnie usiadła na jedynym krześle.

- Zdaje się, że zdziwiłeś się na mój widok?
 - Kiedy ostatnio znalazłem się blisko ciebie, kazano mi czym prędzej spieprzać.
 - Jak dużo o mnie wiesz?
 - Weaver może nie był szczególnie uprzejmy, ale też niewiele starał się ukryć.
 - W naszym fachu czasem to dobrze, a czasem nie.
- Podciągnął się do pozycji siedzącej.
- Po co przyszłaś?
 - Usłyszałam, co się stało, i postanowiłam sprawdzić, jak się czujesz.
 - Nie musiałaś przychodzić. Wystarczyłby telefon.
- Uciekła w bok spojrzeniem, po czym wstała i podeszła do okna.
- Ładny dzisiaj dzień.

– Możliwe. Jakoś się nad tym nie zastanawiałem.

– Kiedy byłam mała, fascynowała mnie pogoda – ciągnęła, wciąż patrząc przez okno. – Chciałam zostać meteorologiem.

– Dlaczego nie zostałam?

Odwróciła się do niego.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Robiłam wszystko, co trzeba. Uczęszczałam do właściwych szkół aż do studiów, bo poszłam na prawo na Harvardzie. Potem zamierzałam przez rok pojeździć po Europie, a następnie znaleźć pracę w jakiejś kancelarii w Nowym Jorku, ale nie wiedzieć czemu poszłam na seminarium poświęcone CIA, no i teraz jestem tu, gdzie jestem. – Ponownie spojrzała przez okno. – Widziałam wiele rodzajów pogody. – Zerknęła na niego. – Choć pewnie nie tak dużo jak ty.

– Rozmawiałaś o mnie z Weaverem?

Podeszła do łóżka.

– John Carr. Robi wrażenie.

Stone z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Przez trzydzieści lat nie słyszałem ani razu tego nazwiska, a teraz co chwila ktoś je powtarza.

Przysunęła sobie krzesło bliżej łóżka i usiadła.

– Zaimponowałeś mi wczoraj. Nie miałam pojęcia, że mnie przejrzałeś, aż do chwili, kiedy zadzwonili ludzie Weavera. Jak to zrobiłeś?

– A więc po to naprawdę przyszedłeś? Żeby załatać dziury w kamuflażu?

– Czy ty nie postąpiłbyś tak samo?

– Pewnie tak – przyznał.

– A więc?

– Poprzez eliminację. Tamtego wieczoru byłeś w parku. Historyjka Adelphii rozpadła się jak domek z kart. Turkekul czekał na kogoś. – Wycelował w nią palec. – Stanowiłaś logiczny wybór. Prawdę mówiąc, powinienem dojść do tego znacznie wcześniej. Na swoją obronę mogę powiedzieć tyle, że przeszkadzano mi ze wszystkich sił.

Friedman sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Stone bez trudu domyślił się przyczyny.

– Boisz się, że skoro ja cię przejrzałem, może to też zrobić ktoś inny?

– Takie jest moje życie, agencie Stone: staram się rozgryźć innych, zanim inni rozgryzą mnie.

– W jaki sposób rozgryzłaś Turkekula?

– Na podstawie wielu drobnych poszlak, które osobno o niczym właściwie nie świadczyły, ale złożone razem nabrały ogromnego znaczenia. Początkowo ani ja, ani NIC nie mogliśmy w to uwierzyć. Wszystko jednak się zgadzało. Gwoździem do trumny była jego przeszłość w Afganistanie. Jego ówczesny radziecki prowadzący jest dziś blisko szczytu w rosyjskiej hierarchii państwowej.

– A związki z rosyjskimi kartelami narkotykowymi?

– Z kartelem. Jest tylko jeden, choć mocno rozgałęziony, a rosyjski rząd ściśle z nim współpracuje. Nie chodzi tylko o zyski finansowe; straty, jakie można zadać dowolnemu krajowi, zalewając go narkotykami, są znacznie poważniejsze od spowodowanych działaniami wojennymi. Na tradycyjnej wojnie ginie wielu żołnierzy i trochę cywilów, ale większość ludzi wychodzi cało. Skutki wojny narkotykowej w mniejszym lub większym stopniu dotyczą wszystkich.

– Rozumiem.

– W końcu dotarliśmy do etapu, kiedy trzeba było podjąć decyzję, co zrobić z Turkekulem.

– I postanowiliście tak bardzo poluzować mu smycz, żeby się na niej powiesił?

– Nie chodzi tylko o niego. Potrzebujemy innych, którzy stoją nad nim. Jego zdrada bardzo nas osłabiła, ale robimy wszystko, żeby wykorzystać to i zadać nieprzyjacielowi jeszcze dotkliwszy cios.

– Trzymam za was kciuki.

Wstała i położyła mu rękę na ramieniu.

– Wiem, że ciężko pracujesz, żeby rozwiązać tę sprawę. Wiem też, że Faut doskonale pasuje do równania, ale...

– Ale nie chcesz, żebym starał się za bardzo, bo wtedy mogę zniszczyć to, co ty robisz?

– Zgadza się.

– Będę o tym pamiętał. Możesz zameldować Weaverowi, że twoja dzisiejsza misja odniosła zamierzony skutek.

– On nie wie, że tu jestem.

– Jasne.

Sam się zdziwił, jak wielki ładunek szyderstwa udało mu się zmieścić w tym jednym słowie.

– Naprawdę.

– Po co więc tu przyszłaś? Bo przecież nie tylko po to, żeby sprawdzić, jak się czuję, ani po to, by załatać dziury w swoim kamuflażu?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że jest jeszcze jakiś powód?

– Bo wyglądasz na osobę, która zwykle robi kilka rzeczy naraz.

Westchnęła.

– Chciałam się z tobą zobaczyć i upewnić się, że naprawdę nic sobie nie zrobiłeś.

Przecież niemal wysadzili cię w powietrze.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

– Po prostu ważne, i już.

– Nie rozumiem.

Przysunęła się bliżej.

– W takim razie złamię własne zasady i będę z tobą zupełnie szczerą. Mamy ze sobą mnóstwo wspólnego, Johnie Carr. Niewielu ludzi robi to co my. – Jej rysy złagodniały, wzrok zdawał się sięgać gdzieś daleko. – Ostatnie dwadzieścia lat swego życia przeżyłam jako ktoś, kim wcale nie jestem. – Znowu skupiła spojrzenie na jego twarzy. – Wiem, że ty musiałeś to robić jeszcze dłużej. Do tej pory nigdy nie spotkałam kogoś podobnego do mnie. Ty jesteś pierwszy. – Dotknęła jego ramienia. – Przyszłam chyba po to, by się przekonać, że nie jestem sama, że na świecie są ludzie tacy jak ja. Wiem, pewnie dla ciebie to brzmi zupełnie nieprawdopodobnie...

– Wcale nie. Doskonale cię rozumiem.

Przysunęła się jeszcze bliżej.

– To bardzo samotne życie.

– Owszem.

– Ty jesteś sam od bardzo dawna.

– Skąd wiesz?

Powoli uniosła rękę i delikatnie dotknęła jego policzka.

– To widać po twarzy. Jeśli wiesz, jak patrzeć, każda twarz powie ci prawdę. A przecież my oboje potrafimy patrzeć, prawda?

Cofnęła dłoń. Stone odwrócił wzrok.

– Przepraszam, jeśli to głupio wyszło, ale ja...

– Tak?

– Po prostu żałuję, że nie spotkaliśmy się dużo wcześniej.

– Czy to znaczy, że teraz jest już za późno?

Opuściła wzrok.

– Dla mnie na pewno.

– Stałaś się zbyt wybredna?

– Nie o to chodzi. Nawet gdybym była, to i tak... Zresztą nieważne.

– Wszystko może być ważne. Nawet dla takich starych żołnierzy jak my.

– Nie jesteś stary.

– Jestem. Ty nie.

– W tym zawodzie wszyscy jesteśmy starzy. – Zawiesiła głos. –

Dopóki żyjemy.

Wstała, pochyliła się nad nim i musnęła ustami jego policzek.

– Uważaj na siebie – szepnęła.

Chwilę potem już jej nie było.

73.

Nazajutrz wypisano ich ze szpitala. Stone musiał przyznać, że potrzebował odpoczynku. Przeżycie eksplozji dwóch bomb w tak krótkim czasie z pewnością odcisnęłoby piętno na zdrowiu znacznie młodszego człowieka, a co dopiero mówić o nim. Miał jednak silną motywację, żeby jak najprędzej wstać z łóżka i ruszyć na łowy. Rozwiązanie było niedaleko. Zbliżał się wielki finał. Czuł to.

Kiedy wsiedli do nowego samochodu dostarczonego przez FBI, Stone spojrzał na Chapman.

– Ile szwów?

Dotknęła opatrunku na czole.

– Tu sześć, dwa na policzku. Lekarz powiedział, że do wakacji nie będzie śladu. – Zerknęła na niego. – A tobie nie założyli ani jednego? Zanim straciłam przytomność, widziałam cię całego we krwi.

– Widocznie doszli do wniosku, że to nie ma sensu, a największe rozcięcie mam na czaszce. Założyli opatrunek, ale go nie widzisz.

– Miałeś sporo szczęścia.

– Na pewno więcej niż Judy Donohue.

– Jak myślisz, w jaki sposób wciągnęli ją do gry? Pieniędzmi?

– Chyba tak. Pieniędzmi, których ani przez chwilę nie zamierzali jej wypłacić.

– Sądysz, że od początku planowali jej zabicie?

– Z pewnością. Przecież najdalej za dwa, trzy dni i tak byśmy do niej dotarli.

Spotkaniem z nami tylko przyspieszyła egzekucję.

– A więc FBI najprawdopodobniej znajdzie jakieś zakamuflowane konto bankowe z nienaruszonym depozytem... Zabawne, ale jakoś nie wyglądała mi na osobę, która lubi się bawić w konspirację.

– Chcesz powiedzieć, że nie lubiła pieniędzy? Takich ludzi jest wręcz niewiarygodnie mało.

– Ale żeby zdecydować się na współudział w ataku na własny kraj...

– Nie bądź naiwna. Poza tym akurat w tym ataku nikomu nie stała się krzywda, oczywiście nie licząc nieszczęsnego Alfreda Padilli.

– Wkrótce potem zaczęli ginąć inni ludzie. Nie dało jej to do myślenia?

– Oczywiście, że dało, ale było już za późno. Gdyby się do nas zgłosiła, oznaczałoby to przyznanie się do współudziału w wielu morderstwach. Uznała, że bezpieczniej będzie trzymać się planu i uciec z forszą.

– Czyli George Sykes zarobił kulkę w głowę, choć był zupełnie niewinny?

– Tak jest. I dlatego jakoś niespecjalnie współczuję Judy Donohue.

– Mam wrażenie, że twoje domysły, w jaki sposób zmusili Sykesa do nagłego odjazdu, są bliskie prawdy.

– Też tak sędzę. Pewnie wyznaczyli mu nie tylko miejsce spotkania, ale i trasę, którą ma jechać. Wszystko zostało przygotowane z zegarmistrzowską precyzją. To wiele mówi, a równocześnie nie napawa optymizmem.

– Przypuszczalnie mogą nas zabić, kiedy zechcą.

– Chcieli mnie zabić, ale im przeszkodziłaś.

– Punkt dla nas.

– Co dowodzi, że im też zdarzają się potknięcia.

– Czy to oznacza, że cała historia ze szkółką, przesadzaniem drzew i Strażą Parkową miała na celu wyłącznie wprowadzenie nas w błąd?

– Jestem przekonany, że Kravitz i wrobili w to wszystko i że Lloyd Wilder też był całkowicie niewinny.

– A Latynosi?

– Pełnili taką samą funkcję jak Judy Donohue. Uczestniczyli w spisku, ale tylko częściowo. Odegrali swoje role, dostali pieniądze, a następnie zostali wyeliminowani.

– Wracamy więc do Fauta Turkekula... Jak chcesz się tym zająć? Jeśli znowu przyłapią nas na tym, że się koło niego kręcimy, Weaver przepuści nas przez maszynkę do mięsa.

– Mówiłem ci przecież, że sir James mrugnął do mnie.

– I co z tego? To nie uchroni cię przed Weaverem, i dobrze o tym wiesz.

– W takim razie chwilowo zostawimy Turkekula na boku i podążymy mniej uczęszczaną ścieżką.

– Adelfia?

– Nie.

– W takim razie kto?

Nie odpowiedział.

– Została jeszcze tylko Marisa Friedman.

– Owszem.

– Ale kiedy spróbowaliśmy się do niej dostać, dostaliśmy po łapach.

– Teraz wiemy, czego możemy się spodziewać. Poza tym przyszła do mnie.

– Gdzie? Kiedy?

– Wczoraj, do szpitala.

– Czego chciała?

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien. Wygląda na to, że jest bardzo samotna.

Chapman spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Doprawdy?

– Każdy z nas jest na swój sposób samotny.

– Hmm... – mruknęła niepewnie. – Jak więc do tego się weźmiemy?

W odpowiedzi Stone wyjął komórkę i wybrał numer.

– Annabelle? Chyba nadeszła pora, żebyście ponownie spotkali się z panią Friedman.

74.

– Miło znowu was widzieć – powiedziała Friedman, dosiadając się do stolika.

– Przecież mówiłam, że się odezwiemy – odparła Annabelle szorstkim tonem.

– Ogromnie się cieszymy, że z pani pomocą będziemy mogli ruszyć naprzód – powiedział Caleb znacznie uprzejmiej.

– A ja się cieszę, że będę mogła z wami pracować – odparła Friedman, rozkładając serwetkę na kolanach. – Przeprowadziłam już wstępne rozpoznanie i muszę wam powiedzieć, że to doskonała pora na takie przedsięwzięcie.

Podczas posiłku omawiali różne sprawy związane z interesami. Kiedy wyszli z lokalu, przy krawężniku zatrzymał się luksusowy przedłużony mercedes.

– Możemy odwieźć panią do domu – zaproponował Caleb.

– Nie trzeba. Mieszkam aż w Wirginii.

Podniósł jej dłoń do ust i pocałował.

– To żaden kłopot. Wręcz przeciwnie, to będzie dla nas przyjemność.

Annabelle otworzyła przed nią drzwi. Friedman wsiadła, a wtedy Annabelle błyskawicznie zatrzasnęła drzwi i limuzyna ruszyła z piskiem opon. Friedman złapała za klamkę, szarpnęła – bez skutku. Zamek był zablokowany. Wyczuła czyjąś obecność i odwróciła się w tamtą stronę. W półmroku obszernej kabiny patrzył na nią jakiś mężczyzna.

– Co tu się dzieje, do diabła? – Przyjrzała się uważniej i gwałtownie nabrała powietrza.

– Stone!

– A to moja partnerka, Mary Chapman – odparł Stone, wskazując kierowcę. – Jestem pewien, że przekazano ci informacje na jej temat.

Chapman zerknęła przez ramię, zatrzepotała palcami, po czym skręciła w pierwszą przecznicę.

– Czy... czy to porwanie?

– Nie. Tylko spotkanie.

Friedman zmarszczyła brwi.

– Ludzie zwykle umawiają się na spotkania.

– Potrzebujemy twojej pomocy i chcemy o nią dyskretnie poprosić.

– Jeśli się nie mylę, dyrektor Weaver zabronił wam się do mnie zbliżać...

– Stąd właśnie ta dyskrecja.

Friedman przez chwilę zastanawiała się w milczeniu. Na jej twarzy nie było widać najmniejszych oznak strachu.

– A więc Weaver o niczym nie wie?

– Nie ma takiej potrzeby.

– To ciekawy pogląd, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że kieruje pracą wszystkich służb wywiadowczych tego kraju.

– Jak wiesz, interesuje nas Turkekul.

– Nie tylko was.

– Wiesz, że jest zdrajcą, sama to powiedziałaś, ale ciekaw jestem, kiedy dokładnie się o tym dowiedziałaś?

– A ty mówiłeś mi, że sam Weaver wprowadził cię w szczegóły operacji, ale to jeszcze nie znaczy, że muszę ci wierzyć.

– Giną ludzie – zwrócił jej uwagę. – Dużo ludzi.

Wzruszyła ramionami.

– To niebezpieczna praca.

– Naszym zdaniem znacznie bardziej niebezpieczny jest Turkekul.

Friedman zawahała się przez chwilę.

– Trudno mi się nie zgodzić z tą opinią, ale...

– A mimo to wciąż jest na wolności – wpadła jej w słowo Chapman.

Friedman spojrzała na nią, po czym przeniosła wzrok z powrotem na Stone'a.

– Wykonuję rozkazy. Nie ze wszystkimi się zgadzam, ale je wykonuję.

– Zawsze? – zapytał Stone.

– Nie przetrwałabym długo, gdybym tego nie robiła.

– Nie nauczyłaś się, że czasem trzeba trochę niezależności, żeby wypełnić zadanie?

Friedman założyła nogę na nogę i skrzyżowała przedramiona.

– Jedziemy w jakieś konkretne miejsce?

– Nie. Zwiedzamy miasto i prowadzimy przyjacielską pogawędkę.

– O co ci właściwie chodzi?

– Interesuje cię to?

– A co w tym dziwnego, do cholery? – parsknęła. – Jeśli dobrze liczę, mamy już z tuzin trupów. Snajperzy, bomby, egzekucje. Wszystko na amerykańskiej ziemi.

– Pomożesz nam więc?

– Tego nie mogę obiecać – odparła szczerze. – Najpierw muszę poznać wasze plany.

Dobrze o tym wiesz.

– Musimy porozmawiać z Turkekulem.

– Nie ma problemu. Możecie z nim porozmawiać, a raczej wysłuchać mnóstwa informacji o rzeczach i sprawach, które w ogóle was nie obchodzą. To najbardziej skryty i zarazem przebiegły człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam, a to już o czymś świadczy.

– Po prostu stara się przeżyć. Ty osiągasz ten cel, nikomu nie ufając – zwrócił jej uwagę Stone.

– Może więc zdradzisz mi, w jaki sposób zamierzasz wydobyć z niego prawdę? Mnie to się jeszcze nie udało.

– Z twoją pomocą możemy to osiągnąć.

– Na razie jeszcze na nic się nie zgodziłam. Właściwie powinnam o wszystkim natychmiast zameldować, a kiedy Weaver dowie się, że...

– Nie złożysz meldunku.

Spojrzała na niego z wyższością.

– Skąd o tym wiesz?

– Bo wiem, że chcesz dorwać tego gościa.

– Jesteś całkowicie pewna, że wyeliminowanie go nie przyniosłoby poprawy sytuacji?

– zapytała Chapman.

– Jestem. Rosjanie mają takich jeszcze z dziesięciu. W różnych częściach świata. Jeśli odkryjemy karty, stracimy okazję, która może się już nigdy nie nadarzyć. Od samego początku na tym właśnie polegał nasz największy problem. Jeśli uda nam się zdemaskować związki Fauta z Moskwą oraz udowodnić ścisłą współpracę tamtejszego rządu z kartelem narkotykowym, to nawet w Rosji ktoś powinien to zauważyć. Że nie wspomnę o ONZ i reszcie świata. Wtedy Rosja, chcąc nie chcąc, będzie musiała zrezygnować z planów odzyskania mocarstwowej pozycji za pomocą kokainy i heroiny.

– Teraz rozumiem to znacznie lepiej – powiedział Stone. – Doskonale tłumaczysz takie sprawy.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– Zgadniesz, ile mam lat? – zapytała niespodziewanie Friedman.

– Trzydzieści pięć?

– O dziesięć więcej.

Nie spodziewał się tego.

– Jak na tak stresujący zawód, trzymasz się doskonale.

– Tylko na zewnątrz. W środku jest zupełnie inaczej. Dlaczego wydaje mi się, że siedzimy w tej samej łodzi?

– Ja chyba wyglądam na swoje lata.

– Większość mężczyzn w twoim wieku jest gruba i zgarbiona. Ty wyglądasz tak, jakbyś mógł w każdej chwili pobiec maraton i nawet się nie spocić. – Wciąż nie spuszczała z niego wzroku. – I nawet się nie spocić – powtórzyła.

Chapman obserwowała ich z niepokojem w lusterku wstecznym.

– Może tak byśmy wrócili do tematu? – zaproponowała nerwowo.

– Czy mówiłam ci już, że prześledziłam karierę Johna Carra w wojsku i w CIA? – zapytała Friedman, ignorując uwagę agentki MI6.

– Nie wiem czemu, ale bez trudu uwierzyłam nawet w najbardziej nieprawdopodobne fragmenty.

– Wykonywałem swoją robotę. Tak samo jak ty.

– Niewielu ludzi wykonuje swoją robotę w taki sposób. Nie jesteś już nawet legendą, Johnie Carr. Jesteś mitem.

– Jestem człowiekiem z krwi i kości. Od początku wydawało mi się to całkiem oczywiste. – Podniósł rękę do opatrunku na głowie. –

A teraz jeszcze bardziej.

– Czy wiesz, że o twoich misjach i metodach uczą na zajęciach w CIA?

– Nie miałem pojęcia.

– Naturalnie nie wymienia się siebie z nazwiska, bo gdyby tak było, usłyszałabym o tobie znacznie wcześniej. Pogrzebałam jednak trochę w historii, sześćset sześćdziesiąt sześć.

Nigdy nie zawiodłeś.

– Wiele razy.

– Fałszywa skromność.

– Prawda.

– Nie wierzę ci.

– Słuchajcie, wydaje mi się, że naprawdę powinniśmy wrócić do rzeczy! – przerwała im Chapman zdesperowanym tonem.

– Będziesz pracowała z nami? – zapytał Stone. – Muszę znać odpowiedź, zanim zdecyduję się ujawnić ci nasz plan.

– Mówiąc wprost, żądasz ode mnie, bym położyła na szali całą swoją zawodową karierę. Jeżeli coś się nie uda, będzie po mnie.

– Jeżeli nam się nie uda, będzie nie tylko po tobie. Może nawet po jakimś mieście albo dwóch? Nanoboty utworzą Rosjanom powrót na wojenną ścieżkę. Jeśli natomiast mój plan wypali, ty też upieczesz swoją pieczeń.

– Możesz być pewien, że zdaję sobie sprawę w powagi sytuacji – odparła lodowatym tonem.

– Czyli wiesz, o co toczy się gra. Potrzebuję twojej pomocy.

– Turkekul spędził dużo czasu w Afganistanie. Oni lubią kroić swoich nieprzyjaciół na kawałki. Jak już to ze mną zrobią, oddadzą mnie Rosjanom, a ci na pewno nie są lepsi.

– Będę cię chronił tak jak siebie.

Przez jakiś czas w milczeniu patrzyła przez szybę. Wyraz jej twarzy stopniowo się zmieniał. Wreszcie spojrzała na niego.

– Pomogę ci.

– Dziękuję.

– Ale mogłeś zwrócić się do mnie w bardziej konwencjonalny sposób. Chyba na to zasługuję.

– Na pewno – odparł Stone.

75.

Dzień później Stone siedział w restauracji przy Czternastej Ulicy. Miał na sobie czarną marynarkę, białą koszulę i dżinsy. Wziął ze sobą broń, ale nie odznakę. Jego zdaniem ta pierwsza była teraz niezbędna, ta druga z kolei zupełnie bezwartościowa. W najdalszym kącie lokalu, w miejscu, z którego było dobrze widać drzwi wejściowe, siedział Harry Finn.

Popijał ginger ale, niespiesznie przeglądając menu. W kaburze pod pachą tkwił jego pistolet kalibru 9 mm. Mary Chapman, z waltherem w torebce, obserwowała z barowego stołka pozostałą część restauracji.

Troje uzbrojonych myśliwych czekało na zwierzynę.

Stone podniósł się z krzesła, gdy tylko tamci weszli do lokalu. Obok olśniewającej Friedman Turkekul sprawiał bardzo niepozorne wrażenie. Friedman miała na sobie czarny kostium, rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona. Jest piękną kobietą, przemknęło Stone'owi przez głowę. W jej zawodzie z pewnością nie było to wadą. Swoim wyglądem przyciągała określonych mężczyzn, którzy skupiali się na jej fizyczności, lekceważąc to, co stanowiło dla nich największe zagrożenie, czyli jej umysł.

Uścisnęli sobie dłonie i usiedli. Turek omiół wewnątrz lokalu szybkim spojrzeniem, po czym skoncentrował uwagę na Stonie, powoli rozkładając serwetkę na kolanach.

– Przyznam, że byłem mocno zaskoczony, kiedy panna Friedman przekazała mi pańską prośbę o spotkanie. Nie przypuszczałem, że jest pan wtajemniczony.

– Pozory często mylą.

Stone dyskretnie rozglądał się po sali. Na razie wszystko szło zgodnie z planem; za Turkekulem i Friedman weszło dwóch ochroniarzy, którzy teraz stali w pobliżu szatni.

Friedman powiedziała mu wcześniej, że kiedy pojawiała się obok Turkekula, ochrona miała przykazane trzymać się w większej

odległości. Ludzie Weavera byli czujni, ale spokojni.

Stone starał się nie pokazywać im twarzy, na wypadek gdyby go zapamiętali.

– W jakiej sprawie chciał się pan spotkać? – zapytał Turkekul.

– Jak układa się panu z Adelphią?

– Doskonale nam się współpracuje. Na razie moczę tylko stopy, jeśli można się tak wyrazić. Panna Friedman również służy mi wszelką pomocą.

– Faut ma nadzieję na wyraźny postęp w ciągu kilku najbliższych miesięcy – wyjaśniła Friedman.

Może odrobinę zbyt długo patrzyła Stone'owi w oczy, po czym zainteresowała się przyniesionym przez kelnera menu. Turkekul wykonał nieokreślony ruch dłonią.

– Na takie sprawy trzeba czasu, a Amerykanie są znani z tego, że wszystko chcą mieć na wczoraj!

– Istotnie, mamy taką opinię – przyznał Stone. – Najnowsze wydarzenia są jednak bardzo niepokojące.

Turkekul wziął kromkę chleba z koszyka stojącego na środku stołu, oderwał kawałek i włożył do ust.

– Ma pan na myśli bombę i całą resztę? – zapytał, strząsając okruszki na podłogę.

– Śmierć agenta FBI. Drugi wybuch. Zabójstwo człowieka ze Straży Parkowej.

Musimy to powstrzymać.

– Naturalnie, ale co to ma wspólnego ze mną?

– Sporo, bo odpowiedzialność za pierwszy zamach wzięła na siebie jemeńska organizacja terrorystyczna powiązana z Al-Kaidą. Pańskie zadanie polega na wytropieniu szefa Al-Kaidy.

Turkekul zaczął kręcić głową, zanim jeszcze Stone skończył mówić.

– Już powiedziałem, że ci Jemeńczycy są zupełnie niewiarygodni. Jestem przekonany, że nie mają nic wspólnego ani z pierwszym zamachem, ani z późniejszymi wydarzeniami.

– Dlaczego? – zapytał Stone spokojnie.

Turkekul podniósł palec.

– Po pierwsze, są na to zbyt prości. Tworzenie długoterminowych planów i ich realizacja nie należą do ich mocnych stron. Owszem, mogą podłożyć bombę pod samochód i wysadzić go w powietrze, ale to wszystko. – Uniósł drugi palec. – Po drugie, nie dysponują środkami umożliwiającymi przeprowadzenie tak złożonej misji. Niemal każdy z tych ludzi zginął w oddzielnym wypadku. To zdecydowanie przekracza ich możliwości.

– W porządku. W takim razie jak pan sądzi, kto to zrobił? Pański przyjaciel Osama? Z pewnością dysponuje zarówno środkami, jak i możliwościami.

Turkekul z uśmiechem pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby to był on.

– Z jakiego powodu?

– Ma w tej chwili inne sprawy na głowie.

– Na przykład jakie?

– Na razie nie mogę o tym mówić.

Stone pochylił się do przodu.

– Poprosiłem o to spotkanie, ponieważ chcę panu zaproponować pewien układ.

Turkekul ze zdziwieniem spojrział na Friedman, a następnie z powrotem na Stone'a.

– Ale ja przecież już zawarłem układ z waszym rządem!

– Nie powiedziałem, że chodzi o układ z rządem.

– Nie rozumiem – powiedział Turkekul, patrząc na Friedman.

– Musimy trochę przyspieszyć bieg wydarzeń – odezwała się. – A właśnie teraz nadarza się dobra okazja.

Skinęła głową Stone'owi.

– Wiemy, że mamy wśród nas szpiega – oświadczył, jakby tylko czekał na ten znak.

Turkekul zrobił wielkie oczy ze zdziwienia.

– Szpiega? Gdzie konkretnie?

– Blisko samej góry – odparł Stone. – Nie znamy jego tożsamości, ale wiemy, że jest planowany poważny zamach.

– Jak możecie temu przeciwdziałać, skoro nie wiecie, kim jest ten człowiek? – zapytał Turkekul z udawanym spokojem.

– To może się już niedługo zmienić. Jesteśmy w końcowej fazie pozyskiwania informatora, który nam to powie. Między innymi właśnie dlatego włączono mnie do gry, i z tego właśnie powodu tak mnie zainteresowała twoja obecność tutaj, Faut. Mogę tak do ciebie mówić, prawda?

– Oczywiście. Nie rozumiem jednak, co ja mogę mieć z tym wspólnego?

– Miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy drugą część rozmowy odbyli w innym, nieco bardziej odosobnionym miejscu? – zapytał Stone ściszone głosem.

Turkekul zerknął pytająco na Friedman, która skinęła głową.

– Myślę, że powinieneś to usłyszeć, Faut. Te sprawy mają bezpośredni związek z tobą.

Turek spojrział na ochroniarzy.

– Marisa wie, że nie podróżuję sam...

– Możemy to załatwić – odezwał się Stone.

Turek drgnął nerwowo.

– Jak?

– Całkiem prosto.

Odegrał małą scenę: dyskretnie, ale jednak zauważalnie, posłał znaczące spojrzenia Finnowi i Chapman, a ci odpowiedzieli w taki sam sposób.

– Naprawdę nie możemy porozmawiać tutaj? – spytał Turkekul z powątpiewaniem.

– Przecież ufasz Marisie, prawda? A Marisa ufa mnie, bo gdyby tak nie było, to nigdy by cię tutaj nie przyprowadziła.

– Oczywiście, że jej ufam.

– W takim razie w czym problem?

– Od razu widać, że nie mieszkałeś na Bliskim Wschodzie...

– Owszem, mieszkałem.

Stone powiedział parę słów najpierw w paszto, a potem po persku. Turkekul nie posiadał się ze zdumienia.

– Kiedy nauczyłeś się tych języków?

– Mam siwe włosy, od dawna siedzę w tym biznesie... Chodziło ci o to, że nie należy nikomu ufać, bo twój przyjaciel jest twoim przyjacielem tylko dopóty, dopóki nie stanie się twoim wrogiem?

– Właśnie.

– W takim razie powiem ci już teraz, dlaczego powinieneś zaryzykować i przystać na moją propozycję.

– Tak?

– Wydano fatwę. Całkiem prywatną.

– Fatwę? Na kogo?

– Na ciebie.

Turkekul pobladł.

– Na mnie? Nie rozumiem...

– Ktoś się dowiedział, że pomagasz Amerykanom, i postanowił temu przeciwdziałać.

Turkekul przenosił wzrok ze Stone'a na Friedman i z powrotem.

– Fatwa? Ale ja przecież jestem uczonym! Nikomu nie zagrażam!

– Ktoś odkrył, co robisz naprawdę. To jasne. Wszystko wskazuje na to, że właśnie ty jesteś celem zdrajcy, o którym wspomniałem. Wiedzą o twojej zdradzie.

– To... to niemożliwe!

– Nasze informacje pochodzą ze stuprocentowo pewnego źródła. Jak dobrze wiesz, znacznie usprawniliśmy działanie naszych służb wywiadowczych w tamtym rejonie świata.

– Kto wydał fatwę?

Kiedy usłyszał odpowiedź, zbladł jeszcze bardziej.

– To przecież...

– Zgadza się. Ludzie, których wyznaczyci do wykonania wyroku, nigdy nie chybiają.

Nie powiem, jak się nazywa ta grupa, ale wierz mi, dużo o nich słyszałeś.

Turkekul zgarbił się i nerwowo splatał i rozplatał palce. Stone przez jakiś czas przyglądał mu się bez słowa.

– Wiem, że twoja wiara zabrania ci spożywania alkoholu, ale może warto zrobić wyjątek? Potem powiemy ci, co chcemy, żebyś dla nas zrobił.

– Tak. Chyba tak. Może odrobinę wina...

Friedman skinęła na kelnera.

Dziesięć minut później Turkekul opuścił lokal w towarzystwie Friedman. Krótco potem Stone i Chapman wyszli tylnymi drzwiami

i wsiedli do czarnego cadillaca escalade z kuloodpornymi szybami i opancerzonym nadwoziem.

– Dobra robota, Oliver – zadudnił głos z tylnego siedzenia. – Przekaz był głośny i wyraźny. Słyszałem każde słowo – dodał sir James McElroy.

Stone opadł na skórzany fotel.

– Zaraz zobaczymy, czy ryba połknęła przynętę.

76.

– Przemieszcza się – odezwała się agentka Ashburn. Siedziała na przednim fotelu ze słuchawkami na uszach. Obejrzała się na Stone'a i Chapman. – Mam nadzieję, że się uda.

– Jeśli nie, wkrótce się dowiemy – odparł Stone.

– A co z jego ochroną? – zapytała Chapman.

– Dostali rozkaz, żeby zostawić go samego.

– Nie nabiorą podejrzeń?

– Ich zadanie polega na chronieniu go przed innymi, nie przed nim. Powiedział im, że kładzie się spać. Nie podejrzewali, że wymknie się z domu.

– Właśnie wsiadł do taksówki – odezwał się głos w słuchawkach Ashburn. – Pewnie wezwał ją z mieszkania. Jedzie na zachód.

– Na zachód? – zdziwił się Stone. – Wyjeżdża z miasta?

Ashburn skinęła głową.

– Właśnie przejechał przez Key Bridge. Teraz skręca w prawo, w kierunku Wirginii. – Klepnęła kierowcę w ramię. – Ruszamy.

Potężny SUV przejechał przez rzekę i skręcił w prawo na drogę szybkiego ruchu.

– Utrzymuj dystans – przykazała Ashburn kierowcy. – Wszędzie mamy naszych ludzi.

Nie ma mowy, żebyśmy go zgubili.

Stone nie był tego taki pewien. Dał temu wyraz, spoglądając z powątpiewaniem na Chapman. Ashburn obejrzała się z przedniego fotela.

– Wiecie o tym, że jeśli Weaver coś zwącha, wszystkich nas czeka ścieżka zdrowia?

– To nie będzie pierwszy raz – mruknął Stone.

Patrzył przez boczną szybę. Jechali chyba jedną z najpiękniejszych dróg w całym stanie; po obu stronach ciągnął się las, malownicze wzgórza schodziły stopniowo do Potomacu, w

oddali migotały światełka Georgetown. Stone nie podziwiał jednak widoków, tylko wypatrywał tylnych świateł taksówki.

– Skręca na parking widokowy – poinformowała ich Ashburn.

Stone domyślił się tego wcześniej.

– Zjedź na bok i zatrzymaj – poleciła Ashburn kierowcy, a następnie powtórzyła rozkaz do mikrofonu.

Stone nie miał pojęcia, ile samochodów FBI skierowało do akcji, ale wiedział, że Biuro zwykle przesadza z liczebnością swoich sił. Ta misja polegała nie na tym, by aresztować Turkekula i tego, z kim się spotka, ale żeby śledzić jego rozmówcę w nadziei, że doprowadzi ich do swoich mocodawców. Kto wie, czy nie do samego prezydenta Federacji Rosyjskiej.

– Obserwujemy teren przez noktowizory – poinformowała ich Ashburn. – Turkekul właśnie wysiada z samochodu i podchodzi do ogrodzenia.

– Czy jest tam jakiś inny pojazd? – zapytał Stone. – Nie widziałem żadnego, kiedy mijaliśmy parking.

Ashburn powtórzyła pytanie do mikrofonu.

– Skoro nikogo nie ma, to z kim on ma się spotkać? – zastanawiał się głośno Stone. – Przylecą śmigłowcem czy co?

Ashburn wyprostowała się gwałtownie.

– Świeatko w lesie przy ogrodzeniu!

– Przyszli od strony rzeki – domyślił się.

– Niezły spacer – zauważyła Ashburn, po czym rzuciła do mikrofonu: – Wszyscy na pozycje. Nie interweniować. Powtarzam: nie interweniować. To...

Padł strzał.

– Jedź! – ryknął Stone do kierowcy.

SUV ruszył z piskiem opon, zawrócił przez pas zieleni i popędził w kierunku parkingu.

– Ruszajcie! – krzyknęła Ashburn. – Powtarzam: ruszajcie!

Czarny cadillac wpadł na parking, Stone i Chapman wyskoczyli, zanim zdążył się zatrzymać. Stone podbiegł do leżącego nieruchomo ciała i przyklęknął przy nim. Sekundę później dogoniła go Chapman.

– Nie żyje – stwierdził Stone. – Rana wylotowa jest z przodu. Patrzył w kierunku rzeki, a więc strzał padł z drugiej strony szosy.

Ashburn już wykrzykiwała polecenia do mikrofonu. Oddział agentów popędził do lasu, z którego najprawdopodobniej strzelano do Turkekula, dwaj inni wyciągnęli z taksówki przerażonego kierowcę. Chapman podbiegła do ogrodzenia i spojrzała w dół.

– Światło pochodziło z latarki z włącznikiem czasowym – oznajmiła chwilę później, wróciwszy do Stone'a. Spojrzała na martwego Turka. – Czyżby rzeczywiście ktoś wydał na niego fatwę?

Stone pokręcił głową.

– Znow zatańczyliśmy tak, jak ktoś nam zagrał – stwierdził z goryczą.

– I co teraz?

– Teraz siedzimy w gównie po uszy. I właśnie przestaliśmy czuć dno pod stopami.

77.

Kiedy szef NIC dowiedział się o nieautoryzowanej operacji, która doprowadziła do utraty najważniejszego elementu w najpoważniejszym śledztwie, jakim miał okazję kierować podczas swojej dotychczasowej kariery, rozpętało się piekło. Gdyby Weaver mógł wydać rozkaz zlikwidowania Stone'a, Chapman i Ashburn, z pewnością by to zrobił. Burza nie ominęła nawet sir Jamesa McElroya, który zresztą od razu przyznał się do współudziału.

Kiedy jakiś czas później Stone i Chapman spotkali się z nim w ambasadzie brytyjskiej, odnieśli wrażenie, jakby McElroy raptownie postarzał się o kilka lat. Skurczył się, zgarbił, zgasł błysk w jego oczach. Chapman czuła się okropnie, zdając sobie sprawę, że go zawiodła.

Twarz Stone'a nie zdradzała żadnych uczuć, ale ci, którzy go dobrze znali, bez trudu domyśliliby się, że jego serce wypełnia wściekłość.

– Nic nowego w sprawie snajpera? – zapytał McElroy obojętnie, trzymając się za bok.

– Nic – przyznała Chapman. – Kiedy FBI dotarło na miejsce, jego już dawno nie było.

W pobliżu jest leśna droga. Wystarczy minuta, żeby zniknąć.

– No cóż, MI6 oficjalnie wycofało się z tej operacji – poinformował ich McElroy. – Wracam do Londynu najbliższym samolotem. Lecisz ze mną?

Chapman zerknęła na Stone'a, który wpatrywał się w ścianę, głęboko pogrążony w myślach.

– Wolałabym trochę później, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Muszę dokończyć parę rzeczy.

– Czy mogłabyś zostawić nas na chwilę samych? – poprosił jej szef.

Dziewczyna ponownie spojrzała na Stone'a, po czym wyszła. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, Stone odwrócił się do

przyjaciela.

– Niezły pieprznik – zauważył McElroy.

– Zgadza się.

– Mimo to nadal uważam, że warto było spróbować. Ludzie padali jak muchy.

– Dodaliśmy jeszcze jedno nazwisko do tej listy.

– Teraz, kiedy Turkekul nie żyje, sprawa może zostać zamknięta.

Stone usiadł w fotelu.

– Jak to?

– Turkekul był ich szpiegiem.

– Dlaczego więc go zabili?

– Bo go zdemaskowałeś.

– Skąd o tym wiedzieli?

McElroy rozłożył ręce.

– A skąd wiedzieli o innych rzeczach? Nie mam pojęcia.

– Cofnięto mi wszystkie pełnomocnictwa – przyznał Stone. – Cierpliwość prezydenta miała granice. Wcale mu się zresztą nie dziwię.

– A co z naszą agentką FBI?

– Ashburn? Czarna krecha w aktach i uziemienie za biurkiem. Miała dość oleju w głowie, żeby wcześniej uzyskać poparcie kogoś z góry, więc wywinie się stosunkowo małym kosztem, ale oczywiście nie jest zadowolona.

– To jasne. – McElroy poklepał Stone'a po ramieniu. – Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Niektóre misje kończą się sukcesem i wszyscy są szczęśliwi, a niektóre nie i nic nie da się na to poradzić.

– Wcale nie jestem pewien, czy moja misja już się skończyła.

– Nasza z pewnością. Nie raz i nie dwa działałem wbrew systemowi. Wczoraj też tak było, ale wiem też, kiedy trzeba rzucić ręcznik na ring. Gdyby tak nie było, nie przetrwałbym tak długo.

Wstał, opierając się o stolik. Stone podążył za nim wzrokiem.

– Może masz rację. Co prawda sam to powiedziałem, ale wtedy chyba w to nie wierzyłem.

– Co powiedziałeś?

– Że już nie jestem taki jak dawniej.

– Nikt z nas nie jest, Oliverze. Nikt.

McElroy wyszedł. Do pokoju wróciła Chapman i usiadła naprzeciwko Stone'a.

– Ani trochę nie żałuję, że spróbowaliśmy – oświadczyła. – Gdybym mogła, zrobiłabym to jeszcze raz. To dużo lepsze niż czekanie beczynnienie, aż ktoś inny coś zrobi.

– Dzięki. Jakie to rzeczy musisz tu dokończyć przed powrotem?

– Nie wiem. Myślałam, że ty mi powiesz.

Stone przechylił głowę.

– Nie rozumiem.

– Przecież nie zostawisz tego?

– A co innego mogę zrobić? Zostałem oficjalnie odsunięty od śledztwa.

– „Oficjalnie” nie znaczy „praktycznie”, a sądząc po tym, jak działasz, takie drobiazgi nie mają dla ciebie większego znaczenia.

– Nawaliłem na całej linii. Weaver szuka sposobu, żeby wpakować mnie do pudła.

– Nie myśl o nim. Wciąż mamy sprawę do rozwiązania. Moim zdaniem śmierć Turkekula niczego nie zmieniła.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Co przez to rozumiesz?

– Daj spokój, podsłuchiwałam pod drzwiami. Przecież sam powiedziałeś McElroyowi, że misja nie jest zakończona!

– Bo nie jest. Nie wiem jednak, co dobrego mógłbym zrobić.

– Bo nie jesteś już taki jak kiedyś?

– Chyba rzeczywiście podsłuchiwałaś...

– No jasne.

Stone zastanawiał się przez chwilę, a następnie powiedział: – To już koniec, Mary. Wracaj do Londynu. Uciekaj ode mnie. Jestem jak siedlisko zarazków, a ty masz przed sobą jeszcze długą karierę.

Wstał, ale zanim zdążył zrobić choć jeden krok, chwyciła go mocno za ramię.

– John Carr nigdy by tak nie postąpił.

– Masz rację. Ale ja nim nie jestem. Już nie.

Chwilę potem zamknął za sobą drzwi.

78.

– Wpadłem tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro.

Stone stał w progu biura Marisy Friedman przy Jackson Place. Kobieta przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Miała na sobie dzinsy, bawełnianą bluzkę i sandały, była potargana, a na lewym policzku miała smugę brudu. Przy ścianie piętrzyły się kartonowe pudła do przewodów.

– W porządku – odezwała się wreszcie. – Choć nie musiałeś tego robić. Operacja się nie powiodła, były ofiary. Tak to już jest. Zgodziłam się wejść do gry, ale miałam za słabe karty.

– Nieautoryzowana operacja – poprawił ją Stone. – Ja jestem odpowiedzialny.

Wzruszyła ramionami.

– Jakie to ma znaczenie?

– Przeprowadzasz się?

– Zwijam interes.

– Polecenie z góry?

– Przede wszystkim to nigdy nie był mój interes. Wszystkie rachunki płacił Wuj Sam.

No i oczywiście zgarniał zyski. Gdyby to było moje, żyłabym już całkiem dostatnio.

Przez sekundę lub dwie patrzyli sobie w oczy.

– Właśnie zaparzystałam kawę. Napijesz się?

– Chętnie, choć szczerze mówiąc, trochę się dziwię, że jesteś dla mnie taka miła.

– Wierz mi, długo nad tym myślałam.

Usiedli przy biurku. Stone upił łyk kawy i zapytał: – Co teraz?

– Dobre pytanie. Ja mogę zacząć sobie szukać nowej pracy.

Stone aż otworzył usta ze zdziwienia.

– Serio?

– Tak. Faut Turkekul był jedynym śladem, który mógł pomóc nam ocalić świat przed czymś, co moi przełożeni nazywali Drugim

Przyjściem Stalina. A ja go straciłam.

– Nieprawda. To ja go straciłem. I powiedziałem o tym Weaverowi prosto w twarz.

– To bez znaczenia. Ja z kolei nie dostałam zgody, bo nawet o nią nie wystąpiłam.

Wiedziałam, że nikt nigdy mi jej nie da.

Rozejrzał się po biurze.

– Co teraz zrobisz?

– Przez najbliższy rok będę pewnie pisała raporty, wyjaśnienia, wyjaśnienia wyjaśnień i licho wie, co jeszcze, broniąc się przed tajną komisją śledczą, która będzie się starała zrobić wszystko, żeby nie skończyło się na moim zwolnieniu.

– Grozi ci więzienie?

– Na to wygląda.

Stone odstawił filiżankę.

– A w sektorze prywatnym?

Pokręciła głową.

– Bez szans. Wszyscy, którzy mogliby mnie zatrudnić, pracowali wcześniej dla agencji rządowych i wiedzą, że lepiej nie wchodzić im w drogę. Jestem persona non grata.

– Podejrzewam, że to nie jedyny twój problem...

– Rzeczywiście. Rosjanie wiedzą, co chcieliśmy zrobić z Fautem, a to znaczy, że wiedzą o mnie. Będą się starali mnie zabić, choćby dla zawodowej satysfakcji.

– Nie będziesz miała ochrony?

– Nie. Agencja zerwała ze mną natychmiast, gdy tylko wyszła na jaw nasza mała Zatoka Świń. Po latach nienagannej służby wystarczyła jedna wpadka, żeby odmówili mi jakiegokolwiek wsparcia. – Uśmiechnęła się z rezygnacją. – Tylko dlaczego mnie to dziwi?

Stone obserwował ją w milczeniu, sącząc powoli kawę. Friedman obrzuciła pomieszczenie wzrokiem.

– Może to śmiesznie zabrzmie, ale zdążyłam polubić to miejsce.

– To zrozumiałe.

– Byłam szpiegiem, ale byłam też kobietą interesów. I chyba całkiem niezłą lobbystką.

– Jestem tego pewien.

Spojrzała na niego.

– A co z tobą?

– Ze mną?

– Daj spokój. Wrzaski Weavera słychać było aż w Wirginii.

Wzruszył ramionami.

– Długo byłem na uboczu, więc po prostu tam wrócę. Tym razem na dobre.

– Weaver ci nie odpuści.

– Wiem o tym.

– Zamieni twoje życie w piekło.

– O tym też wiem.

– Zastanawiam się, czy nie powinnam uciec na jakąś bezludną wyspę, gdzie nie znajdzie mnie ani on, ani Rosjanie.

– Jest takie miejsce?

– Warto spróbować.

– Do tego trzeba pieniędzy.

– Sporo odłożyłam.

– Ja wcale.

Przyjrzała mu się.

– Chciałbyś się dołączyć?

– Na pewno nie potrzebujesz takiego bagażu.

– Kto wie. My dwoje przeciwko całemu światu...

– Tylko bym ci przeszkadzał.

– Coś mi mówi, że niekoniecznie. Dwoje starych szpiegów w poszukiwaniu spokoju.

– Nie jesteś stara, Mariso.

– Ani ty, John.

– Oliver.

Wstała i podeszła do niego.

– Chwilowo niech będzie John.

– Dlaczego?

Pocałowała go. Cofnął się, zaskoczony.

– Zrujnowałem ci karierę – przypomniał jej.

– Albo otworzyłeś mi oczy.

Przycisnęła się do niego całym ciałem, mało nie spychając go z fotela. Poczł jej zapach; podziałał jak iskierka na beczkę prochu w magazynie uśpionych zmysłów. Mimo to cofnął się ponownie i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Zjeździłem chyba cały świat, ale w życiu nie czułem czegoś takiego. Niemal rozerwało mi głowę.

Uśmiechnęła się.

– Odkryłam te perfumy w Tajlandii. U nas nie można ich dostać. Nazwa w wolnym przekładzie znaczy mniej więcej tyle co „dwa serca jak jedno”. Podobno silnie działają na mężczyzn. Mam na myśli działanie emocjonalne.

– Potwierdzam.

– Nie odrzucaj tak szybko mojej oferty – poprosiła.

– W porządku, ale od razu mogę ci powiedzieć, że to szaleństwo.

– Nic, czego bardzo pragniesz, nie jest szaleństwem. – Wyprostowała się. – Nie sądzisz, że zasługujesz na odrobinę szczęścia? Na trochę spokoju po tym wszystkim, przez co przeszedłeś?

Zawahał się.

– Zastanowię się.

Musnęła palcami jego policzek.

– Tylko o to proszę, John. Długo czekałam na kogoś takiego jak ty. Owszem, moja kariera legła w gruzach, ale może zyskałam coś, co ją bez trudu zastąpi.

– Przecież mogłabyś mieć każdego, kogo zechcesz. Dlaczego wybrałaś właśnie mnie?

– Bo jesteś taki jak ja.

79.

Stone obudził się i rozejrzał dookoła. Leżał na wojskowej pryczy w swoim domu.

Była druga nad ranem. Wstał, wziął prysznic, sam nie wiedząc czemu wyjątkowo długo szorując skórę i włosy. Następnie wytarł się i ubrał. Opuściwszy biuro Marisy Friedman, godzinami błąkał się bez celu, aż wreszcie rozboleły go nogi. Zaraz po powrocie do domu rzucił się na łóżko i zasnął w okamgnieniu.

Łyknął trzy aspiryny i usiadł na łóżku, czekając, aż minie ból głowy. Dwie utraty przytomności w niewielkim odstępie czasu. W wieku dwudziestu lat nie wywarłoby to na nim żadnego wrażenia, teraz – owszem. Przyszła pora, kiedy trzeba za wszystko zapłacić. Jeszcze raz i może być po nim. A może dlatego nawaliłem? Bo dwa razy mało nie wyleciałem w powietrze?

Wrócił myślami do Marisy Friedman. Bezludna wyspa. Dwoje starych szpiegów.

Dotknął ust, przypomniawszy sobie jej pocałunek. Skłamałby, twierdząc, że nie zareagował na niego, tym bardziej że dała dość jasno do zrozumienia, iż wcale nie musiałyby skończyć się na pocałunku.

A jej propozycja, żeby wyjechać razem? Była piękną i inteligentną kobietą. Znała świat, w którym żył od tylu lat. W pierwszej chwili uznał jej pomysł za niepoważny. Obiecał, że się zastanowi tylko po to, by nie sprawić jej przykrości.

A teraz? Teraz zastanawiał się całkiem serio. Co mu tu zostało? Oczywiście przyjaciele, ale z jego powodu czekały ich ciężkie czasy. Riley Weaver już się o to zatroszczy. Tak, wszystko rozpadło się zadziwiająco szybko...

Ból głowy wreszcie zelżał. Stone włożył marynarkę i wyruszył na obchód doskonale znanego terenu. Mimo ciemności potrafił rozróżnić każdy nagrobek, każdą ścieżkę i każde drzewo. Zatrzymał się przed kilkoma najstarszymi grobami. Niekiedy rozmawiał z tymi

ludźmi, zwracając się do nich po imieniu. Pomagało, choć nigdy nie doczekał się odpowiedzi.

Łatwiej było mu skupić się na jakimś istotnym problemie.

A teraz miał ich całe mnóstwo.

Usłyszał delikatny szelest za plecami i odwrócił się szybko.

– Czy ty nigdy nie śpisz?

Ścieżką zbliżała się Chapman. Miała na sobie czarne spodnie, białą bluzkę i skórzaną kurtkę, a pod nią oczywiście kaburę z waltherem.

– Ciebie mógłbym zapytać o to samo.

– Szukałam cię.

– Dlaczego?

– Jesteś głodny?

Dopiero teraz uświadomił sobie, że tak, jest głodny, nawet bardzo. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał coś w ustach.

– Tak.

– Ja też.

Zerknął na zegarek.

– Waszyngton śpi o tej porze. Wszystko pozamykane.

– Znam całodobową restaurację w Wirginii.

– Jak ją znalazłaś?

– Cierpię na bezsenność. Dlatego wszędzie, gdzie jestem, szukam miejsc, gdzie można zjeść coś w środku nocy.

– W takim razie jedźmy.

Przejechali przez rzekę i skręcili w drogę numer 123. Nie było ruchu, ani razu nie zatrzymało ich czerwone światło, więc już niedługo wjechali na parking restauracji Amphora w miejscowości Vienna. Stało tam około dziesięciu samochodów. Stone rozejrzał się ze zdziwieniem.

– Nie miałem pojęcia, że tu jest coś takiego. I chyba nawet cieszy się popularnością.

Chapman wysiadła z wozu.

– Powinieneś częściej wychodzić z domu – zauważyła, zamykając drzwi biodrem.

Oboje zamówili zestawy śniadaniowe. Posiłek pojawił się błyskawicznie, przyniesiony przez kelnera w białej marynarce i pod

krawatem. Jak na niemal trzecią nad ranem, kelner wręcz tryskał entuzjazmem.

– Wpadłam do ciebie wcześniej, ale nie było cię w domu – powiedziała Chapman.

Stone przełknął porcję jajecznicy.

– Musiałem wyjść.

– Dokąd?

– Czy to ma znaczenie?

– Jednak powiedz.

– Jeżeli masz jakiś problem, to się nim podziel.

Chapman odkroiła kawałek bekonu.

– Więc tak po prostu rezygnujesz? To niepodobne do Johna Carra, o którym słyszałem.

– Mam trochę dosyć ludzi, którzy co chwila rzucają tym nazwiskiem. Powinienem nałożyć pelerynę i rozwiązać problemy całego świata? Może nie zauważyłaś, ale tamto było wiele lat temu, a teraz mam wystarczająco dużo własnych kłopotów na głowie.

– W takim razie przepraszam – powiedziała Chapman, podnosząc się z miejsca. – Wydawało mi się, że jednak coś cię jeszcze obchodzi.

Złapał ją za rękę i zmusił, żeby usiadła.

– Uważaj, bo wydrapię ci oczy! – syknęła.

– A ja bym wolał, żebyś zdobyła się na odrobinę rozsądku.

– Ej, koleś!

Stone odwrócił się i zobaczył zwalistego mężczyznę stojącego tuż obok ich stolika.

– Na twoim miejscu zostawiłbym tę panią w spokoju – powiedział nieznajomy, kładąc mu rękę na ramieniu.

Chapman natychmiast zauważyła błysk w oczach Stone'a i napięcie mięśni świadczące o tym, że przygotował się do zadania ciosu.

– Wszystko w porządku – powiedziała szybko i pokazała odznakę. – Posprzecaliśmy się o to, kto ma zapłacić. Ale dzięki za dobre chęci, skarbie.

– Na pewno?

Stone strząsnął jego rękę z ramienia.

– Na pewno, skarbie! – warknął.

W milczeniu dokończyli posiłek i wrócili przed bramę cmentarza, ale Stone nadal siedział bez ruchu. Chapman zerknęła na niego z ukosa.

– Dzięki za śniadanie – powiedział wreszcie.

– Nie ma za co.

W samochodzie znowu zapadła cisza. Na wschodzie niebo zaczynało powoli jaśnieć.

– Nie lubię przegrywać – stwierdził Stone.

– Rozumiem cię. Ja też nie lubię. Dlatego kiedy coś zaczynam, robię wszystko, żeby to skończyć. Jestem pewna, że ty też.

– Tak, ale nikt mnie nie pytał, czy chcę zacząć tę sprawę.

– Co masz na myśli?

– Nic takiego.

– Powiedz mi, proszę.

– To skomplikowane.

– Wszystko jest skomplikowane, do cholery!

Stone patrzył przez szybę, jakby spodziewał się zobaczyć coś interesującego.

– To coś w rodzaju mojej pokuty.

– Pokuty? Za to, że ktoś ucierpiał z powodu tego, co robiłeś?

– Właśnie.

– A teraz, kiedy misję szlag trafił?

– Nie wiem, Mary. Naprawdę nie wiem, co to dla mnie oznacza.

– W takim razie postaw na swoim.

Spojrzał na nią.

– Jak to?

– Po prostu dokończ to cholerne śledztwo!

– Nie bardzo wiem, gdzie zacząć...

– Zwykle zaczyna się od początku.

– Już próbowaliśmy.

– Jeśli oczekują, że skreścimy w lewo, skreścimy w prawo.

– To też zrobiliśmy i spójrz, do czego to doprowadziło.

– Skreścmy więc jeszcze bardziej. Jakies pomysły?

Zastanawiał się przez dobrą minutę, a ona nie spuszczała go z oka.

- Żadnych – przyznał wreszcie.
- A ja mam jeden. Tom Gross.
- Martwi nie mówią.
- Nie o to mi chodzi.
- A o co?
- Pamiętasz, jak siedzieliśmy wtedy w kawiarni, a on powiedział nam, że jest śledzony?
- Tak. I cóż tego?
- Powiedział też, że ufa tylko jednej osobie na świecie. Stone natychmiast sobie przypomniał.
- Swojej żonie...
- Zastanawiam się, czy ufał jej na tyle, żeby powiedzieć jej o czymś, co może nam się przydać?
- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.
- A więc wracasz do gry?
- Zawahał się.
- Nieoficjalnie. Inaczej już zresztą nie mogę.

80.

O dziewiątej rano Chapman zadzwoniła do pogrążonej w żałobie Alice Gross i poprosiła o spotkanie. Wczesnym popołudniem przyjechała ze Stone'em do skromnego piętrowego domku w Centreville w Wirginii. Alice Gross z całą pewnością wyglądała jak kobieta, która dopiero co straciła męża: była blada, miała zaczerwienione oczy i potargane włosy, w jednej ręce ścisnęła chusteczkę, w drugiej trzymała butelkę z wodą. Zaprowadziła ich do niedużego salonu.

Na stoliku leżała książka do kolorowania, na podłodze kij baseballowy i jakieś zabawki. Kiedy Stone zobaczył fotografię przedstawiającą rodzinę Grossów z czwórką dzieci w wieku od trzech do czternastu lat, wzdrygnął się i szybko opuścił wzrok. Kątem oka spostrzegł, że Chapman zareagowała w taki sam sposób. Usiedli na kanapie, Alice Gross zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko.

– Pani mąż był wspaniałym agentem – zaczął Stone. – Wszyscy ogromnie przeżyliśmy tę stratę.

– Dziękuję. Wiecie, że będzie specjalna msza żałobna w jego intencji?

– Tak, wiemy. Z pewnością na nią zasługuje.

– Podejrzewam, że byłby raczej trochę zażenowany. Nigdy nie lubił zwracać na siebie uwagi. To nie było w jego stylu. Po prostu wykonywał swoją pracę i nie interesowało go, kto na końcu zgarnie nagrodę.

Jadąc tu, Stone obawiał się, że FBI zdradziło wdowie prawdziwe okoliczności śmierci jej męża, a więc poinformowało ją także o roli, jaką w tym nieszczęśliwym splocie zdarzeń odegrał on, Stone. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że tak się nie stało.

– Robimy, co w naszej mocy, żeby schwytać sprawców – odezwała się Chapman.

– To dobrze. – Kobieta pociągnęła nosem. – Tom bardzo angażował się w pracę. Często zostawał po godzinach.

– Krótco przed śmiercią wspomniał, że ma pewne obawy dotyczące swojego bezpieczeństwa. Podobno ktoś go śledził.

Gross skinęła głową.

– Jego ludzie. O to też mnie pytali. Mam na myśli tych z FBI.

– I co pani im powiedziała?

Kobieta spojrzała na nich z zaskoczeniem.

– To wy nie jesteście z FBI?

– Współpracujemy z nimi – odparł ostrożnie Stone.

– Ja jestem z MI6 – wtrąciła pospiesznie Chapman. – Mąż może o mnie wspominał.

– Ach, tak. Więc to pani jest tą Angielką. Tom mówił mi o pani. Bardzo panią cenił.

– Miło mi to słyszeć.

Kobieta westchnęła.

– Ci z Biura byli tym bardzo poruszeni. Tym, że Tom uważał, że go śledzą. Chyba mu nie uwierzyli.

– A pani mu uwierzyła?

– Tom w to wierzył i to było dla mnie najważniejsze.

– Ma pani całkowitą rację – powiedziała Chapman.

Stone pochylił się do przodu.

– Tom powiedział nam coś o pani.

– O mnie? – zdziwiła się.

– Tak. Że jest pani jedyną osobą na świecie, której ufa. Z oczu Alice Gross popłynęły łzy. Pospiesznie otarła je chusteczką.

– Zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy. Kochał swoją pracę, ale mnie kochał jeszcze bardziej. Wiem, że nie powinien rozmawiać ze mną o tym, co robił, ale często tak się zdarzało, a ja mówiłam mu, co o tym myślę. I czasem miewałam rację.

– Z pewnością stanowiła pani dla niego ogromne wsparcie – stwierdziła Chapman.

– Skoro tak bardzo pani ufał, to może wspomniał coś o tej sprawie? Przypomina pani coś sobie? Cokolwiek?

Alice Gross położyła na kolanach splecione dłonie i zmarszczyła brwi.

– Pamiętam tylko te jego obawy, że ktoś go śledzi.

– Nic więcej? – nie dawała za wygraną Chapman. – To może być zupełne głupstwo, na które wtedy ledwo zwróciła pani uwagę.

Kobieta zaczęła kręcić głową, lecz nagle znieruchomiała i podniosła wzrok.

– Rzeczywiście, powiedział coś któregoś wieczoru.

– Co to było?

– Jak się nazywa ten agent ATF, który z nim pracował?

– Stephen Garchick.

– Właśnie. Rzadko spotykane nazwisko.

– O nim coś powiedział?

– Było już późno i szykowaliśmy się do spania. Umył zęby, wyszedł z łazienki i powiedział, że musi sprawdzić coś, czego dowiedział się od Garchicka.

– Powiedział, co to było?

Alice Gross przymknęła oczy, wyęzając pamięć.

– Coś o bombie... O tym, z czego ją zrobiono...

Chapman i Stone spojrzeli na siebie.

– I zamierzał też zainteresować się bliżej nanotechnologią.

– Powiedział pani o nanobotach?

– Tak, ale szczerze mówiąc, niewiele z tego zrozumiałam.

– Czy jego zdaniem istniał jakiś związek między informacjami, które uzyskał od Garchicka, a tym, czego chciał się dowiedzieć na własną rękę?

– Tego nie powiedział. Tylko to, co powtórzyłam. I że to może być ważne, bo właśnie o czymś sobie przypomniał. Ale nie powiedział mi o czym.

– O czymś sobie przypomniał... – powtórzył Stone z zastanowieniem. – Zrobił to, co zamierzał?

– Wątpię.

– Dlaczego?

W oczach kobiety znowu załśniły łzy.

– Bo następnego dnia już nie żył.

81.

– W jaki sposób dotrzemy do Garchicka? – zastanawiała się Chapman, kiedy ruszyli przed domu Grossów. – Oficjalna droga nie wchodzi w grę. Ja powinnam właśnie lecieć do Londynu, a ty...

– Właśnie – przerwał jej Stone. – Ja. – Sięgnął po telefon. – Przecież mogę do niego zadzwonić.

Wybrał numer z książki telefonicznej.

– Jeżeli gdzieś go ukryli, może nie odbierać telefonu – zauważyła Chapman. – Szczególnie jeżeli powiedzieli mu, co się stało.

Jednak ktoś odebrał.

– Witaj, Steve. Tu agent Stone... Zgadza się. Znikłeś tak nagle, że zaczęliśmy się niepokoić, ale potem dowiedzieliśmy się co i jak... Jasne... Wiesz, chętnie spotkalibyśmy się z tobą, jeśli to możliwe... Tak, rozumiem, ale w takim razie czy mógłbym zapytać cię o coś, co agent Gross...

Chapman gwałtownie skrzyła w prawo, uderzając kołem w krawężnik. Niewiele brakowało, żeby Stone wybił głową przednią szybę. Samochód znieruchomiał. Z przodu i z tyłu blokowały go dwa ogromne SUV-y. Wysiadło z nich kilku mężczyzn; bez pośpiechu szli w ich kierunku.

O nie. Znowu?

Jeden z nich podszedł do samochodu od strony pasażera i zapukał w szybę. Stone opuścił ją, a wtedy mężczyzna podał mu jakiś papier.

– Co to jest? – zapytał Stone.

– Wezwanie na świadka przed specjalną komisję Kongresu. Z pozdrowieniami od dyrektora Weavera. Jeśli macie choć trochę oleju w głowie, na przyszłość trzymajcie się z daleka od rodziny Toma Grossa.

Chwilę potem mężczyźni wrócili do swoich pojazdów i odjechali. Stone opuścił wzrok na dokument, usłyszał jakiś przyciszony głos i

przypomniawszy sobie, że upuścił telefon na podłogę. Podniósł go szybko i przycisnął do ucha.

– Jesteś tam, Steve? Przepraszam, mieliśmy małe problemy. Słuchaj, czy mógłbyś...

Halo? Halo?

Odłożył telefon.

– Przerwane połączenie.

Chapman ponownie ruszyła.

– Ludzie Weavera dotarli pewnie i do niego.

– Z pewnością.

– A my już się nie dowiemy, co Garchick powiedział Grossowi.

– Może coś, co powiedział również nam? Jeśli dobrze pamiętam, zwykle Gross był z nami, kiedy spotykaliśmy się z Garchickiem.

– Jakoś nie mogę sobie przypomnieć niczego nadzwyczajnego. – Chapman zerknęła na dokument. – Na kiedy masz wezwanie?

Stone przebiegł wzrokiem po kartce.

– Na jutro. Podkomisja do spraw wywiadu.

– Krótki termin. Wolno im robić coś takiego?

Stone przeczytał dokument jeszcze raz, uważniej.

– Powołują się na zagrożenie bezpieczeństwa narodowego. Wolno im wszystko.

– Szczęściarz z ciebie.

– Jasne – wycedził. – Cholerny szczęściarz.

– Potrzebujesz adwokata?

– Pewnie tak, ale nie stać mnie na niego.

– Mam zapytać sir Jamesa, co może zrobić w tej sprawie?

– Myślę, że sir James ma mnie już serdecznie dosyć.

– Nie bardziej niż mnie. Może by go czymś zainteresować?

– Trzeba będzie zacząć od samego początku i prześledzić wszystko krok po kroku.

– W laptopie mam wideo z parku i mnóstwo notatek. Zanim wypadliśmy z łask, agentka Ashburn przekazała mi też mnóstwo innych materiałów.

– Jedźmy więc.

W jej pokoju hotelowym zorganizowali coś na kształt miniaturowego centrum dowodzenia. Pracowali bez wytchnienia

przez kilka godzin, przeglądając materiały filmowe i dokumenty zapisane na twardym dysku komputera Chapman.

– Jedno jest pewne – powiedział w pewnej chwili Stone, patrząc na ekran.

Chapman natychmiast znalazła się u jego boku.

– Widzisz tę kobietę, która podlała drzewo trucizną?

– Co z nią? Tu akurat wszystko wydaje się oczywiste.

Stuknął w klawisze, powiększając obraz.

– Cały czas dziwiłem się, że zatrudnili kogoś do wykonania tak drobnego zadania...

– Wcale nie było takie drobne – zaprotestowała Chapman. – Praktycznie rzecz biorąc, od tego wszystko się zaczęło.

– Nie mówię o zatruciu drzewa, tylko o Judy Donohue. Wprowadzać ją do gry tylko po to, żeby nakłamała nam o Sykesie i skierowała podejrzenia w jego stronę? Przecież mogli to zrobić w inny sposób. Teraz wiem w jaki.

– Nie rozumiem...

– Spójrz na wierzch dłoni tej kobiety.

Chapman powiększyła obraz jeszcze bardziej.

– Ręka jest bardzo brudna, ale jeśli się przyjrzysz, na pewno to zobaczysz.

– Tatuaż! – wykrzyknęła. – Tatuaż przedstawiający ptaka. Taki sam, jaki miała Donohue. A więc to ona była tą bezdomną kobietą!

– Wykorzystali ją najpierw wtedy, a potem po raz drugi, żeby wkopać Sykesa. Dla jej szefów chyba nie miało znaczenia, czy jej się uda, czy nie. Sykes i tak musiał zginąć, tak samo jak ona.

Chapman przez jakiś czas szperała w notatkach.

– Garchick wspomniał przy jakiejś okazji, że zamachowcy lubią najpierw dokonać próbnego wybuchu, żeby się upewnić, czy wszystko działa jak należy...

– Ale zwykle robią to gdzieś na uboczu, żeby nie wzbudzać podejrzeń. O ile można zdetonować bombę, nie wzbudzając podejrzeń, ma się rozumieć.

– Park Lafayette’a nie leży na uboczu, co znaczy, że to wcale nie był próbny wybuch.

To musiała być zasadnicza misja albo jakaś jej część.

Stone skinął głową.

– Racja. Musiało dojść do tego wybuchu, żeby potem mogło się wydarzyć coś innego.

– Mamy listę imprez, które zaplanowano w parku...

– Wątpię, żebyśmy znaleźli tam wyjaśnienie.

– Słusznie. Część imprez może zostać odwołana, pozostałe być może przeniesiono w inne miejsce. Za dużo niepewności.

– Otóż to.

– Uniwersalny nanobot, który może podszyć się pod dowolną substancję?

W lot pochwycił, do czego zmierza.

– I w ten sposób rozprzestrzenić groźną epidemię, na przykład węglika?

Chapman pokręciła głową.

– Ale w takim razie po co posługiwać się bombą schowaną pod drzewem w parku naprzeciwko Białego Domu? To bez sensu.

– Istotnie – przyznał jej rację Stone. – To wszystko od początku nie ma sensu, tylko dlatego, że wciąż patrzymy z niewłaściwej strony.

– Wiesz co? Wróćmy tam, gdzie to się zaczęło.

– Do parku?

– Do Diabelskiego Zaułka. Pora zacząć nazywać rzeczy po imieniu. Oficjalna nazwa nigdy mi się nie podobała.

– Dlaczego?

– Bo pochodzi od jakiegoś cholernego Francuza – warknęła Chapman.

82.

Chodzili po parku przez kilka godzin, nie omijając żadnego zakątka. Starali się spojrzeć na sprawę z innej perspektywy, lecz i tak wciąż dochodzili do tych samych wniosków. Tych samych, a więc błędnych. Stone'a zdziwiło trochę, że nikt nie zapytał ich, co robią, albo że po prostu nie wyprowadzono ich z parku. Najwyraźniej Riley Weaver nie zawracał sobie głowy tak mało istotnymi szczegółami. Zapewne siedział teraz w swoim gabinecie otoczony doradcami i prawnikami i szykował strategię na przesłuchanie przed podkomisją. Głównym i jedynym celem tej strategii było unicestwienie Olivera Stone'a.

Chodził tam i z powrotem, każde miejsce i każdy przedmiot oglądał ze wszystkich stron. Chapman to samo robiła po drugiej stronie parku. Mijali się już kilkakrotnie; początkowo mieli miny pełne nadziei, lecz teraz już im zrzędyły.

Po raz kolejny spojrzął na budynek rządowy, z którego padły strzały, a potem na hotel Hay-Adams. Następnie rozejrzał się dookoła, przypominając sobie, gdzie dokładnie tamtego wieczoru znajdowała się każda z czterech osób obecnych w parku, i odtworzył w myślach ich ruchy. Friedman siedziała, Turkekul stał, Padilla biegł. Z kolei brytyjski agent szedł za nim, w wyniku czego stracił ząb. Wybuch, siła podmuchu zwała go z nóg. Teraz Turkekul i Padilla już nie żyją, Friedman z hukiem wyleciała z pracy, brytyjski agent od dawna siedział w domu.

Nawet się nie dowiedzieli, jak się nazywał. Może należało z nim porozmawiać? Ale czy to by cokolwiek zmieniło?

Zatrzymał się w pobliżu dawnego biura Marisy Friedman przy Jackson Place. Gapiąc się na starą kamienicę, wrócił myślami do ich ostatniego spotkania. Gdyby zechciał, skończyłoby się zupełnie inaczej... Dlaczego właściwie nie chciał?

– Masz coś?

Odwrócił się. Chapman spojrziała najpierw na budynek, na który przed chwilą się gapił, a potem znowu na niego.

– Wywiadowcza kariera Friedman dobiegła końca. Dzięki mnie.
– Jest dorosła. Nikt jej do niczego nie zmuszał.
– Ale też nie miała wyboru.
– Zawsze jest wybór. Dokonujesz go, a następnie musisz się pogodzić z konsekwencjami. – Umilkła na kilka sekund, po czym zapytała: – Zamierzasz się z nią spotkać?

Zerknął na nią z ukosa.

– Co masz na myśli?

– Kiedy ostatnio się z nią widzieliśmy... Nawet ślepiec by zauważył.

– Co?

Odwróciła się w kierunku dziury w ziemi, od której zaczął się ich wspólny koszmar.

– Nie – powiedział, trochę zaskoczony własną decyzją. – Nie zamierzam się z nią spotkać.

– To mądre postanowienie – odparła Chapman.

Kiedy zaczęło się ściemniać, wrócili do jego domu.

Przez kilka minut siedzieli w samochodzie przed bramą z żelaznych prętów.

– Pójdę tam z tobą jutro. Choćby jako wsparcie moralne.

– Nie – odparł stanowczym tonem. – Zaszkoziłabyś swojej karierze.

Spojrzała na niego.

– Jakiej karierze?

– Jak to jakiej?

– Nie tylko Friedman pożegnała się z pracą. Wczoraj dostałam wiadomość z Home Office. Poproszono mnie o złożenie rezygnacji.

Stone zgarbił się, jakby nagle przygniótł go ogromny ciężar.

– Tak mi przykro, Mary...

Wzruszyła ramionami.

– Może to i dobra pora, żeby spróbować czegoś innego. Gorzej już chyba nie będzie.

– McElroy nie może ci pomóc?

– Nie. On też dostał niezłe baty. Nie ma już nic do powiedzenia w tej sprawie. – Rozejrzała się. – Musiałam wyprowadzić się z ambasady, zablokowano mi kartę kredytową.

Załatwili mi przelot do Londynu amerykańskim samolotem transportowym. Lecę jutro wieczorem.

– Chyba będzie lepiej, jeżeli tak zrobisz.

– Przechowasz mnie przez tę noc?

– Jasne.

– Czy nie powinieneś się jakoś przygotować do przesłuchania? Mogłabym pomóc.

– Zamierzam po prostu mówić prawdę. Jeśli zacznę kombinować, sprawy jeszcze bardziej się skomplikują.

– Wytoczą najcięższe działa.

– Wiem o tym.

– Myślisz, że dasz sobie radę?

– Wątpię.

*

Wstali wcześnie, kolejno wzięli prysznic, po czym Stone włożył swój jedyny garnitur i pojechali na śniadanie do budki obsługującej robotników budowlanych. Po posiłku Stone zerknął na zegarek.

– Już pora – powiedział.

– Jadę z tobą.

– Nie jesteś wymieniona w wezwaniu. Nie wpuszczą cię.

– Więc zaczekam na zewnątrz.

– Nie musisz tego robić.

– Muszę. Naprawdę.

Przesłuchanie miało się odbyć w specjalnej, zabezpieczonej przed podsłuchem sali posiedzeń stałej komisji ds. wywiadu. Sala mieściła się w podziemiach rotundy, a zjeżdżało się do niej tajną windą. Złapali taksówkę, dojechali na miejsce i ruszyli w kierunku głównego wejścia.

– Spałeś choć trochę?

– Całkiem nieźle. Chyba przyzwyczaiałem się do spania w fotelu.

– Ja bardzo kiepsko.

– Obawiam się, że moja prycza nie należy do najwygodniejszych.

– Zgadza się. Następnym razem muszę się znowu upić. Wiesz już, co im powiesz?

– Prawdę.

– Ale przecież musisz mieć jakiś plan, jakąś strategię! Sama prawda to za mało.

Prawnicy potrafią odwrócić ją na drugą stronę.

– Co proponujesz?

– Robiłeś, co w twojej mocy. Podjąłeś konieczne ryzyko po przeanalizowaniu aktualnej sytuacji. Zginęło wielu ludzi, a śledztwo stało w miejscu. Musiałeś coś zrobić. FBI i MI6 wycofały się rakiem, tak naprawdę wściekł się tylko Weaver, ale w trakcie śledztwa niczego nie dokonał. Wróciłeś na ich wyraźną prośbę, robiłeś, co mogłeś, w wyjątkowo trudnych okolicznościach. Jeszcze przed przesłuchaniem wzięłabym na stronę ich prawnika i wspomniała, że możesz powiedzieć o wielu rzeczach, których Weaver na pewno nie chciałby usłyszeć w publicznym miejscu.

– Na przykład o jakich?

– Choćby o tym, że NIC ukrywało przed FBI istotne dowody dotyczące międzynarodowego terroryzmu. Pamiętasz nagranie wideo z parku? Nadmieniałabym też, że po swojej stronie miałeś, a może i masz, samego prezydenta.

– Nie spałaś dlatego, że obmyślałaś to wszystko?

– Nie chciałam, żebyś poszedł tam kompletnie nieprzygotowany. Zdeptaliby cię, a ty na to nie zasługujesz.

– Dzięki. Myślę, że skorzystam z twojej rady.

Chapman wskazała na umundurowanych strażników.

– Są dość ostrożni.

– Nic dziwnego. To miejsce jest na liście życzeń każdego terrorysty.

Jeszcze na długich schodach prowadzących do wejścia podszedł do nich strażnik z psem. Czarny labrador obwąchał ich bez zainteresowania i ruszył dalej.

– Przynajmniej jedna pewna rzecz w niepewnym świecie – zauważył Stone.

– Zgadza się. Co powiedział Garchick? Że wyszkolony pies potrafi rozpoznać dziewiętnaście tysięcy różnych materiałów wybuchowych?

– I że nie ma urządzenia zdolnego zmierzyć czułość psiego węchu. Gdybym...

Stanął jak wryty. Chapman właśnie otworzyła drzwi. Obejrzała się na niego.

– Wszystko w porządku?

Odwrócił się na pięcie i ruszył biegiem.

– Oszalałeś? Co ty wyrabiasz?

Puściła drzwi i pobiegła za nim. Policjanci i ochroniarze natychmiast skupili na nich uwagę. Biegnący ludzie w tym miejscu musieli wzbudzić niepokój stróżów prawa, ale zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Stone i Chapman byli już po drugiej stronie ulicy. Zadyszana, złapała go za ramię.

– Nie przypuszczałam, że tak się boisz tego przesłuchania. Lepiej jednak pójść tam.

– Nie chodzi o przesłuchanie, Mary.

– A o co?

– O psy.

– Co z nimi?

Ponownie wystartował do biegu, a ona zaraz za nim.

– Dokąd biegniesz?

– Tam gdzie to się zaczęło.

– Przecież niedawno stamtąd wróciliśmy!

– Teraz będzie inaczej. Wierz mi.

83.

Stone zamknął oczy i wrócił myślami do tamtej nocy. Drugi raz w ciągu dwudziestu czterech godzin starał się złożyć w całość elementy układanki, lecz tym razem obrazy były wyraźniejsze. Wiedział, że to jego ostatnia szansa.

Najpierw Friedman na ławce. Drzemie, a potem rozmawia z rzekomym kochankiem przez telefon. Potem Alfredo Padilla w dresie i z iPodem wkracza do parku od północy. Faut Turkekul kręci się w północno-zachodniej części parku, udając zainteresowanie pomnikami, a w rzeczywistości czekając na Friedman. Na koniec Stone zajął się odtwarzaniem własnych poczynań. Usłyszał warkot silników, ruszył przez park, przyglądając się obecnym tam ludziom...

Brytyjski agent poruszający się jakby w zwolnionym tempie. Kiedy wybuchła strzelanina, był tuż za nim. Stone otworzył oczy i spojrzał na północ, w kierunku hotelu Hay-Adams i dalej, na górujący nad hotelem rządowy biurowiec. Nie wiadomo jak, ale zamachowcy jednak tam weszli. Hay-Adams to był tylko fałszywy trop. Nieprzyjaciel podsuwał mu mnóstwo półprawd, które tylko utrudniały działanie, ale z pewnością nie chciał, żeby Stone doszedł do tego, skąd naprawdę padły strzały. Udało mu się wyłącznie dlatego, że zamiast w lewo, jak należało się spodziewać, nieoczekiwanie nawet dla siebie skręcił w prawo. Dlatego krótko potem spróbowano go zabić.

Co znaczy, że jestem bezustannie obserwowany, pomyślał.

Ponownie zamknął oczy i wyobraził sobie, jak pierwszy pocisk trafia w ziemię parę metrów na lewo, a zaraz potem kolejne. Świsł kul, gwizd rykoszetów. Padł na brzuch, Brytyjczyk za jego plecami także. Friedman i Turkekula nie było już w parku, Padilla biegł zygzakiem, uciekając przed kulami. Wskoczył do dołu.

Bum.

Znowu otworzył oczy i spojrzał na Chapman, która przyglądała mu się z założonymi rękami.

– Mogą cię aresztować za to, że nie stawiałeś się na przesłuchanie?

– Pewnie tak – odparł obojętnym tonem. – Wszystkie pociski znaleziono w zachodniej części parku.

– To prawda. Wspomniałeś już o tym, ale nie wyjaśniłeś, co to znaczy.

– Bo tego nie wiem. Właśnie się zastanawiam. Dlaczego tylko tutaj?

Chapman wskazała na biurowiec.

– Ze względu na pozycję strzelających. Stamtąd mieli doskonały widok nad wierzchołkami drzew.

– Doskonały widok mieli nie tylko na tę część parku. Poza tym mogli strzelać przez korony drzew. Po co im dobry widok? Przecież do nikogo nie celowali.

Chapman otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

– Nie to jednak jest najważniejsze – dodał Stone.

– A co jest?

– Najważniejsze jest pytanie: na czym polegał test?

Zmarszczyła brwi.

– Jaki test?

– Już chyba wiem, o co Tom Gross chciał zapytać Garchicka. Garchick wspomniał wcześniej, że zamachowcy przez zasadniczą akcją lubią wypróbować ładunek, którego zamierzają użyć. Park Lafayette'a stał się miejscem takiego testu, ale co konkretnie sprawdzano? Początkowo przypuszczaliśmy, że bomba była przeznaczona na inny dzień i na inne wydarzenie, i że wybuchła przypadkowo. Potem wpadliśmy na pomysł, że to tylko próba. Niestety, te hipotezy się wykluczają. Prawdziwa może być tylko jedna.

Chapman ponownie przymierzyła się, żeby coś powiedzieć, i ponownie zrezygnowała.

– Garchick słusznie zauważył, że bomba jako taka zawsze zadziała. Szwankują zwykle połączenia. Czy jednak zdecydowałabyś się na próbną eksplozję tylko po to, żeby sprawdzić jakość połączeń?

– Nie – odruchowo odparła Chapman. – Za dużo z tym kłopotu.

– To prawda.

– Czyli co? Wspomniałeś o psach. Rozumiem, że chodzi ci o te szkolone do wykrywania ładunków wybuchowych?

– Zgadza się. Gdzie twój laptop?

Wyjęła komputer z torby. Usiedli na ławce.

– Znajdź nagranie z tego wieczoru, kiedy nastąpił wybuch.

Zrobiła to.

– Zaczynij odtwarzać trochę przed początkiem strzelaniny.

Na ekranie pojawił się obraz.

– Zatrzymaj.

Nacisnęła pauzę. Stone podniósł się i wskazał na północny skraj parku.

– Padilla pojawił się w tym miejscu.

Chapman spojrzała na ekran, a następnie tam, gdzie wskazywała wyciągnięta ręka Stone'a.

– Zgadza się.

– Dlaczego właśnie tam?

– A dlaczego nie?

– Do parku można wejść z wielu stron. Carmen Escalante powiedziała nam, że jej wujek wybrał się do swojej ulubionej restauracji przy Szesnastej Ulicy. Na zachód od Białego Domu. Gdyby szedł od strony Szesnastej Ulicy, wszedłby do parku od zachodu. Dlaczego tak się nie stało?

– Może po drodze zaszedł gdzieś jeszcze? Nie odwiedziliśmy tej restauracji. Może wstąpił później na drinka?

– Może. A może musiał nadejść akurat z tej strony z tego powodu.

Pokazał coś na ekranie. Chapman wyteńczyła wzrok.

– Ze względu na policjanta?

– Nie. Ze względu na psa. Włącz odtwarzanie.

Obraz ożył. Padilla minął psa w odległości kilkunastu centymetrów. Wydawało się, że zrobił wszystko, by znaleźć się jak najbliżej.

– Ale jakie to ma znaczenie? Przecież pies nie zareagował.

– Jesteś Angielką. Czytałaś opowiadanie o Sherlocku Holmesie zatytułowane *Tragedia w Dartmoor*?

- Niestety, jakoś nie wpadło mi w ręce.
- Holmes wiele wydedukował na podstawie dziwnego zachowania psa.
- A co ten pies zrobił?
- O to chodzi, że nic. I to właśnie było niezwykle.
- Nic nie rozumiem...
- Test polegał na tym, żeby przejść obok psa, a ten niczego nie poczuł.

Oczy Chapman zrobiły się ogromne ze zdziwienia.

- Chcesz powiedzieć, że bomby nie było pod drzewem? Że miał ją Padilla?

- Tak jest. Taką siłę wybuchu może mieć pół kilograma albo kilogram semtexu. Taką ilość nietrudno gdzieś schować.

- A co z fragmentami piłki do koszykówki?

- Nigdy nie było żadnej piłki do koszykówki. Skórzane fragmenty miał w kieszeni.

Szkółka, George Sykes, John Kravitz, tablica do koszykówki – to wszystko były mylne tropy, starannie przygotowane dla odwrócenia naszej uwagi. Tamci znali przeszłość Kravitza.

Przypuszczalnie dlatego wybrali właśnie jego i szkołkę, w której pracował. – Spojrzał na biurowiec. – To wyjaśnia również taki, a nie inny rozkład strzałów. Nie mogli ryzykować, że trafią Padillę, bo wtedy nie mógłby do końca wykonać zadania.

- Jakiego zadania?

- Musiał wskoczyć do dołu i wysadzić się w powietrze.

- Co takiego?

- A żeby tam wskoczyć, musiał mieć jakiś powód. Stąd strzały. Gdyby eksplozja nastąpiła na powierzchni ziemi, szybko ustalilibyśmy jej przyczynę. Strzelanina dała mu pretekst do ucieczki. To zrozumiałe, że dokładnie przeszukaliśmy miejsce eksplozji i znaleźliśmy wszystkie dowody, które nam podrzucono.

- Zaczekaj, zaczekaj! Garchick powiedział, że takiego psa nie da się oszukać. Jakim cudem Padilla przeszedł tak blisko, mając przy sobie bombę?

- Garchick już nam to wyjaśnił. Przypuszczalnie Gross o to właśnie chciał go zapytać.

Pamiętasz, co Garchick powiedział o zapachach?

– Że nie da ich się ukryć przed psem.

– Oraz to, że działają na poziomie molekularnym. Dlatego zapachu nie da się w niczym zamknąć i dlatego pies potrafi wyczuć rzeczy zamknięte w stalowych kontenerach albo zawinięte w tony folii.

– Racja.

– A czego dowiedzieliśmy się o nanobotach?

– Że to niebezpieczne paskudztwa. – W jej oczach pojawiło się zrozumienie. – I że one też działają na poziomie molekularnym...

– Otóż to.

– Chcesz powiedzieć, że posłużyli się nanobotami w celu stworzenia nowego materiału wybuchowego?

– Nie. Ludzie z ATF znaleźli tylko zwyczajne ślady, nic rewolucyjnego, ale to tym bardziej świadczy o genialności pomysłu. Sprawcy posłużyli się nanobotami, żeby zmienić z a p a c h tradycyjnego materiału wybuchowego. Poza tym nic się nie zmieniło. Pojawił się tylko nowy zapach, którego pies nie znał, więc nie mógł na niego zareagować. To dlatego Padilla minął go bez problemu. Na tym właśnie polegał test.

– Ale dlaczego to zrobił? Nie był przecież Rosjaninem, pochodził z Meksyku...

– Przypomnij mi, na jakiej podstawie sądziliśmy, że to sprawka Rosjan?

– No, rosyjski pistolet maszynowy, dziwny język, którym posługiwali się... – Umilkła raptownie. – O Boże! – wykrztusiła. – To wszystko też było sfabrykowane! Po to, żeby skierować nas na fałszywy trop!

– Zgadza się.

– Ale on wysadził się w powietrze! Dlaczego to zrobił? Jaki miał powód? Przecież udało mu się ominąć zabezpieczenia w jednym z najpilniej strzeżonych miejsc na ziemi.

Czyżby zrobił to bez żadnego celu?

– Oczywiście, że w jakimś celu. Bardzo poważnym. Chodźmy.

– Dokąd?

– Pogadać z Carmen Escalante. Pospieszmy się, zanim i ją zabiją.

84.

Stukali i pukali, ale nikt nie otwierał. Chapman cofnęła się o kilka kroków i przyglądała się oknom.

– Myślisz, że wyjechała na dobre? A może już ją zgarnęli?

Stone zajrzał przez okno obok wejścia.

– Wygląda na to, że ktoś tu ciągle mieszka. Może po prostu wyszła na chwilę.

– W takim razie powiedz mi, dlaczego Padilla wysadził się w powietrze.

– Po to tu przyjechałem. Żeby zapytać Carmen.

– Sądźisz, że ona też bierze w tym udział?

Stone nie odpowiedział od razu, przede wszystkim dlatego, że nie bardzo wiedział jak.

– Nie wydaje mi się, ale oczywiście nie mam też pewności.

– Jeśli nie, to nie zdoła nam pomóc.

– Niekoniecznie.

Przeszli na tył domu.

– Co przez to rozumiesz? – zapytała.

– Wiemy już, że Padilla był zamachowcem albo przynajmniej mamy podstawy, by tak przypuszczać. Możemy więc zadać jej pytania, których nie mogliśmy zadać wcześniej.

Szybko się zorientujemy, czy jest w to zamieszana. Jeśli tak, aresztujemy ją i zaczniemy oficjalne przesłuchania. Jeśli nie, to może jednak powie nam coś przydatnego. Może jej wujek wspomniał o czymś? Może coś niechcący usłyszała? Mógł przecież przyjmować tu gości.

Tylne drzwi także były zamknięte. Chapman przycisnęła twarz do szyby.

– Nic nie widzę, ale równie dobrze może leżeć martwa w przedpokoju. Włamujemy się?

Stone już wyjął z kieszeni dwa smukłe metalowe przyrządy.

– To zamek zapadkowy. Zajmie mi trochę czasu.

Chapman zbiła łokciem szybę w drzwiach, sięgnęła do środka i otworzyła zamek.

– Moja metoda jest znacznie szybsza.

Stone schował sprzęt.

– Często to robisz?

– Tylko wtedy, kiedy mi się nudzi.

Weszli do niewielkiej kuchni.

– Jedzenie w lodówce, brudne naczynia w zlewozmywaku – stwierdziła Chapman, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Śniadanie. Chyba dzisiejsze – dodał Stone, przyjrzawszy się uważnie resztkom.

Z bronią w ręku przemknęli do przedpokoju i szybko przeszukali parter.

– No dobrze, żadnych trupów – powiedziała Chapman. – Teraz góra.

Dwuminutowe przeszukanie nie dało żadnych rezultatów. Chapman zaczęła przetrząsać ubrania w szafie.

– Sporo ładnych rzeczy. Może jednak dostała kasę od zleceniodawców, a gadanina o ofiarodawcach to było tylko mydlenie oczu?

Stone wskazał na stojące w kącie kule.

– Jak sobie radzi bez nich?

Chapman im się przyjrzała.

– To stare. Wspomniała o tym, że ma dostać nowe.

Stone rozejrzał się po pokoju.

– No dobrze. Wiemy, że w spisku uczestniczył Padilla i ci Latynosi z Pensylwanii.

– Też już nie żyją. Ktokolwiek zatrudniał tych ludzi, nie jest zbyt troskliwym pracodawcą.

– Albo oczekuje od swoich ludzi całkowitego poświęcenia.

Zeszli na dół.

– Czekaemy na nią? – zapytała Chapman.

Stone pokręcił głową.

– Mam przecucie, że ten dom jest pod obserwacją. Wiedzą już, że znowu się nią zainteresowaliśmy.

– Co oznacza, że być może właśnie wydaliśmy na nią wyrok śmierci.

– Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie znikła!

Wyszli przez tylne drzwi i wrócili przed budynek. Stone obrzucił wzrokiem ulicę.

– Może tu też mieszkają miłe starsze panie, które całymi dniami siedzą przy oknie i obserwują, co się dzieje na zewnątrz? – powiedziała Chapman.

– Dobry pomysł. Ty bierzesz tę stronę, ja drugą.

W czwartym domu, do którego zastukała Chapman, drzwi otworzyła drobna ciemnoskóra kobieta o siwych włosach.

– Obserwowałam was, jak się tu kręcicie. Chciałam już dzwonić na policję, ale potem pomyślałam, że może jesteście właśnie z policji. Niewielu obcych tu się pojawia.

Chapman pokazała jej odznakę i zawołała Stone'a.

– To mój partner – przedstawiła go staruszce. – Próbujemy ustalić miejsce pobytu Carmen Escalante. Chodzi o kulach, a jej wujek...

– Oglądam wiadomości – przerwała jej kobieta. – Często widuję Carmen, ale teraz nie ma jej w domu.

– Wie pani, gdzie jest? – zapytał Stone.

– Wyjechała dziś rano około dziewiątej. Przyjechali po nią wielkim czarnym samochodem.

Stone i Chapman wymienili spojrzenia.

– Wie pani, kto to był?

– Ludzie z jakiejś agencji rządowej. Wicie, w garniturach i w ogóle. I w ciemnych okularach. Miała jechać na nabożeństwo żałobne. – Przyjrzała im się podejrzliwie. – A wy co, nie oglądacie telewizji?

– Czy wie pani, gdzie odprawiane jest to nabożeństwo? – zapytał Stone.

– Skoro nie wiecie, to może wcale nie jesteście z policji?

– Jesteśmy – zapewnił ją. – No więc, wie pani? – powtórzył niecierpliwie.

– Dlaczego nie zadzwonicie do swojej centrali, czy jak to tam się nazywa, i nie dowiedziecie się?

Zatrzasnęła drzwi. Szybkim krokiem ruszyli z powrotem do samochodu. Stone wyjął telefon.

– Co tu się dzieje, Oliverze?

– Mówiliśmy o tym, że eksplozja bomby miała sprawić, żeby ośrodek wydarzeń przeniósł się poza park.

– To prawda, ale do niczego nas to nie doprowadziło.

– Tylko dlatego, że oni wcale nie szykowali się na któreś z zaplanowanych wydarzeń.

Chapman raptownie wciągnęła powietrze.

– No tak! Oni je stworzyli! Następstwem eksplozji jest nabożeństwo żałobne.

– W którym uczestniczą prezydenci Meksyku i Stanów Zjednoczonych.

Gdy tylko ruszyli, Stone obdzwonił wszystkich, którzy przyszli mu na myśl.

– Nikt nie odbiera.

– Identyfikacja numeru. Wiedzą, że to ty, i dlatego nie odbierają. Może po prostu zadzwoń na policję?

– I co im powiem? Dzień dobry, nazywam się Oliver Stone i pracowałem dla rządu, zanim wyrzucili mnie za nieudolność? Podczas nabożeństwa wybuchnie bomba. Odłożą słuchawkę, zanim dojdę do połowy.

Kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle, Chapman spojrzała w lewo.

– Patrz!

Stali przed otwartymi na oścież drzwiami baru. Na ścianie wisiał ogromny telewizor nastawiony na kanał informacyjny. Nadawano bezpośrednią transmisję z uroczystości żałobnych. Stone błyskawicznie przeczytał napis na przesuwającym się pasku.

– Cmentarz w Arlington!

– Mów, jak mam jechać.

– Zaczekaj! – Z napięciem wpatrywał się w ekran. – To Alex! – wykrzyknął.

Chapman również spojrzała. Rzeczywiście, w kadrze pojawił się Alex Ford. Bez wątplenia znajdował się w zespole agentów chroniących prezydenta.

– Nawet jeżeli się do niego dodzwonisz, to przecież nie wiesz, gdzie ukryli bombę.

– Chyba wiem.

Chapman wdepnęła pedał gazu, a Stone pospiesznie wybrał numer, modląc się w duchu, by jego przyjaciel odebrał połączenie.

85.

Alex Ford spokojnie lustrował otoczenie, kiedy poczuł wibrację w kieszeni.

Zignorował to. Żadnych rozmów ani e-maili podczas służby. W takich sytuacjach zawsze ustawiał telefon na wibrację, a SMS-ów i tak nie mógł ani odbierać, ani wysyłać. Teraz żałował, że w ogóle nie wyłączył telefonu. Przyglądał się gościom przechodzącym przed wykrywaczem metalu. Mieli już za sobą kilka punktów kontrolnych, a specjalnie szkolone psy obwąchiwały wszystkich przybyłych na ceremonię. Po wybuchu w parku Lafayette'a psy były dosłownie wszędzie, ponieważ stanowiły najpewniejszą linię obrony.

Telefon ponownie zawibrował, lecz Alex ani drgnął. Gdyby przełożony zobaczył go z telefonem w ręce, dzień z pewnością nie skończyłby się dla niego przyjemnie.

Najprawdopodobniej byłby to w ogóle jego ostatni dzień w tym charakterze.

Prezydent zajął miejsce w pierwszym rzędzie, prezydent Meksyku usiadł po jego lewej stronie. Przywódców dzieliły dwa puste krzeselka. Środkowym przejściem właśnie zbliżała się Carmen Escalante, podpierając się dwiema nowiutki kulami. Za nią szła Alice Gross, cała w czerni, z woalką na twarzy. Jej czworo dzieci siedziało już bezpośrednio za prezydentem.

Obaj przywódcy wstali, gdy tylko kobiety dotarły do pierwszego rzędu. Powiedzieli do nich kilka słów, po czym wszyscy usiedli.

Alex zaklął pod nosem, kiedy telefon znowu zaczął wibrować. Tym razem wibracja była inna; rozpoznał sygnał informujący o odebraniu e-maila. Dyskretnie rozejrzał się dokoła.

Pozostali członkowie zespołu stali nieruchomo na swoich pozycjach; wszyscy w ciemnych okularach, ze słuchawkami w uszach, emanujący spokojem i pewnością siebie, wyszkoleni do tego, aby zawczasu wyeliminować każde, nawet najdrobniejsze zagrożenie dla głowy państwa.

Kolejna wibracja i kolejne przekleństwo, już nie takie ciche. Może się uda, tylko szybko. Wsunął rękę do kieszeni, wysunął aparat na tyle, żeby było widać ekran, i wcisnął przycisk poczty. Dwie wiadomości. Obie od Olivera Stone'a.

Rozejrzał się ponownie, by się upewnić, że nikt go nie obserwuje, następnie skierował wzrok w dół, wysunął aparat trochę bardziej i nacisnął kilka klawiszy. Wyświetliły się wiadomości. Obie takie same. W miarę czytania bladł i coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Napisał „ok” i wysłał odpowiedź. Odetchnął głęboko, po czym spojrzał na prezydenta, którego miał strzec. Tak jak wszyscy agenci Secret Service, przysięgał w razie potrzeby oddać życie za tego człowieka. Na czoło wystąpiły mu krople potu i powoli spływały coraz niżej.

A jeśli jego przyjaciel się myli? Jeżeli on, Alex Ford, podejmie działanie, które okaże się całkowicie zbędne? Jego kariera przypuszczalnie dobiegnie końca. Nie dlatego, że starał się ocalić prezydenta, ale dlatego, że zrobił to na podstawie wiadomości od agenta dopiero co odsuniętego od wszelkich czynności służbowych. Czasem jednak trzeba ufać przyjaciołom.

Oliverowi ufał tak, jak nikomu innemu na świecie.

Przekazał przez radio otrzymaną przed chwilą wiadomość. Zachował dla siebie jedynie jej źródło.

– Przypuszczalnie eksplozja zostanie wywołana drogą radiową. Jakikolwiek gwałtowniejszy ruch z naszej strony i będzie po wszystkim. Potrzebujemy czegoś, co odwróci ich uwagę.

– Ford, czy jesteś tego absolutnie pewien? – usłyszał głos przełożonego.

– Nawet jeśli tylko w połowie, to chyba nie możemy ryzykować, prawda? – zapytał ze ściśniętym żołądkiem.

Odpowiedziało mu ciężkie westchnienie. Jego zwierzchnik z pewnością robił teraz to, co on parę sekund temu: zastanawiał się nad tym, co stanie się z jego zawodową karierą, jeżeli alarm okaże się fałszywy.

– Niech Bóg ma nas w opiece, Ford.

– Tak jest.

Minutę później plan był gotowy i został przekazany wszystkim agentom. Alex spojrzął na zegarek: sześćdziesiąt sekund. Ze wszystkich sił starał się zachować profesjonalny spokój. Ktokolwiek stał za tym wszystkim, z pewnością miał na nich oko. Nie mogli się niczym zdradzić.

Ponieważ to on był źródłem alarmu, przypadł mu zaszczyt wprowadzenia planu w życie. Zebrał siły. Rutynowa z pozoru operacja przerodziła się w coś zupełnie innego; w coś, do czego wszyscy agenci bezustannie się przygotowywali i czego z całego serca pragnęli uniknąć.

Odliczał sekundy, przesuwając wzrokiem po twarzach gości, ale co jakiś czas wracając do prezydenta. W trzydziestej sekundzie ruszył z miejsca. Powoli szedł wzdłuż rzędów krzeseł, jakby dokonując rutynowego przeglądu. Po jego lewej stronie dwaj inni agenci robili to samo. Plan został sklecony na poczekaniu, mogli więc tylko mieć nadzieję, że nie zawiedzie. W polu widzenia Alexa pojawił się nagrobek w kształcie prostopadłościanu, kilka kroków za prowizorycznym podium, na którym miała odbyć się ceremonia. Oddychał powoli i głęboko, czując, jak adrenalina buzuje mu w żyłach.

Minus dwadzieścia sekund.

Przyspieszył kroku. Zbliżał się do pierwszego rzędu, w którym siedział prezydent, ale patrzył na kogoś innego.

Minus dziesięć sekund. I wtedy się zaczęło.

Kobieta zmierzająca środkowym przejściem do swego miejsca krzyknęła nagle głośno, chwyciła się za serce i osunęła na ziemię. Na pomoc błyskawicznie rzuciło się kilka osób. Miejsce, w którym to nastąpiło, zostało starannie wybrane. Kobieta była w rzeczywistości agentką Secret Service z drugiego pierścienia obstawy, której błyskawicznie przekazano instrukcje co, gdzie i kiedy ma zrobić.

Zamieszanie, jakie wybuchło w związku z jej upadkiem, pozwoliło pierwszemu pierścieniowi obstawy otoczyć prezydenta, co było rutynowym działaniem i nie powinno wzbudzić niczych podejrzeń. Oczywiście nie na wiele by się to zdało, gdyby bomba wybuchła właśnie w tej chwili, ale nie mieli wyboru. W murze ciał

otaczających prezydenta brakowało jednego elementu; był nim Alex, który tym razem miał do wykonania inne zadanie.

Carmen Escalante miała wystraszoną minę. Dało mu to odrobinę nadziei. Jeżeli dziewczyna nie jest zamachowcem, to może uda im się przeżyć. Jeżeli jest, to w ciągu najbliższych dwóch sekund z pewnością zdetonuje ładunek.

Carmen krzyknęła przeraźliwie, kiedy wyrwał jej kule z rąk, ale jej głos utonął we wrzawie, na którą składały się podniesione głosy agentów przekazujących sobie instrukcje oraz okrzyki ludzi reagujących na niespodziewane wydarzenia.

Niczym rugbysta ruszający do ataku, Alex wyłonił się zza młyna agentów z kulami częściowo ukrytymi pod marynarką. Początkowo szedł szybkim krokiem, ale natychmiast przyspieszył, roztrącając ludzi na boki. Dotarł do podium, wyszarpnął kule spod marynarki, wziął potężny zamach i cisnął je z całej siły za kamienny nagrobek – była to jedyna osłona, na jaką mogli liczyć. Nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, iż jego koledzy błyskawicznie wyprowadzają prezydenta poza zagrożony obszar, traktując każdego, kto stanął im na drodze.

Niestety kule nie doleciały do celu. Eksplozja nastąpiła, kiedy były wysoko w powietrzu. Siła podmuchu rozbiła zbite z desek podium, zasypując potrzaskanymi fragmentami kilka pierwszych rzędów. Drewniane i metalowe szczątki pofrunęły we wszystkie strony, buchnęły dym i płomienie. Ludzie uciekali z krzykiem. Prezydencka kolumna właśnie ruszała z piskiem opon.

Misja zakończyła się sukcesem. Prezydent nie zginął. Nie dzisiaj. Nie na ich wachcie.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nikt z widzów nie został poważnie ranny.

Obrażenia ograniczały się do zadrapań i siniaków, kilku złamanych kończyn i lekkich poparzeń. Agenci Secret Service upewnili się, że nikt nie potrzebuje natychmiastowej pomocy i dopiero wtedy zajęli się jednym ze swoich. Leżał bez ruchu w pobliżu miejsca, w którym jeszcze niedawno stało podium, cały we krwi, z raną na głowie, w której tkwił ostry odłamek granitowego pomnika.

– Karetkę! Szybko! – krzyknął któryś.
Alex Ford spełnił swój obowiązek. Ocalił życie prezydenta Stanów Zjednoczonych.
Być może za cenę własnego.

86.

Oliver Stone siedział razem z Mary Chapman i członkami Klubu Wielbłądów w poczekalni szpitala. Siedzieli w milczeniu, zdjęci lękiem, że oto przyjdzie im pożegnać kolejnego przyjaciela.

Annabelle miała czerwone, opuchnięte oczy, a w dłoni kurczowo ścisnęła chusteczkę.

Caleb i Reuben z zabandażowanymi ręką i nogą siedzieli blisko siebie z pochylonymi głowami. Harry Finn stał oparty o ścianę przy drzwiach. Nie znał Alexa tak dobrze jak pozostali, ale z pewnością wystarczająco dobrze, by martwić się jego losem.

Alex przeszedł już operację i został umieszczony na oddziale intensywnej opieki medycznej. Lekarze stwierdzili, że oderwany eksplozją fragment nagrobka spowodował poważne uszkodzenia czaszki. Niewiele brakowało, żeby wykrwawił się na śmierć. Był teraz pogrążony w śpiączce; żaden z lekarzy nie dawał gwarancji, że kiedykolwiek się z niej obudzi.

Stone chodził między przyjaciółmi, wymieniając z każdym kilka przyciszonych słów.

Kiedy podszedł do Annabelle, ta wstała i wyszła z poczekalni. Ruszył za nią, lecz Chapman chwyciła go za ramię.

– Ona chyba chce być teraz sama.

– Wątpię.

Uwolnił ramię i wyszedł. Annabelle stała przy oknie i patrzyła na zachodzące słońce.

Stał obok niej.

– Nie mogę w to uwierzyć, Oliverze – powiedziała drżącym głosem. – Proszę, obudź mnie i powiedz, że to wszystko tylko mi się śniło!

– On żyje, Annabelle. Jest silny. Musimy wierzyć, że z tego wyjdzie.

Usiadła na krześle i rozpłakała się. Stone podał jej garść jednorazowych chusteczek, które, wychodząc z pokoju, wyszarpnął

z pudełka. Jak tylko zdołała się uspokoić, podniosła na niego wzrok.

– Lekarze raczej nie byli optymistami.

– Nigdy nimi nie są. Ich zadanie polega na temperowaniu oczekiwań, nie na rozbudzaniu nadziei. Dzięki temu, kiedy pacjent wyzdrowieje, ich zasługi wydają się jeszcze większe. Pamiętaj, że nie znają Alexa tak dobrze jak my.

– Jest bohaterem. Najdzielniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam.

– To prawda.

– Więc to ty wysłałeś mu e-mail z ostrzeżeniem o bombie?

Stone skinął głową. Doskwierało mu coraz silniejsze poczucie winy. Tak, to ja wysłałem e-mail. Tak, to ja postawiłem go w tej arcytrudnej sytuacji. Tak, to moja wina, że teraz leży tam w śpiączce.

Usiadł obok niej.

– Podczas tego śledztwa nie byłem z nim zbyt szczery.

Przypomniał sobie, jak Alex podszedł do nich, kiedy razem z Chapman wychodzili z biura Friedman. Najwyraźniej chciał pogadać, a on go zbył. Poczucie winy dręczyło go z jeszcze jednego powodu: przed Annabelle udawał optymistę, ale po rozmowie z lekarzami wcale nim nie był.

„Czy doszło do uszkodzenia mózgu?” – zapytał.

„Jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić” – odparł jeden z nich. –

„Na razie staramy się utrzymać go przy życiu”.

– Oliverze?

Spojrzał na nią.

– O czym teraz myślałeś?

– O tym, że zawiodłem przyjaciela. Że zasługiwał na kogoś lepszego ode mnie.

– Gdybyś go nie ostrzegł, bomba by wybuchła. Zginęłoby wielu ludzi. On zapewne też.

– Logika mówi mi to samo, ale to... – położył rękę na sercu – ... coś zupełnie innego.

Najpierw Milton, teraz Alex. To musi się skończyć, Annabelle. Musi.

– Wszyscy wiedzieliśmy, w co się mieszamy.

– Wątpię, ale to bez znaczenia.

– Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił. Chcę, żeby za to zapłacił.

– Tak będzie, Annabelle. Daję ci słowo.

Spojrzała na niego z uwagą.

– Ruszasz w pościg?

– Jestem to winny Alexowi.

Nagle zeszywniał i zerknął w kierunku zakrętu korytarza.

– O co chodzi?

– Idą tu.

– Kto?

Pomógł jej wstać z krzesła i uściskał ją.

– Obiecuję ci, że dowiem się, kto to zrobił. Obiecuję.

– Nie możesz robić tego sam!

– Tym razem muszę.

Cofnął się o krok, a ona zobaczyła wtedy, jak po jego zapadniętych policzkach płyną łzy. Wstrząsnęło nią to. Nigdy nie widziała, by Oliver Stone płakał.

– Oliverze...

Pocałował ją w czoło, odwrócił się i ruszył w tej samej chwili, kiedy zza zakrętu wyłoniło się trzech mężczyzn w ciemnych garniturach.

87.

Dwie minuty później Stone i Chapman siedzieli w rządowej limuzynie jadącej do centrum miasta. Gdy tylko dotarli do siedziby waszyngtońskiej delegatury FBI, zaprowadzono ich do niewielkiej salki konferencyjnej. Stone'a wcale nie zaskoczył widok dyrektora FBI, agentki Ashburn ani nawet agenta Garchicka i dyrektora ATF zdziwił się natomiast, kiedy otworzyły się drzwi, do pokoju wszedł Riley Weaver i zajął miejsce obok szefa Biura.

– Przekazałem już szczegółowy raport agentce Ashburn – oświadczył Stone.

Dyrektor FBI puścił to mimo uszu, choć z pewnością jego uwagi nie umknął ton, jakim zaczął rozmowę Stone.

– Z tego, co wiem, agent Ford jest pańskim przyjacielem?

– Jednym z najlepszych.

– Po prostu staramy się jak najlepiej zrozumieć sytuację, agencie Stone – wtrąciła Ashburn tytułem wyjaśnienia.

– Nie jestem już agentem – odparł, patrząc wprost na Weavera. – Odebrano mi wszystkie uprawnienia.

Dyrektor FBI odchrząknął.

– No cóż, tym możemy się zająć później. Chwilowo skoncentrujmy się na precyzyjnym określeniu sytuacji.

Stone milczał, wciąż mierząc wzrokiem dyrektora NIC, aż w końcu Weaver nie wytrzymał i zerknął z ukosa na drzwi, jakby marzył tylko o tym, by jak najprędzej stąd uciec.

– Ja spróbuję – odezwała się wreszcie Chapman. – Jeśli coś pominię, agent Stone z pewnością mi pomoże.

Opowiedziała ze szczegółami, co się stało: jak Stone domyślił się, kto będzie miał przy sobie bombę, jak pojechali do Carmen Escalante, wreszcie jak rozpaczliwie usiłował skontaktować się z Alexem. Zajął jej to prawie dwadzieścia minut.

– Doskonała robota, Stone – podsumował dyrektor FBI, a Ashburn potwierdziła jego ocenę ruchem głowy. – Gdyby nie pan,

nasz kraj straciłby prezydenta. Uratował mu pan życie.

– Powinniście dziękować Alexowi, nie mnie.

– Wiemy o tym – stwierdził lakonicznie Riley Weaver.

Stone ponownie zmierzył go wzrokiem.

– To dobrze. Cieszę się, że przynajmniej w tej sprawie nadajemy na tej samej częstotliwości.

Kiedy rozmowa zesłała na temat nanobotów i ich wykorzystania do zmiany zapachu ładunków wybuchowych, dyrektor ATF i agent Garchick pobledli.

– Jeśli to prawda, to wszystko zmienia – powiedział Garchick. – Wszystko.

Jego przełożony ponuro pokiwał głową.

– Do tej pory zawsze mogliśmy polegać na psach – dodał Garchick.

Weaver spojrzał na dyrektora FBI.

– Czy mamy całkowitą pewność w tej sprawie?

– Dzisiaj podczas uroczystości Carmen Escalante została sprawdzona przez dwa psy.

Żaden niczego nie wyczuł.

– Na nagraniu z parku widać, jak Padilla przechodzi przed samym nosem psa – dodał dyrektor ATF. – Te nanosztuczki rzeczywiście działają.

Szef FBI ponownie odchrząknął.

– W takim razie bez wątpienia będziemy musieli zająć się tą sprawą, ale chwilowo powinniśmy skoncentrować się na ustaleniu, kto za tym stoi.

– Przesłuchaliście już Carmen Escalante? – zapytała Chapman.

– Tak – odparła Ashburn. – Albo jest genialną aktorką, albo jest niewinna. Zaklina się, że nie miała pojęcia o ładunku wybuchowym ukrytym w jej kulach.

– Nawiasem mówiąc, to doskonałe miejsce – zauważył dyrektor.

– Są metalowe, więc wiadomo, że i tak uruchomią alarm w wykrywaczu metali, a nie prześwielaliśmy ich z oczywistych powodów.

– Nawet jeśli ona jest niewinna, to jej wujek z pewnością uczestniczył w spisku – stwierdziła Chapman. – Zjawił się w parku z

bombą, specjalnie przeszedł tuż obok psa, wskoczył do dołu, kiedy wybuchła strzelanina. Od początku musiał wiedzieć, że zginie.

– Pogrzebaliśmy głębiej w jego przeszłości – poinformowała ich Ashburn. – Pamiętacie wypadek autobusowy, w którym zginęli rodzice Carmen, a ona została kaleką? Otóż to wcale nie był wypadek, tylko zamach. Podejrzewamy, że jej ojciec pracował dla któregoś z meksykańskich karteli narkotykowych. Być może chciał odejść, ale im się to nie spodobało, więc pomajstrowali przy hamulcach autobusu. Byli gotowi zabić nawet sto osób, żeby pozbyć się jednej.

– To wyjaśnia również los tych Latynosów z Pensylwanii – rzekł dyrektor FBI. – Zabili ich nie Rosjanie, jak chciano, żebyśmy wierzyli, tylko meksykańskie kartele narkotykowe.

Albo sam Carlos Montoya, walczący o powrót na szczyt.

– Czyli to on próbował za jednym zamachem załatwić dwóch prezydentów – zauważyła Ashburn. – I pana – dodała, patrząc na swego szefa.

Dyrektor skinął głową.

– To ma sens. Myśleliśmy, że Montoya poszedł w odstawkę albo nawet nie żyje, ale najwyraźniej nas oszukał i podjął próbę powrotu do gry, kierując naszą wściekłość przeciwko Rosjanom. Załatwiłby ich naszymi rękami i błyskawicznie zająłby ich miejsce.

– A więc Faut Turkekul został podstawiony na wabia? – zapytała Ashburn. – Wcale nie był zdrajcą?

– Raczej nie – odparła Chapman. – Przypuszczalnie poświęcono go.

– A szkółka, John Kravitz i George Sykes? – zapytał dyrektor FBI.

– Wszyscy niewinni, wszyscy rzućeni na pożarcie – potwierdziła.

– Głównie po to, by zwalić podejrzenie na Rosjan. Tylko Judy Donohue uczestniczyła w tym świadomie. Zapłacili jej, a potem ją zabili.

– Chcecie powiedzieć, że kartele narkotykowe dysponują wystarczającymi zasobami, żeby bawić się w nanotechnologię? – odezwał się Garchick.

– Rozmawiałam z kolegą z DEA – odparła Ashburn. – Wyjaśnił mi, jak obecnie mają się sprawy w biznesie narkotykowym. Choć

Meksykanie musieli ustąpić miejsca Rosjanom, to i tak mają gigantyczne zasoby gotówki, a więc stać ich na opłacenie najlepszych uczonych.

Z wieloma z nich zresztą już współpracują. Tu nie chodzi tylko o bomby. Jeśli nauczą się zmieniać zapachy materiałów wybuchowych, to nic nie stoi na przeszkodzie, by zmienili również zapach samych narkotyków, a wtedy nie wykryją ich nasze detektory. To całkowicie zmieni układ sił. Urząd do Walki z Narkotykami, straż graniczna i my wszyscy będziemy całkowicie bezbronni.

– Dlaczego nie dowiedzieliśmy się tego wcześniej? – odezwał się Weaver. – Mam na myśli fakt, że ojciec Escalante należał do kartelu?

– Bo, przynajmniej początkowo, nie mieliśmy żadnego powodu, żeby się nim interesować – wyjaśniła Ashburn. – Uzналиśmy, że Padilla był ofiarą, nie sprawcą, i w związku z tym nie kopaliśmy głębiej. Teraz też zresztą nie mamy stuprocentowej pewności. Opieramy się na domysłach. Nie udałoby nam się udowodnić przed sądem, że za tym wszystkim rzeczywiście stoi Montoya. Jeszcze nie teraz.

– No dobrze: zabili rodziców Carmen, ale jaką rolę odgrywał Padilla? Też pracował dla kartelu?

– To wątpliwe – odparła Ashburn. – Przynajmniej sądząc po tym, co do tej pory zdołaliśmy ustalić. Między innymi właśnie dlatego nie zajęliśmy się nim dokładniej. Wstępne sondowanie niczego nie wykazało.

– Być może przyleciał tu, żeby uchronić Carmen przed nimi, ale ludzie z kartelu jednak ich znaleźli – zastanawiał się na głos dyrektor FBI.

– I szantażem zmusili go do współpracy – uzupełniła Ashburn. – Pewnie zagrozili, że ją zabiją. Tamtego wieczoru mógł nie wiedzieć, że ma ze sobą bombę. Być może powiedzieli mu tylko tyle, żeby na odgłos strzałów jak najprędzej wskoczył do dołu. Najbardziej jednak zaimponowali mi tym, że zabijając Padillę i Toma Grossa, przygotowali sobie kolejny krok, czyli ceremonię żałobną, podczas której zamierzali dokonać zamachu.

– To prawda – przyznała Chapman. – Stworzyli sobie okazję, którą chcieli wykorzystać. – Zerknęła na Stone'a. – On wpadł na to

wcześniej.

Riley Weaver uderzył dłonią w stół.

– Wszystko to bardzo interesujące, ale wciąż nie wiemy, w jaki sposób zdetonowano ładunek ani kto szpieguje dla tych ludzi. W porządku, może to nie byli Rosjanie, tylko Meksykanie, jednak to nie zmienia faktu, że musieli mieć jakieś źródło informacji. W inny sposób z pewnością tyle by się nie dowiedzieli. Skoro zdrajcą nie był Fant Turkekul, to kto?

Stone otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał na Weavera.

– Wydaje mi się, że to akurat jest zupełnie oczywiste, dyrektorze.

Pod jego spojrzeniem Weaver zaczerwienił się jak burak.

– Chyba nie podejrzewasz mnie o...

– Nie szukam skomplikowanych wyjaśnień, tylko akceptuję najprostsze.

– To znaczy? – zapytał spokojnie dyrektor FBI.

– To znaczy, że szukam nie tylko daleko, lecz także całkiem blisko.

Wszyscy patrzyli na niego w napięciu.

– No już dobrze – zlitowała się nad nimi Chapman. – Chodzi o Marisę Friedman.

Zapadła cisza. Dyrektor FBI i Ashburn wyglądali tak, jakby lada chwila mieli zemdleć, a twarz Weavera raptownie zmieniła kolor z ceglanego na popielatoszary. Kiedy Stone ponownie na niego spojrzał, szef NIC szybko odwrócił wzrok.

– To niedorzeczność! – wybuchnął.

– Pamiętacie rządowy biurowiec? – ciągnęła Chapman. – Kiedy odkryliśmy ze Stone'em, że właśnie stamtąd strzelano, próbowano nas zabić. Tamci podsuwali nam mnóstwo fałszywych tropów wskazujących na Rosjan, ale akurat ten budynek omijali z daleka. Nie chcieli, żebyśmy się tam kręcili, a dlaczego? Bo wtedy znaleźlibyśmy się niebezpiecznie blisko osoby, która wpuściła tam strzelców. To musiał być ktoś, kto mógł wejść tam o dowolnej porze. Ktoś od nas.

– A raczej od was – powiedział Stone, patrząc na Weavera. – Ktoś taki jak Friedman.

Weaver otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zrezygnował i tylko wpatrywał się w niego z nienawiścią.

– Tamtego wieczoru Friedman była w parku, mogła więc zdetonować ładunek przez komórkę. Znajdowała się po wschodniej stronie, gdzie nie padały kule. To ona mogła zadzwonić do Turkekula i zwabić go na miejsce widokowe przy drodze, gdzie został zabity.

Jednocześnie udawała, że współpracuje z nami przy zbieraniu dowodów jego rzekomej zdrady. Jeśli sobie przypominać, to właśnie ona poinformowała nas o pierwszych poszlakach.

– A potem została wyrzucona z pracy za to, że przyczyniła się do śmierci Turkekula – wtrącił Stone, wciąż nie spuszczać wzroku z Weavera. – Dzięki temu mogła wycofać się z gracją, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Wspaniale nami manipulowała.

– Nie masz na to żadnych dowodów! – warknął Weaver.

– Dyrektorze Weaver, czy ostatnio próbował się pan skontaktować z Marisą Friedman? – zapytała Ashburn oficjalnym tonem.

Oczy zebranych skierowały się na szefa NIC.

– Nie miałem żadnego powodu – odparł niepewnie.

– Proszę to zrobić – powiedział dyrektor FBI stanowczym tonem.

– Teraz ma pan powód.

Weaver powoli sięgnął po aparat i wybrał numer palcem wskazującym. Po dziesięciu sekundach włączyła się poczta głosowa. Nagrał wiadomość z prośbą o oddzwonienie, po czym odłożył telefon.

– Nie odbiera, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

– Zakładając, że jednak mam rację: jak myślicie, co ona teraz robi?

– Ucieka ile sił w nogach – odpowiedziała Chapman.

– J e ż e l i masz rację – przypomniał Weaver.

– Musimy jak najszybciej odszukać Marisę Friedman – zwrócił się dyrektor FBI do Ashburn.

– Tak jest.

Wzięła swój telefon i wyszła z pokoju. Weaver pokręcił głową, patrząc na dyrektora FBI.

– Nie możemy uwierzyć w to na słowo! Friedman była jedną z moich najlepszych agentek.

– Podejrzewam, że najlepszą – odparł Stone. – Problem polega na tym, że pracuje dla kogoś innego.

– Jeśli masz rację, to już dawno stąd znikła. Z pewnością miała opracowany precyzyjny plan ucieczki.

Stone spojrział na Weavera.

– Nie wątpię. Jest tylko jeden mały problem.

Dyrektor NIC zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

– Doprawdy? A na czym niby miałyby polegać?

– Prezydenci wciąż żyją, co oznacza, że nie wypełniła misji. Wątpię, by jej mocodawcy byli tym zachwyceni. Dzięki temu mamy jeszcze szansę do niej dotrzeć.

88.

Kilka godzin później złapali trop. Wciąż jeszcze siedzieli w tej samej sali, kiedy weszła Ashburn z kartką w dłoni.

– Zauważono ją na Union Station w Waszyngtonie, kiedy wsiadała do pociągu jadącego do Miami. Sprawdziliśmy listę pasażerów. Nie ma tam jej nazwiska, więc najwyraźniej podróżuje pod fałszywym. Myślę, że to wystarczający dowód jej winy.

Wszyscy spojrzeli na Weavera, który z ponurą miną siedział w kącie.

– Rozumiem, że nie oddzwoniła? – zapytała Chapman dla porządku.

Nawet nie pofatygował się, żeby odpowiedzieć.

– Miami ma sens – ciągnęła agentka. – Jeśli rzeczywiście pracuje dla meksykańskiego kartelu, to z Miami może dostać się do Meksyku małym prywatnym samolotem. Podróż pociągiem to sprytne posunięcie; mogła oczekiwać, że przede wszystkim obstawimy wszystkie lotniska.

– Zauważono ją? – odezwał się Stone. – Czy to znaczy, że ktoś ją rzeczywiście widział?

– Program komputerowy wyłowił ją z przekazu z jednej z kamer na dworcu.

– Obejrzałaś nagranie? To na pewno ona?

– Tak. Obraz nie był bardzo wyraźny, a ona w dodatku mocno się przebrała, ale komputer może wychwycić szczegóły, które umkną ludzkiemu oku. Zatrzymamy pociąg na najbliższej stacji, przetrząśniemy go dokładnie i aresztujemy ją.

Wstali, żeby wyjść z pokoju. Ostatni uczynił to Weaver.

– Jestem ci winien przeprosiny – zwrócił się do Stone'a.

– Niczego nie jesteś mi winien. To skomplikowana sprawa. Błądziłem po omacku niemal równie długo jak wszyscy.

– Ale ocaliłeś życie prezydentowi – odparł dyrektor. – Wygląda na to, że już zawsze będziesz mógł liczyć na wiatr od rufy i otwarte

morze.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł.

– O co chodziło? – zapytała ze zdziwieniem Chapman.

– To stara historia.

– Często to powtarzasz.

– Bo to prawda.

– Jak chcesz. Domyślam się, że nie wierzysz w tę historię z pociągiem?

Stone wrócił myślami do tego, co mówiła mu Marisa Friedman. Przypuszczalnie były to kłamstwa, ale nie należało się dziwić. Tylko dzięki nim szpiedzy mogą przeżyć.

– Chciała wyjechać na bezludną wyspę – powiedział cicho.

– Naprawdę? Kiedy to powiedziała?

– Kiedy przyszedłem do jej biura przeprosić za to, że zrujnowałem jej karierę. Chciała, żebym z nią pojechał, bo podobno jesteśmy tacy sami.

Chapman położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale moim zdaniem trudno byłoby znaleźć ludzi różniących się bardziej niż wy dwoje. Ona jest zimnokrwistą, bezlitosną suką, którą interesują wyłącznie pieniądze, a ty... ty taki nie jesteś.

Szybko odwróciła wzrok, chyba zawstydzona własnymi słowami.

– Bezludna wyspa – powtórzył.

– Czyli tam naprawdę chciała uciec.

– Jest szpiegiem. Szpiedzy zawsze kłamią.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– A więc jednak nie wyspa?

– Komputer rozpoznał ją na obrazie z kamery – przypomniał jej Stone.

– Słyszałam, że systemy rozpoznawania obrazu są już bardzo zaawansowane.

– Komputer działa tak dobrze, jak dobry jest program, który do niego wprowadzono.

W związku z tym zastanawiam się...

– Nad czym?

– Z jakiej bazy danych korzystają.

- Myślisz, że Friedman zawczasu się na to przygotowała?
- Jeżeli wprowadziła zmienione parametry, system wyłapał kogoś innego, o kim wiedziała, że tego dnia będzie jechał do Miami.
- A kiedy policja zatrzyma pociąg, nie zatrzyma tego kogoś, bo nie będzie odpowiadał rysopisowi Friedman. Jakie to proste.
- I genialne – dodał.
- W takim razie gdzie ona jest?
- Jakie jest przeciwieństwo bezludnej wyspy?
- Przeciwieństwo? – Zastanowiła się. – Jakieś miejsce z mnóstwem ludzi. Wielkie miasto?
- Zgadza się. Z góry możemy założyć, że nie Mexico City.
- Dlaczego?
- Nie wykonała zadania, czemu więc miałaby szukać schronienia pod skrzydłami kogoś takiego jak Carlos Montoya? Od razu wpakowałby jej kulkę w głowę.
- To prawda – przyznała Chapman.
- I właśnie dlatego jej „dublerka” jechała na południe, żeby znowu skierować nas na niewłaściwy trop.
- Przeciwieństwem południa jest północ... Po co właściwie miałaby jechać do wielkiego miasta?
- Żeby się ukryć. Owszem, w wielkim mieście roi się od glin i kamer, ale ona jest za sprytna, by wpaść w tak banalny sposób. Roztopi się w wielomilionowym tłumie i zaczeka, aż kurz osiadzie. Z każdym dniem jej szanse będą rosły.
- Jak więc mamy ją schwytać? Przecież nie możemy przeszukać wszystkich wielkich miast na północ stąd... Poza tym może jest już za granicą, na przykład w Kanadzie.
- Wątpię. Nadmierny pośpiech zwiększa ryzyko popełnienia błędu. Pamiętaj, jej plan ucieczki opierał się na założeniu, że misja zakończyła się powodzeniem. Nie, Friedman nie będzie się spieszyć.
- A jeśli jednak to ona jedzie tym pociągiem i FBI zgarnie ją na najbliższej stacji?
- To chwala FBI. Mimo wszystko wątpię, czy tak się stanie.
- No dobrze, w takim razie gdzie zaczniemy nasze poszukiwania?
- Od zdobycia informacji.

– Jakiej informacji?

Stone dobrze pamiętał, jak Friedman żaliła mu się, że CIA zagarnia wszystkie zyski z jej działalności lobbystycznej i że gdyby pracowała tylko dla siebie, byłaby już bardzo zamożna.

– Tego, co robiła, nie robiła za darmo. A to znaczy, że musimy rozglądać się za pieniędzmi. I ochroniarzami – dodał tajemniczo.

– Ochroniarzami?

– Jeśli ma teraz przeciwko sobie kogoś takiego jak Carlos Montoya, potrzebuje profesjonalnej ochrony. Z nią też będziemy musieli sobie poradzić.

– Wreszcie coś, w czym jestem naprawdę niezła – odparła Chapman z uśmiechem.

89.

Annabelle siedziała naprzeciwko Stone'a w jego domu.

– Pozwolili mi go zobaczyć – wyszeptała.

– Alexa?

Skinęła głową i dotknęła palcem czoła.

– Kawałek granitu trafił go mniej więcej tutaj. Trochę w prawo i nie leżałby w szpitalu pogrążony w śpiączce.

– Jaki jest jego stan?

Stłumiła szloch.

– Coraz gorszy.

Wyciągnął rękę i ujął ją za dłoń.

– Możemy się tylko modlić i mieć nadzieję. To wszystko.

– Taki porządny z niego człowiek! Solidny jak skała. Zawsze gotów do pomocy, nawet jeśli przed chwilą byłem dla niego okropna.

– Jeśli chodzi o Alexa, to wszyscy mamy coś na sumieniu – odparł. – Ja chyba najwięcej.

Zabrał rękę i usiadł w fotelu.

– Musimy ją dopaść, Oliverze – powiedziała Annabelle, patrząc na niego z powagą.

– Wiem. Zrobimy to.

Wyjęła z torebki jakieś kartki.

– Po tym, jak zadzwoniłeś do mnie z pytaniem o te sprawy pieniężne, poprosiłam o pomoc przyjaciela na Bermudach.

– Pomógł ci?

– Czy wiesz, jakie sumy nieudokumentowanego pochodzenia są codziennie przepompowywane przez banki na Karaibach? Setki miliardów dolarów!

– A więc szukamy igły w stogu siana – rzucił zrezygnowany.

– Tak by było, gdyby nie pewna rzecz. – Spojrzała na jedną z kartek. – Miesiąc temu na konto w banku na Kajmanach wpłynęło pięćset milionów dolarów. Nieco ponad tydzień temu pieniądze

zostały przelane, ale natychmiast wpłynęło kolejne pięćset milionów, które leżały sobie spokojnie przez tydzień. Wtedy znowu dokonano przelewu. Ale, ciekawa sprawa, drugi przelew trafił na konto, z którego przyszły te pieniądze.

– Zwrot do nadawcy?

– Coś w tym rodzaju.

– Kiedy to nastąpiło?

– Tego dnia, kiedy Alex mało nie zginął.

– Czyli jak tylko dowiedzieli się o fiasku misji Friedman?

– Zgadza się.

– Czyli dostała połowę umówionej kwoty po osiągnięciu wyznaczonych celów częściowych. Przypuszczalnie były to: eksplozja w parku Lafayette'a, śmierć Toma Grossa i pożegnanie z Donohue, Sykesem i Latynosami.

– A co z Turkekulem?

– To przypadek specjalny. Początkowo sądziłem, że Friedman po prostu skorzystała z nadarzającej się okazji, ale teraz nie jestem tego pewien.

– Nie rozumiem, co masz na myśli...

– Ja też, szczerze mówiąc. Musimy poczekać na rozwój sytuacji. Można jakoś ustalić, do kogo trafiły pieniądze?

Pokręciła głową.

– Dopiero co uzyskaliśmy zgodę szwajcarskich banków na wgląd w niektóre konta, ale banki z Kajmanów nie są tak chętne do współpracy. Trzeba sporo czasu, zanim dowiemy się czegoś konkretnego.

– Być może mnie uda się to szybciej.

– Ale Friedman ma do dyspozycji pół miliarda dolarów! Za takie pieniądze może uciec... dokądkolwiek!

– Rzeczywiście. Ale oprócz tego ma też poważne problemy.

– Myślisz o jej pracodawcach?

– Jeżeli od razu zaczniesz uciekać, szybko ją namierzą. Być może dojdzie do wniosku, że lepiej trochę poczekać, a wtedy może przestaną się nią tak bardzo interesować i zajmą się innymi sprawami.

– Pamiętaj, że jest dla nich groźna z jeszcze jednego powodu – powiedziała Annabelle.

– Jest potencjalnym świadkiem, który zezna, że to kartele stały za tymi wszystkimi zabójstwami i próbą zamachu na obu prezydentów.

– To bardzo mądra kobieta i na pewno zdaje sobie z tego sprawę, ale to tylko jeszcze jeden powód, żeby działać powoli i ostrożnie. Tym bardziej że jest jeszcze druga strona równania.

– Policja?

– Otóż to. Friedman z pewnością już wie, że jej szukamy.

Annabelle zgarnęła swoje rzeczy, szykując się do wyjścia.

– Jeżeli Alex nie wyjdzie z tego, jak sobie bez niego poradzimy?

Zrobiła minę, jakby miała się znowu rozplakać. Stone przytulił ją mocno i pozwolił, by Annabelle Conroy, przypuszczalnie najgenialniejszy fałszerz na świecie, ale zarazem kobieta o wielkim sercu i niezłomnej lojalności, wyszłochała się na jego piersi. Kiedy się uspokoiła, powiedział cicho:

– Nigdy nie poradzimy sobie bez niego, Annabelle. Będziemy po prostu żyli z dnia na dzień, i tyle. Myślę, że kto jak kto, ale my dwoje doskonale zdajemy sobie z tego sprawę.

Bez słowa skinęła głową i wyszła. Stone odprowadził wzrokiem jej samochód, po czym wrócił do domu. Zaraz potem zadzwonił do kogoś, kogo poznał całkiem niedawno, ale kto od razu został jego sojusznikiem.

– Joe? Tu Oliver Stone.

Joe Knox zareagował w typowy dla siebie sposób.

– Zastanawiałem się właśnie, kiedy wreszcie zadzwonisz do mnie w tej sprawie. Będę u ciebie za godzinę.

90.

Joe Knox był krzepkim mężczyzną i mimo pięćdziesiątki wciąż miał posturę futbolisty, którym zresztą kiedyś był. Razem ze Stone'em siedział w więzieniu o zaostrzonym rygorze, podobnie jak on bez procesu i bez wyroku skazującego. Wcześniej otrzymał zadanie zlikwidowania Stone'a; zlecił mu je podwójny agent pełniący funkcję jego przełożonego w CIA. Przetrwawszy koszmar więzienia wyłącznie dzięki wzajemnemu zaufaniu, Knox i Stone zostali na zawsze przyjaciółmi.

– Śledziłem to od samego początku – powiedział Knox, siedząc naprzeciwko Stone'a w jego domu na cmentarzu. – I w gazetach, i mniej oficjalnie, nasłuchując plotek w Agencji.

Alex Ford pomógł córce Knoxa odnaleźć go po porwaniu i osadzeniu w więzieniu; Knox nigdy mu tego nie zapomniał. Wyraz twarzy mężczyzny jednoznacznie świadczył o pragnieniu schwytania i policzenia się z ludźmi, którzy mało nie doprowadzili do śmierci Alexa.

– W takim razie nie traćmy czasu. Który meksykański kartel przelał na konto na Kajmanach dwie raty po pół miliarda dolarów, a następnie wycofał drugą z nich?

– To śmierdząca sprawa, Oliver.

– Carlos Montoya?

Knox skinął głową.

– Kiedy pojawili się Rosjanie, posiekali na kawałki jego matkę, żonę i troje dzieci i zostawili ich w rowie. Wreszcie trafił swój na swego. Kwaterę główną ma na przedmieściach Mexico City. Chociaż ostatnio obroty spadły mu o dziewięćdziesiąt procent, to i tak wciąż dysponuje ogromnymi wpływami na całym świecie.

– Dla nas to nawet dobrze. Friedman będzie musiała zachować maksymalną ostrożność, a to ją jeszcze bardziej spowolni.

Knox zastanawiał się przez chwilę.

– Ma jeszcze jeden problem.

– Potrzebuje ochrony.

– Oczywiście, ale nie dostanie jej od Latynosów. Żaden z nich nie sprzymierzy się z nią przeciwko komuś takiemu jak Montoya. Amerykańscy gangsterzy też raczej będą trzymali się od niej z daleka. Nie lubią być kojarzeni z zamachami na prezydentów. Za to grożą zbyt wysokie kary, a i agenci federalni pracują wtedy z większym zaangażowaniem. Może szukać pomocy tylko w Europie Wschodniej, bo Rosjanom jest wszystko jedno, kto im płaci, albo na Dalekim Wschodzie.

– Co oznacza, że musimy sprawdzić, czy w ciągu kilku minionych dni do Stanów nie przyjechało stamtąd kilku lub kilkunastu umięśnionych bandziorów. Myślisz, że uda ci się to ustalić?

– Bez problemu – odparł Knox. Przez chwilę z zainteresowaniem oglądał własne dłonie, po czym zapytał przyciszonym głosem: – Jakie rokowania?

– Nie najlepsze – przyznał Stone.

– To pierwszorzędny agent i wspaniały człowiek.

– Wiem o tym.

– Ocalił nam tyłki.

– A więc musimy doprowadzić tę sprawę do końca. Dla niego.

Knox podniósł się z fotela.

– Powinienem coś wiedzieć w ciągu sześciu godzin.

Po odjeździe przyjaciela Stone ruszył na spacer między grobami. Dotarłszy pod rozłożysty dąb, usiadł na ławce. Stracił już jednego bliskiego druha; lada chwila mogło się okazać, że straci kolejnego. Przesunął wzrokiem po starych nagrobkach. Na innym cmentarzu, całkiem niedaleko stąd, spoczywał Milton Farb. Niebawem na wieczny spoczynek może się udać także Alex Ford.

Stone przysięgł sobie, że tylko jedno z nich wyjdzie z tego z życiem: on albo Friedman. Po tym, co zrobiła, nie mógł powziąć innego postanowienia. Tak musiało być.

91.

Przeszukali całe biuro Friedman, jednak bez rezultatu. Trudno było się dziwić, ponieważ została oficjalnie zwolniona i zabrała swoje rzeczy, ale w jej domu w Falls Church też na nic nie natrafili, choć stamtąd najwyraźniej się nie wyprowadziła. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wyjechała w pośpiechu, bez wątpienia za sprawą szybkich działań podjętych przez Secret Service na podstawie informacji dostarczonych przez Stone'a.

Stone i Chapman rozejrzeli się jeszcze raz po trzykondygnacyjnym segmencie z końca lat osiemdziesiątych, w którym Marisa Friedman mieszkała od roku dwutysięcznego.

– Ashburn pokazała mi spis rzeczy, które stąd zabrali, ale nie było tego wiele – powiedział Stone. – Nic nie wskazywało na to, żeby miała rodzinę: żadnych fotografii, widokówek, listów. Całkowicie zresetowała swoją przeszłość.

– Jest szpiegiem – odparła Chapman. – To chyba normalne w tym fachu.

– Nawet szpiedzy mają jakieś życie – stwierdził Stone. – Znaczna część zwykle jest zmyślona, lecz mimo to starają się zachować jakieś pamiątki z tego, co prawdziwe.

– Co właściwie o niej wiemy? – zapytała.

– Urodziła się w San Francisco. Jedyńaczka. Rodzice już nie żyją.

– Jak umarli?

– W pożarze domu.

– Nie sądzisz, że...

– Nie. Miała wtedy cztery lata, więc wątpię, żeby ich zabiła. Rodzice byli majątni, ale po opłaceniu podatków i spłaceniu długów nie zostało jej zbyt wiele, a krewni, którzy wzięli ją na wychowanie, nie wyróżniali się szczodrością. Nie mogli jednak zaprzeczyć, że dziewczyna ma zdolności. Poszła najpierw na Stanford, potem skończyła prawo na Harvardzie i została zwerbowana przez CIA. Od dłuższego czasu należała do grupy ich najlepszych agentów.

Kamuflaż lobbystki doskonale do niej pasował. Dzięki temu mogła, nie wzbudzając podejrzeń, podróżować po całym świecie i spotykać się z najróżniejszymi ludźmi mającymi istotne informacje.

– Trochę szkoda, że nie zauważyliście, kiedy przeszła na drugą stronę. Weaver mało nie zsiadł się w gacie ze złości.

Stone rozejrzył się po skromnym wnętrzu.

– Niezbyt imponująca rezydencja, prawda?

– Więc chodziło tylko o pieniądze? Teraz już wiem, dlaczego znienawidziłam ją od pierwszej chwili!

– Nie o pieniądze, tylko o mnóstwo pieniędzy – poprawił ją Stone. – Jak ktoś ma miliard dolarów, może robić wszystko, na co przyjdzie mu ochota, a uzasadnienia wymyślać później.

– Nie wierzę, że wciąż jej bronisz.

– Raczej zastanawiam się, czy uda mi się jej nie zabić, kiedy ją znowu zobaczę.

– Mówisz serio?

Stone odwrócił głowę.

– Nie ma tu niczego, co mogłoby nam pomóc.

– Jak sądzisz, gdzie ona teraz jest?

– Sprawdziliśmy monitoring na wszystkich lotniskach, przepytaliśmy wszystkich funkcjonariuszy obsługi naziemnej, sprawdziliśmy wszystkie listy pasażerów. Pozostają pociągi, autobusy i samochody. Nie ma własnego samochodu, z wypożyczalni nie weźmie, bo zostawiłaby zbyt wyraźne ślady. Autobus odpada z tego samego powodu. Poza tym jakoś nie mogę sobie wyobrazić miliardarki podróżującej Greyhoundem.

– Prywatny odrzutowiec?

– Sprawdzone. Naturalnie coś mogło nam umknąć i nie możemy mieć stuprocentowej pewności, że nie wybrała tej drogi, ale zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

– A więc pociągiem na północ, do wielkiego miasta? Naprawdę tak myślisz? Ale jeśli rzeczywiście wysłała sobowtóra do Miami, to można przypuszczać, że raczej będzie unikała dworców kolejowych...

– Ona przewiduje na osiem ruchów naprzód. Z pewnością przeprowadziła tę samą analizę co ty przed chwilą, doszła do tych

samych wniosków, a następnie zrobiła coś wręcz przeciwnego.

– Skręciła w prawo zamiast w lewo – powiedziała cicho Chapman.

– Co znaczy, że nie będzie łatwo ją dopaść, a aresztować jeszcze trudniej.

Zadzwoił jego telefon. Stone odebrał. Okazało się, że to Joe Knox. Stone słuchał przez kilka minut.

– Dzięki, Joe. Możesz monitorować ich komórki, karty kredytowe i tak dalej? Jasne, powinienem się domyślić, że już się tym zająłeś. Naturalnie to musi pozostać tylko między nami, jasne? Super, dzięki.

Schował telefon i spojrzał na Chapman.

– Jest jeszcze lepsza, niż myślałem.

– To znaczy? – zapytała z niepokojem.

– Przypuszczałem, że wynajmie ochroniarzy z Europy Wschodniej lub z Azji.

– A co zrobiła?

– Wynajęła dwa sześciuosobowe zespoły, po jednym z każdego z tych miejsc.

– Po co jej aż tylu ludzi?

– Dwa zespoły to dwa mury między nią i nami. A co, jeśli jeden z nich da się przekupić Montoi?

– Wtedy zawsze zostaje jej jeszcze drugi...

– Jeśli ją dobrze znam, to podejrzewam, że te zespoły nic nie będą o sobie wiedziały.

– Mur zewnętrzny i mur wewnętrzny. Klasyczna strategia obronna.

– Przebijemy się przez jeden i od razu musimy stawić czoło drugiemu. Duże szanse na to, że to nam się nie uda.

– Gdzie teraz są ci ludzie?

– W wielkim mieście na północy.

– W Nowym Jorku?

– Co znaczy, że ja też tam jadę.

– My tam jedziemy – poprawiła go Chapman.

– Posłuchaj, ja...

– Słusznie. Nie masz najmniejszych szans, żeby mnie od tego odwieść.

– To nie twoja bitwa.

– Ta suka mnie też próbowała zabić. Nie ty jeden zastanawiasz się, czy zdołasz powstrzymać się przed naciśnięciem spustu, kiedy nadarzy się okazja.

92.

Sześć godzin później ujawnił się niejaki Ming, który wchodził w skład azjatyckiego zespołu ochroniarzy Friedman. Był znany władzom jako doskonale opłacany najemnik, od czasu do czasu dorabiający sobie na boku w charakterze płatnego zabójcy, ale nigdy niczego mu nie udowodniono – głównie z powodu zagadkowego znikania wszystkich potencjalnych świadków. Ming, przypuszczalnie postępując wbrew zaleceniom, zapłacił kartą kredytową za lunch w azjatyckiej restauracji w południowym Bronksie.

Była to bardzo ogólna wskazówka, ale zdołali ją nieco doprecyzować. Nikt z potencjalnych ochroniarzy Friedman nie wynajął samochodu, taksówek w Bronksie było zdecydowanie mniej niż na Manhattanie, a że wszystko wskazywało na to, iż Ming nigdy wcześniej nie był w Nowym Jorku, należało wątpić, czy odważył się skorzystać z metra. Na tej podstawie Joe Knox wysnuł wniosek, że Ming przyszedł do lokalu pieszo.

– Wyznaczmy obszar w promieniu sześciu przecznic od knajpy – powiedział Stone’owi przez telefon. – To duży teren, ale nie mamy co narzekać, bo mógłby być znacznie większy.

- Dobra robota, Joe.
- Kto jest w twojej ekipie?
- Harry Finn, Mary Chapman z MI6, no i ja.
- I ja.
- Nie, Joe. Nie ty.
- Alex Ford uratował mi życie. Jestem mu to winien.
- Wydawało mi się, że wybierasz się na emeryturę?
- Zaraz po tym. Jak tam dojedziemy?
- Prywatnymi samochodami. Z tego, co wiem, Friedman potrafi uzyskać dostęp do wielu baz danych, więc wypożyczalnie odpadają.
- Weźmiemy mojego rovera. Kiedy chcesz wyruszyć?
- Jesteś pewien?

– Bądź tak miły i nie pytaj więcej. A co z resztą Klubu Wielbłądów?

– Reuben jest ranny, Annabelle chce trzymać od tego z daleka, a Caleb, cóż... Sam wiesz.

– Wiem.

*

Wyruszyli o czwartej nad ranem. Prowadził Knox, Stone siedział obok, Finn i Chapman z tyłu. Wieczorem Stone wyjaśnił im, na czym polega plan. Z wyjątkiem Knoxa wszyscy byli przebrani, na wypadek gdyby ludzie Friedman byli dobrze przygotowani do zadania – a należało przypuszczać, że tak jest. Stone wolał nie ryzykować. Każdy miał fotografię Minga, Knox dodatkowo dostał także zdjęcie Friedman, choć z pewnością zdążyła już zmienić wygląd.

– Szukamy w promieniu sześciu przecznic – przypomniał im Stone, kiedy zbliżali się do Nowego Jorku.

Ogromne miasto tętniło życiem, miliony ludzi wyruszały właśnie do pracy. Knox miał wysadzić pasażerów w trzech punktach Bronksu, a następnie kontynuować poszukiwania z samochodu. Okolica nie należała do najbezpieczniejszych, jednak wszyscy byli uzbrojeni i potrafili zadbać o siebie.

Stone wysiadł na granicy przeszukiwanego obszaru i powoli zmierzał ku jego centrum, wyznaczonemu przez azjatycką restaurację. Nie musiał już zerkać na zdjęcie Minga; doskonale zapamiętał charakterystyczną twarz mężczyzny, w której najbardziej zwracały uwagę duże oczy o nieruchomym, pozbawionym wyrazu spojrzeniu. Stone doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby Ming nie został płatnym mordercą, nadal byłby socjopata i robił to samo za darmo. Ale nawet socjopaci popełniają błędy. Błąd Minga polegał na tym, że zapłacił kartą za kanapkę pastrami, puszkę piwa i porcję frytek.

W południowym Bronksie znajdowały się zarówno odremontowane, schludne kwartały i tętniące życiem ulice ze sklepami i restauracjami, jak i zaniedbane obszary z ruderami, gdzie kwitła przestępczość. Choć w tej właśnie dzielnicy wzniesiono za prawie miliard dolarów nowy stadion Jankesów, prawie połowa jej

mieszkańców żyła poniżej granicy ubóstwa. Do wielu kwartałów lepiej było nie wchodzić. Stone i jego towarzysze znajdowali się właśnie w jednym z nich. Stone jednak znacznie bardziej niż miejscowych rzezimieszków obawiał się przestępców z importu. Rozglądał się uważnie, lecz w miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej, temperatura rosła i pot ściekał mu po karku, uświadamiał sobie coraz wyraźniej, że będą potrzebowali cudu, by zakończyć poszukiwania sukcesem. Nie wiedział jeszcze, że taki cud miał się wydarzyć już za kilka godzin.

Chapman zgłosiła przez telefon, że zauważyła poszukiwanego. Podała adres.

– Idzie na zachód, właśnie przechodzi przez ulicę.

Wszyscy ruszyli pod wskazany adres, a ona informowała ich kolejnymi SMS-ami o swoim aktualnym położeniu. W pewnej chwili zadzwoniła do Stone'a.

– Właśnie wszedł do sklepu z narzędziami przy... zaczekaj, muszę znaleźć tabliczkę...

Sto Czterdziestej Dziewiętej Wschodniej.

– Jak się nazywa najbliższa przecznica?

Podawała mu nazwę.

– Ukryj się. Mogą obserwować okolicę.

Przeszła na drugą stronę, skręciła w boczną alejkę i spojrzała na trzypiętrowy ceglany budynek.

– Wygląda na opuszczony – zameldowała przez telefon.

– Uważaj na siebie. Będę tam za dziesięć minut.

Zdołał dotrzeć na miejsce w ciągu dziewięciu minut.

– Knox i Finn zbliżają się z drugiej strony – powiedział. – Zauważyłaś coś?

– Sylwetkę w oknie na drugim piętrze. To chyba nie był Ming, ale nie jestem pewna.

Stone rozglądał się dookoła, zastanawiając się, z jakiego powodu Friedman wybrała na kryjówkę akurat tę okolicę. Z pewnością w południowym Bronksie łatwo było znaleźć puste mieszkania, a nawet całe budynki, niemniej był to zaskakujący wybór. Powoli zaczynał sobie uświadamiać, że Marisa Friedman jest znacznie bardziej skomplikowaną osobą, niż jeszcze niedawno przypuszczał.

Spojrzał na południowy wschód, w kierunku East River, do której przez minione lata wrzucono niejedno ciało. Na zachód stąd płynęła rzeka Harlem, dalej był górny Manhattan, a jeszcze dalej toczyła swoje wody rzeka Hudson, gdzie autostrada numer 95 łączyła miasto z New Jersey na południu i Nową Anglią na północy.

– Co robimy? – zapytała Chapman.

– Czekamy i obserwujemy.

– Jak długo?

– Aż ustalimy, jaką siłą dysponują, kto tam jest i jak możemy się do nich dostać, nie ryzykując za bardzo.

– A może zawiadomilibyśmy policję albo FBI?

Zerknął na nią spod oka.

– Kiedy prosiłaś, żeby cię zabrać, uznałem za oczywiste, że podporządkujesz się moim rozkazom.

– Zrobię to... w pewnych granicach. Musimy za wszelką cenę zgarnąć ją żywcem, żeby mogła stanąć przed sądem.

– Sama przecież powiedziałaś, że trudno ci będzie powstrzymać się przed naciśnięciem spustu...

– Powiedziałam tak, żebyś lepiej się poczuł. Nie będę miała z tym najmniejszego problemu. Nie zamierzam z jej powodu marnować sobie życia. Ale czy ty potrafisz się powstrzymać?

– Tak, jeśli okaże się to konieczne.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że bardzo wątpię, czy ta pani wyjdzie z podniesionymi rękami, by dać się aresztować, trafić przed sąd i zostać stracona za zdradę. Jeżeli zagrozi życiu kogoś z moich ludzi, zrobię wszystko, żeby ją zabić. Zakładam, że rozumiesz w ten sam sposób.

– Jakie ma doświadczenie w posługiwaniu się bronią?

– Ogromne. Z długą i krótką, na daleki i krótki dystans. Sprawdziłem w jej aktach.

– No popatrz... A ja myślałam, że jej jedynym atutem jest ładna buźka.

Stone chwycił ją za ramię.

– To poważna sprawa, Chapman! Musisz dać z siebie wszystko, więc nie sil się na żarciki, tylko skup się na tym, co masz do

zrobienia!

Uwolniła się z jego uchwytu.

– Jeśli pozwolisz, poproszę cię o ocenę później.

Stone nie odpowiedział, tylko skierował wzrok z powrotem na budynek. Kilka minut później zadzwonił Finn.

– Jestem na miejscu. Żadnej aktywności w polu widzenia. Od tyłu są dwa wejścia: środkowe i wschodnie. To drugie chyba zamknięte, zapewne obserwowane. Zresztą założę się, że obserwują cały teren dokoła. Ja w każdym razie na pewno zrobiłbym tak na ich miejscu, jeżeli już zdecydowałam się na kryjówkę w takiej okolicy.

– Zgadzasz się z tobą, Harry – odparł Stone. – Czy Knox jest z tobą?

– Tak. Co mamy robić?

– Siedzieć, czekać i obserwować. Kiedy uderzymy, chcę to zrobić z chirurgiczną precyzją. Są szanse na zdobycie planów budynku?

– Już je mam w telefonie.

– Tak szybko? – zdziwił się Stone.

– Mam kumpla w wydziale planowania miasta. Służyliśmy razem w marynarce.

– Powiedz, jak to wygląda.

Finn powiedział.

– Sporo potencjalnie niebezpiecznych miejsc – zauważył Stone.

– Zgadzasz się. Ale to czeka nas w środku, najpierw trzeba się tam dostać, a to trudna sprawa. Jeśli chcemy to zrobić niepostrzeżenie, ma się rozumieć.

– Obserwujcie dalej. Meldujcie co pół godziny.

Stone zakończył rozmowę i ponownie spojrzął na stary ceglany budynek. Chapman poruszyła się niecierpliwie.

– A jeśli ktoś nas tu wypatrzy?

– Wtedy przeniesiemy się w inne miejsce.

– Jeszcze nigdy nie byłam w Nowym Jorku. Prezentuje się znacznie gorzej, niż się spodziewałam.

– Bo opowiadano ci o Manhattanie, leżącym na zachód stąd. Miejsu dla sławnych i bogatych. Bronx to coś zupełnie innego. Trochę całkiem miłych miejsc i sporo zupełnie niemiłych.

– Bywałeś tu wcześniej, prawda?

Skinął głową.

- W interesach czy dla przyjemności?
- Nigdy nie podróżowałem dla przyjemności.
- Co więc robiłeś, kiedy byłeś tu ostatnio?

Nie pofatygował się, żeby odpowiedzieć, a Chapman nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

W myślach przeniósł się kilkadziesiąt lat wstecz. Ponownie nacisnął spust swojego karabinu snajperskiego, kończąc życie jeszcze jednego wroga Stanów Zjednoczonych, kiedy ten przechodził przez jezdnię z kochanką. Szli do pobliskiego luksusowego hotelu, żeby uprawiać seks. Człowiek ów przypieczętował swój los, wydając rozkaz zlikwidowania dwóch agentów CIA w Polsce. Stone wpakował mu kulkę w oko punktualnie o dwudziestej trzeciej, z odległości dziewięciuset metrów i przy dość silnym północnym wietrze. Kobieta zorientowała się, że coś się stało, dopiero wtedy, kiedy jej kochanek osunął się martwy na jezdnię. Policja i FBI po uzyskaniu poufnych informacji nie wysiłały się nadmiernie podczas śledztwa. Tak się wtedy robiło. Do licha, pomyślał Stone. Całkiem możliwe, że dalej tak to się robi.

Otoczył palcem wskazującym wyimaginowany język spustowy i skoncentrował uwagę na budynku z cegły.

93.

Sześć godzin później Stone i Chapman przenieśli się do opuszczonego budynku po drugiej stronie ulicy. Brudne materace i zużyte strzykawki świadczyły o tym, że pełnił funkcję noclegowni dla narkomanów, ale chwilowo nikogo w nim nie było. Weszli tylnymi drzwiami, przygotowani na ewentualny dłuższy pobyt w tym miejscu. Stone otworzył plecak i podał Chapman butelkę z wodą, jabłko i kawałek czerstwego chleba.

– Muszę przyznać, że wiesz, jak zatroszczyć się o dziewczynę – stwierdziła na widok posiłku.

Chwilę później drzwi frontowe domu naprzeciwko otworzyły się i wyszedł Ming z jeszcze jednym mężczyzną. Skręcili w lewo w najbliższą przecznicę. Stone natychmiast poinformował o tym Finna.

– Mam za nimi iść?

– Nie. O tej porze pewnie poszli coś zjeść. Siedzieli tam przecież przez cały dzień.

Może uda ci się zajrzeć przez jakieś okno? Jeżeli rozeznanie nas nie zawiodło, powinno tam być jeszcze dziesięciu ludzi plus Friedman. Wolałbym jednak mieć pewność.

– Cholernie tam ciemno, ale na szczęście zabrałem noktowizor.

– Tylko ostrożnie, Harry. Ci faceci wiedzą, co robią.

– Rozumiem.

Po dwudziestu minutach Finn zgłosił się z meldunkiem.

– Dwaj strażnicy na parterze w południowo-zachodnim narożniku. Nie widzę broni, ale na pewno mają ją przy sobie. Pozostali muszą znajdować się wyżej. Obawiam się, że niczego więcej nie wypatrzę.

Aparat przejął Knox.

– Oliver, co byś powiedział, gdyby udało mi się zorganizować kamerę termowizyjną?

– W jaki sposób?

– Znam tu trochę ludzi. Do licha, powinienem był po prostu wziąć ją ze sobą.

– Ile czasu potrzebujesz?

– Godziny.

– W porządku.

Podczas tej godziny zdarzyły się dwie rzeczy. Knox przyjechał z kamerą termowizyjną, a Ming wraz z towarzyszem wrócili po posiłku i znikli we wnętrzu budynku.

Mieli ze sobą wielkie torby z daniami na wynos. Dwie minuty później ponownie zadzwonił Knox.

– No dobra, działa. To draństwo prześwietla beton i cegły jak aparat rentgenowski.

– Ilu widzisz?

– Sześciu, wszystkich w lekkich kamizelkach kuloodpornych.

– Tylko sześciu? – zapytał Stone z niepokoje. – Jesteś pewien?

– Zaczekaj chwilę... Jest. Drugie piętro, jedna osoba, bez kamizelki.

– Płeć?

– Sądząc po sylwetce to kobieta.

– Friedman!

– Być może. Stąd na pewno jej nie zidentyfikujemy.

– Dzięki, Joe. Czekaćcie cierpliwie.

Spojrzał na Chapman.

– No dobrze, wiemy, ilu ich jest i gdzie. Wchodzimy sami czy może jednak wezwiemy posiłki?

– Jest jakiś powód, dla którego wciąż wracasz do tego tematu?

– Na przykład nie chciałabym, by wystrzelali nas jak kaczki. Znacznie bardziej obawiam się jednak, że ktoś z nas zrobi coś, czego później będzie żałował. Wydaje mi się, że tym kimś możesz być ty albo będę to ja.

– W każdej chwili możesz odejść. Nikt cię nie zatrzymuje.

– To nie było ultimatum z mojej strony, tylko luźna uwaga.

– Czasem nie mogę cię rozgryźć.

– Tylko czasem? Jestem rozczarowana.

– Jaką broń masz przy sobie?

– Walthera i glocka, i cztery zapasowe magazynki. A ty?

- To co trzeba.
- Przydałby się MP-5 albo TEC-9.
- Miejmy nadzieję, że tamci ich nie mają.
- Wiesz przecież, że są uzbrojeni po zęby.
- Może tak, a może nie. Teraz trudno spacerować po mieście z całym arsenałem, nie ściągając na siebie uwagi policji.
- Mogli zgromadzić broń wcześniej.
- Rzeczywiście, mogli.
- Jeszcze nie jest za późno na wezwanie posiłków.
- Przecież nawet nie wiemy, czy Friedman tam jest!
- Ale wiemy na pewno, że jest tam sześciu bardzo niedobrych facetów, których nie powinno tam być.
- Równie dobrze mogli oficjalnie wynająć ten budynek i mają święte prawo w nim siedzieć. A na wypadek gdybyś zapomniała, to chciałem ci przypomnieć, że ciebie też nie powinno tu być. Joe i Harry wyświadczają mi przysługę, ja jestem tu całkowicie prywatnie.

Tylko ty nosisz odznakę, a w dodatku widnieje na niej portret królowej. Potrzebowalibyśmy co najmniej pół roku, żeby wytłumaczyć to wszystkim chłopcom w granatowych mundurach, i jestem przekonany, że na wszelki wypadek by nas przymknęli.

- No cóż, zgadza się wszystko poza królową, ale przyznam, że trudno odmówić słuszności twoim argumentom. Co więc robimy?

- Myślę, że im więcej czasu mija, tym bardziej czujni tamci się robią.

- Czyli nie czekamy już dłużej?

- Nie. - Sięgnął po telefon. - Joe? Przygotujcie się. Wchodzimy za godzinę.

*

„Wejście” nie odbyło się zgodnie z planem. Pierwszą oznaką świadcząca o tym, że coś jest nie w porządku, było to, że zarówno drzwi frontowe, jak i tylne nie były zamknięte.

Punktualnie o drugiej w nocy Finn i Knox zaatakowali od tyłu, Stone i Chapman natomiast od przodu. Strażnicy spali. Kilka szturchnięć lufami przywołało ich do przytomności, lecz zanim

atakujący dotarli na wyższe piętra, śpiący tam mężczyźni sami zaczęli się budzić.

Drugą zapowiedzią fiaska operacji był fakt, że nikt nie miał broni w zasięgu ręki.

Trzecią, i zarazem ostatnią, okazało się to, że kobieta na drugim piętrze była o jakieś dwadzieścia lat starsza od Friedman i do tego kompletnie pijana. Tak bardzo, że nie byli w stanie jej obudzić.

Sfrustrowanemu Stone'owi puściły nerwy. Złapał Minga za kołnierz i cisnął nim o ścianę.

– Powiesz mi, gdzie jest Friedman?

Azjata uśmiechnął się pogardliwie.

– Przewidziała twoją wizytę – powiedział z wyższością.

Stone cofnął się o krok. Ming spojrzał na wycelowaną w niego broń. Kobieta dalej chrapała w kącie.

– Moją?

Ming skinął głową.

– Jesteś John Carr. Pokazała nam zdjęcie. Jesteś przebrany, ale zdradziły cię oczy.

Stone zerknął na Finna, potem na Knoxa i Chapman, by wreszcie ponownie skupić uwagę na Azjacie.

– W takim razie po co to wszystko? – zapytał.

– Płaci nam, żebyśmy tu siedzieli, trochę wychodzili na ulicę, pokazywali się tu i tam.

Żadnej strzelaniny. Najłatwiejsza robota w moim życiu.

Stone zaklął pod nosem. Znowu dał się wymanewrować. Ming prawidłowo zinterpretował jego reakcję i uśmiechnął się szeroko.

– Powiedziała mi, że jesteś sprytny, że nie uwierzysz w pociąg do Miami. A w bezludną wyspę?

– W coś przeciwnego – odparł Stone ponurym tonem.

– Właśnie. Zwykle lepiej się maskujemy. Tym razem zapłaciłem za lunch własną kartą, bo ona kazała mi tak zrobić.

A ja dałem się nabrać jak dziecko, przemknęło Stone'owi przez głowę.

– Po co?

– Żeby odwrócić uwagę.

Dwa zespoły, myślał szybko Stone. Azjatycki i rosyjski. Wydawało mi się, że będą działać razem, ale tak nie jest. Ming miał tylko odwrócić uwagę, co więc w tym czasie robił drugi zespół?

Nogi ugięły się pod nim.

To takie oczywiste. Teraz to takie oczywiste... Opanował się jakoś i zapytał: – Dokąd ich zabrała?

– Kogo? – zdziwiła się Chapman.

Stone nie spuszczał wzroku z Minga.

– Dokąd zabrała moich przyjaciół?

Azjata aż klasnęła w dłonie.

– Naprawdę jesteś dobry! Ona była pewna, że się domyślisz.

– Dokąd? – wycedził. Zrobił krok naprzód i przyłożył Mingowi pistolet do czoła. – Mów!

Azjata wciąż się uśmiechał, ale jakby odrobinę mniej wesoło.

– Odważysz się nacisnąć spust? Przy tych ludziach?

Stone powoli odwiódł kurek.

– Przekonasz się za trzy sekundy.

Minęły dwie. Jego palec zaczął powoli naciskać spust.

– Wiesz o tym, że tego nie da się cofnąć. Będziesz trupem.

– Powiedziała, że zabiera ich tam, gdzie wszystko zaczęło się dla ciebie i trzech szóstek! – wybełkotał Ming, dając za wygraną. – I gdzie wszystko się skończy. Tyle powiedziała. I że będziesz wiedział, gdzie to jest.

– O czym on mówi, do cholery? – zapytała Chapman ze zdziwieniem.

Stone powoli cofnął broń.

– Tak – odparł powoli. – Niestety wiem.

Mordercza Góra. Tam się wszystko zaczęło. Dla mnie.

A teraz tam się wszystko skończy.

94.

Stone sunął korytarzem siedziby waszyngtońskiego oddziału FBI niczym samolot rozpędzający się do startu. Agentka Ashburn z trudem mogła dotrzymać mu kroku. Nie zwracając sobie głowy pukaniem, z rozmachem otworzył drzwi i wkroczył do pokoju.

Dyrektor FBI podniósł na niego wzrok i wytrzeszczył oczy ze zdumieniem. Po przeciwnej stronie małego stołu konferencyjnego siedział Riley Weaver.

– Co tu się dzieje, do diabła?! – wybuchnął dyrektor.

Stone nawet na niego nie spojrział, tylko od razu skierował się do Weavera.

– Co jej powiedziałaś?

– O co chodzi? – parsknął Weaver. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale przerwałeś nam spotkanie!

Stone ruszył ku niemu z taką miną, że Weaver poderwał się z fotela i skulił się, zasłaniając twarz i brzuch.

– Ashburn, o co chodzi, do jasnej cholery? – zażądał wyjaśnień dyrektor Biura. – Jakim prawem...

– Co powiedziałaś Friedman o mnie, Weaver? – zapytał Stone podniesionym głosem.

– Nie rozmawiałem z tą kobietą! Ostrzegałem cię, Stone: jeżeli będziesz próbował wrobić mnie w jakieś...

– Wcześniej, zanim ci powiedziałem, że to ona stoi za tym wszystkim! – syknął Stone.

– Wtedy chyba z nią rozmawiałeś, prawda?

Weaver powoli opadł z powrotem na fotel. Dyrektor FBI patrzył na niego w milczeniu, agentka Ashburn przyglądała mu się od drzwi. Weaver wędrował wzrokiem między nimi, aż wreszcie znowu spojrział na Stone'a.

– Była moją agentką. Miałem prawo z nią rozmawiać.

– Co jej o mnie powiedziałaś? Że to ja ją rozgryzłem? Że to ja ostrzegłem Secret Service? Że to przeze mnie jej plan spalił na

panewce?

– Nawet jeśli tak, to co z tego? – Weaver przeszedł do kontrofensywy. – Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że mam do czynienia ze zdrajcą. Szczerze mówiąc, nawet teraz nie mam całkowitej pewności. Równie dobrze ktoś mógł ją porwać albo nawet zabić.

Do pokoju weszła Chapman.

– Nikt jej nie porwał ani nie zabił. To ona zdradziła. Wodziła nas za nos, a w tym czasie porwała dwoje przyjaciół Stone'a.

– Co takiego?! – wykrzyknęli równocześnie dyrektor FBI i Ashburn.

– Skąd o tym wiecie? – zapytał podejrzliwie Weaver. – Sprawdziliśmy pociąg do Miami, ale jej tam nie było. Coś mi mówi, że wiedzieliście o tym wcześniej. – Zerknął na dyrektora. – Ukrywasz przed nami informacje, Stone?

– Może tego nie zauważyłeś, ale nie pracuję już dla rządu.

– Pieprzenie.

– To ty spieprzyłeś sprawę, rozmawiając z Friedman, a nie z nami. Załóżę się, że przez cały czas informowałeś ją o rozwoju sytuacji. Zastanawiałem się, jakim cudem oni wiedzą wszystko o naszych ruchach, zanim jeszcze zdążymy je wykonać, ale teraz to już jasne.

Wiedziała to od ciebie, zgadza się?

– Nie muszę się tłumaczyć ani przed tobą, ani przed nikim innym!

– Powiem to moim przyjaciołom, gdy tylko odzukam ich ciała!

– Domyślasz się, gdzie może ich przetrzymywać? – zapytała rzeczowym tonem Ashburn.

Stone opanował się i wreszcie oderwał wzrok od Weavera.

– Nie – skłamał. – Nie mam pojęcia.

– Po co więc tu przyszedłeś? – zapytał Weaver. – Prosić nas o pomoc?

– Nie. Chciałem tylko wiedzieć, komu mam podziękować za wystawienie mnie na odstrzał.

– Przecież nie zrobiłem tego celowo, do cholery! – warknął Weaver.

Ale Stone zdążył już wyjść. Słyszeli jego kroki oddalające się szybko korytarzem.

Ashburn spojrzała pytająco na Chapman.

– Co się dzieje, u licha?

– Przecież słyszeliście. Friedman uprowadziła jego przyjaciół.

– Jest pani pewna? – zapytał dyrektor.

– Usłyszałam to niemal z samego źródła.

Ashburn obejrzała się w stronę, gdzie ucichły kroki Stone'a.

– Co on zamierza?

– A jak pani myśli? – odpowiedziała pytaniem Angielka.

– Przecież nie może tego zrobić sam.

– Mamy środki, którymi on nie dysponuje – dodał dyrektor.

– Zgadza się. Ale to on nazywa się John Carr i szczerze mówiąc, też ma środki, którymi z kolei wy nie dysponujecie. A już z pewnością ma wystarczającą motywację.

– I rzeczywiście nie wie, gdzie mogą być przetrzymywani?

– Nawet jeśli wie, nie raczył mnie o tym poinformować.

– Gdzie zdobyliście tę informację?

– W południowym Bronksie – odparła Chapman.

– Gdzie?! – wykrzyknęła Ashburn. – A skąd się tam w ogóle wzięliście?

– Musi pani zadać to pytanie Sherlockowi Holmesowi. Ja jestem tylko doktorem Watsonem.

– Agentko Chapman... – zaczął dyrektor groźnym tonem, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

– Panie dyrektorze, gdybym wiedziała coś istotnego, na pewno bym wam o tym powiedziała.

– Nie wiem czemu, ale jakoś w to nie wierzę. – Przyglądał się jej z namysłem. – Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, wobec kogo jest pani w tej chwili lojalna.

– Cały czas wobec tych samych osób, od których dzieli mnie teraz kilka tysięcy kilometrów: pewnej dostojnej starszej damy, ambitnego premiera i wiekowego mężczyzny z łupieżem i niewiarygodnie przenikliwym umysłem.

– Jest pani pewna?

– Jak zawsze – odparła Chapman i odwróciła się, by odejść.

- Dokąd pani idzie? – zapytał Weaver ostrym tonem.
 - Holmes potrzebuje swojego Watsona.
 - Agentko Chapman, miesza się pani w nie swoje sprawy – ostrzegł ją dyrektor.
 - Być może, ale zachowałabym się niegodnie, gdybym tego nie zrobiła.
 - Mogę powstrzymać panią siłą.
 - Owszem, może pan. Ale wątpię, żeby pan to zrobił.
- Pobiegła za Stone'em.

95.

– Dlaczego właśnie Annabelle i Caleb? – zapytał Harry Finn.

Jechali range roverem Knoxa na zachód drogą numer 28. Noc była ciemna, choć do wschodu słońca zostały najwyżej dwie godziny. Nastrój panujący w samochodzie był równie ponury jak widok za oknami.

– Bo pomogli mi ją zdemaskować, a to jej się chyba nie spodobało – odparł Stone z miejsca obok kierowcy.

A ja dałem się wywieść w pole jak pierwszy lepszy żółtodziób, dodał w duchu.

Coś jeszcze nie dawało mu spokoju. Ktoś tak inteligentny i ambitny jak Marisa Friedman raczej nie mógł się kierować samą chęcią zemsty. Sprawa musiała mieć drugie dno, ale jakie – tego jeszcze nie wiedział. A jeżeli czegokolwiek się lękał, to właśnie niewiadomego.

Szybko udało im się potwierdzić, że Annabelle i Caleb przepadli bez wieści – nikt nie widział ich co najmniej od dwudziestu czterech godzin. Stone odwiedził Alexa Forda, który wciąż leżał na oddziale intensywnej opieki medycznej. Stan rannego się nie poprawił, ale też nie pogorszył, co Stone uznał za jedną z nielicznych ostatnio dobrych wiadomości. Stał przy łóżku, patrząc na przyjaciela leżącego nieruchomo z obandażowaną głową, po czym ujął jego dłoń i uścisnął.

– Alex, jeśli mnie słyszysz, to wiedz, że wszystko będzie dobrze. Daję ci słowo, wszystko będzie dobrze. – Przerwał, wziął głęboki wdech, po czym dodał: – Jesteś bohaterem, Alex. Prezydentowi nic się nie stało. Nikt nie ucierpiał. Jesteś bohaterem, słyszysz?

Wydawało mu się, że przyjaciel odpowiedział delikatnym uściskiem palców, ale kiedy spojrzął na jego nieruchomą twarz i zamknięte oczy, zrozumiał, że to tylko pobożne życzenia.

Cofnął rękę, odwrócił się i ruszył do drzwi. Coś kazało mu zatrzymać się w progu i jeszcze raz spojrzeć na rannego. Nagle

ogarnęło go tak silne poczucie winy, że aż ugięły się pod nim kolana.

On tu jest przeze mnie. Caleb i Annabelle być może już nie żyją. Też z mojej winy.

Zatrzymał się w jeszcze jednym miejscu: przy antykwariacie na starym mieście w Alexandria Stone i Caleb pomogli kiedyś właścicielowi, on zaś w ramach rewanżu pozwolił Stone'owi trzymać różne przedmioty w skrytce w piwnicy starego budynku. Teraz przedmioty te jechały z nimi range roverem.

– Mordercza Góra? – odezwała się Chapman. – Nie wyjaśniłeś, co to takiego.

Kiedy stało się jasne, że Stone nie zamierza się odezwać, głos zabrał Knox: – Stary obóz treningowy CIA. Zamknięty jeszcze przed moimi czasami. Paskudne miejsce z tego, co słyszałem. Podczas zimnej wojny Agencja pozwalała tam sobie na różne rzeczy. Myślałem, że zrównali je z ziemią.

– Nie zrobili tego – powiedział Stone głucho.

Knox zerknął na niego z ukosa.

– Byłeś tam ostatnio?

– Tak. Nawet całkiem niedawno.

– Po co? – zapytała Chapman.

– W interesach – odparł lakonicznie.

– Jak to wygląda? – zapytał Finn z tylnego miejsca.

Stone podał mu laminowaną kartkę, a Finn włączył sufitową lampkę i przyjrzał się jej razem z Chapman. Notatki na planie były bez wątpienia autorstwa Stone'a.

– To okropne! – wykrzyknęła Chapman po chwili. – Laboratorium z klatką tortur?

Specjalne pomieszczenie, w którym walczysz z przeciwnikiem w całkowitej ciemności na śmierć i życie? Niewiarygodne!

Stone posłał jej przelotne spojrzenie.

– To nie dla mięczaków.

– Nie jestem mięczakiem!

– Dobrze wiedzieć.

Odwróciła się i obrzuciła wzrokiem zawartość bagażnika range rovera.

– Widzę, że wieziemy sporo zabytkowego sprzętu...

– Zgadza się.

– W jaki sposób to zrobimy? – spytał Knox, skręcając z drogi numer 29 w szosę numer 211.

Znaleźli się w Waszyngtonie, tyle że w stanie Wirginia – małym miasteczku u stóp Blue Ridge Mountains. Ten Waszyngton słynął tylko z jednego powodu: od ponad ćwierćwiecza mieściła się tu jedna z najlepszych restauracji na świecie.

Jechali w milczeniu do chwili, kiedy opuścili granice miasteczka i zaczęli zagłębiać się w góry.

– Tak naprawdę można się tam dostać tylko w dwóch miejscach – odezwał się Stone. – Jedno jest oczywiste, drugie nie.

– Jak myślisz, czy ona dobrze zna teren? – zapytała Chapman.

– Tak jak Knox, nie przechodziła już tu szkolenia, ale nie znam odpowiedzi na twoje pytanie. Z pewnością wiedziała o istnieniu tego obozu. Być może dokładnie go zbadała.

Znając ją, trochę zaryzykuję przypuszczenie, że poznała i zapamiętała każdy centymetr kwadratowy.

– Czyli z pewnością wie też o drugim wejściu? – odezwał się Knox.

– Musimy to założyć.

Ale na pewno nie wie o trzecim, bo tylko ja je znam, dodał w myślach. Odkrył je w czwartym miesiącu pobytu na Morderczej Górze, kiedy potrzebował trochę samotności.

Tylko po to, by złapać oddech i uporządkować myśli. I by choć na chwilę wyrwać się z piekła gorszego od najcięższego więzienia, w jakim miał okazję się znaleźć. Głównie dzięki temu zdołał wytrzymać w więzieniu, do którego trafił razem z Knoxem. Bo miał za sobą coś dużo bardziej okropnego: rok na Morderczej Górze.

– Czegoś tu nie rozumiem – zastanawiała się głośno Chapman. – Po co miałyby porywać Annabelle i Caleba, przywozić ich tutaj i czekać na ciebie? Przecież stąd nie da się uciec!

– Ona nie zamierza uciekać – odparł Stone ponuro. – Zdaje sobie sprawę, że będzie musiała zapłacić za swoje czyny, ale postanowiła odejść na własnych warunkach.

– Czyli chce umrzeć – stwierdził Knox.

– I zabrać nas ze sobą – dodał Stone.

– Ktoś, kto pogodził się ze śmiercią, to najtrudniejszy przeciwnik, jakiego można sobie wyobrazić – powiedział z powagą Finn. – Coś w rodzaju zamachowca samobójcy.

– Ciekawe, czy ona wie, że pod tym względem niczym się nie różnimy... – mruknął Stone.

Pozostała trójka wymieniła spojrzenia, jednak nikt się nie odezwał. Jakiś czas znowu jechali w milczeniu. Ciszę przerwała Chapman.

– A więc wchodzimy od frontu czy od tyłu? Bo przecież jakoś musimy tam wejść.

– Ma ze sobą sześciu ludzi. Sami Rosjanie, zahartowani jak stal. Zabiją każdego, kogo każe im zabić.

– Rozumiem, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Teren jest rozległy, a muszą zostawić przynajmniej jednego człowieka przy Calebie i Annabelle. Friedman schroni się w głębi, w bezpiecznym miejscu, co oznacza, że na pierwszej linii zostanie pięciu ludzi. Zaryzykuję, że trzech będzie w odwodzie i po jednym przy każdym wejściu.

– Jak sądzisz, czego się spodziewają?

– Jednoczesnego ataku na oba wejścia. Komu się uda, ten przedrze się do środka.

Gdybyśmy tak postąpili, oznaczałoby to konieczność podzielenia sił, czyli byłoby dwa razy po dwóch na jednego. Jeżeli zostaniemy razem, będziemy mieli przewagę czterech na jednego.

– Brzmi całkiem nieźle – stwierdził Knox.

– To prawda – przyznał Stone. – Ale tak nie zrobimy.

– Dlaczego? – zapytała Chapman.

– Zobaczysz.

96.

Stone był sam. Przemykał między głazami i skalnymi szczelinami, zmierzając ku zapasowemu wejściu na teren obozu na Morderczej Górze. Po wstąpieniu do słynnego Oddziału 666 spędził cały rok, ucząc się tu, jak polować, zabijać i jak stać się kimś więcej i jednocześnie mniej niż człowiekiem. Przeistoczył się w doskonale wyszkolonego drapieżnika, pozbawionego współczucia i empatii. Mordercza Góra wydała na świat najsprawniejszych zabójców, jacy kiedykolwiek chodzili po tej planecie, a John Carr był powszechnie uważany za najlepszego z najlepszych.

W pewnej chwili szkolenie stało się tak intensywne, że Stone wraz z kilkoma innymi rekrutami zaczął szukać sposobu na ucieczkę z obozu, i w końcu go znalazł. „Ucieczka” to zresztą za duże słowo; wymykali się nie po to, by dostać się do odległego o ponad trzydzieści kilometrów miasteczka, upić się i przelecieć parę córek miejscowych farmerów, lecz po to, by spokojnie posiedzieć pod gwiazdami, gapić się na księżyc, poczuć na twarzy podmuch wiatru, dostrzec zieleń drzew i poczuć ziemię pod stopami.

Stone potrzebował dowodu na to, że poza Morderczą Górą wciąż istnieje normalny świat. Teoretycznie zgłosił się do Oddziału 666 na ochotnika, w praktyce jednak wyglądało to inaczej. Wciąż doskonale pamiętał dzień, kiedy w wojskowym baraku odwiedził go człowiek z CIA. Stone wraz ze swoją kompanią właśnie wrócił z Wietnamu. Tak bardzo wyróżnił się podczas walk, że krążyły pogłoski, iż zostanie odznaczony Medalem Honoru; tak się jednak nie stało, głównie za sprawą zawistnego przełożonego, umiejętnie żonglującego dokumentami. Gdyby wtedy Stone otrzymał odznaczenie, jego życie przypuszczalnie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Niewielu ludzi może się poszczycić Medalem Honoru.

Tych, którzy go dostali, wojsko często wykorzystuje w charakterze chodzących reklam, których zadaniem jest rozbudzić w społeczeństwie przygasające zainteresowanie wojną.

Człowiek w garniturze przyszedł i złożył mu propozycję. Chodź, wstąp do naszej agencji. Zapisz się do oddziału walczącego z wrogami twojego kraju. Tak właśnie powiedział: z wrogami twojego kraju. To były praktycznie wszystkie informacje, jakie otrzymał Stone. Poprosił o radę swojego dowódcę, ale od razu stało się oczywiste, że decyzję już podjęto. Zaledwie dwudziestoletni Stone, obwieszony odznaczeniami za służbę w Wietnamie, został błyskawicznie wypisany z wojska i trafił tu, na Morderczą Górę.

Było ciemno, ale poruszał się bez najmniejszych problemów. Topografia terenu wryła mu się głęboko w pamięć. Tak samo było, kiedy zjawił się tu poprzednim razem, nie tak dawno temu. Pamiętał wszystko, jakby stąd w ogóle nie wyjeżdżał, jakby jego mózg przechowywał te wspomnienia w specjalnym miejscu, gdzie czekały w uśpieniu niczym groźny nowotwór, który pewnego dnia obudzi się i zacznie się gwałtownie rozprzestrzeniać.

Wtedy nic już nie będzie bezpieczne. Takie zakończenie będzie stanowiło właściwe podsumowanie czasu, jaki spędził w Oddziale 666.

Kiedy ciemność zgęstniała tak bardzo, że przestał cokolwiek widzieć, założył okulary noktowizyjne. Szczeliny między skałami, którymi się przeciskał, zwężały się coraz bardziej.

Dobrze, że nie przytył przez te lata, bo miałyby problemy z przejściem. Chociaż znacznie potężniejszy od niego Reuben zdołał tędy jakoś przejść, kiedy razem ze Stone'em ratował życie pewnego człowieka. Prezydenta Brennana.

Wszyscy członkowie oddziału byli szczupli, umięśnieni i wytrenowani. Mogli przez cały dzień biec bez zmęczenia i strzelać przez całą noc, nie chybiając. Potrafili błyskawicznie zmieniać plany i docierać do najlepiej ukrytych celów. Stone musiał przyznać, że było to trudne, ekscytujące i zapadające w pamięć.

– Ale nie chciałem tu już wracać... – szepnął.

Zatrzymał się. Tajne wejście znajdowało się tuż przed nim, w murze, za którym stały baraki kuchenne. Część muru zastąpiono drewnianą kłapą na zawiasach, pomalowaną tak, że nie sposób było odróżnić jej od ściany. Wejście już tam było, Stone wraz z kolegami tylko je odkrył. Widocznie przed nimi inni rekruci też potrzebowali

nieco wytchnienia od obozowego rygoru albo może ich zwierzchnicy uznali, że trzeba im dać odrobinę swobody, bo w przeciwnym razie pozabijają nie tylko ich, ale i siebie nawzajem.

Wsunął pistolet do kabury i wyjął zza paska teleskopowy pręt, który po rozciągnięciu miał ponad półtora metra długości. Wejście było tuż przed nim. Przypuszczał, że Friedman wydała ścisłe rozkazy: nie zabijać, przyprowadzić do mnie. Później sama go zabije, najprawdopodobniej zaraz po tym, jak na jego oczach zamorduje Annabelle i Caleba.

Ponownie wyjął pistolet, rozsunął pręt i ostrożnie pchnął nim klapę. Drewno zmurszało, między deskami pojawiły się szczeliny. Pchnął mocniej, klapa uniosła się i pozostała w tym położeniu. Coś wystrzeliło ze świstem z czarnego otworu i uderzyło w skałę metr od miejsca, w którym stał Stone. Tego właśnie się spodziewał: strzałka z wiatrówki.

Środek paraliżujący. Wyjął z kieszeni mały metalowy cylinder, przekręcił zawleczkę, wrzucił go do otworu, a sam ukrył się za pobliskim głazem. Rozległ się stłumiony huk, z otworu buchnął gęsty dym. Stone nałożył maskę przeciwgazową i czekał. Kilka sekund później z wnętrza dobiegł stłumiony łoskot. Stone prześlizgnął się przez otwór i spojrzał w dół.

Rosjanin był ogromny, miał kozią bródkę i ogoloną na łyso głowę. W dłoni wciąż ścisnął pistolet na sprężone powietrze. Nie najlepiej sobie z nim radził, zwykle zapewne strzelał po to, by zabić. Stone skrępował mu ręce i nogi plastikowymi kajdankami, ściągnął maskę z twarzy i ruszył w głąb obozu.

*

Przy głównym wejściu Finn, Chapman i Knox stali przed metalowymi drzwiami ukrytymi w skale za krzakiem kudzu. Stone wytłumaczył im dokładnie, gdzie je znajdują, i dał klucz, ale w drzwiach nie było dziurki od klucza. Powiedział też, że tylko on wchodzi tajnym wejściem, ponieważ każdy, kto szedłby za nim, mógłby łatwo się zgubić. Umówili się przy głównym wejściu.

– Wykiwał nas! – Knox jęknął, ściskając w palcach bezużyteczny klucz. – Nie mogę uwierzyć, że dałem się nabrać! Jak mogłem

przypuszczać, że po tylu latach ma jeszcze klucz do tych cholernych drzwi?

– Chce to zrobić sam – stwierdził Finn.

– Niech nie liczy na to, że mu pozwolę! – warknęła Chapman i wydobyla z kieszeni niewielki metalowy cylinder.

– Co to? – zapytał Knox.

– W MI6 nazywamy to kołatką.

Okazało się, że cylinder ma namagnetyzowane denko. Przytwierdziła denko do skrzydła drzwi tuż przy futrynie, dała im znak, żeby się cofnęli, wyjęła małego pilota w ochronnym etui, odsunęła przykrywkę i nacisnęła guzik.

– Nie patrzcie na promień! – ostrzegła.

Odwrócili wzrok, kiedy z cylindra wystrzelił jaskrawoczerwony, cienki promień. Po niespełna minucie zamek był rozcięty, a drzwi uchylły się na zawiasach.

– Niezła zabawka – stwierdził z uznaniem Knox.

– Co prawda jednorazowego użytku, ale otworzy każde drzwi – powiedziała z dumą.

– Jak widzę, Q wciąż żyje i pracuje dla brytyjskiego wywiadu?

– Tak się składa, że ten pożyteczny przyrząd wymyśliła kobieta, ale możemy przyjąć, że też nazywa się Q.

Podeszli do drzwi z bronią gotową do strzału. Osłaniany przez Chapman i Knoxa, Finn powoli otworzył je na oścież, wycelował pistolet w ciemność i skinął głową. Wszyscy założyli ochronne okulary. Sekundę później Finn posłał w mrok promień oślepiającego, jaskrawego światła. Ktoś krzyknął z bólu i zanim którykolwiek z mężczyzn zdążył się poruszyć, Chapman dała susa naprzód. Popędzili za nią i zobaczyli, jak celnym kopnięciem posyła oślepionego przeciwnika na ścianę. Tamten odbił się i ruszył na nią na oślep, młóćąc powietrze potężnymi pięściami. Finn chciał wkroczyć między nich, żeby osłonić Chapman, lecz zanim to zrobił, dziewczyna celnym kopnięciem złamała tamtemu nogę w kolanie.

Wszyscy usłyszeli trzask pękającej kości i rozrywanych więzadeł. Mężczyzna runął twarzą naprzód, ale zanim zdążył upaść, Chapman drugi kopnięciem trafiła go w podbródek. Nie miał jeszcze dosyć,

ostatecznie więc unieruchomiła go potężnym uderzeniem w nasadę karku, po czym przyłożyła mu do skroni lufę walthera.

– Co ty robisz? – syknął Knox.

– O co chodzi?

– Chcesz go zabić z zimną krwią?

– A ty chcesz zostawić świadków? – zapytała spokojnie.

– Świadków czego?

– Tego, co tu się dzisiaj stanie. Na przykład śmierci Stone'a, którego osobiście rozszarpie za to, że wystrychnął nas na dudka.

– Nikogo nie zabijamy! – powiedział stanowczo Knox. – Chyba że w obronie własnej.

Chapman wzruszyła ramionami i sprawnie skuła ręce i nogi nieprzytomnego mężczyzny.

– Jak chcesz.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – zapytał Finn z podziwem.

– Może o tym nie wiecie, ale MI6 to nie szkoła dla pensjonarek. A teraz w drogę!

Włączyła latarkę i ruszyła naprzód korytarzem. Finn i Knox spojrzeli na siebie, a następnie podążyli za nią.

97.

Chociaż cały obóz był bardzo rozległy – znalazło się w nim miejsce dla baraków mieszkalnych, kuchni, ambulatorium, biblioteki, biur i sal wykładowych – to właściwe szkolenie odbywało się przede wszystkim w dwóch dużych cylindrach połączonych głównym holem i podzielonych na mniejsze pomieszczenia. Po wejściu do któregoś z cylindrów trzeba było przejść aż do jego końca, mijając wszystkie pomieszczenia, ponieważ drzwi wejściowe otwierały się tylko od zewnątrz, a nie można było ich zablokować w położeniu otwartym, gdyż wtedy nie dały się otworzyć pierwsze drzwi wewnętrzne. W ten sposób nawet najbardziej oporni czy mało zaangażowani rekruci musieli pogodzić się z tym, że trzeba za wszelką cenę iść naprzód. Plan Stone'a był prosty; zamierzał zacząć od cylindra po prawej stronie, przeszukać go dokładnie, a gdyby nie znalazł tam tego, czego szukał, przeszedłby przez główny hol i w ten samo sposób sprawdził wnętrze drugiego cylindra.

Powoli zbliżał się do pierwszych drzwi. Jeden nieprzyjaciel już został wyeliminowany, co oznaczało, że było ich jeszcze pięciu – plus Friedman, przypuszczalnie najlepiej wyszkolona ze wszystkich.

Nie odczuwał wyrzutów sumienia z powodu oszukania przyjaciół. Jeżeli podczas operacji ratowania Annabelle i Caleba ktoś miał zginąć, to tylko on. To była jego walka, nie ich. Stracił już wystarczająco wielu przyjaciół. Dzisiaj nie miał zamiaru stracić kolejnych.

Przypomniał sobie usytuowanie poszczególnych sekcji szkoleniowych. Najpierw strzelnica, na której podczas rocznego pobytu w obozie oddał kilkaset tysięcy strzałów.

Podczas zajęć tamci robili wszystko, żeby cię rozproszyć. I słusznie, bo w trakcie prawdziwej akcji także raczej nie można było liczyć na idealny spokój i możliwość skupienia.

Dalej znajdowała się sala wyposażona mniej więcej tak jak słynna Aleja Hogana w Akademii FBI. Tutaj Stone i jego koledzy ćwiczyli to,

czego nauczyli się podczas wykładów.

Dalej było laboratorium. To tutaj przeprowadzano testy psychologiczne; pod tą niewinną nazwą kryły się autentyczne tortury mające na celu określenie, ile każdy z nich mógł wytrzymać. Stone widział tu twardych jak skała mężczyzn płaczących jak dzieci. Choćby nie wiadomo jak się starali, psychika nie mogła dorównać wytrzymałością ich wysportowanym ciałom. Istniały ćwiczenia rozwijające określone partie mięśni; z mózgiem nie można było tak łatwo sobie poradzić. Każdy z rekrutów przyszedł tu z określonym bagażem psychicznym; pozornie mało istotne wspomnienia czy błahie przeżycia sprzed lat w najmniej oczekiwanej chwili wypływały na powierzchnię, wywołując ataki nieprzewidywanego lęku lub wściekłości. Stone także tego doświadczył. Mordercza Góra każdego uczyła pokory.

Dalej zaczynały się cele. Stone nigdy się nie dowiedział, kto był w nich przetrzymywany, i ani trochę go to nie interesowało. Jeżeli nie znajdzie tam Caleba i Annabelle, opuści cylinder i przejdzie przez główny hol do drugiego cylindra, podzielonego tylko na dwie części. Pierwszą wypełniała cuchnąca, brudna ciecz, nad którą umieszczono wąską kładkę z metalowej siatki. Jeden niewłaściwy krok i człowiek wpadał do obrzydliwej brei. W drugiej części umieszczono labirynt, który szczęśliwie udało mu się rozgryźć... A przynajmniej takie miał wrażenie. Friedman mogła przecież przygotować specjalnie dla niego jakieś niespodzianki.

Na pewno to zrobiła. Doskonale się bawi. Zrujnowałem jej plany. Ma na koncie pół miliarda dolarów, których nie może wydać. Odegra się za to na mnie, a przynajmniej spróbuje.

Coś jednak nie dawało mu spokoju. Po głowie tłukło mu się niemiłe podejrzenie, że o czymś zapomniał. Łopot skrzydeł powiedział mu, że ptaki znalazły drogę do pomieszczeń.

Zdarzało się to nawet wtedy, kiedy obóz funkcjonował. Stone'owi udało się oswoić ptaka, który zbudował gniazdo w pobliżu jego pryczy. Był to jego jedyny łącznik ze światem.

Obóz zbudowano w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, co rzucało się w oczy na każdym kroku.

Projektanci przewidzieli nawet zamontowane na stałe popielniczki. Gdziekolwiek spojrzeć, wszystko było rozpaczliwie przestarzałe, ale świeżo po oddaniu do użytku obóz na Morderczej Górze stanowił ostatni krzyk techniki i nowoczesności. Wydatki na budowę i wyposażenie ukryto w rządowych dotacjach dla hodowców trzody chlewnej i przemysłu tekstylnego. Ciekawe, czy rząd usunął kogokolwiek za pomocą szynki i beli materiału?

Ostrożnie wkroczył na strzelnicę. To tu zabił po raz pierwszy od trzydziestu lat. Zrobił to, żeby ocalić siebie i Reubena Rhodesa. Jego wzrok powędrował ku miejscu, w którym padł tamten człowiek. Umieszczone pod sufitem jarzeniówki dawały zbyt słabe światło, by mógł stwierdzić, czy jest tam jeszcze plama krwi. Ciało w każdym razie już nie było. Po jego ostatniej wizycie starannie tu posprzątano. Zastanawiał się, dlaczego po prostu nie wysadzili całego obozu w powietrze, grzebiąc go pod tonami skał, stali i betonu? Być może liczyli się z tym, że kiedyś może się jeszcze przydać. Była to bardzo niepokojąca myśl.

Fakt, że światła jednak działały, oznaczał, że Friedman zdołała uruchomić stary generator. Powoli posuwał się naprzód, mijając poszarpane kukły i zardzewiałe prowadnice, po których sunęły ruchome cele. Skupił się na tym, co mogło go jeszcze czekać.

W pewnej chwili usłyszał szelest czyichś kroków i skrył się za drewnianym stanowiskiem strzelniczym, na którym kiedyś spędzał długie godziny. Dźwięk dobiegł z lewej strony, co najmniej dziesięć metrów od niego. Zastanawiał się, czy tamci wciąż mają rozkaz posługiwania się wyłącznie bronią pneumatyczną z zatrutymi lotkami. W gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia; jeśli pozwoli się trafić i obezwładnić, to tak jakby już nie żył.

Skulony, kołysał się na szeroko rozstawionych stopach, powodując miarowe skrzywienie desek. Brzmiało to zupełnie tak, jakby wciąż posuwał się naprzód, i przeciwnik dał się nabrać. Wyłonił się z ukrycia, a wtedy Stone najpierw strzelił mu w ramię, gdy zaś tamten wypuścił broń z ręki i chwycił się za ranę, Stone posłał drugi pocisk tuż nad kołnierzem kamizelki kuloodpornej, rozrywając tamtemu tętnicę szyjną.

Stone trwał w bezruchu, obserwując drzwi wyjściowe. Możliwe, że właśnie zastrzelił nagonkę, która miała wypędzić go na zewnątrz. Poświęcić część sił, żeby wykonać zadanie.

Taką samą strategię zastosowano w Normandii w roku 1944, tyle że tam poświęcono nie jednego, lecz tysiące ludzi. Po drugiej stronie tych drzwi przypuszczalnie czekało na niego co najmniej dwóch Rosjan z bronią gotową do strzału.

Czekał, odliczając sekundy w myślach. Cierpliwość. Latami uczył się z niej korzystać.

Niewielu było lepszych w tym od niego. Minęło dziesięć minut, a on wciąż trwał w bezruchu jak posąg. Poruszała się tylko jego pierś w rytmie płytkich oddechów.

Problem polegał na tym, że Friedman i jej ludzie wiedzieli, iż przez cylinder dało się przejść tylko w jedną stronę. Jak długo zamierzali czekać? Jak długo on zamierzał czekać?

Wkrótce się przekonamy, pomyślał.

98.

– Skąd wiedziałaś, że przyda ci się ten laser? – zapytał Knox, kiedy przyczaili się w ciemności.

– Agenci MI6 zawsze są przygotowani na wszystko. Jak harcerze.

– Czy to znaczy, że nie uwierzyłaś Stone’owi?

– Chodzi o klucz? – Chapman parsknęła stłumionym śmiechem.

– Jasne, że mu nie uwierzyłam. Nietrudno stworzyć jego portret psychologiczny. Wiedziałam, że nie będzie chciał nas narażać.

– A jednak zabrał nas do Nowego Jorku – zwrócił jej uwagę Finn.

– Pewnie uważał, że w Bronksie jest bezpieczniej niż tutaj – zauważył Knox.

– Mordercza Góra... – mruknęła Chapman. – Jedna z ciekawszych historii, o jakich czytałam.

Obaj wytrzeszczyli na nią oczy.

– Co się tak gapicie? To chyba jasne, że starałam się dowiedzieć jak najwięcej. A wy nie?

– Skąd wiedziałaś, jakich informacji szukać? – zapytał Knox. – Przecież Stone wcześniej nawet nie wspomniał o tym miejscu.

– Ale tu się wszystko zaczęło, prawda? Ming powiedział to jeszcze w Nowym Jorku.

Pogrzebałam tu i ówdzie, moi ludzie w Londynie zrobili to samo. Wiedziałam, że kariera Stone’a zaczęła się w Oddziale 666, ale nie miałam pojęcia, że na początek zafundowano mu roczne szkolenie właśnie tutaj. Wszystkie informacje dostałam e-mailem dwie godziny przed wyjazdem. Czytałam z zapartym tchem.

Finn zerknął na laminowany plan obozu, który dał im Stone.

– Mnóstwo tu miejsc, w których można wpaść w zasadzkę...

– To działa w obie strony – zwrócił mu uwagę Knox, a Chapman skinęła głową.

– Mamy dwie możliwości – powiedziała, wskazując na plan. – Rozdzielamy się albo idziemy razem.

– Jestem za tym, żeby się podzielić – oświadczył Finn. – Ja sprawdzę lewy cylinder, wy dwoje prawy.

Chapman pokręciła głową.

– Nie. Ja wezmę lewy, wy dwaj prawy. O co chodzi? – zapytała, widząc, jak na nią patrzają. – Czy kobieta niczego nie może zrobić sama? Potrzebuje męskiego ramienia, na którym może się oprzeć?

– Nie o to chodzi, ale...

– No to doskonale – ucięła. – Biorę lewy cylinder, a wam przyda się trochę informacji o tym, co znajdziecie w prawym.

Podzieliła się z nimi swoją wiedzą.

– Wszystko jasne?

– Porządnie się do tego przyłożyłaś – stwierdził Knox.

– Co w tym dziwnego? Przecież to moja praca.

– Powodzenia – rzucił Finn.

– Wzajemnie.

Znikła w ciemności, a oni jeszcze przez jakiś czas patrzyli za nią.

*

Stone wciąż czekał, zastanawiając się nad tym, co robić dalej. Nie musiał myśleć zbyt intensywnie, bo wybór właściwie był prosty: może umrzeć z głodu, nie ruszając się z miejsca, albo wyjść przez drzwi.

Albo...

Chwycił za drut przy jednej z przewodnic i urwał go mocnym szarpnięciem, po czym jeden koniec przymocował do klamki, drugi zaś owinął sobie wokół dłoni i ukrył się za stanowiskiem strzeleckim. W drugą rękę wziął pistolet, wycelował w drzwi, policzył do pięciu i powoli pociągnął. Drzwi opornie zaczęły się otwierać. Kiedy dotarły mniej więcej do połowy drogi, z zewnątrz padły strzały. Pociski rykoszetowały od drzwi i od wszystkich metalowych płaszczyzn. Najwidoczniej Rosjanie mieli już dość zabawy z wiatrówkami.

99.

Finn i Knox ostrożnie posuwali się naprzód po kładce zawieszanej nad zbiornikiem z cuchnącą cieczą. O tym, co jest pod nimi, wiedzieli dzięki otaczającemu ich smrodowi, a także dlatego, że wcześniej widzieli to na planie, który dostali od Stone'a. Jednak to Chapman zdradziła im, jak mogą bezpiecznie pokonać przeszkodę. Stone nie uczynił tego, bo nie przypuszczał, że kiedykolwiek tu się znajdą.

Sekret polegał na tym, żeby trzymać się środka kładki. Im bliżej krawędzi, tym nieprzyjemniejsze czyhały niespodzianki. Zbliżali się już do końca, kiedy usłyszeli jęk.

Błyskawicznie rozejrzeli się dokoła z bronią gotową do strzału.

Jęk rozległ się ponownie.

– Tak jakby pod nami... – szepnął Finn.

– Też mi się tak wydaje.

– Chyba wiem kto to.

– Serio?

Finn skinął głową.

– Osłaniaj mnie. – Położył się na brzuchu i zbliżył usta do metalowych krat tworzących kładkę. Od powierzchni zbiornika dzieliło ją zaledwie kilkanaście centymetrów.

– To ty, Caleb? – zapytał cicho.

Kolejny jęk.

– Czy to ty, Caleb? – powtórzył pytanie.

Knox rozglądał się z niepokojem dookoła. Rozległ się jeszcze jeden jęk, a potem: – Harry?

Głos był stłumiony i niewyraźny. Naszprycowali go czymś, przemknęło Finnowi przez głowę. Spojrzał na Knoxa.

– Pamiętasz, co powiedziała Chapman?

Tamten skinął głową.

– Dobry pomysł.

Trzymając się środka kładki, ruszył z powrotem. Naturalnie nie mógł wyjść przez drzwi, którymi weszli; zatrzasnęły się zaraz za nimi i były zrobione z grubej stali. Przy ścianie stała jakaś skrzynia. Dźwignął ją – ważyła co najmniej dwadzieścia kilogramów – i wrócił do Finna, cały czas starając się iść środkiem kładki. Stanęli obok siebie, spojrzeli jeden na drugiego i zaczęli kołysać kładką. W pewnej chwili Knox wziął potężny zamach i cisnął skrzynię tak daleko w bok, jak tylko mógł. Kładka wychyliła się w przeciwną stronę, Finn złapał się obiema rękami poręczy, spuścił nogi i zablokował nimi kładkę w tej pozycji, a Knox błyskawicznie wydobył z plecaka linkę i umocował ją na stałe. Zaraz potem Finn, trzymając się drugiego końca linki, opuścił się w dół. Cuchnąca ciecz sięgała mu do kolan, dno było grząskie.

– Caleb?

– Harry...

– Jesteś sam?

– Tak... Przynajmniej tak myślę...

Finn włączył latarkę i ujrzał Caleba siedzącego w trzęsawisku. Breja sięgała mu do piersi. Finn pomógł mu wstać, rozciął krępujące go więzy i pomógł wdrapać się na kładkę.

– Dobrze się czujesz?

Caleb powoli skinął głową.

– Tylko kręci mi się w głowie. Dali mi jakiś zastrzyk. No i ten cholerny smród... Nie wiem, czy kiedyś się od niego uwolnię. – Z każdym krokiem odzyskiwał zdolność logicznego myślenia. – Co z Annabelle?

– Wciąż jej szukamy. Domyślasz się, gdzie może być?

Caleb pokręcił głową.

– Musimy jak najprędzej się stąd wydostać.

– Taki mamy plan – zapewnił go Knox.

– A gdzie Oliver?

– Gdzieś w pobliżu.

*

Stone przedostał się do kolejnego pomieszczenia. Zbudowano tam naturalnej wielkości makietę ulicy, łącznie z fasadami domów, samochodem z lat sześćdziesiątych i manekinami udającymi ludzi.

Wszystkie manekiny były podziurawione kulami. Przyspieszył kroku.

W ostatnim pomieszczeniu mieściło się laboratorium.

Ostrożnie pchnął drzwi i wszedł do środka. Ciemność. Włączył gogle noktowizyjne i metodycznie sprawdził całe pomieszczenie. Jedną rękę trzymał na goglach, gotów ściągnąć je natychmiast, gdyby zobaczył kogoś korzystającego z podobnego wyposażenia; czerwona kropka zdradziłaby jego pozycję i przypuszczalnie kosztowałaby go życie.

Jego uwagę zwróciło coś dziwnego. Przy jednej ścianie stały długie, zupełnie nowe stoły zastawione skomplikowanym sprzętem laboratoryjnym. Błyszczały metalowe obudowy, po podłodze ciągnęły się kable elektryczne, na stojakach stały probówki, tuż obok ustawiono nowoczesne mikroskopy. W kącie na podłodze leżał metalowy cylinder dwumetrowej długości, z elektronicznym wyświetlaczem i kwadratową szybką mniej więcej w połowie długości. Kiedy Stone ostatnio odwiedził to miejsce, tych rzeczy z pewnością tu nie było. Nie miał pojęcia, do czego mogły służyć ani kto je tutaj umieścił. Chwilowo był zresztą zajęty innymi problemami.

Skierował wzrok na klatkę; zwykle wisiała pod sufitem, teraz stała na podłodze.

Znalazła się tam dzięki jego celnemu oku; przeciwnik, który chciał go zabić, zginął na miejscu, zmiażdżony dwutonowym ciężarem. Ale to nie było jego jedyne wspomnienie, jakie łączyło się z tą klatką. Przed laty, jeszcze podczas szkolenia, zamknięto go w niej wraz z trzema mężczyznami, po czym rozpalono pod nią ogień. Co jakiś czas klatkę opuszczano o kilkanaście centymetrów, tak że coraz bardziej zbliżała się do płomieni. Zadanie było proste: wydostać się, zanim temperatura wewnątrz stanie się zabójcza. Dodatkowa motywacja polegała na tym, że Stone i jego koledzy byli świadkami uwalniania poprzedniej grupy.

Tamci nie zdali testu, a dwóch z nich doznało dotkliwych poparzeń.

Podczas gdy jego towarzysze niemal od razu zaczęli zdradzać objawy narastającej paniki, Stone wyteżył umysł. Dlaczego akurat

czterech, a nie trzech lub pięciu? Odpowiedź nasuwała się od razu: po jednym na każdą ścianę. Szybko wydał rozkazy: zdjąć koszule, owinąć nimi dłonie, stanąć na środku, zaprzeć się plecami i na komendę, rytmicznie, napierać równocześnie na wszystkie cztery ściany. Metoda okazała się skuteczna; pułapka otworzyła się, więźniowie wyszli na wolność, a przełożeni nagrodzili Stone'a pochwałą.

Najchętniej by ich wtedy zabił.

Wspomnienia ulotniły się równie szybko, jak się pojawiły. Stone nie wierzył własnym oczom.

– Annabelle?

Leżała w klatce, związana i zakneblowana.

Rozejrzał się jeszcze raz w poszukiwaniu pułapki, ale nie zauważył niczego podejrzanego, podbiegł więc do klatki. Drzwi nie były zamknięte. Otworzył je na oścież.

Annabelle leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Na chwilę ogarnęły go obawy, czy żyje, ale przecież nie krępuje się i nie knebluje trupa. Wyczuł puls, a kiedy delikatnie odgarnął jej włosy z policzka, otworzyła oczy. Rozwiązał ją, wyjął knebel i pomógł wyjść z klatki.

– Jak miło cię widzieć... – wymamrotała niewyraźnie.

– Dali ci coś?

– Chyba tak... Ale już przestaje działać.

– Możesz chodzić?

Uśmiechnęła się i zrobiła parę kroków.

– Jesteś sam? – zapytała.

– Tak.

– Widziałeś Caleba?

– Jeszcze nie. A ty widziałaś Marisę Friedman?

Annabelle pokręciła głową.

– Chodźmy stąd – powiedział.

– Oliver! – krzyknęła.

Zabzyczały startery, zapłonęły świetlówki. Stone zdarł gogle z twarzy i odwrócił się, ale było już za późno. Rosjanin właśnie wszedł do laboratorium z bronią wycelowaną prosto w jego głowę. Stone pchnął Annabelle na podłogę, równocześnie sięgając po pistolet.

Rozległ się strzał, Rosjanin zrobił zdumioną minę, a na jego czole pojawiło się małe czarne kółko.

Osunął się na podłogę. Światło zgasło.

Stone opuścił wzrok na swój pistolet. Nie zdążył nacisnąć spustu, więc kto strzelał, do cholery? Chwycił Annabelle za ramię, pociągnął za sobą. Przeskoczyli nad ciałem i wybiegli przez drzwi.

Czterech martwych Rosjan. Zostało jeszcze dwóch. I Friedman.

100.

Stone i Annabelle dotarli do końca cylindra. To tutaj mieściły się cele. Gdyby w żadnej z nich nie znaleźli Caleba, Stone musiałby przeszukać drugi cylinder, zabierając Annabelle ze sobą.

Widok, który ujrzał, najpierw wprowadził go w zdumienie, lecz zaraz potem sprawił mu ogromną ulgę. Knox, Finn i Caleb czekali już na nich. Oświetlenie było bardzo słabe, ale widzieli się wyraźnie.

– Jak się tu dostaliście? – zapytał Stone.

Wszyscy skupili się w kącie. Annabelle objęła mocno Caleba, nie zwracając uwagi na to, jak okropnie cuchnie.

– Dzięki Chapman – odparł Knox, po czym zrelacjonował mu przebieg wydarzeń. – Powiedziała nam też, jak przedostać się przez labirynt. Podobno sprawdziła to wcześniej.

Stone spojrzął za jego plecy.

– A więc poszła w lewo?

– Zgadza się. Domyślasz się, gdzie może teraz być?

– Gdzieś za mną. I właśnie uratowała mi życie.

– Przy wejściu załatwiliśmy jednego Rosjanina. To znaczy, ona go załatwiła.

– Czyli został już tylko jeden.

– Poprawka – rozległ się nowy głos. – Nie ma już żadnego.

Chapman weszła w krąg światła.

– Spróbował mnie zaskoczyć przy pierwszej sekcji – wyjaśniła. – Albo nie był zbyt dobry, albo ja jestem lepsza, niż mi się wydawało.

Stone rozejrzał się ze zdziwieniem.

– Widziałaś gdzieś Friedman?

– Nie.

– Jestem za tym, żeby spieprzać stąd jak najszybciej! – odezwał się Knox. – Mamy to, po co przyszliśmy. Friedman może poczekać.

Stone stał jak skamieniały.

– Wszystko w porządku, Oliver?

– Rosjanie.

– Co takiego? – zapytał Finn.
– Rosjanie – powtórzył Stone.
– Byli, ale już ich nie ma. Zabiliśmy wszystkich.
– Marni jacyś byli, nie sądzicie? Nie wiem jak wy, ale ja spodziewałbym się po nich więcej.

Patrzyli na niego z oczekiwaniem.

– Zbyt łatwo sobie z nimi poradziliśmy – podjął. – Moim zdaniem, zostało to celowo zaaranżowane.

– Dlaczego Friedman miałyby zatrudniać kiepskich ochroniarzy?

– Bo nie potrzebowała tych z najwyższej półki. Średnia półka w zupełności wystarczyła.

– Do czego? – zapytała Chapman.

– Do tego, żeby nas tu zwabić. Tu, w to miejsce. Nie zależało jej na nich. Nie obchodziło jej, co się z nimi stanie. Przepraszam, cofam to: obchodziło ją. Chciała, żeby zginęli.

– Ale skoro ich zabiliśmy, to znaczy, że oni nie zabili nas – zwrócił uwagę Knox. – Co w ten sposób osiągnęła?

– Stara się ponownie wkupić w łaski Carlosa Montoi. Zawiodła za pierwszym razem, więc uruchomiła plan rezerwowy.

– Rezerwowo?

Stone skinął głową.

– Zawsze trzeba taki mieć. A ja dałem się wrobić jak dziecko.

– W co konkretnie? – zapytała Chapman.

– Znajdą nas tutaj z sześcioma martwymi Rosjanami, w laboratorium pełnym nowiutkiego sprzętu. Chyba już wiem, co to za sprzęt.

Pierwsza zorientowała się Chapman.

– Nanoboty?

Skinął głową.

– Zgadza się.

– Ale chyba już ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że Rosjanie nie mają z tym nic wspólnego?

– Kiedy zobaczą tutaj nas, nieżywych Rosjan i ultranowoczesne laboratorium wyposażone w urządzenia najprawdopodobniej ściągnięte z laboratoriów Montoi, jak sądzisz, jaka będzie reakcja?

– Co dokładnie rozumiesz przez „kiedy zobaczą tutaj nas?” – zaniepokoił się Caleb.

– Wrobili nas – stwierdził Finn. – Wszystko było z góry zaplanowane. Mieliśmy tu wejść, zabić Rosjan i dotrzeć do tego pomieszczenia.

– Ale właściwie dlaczego? – domagała się wyjaśnień Annabelle.

Gdzieś nad ich głowami rozległa się eksplozja. Była tak silna, że zatrzęsły się ściany, a ze stropu odpadły płyty farby.

– Co to było, do diabła?! – wykrzyknęła Chapman.

– Główne wejście właśnie wyleciało w powietrze – wyjaśnił Stone, po czym chwycił Annabelle za rękę. – Chodźcie.

Poprowadził ich do głównego holu, a następnie drogą, którą tu przyszli.

– Może spróbowałibyśmy jednak głównego wejścia? – zaproponował Knox.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast: kolejna eksplozja, zaledwie kilkanaście metrów za ich plecami, odcięła im możliwość skorzystania z tej drogi ucieczki. Przyspieszyli kroku. Ziemia kołysała im się pod stopami, wstrząsana kolejnymi wybuchami.

– Ta cholerna góra zwali nam się na głowy! – krzyknęła Annabelle.

– Na pewno nie – odparł Stone. – Tylko ta jej część, która nas zabije. Gdyby zwała się cała, nikt by nas nigdy nie odnalazł, a przecież o to przede wszystkim chodzi.

– Co za suka! – warknęła Chapman.

Kolejny wybuch, tym razem z przodu, zmusił ich do gwałtownego skrętu w lewo.

– A co z twoim tajnym wejściem? – wysapał Finn. – Ona chyba o nim nie wie!

– Owszem, wie, ale nie mamy wyboru.

Zawała się część ściany, mało nie przysypując Caleba. Finn i Knox w ostatniej chwili odciągnęli go na bok. Caleb jęczał, trzymając się za ramię, w które uderzył duży odłamek skały. Finn szybko rozpiął mu koszulę i poświecił latarką.

– Złamany obojczyk, ale nic ci nie będzie. Obojczyki to tylko takie zabezpieczenia, osłaniają to, co znacznie ważniejsze.

– Wielkie dzięki – wystękał Caleb. – Od razu czuję się lepiej.

Dopadli baraków kuchennych, ale musieli się zatrzymać. Stone przygryzł wargi z bezsilnej złości. Friedman tu także go uprzedziła. Wejście zasypała lawina gruzu spuszczonej przez precyzyjnie umieszczony ładunek wybuchowy. Wiedział, że nawet gdyby się przez nią przekopali, dalej czekałyby na nich inne niespodzianki. Na pewno o to zadbała.

Dobrze się przygotowała.

Przemknęło mu przez głowę, że być może wszystko to było gotowe już od dawna i tylko czekało na właściwą chwilę. Czy Friedman jest gdzieś blisko i osobiście detonuje ładunki? Czy jakoś śledzi ich ucieczkę, zależnie od potrzeby naciskając kolejne guziki?

Zaprzestał tych rozmyślań, bo zorientował się, że wszyscy patrzą na niego.

– Co teraz? – wydyszała Chapman z twarzą pokrytą warstwą skalnego i ceglanego pyłu.

Znowu eksplozja, tym razem gdzieś daleko. Góra po raz kolejny zakołysała się w posadach. A potem światła zgasły, pozostawiając ich w kompletnych ciemnościach.

Stone, Finn i Knox natychmiast uruchomili gogle noktowizyjne. Stone wziął za rękę Annabelle, Knox – Caleba, a Finn zacisnął palce na dłoni Chapman.

– Za mną – rzucił Stone.

Istniała jeszcze jedna droga ucieczki. Jeśli się nie mylił, tylko on o niej wiedział. To była ich ostatnia szansa. Naturalnie doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie wie, gdzie Friedman rozmieściła kolejne ładunki. Nie miała żadnego powodu, by dopuścić do tego, żeby stąd wyszli i rozgłosili prawdę. Każdy kolejny krok mógł być ich...

Annabelle krzyknęła przeraźliwie.

101.

John Knox zniknął pod piramidą gruzu, która zwała się na niego po wybuchu nie dalej niż piętnaście metrów przed nimi. Pozostali natychmiast rzucili się go wykopywać.

Stone na kolanach odwalał na boki wielkie kawały skał, nie zważając na krew płynącą z licznych ran na palcach i przedramionach. Pot zalewał mu oczy, ale on pracował jak szalony.

Wreszcie, po czasie, który wydawał mu się wiecznością, wyczuł pod rękami ciało. Wspólnie wydobyli Knoxa na powierzchnię. Oddychał, ale był nieprzytomny. Stone chciał go podnieść, lecz Finn odsunął go na bok.

– Zostaw go mnie.

Przerzucił sobie ważącego dobre sto kilogramów Knoxa przez ramię.

– Teraz będziemy szli tylko w górę – ostrzegł go Stone.

Finn zacisnął zęby i skinął głową.

– Prowadź – odpowiedział.

Stone wyjął z plecaka Knoxa tę samą linę, której ten użył, by wydobyć Caleba z cuchnącego bajora. Wszyscy obwiązali się nią w pasie.

– Idziemy.

Modlił się w duchu, żeby Friedman nie odkryła trzeciego wyjścia z Morderczej Góry.

Poprowadził grupę przez główny hol, a kiedy dotarli do czegoś, co wyglądało jak ściana gładkiego metalu, powoli przesunął po niej palcami. Była gładka i twarda, pozornie nie do przebycia. Składała się z kilku płyt połączonych potężnymi nitami. Jeszcze jeden wybuch zakołysał budynkiem. Z osłabionego stropu posypał się tynk.

Wreszcie znalazł miejsce, którego szukał, i nacisnął je mocno. Część ściany odsunęła się na bok, odsłaniając wykute w skale schody. Przepchnęli się przez wąski otwór i ruszyli w górę.

Stone zastanawiał się, ile czasu potrzebują władze, by się zorientować, co się stało.

Ktoś z okolicznych mieszkańców usłyszy wybuchy i zawiadomi o tym szeryfa. Szeryf wyśle kogoś, by zbadał sprawę, ale człowiek ten z pewnością nie będzie miał pojęcia, z czym ma do czynienia. Zawiadomią więc kogoś wyżej, ten zadzwoni do kogoś jeszcze wyżej, aż wreszcie, po niedającym się przewidzieć, ale z pewnością bardzo długim czasie, sprawa dotrze do CIA, a ta natychmiast wyśle ekipę poszukiwawczą.

Co znajdzie?

To, na czym zależało Friedman: martwych rosyjskich ochroniarzy, przypuszczalnie powiązanych z kartelami narkotykowymi, oraz tajne laboratorium zajmujące się nanotechnologią, usytuowane w dawnym ośrodku szkoleniowym Agencji. Ta wiadomość uderzy w media z siłą bomby atomowej.

Nas też znajdą, pomyślał. Martwych.

Jak chciała osiągnąć ten cel? Kolejne wybuchy oczywiście mogły ich uwięzić, ale nie miała żadnej gwarancji, że nie przetrwają do przybycia ratowników. Mieli przecież trochę żywności, mogli natrafić na wodę, być może na jakieś zapasy...

Na pewno wzięła to pod uwagę. Na pewno jakoś się zabezpieczyła.

Szli cały czas w górę. Kiedy Finn się zmęczył, Stone wziął od niego Knoxa i niósł, dopóki mógł, po czym oddał nieprzytomnego przyjaciela Finnowi. Trasa stawała się coraz trudniejsza, ale ciągle posuwali się naprzód. Po każdej kolejnej eksplozji z góry sypały się kamienie i skały. Tu już prawie nie było betonu ani konstrukcji stalowych; góra była prawie nietknięta.

– Daleko jeszcze? – wysapała Annabelle.

– Już nie – odparł Stone.

– Idziemy na sam szczyt?

– Prawie.

– Da się stamtąd zejść?

Stone nie odpowiedział od razu. Prawdę mówiąc, nie znał odpowiedzi. Tę drogę znalazł przypadkowo któreś nocy, kiedy nie mógł zasnąć, ale pokonał ją tylko w górę, nie w dół. Popatrzył na

gwiazdy, nacieszył się samotnością, po czym wrócił tam, skąd przyszedł, żeby kontynuować szkolenie. Nie wiedział więc, czy ze szczytu prowadził na dół jakiś szlak, ale miał nadzieję, że tak. Musi tam być.

Zerknął na Finna, uginającego się pod ciężarem Knoxa, na Caleba podtrzymującego bezwładne ramię, na wyczerpaną Annabelle. Pod nim też nogi ugiwały się ze zmęczenia.

– Damy radę – powiedział. – Najważniejsze, to się stąd wydostać.

Co jakiś czas mijali rozgałęzienia korytarza i Stone musiał się chwilę zastanawiać, którą drogę wybrać. Dwukrotnie podjął niewłaściwą decyzję, a raz najpierw sam zapuścił się kilkadziesiąt metrów naprzód, zanim doszedł do wniosku, że właśnie wtedy powinni iść, i zawrócił po pozostałych.

– Marnie z nim – szepnął w pewnej chwili Finn.

Zatrzymali się. Stone przyklęknął przy rannym i oświetlił mu twarz. Była blada i mokra od potu, ale chłodna. Delikatnie uniósł powiekę i poświecił latarką w oko, po czym cofnął rękę, pozwalając powiece opaść. Wyglądało na to, że godziny Knoxa są policzone.

– Chodźmy.

– Czy mnie się tylko wydaje, czy jakoś trudniej się oddycha? – zapytała Chapman. – Góry w Wirginii chyba nie są aż tak wysokie?

– Nie są – przyznał Stone.

Nabrał w płuca powietrza, ale czuł się tak, jakby oddychał pod wodą; zawartość tlenu w powietrzu wyraźnie spadała. A więc w taki sposób zamierza się z nami rozprawić, przemknęło mu przez głowę. Chce nas udusić. Gdzieś daleko pod nimi słychać było jednostajny szum.

– Wentylacja – powiedział. – Włączyła ją w odwrotną stronę.

– I chyba dodaje czegoś do powietrza – powiedział Finn. – Czegoś, co chyba nie wyjdzie nam na zdrowie.

– Szybko, tędy! – syknął Stone.

Dotarli do wysokich stopni wykutych w skale. Niektóre były szerokie i równe, inne wąskie i pochyle. Stone zerknął na Finna. Wiedział, że jego przyjaciel dysponuje niezrównaną siłą i kondycją, ale zawartość tlenu w powietrzu coraz bardziej spadała, a oni mieli przecież już za sobą wyczerpującą wspinaczkę.

Annabelle podtrzymywała Caleba, jednak ten szybko tracił siły. Nie dorównywał wytrzymałości pozostałym. W końcu zatrzymał się, ciężko dysząc.

– Zostawcie... mnie... tutaj... Już... nie mogę...

Stone zawrócił i ujął go pod ramię.

– Nikogo nie zostawimy. Weszliśmy tu wszyscy i wszyscy stąd wyjdziemy.

Ruszyli dalej. Pierwsza zauważyła to Annabelle.

– Światło! – wykrzyknęła.

To słowo podziało na nich jak zastrzyk energii. Popędzili naprzód, szczęśliwi, że to koniec mordegi.

Była to naturalna skalna szczelina, którą Stone dawno temu najpierw poszerzył, a następnie starannie zamaskował. Na zewnątrz wstawał świt. Trudno było uwierzyć, że minęło już tyle czasu. Stone pierwszy przedarł się przez barykadę z desek, kamieni i jakichś metalowych elementów, którą wzniósł tu przed laty. Szczelina miała około trzydziestu centymetrów szerokości. Finn położył Knoxa na ziemi i pospieszył z pomocą. Wkrótce otwór powiększył się dwu-, potem trzykrotnie. W dole znowu rozległy się wybuchy, ale oni byli już prawie na zewnątrz.

– Ostrożnie! – ostrzegł ich Stone. – Wyjdę pierwszy.

Czekali w napięciu. Finn zarzucił sobie Knoxa na plecy i wyjął broń, Chapman w jednej ręce ścisnęła walthera, a w drugiej nóż, Annabelle podtrzymywała ślaniającego się na nogach Caleba. Stone dał krok naprzód, potknął się, zachwiał i o mało nie runął w dół.

– Cholera!

Przeszkoda, o którą zahaczył, okazała się drutem rozpiętym w poprzek przejścia.

Zawadzając o niego, uruchomił czasowy detonator ładunku wybuchowego wepchniętego między skały tuż przy drucie. Zegar wskazywał minus pięć sekund.

– Wracać! – krzyknął, sam zaś rzucił się ku bombie. W tym samym ułamku sekundy uczyniła to Chapman.

Annabelle krzyknęła, Caleb jęknął, Finn zatoczył się w tył pod ciężarem nieprzytomnego Knoxa.

Stone spojrział na Chapman. Nie zwracała na niego uwagi, tylko z zaciśniętymi ustami patrzyła na bombę. Nagle skoczyła, odgradzając go własnym ciałem od ładunku.

– Mary, nie!

Licznik wskazał minus jeden.

102.

Kolejny pogrzeb na cmentarzu Arlington. Trzy trumny, trzech weteranów amerykańskich służb specjalnych.

Harry Finn.

Joseph Knox.

John Carr.

Zdwojono środki bezpieczeństwa, mając wciąż świeżo w pamięci to, co wydarzyło się niedawno. Cztery pierścienie ochrony, specjalnie wyszkolone psy, kilkakrotne rewizje, zakaz wnoszenia jakichkolwiek urządzeń elektronicznych. Reguły gry zmieniły się na stałe. Nic już nie miało być takie jak dawniej.

Zjawił się prezydent, by osobiście wygłosić mowę żałobną. Przybyli wysocy rangą przedstawiciele Kongresu i sił zbrojnych. Zjawili się dyrektor FBI, Riley Weaver, agentka Ashburn i agent Garchick. Pojawił się brytyjski premier, a wraz z nim sir James McElroy.

Mary Chapman nie dostała zaszczytu pochowania na tym cmentarzu, ponieważ nie służyła w amerykańskich siłach zbrojnych, ale brytyjski premier zamierzał wspomnieć o jej poświęceniu i ofierze z życia, jaką złożyła, walcząc u boku sojuszników. Pogrzeby Annabelle Conroy i Caleba Shawa także miały się odbyć w innym czasie i w innych miejscach, ale prezydent pamiętał o tym, by powiedzieć o nich w swoim wystąpieniu.

Pierwszy zabrał głos brytyjski premier, po nim na mównicę wchodzili kolejno rozmaici dygnitarze, w tym także Riley Weaver. Nie wyjaśnił, czym była Mordercza Góra, ponieważ nie musiał tego robić. Na ten temat do mediów nie przeciekła żadna informacja.

Oficjalnie Knox, Finn i Carr zginęli w walce z rosyjskimi handlarzami narkotyków, którzy z pomocą amerykańskiego oficera zdrajcy urządzili tajne laboratorium na terenie jednego z opuszczonych wojskowych obozów treningowych. Ta sama grupa była odpowiedzialna za zamach bombowy i strzelaninę w parku

Lafayette'a oraz za zabójstwa w Pensylwanii, Wirginii i Waszyngtonie. Przemawiający na zakończenie prezydent obiecał, że uczyni wszystko, co w jego mocy, by wymierzyć sprawiedliwość sprawcom tych czynów. Co zrozumiałe, stosunki między Stanami Zjednoczonymi i Rosją uległy gwałtownemu pogorszeniu.

*

Z odległego o jakieś siedemset metrów pagórka przebieg uroczystości obserwowała ukradkiem pewna kobieta. Udawała, że ogląda nagrobek zmarłego dawno temu generała.

Przez małą słuchawkę w uchu słyszała każde wypowiedane słowo. Większość przemówień była jej zupełnie obojętna, ale mowa prezydenta przykuła jej uwagę. Kiedy wspomniał o amerykańskim oficerze, który okazał się zdrajcą, nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

Wiedziała, że uroczystość transmitują na żywo wszystkie największe stacje telewizyjne i sieci kablowe w kraju. Wiedziała też, że relację ogląda Carlos Montoya.

Skontaktowała się z nim wcześniej i powiedziała mu o transmisji. Plan się powiódł, mimo że prezydenci USA i Meksyku uszli z życiem. Cała odpowiedzialność spadła na Rosjan. Jej misja, na przekór niesprzyjającym okolicznościom, zakończyła się sukcesem.

Zaświergotał telefon. Kobieta sięgnęła po aparat i przeczytała: *Buen trabajo.*

Rzeczywiście, dobra robota.

Chwilę potem nadeszła druga wiadomość, która sprawiła jej jeszcze większą przyjemność. Pozostała część wynagrodzenia właśnie powędrowała na jej konto. Carlos Montoya życzył jej powodzenia.

Odpisała szybko:

Hasta luego.

Ale wcale tak nie myślała. Miała już dosyć. Czy mogłaby marzyć o tym, by osiągnąć coś więcej?

Marisa Friedman przesunęła dłonią po krótko obciętych, ufarbowanych na ciemnokasztanowy kolor włosach. Skorzystała z prostych, ale sprawdzonych sposobów, dzięki czemu zmieniała

wygląd tak bardzo, że nawet najbliżsi przyjaciele mieliby problemy z rozpoznaniem jej. Mogła czuć się całkowicie bezpiecznie.

Odwróciła wzrok od ceremonii. Jeśli czuła jakiś żal, to tylko o to, że John Carr nie skorzystał z jej propozycji. Chociaż w gruncie rzeczy powinna się była tego spodziewać. I tak musiałaby go zabić, jak tylko by odkrył, że to ona stała za tym wszystkim. Tego, że w końcu doszedłby prawdy, była całkowicie pewna. Wcześniej jednak mieliby trochę czasu dla siebie.

Dla kogoś takiego jak ona, kto niemal całe życie był sam, miałyby to ogromną wartość.

Miliard dolarów na koncie i reszta życia, żeby z nich korzystać. Westchnęła z zadowoleniem. Nie co dzień obmyślało się i realizowało tak niewiarygodnie skomplikowane i zarazem brzemiennie w skutki operacje. Nowe dokumenty były w całkowitym porządku. Na lotnisku Dullesa czekał już na nią prywatny odrzutowiec. Przez podstawionego człowieka kupiła sobie wyspę. Przez najbliższy rok zamierzała tylko leżeć na plaży, czytać, popijać zimne drinki i zastanawiać się, co począć dalej. Dzisiaj obwąchało ją już kilka psów policyjnych, ale żaden niczego nie poczuł. Z trudem powstrzymała uśmiech, kiedy opuszczając cmentarz, mijała kolejne posterunki.

Nanoboty.

Montoya poświęcił dwa lata i prawie dwa miliardy dolarów na prace nad zmodyfikowaniem zapachów na poziomie molekularnym za pomocą armii miniaturowych żołnierzy. Teraz narkotyki, i w ogóle wszystko, co do tej pory identyfikowano na podstawie zapachu, będą mogły swobodnie rozprzestrzeniać się po całym globie, Stanów Zjednoczonych nie wyłączając. Narkotyki, broń, materiały wybuchowe, paliwo jądrowe.

Nanoboty wszystko zmieniły. Możliwości przestępczego działania stały się wręcz nieograniczone. Między innymi właśnie dlatego Friedman kupiła swoją wyspę na takim odludziu. Nie chciała słyszeć krzyków dobiegających ze swojego kraju.

Pieprzyć ich.

Dotarła do wypożyczonego samochodu i jeszcze raz rozejrzała się dookoła. Podszedł do niej jakiś pies; zwykły kundel, nawet bez

obroży. Pochyliła się, żeby go pogłaskać, ale cofnął się raptownie.

– Nie bój się, głuptasie. Nie zrobię ci krzywdy.

Pies zbliżył się ponownie, jakby chciał zbadać jej intencje, ale i tym razem nie pozwolił się dotknąć. Odskokzył, usiadł i zawył. Lekko zdenerwowana Friedman sięgnęła do klamki, lecz zanim zdążyła otworzyć drzwi samochodu, otoczyło ją co najmniej dziesięciu mężczyzn. Część z nich była w mundurach, część miała na sobie garnitury. Wszyscy mierzyli do niej z broni.

Zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czoło.

– O co chodzi?

– Proszę odejść od samochodu, podnieść ręce i zapleść je na karku – powiedział beznamiętnym tonem jeden z tych w garniturach. – Natychmiast.

Zastosowała się do polecenia.

– Czy to wasz pies? Jeśli tak, to się pomylił. Możecie mnie przeszukać. Nie mam przy sobie narkotyków, ładunku wybuchowego ani...

Umilkła, kiedy zobaczyła go zbliżającego się od strony czarnego SUV-a, który zaparkował tuż za jej samochodem. Oliver Stone schował okulary przeciwsłoneczne do kieszeni kurtki. Idąca za nim Mary Chapman miała swoje na nosie. Marisa Friedman spojrzała w lewo. Stał tam Finn, obok niego na wózku siedział John Knox z zabandażowaną głową i ramieniem na temblaku. Skierowała wzrok z powrotem na Stone'a. Tuż za nim stali Caleb Shaw, także z ręką na temblaku, i całkowicie zdrowa Annabelle Conroy.

Spojrzała w dół, na obserwującego ją przez cały czas psa, i uśmiechnęła się.

– Jaki miły piesek.

– To jemu zawdzięczasz swój koniec – powiedział Stone.

– Jak to?

– Niedobrze jest ujawnić coś, co jest prawdą i co potem może zostać wykorzystane przeciwko tobie.

– Nie rozumiem...

– Pamiętasz te tajskie perfumy nieodparcie działające na mężczyzn? Bardzo trudne do zdobycia, ale ze wsparciem rządu Stanów Zjednoczonych można dokonać nie takich rzeczy. – Opuścił

wzrok na psa. – To bardzo charakterystyczny zapach. Ten zwierzak bez trudu wytropił cię nawet na tak rozległym terenie.

– Skąd wiedziałeś, że tu będę?

– A czy mogło cię tu nie być?

– Przyszedłbyś, gdybyś był na moim miejscu?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nigdy nie cieszyłem się z zabijania ludzi.

Uśmiech znikł z jej twarzy.

– Ja się nie cieszyłam. Przyszłam okazać szacunek godnym przeciwnikom.

– Przechwyciliśmy twoją SMS-ową pogawędkę z Montoyą. Hasta luego? Zabawne.

Miliard dolarów to całkiem przyzwoita zapłata. Dzięki temu mamy dowód waszej współpracy. Jego dni też są już policzone.

Przesunęła wzrokiem po otaczających ją ludziach.

– Wygląda na to, że chyba nie zdążę wydać tego miliarda. – Umilkła na chwilę, po czym dodała: – Nie spodziewałam się, że rozgryziesz tę sprawę z nanobotami i zapachami.

Dobra robota.

– Miałem więcej szczęścia niż rozumu.

– Wątpię. Nikt nie ma aż tyle szczęścia. Kiedy Montoya zobaczył, jak prezydent niedrażnięty odjeżdża z miejsca wybuchu, nie był szczególnie zadowolony.

– Stąd twój plan powrotu?

Skinęła głowę.

– Zawsze trzeba mieć coś w zanadrzu.

– Większość ludzi na twoim miejscu po prostu wzięłaby nogi za pas.

– Dostałam tylko pół miliarda, a chciałam mieć całą. I zależało mi na doprowadzeniu sprawy do końca. To kwestia dumy zawodowej.

– Prawie ci się udało.

– Teraz to bez znaczenia. Mogę zapytać, jak to zrobiłeś? Byłam przekonana, że przygotowałam się perfekcyjnie.

– Tak było. Szczególnie jeśli chodzi o trzecie wyjście. Jak ci się to udało?

– Już mówiłam: pilnie odrobiłam lekcje.

– No dobrze, wystarczy tego chrzanienia! – rozległ się dudniący głos i na scenę wkroczył Riley Weaver w towarzystwie dyrektora FBI i agentki Ashburn. – Jak to możliwe, Friedman, żeby tak kompletnie pochrzańło ci się w głowie?

Zignorowała go. Uśmiechnęła się, wciąż patrząc na Stone'a.

– Tacy jak ty zawsze chadzają własnymi ścieżkami. Trafiłam na dwóch członków twojego oddziału, którzy wiedzieli o wejściu przez kuchnię, domyśliłam się więc, że ty musisz znać co najmniej jeszcze jedno.

– Dlaczego?

– Bo ufasz tylko sobie i nikomu nie powierzasz swoich tajemnic.

– Skąd o tym wiesz?

– Ponieważ jestem taka sama.

– Jak znalazłaś to wyjście?

Przesunęła wzrokiem po otaczających ją agentach.

– Będziecie mieli coś przeciwko temu, jeżeli opuszczę ręce? Już mi trochę zeszywniały. Widzicie przecież, że nie jestem uzbrojona, a nawet gdybym była, to macie niewielką przewagę...

– W porządku – odparł jeden z nich. – Tylko proszę trzymać ręce tak, żebyśmy je cały czas widzieli.

Ponownie spojrzała na Stone'a.

– Kiedy już byłam pewna, że wykorzystam Morderczą Górę, obejrzałam ją centymetr po centymetrze. Główne wejście znajdowało się od zachodu, tylne od wschodu. W dół nie dało się iść, poszłam więc w górę i znalazłam to, co ty zostawiłeś. Odpowiedziałam ci na pytanie. Czy ty odpowiesz teraz na moje?

Stone popatrzył na Chapman. Friedman również przeniosła na nią wzrok. Agentka MI6 wzruszyła ramionami.

– Dwa razy miałam do czynienia z takimi bombami w Irlandii Północnej. Raz trzeba było przeciąć niebieski kabelek, a raz czerwony. Moim ulubionym kolorem jest niebieski, więc przecięłam niebieski. Została tylko sekunda, ale jakoś się udało. Musiałam zaryzykować, nie było innego wyjścia. Najważniejsze, że wszyscy tu jesteśmy.

– Bombę zdetonowaliśmy dopiero wtedy, kiedy odeszliśmy na bezpieczną odległość – podjął Stone. – Na wypadek gdyby ktoś obserwował teren. Resztę ustaliliśmy przez telefon.

Zabrali nas stamtąd w workach na ciała, a co było dalej, widziałas sama dzisiaj. Uznałem, że to jedyny sposób, by cię dopaść. Musiałaś uwierzyć w powodzenie swojego planu. Prezydent Brennan dogadał wszystko z Rosjanami.

– Nieźle pomyślane.

Stone przysunął się do niej.

– Naprawdę chodziło ci tylko o pieniądze?

Friedman uśmiechnęła się.

– Częściowo. Dreszczyk emocji też odgrywał dużą rolę. Chciałam się sprawdzić.

Wyzwanie było nieliche, sam musisz to przyznać. Kiedy Montoya skontaktował się ze mną po raz pierwszy, odesłałam go do wszystkich diabłów, ale potem pomyślałam: Właściwie, czemu nie? Myślę, że nawet ty byś się zastanowił...

Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego ramienia, ale się cofnęła.

– Wiem, że tobie emocje nie były potrzebne – powiedziała, starając się ukryć rozczarowanie. – Po tylu latach w Oddziale 666... Z pewnością nie interesowały cię też pieniądze.

– Zgadza się.

– Dlaczego więc zgodziłeś się wrócić? Tylko błagam, oszczędź mi banałów o zaszczytnej służbie dla kraju.

– Powiedziałem, dość już tych bzdur! – warknął Riley Weaver, podchodząc bliżej. – Idziesz do więzienia, ale na krótko. Zaraz potem zostaniesz rozstrzelana za zdradę.

Friedman potrząsnęła głową.

– Jesteś beznadziejny, Riley – powiedziała, wzdychając. – Potrafisz popsuć każdą zabawę.

Dyrektor NIC poczerwieniał gwałtownie, jakby lada chwila miał dostać udaru.

– Zabawę? Nazywasz to zabawą? Jesteś nienormalna!

Friedman znowu skupiła uwagę na Stone.

– No więc, dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

– Chciałem wrócić do kobiety i do córeczki, które kochałem.

Milczała jakiś czas, po czym powiedziała: – Ja nigdy czegoś takiego nie miałam.

– Dobra, skuć ją i poinformować o prawach! – warknął Weaver. – Zrobimy to jak należy, żadnych błędów. Nie powinna się spóźnić na śmiertelny zastrzyk. Z przyjemnością osobiście nacisnąłbym guzik.

Friedman spojrzała na niego z odrazą.

– Nie wybieram się do więzienia i z pewnością nie będziesz miał przyjemności dokonać mojej egzekucji!

Weaver uśmiechnął się drapieżnie.

– Bardzo jestem ciekaw, w jaki sposób zamierzasz się od tego wykręcić.

– Już to zrobiłam.

Zachwiała się lekko. Musiała oprzeć się ręką o swój samochód, żeby nie upaść. Stone pierwszy zorientował się, co się stało.

Rzucił się naprzód i chwycił ją za lewą rękę. Na wewnętrznej powierzchni dłoni dostrzegł małą kroplę krwi. Złapał ją za prawą rękę, spojrzał... Kamień z pierścionka znikł, w jego miejscu sterczała mała ostra igła.

– Na twoim miejscu uważałabym, żeby się nie skaleczyć – powiedziała Friedman. – To wyjątkowe paskudztwo, cyjanek potasu może się przy tym schować.

Mówiła coraz wolniej, coraz mniej wyraźnie. Zachwiała się ponownie. Stone starał się ją podtrzymać, ale wysliznęła mu się z rąk i osunęła na ziemię. Patrzyli na nią, stojąc nieruchomo. Twarz Weavera wykrzywiła się w grymasie wściekłości.

– Kiedy?

– Gdy tylko go zobaczyłam – wyszeptała z uśmiechem, wskazując wzrokiem na Stone'a. – Od razu się domyśliłam, że już po wszystkim. Zrobiłam więc to, co należało, Riley.

Do samego końca starałam się być dobrym szpiegiem, a każdy dobry szpieg odchodzi na własnych warunkach. – Ponownie spojrzała na Stone'a i z trudem wciągnęła powietrze. – Kupiłam tę wyspę, wiesz?

Nie odpowiedział.

– Myślę, że mogliśmy być tam szczęśliwi.

Wszyscy spojrzeli na niego, a potem znowu na nią.

– Naprawdę tak myślę... – wyszeptała. – Powiedz mi, że ty też...

Milczał, wpatrując się w nią z pozbawioną wyrazu twarzą. Wypreżyła się nagle, po czym znieruchomiała. Stone'owi wydawało się, że już po wszystkim, ale ona zdołała jeszcze wyszeptać:

– Jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż kiedykolwiek odważysz się przyznać...

Spojrzała w górę, jeszcze raz złapała powietrze, po czym powoli odwróciła głowę na bok i skonała z policzkiem wtulonym w trawę. Stone już tego nie widział. Odwrócił się i odszedł.

103.

Klub Wielbłądów w pełnym składzie zgromadził się wokół łóżka Alexa Forda. Agent otworzył oczy i spojrzał na przyjaciół. Annabelle ścisnęła go za rękę, po jej policzkach popłynęły łzy. Reuben i Caleb wymienili uśmiechy.

– Tylko pamiętaj: żadnych kwiatów! – szepnął Reuben.

Stone zbliżył się do łóżka i przyjrzał przyjacielowi. Alex wciąż jeszcze nie mógł mówić; lekarze uprzedzali, że na razie nie sposób określić, czym zakończy się leczenie, ponieważ uszkodzeniu uległa część mózgu.

– Może wyzdrowieje całkowicie, a może nie – powiedział im chirurg, który go operował.

– Ale będzie żył – stwierdziła Annabelle.

– Zgadza się – potwierdził lekarz. – Będzie żył.

Stone delikatnie położył dłoń na ramieniu Alexa.

– Dobrze cię znowu widzieć, Alex – powiedział łamiącym się głosem.

W odpowiedzi Alex poruszył powiekami. Jego usta ani drgnęły. Annabelle zbliżyła twarz do jego twarzy.

– Będziemy z tobą – obiecała. – Przez cały czas.

Lekko uściskał jej rękę.

*

Później tego samego wieczoru Stone siedział w domu przy biurku. Musiał przemyśleć wiele rzeczy, choć wcale nie miał na to ochoty. Otrzymał bezterminową ofertę powrotu do pracy dla rządu na dowolnym, wybranym przez siebie stanowisku. Powiedział dyrektorowi FBI, że się nad tym zastanowi, lecz nie sprecyzował, ile czasu mu to zajmie.

Carmen Escalante została objęta programem ochrony świadków, na wypadek gdyby Carlos Montoya postanowił wyładować na niej swój gniew. Stone nie sądził, żeby miała się czego obawiać. Świat wiedział już, że Montoya stał zarówno za zamachem w parku

Lafayette'a, jak i za całą resztą. Należało wątpić w to, by jeszcze długo żył. Mógł skończyć na wiele sposobów: zamordowany przez konkurenta pragnącego przejąć władzę nad kartelem, zlikwidowany przez Rosjan, wściekłych, że obarczył ich odpowiedzialnością za takie zbrodnie, albo mogli go dopaść Amerykanie. Stone'owi było to obojętne. A zmieniające zapachy nanoboty? Cóż, ATF i wszystkie światowe agencje walczące z przestępczością zorganizowaną będą miały twarde orzech do zgryzienia.

Wreszcie, chociaż zupełnie tego nie chciał, jego myśli skierowały się ku Marisie Friedman.

Kupiła dla nich bezludną wyspę.

„Jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż kiedykolwiek odważysz się przyznać...”

Myliła się. Nie byli do siebie w ogóle podobni.

A może?

Patrząc przed siebie, pogrążony w myślach, nagle dostrzegł małą czerwoną kropkę przesuwającą się najpierw po ścianie, a potem po blacie biurka. Kropka przeskoczyła na jego pierś, jakby się zawahała, a potem powędrowała w górę, aż w końcu znikła mu z oczu. Był pewien, że znieruchomiła pośrodku jego czoła.

– Spodziewałem się ciebie wcześniej – powiedział spokojnie w ciemność.

Z mroku wyłoniła się Chapman. W ręce trzymała walthera z zamontowanym celownikiem laserowym.

– Wybacz, zwykle jestem punktualna. Kiedy się domyśliłeś?

– Wiem, że MI6 nie ma zwyczaju pozwalając swoim najlepszym agentom włóczyć się po świecie bez ważnego powodu. Już dawno powinnaś była wrócić do domu. Fakt, że jednak zostałeś, świadczył o tym, że otrzymałaś kolejne zadanie. Z pewnością nie polegało tylko na tym, by mieć na mnie oko, bo to potrafiłoby wielu innych.

– Doskonale. Pamiętaj jednak, że przy okazji pomagałam ci rozwiązać tamtą sprawę i pilnowałam, żeby nie stało ci się nic złego. Czy nie na tym polegała rola Watsona? Zawsze nosił broń i od czasu do czasu zabijał jakiegoś typka spod ciemnej gwiazdy, który chciał

rozprawić się ze słynnym detektywem, a poza tym zachwycał się dedukcyjnymi umiejętnościami swojego pryncypała.

– Powiedziałaś, że nie czytałaś tych opowiadań.

– Skłamałam. Czytałam i ogromnie mi się podobały. Powiem ci zupełnie szczerze, że spodobało mi się bycie twoim Watsonem.

– Kto kazał ci mnie zabić? McElroy?

Pokręciła głową.

– Sir James naprawdę cię lubi. Decyzja zapadła wysoko ponad jego głową. Nawet ojcu chrzestnemu nie o wszystkim mogę mówić. Powinieneś szukać znacznie bliżej domu.

Przecież wiesz, że doskonale współdziałamy z jankesami.

– Weaver?

– Jak wy to mówicie? Nie potwierdzam i nie zaprzeczam. Choć gdybym miała zaprzeczyć, to niezbyt energicznie.

– A więc szef amerykańskiej agencji sprzymierzył się z brytyjskim wywiadem, żeby zabić amerykańskiego obywatela?

– To niesamowite, jak zmienił się świat, prawda?

– A prezydent? Czy wie o tym?

Czy okłamał mnie w Camp David? Po tym, jak uratowałem mu życie? Znowu?

– Naprawdę nie wiem. Jeżeli jednak Weaver robi to bez jego wiedzy i zgody, to ma jaja. Musiałeś mu niezłe zaleźć za skórę.

– Staram się wszystko robić jak najlepiej.

– To bez wątpienia twoja zaleta.

– Jesteś więc zabójcą wysłanym z oficjalną misją na drugi brzeg wielkiej wody?

– Kimś w tym rodzaju. Naturalnie od czasu do czasu rozwiązuję też jakieś zagadki albo ratuję królową, ale głównie zajmuję się usuwaniem niewygodnych przeciwników.

– Zapewne jesteś w tym bardzo dobra.

– Ty też byłeś w tym dobry. Może nawet najlepszy. – Uśmiechnęła się do niego, przechylając na bok głowę. – Powiedz mi coś: czy kiedykolwiek odmówiłeś wykonania bezpośredniego rozkazu?

– Tylko raz – odparł bez wahania. – W wojsku.

– Jesteś z tego zadowolony?

– Tak.

– A w Oddziale 666?

– Nigdy.

– Jesteś z tego zadowolony?

– Nie. Jeżeli czegoś żałuję w życiu, to właśnie tego.

Opuściła pistolet, a następnie schowała go do kabury.

– To jest ten mój jedyny raz.

– Dlaczego? – zapytał ze zdziwieniem.

– Z mnóstwa powodów, o których nie mam ochoty dyskutować.

– Nie będziesz miała kłopotów, jeśli nie wykonasz rozkazu?

– Należę do kobiet, które lubią stawiać czoło przeciwnościom losu.

– Od dzisiaj musisz często oglądać się do tyłu.

– Zawsze to robię.

– Zobaczymy się jeszcze?

– Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość.

Odwróciła się, ale w drzwiach zatrzymała się i spojrzała na niego.

– Uważaj na siebie, Oliverze Stone. Możesz odłożyć broń, nie będziesz jej potrzebował. Nie w tej chwili. Ale nie odwracaj się plecami do Rileya Weavera. To byłby poważny błąd. Trzymaj się.

Rozpłynęła się w ciemności.

Stone powoli odłożył pistolet do szuflady i zamknął ją. Gdy tylko zauważył czerwoną kropkę, wycelował broń pod biurkiem. Był bardzo zadowolony, że nie musiał nacisnąć spustu. Przypuszczalnie zginęliby oboje.

Choć było późno, nie czuł wcale zmęczenia. Nie potrzebował już tyle snu co kiedyś.

To chyba kwestia wieku. Odczekał trochę, po czym wstał i wyszedł z domu. Szedł tak długo, aż dotarł tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Dla Johna Carra wszystko zaczęło się na Morderczej Górze, a dla Olivera Stone'a – w parku Lafayette'a. Należał do tego miejsca. Skierował wzrok na Biały Dom, gdzie prezydent zapewne spał smacznie, mimo że całkiem niedawno wyszedł cało z zamachu na swoje życie.

Spacerował po parku, pozdrawiając skinieniem głowy ochroniarzy, którzy doskonale go znali. Zastanawiał się, czy Alex Ford będzie jeszcze kiedyś patrolował te rejony. Był teraz żywą legendą Secret Service, bohaterem, człowiekiem, który ocalił prezydenta. Dla Stone'a najważniejsze było jednak to, żeby jego przyjaciel jak najszybciej odzyskał pełną sprawność.

Następnie jego myśli powędrowały ku Chapman, która nareszcie mogła wrócić na swoją małą wyspę. Może kiedyś ją tam odwiedzi. Może. Usiadł na tej samej ławce, na której siedziała Marisa Friedman tego wieczoru, kiedy parkiem wstrząsnęła eksplozja. Od tego wszystko się zaczęło. Teraz znowu panował spokój.

Spojrzał na dorodny, dopiero co posadzony klon. Wyglądał tak, jakby rósł tu od zawsze. Zupełnie jak niektórzy ludzie.

Jak ja.

Oliver Stone oparł się wygodnie, odetchnął głęboko i podziwiał roztaczający się przed nim widok;